

Andrzej Sapkowski

Narrenturm

Świat nie zginął i nie spłonął. Przynajmniej nie cały.

Ale i tak było wesoło.

Zwłaszcza Reinmarowi z Bielawy, zwanemu także Reynevanem, zielarzowi i uczonemu medykowi, spokrewnionemu z wieloma moznymi ówczesnego świata. Młodzieniec ów, zakochawszy się w pięknej i obdarzonej temperamentem żonie śląskiego rycerza, przeżywa niezapomniane chwile miłosnych uniesień.

Do czasu, kiedy wylamując drzwi, wdzierają się do komnaty krewniacy zdradzanego małżonka.

I w tym momencie Reynevanowi przestaje być wesoło.

Komentując Reynevanową skłonność do zakochiwania się, Zawisza Czarny, „rycerz bez skazy i zmayı”, stwierdził: „Oj, nie umrzesz ty, chłopaczku, śmierć naturalna!”

Zawisze, wziętego do niewoli, wkrótce ścieli Turcy.

A co z Reynevanem?

Koniec świata w Roku Panskim 1420 nie nastąpił. Choć wiele wskazywało na to, że nastąpi.

Nie sprawdziły się mroczne proroctwa chiliastów, przepowiadających nadejście Konca dość precyzyjnie - na rok mianowicie 1420, miesiąc luty, poniedziałek po świętej Scholastyce. Ale cóż - minal poniedziałek, przyszedł wtorek, a po nim środa - i nic. Nie nastąpiły Dni Kary i Pomsty, poprzedzające nadejście Królestwa Bożego. Nie został, choć skończyło się lat tysiąc, z więzienia swego uwolniony szatan i nie wyszedł, by omamieć narody z czterech narożników Ziemi. Nie zgineli wszyscy grzesznicy świata i przeciwnicy Boga od miecza, ognia, głodu, gradu, od klów bestii, od zadel skorpionów i jadu

węzy. Prózno oczekiwali wierni nadejścia Mesjasza na górach Tabor, Baranek, Oreb, Sion i Oliwnej, nadaremnie oczekiwano powtórnego przyjscia Chrystusa *quinque civitates* , przepowiedziane w Izajaszowym proroctwie pięć miast wybranych, za które uznano Pilzno, Klatovy, Louny, Siany i Zatec. Koniec świata nie nastąpił. Świat nie zginął i nie splonął. Przynajmniej nie cały.

Ale i tak było wesoło.

Isście, wyborna ta polewka. Gesta, korzenna i omaszczona suto. Dawno takiej nie jadłem. Dzięki wam, cni panowie, za poczęstunek, dzięki i tobie, karczmareczko. Czy piwem, pytacie, nie pogardzę? Nie. Raczej nie. Jeśli pozwolicie, to z przyjemnością. *Comedamus tandem, et bibamus, cras enim moriemur* .

Nie było końca świata w 1420, nie było w rok później, ani w dwa, ani w trzy, ani w cztery nawet. Rzeczy biegły, że się tak wyrażę, swym przyrodzonym porządkiem. Trwały wojny. Mnożyły się zarazy, szalała *mors nigra* , szerzył się głód. Blizni zabijał i okradał bliźniego, pozadał jego żony i generalnie był mu wilkiem. Żydowinom co czas jakiś fundowano pogromik, a kacerzom stosik. Z nowości zaś - szkielety w uciesznych podskokach plasowały po cmentarzyskach, śmierć z kosa przemierzała ziemię, inkub noca wciskał się między drzące uda śpiących pańien, jeźdźcowi samotnemu na uroczysku strzyga siadała na karku. Diabeł w sposób widomy wkraczał w sprawy powszednie i krzątał między ludźmi *tamquam leo rugiens* , jak lew ryczący, szukający, kogo by tu pozrec.

Sporo ludzi sławnych w owym czasie pomarło. Ha, pewno i urodziło się wielu, ale jakos tak jest, że daty narodzin dziwnym trafem w kronikach się nie zapisują i za cholere nikt ich nie pamięta, za wyjątkiem może matek i za wyjątkiem tych przypadków, gdy noworodek miał dwie głowy albo dwa przynajmniej kutasy. A jeśli zgon, ha, to data pewna, jakby w kamieniu ryta.

W 1421 tedy roku, w poniedziałek po Niedzieli Śródpustej, dożywszy zasłużonych lat sześćdziesięciu zmarł w Opolu *Janapellatus* Kropidło, książę krwi piastowskiej *iepiscopus wloclaviensis* . Przed śmiercią uczynił był na rzecz miasta Opolą donację sześciuset grzywien. Mówią, że część tej kwoty ostatnia wola umierającego poszła na słynny opolski zamątek „U Rudej Kundzi”. Z usług tego przybytku, mieszczącego się na tyłach klasztoru Braci Mniejszych, biskup hulaka korzystał do samej śmierci - nawet jeśli pod koniec życia już tylko jako obserwator.

Latem zaś - dokładnej daty nie pamiętam - roku 1422 zmarł w Vincennes król angielski Henryk V, zwycięzca spod Azincourt. O dwa miesiące go jeno przeżywszy, zmarł król Francji, Karol VI, już od lat pięciu zupełnie pomylony. Korony zazał syn szalenca, delfin Karol. Ale Anglicy nie uznali jego praw. Sama przecie matka delfina królowa Izabela, już dawno ogłosiła go bekartem poczętym w jakimś oddaleniu od łoża małżeńskiego i z mężczyzną zdrowym na umyśle. A że bekart tronu nie dziedziczy, prawowitym władcą i monarchą Francji został Anglik, syn Henryka V, mały Henryk, dzieć się jeno liczący miesiące. Regentem we Francji został wuj Henrysia, John Lancaster, książę Bedford. Ten pospołu z Burgundami trzymał Francję północną - z Paryżem - południe zaś dzierzył delfin Karol i Armaniacy. A pomiędzy dziedzinami psów były wśród trupów na pobożowiskach.

W roku zaś 1423, w dzień Zielonych Świątek, zmarł w zamku Peniscola niedaleczko Walencji Piotr de Luna, papież awinionski, wyklęty schizmatyk, aż do samej śmierci, wbrew uchwałom dwóch soborów - tytułujący się Benedyktem XIII.

Z innych, co w tamte lata pomarli, a o których pamiętam, zmarł Ernest Żelazny Habsburg, książę Styrii, Karyntii, Krainy, Istrii i Triestu. Umarł Jan Raciborski, książę krwi piastowskiej i przemyskiej zarazem. Umarł młodo Waclaw, *dux Lubiniensis* , zmarł książę Henryk, wspólnie z bratem Janem pan na Ziębicach. Umarł na obczyźnie Henryk *dictus* Rumpoldus, książę Głogowa i landwójt Górnych Łuzyc.

Umarł Mikołaj Traba, arcybiskup gnieźnieński, mąż zacny i umny. Umarł w Malborku Michał Kuchmeister, mistrz wielkiego Zakonu Najświętszej Marii Panny. Umarł także Jakub Peczak zwany Ryba, młynarz spod Bytomia. Ha, przyznać trzeba, że krzyżacy mniej sławni i znani od wyżej wymienionych, ale z tą nad nimi przewagą, z którą go znalazł osobiście i nawet pił z nim. A z owymi wcześniej wymienionymi - jakos nie trafiło się.

Ważne też wydarzenia i w kulturze podówczas zachodziły. Kazał natchniony Bernardyn ze Sieny, kazali Jan Kanty i Jan Kapistran, nauczali Jan Gerson i Paweł Włodkowic, pisali uczenie Krystyna de Pisan i Tomasz Hemerken a Kempis. Pisał swą kronikę wielce piękną Wawrzyniec z Brzeżowej. Malował ikony Andrzej Rublow, malował Tomaso Masaccio, malował Robert Campin. Jan van Eyck, malarz króla Jana Bawarskiego, tworzył dla katedry świętego Bawona w Gandawie „Ołtarz Baranka Mistycznego”, poliptyk wcale piękny, zdobiący niniejszą kaplicę Jodocusa Vyda. We Florencji mistrz Pippo Brunelleschi ukończył stawianie precyzyjnej kopii nad czterema nawami kościoła Marii Panny Kwiecistej. A i my na Śląsku nie gorsi - u nas pan Piotr z Frankensteina zakończył w mieście Nysa budowę wielce okazałego kościoła pod wezwaniem świętego Jakuba. To całkiem stąd, z Milicza, niedaleko, kto nie był i nie widział, ma okazję być i zobaczyć.

W tymże roku 1422, w zapusty same, w grodzie Lida, z wielką pompą wyprawił swe gody stary Litwin, król polski Jogajła - poślubił Sonkę Holszańską, dziewicę kwitnącą i młodszą, lat siedemnastu, od siebie wtedy więcej niż pół wieku młodszą. Jak mówiono, więcej ta dziewica uroda niżli obyczajami słynęła. No, tak i kłopotów potem siła z tego było. Zasiadł Jogajła, całkiem jakby przepomniany, jak młoda żona cieszyć się trzeba, już latem wczesnym ruszył na panów pruskich, na Krzyżaków znaczących. Tym to samym nowemu - po Kuchmeisterze - mistrzowi wielkiego Zakonu, panu Pawłowi z Rüssdorfu, już zaruszczo po objęciu urzędu przyszło z polskim orężem się poznać - i to srodzko poznać. Jak tam w lożnicy u Sonki było, dociekać próżno, ale na to, by Krzyżakowi rzucić sprac, dość jeszcze był Jogajła dziarski.

Siła rzeczy ważnych także i w Czeskim Królestwie miejsce miało w tamtych czasach. Wielkie było tam poruszenie, wielki krwi przelew i nieustanna wojna. O czym niżej mi zresztą prawić... Wybaczyć racie dziadkowi, wielmożni, ale strach ludzka rzecz, a przychodziło już po karku braci za niebaczne słowo. Na waszych przecie jakach, panowie, polskie należeć widzieć i Habsburski, a na waszych, szlachetni Czesi, koguty panów z Dobrej Wody i strzały rycerzy ze Strakoniec... A wysię, Marsowy mezu, przecie Zettritz, po głowie zubrzej w herbie miarkuje. A waszych, panie rycerzu, skosnych szachownic i gryfów nawet umiejscowić nie potraficie. Nie da się też wykluczyć, czy ty, bracie z zakonu świętego Franciszka, nie donosisz Świętemu Oficjum, a że wy, bracia od świętego Dominika, donosicie, to raczej pewnie. Tak tedy sami baczycie, że niżej mi w tak międzynarodowym i różnicowanym towarzystwie o czeskich sprawach bajac, nie wiedząc, kto tu za Albrechtem, a kto za polskimi królem i królewiczem. Kto tu za Menhartem z Hradca i Oldrzychem z Rozmberka, a kto za Hynkiem Ptaczkiem z Pirkstajnu i Janem Kolda z Zampachu. Kto tu komesa Spytka z Melsztyna stronnikiem, a kto biskupa Olesnickiego partyzantem. Wcale mi nie teskno do bicia, a przecie wiem, że oberwe, bom już razy kilka obrywał. Jak to, pytacie? A tak to: jeśli rzekne, że w czasach, o których bajam, dzielni Czechowie husyci tego skroili kurte Niemcom, w pył i proch rozbiwszy trzy kolejne papieżnickie krucjaty, ino patrzec, jak weźmie po łbie od jednych. A powiem, że wówczas w bitwach pod Witkowem, Wyszehradem, Zatem i Niemieckim Brodem zwyciężyli heretycy krzyżowców z pomocą diabła, weźmie mnie drudzy i odcwiczą. Tedy milczec mi wolej, a jeśli i co rzec, to z bezstronnością sprawozdawcy - sprawę zdać, jak to mówią, *sine ira et studio*, krótko, chłodno, rzeczowo i komentarza żadnego od siebie nie dobawiając.

Tak i krótko tedy powiem: jesienią roku 1420 odmówił król polski Jogajła przyjęcia korony czeskiej, która mu husyci snębili. Umyslono w Krakowie, że koronę tę weźmie litewski *dux* Witold, któremu zawsze się królować chciało. Aby jednak króla rzymskiego Zygmunta nie papieża nie drażnić nadmiernie,

poslano do Czech bratanka Witolda, Zygmunta, syna Korybutowego. Korybutowicz na czele pieciu tysiecy rycerzy polskich stanal w Zlotej Pradze w roku 1422, na swietego Stanislawia. Ale juz wedle Trzech Króli roku nastepnego ksiazatko na Litwe powrócic musialo - tak pieklili sie o te czeska sukcesje Luksemburczyk i Odo Colonna, wonzas Ojciec Swiety Marcin V. I co powiecie? Juz w 1424, we wigilie Nawiedzenia Marii byl Korybutowicz w Pradze z powrotem. Tym razem juz wbrew Jogajle i Witoldowi, wbrew papiezowi, wbrew rzymskiemu królowi. Znaczy, jako wywołaniec i banita. Na czele podobnych sobie wywołanców i banitów. I juz nie w tysiacie, jak wprzódy, lecz w setki jeno sie liczacych.

W Pradze zas przewrót, jak Saturn, pozeral wlasne dzieci, a stronnictwo zmagalo sie ze stronnictwem. Jana z Zeliwa, scietego w poniedzialek po niedzieli *Remiscere* roku 1422, juz w maju tegoz roku oplakiwano we wszystkich kosciołach jako meczennika. Hardo tez postawila sie Zlota Praga Taborowi, ale tu trafila kosa na kamien. Znaczy, na Jana Zizke, wielkiego wojennika. W roku Panskim 1424, dnia drugiego po czerwcowych nonach, pod Maleszowem, nad rzeczka Bohynka, straszna dal Zizka prazanom nauczke. Duzo, oj, duzo bylo po tej bitwie w Pradze wdów i sierot.

Kto wie, moze to wlasnie lzy sieroce sprawily, ze malo co potem, we srode przed Gawlem, pomarl w Przybyslawiu blisko morawskiej granicy Jan Zizka z Trocnowa, a później z Kalicha. A pogrzebiono go w Hradcu Kralove i tam lezy. I tak jak wprzódy jedni plakali przez niego, teraz drudzy plakali po nim. Ze ich osierocil. Dlatego nazwali sie Sierotkami...

Ale to przecie wszyscy pamietacie. Bo to calkiem niedawne czasy. A takie sie wydaja... historyczne.

Wiecie zas, cni panowie, po czym poznac, ze czas jest historyczny? A po tym, ze dzieje sie duzo i szybko.

A wówczas dzialo sie bardzo duzo i bardzo szybko.

Konca swiata, jak sie rzeklo, nie bylo. Choc wiele wskazywalo, ze nastapi. Nastaly przecie - rychtyk jak chcialy prorocstwa - wielkie wojny i wielkie kleski dla ludu chrzescijanskiego i wielu mezów zginelo. Wydawalo sie, sam Bóg chce, by nastanie nowego porzadku poprzedzila zaglada starego. Wydawalo sie, ze blizy sie Apokalipsa. Ze Bestia Dziesiecioroga wychodzi z Czelusci. Ze Jezdców Czterech straszliwych tylko patrzec wsród dymów pozarów i pół skrwawionych. Ze juz-juz, a zagrzmia traby i zlamane zostana pieciece. Ze runie ogien z niebios. Ze spadnie Gwiazda Piolun na trzecia czesc rzek i na źródla wód. Ze czlek oszalaly, gdy slad stopy drugiego na pogorzeliu zoczy, slad ten bedzie calowal ze lzami.

Strasznie bylo nieraz, ze az, z przeproszeniem wielmozných panów, dupa cierpla.

Grozny byl to czas. Zly. I jesli wola panów, o nim opowiem. Ot, by nude zabic, nim slota, co nas tu w karczmie trzyma, ustanie.

Opowiem, jesli wola, o tamtym czasie. O ludziach, co podówczas zyli, i o takich, co podówczas zyli, ale ludzmi nie byli bynajmniej. Opowiem o tym, jak i jedni, i drudzy zmagali sie z tym, co im ten czas przyniósl. Z losem. I z samymi soba.

Zaczyna sie ta historia mile i lubo, mglo i czulo - przyjemnym, rzewliwym kochaniem. Ale niechaj was to, mili panowie, nie zwiedzie.

Niechaj was to nie zwiedzie.

Rozdział pierwszy

w którym czytelnik ma okazja poznać Reinmara z Bielawy, zwanego Reynevanem, i to od razu z kilku jego najlepszych stron, wliczając w to biegłą znajomość *ars amandi*, arkanów jazdy konnej i Starego Testamentu, niekoniecznie w tej kolejności. Rozdział mówi także o Burgundii - traktowanej równie wąsko, jak szeroko.

Przez otwarte okno izdebki, na tle ciemnego jeszcze po niedawnej burzy nieba, widac było trzy wieże - ratuszowa, najbliższa, dalej smukła, polyskująca w słońcu nowiutka czerwona dachówka wieże kościoła świętego Jana Ewangelisty, za nią zaś okrągły stół książęcego zamku. Wokół wieży kościoła smigały jaskółki, spłoszone niedawnym biciem dzwonów. Dzwony nie były już od ładnych chwil parę, ale przesycone ozonem powietrze wciąż jeszcze zdawało się wibrować ich dźwiękiem.

Dzwony całkiem niedawno były też z wież kościołów Najświętszej Marii Panny i Bożego Ciała. Wieże te nie były jednak widoczne z okienka izdebki na poddaszu drewnianego budynku, niczym jaskółcze gniazdo przylepione do kompleksu hospicjum i klasztoru augustianów.

Była pora seksty. Mnisi zaczęli *Deus in adiutorium*. A Reinmar z Bielawy, zwany przez przyjaciół Reynevanem, pocałował spocony obojczyk Adeli von Stercza, wyzwolił się z jej objęć i leżał obok, dysząc, na poscieli gorącej od miłości.

Zza muru, od strony ulicy Klasztornej dolatywały krzyki, turkot wozów, głuchy łomot pustych beczek, śpiewny brzęk cynowych i miedzianych naczyń. Była środa, dzień targowy, jak zwykle ściągający do Olesnicy mnóstwo kupców i kupujących.

Memento, salutis Auctor

quod nostri quondam corporis,

ex illibata virgine

nascendo, formam sumpseris.

Maria mater gratiae,

mater misericordiae,

tu nos ab hoste protege,

et hora mortis suscipe... [\[1.\]](#)

Juz spiewaja hymn, pomyslal Reynevan, rozleniwionym ruchem obejmujac Adele, pochodzaca z dalekiej Burgundii zone rycerza Gelfrada von Stercza. Juz hymn. Nie do wiary, jak predko przemijaja chwile szczescia. Chcialoby sie, by trwaly wiecznie, a one przemijaja niczym sen jaki ulotny...

- Reynevan...*Mon amour* ... Mój boski chlopcze... - Adela drapiecznie i zachlannie przerwala jego senna zadume. Tez byla swiadoma uplywu czasu, ale najwyrazniej nie myslala trwoniec go na filozoficzne rozważania.

Adela byla calkiem, zupelnie, najzupelniej naga.

Co kraj, to obyczaj, myslal Reynevan, jakzez ciekawym jest poznawanie swiata i ludzi. Slazaczki i Niemki, przykladowo, gdy przyjdzie co do czego, nigdy nie pozwalaja podciagnac sobie koszuli wyzej niz do pepka. Polki i Czeszki podciagaja same i chetnie, powyzej piersi, ale za nic w swiecie nie zdejmaja calkiem. A Burgundki, o, te momentalnie zrzucaja wszystko, ich goraca krew podczas milosnych uniesien nie znosi widac na skórze ani szmatki. Ach, cóz za radosc poznawac swiat. Piekna musi byc kraina Burgundia. Piekny byc musi tamtejszy krajobraz. Góry strzeliste... Pagórki strome... Doliny...

- Ach, aaach,*mon amour* - jeczala Adela von Stercza, Ignac do dloni Reynevana calym swym burgundzkim krajobrazem.

Reynevan, nawiasem mówiac, miał dwadzieścia trzy lata i swiata poznal raczej niewiele. Znal bardzo malo Czeszek, jeszcze mniej Slazaczek i Niemek, jedna Polke, jedna Cyganke - a jesli szlo o inne narodowosci, to tylko raz dostal kosza od Wegierki. Jego eksperiencje erotyczne w poczet imponujacych zaliczone nie mogly byc wiec zadna miara, ba, byly, szczerze powiedziawszy, dosc mizerne, zarówno ilosciowo jak i jakosciowo. Ale i tak wbily go w pyche i zadufanie. Reynevan - jak kazdy buzujacy testosteronem mlodziak - mial sie za wielkiego uwodziciela i milosnego eksperta, przed którym ród niewiesci nie ma zadnych tajemnic. Prawda jednak byla taka, ze dotychczasowe jedenascie schadzek z Adela von Stercza nauczily Reynevana wiecej *oars amandi* niz cale trzyletnie studia w Pradze. Reynevan nie polapal sie jednak, ze to Adela uczy jego - pewien byl, ze w grze jest tu jego samorodny talent.

Ad te levavi oculos meos

qui habitas in caelis

Ecce sicut oculi servorum

ad manum dominorum suorum.

Sicut oculi ancillae in manibus dominae suae

ita oculi nostri ad Dominum Deum nostrum,

Donec misereatur nostri

Miserere nostri Domine...[\[2.\]](#)

Adela chwyciła Reynevana za kark i pociągnęła na siebie. Reynevan, uchwyciwszy to, co należało, kochał ją. Kochał mocno i zapamiętał i - jakby tego było mało - szeptał jej do ucha zapewnienia o miłości. Był szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy.

* * *

Szczęście, którym właśnie się upajał, Reynevan zawdzięczał - pośrednio, ma się rozumieć - świętem Panskim. Bo to było tak:

Czując skruche za jakies grzechy, znane tylko jemu i jego spowiednikowi, slaski rycerz Gelfrad von Stercza wybrał się na pac pokutną do grobu świętego Jakuba. Ale w drodze zmienił plany. Uznał, że do Compostelli jest zdecydowanie za daleko, a ponieważ święty Idzi też sroce spod ogona nie wyleciał, tedy pielgrzymka do Saint-Gilles wystarczy w zupełności. Ale do Saint-Gilles nie było Gelfradowi dane dotrzeć również. Dojechał tylko do Dijon, gdzie trafem poznał szesnastoletnią Burgundkę, przesliczną Adele de Beauvoisin. Adela, która Gelfrada zauroczyła z kretesem, była sierota, miała dwóch braci hulaków i lekkoduchów, którzy bez mrugnienia okiem wydali siostrę za slaskiego rycerza. Choć w mniemaniu braci Śląsk leżał gdzieś między Tygrysem a Eufratem, Stercza był w ich oczach idealnym szwagrem, nie wyklócał się bowiem zanadto w sprawie posagu. Tym to sposobem Burgundka trafiła do Heinrichsdorfu, wsi pod Ziebicami, która Gelfrad dzierzył jako nadanie. W Ziebicach zaś, już jako Adela von Stercza, wpadła w oko Reynevanowi z Bielawy. Z wzajemnością.

- Aaaach! - krzyknęła Adela von Stercza, zaplatając nogi na plecach Reynevana. - Aaaaaaaach!

Nigdy w życiu nie doszłoby do tego achania, wszystko skończyłoby się na rzucanych spojrzeniach i ukradkowych gestach, gdyby nie trzeci święty, Jerzy mianowicie. Na Jerzego bowiem Gelfrad von Stercza, podobnie jak reszta krzyżowców, klął się i przysięgał, dołączając we wrześniu roku 1422 do którejś tam z rzedu krucjaty antyhusyckiej, organizowanej przez kurfirsta brandenburskiego i margrabiów Misni. Krzyżowcy wielkich sukcesów wtedy na swe konto nie zapisali - weszli do Czech i bardzo szybko stamtąd wyszli, walki z husytami nie ryzykując w ogóle. Ale choć walk nie było, ofiary były - jedna z nich okazał się Gelfrad właśnie, który niezwykle groźnie złamał nogę przy upadku z konia i obecnie, jak wynikało ze słanych do rodziny listów, nadal kurował się gdzieś w Pleissenlandzie. Adela zaś, słomiana wdowa, mieszkająca w tym czasie właśnie u rodziny meza w Bierutowic, mogła bez przeszkód schodzić się z Reynevanem w izdebce w kompleksie olesnickiego klasztoru augustianów, niedaleko szpitala, przy którym Reynevan miał swą pracownię.

* * *

Mnisi w kościele Bożego Ciała zaczęli śpiewać drugi z trzech przewidzianych na sekste psalmów. Trzeba się pośpieszyć, pomyślał Reynevan. Przy *capitulum*, a najdalej przy *Kyrie*, ani chwili po, Adela musi zniknąć z terenu hospicjum. Nikt nie powinien jej tu zobaczyć.

Benedictus Dominus

qui non dedit nos

in captionem dentibus eorum.

Anima nostra sicut passer erepta est

de laqueo venantium...

Reynevan pocałował Adele w biodro, potem zaś, natchniony mnisim śpiewem, mocno nabral powietrza w płuca i zagłębił się w kwiaty henny i nardu, w szafran, w wonna trzcine i cynamon, w mirre i aloes, i we wszelkie drzewa żywiczne. Adela, wypreziona, wyprostowała ręce i wpila mu palce we włosy, łagodnymi ruchami bioder wspierając jego biblijne inicjatywy.

- Och, ooooooch....*Mon amour ...Mon magicien ...* Boski chłopcze... Czarodzieju...

Qui confidunt in Domino, sicut mons Sion

non commovebitur in aeternum,

qui habitat in Hierusalem...

Juz trzeci psalm, pomyślał Reynevan. Jakżeż ulotne są chwile szczęścia...

-*Revertere* - zamruczał, klekając. - Obróć się, obróć, Szulamitko.

Adela obróciła się, uklekla i pochyliła, chwytając mocno lipowych desek wezgielowa i prezentując Reynevanowi całe olsniewające piękno swego rewersu. Afrodyta Kallipygos, pomyślał, zbliżając się do niej. Antyczne skojarzenie i erotyczny widok sprawiły, że zbliżał się niczym dopiero co wspomniany święty Jerzy, szarżujący z nastawioną kopią na smoka z Syleny. Klecząc za Adela jak król Salomon za tronem z drzewa libańskiego, uchwycił ją oburącz za winnice Engaddi.

- Do klaczy w zaprzęgu faraona - wyszeptał, schylony nad jej karkiem, kształtnym jak wieża Dawida - porównam cię, przyjaciółko moja.

I porównał. Adela krzyknęła przez zacisnięte zęby. Reynevan wolno przesunął dłonie wzdłuż jej mokrych od potu boków, wspiał się na palme i pochwycił galazki jej owocem brzemienne. Burgundka odrzuciła głowę jak klacz przed skokiem przez przeszkodę.

Quia non relinquet

Dominus virgam peccatorum,

super sortem iustorum

ut non extendant iusti

ad iniquitatem manus suas...

Piersi Adeli skakały pod dłoń Reynevana jak dwoje kozłat, bliźniat gazeli. Podłożył drugą dłoń pod jej gaj granatów.

-*Duo... ubera tua* - jeczal -*sicut duo... hinuli capreae gemelli... qui pascuntur... in liliis... Umbilicus tuus crater... tornatilis numquam... indigens poculis... Venter tuus... sicut aceruus... tritici uallatus liliis...*

- Ach... aaaach... aaach... - kontrapunktowała nie znająca łaciny Burgundka.

Gloria Patri, et Filio et Spiritui sancto.

Sicut erat in principio, et nunc, et semper

et in saecula saeculorum, Amen.

Alleluia!

Mnisi śpiewali. A Reynevan, całując kark Adeli von Stercza, zapamiętały, oszalały, biec przez góry, skacząc po pagórkach, *saliens in montibus, transiliens colles*, był dla kochanki niczym młody jelen na górach balsamowych. *Super montes aromatum*.

* * *

Uderzone drzwi otwarły się z hukiem i impetem, i to takim, że wyrwany z odrzwi skobel wyleciał przez okno jak meteor. Adela wrzasnęła cicho i przeraźliwie. A do izdebki wpadli bracia von Stercza. Z miejsca dało się miarkować, że nie była to wizyta przyjacielska.

Reynevan stoczył się z łóżka, odgradzony nim od intruzów porwał swe ubranie i jechał pośpiesznie wdziewać. Udało mu się to w znacznej mierze, ale tylko dlatego, że frontalny atak bracia Sterczowie zwrócili ku bratowej.

- Ty dziwko! - zaryczał Morold von Stercza, wywlekając naga Adele z pościeli. - Ty wstretna dziwko!

- Ty gamratko rozwiązała! - zawtórował Wittich, jego starszy brat. Zasn Wolfher, najstarszy po Gelfradzie, nie otworzył nawet ust, blada wściekłość odebrała mu mowę. Z rozmachem uderzył Adele w twarz. Burgundka wrzasnęła. Wolfher poprawił, tym razem na odlew.

- Nie waz sie jej bic, Stercza! - zakrzyчал Reynevan, a glos lamal mu sie i dygotal z poplochu i paralizujacego uczucia bezsily, powodowanych przez na wpól wciagniete spodnie. - Nie waz sie, slyszysz?

Okrzyk wywarl skutek, choc nie calkiem zamierzony. Wolfher i Wittich, zapominajac na chwile o niewiernej bratowej, przyskoczyli do Reynevana. Na chlopca zwalil sie grad uderzen i kopniaków. Skulil sie pod ciosami, miast bronil sie czy zaslaniac, uparcie wciagal spodnie - jak gdyby nie byly to spodnie wcale, lecz jakas magiczna, zdolna zabezpieczyc i uchronic od ran zbroja, jakis zaklety pancerz Astolfa czy Amadisa z Walii. Katem oka dostrzegl, jak Wittich dobywa noza. Adela wrzasnela.

- Zostaw - warknal na brata Wolfher. - Nie tu!

Reynevan zdolal uniesc sie na kolana. Wittich, rozjuszony, z biala az z wscieklosci twarzy, doskoczyli i walnal go piescia, ciskajac znowu o podloge. Adela zakrzyчала swidrujaco, krzyk urwal sie, gdy Morold uderzyl ja w twarz i targnal za wlosy.

- Nie wazcie sie... - wyjeczal Reynevan - ...jej bic, lajdacy!

- Ty psi synu! - wrzasnal Wittich. - Poczekaj no!

Przyskoczyli, uderzyl, kopnal raz, drugi. Przy trzecim Wolfher powstrzymal go.

- Nie tu - powtórzyl spokojnie, a byl to spokój zlowrogi - Na podwórzec z nim. Zabieramy go do Bierutowa. Te dziwke tez.

- Jestem niewinna! - zawyla Adela von Stercza. - On mnie zauroczyl! Oczarowal! To czarownik! *Le sorcier! Le diab...*

Morold ucial slowo, stlumil je uderzeniem.

- Zamilcz, pocpiego - warknal. - Jeszcze damy ci sposobnosc pokrzyczec. Zaczekaj jeno malosc.

- Nie wazcie sie jej bic! - wrzasnal Reynevan.

- Tobie tez - dorzucil ze swym groznym spokojem Wolfher - damy sposobnosc pokrzyczec, kogutku. Nuze, na dwór z nim.

Droga z poddasza wiodla po dosc stromych schodach. Bracia von Stercza stracili z owych Reynevana, chlopiec spadl na podest, druzgocac soba czesc drewnianej balustradki. Nim zdolal sie uniesc, zlapali go znowu i zrzucili wprost na podwórzec, na piach udekorowany parujacymi kupami konskiego nawozu.

- Prosze, prosze, prosze - powiedzial trzymajacy konie Niklas Stercza, najmłodszy z braci, wyrostek zaledwie. - Któz to nam tu spadl? Bylbyz to Reinmar Bielau?

- Oczytany madrala Bielau - parsknal stajac nad gramolacym sie z piachu Reynevanem Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem, kmostr i familiant Sterczów. - Wyszczekany madrala Bielau!

- Poeta zafajdana - dodal Dieter Haxt, kolejny przyjaciel rodziny. - Abelard jeden!

- A zeby mu udowodnic, ze i my ocytani - powiedzial schodzacy ze schodów Wolfher - to mu sie zrobi to samo, co Abelardowi, złapanemu u Heloizy. Kropka w kropke to samo. Co, Bielawa? Jak ci sie

usmiecha byc kaplonem?

- Chedoz sie, Stercza.

- Co? Co? - choc wydawalo sie to niemozliwe, Wolfher Stercza zbladl jeszcze bardziej. - Kogutek jeszcze osmiela sie rozwierac dziobek? Osmiela sie piac? Daj mi bykowiec, Jencz!

- Nie smiej go bic! - zupełnie niespodziewanie rozdarla sie sprowadzana po schodach Adela, ubrana juz, acz niekompletnie. - Nie odwaz sie! Bo po wszystkich rozglosze, jakis ty! Zes sie sam do mnie zalecal, obmacywal i do rozpusty namawial! Za brata plecami! Zes mi zemste przyrzekl, gdym cie precz przegnala! Dlategos teraz taki... Taki...

Zabraklo jej niemieckiego slowa, przez co cala tyrade diabli wzeli. Wolfher zasmial sie tylko.

- Juzci! - zakpil. - Bedzie to kto sluchal Francuzicy, kurwy wszetecznej. Bykowiec, Puchacz!

Na podwórku zaczernilo sie nagle od augustianskich habitów.

- Co tu sie dzieje? - krzyknal sedziwy przeor Erazm Steinkeller, chudy i bardzo pozólkly staruszek. - Cóz czynicie, chrzescijanie?

- Poszli won! - zaryczal Wolfher, strzelajac z bykowca. - Won, golone paly, won, do brewiarza, do modlitwy! Nie mieszac sie do spraw rycerskich, bo bieda wam bedzie, czarnuchy!

- Panie - przeor zlozyl pokryte brunatnymi plamami dlonie - wybacz im, albowiem nie wiedza, co czynia. *In nomine Patris, et Filii...*

- Morold, Wittich! - wrzasnal Wolfher. - Dawac tu gamratke! Jencz, Dieter, w peta gaszka!

- A moze - wykrzywil sie milczacy dotad Stefan Rotkirch, kolejny przyjaciel domu - za koniem go krzynke powlóczym?

- Moze byc. Ale wpierw go ocwicze!

Zamierzyl sie na wciaz lezacego Reynevana biczem, ale nie uderzyl, chwycony za reke przez brata Innocentego. Brat Innocenty byl slusznego wzrostu i postury, co znac bylo nawet mimo pokornego mniszego przygarbienia. Jego chwyt unieruchomil reke Wolfhera niczym zelazna kluba.

Stercza zaklal sprosnie, wyszarpnal sie i z moca pchnal zakonnika. Ale z równym powodzeniem mógł pchnac stolb olesnickiego zamku. Brat Innocenty, przezywany przez konfratrów „bratem Insolentym”, nawet nie drgnal. Sam natomiast zrewanzowal sie pchnieciem, które cisnelo Wolfherem przez pół podwórza i zwalilo na kupe obornika.

Przez moment panowala cisza. A potem wszyscy rzucili sie na wielkiego mnicha. Puchacz, pierwszy, który doskoczyl, dostal w zeby i pokulal sie po piasku. Morold Stercza, walniety w ucho, podreptal w bok z blednym wzrokiem. Reszta oblazla augustianina jak mrówki. Wielka postac w czarnym habicie zupełnie znikla pod ciosami i kopniakami. Brat Insolenty, choc tego bity, rewanzowal sie jednak równie tego i zupełnie nie po chrzescijansku, calkiem, ale to calkiem wbrew pokornej regule swietego Augustyna.

Na ten widok zdenerwowal sie staruszek przeor. Poczzerwienial jak wisnia, zaryczal jak lew i rzucil sie w

bitewna gestwe, razac na prawo i lewo srogimi ciosami palisandrowego krucyfiks.

-*Pax!* - wrzeszczał, bijąc. -*Pax! Vobiscum!* Miluj bliźniego! Swego!*Proximum tuum! Sicut te ipsum!*
Skurwysyny!

Dieter Haxt kropnął go piestem. Staruszek nakrył się nogami, jego sandały wyfrunęły w górę, opisując w powietrzu malownicze trajektorie. Augustianie podnieśli krzyk, kilku zaś nie wytrzymało i runęło w bój. Na podwórku zakotłowało się nie na żarty.

Wypchnięty z zametu Wolfher Stercza dobył kordy i wywinał nim - groziło, że poleje się krew. Ale Reynevan, który zdolał już wstać, zderzył go w potylicę trzonkiem podniesionego z ziemi bykowca. Stercza złapał się za głowę i obrócił, wtedy Reynevan z rozmachem chlasnął go batem przez twarz, Wolfher upadł. Reynevan rzucił się do koni.

- Adela! Tutaj! Do mnie!

Adela nawet nie drgnęła, a malująca się na jej twarzy obojętność zadziwiała. Reynevan wskoczył na siodło. Kon zarżał i zatoczył.

- Adeelaaaa!

Morold, Wittich, Haxt i Puchacz już biegli ku niemu. Reynevan obrócił konia, gwizdnął przesywając i runął w galop, prosto w furte.

- Za nim! - zaryczał Wolfher Stercza. - Na kon i za nim!

Pierwszą myślą Reynevana było uciekać w stronę bramy Mariackiej i dalej, za miasto, w Spalickie Łasy. Ulica Krowia okazała się jednak w kierunku bramy kompletnie zapełniona wozami, popędzani i płoszeni krzykiem obcy koń wykazał nadto mnóstwo własnej inicjatywy, w rezultacie której, zanim tak na dobre zorientował się w sprawie, Reynevan mknął już cwałem w stronę rynku, rozbrzuszając błoto i rozpraszając przechodniów. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że pogon ma na karku. Słyszał dudnienie kopyt, rzenie koni, dzikie ryki Sterczów i wściekłe wrzaski potracanych ludzi.

Uderzył konia pięcią w słabiznę, w cwał zaważył i obalił niosącego kosz piekarza, chleby, buły i rogalę gradem poleciały w błoto, w które za chwilę wgniotły je podkowy koni Sterczów. Reynevan nie obejrzał się nawet, bardziej niż to, co za nim, interesowało go, co przed nim, a przed nim rósł w oczach wózek z piętrowym wysokim chrustem. Wózek tarasował niemal całą uliczkę, a w miejscu, którego nie tarasował, kucąca grupka półnagich dzieci, zajętych wygrzebywaniem z gnoju czegoś niezwykle interesującego.

- Mamy cie, Bielau! - zaryczał z tyłu Wolfher Stercza, też widząc, co na drodze.

Kon rwał tak, że nie było mowy o wstrzymaniu go. Reynevan przywarł do grzywy i zamknął oczy. Dzięki temu nie widział, jak półnagie dzieciaki rozprysnęły się z szybkością i gracją szczurów. Nie obejrzał się, nie widział więc również, jak ciągnący wózek z chrustem chłop w baranicy obrócił się, ogłupiał nieco, obracając zarazem dyszel i wózek. Nie widział też tego, jak na obrócony wózek wpadli Sterczowie. Ani tego, jak Jencz Knobelsdorf wyfrunął z siodła i zmiotł sobą połowę wiezionego na wózku chrustu.

Reynevan przecwałował Świętojanską, między ratuszem a domem burmistrza, w pełnym pedzie wpadł na ogromny olesnicki rynek. Problem polegał na tym, że rynek, choć ogromny, roił się od ludzi. I

rozpetalo sie pandemonium. Biorac kierunek na poludniowa pierzeje i widoczny nad nia pekaty czworobok wiezy nad Brama Olawska, Reynevan galopowal wsród ludzi, koni, wolów, swin, wozów i straganów, zostawiajac za soba pobojojwisko. Ludzie wrzeszczeli, wyli i kleli, bydlo ryczalo, nierogaczna kwiczala, przewracaly sie kramy i lawki, z których gradem lecialy dokola najrozmaitsze przedmioty garnki, miski, cebry, motyki, ozogi, rybackie wiecierze, owcze skóry, filcowe czapki, lipowe lyzki, lojowe swiece, laptce z lyka i gliniane kogutki z gwizdawka. Deszczem sypaly sie tez wokół produkty spozywcze - jaja, sery, wypieki, groch, kasza, marchew, rzepa, cebula, nawet zywe raki. Latalo w oblokach pierza i darlo sie na różne glosy najrozmaitsze ptactwo. Wciaz siedzacy na karku Reynevana Sterczowie dopelniali dzieła zniszczenia.

Sploszony przelatujaca mu tuz przed nosem gesia kon Reynevana szarpnal sie i wpadl na stragan z rybami, druzgoczac skrzynki i wywalajac beczki. Rozsierdzony rybak z rozmachem walnal kaszorkiem, chybiajac Reynevana, ale trafiajac w zad konia. Kon zarzal i rzucil sie w bok, przewracajac przenosny kram z nicmi i tasiemkami, przez kilka sekund tanczyl w miejscu, taplajac sie w srebrzystej i smierdzącej masie ploci, leszczy i karasi, pomieszanych z feeria kolorowych szpulek. Reynevan nie spadl jedynie cudem. Katem oka dostrzegl, jak handlarka nici biegnie ku niemu z wielkim toporem, Bóg jeden tylko wie, do czego sluzacym w nicianym handlu. Wyplul przyklejone do warg gesie pierze, opanowal konia i pogalopowal w uliczke Rzeznicza, skad, jak wiedzial, do Bramy Olawskiej bylo juz tuz-tuz.

- Jaja ci urwe, Bielawa! - ryczal z tylu Wolfher Stercza. - Urwe i do gardzieli wtlocze!

- Caluj mnie w rzyc!

Scigajacych bylo juz tylko czterech - Rotkircha sciagneli z konia i turbowali wlasnie rozjuszeni rynkowi przekupnie.

Reynevan pomknal jak strzala szpalerem wiszacych za nogi tusz. Rzeznicy uskakiwali w poplochu, ale i tak obalil jednego, niosacego na ramieniu wielki wolowy udziec. Obalony runal wraz z udzecem pod kopyta konia Witticha, kon sploszyl sie i stanal deba, z tylu wpadl na niego kon Wolfhera. Wittich zlecial z kulbaki wprost na rzeznicza lade, nosem w watroby, plucka i cynadry, z góry spadl na niego Wolfher. Stopa uwiezla mu w strzemieniu, nim sie wyzwolil, rozwalil soba spora czesc jatek i po uszy utyltal w blocie i jusze.

Reynevan szybko i w ostatniej chwili schylil sie na konski kark, mieszczac sie tym samym pod drewnianym szyldem z wymalowanym lbem prosiaka. Nastepujacy mu na piety Dieter Haxt nie zdazyl sie schylic. Decha z konterfektem radosnie usmiechnietej swinki walnela go w czolo, az sie rozleglo. Dieter wylecial z kulbaki, runal na kupe odpadków, ploszac koty. Reynevan obejrzal sie. Scigal go juz tylko Niklas.

W pelnym galopie wypadl z zaułka rzezników na placyk, na którym pracowali garbarze. A gdy wprost przed nosem wyról mu nagle obwieszony mokrymi skórami stelaz, poderwal konia i zmusil go do skoku. Kon skoczyl. A Reynevan nie spadl. Znowu cudem.

Niklas nie mial tyle szczescia. Jego kon wryl sie przed stelazem i staranowal go, slizgajac sie w blocie, skrawkach miesa i tlustych ochlapach. Najmlodszy Stercza fiknal przez konski leb. Bardzo, ale to bardzo pechowo. Pachwina i brzuchem wprost na pozostawiona przez garbarzy kose do mizdrowania.

Początkowo Niklas w ogóle nie pojal tego, co sie stalo. Zerwal sie z ziemi, dopadl konia, dopiero gdy wierzchowiec zachrapal i odstapil, ugiely sie pod nim i zlamaly kolana. Nadal niezbyt wiedzac, co sie dzieje, najmlodszy Stercza pojechal po blocie za cofajacym sie i chrapiacym panicznie koniem. Wreszcie puscil wodze i spróbowal wstac. Zorientowal sie, ze cos jest nie tak, spojrzal na swój brzuch. I

zakrzyczal.

Kleczal posród szybko rosnacej kaluzy krwi.

Nadjechał Dieter Haxt, wstrzymał konia, zeskoczył z siodła. To samo zrobili po chwili Wolfher i Wittich Sterczowie.

Niklas usiadł ciężko. Spojrzał znowu na swój brzuch. Krzyknął, a potem rozplakał się. Oczy zaczęły zachodzić mu mgła - Chlustająca z niego krew mieszała się z krwią zarzniętych tu rankiem wołów i wieprzy.

- Niklaaaaas!

Niklas Stercza zakaszlał, zachlęsnał się. I umarł.

- Już nie żyjesz, Reynevanie Bielau! - zaryczał w kierunku bramy błady z wściekłości Wolfher Stercza. - Dopadnę cię, zabiję, zniszczę, wygubię wraz z całym twym zmijowym rodem! Wraz z całym twym zmijowym rodem, słyszysz?

Reynevan nie słyszał. Wśród łomotu podków o dyle mostu wyjeżdżał właśnie z Olesnicy i walił na południe, wprost na wrocławski trakt.

Rozdział drugi

w którym czytelnik dowiadyuje się o Reynevanie jeszcze więcej, a to z rozmów, jakie o nim wioda różni ludzie, tak życzliwi, jak i wprost przeciwnie. W tym czasie sam Reynevan blaka się po podolesnickich lasach. Opisu tego blakania autor czytelnikowi skąpi, toteż czytelnik, *nolens volens*, musi sam je sobie wyobrazić.

- Siadajcie, siadajcie za stół, panowie - zaprosił rajców Bartłomiej Sachs, burmistrz Olesnicy. - Co kazac podac? Z win, szczerze rzekłszy, nie mam niczego, czym bym mógł zaimponować. Lecz piwo, oho, dziś mi wprost ze Swidnicy dowieziono, przedni lezak, pierwszego waru, z głębokiej zimnej piwniczki.

- Piwa tedy, piwa, panie Bartłomiej - zatarł dłonie Jan Hofrichter, jeden z bogatszych kupców miasta. - Nasz to trunek, piwo, winem niechaj szlachta i różni panowie trzewia sobie kwasza... Z przeproszeniem waszej wielbności...

- Nic to - uśmiechnął się ksiądz Jakub von Gall, proboszcz od świętego Jana Ewangelisty. - Jam już nie szlachcic, jam pleban. A pleban, jak z samej nazwy zgadniesz, zawsze z ludem, tedy i mnie piwem gardzić nie przystoi. A napić się mogę, bo nieszpór odprawiony.

Siedli za stołem, w wielkiej, niskiej, surowo bielonej ratuszowej sali, zwykłym miejscu obrad magistratu. Burmistrz na swym zwykłym krześle, plecami do komina, ksiądz Gall obok, twarzą ku oknu. Naprzeciw siadł Hofrichter, obok niego Lukasz Frydman, wzięty i majetny złotnik, w swym modnie wатовanym wamsie i aksamitnym rondlecie na ufryzowanej głowie wyglądający iscie jak szlachcic. Burmistrz odchrząknął, nie czekając na służbę z piwem, rozpoczął.

- I cóż to mamy? - przemówił, splatając dłonie na wydatnym brzuchu. - Cóż to zafundować nam raczyli w naszym grodzie szlachetni pasowani panowie rycerze? Bijatyka u augustianów. Konne, tego tam, gonitwy ulicami miasta. Tumult na rynku, kilku poturbowanych, w tym jedno dziecko poważnie. Poniszczony dobytek, zmarnowany towar. Znaczne straty, tego tam, materialne, do odwieczera niemal pchali mi się *tumercatores et institores* z zadaniami odszkodowan. Zaprawdę, powinienem odsyłać ich z pretensjami do panów Sterczów, do Bierutowa, Lednej i Sterzendorfu,

- Lepiej nie - poradził sucho Jan Hofrichter. - Choc i jam zdania, że panowie rycerze ostatnio ponad miarę się nam rozwydrzyli, nie lża zapominać ni o sprawy przyczynach, ni o skutkach owej. Skutkiem zaś, skutkiem tragicznym, jest śmierć młodego Niklasa de Stercza. A przyczyna: wszeteczeństwo i rozpusta. Sterczowie bronili honoru brata, gonili za gaszką, co bratowa uwiódł, skalal łozę malzeńskie. Prawda, że w zapale przesadzili owsinek...

Kupiec umilkł pod znaczącym spojrzeniem księdza Jakuba. Bo gdy ksiądz Jakub sygnalizował spojrzeniem chęć wypowiedzenia się, milkł nawet sam burmistrz. Jakub Gall był nie tylko proboszczem miejskiej fary, ale zarazem sekretarzem księcia olesnickiego Konrada i kanonikiem w kapitule katedry wrocławskiej.

- Cudzołóstwo jest grzechem - przemówił ksiądz, prostując za stołem swą chudą postać. - Cudzołóstwo jest też przestępstwem. Ale za grzechy karze Bóg, a za przestępstwa prawo. Samosadów zaś i mordów nie usprawiedliwia nic.

- O to, to - wpadł w *credo* burmistrz, ale zaraz umilkł i poświęcił się piwu, które właśnie podano.

- Niklas Stercza, co nas boli wielce - dodał ksiądz Gall - zginął tragicznie, ale wskutek nieszczęśliwego wypadku. Ale gdyby Wolfher z kompanią dopadli Reinmara de Bielau, mielibyśmy w naszej jurysdykcji do czynienia z zabójstwem. Nie wiada zresztą, czy nie będziemy mieli. Przypominam, że przeor Steinkeller, dotkliwie pobity przez Sterczów światobliwy starzec, leży bez ducha u augustianów. Jeśli z tego pobicia zemrze, będzie problem. Dla Sterczów właśnie.

- Względem zaś przestępstwa cudzołóstwa - złotnik Lukasz Frydman przyjrzał się pierścieniom na swych wypielegnowanych palcach - to zważcie, panowie szanowni, że nie nasza to wcale jurysdykcja. Choc w Olesnicy miała miejsce rozpusta, delikwenci nie nam podlegają. Gelfrad Stercza, zdradzony małzonek, jest wasalem księcia ziebickiego. Podobnie uwodziciel, młody medyk Reinmar de Bielau...

- U nas się zdarzyła rozpusta i u nas było przestępstwo - rzekł twardo Hofrichter. - I to nieblahe, jeśli temu wierzyć, co małżonka Sterczowa u augustianów wyznała. Ze ja medykus czarami omamili i czarnoksięstwem do grzechu przywiódł. Przymusił niechcaca.

- Wszystkie tak mówią - zahuczał z wnętrza kufła burmistrz.

- Zwłaszcza - dodał bez emocji złotnik - kiedy im nóż do gardła przykładają ktoś pokroju Wolfhera de Stercza. Dobrze powiedział wielebny ojciec Jakub, że cudzołóstwo to przestępstwo, *crimen*, a jako takie wymaga śledztwa i sadu. Nie chcemy tu rodowych wrózd ani bitew na ulicach, nie dopuszczymy, by rozbestwieni pankowie podnosili tu reke na duchownych, wywijali nożami i tratowali ludzi na placach. W

Swidnicy za to, że platnerza uderzył i kordem groził, poszedł do wieży jeden z Pannewitzów. I tak ma być. Nie mogą wrócić czasy rycerskiej samowoli. Sprawa musi trafić przed księcia.

- Tym bardziej - potwierdził kiwnięciem głowy burmistrz - że Reinmar z Bielawy to szlachcic, a Adela Sterczowa to szlachcianka. Jego nie możemy wychłostać ani jej jak byłe gamratki z miasta wyswiecić. Sprawa musi iść przed księcia.

- Spiesz się z tym nie należy - ocenił, patrząc w sufit, proboszcz Jakub Gall. - Książę Konrad wyjeżdża do Wrocławia, przed wyjazdem bez liku spraw ma na głowie. Plotki, jak to plotki, zapewne już do niego dotarły, ale nie czas, by plotki te uoficjalnić. Dość będzie sprawę księciu przedłożyć, gdy wróci. Do tego czasu wiele samo może się rozwiązać.

- Też tak uważam - kiwnął znowu głową Bartłomiej Sachs.

- I ja - dodał złotnik.

Jan Hofrichter poprawił kuni kolpak, zdmuchnął pianę z kufla.

- Księcia - orzekł - informować póki co nie stoi, zaczekamy, aż wróci, w tym zgadzam się z wami, szanowni. Ale Święte Oficjum powiadomić mus nam. I to szybko. O tym, coś u medykusa w pracowni znaleźli. Nie krećcie głowa, panie Bartłomieju, nie róbcie min, cny panie Lukasz. A wy, wielebny, nie wzdychajcie i nie liczcie much na powale. Tak mi do tego pilno jako i wam, tak samo pragnę tu Inkwizycji jak i wy. Ale przy otwarciu pracowni było wiele osób. A gdzie jest wiele osób, tam zawsze, wielce odkrywcy chyba nie będą, przynajmniej jeden się znajdzie taki, co Inkwizycji donosi. A gdy się zjawi w Olesnicy wizytator, nas pierwszych zapyta, czemuśmy zwlekali.

- Ja zaś - proboszcz Gall oderwał wzrok od sufitu - zwłokę wyjaśnię. Ja, osobście. Bo moja to fara i na mnie spoczywa obowiązek informowania biskupa i inkwizytora papieskiego. Do mnie też należy ocena, czy zaistniały okoliczności, wzywaniem i trudem kurii i Oficjum uzasadniające.

- Czarownictwo, o którym wydzierała się u augustianów Adela Sterczowa, okolicznością nie jest? Pracownia nie jest? Alchemiczny alembik i pentagram na podłodze nie są? Mandragora? Trupie czaszki, trupie ręce? Kryształy i zwierciadła? Butle i flakony diabli wiedzą z jakim plugastwem czy jadem? Zaby i jaszczurki w słojach? Okolicznościami nie są?

- Nie są. Inkwizytorzy to ludzie poważni. Ich rzecz *toinquisitio de articulis fidei*. Nie są babskie bajania, zabobony i zaby, tymi ani myślę zwracać im głowy.

- A księgi? Te, które tutaj leżą?

- Księgi - odrzekł spokojnie Jakub Gall - należy wpięrcz przestudiować. Wnikliwie i bez pośpiechu. Święte Oficjum nie zabrania czytania. Ani posiadania ksiąg.

- We Wrocławiu - rzekł ponuro Hofrichter - dopiero co dwóch poszło na stos. Wiść głosi, że za posiadane księgi własnie.

- Bynajmniej nie za księgi - zaprzeczył sucho proboszcz - lecz za kontumację, za harda odmowę wyparcia się gloszonych treści, w księgach owych zawartych. Wśród których były pisma Wiklefa i Husa, lollardzki „Floretu”, artykuły praskie i liczne inne husyckie libelle i manifesty. Czegos podobnego nie widzę tu, wśród ksiąg zarekwirowanych w pracowni Reinmara z Bielawy. Widzę tu niemal wyłącznie dzieła medyczne. Będzie zresztą w większości, lub w całości nawet, własnością *scriptorium* klasztoru

augustianów.

- Powtarzam - Jan Hofrichter wstał, podszedł do wyłożonych na stole ksiąg. - Powtarzam, wcale mi się nie pali ani do biskupiej, ani do papieskiej inkwizycji, na nikogo donosić nie chce i nikogo widzieć skwierczającym na stoście. Ale tu i o nasze zadki idzie. By i nas o te księgi nie oskarżono. A cóż tu mamy? Prócz Galena, Pliniusza i Strabona? Saladinus de Asculo, *Compendium aromatorium*. Scribonius Largus, *Compositiones medicamentorum*. Bartolomeus Anglicus, *De proprietatibus rerum*, Albertus Magnus, *De vegetalibus et plantis* ... Magnus, ha, przydomek iscie godny czarownika. A tu, proszę bardzo, Sabur ben Sahl... Abu Bekr al-Razi... Poganie! Saraceni!

- Tych Saracenów - wyjaśnił spokojnie, oglądając swe pierscienie, Lukasz Frydman - wyklada się na chrześcijańskich uniwersytetach. Jako medyczne autorytety. A wasz czarownik to Albert Wielki, biskup Ratyzbony, uczonego teolog.

- Tak powiadacie? Hmm... Spójrzmy dalej... O! *Causae et curae*, napisane przez Hildegardę z Bingen. Pewnie czarownica, ta Hildegarda!

- Nie bardzo - uśmiechnął się ksiądz Gall. - Hildegarda z Bingen, prorokini, zwana Sybilla Renska. Zmarła w aurze świętości.

- Ha. Ale jeśli tak twierdzicie... A cóż to jest? John Gerard, *Generall... Historie... of Plantes...* Ciekawe, po jakiemu to, po żydowsku chyba. Ale to pewnie kolejny jaki święty. Tu zaś mamy *Herbarius*, przez Thomasa de Bohemia...

- Jak powiedzieliście? - uniósł głowę ksiądz Jakub. - Tomasza Czecha?

- Tak tu stoi.

- Pokażcie. Hmm... Ciekawe, ciekawe... Wszystko, jak się okazuje, zostaje w rodzinie. I wokół rodziny się kreci.

- Jakiej rodziny?

- Tak rodzinnej - Lukasz Frydman nadal zdawał się interesować wyłącznie swymi pierscieniami - ze bardziej nie można. Tomasz Czech, czyli Behem, autor tego Herbariusa, to pradziad naszego Reinmara, amatora cudzych żon, który tyle nam narobił zamieszania i kłopotów.

- Tomasz Behem, Tomasz Behem - zmarszczył czoło burmistrz. - Zwany też Tomaszem Medykem. Słyszałem. Był druhem któregoś z książąt... Nie pamiętam...

- Księcia Henryka VI Wroclawskiego - pośpieszył ze spokojnym wyjaśnieniem złotnik Frydman. - Faktycznie był ów Tomasz jego przyjacielem. Wybitny był to ponoć uczonego, zdolny lekarz. Studiował w Padwie, w Salerno i Montpellier...

- Mówili też - wtracił Hofrichter, już od paru chwil kiwnięciami głowy potwierdzający, że również sobie przypominał - że był czarownikiem i kacerzem.

- Przyczepiłeś się, panie Janie - skrzywił się burmistrz - do tego czarownictwa jako pijawka. Darujże sobie.

- Tomasz Behem - pouczył surowym z lekką glosem proboszcz - był duchownym. Kanonikiem

wrocławskim, potem nawet sufraganem diecezji. I tytularnym biskupem Sarepty. Znal osobiscie papieza Benedykta XII.

- O owym papiezu tez różnie mówiono - nie myslal rezygnowac Hofrichter. - A zdarzalo sie carownictwo i miedzy infulatami. Inkwizytor Schwenckefeld, za jego czasu...

- Ostawciez to wreszcie - ucial ksiadz Jakub. - Co innego nas tu zajmowac winno.

- W samej rzeczy - potwierdzil zlotnik. - Ja akurat wiem, co Ksiaze Henryk nie mial meskiego potomka, mial tylko trzy córki. Z najmlodsza, Malgorzata, nasz ksiadz Tomasz pozwolil sobie na romans.

- Ksiaze do tego dopuscil? Az taka byla to przyjazn?

- Ksiaze nie zyl juz wówczas - wyjasnil znowu zlotnik. - Ksiezna Anna zas albo nie widziala, co sie swieci, albo widziec nie chciala. Tomasz Behem nie byl jeszcze wówczas biskupem, ale byl w znakomitej komitywie z reszta Slaska: z Henrykiem Wiernym na Glogowie, Kazimierzem na Cieszynie i Frysztacie, Bolkiem Malym swidnicko-jaworskim, Wladyslawem bytomsko-kozielskim, Ludwikiem z Brzegu. Bo tez i wyobrazcie sobie, panowie, ktos, kto nie tylko ze bywa w Awinionie u Ojca Swietego, ale jeszcze potrafi usunac kamienie moczowe tak zrecznie, ze pacjent nie dosc, ze po operacji ma jeszcze kuske, to owa nawet mu staje. Jesli nawet nie codziennie, to jednak. Choc moze i brzmi to jak krotochwila, ja bynajmniej nie zartuje. Powszechnie sie mniema, ze to dzieki Tomaszowi do dzis mamy jeszcze Piastów na Slasku. Pomagal bowiem z równa wprawa mezczyznom, jak i kobietom. A takze parom, jesli panowie rozumieja, co mam na mysli.

- Boje sie - rzekl burmistrz - ze nie.

- Potrafil pomóc stadlu, któremu nie wiodlo sie w loznicy. Teraz rozumiecie?

- Teraz tak - kiwnal glowa Jan Hofrichter. - Znaczy sie wroclawska ksiezniczke przechedozyl tez pewnie wedle medycznej sztuki. Naturalnie bylo z tego dziecko.

- Naturalnie - potwierdzil ksiadz Jakub. - Sprawe zalatwiono zwykla moda. Malgorzate zamknieto u klarysek, dzieciak trafil do Olesnicy, do ksiecia Konrada. Konrad wychowywal go jak syna. Tomasz Behem stawal sie coraz wieksza figura, wszedzie, na Slasku, w Pradze u cesarza Karola IV, w Awinionie, dlatego chlopak kariere mial zapewniona juz w dzieciństwie. Kariere duchowna, ma sie rozumiec. Zalezna od tego, jakim wykaze sie rozumem. Bylby glupi, dostalby wiejska fare. Bylby srednio glupi, zrobiono by go opatem gdzies u cystersów. Bylby madry, czekala na niego kapitula którejs z kolegiat.

- Jaki sie okazal?

- Nieglupi. Przystojny jak ojciec. I waleczny. Zanim ktokolwiek zdolal cos przedsiewziac, przyszly ksiadz juz bil sie z Wielkopolanami u boku mlodszeo ksiecia, przyszeo Konrada Starego. Bil sie tak dzielnie, ze nie bylo wyjscia, pasowano go na rycerza. Z nadaniem. Tym to sposobem umarl ksiezyk Tymo, niech zyje ritter Tymo Behem z Bielawy, von Bielau. Rycerz Tymo, który wkrótce niezle sie skoligacil, poslubiajac najmlodsza córke Heidenreicha Nostitza.

- Nostitz dal córke kleszemu bekartowi?

- Klecha, rodzic bekartu, zostal tymczasem wroclawskim sufraganem i biskupem Sarepty, znal sie z Ojcem Swietym, doradzal Waclawowi IV i byl za pan brat ze wszystkimi ksiazetami Slaska. Stary

Heidenreich zapewne sam i ochotnie snębil mu córeczke.

- To możliwe.

- Ze związku Nostitzówny z Tymonem de Bielau zrodzili się Henryk i Tomasz. W Henryku odezwała się widac krew dziada, bo został księdzem, odbył studia w Pradze i do śmierci, całkiem niedawnej, był scholastykiem u Świętego Krzyża we Wrocławiu. Tomasz zaś pojął Boguszkę, córkę Mikszy z Prochowic i splodził z nią dwoje dzieci. Piotra, zwanego Peterlinem, i Reinmara, zwanego Reynevanem. Peterlin, czyli Pietruszka, i Reynevan, czyli Wrotycz. Takie warzywno-ziolowe cognomeny, pojęcia nie mam, sami sobie je wydumali czy to fantazja ojca. Ów zaś, jeśli już przy nim jesteśmy, poległ pod Tannenbergiem.

- Po czyjej stronie?

- Po naszej, chrześcijańskiej.

Jan Hofrichter pokiwał głową, lyknał z kufła.

- A ów Reinmar-Reynevan, zwykły dobierac się do cudzych żon... Kim on jest u augustianów? Oblatem? Konwersem? Nowicjuszem?

- Reinmar Bielau - uśmiechnął się ksiądz Jakub - jest medykiem, szkolonym w Pradze, na Uniwersytecie Karola. Jeszcze przed studiami chłopiec uczył się w szkole katedralnej we Wrocławiu, potem poznawał arkana zielarstwa u aptekarzy świdnickich i u duchaków w hospicjum brzeskim. To właśnie duchacy i stryj Henryk, scholastyk wrocławski, umieścili go u naszych augustianów, w leczeniu ziołami wyspecjalizowanych. Chłopak uczciwie i z sercem, dowodząc powołania, popracował dla szpitala i leprozorium. Potem, jak się rzekło, studiował medycynę w Pradze, też zresztą za protekcją stryja i za pieniądze, jakie stryj miał z kanonii. Na studiach przykładał się widac, bo już po dwóch latach był bakalarzem sztuk, *artium baccalaureus*. Z Pragi wyjechał zaraz po... Hmm...

- Zaraz po defenestracji - nie bał się dokonać burmistrz. - Co jawnie pokazuje, że nic go z husycką, tego tam, herezja nie łączy.

- Nic go z nią nie łączy - potwierdził spokojnie złotnik Frydman. - Wiem to dobrze od syna, który w tym czasie również w Pradze studiował.

- Bardzo dobrze też się stało - dodał burmistrz Sachs - że Reynevan na Śląsk powrócił, i dobrze, że do nas, do Olesnicy, nie zaś do księstwa ziebickiego, gdzie brat jego u księcia Jana rycersko służy. To dobry chłopak i rozumny, choć młody, a w leczeniu ziołami tak zmyslny, że mało podobnych znajdziesz. Żonie mojej czyraki, co się jej na, tego tam, ciele pojawiły, wyleczył, córkę zaś z kaszlu ustawicznego uzdrowił. Mnie na oczy, co mi ropiały, dał odwar, przeszło, jak reka odjął...

Burmistrz zamilkł, zachrzakał, wsunął dłoń w obszyte futrem rekawy delii. Jan Hofrichter popatrzył nań bystro.

- Tym sposobem - oświadczył - nareszcie przejasniło mi się w głowie. Z owym Reynevanem. Już wszystko wiem. Choć bekarcia moda, ale krew piastowska. Syn biskupi. Ulubieniec księcia. Krewniak Nostitzów. Synowiec scholastyka wrocławskiej kolegiaty. Dla synów bogaczy kompanion ze studiów. Do tego, jakby nie dosyć, wzięty medyk, niemal cudotwórca, umiejący zaskarżyć sobie wdzięczność możnych. A z czegoż to was wyleczył, wielbny ojciec Jakubie? Z jakiej, ciekawości, przypadku?

- Przypadlosci - rzekl zimno proboszcz - to zaden temat do debat. Powiedzmy wiec bez detali, ze wyleczył.

- Kogos takiego - dodal burmistrz - nie warto tracic. Zal dac takiemu zginac w rodowej wrózdzie dlatego jeno, ze zapomnial sie dla pary pieknych, tego tam, oczu. Niechze sluzyc spolecznosci. Niechze leczy, skoro umie...

- Nawet - parsknal Hofrichter - z wykorzystaniem pentagramu na podlodze?

- Jesli leczy - rzekl powaznie ksiadz Gall - jesli pomaga, jesli usmierza bóle, to nawet. Takie zdolnosci to dar bozy, Pan obdarza nimi wedle Swej woli i wedle Sobie jeno znanego zamiaru. *Spiritus flat, ubi vult*, nie nam dróg Jego dociekac.

- Amen - podsumowal burmistrz.

- Krótko mówiac - nie rezygnowal Hofrichter - ktos taki jak Reynevan winny byc nie moze? O to idzie? He?

- Kto jest bez winy - odrzekl z kamienna twarza Jakub Gall - niechaj pierwszy rzuci kamieniem. A Bóg nas wszystkich osadzi.

Przez chwile panowala cisza, tak gleboka, ze dalo sie slyszec szelest skrzydelek ciem, tlukacych sie u okien. Z ulicy Swietojanskiej dobieglo przeciagle i spiewne zawolanie straznika miejskiego.

- Tak tedy, reasumujac - burmistrz wyprostowal sie za stołem tak, ze wparl sie wen brzuchem - tumultu w grodzie naszym Olesnicy winni sa bracia Sterczowie. Szkód materialnych i obrazen cielesnych na rynku powstalych winni sa Sterczowie. Zdrowia utraty, a nie daj Boze smierci jego wielebnosci przeora Steinkellera winni sa bracia Sterczowie. Oni i tylko oni. To zas, co przydarzylo sie Niklasowi von Stercza, bylo nieszczesliwym, tego tam, wypadkiem. Tak ksieciu rzecz przedstawim, jeno wróci. Jest zgoda?

- Jest zgoda.

- *Consensus omnium* .

- *Concordi voce* .

- A gdyby sie gdzie Reynevan objawil - dodal po chwili milczenia proboszcz Gall - doradzam pojmac go cichcem i zamknac. Tu, w naszym ratuszowym karcerku. Dla jego wlasnego bezpieczenstwa. Dopokad sprawa nie ucichnie.

- Dobrze by bylo - dorzucil, ogladajac swe pierscienie, Lukasz Frydman - zrobic to szybko. Zanim o calej aferze dowie sie Tammo Stercza.

* * *

Wychodzac z ratusza wprost w mrok ulicy Swietojanskiej, kupiec Hofrichter katem oka zlowil ruch na oswietlonej ksiezycem scianie wiezy, przesuwajacy sie niewyraźny kształt, nieco ponizej okien miejskiego trebacza, a powyzej okien komnaty, w której dopiero co skonczyla sie rada. Spojrzal, oslaniajac oczy

przed przeszkadzającym światłem niesionej przez pacholka latarni. Ki diabeł, pomysł i zaraz się przezegnal. Cóż to tam lazi po murze? Puchacz? Sowa? Nietoperz? A może...

Jan Hofrichter wzdygnął się, przezegnal znowu, aż na uszy wcisnął kuni kolpak, otulił szubę i szparko ruszył w stronę domu.

Nie widział więc, jak wielki pomurnik rozpostarł skrzydła, sfrunął z parapetu i bezszelestnie, jak duch, jak nocny upiór poszybował nad dachami miasta.

* * *

Apeczko Stercza, pan na Lednej, nie lubił bywać na zamku Sterzendorf. Powód był jeden i to prosty - Sterzendorf był siedzibą Tammona von Stercza, głowy, seniora i patriarchy rodu. Względnie, jak mówili niektórzy - tyrana, despoty i dreczyciela.

W komnacie było duszno. I ciemno. Tammo von Stercza nie pozwalał otwierać okien w obawie, by go nie zawiało, okiennice też musiały stać zamknięte, bo światło raziło oczy kaleki.

Apeczko był głodny. I zakurzony po podróży. Ale nie było czasu ani na posiłek, ani na ochłodzenie. Stary Stercza nie lubił czekać. Nie zwykł też częstować gości. Zwłaszcza rodziny.

Apeczko lyktał wtedy slinę, by zwilżyć gardło - niczego do picia nie podano mu, rzecz jasna - i relacjonował Tammonowi olesnickie wydarzenia. Robił to niechętnie, ale cóż, mus. Kaleka czy nie, paralityk czy nie, Tammo był seniorem rodu. Seniorem nie tolerującym nieposłuszeństwa.

Starzec słuchał relacji, rozparty na krześle w zwykłej dla siebie, niewiarygodnie koslawej pozycji. Stary pokrecony piernik, pomyślał Apeczko. Cholerny połamany dziadyga. [\[3.\]](#)

Przyczyny stanu, w jakim znajdował się patriarcha rodu Sterczów, nie do końca i nie wszystkim były znane. Zgoda panowała co do jednego - Tammona trafił szlag, albowiem Tammo się wściekł. Jedni twierdzili, że starzec wściekł się na wieść, że jego osobisty wróg, zniechęcony ksiądz wrocławski Konrad otrzymał sakrę biskupią i stał się najpotężniejszą osobistością Śląska. Jeszcze inni zapewniali, że feralny wybuch spowodowała tesciowa, Anna z Pogorzeli, przypaliwszy Tammonowi jego ulubione danie - kaszę gryczaną ze skwarkami. Jak tam było naprawdę, nie odgadnąć, rezultat jednak był widomy i nie do przeczenia. Stercza po wypadku mógł poruszać - niezdarnie zresztą - tylko lewą ręką i lewą stopą. Prawą powiekę miał opadniętą zawsze, spod lewej, którą czasami podnieść zdołał, cięgiem wypływały śluzowate łzy, a z kącika przykurczonych w koszmarny grymas ust ciekła ślina. Wypadek spowodował też zupełną niemal utratę mowy, stąd wziął się przydomek starca - Balbulus. Jaką - belkotacz.

Utrata zdolności mówienia nie pociągnęła jednak za sobą tego, na co liczyła cała rodzina - utraty kontaktu ze światem. O, nie. Pan na Sterzendorfie nadal trzymał ród w garści i był postrachem wszystkich, a to, co miał do powiedzenia, mówił. Zawsze miał bowiem na podrebrzu kogoś, kto potrafił zrozumieć i przelożyć na ludzki język jego gulgoty, charkoty, belkoty i krzyki. Tym kims było z reguły dziecko - któreś z licznych wnucząt lub prawnucząt Balbulusa.

Teraz tłumaczka była dziesięcioletnia Ofka von Baruth, która siedząc u nóg starca, stroiła lalkę w strzępki kolorowych szmatek.

- Tak tedy - Apeczko Stercza skonczył opowiadać i odchrzaknawszy, przeszedł do konkluzji - Wolfher przez poslanca prosił uwiadomić, że ze sprawa upora się rychło. Ze Reinmar Bielau będzie schwytany na trakcie wrocławskim i poniesie karę. Teraz jednak rece ma Wolfher związane, bo traktem podróżuje książę olesnicki z całym dworem i różne ważne duchowne osoby, tedy nie ma jak... Nie ma jak posciugu wieść. Ale Wolfher przysięga, że złapie Reynevana. Ze można mu zawierzyć honor rodu.

Powieka Balbulusa podskoczyła, z ust wyciekła struzka sliny.

- Bbbhh-bhh-bhh-bhubhu-bhhuaha-rrhhha-phhh-aaa-rrh! - rozległo się w izbie. - Bbb... hrrrh-urrrhh-bhuuh! Guggu-ggu...

- Wolfher jest pieprzonym kretynem - przelożyła cieniutkim i melodyjnym głosikiem Ofka von Baruth. - Głupkiem, któremu nie zawierzyłbym nawet wiadra rzygowin. A jedyne, co on zdolen złapać, to jego własny kutas.

- Ojcie...

- Bbb... brrrh! Bhrrhuu-phr-rrrhhh!

- Milczec - przelożyła, nie unosząc głowy, zajęta lalka Ofka. - Słuchac, co powiem. Co rozkaze.

Apeczko cierpliwie przeczekał charkoty i skrzeki, doczekał się przekładu.

- Ustalic kazesz wpierw, Apecz - rozkazywał Tammo Stercza ustami dziewczynki - która to baba z Bierutowa miała poruczony dozór nad Burgundka. Która to nie polapała się w prawdziwym celu tych dobroczynnych wycieczek do Olesnicy. Względnie była w zмовie z gamratka. Babie trzydziści piec odlewanych różeg. Na gola rzyć. Tu u mnie, na moich oczach. Niech mam choć te trochę radości.

Apeczko Stercza kiwnął głową. Balbulus kaszlnął, zacharczał i opluł się cały. Potem wykrzywił upiornie i zagegał.

- Burgundke zas - przelożyła Ofka, czesząc małym zgrzebelkiem pakulowe włosy lalki - o której już wiem, że schroniła się u ligockich cysterek, nakazuje wydobyć stamtąd, choćby trzeba było brać klasztor szturmem. Potem zamknąć nierządnicę u mnichów nam przychylnych, przykładowo w...

Tammo raptownie przestał jakac się i gulgotac, rzezenie zamarło mu w gardle. Wiercony przekrwionym okiem Apeczko zrozumiał, że starzec zauważył jego zakłopotaną minę. Ze polapał się. Nie można było dłużej ukrywać prawdy.

- Burgundka - wyjąkał - zdolala umknac z Ligoty. Cichcem... Nie wieciec dokad. Zajeci poscigiem... Nie upilnowali... smy.

- Ciekawe - przelożyła Ofka po długiej chwili ciężkiej ciszy - ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie dziwi. Ale skoro tak, to niech i tak będzie. Nie bede sobie kurwa głowy zaprzatał. Niech te sprawę załatwi Gelfrad, gdy wróci. Niech załatwi sprawę własnorecznie. Mnie jego rogi nie obchodza. W tej rodzinie to nic nowego zreszta. Mnie samego zdrowo musiano uwienczyć. Bo nie może być, by to z moich własnych ledzwi zrodzili się tacy durnie.

Balbulus przez kilka chwil kaszlnął, charczwał i krztusił się. Ale Ofka nie przekładała, nie była to wiec mowa, ale kaszel zwykły. Wreszcie starzec zarzeził, nabral tchu, wykrzywił jak demon i wałnal kosturem o podłogę, po czym dziko zagulgotal. Ofka przysłuchiwała się, włożywszy do buzi koniec warkocza.

- Ale Niklas - przelozyla - byl nadzieja tego rodu. Prawdziwa moja krew, krew Sterczów, nie jakimis popluczynami po diabli wiedza jakich kundlich koneksjach. Nie moze wiec byc, by za jego przelana krew morderca nie zaplacil. I to z nawiązka.

Tammo znowu lomotal kosturem o podloge. Kij wypadl mu z trzesacej sie dloni. Pan na Sterzendorfie kaszlnal i kichnal, opluwajac sie i osmarkujac. Stojaca obok Hrozwita von Baruth, córka Balbulusa, matka Ofki, otarla mu brode, podniosla i wcisnela do reki kostur.

- Hgrrrrhhh! Grhhh... Bbb..bhrr... bhrrrrllg...

- Reinmar Bielau zaplaci mi za Niklasa - przekladala beznamiennie Ofka. - Zaplaci, Bóg mi swiadkiem i wszyscy swieci. Wsadze go do lochu, do klatki, do skrzyni takiej jak ta, w której Glogowczycy zamkneli Henryka Grubego, z jedna dziura na pokarm i druga na wprost przeciwnie, tak, by nawet podrapac sie nie zdolal. I potrzymani go tak z pół roku. I dopiero potem zabiore sie za niego. A po oprawce posle az do Magdeburga, bo wybornych tam maja oprawców, nie takich jak ci tu, na Slasku, którym delikwent umiera juz drugiego dnia tortur. O nie, ja sprowadze mistrza, który poswieci mordercy Niklasa tydzien. Albo dwa.

Apeczko Stercza przelknal sline.

- Ale zeby móc to zrobic, nalezy gaszka schwytać. A do tego trzeba glowy. Rozumu. Bo gaszek nie jest glupi. Glupi nie zostalby bakalarzem w Pradze, nie wkradlby sie w laski olesnickich mnichów. I nie zdolalby tak gracko dobrac sie do Gelfradowej Francuzki. Za takim spryciarzem nie wystarczy uganiac sie jak duren po wroclawskim trakcie, na smiech sie podawac. Nadawac sprawie rozglos, który posluzy gaszkowi, nie nam.

Apeczko kiwnal glowa. Ofka spojrzala na niego, pociagnela zadartym noskiem.

- Gaszek - przekladala dalej - ma brata, siedzacego na nadaniu gdzies podle Henrykowa. Jest dosc prawdopodobne, ze tam poszuka schronienia. Moze i juz poszukal. Inny zas Bielau byl, póki zyl, klecha przy wroclawskiej kolegiacie, nie wykluczone wiec, ze lajdak zechce schronic sie u lajdaka. Chcialem rzec, u jego wielebnosci biskupa Konrada. Starego opoja i zlodzieja!

Hrozwita Baruth znów wytarla starcowi brode, osmarkana w gniewie.

- Gaszek ma nadto znajomków u duchaków w Brzegu.

W hospicjum. Tam własnie mógł sie nasz spryciarz udac, by zaskoczyc i zmylic Wolfhera. Co nie jest zreszta trudnym zadaniem. I wreszcie najwazniejsze, nadstaw uszu, Apecz. Pewnym, ze nasz gaszek zechce grac truvera, udawac jakiegos zasranego Lohengrina czy innego Lancelota... Zechce zbliczyc sie do Francuzki. I tam, w Ligocie, najpewniej go dostaniemy, jak pieska u ciekacej suczki.

- Jakze to, w Ligocie? - odwazyl sie Apeczko. - Przecie ona...

- Uciekla, wiem. Ale on nie wie.

Stary pierdola, pomyslal Apeczko, dusze ma jeszcze bardziej pokretna niz cialo. Ale chytry jak lis. A wie, trza oddac mu czesc, duzo. Wszystko.

- Ale do tego, com dopiero byl rzekl - przekladala na jezyk ludzki Ofka - wy mi sie marnie nadajecie,

moi wy synowie i synowcy, krwie, podobno, z krwi i kosci z kosci mojej. Dlatego co tchu udasz sie wpierv do Niemodlina, a pózniej do Ziebic. Tam... Sluchaj dobrze, Apecz. Odnajdziesz Kunza Aulocka, zwanego Kyrielejson. I innych: Waltera de Barby, Sybka z Kobylej glowy, Storka z Gorgowic. Tym rzekniesz, ze Tammo Stercza placi tysiac zlotych renskich za zywego Reinmara von Bielau. Tysiac, zapamietaj.

Apeczko przelykal sline przy kazdym nazwisku. Bo byly to nazwiska najgorszych na calym niemal Slasku zbirów i morderców, lotrów bez czci i wiary. Gotowych zamordowac wlasna babke za trzy skojce, a co dopiero za bajeczna sume tysiacu guldenów. Moich guldenów, pomyslal gniewnie Apeczko. Bo to moja winna byc scheda, po tym, gdy ten zatracony koslawiec wreszcie strzeli kopytami.

- Pojales, Apecz?

- Tak, ojcze.

- Tedy precz, zabieraj sie stad. Jazda, w droge, wykonac, com rozkazal.

Najpierw, pomyslal Apeczko, w droge do kuchni, gdzie podjem sobie i wypije za dwóch. Ty skapy dziadu. A potem sie zobaczy.

- Apecz.

Apeczko Stercza odwrócił sie. I spojrzal. Ale nie na wykrzywione i nabiegle krwia oblicze Balbulusa, które nie po raz pierwszy wydalo mu sie tu, na Sterzendorfie, czymś nienaturalnym, niepotrzebnym, czymś nie na miejscu. Apeczko spojrzal w wielkie orzechowe oczy malej Ofki. Na Hrozwite, stojaca za krzeslem.

- Tak, ojcze?

- Nie zawiedz nas.

A moze, przemknelo mu przez mysl, to wcale nie on? Moze jego tu juz nie ma, moze na tym krzesle siedzi zewlok, półtrup, któremu paraliz doszczetnie wyzarl juz mózg? Moze to... one? Moze to baby - mlodziuskie, mlode, srednie i stare - rzaadza na Sterzendorfie?

Predko odpiedzil od siebie te niedorzeczna mysl.

- Nie zawiode. Ojcze.

* * *

Apeczko Stercza ani myslal spieszyc sie z wykonaniem rozkazów. Szparko udal sie, pomrukujac gniewnie, do zamkowej kuchni, gdzie kazal podac sobie wszystko, czym rzeczona kuchnia dysponowala. W tej liczbie resztkę jeleniego udzca, tluste swinskie zeberka, wielkie peto krwawej kiszki, kawal obsuszanej praskiej szynki i kilka ugotowanych w rosole golebi. Do tego caly chleb, wielki jak saracenski puklerz. Do tego, ma sie rozumiec, wina, te najlepsze, węgierskie i moldawskie, które Balbulus mial tylko do wlasnego uzytku. Ale paralytyk mógł byc sobie panem w komnacie na górze, poza komnata komu innemu nalezala sie wladza wykonawcza. Poza komnata panem byl Apeczko Stercza.

Apeczko czuł się panem i zaraz po wejściu do kuchni pokazał, że nim jest. Pies zarobił kopniaka i ze skowytami uciekł. Uciekł kot, z gracją schodząc z trasy lotu rzuconej za nim warzachwi. Służące aż przysiadły, gdy o kamienna podłoga z nieopisanym hukiem wyrzuciła zeliwny sagan. Najbardziej opieszala służąca dostała po karku i dowiedziała się, że jest kurewska niedojda. Bardzo różnych rzeczy o sobie i swych rodzicielkach dowiedzieli się też pacholki, a kilku zaznajomiło się z panskim kulakiem, twardym i ciężkim jak lite żelazo. Ten, któremu rozkaz przyniesienia win z pńskiej piwnicy trzeba było powtórzyć, dostał takiego kopa, że w drogę udał się na czworakach.

Krótko potem rozparty za stołem Apeczko - pan Apeczko - załapał i wielkimi łykami, pił na przemian moldawskie i węgierskie wino, po pńsku rzucał na podłogę kości, pluł, bekał i społem lba przyglądał się grubej ochmistrzyni, czekając tylko, aż ta da mu pretekst.

Stary piernik, pierdola, paralytyk, ojcem kaze się zwąć, a jest mi przecie ino stryjkiem, ojcowym bratem. Ale mus to scierpieć. Bo kiedy wreszcie wyciągnie nogi, ja, najstarszy Stercza, zostanie wreszcie głowa rodu. Szcza, jasne, trzeba się będzie podzielić, ale głowa rodu będzie ja. Wszyscy to wiedzą. Nic mi nie przeszkodzi, nic nie może mi w tym...

Przeszkodzić, zaklął półgłosem Apeczko, może mi drażnić z Reynevanem i żona Gelfrada. Przeszkodzić może mi rodowa wróżka, oznaczająca zderzenie z landfrydem. Przeszkodzić może najmowanie zbiorów i morderców. Hałasliwe sciganie, gnojenie w lochu, maltretowanie i torturowanie chłopaka, będącego krewnym Nostitzów i powinowatym Piastów. I lennikiem Jana Ziebickiego. A biskup wrocławski Konrad, który Balbulusa kocha tak samo jak Balbulus jego, tylko czeka na sposobność, by dobrać się Sterczom do rzygi.

Niedobrze, niedobrze, niedobrze.

A wszystkimu, zdecydował nagle Apeczko, dłużyć w zębach, winien jest Reynevan, Reinmar z Bielawy. I za to zapłaci. Ale nie tak, by miało to wzburzyć cały Śląsk. Zapłaci zwyczajnie, po cichu, w ciemności, nożem między zębami. Wtedy, gdy - jak to trafnie odgadł Balbulus - zjawi się tajemnie w Ligocie, w klasztorze cysterek, pod okienkiem swej miłośnicy, Gelfradowej Adeli. Jeden cios nożem, chlup do cysterskiego stawu z karpami. I szta. Jak karpem zasiał.

Z drugiej strony, polecenie Balbulusa całkiem zlekceważyć nie można. Choćby z tego tylko powodu, że Belkotacz zwykł kontrolować wykonywanie swych rozkazów. Zlecać ich wykonanie nie jednej, lecz kilku osobom.

Co tedy czynić, u diaska?

Apeczko z hukiem wbił nóż w blat stołu, jednym zamachem wychylił kubek. Uniósł głowę, napotkał wzrok grubej ochmistrzyni.

- Czego się gapisz? - warknął.

- Stary pan - przemówiła spokojnie ochmistrzyni - sprowadził ostatnimi czasy jeszcze przednie włoskie. Kazać utoczyć, jasne panie?

- Iście - Apeczko uśmiechnął się mimo woli, poczuł, jak spokój kobiety udziela się i jemu. - Iście, proszę, kazać utoczyć, skosztuję, cóż to też tam dojrzało w Italii. Pchnijcie też, proszę, pacholika do czatowni, niechaj mi się tu na jednej nodze stawi taki, który konno dobrze skacze, a i głowę ma na karku. Ktos, kto zdoła posłać doreczyć

- Jak kazecie, jasnie panie.

* * *

Podkowy zalomotały o most, opuszczający Sterzendorf goniec obejrzał się, pomachał swej niewieście, zegnającej go z wału bielutką naleczką. I nagle goniec złowił ruch na oświetlonej księżycem ścianie czatowni, przesuwały się niewyraźny kształt. Ki diabeł, pomyślał, a cóż to tam lazi? Puchacz? Sowa? Nietoperz? A może...

Goniec zamruczał zaklęcie od uroku, splunął do fosy i dał koniowi ostroge. Posłanie, które niósł, było pilne. A pan, który je zlecił, srogi.

Nie widział więc, jak wielki pomurnik rozpostarł skrzydła i bezszelestnie jak duch, jak nocny upiór poszybował nad lasami na zachód, w stronę doliny Widawy.

* * *

Zamek Sensenberg, jak wszyscy wiedzieli, zbudowali templariusze, a nie bez kozery wybrali to właśnie, nie inne miejsce. Wznoszący się nad poszarpanym urwiskiem szczyt góry był w zamierzonych czasach miejscem kultu bogów pogańskich, stała tu kacina, w której, jak głosiły podania, pradawni mieszkańcy tych ziem, Trzebowianie i Bobrzanie, składali swym bożkom ofiary z ludzi. W czasach, gdy po kacinie zostały tylko kregi obłych, omszałych, ukrytych wśród chwastów kamieni, pogański kult szerzył się nadal, na szczycie wciąż płonęły sobótkowe ognie. Jeszcze w 1189 biskup wrocławski Zyrosław srogimi karami groził tym, którzy odwagiliby się świętować na Sensenbergu *festum dyabolicum et maledictum*. Jeszcze sto bez mała lat później biskup Wawrzyniec gnoił w lochach tych, którzy świętowali.

Tymczasem zaś, jak się rzekło, przybyli templariusze. Zbudowali swe śląskie zameczki, groźne i zebate miniatury syryjskich kraków, stawiane pod nadzorem ludzi o głowach omotanych chustami i twarzach ciemnych jak garbowana bycza skóra. Nie mogło być przypadkiem, że na lokalizacje warowni zawsze wybierano święte miejsca pradawnych, ginących w niepamięci kultów - jak Mała Olesnica, Otmęt, Rogów, Habendorf, Fischbach, Peterwitz, Owiesno, Lipa, Braciszowa Góra, Srebrna Góra, Kaltenstein. I oczywiście Sensenberg.

Potem zaś przyszła na templariuszy kryśka. Sprawiedliwie czy nie, spierac się próżno, ale zrobiono z nimi koniec, każdy wie, jak to było. Ich zamki przejęli joannici, rozdrapały je między siebie szybko bogacące się klasztory i szybko wyrastający ślascy magnaci. Niektóre, mimo drzemającej u ich korzeni potęgi, niezwykle szybko obróciły się w ruiny. Ruiny, których unikano, które omijano. Których się bano.

Nie bez powodu.

Mimo szybko postępującej kolonizacji, mimo napływających z Saksonii, Turyngii, Nadrenii i Frankonii głodnych ziemi osadników, góra i zamek Sensenberg nadal otaczał szeroki pas ziemi niczyjej, pustkowie, na które zapuszczał się jedynie klusownik lub zbieg. To od nich właśnie, klusowników i zbiegów, po raz pierwszy zasłyszano opowieści o niesamowitych ptakach, o koszmarnych jeźdźcach, o migających w oknach zamku światłach, o dzikich i okrutnych krzykach i śpiewach, o dobiegającej jak gdyby spod ziemi upiornej muzyce organów.

Byli tacy, co nie wierzyli. Byli i tacy, których necił skarb templariuszy, podobno wciąż leżący gdzieś w podziemiach Sensenbergu. Byli zwyczajni ciekawscy i niespokojne duchy.

Ci nie wracali.

* * *

Tej nocy, gdyby w okolicy Sensenbergu znalazł się jakiś kłusownik, zbieg lub poszukiwacz przygód, góra i zamek dałyby asumpt do kolejnych legend. Zza horyzontu nadciągała burza, niebo co i rusz plonęło światłem dalekich błyskawic, tak dalekich, że nie słychać było nawet pomruku gromów. A czarny na tle rozblaskującego nieba blok zamku zapłonął nagle jaskrawymi ślepiami okien.

Była bowiem wewnątrz pozornej ruiny wielka, wysoko sklepiona sala rycerska. Oswietlające ją świeczniki, kandelabry i płonące w żelaznych obejmach pochodnie wydobywały z mroku freski na surowych murach. Freski przedstawiały sceny rycerskie i religijne. Na stojącym pośrodku sali ogromny okrągły stół patrzył więc Percival, kłęczący przed Graalem, i Mojżesz, znoszący kamienne tablice z góry Synaj. Roland w bitwie pod Albrakka i święty Bonifacy, ginący meczem od fryzyjskich mieczy. Godfryd de Bouillon, wjeżdżający do zdobytej Jerozolimy. I Jezus, pod raz wtóry upadający pod krzyżem. Wszyscy oni patrzyli swymi bizantyjskimi nieco oczami na stół i na zasiadających za stołem rycerzy w pełnych zbrojach i płaszczach z kapturami.

Przez otwarte okno wleciał na fali wiatru wielki pomurnik.

Ptaczatoczył koło, rzucając widmowy cień na freski, usiadł, strząsać pióra, na oparciu jednego z krzesel. Rozwarł dziób i zaskrzeczał, a nim skrzeczenie przebrzmiało, na krześle siedział już nie ptak, ale rycerz. W płaszczu i kapturze, bliźniaczo podobny do pozostałych.

-*Adsumus* - przemówił głucho Pomurnik. - Jesteśmy tu, Panie, zebrani w Twoim imieniu. Przybądź do nas i bądź wśród nas.

-*Adsumus* - powtórzyli jednym głosem zgromadzeni za stołem rycerze. -*Adsumus !Adsumus !*

Echo przebiegło przez zamek jak dudniący grom, jak odgłos dalekiej bitwy, jak gruchot taranu o grodową bramę nisko powoli wśród ciemnych korytarzy.

- Chwała Panu - przemówił Pomurnik, gdy zapadła cisza. - Bliski jest dzień, gdy w prochu legną wszyscy jego wrogowie. Biada im! Dlatego jesteśmy!

-*Adsumus !*

- Opatrzność - Pomurnik uniósł głowę, a jego oczy zalsniły odbitym światłem płomienia - zsyła nam, bracia moi kolejną sposobność, by znowu porazić wrogów Pana i raz jeszcze pogniebić nieprzyjaciół wiary. Nadszedł czas, by zadać kolejny cios! Zapamiętajcie, o bracia, to imię: Reinmar z Bielawy. Reinmar z Bielawy, zwany Reynevanem. Posłuchajcie...

Rycerze w kapturach pochylili się, słuchając. Upadający pod krzyżem Jezus patrzył na nich z fresku, a w jego bizantyjskich oczach był bezmiar bardzo ludzkiego cierpienia.

Rozdział trzeci

w którym mowa o rzeczach tak mało - pozornie - mających ze sobą wspólnego jak polowanie z sokolami, dynastia Piastów, kapusta z grochem i herezja czeska. A także o dyspacie o tym, czy, komu i kiedy należy dotrzymać słowa.

Nad rzeczką Olesniczka, wijąca się wśród czarnych olszowych legów, kęp białych brzoź i zieloniutkich lak, na wzniesieniu, z którego widać było strzechy i dymy wsi Borowa, książę orszak zrobił dłuższy postój. Ale nie po to, by popasać. Wręcz przeciwnie. Po to, by się zmęczyć. Znać, po wielkopolsku rozerwać.

Gdy podjeżdżali, z mokradel zerwały się chmury ptactwa, kaczek, cyranek, głowienek, rożenców, czapli nawet. Na ten widok książę Konrad Kantner, pan na Olesnicy, Trzebnicy, Miliczu, Scinawie, Wolowie i Smogorzewie, a pospół z bratem Konradem Białym także na Kozlu, natychmiast rozkazał orszakowi zatrzymać się i podać sobie ulubione sokoly. Książę maniacko wręcz uwielbiał polowanie z sokolami. Olesnica i ich finanse mogły poczekać, biskup wrocławski mógł poczekać, polityka mogła poczekać, cały Śląsk i cały świat mogły poczekać - na to, by książę mógł zobaczyć, jak jego faworyt Raby drze pierze z krzyżówek, i przekonać się, że Srebrny będzie dzielny w powietrznej walce z czapłą.

Książę cwałował więc po szuwarach i legach jak opętany, a wraz z nim - równie dzielnie, choć trochę z musu - jego najstarsza córka Agnieszka, seneśzał Rudiger Haugwitz i kilku paziów karierowiczów.

Reszta orszaku czekała pod lasem. Nie zsiadając z koni, albowiem nikt nie mógł wiedzieć, kiedy księciu się sprzykry. Zagraniczny gość księcia ziewał dyskretnie. Kapelan mrucał - zapewne modlitwy, komornik liczył - zapewne pieniądze, minnesinger składał - zapewne rymy, niewiasty księżniczki Agnieszki obgadywały - zapewne inne niewiasty, a młodzi rycerze zabijali nudo objeżdżając i penetrując okoliczne zarosła.

- Ciolek!

Henryk Krompusz wrył konia i obrócił nim, zdziwiony mocno, po czym nadstawił uszu, próbując ustalić, który to z krzaków właśnie okrzyknął go z cicha jego własnym familiarnym przydomkiem.

- Ciolek!

- Kto tu? Pokaż się!

Krzaki zaszeleszczyły.

- Święta Jadwigo... - Krompusz ze zdumienia aż otworzył gębę. - Reynevan? To ty?

- Nie, święta Jadwiga - odrzekł Reynevan głosem kwasnym jak agrest w maju. - Ciolek, ja potrzebuję pomocy... Czyj to orszak? Kantnera?

Do Krompusza, nim do owego wreszcie zaczęło docierać, dołączyli dwaj inni olesniccy rycerze.

- Reynevan! - jeknął Jaksa z Wiszni. - Chryste Panie, jak ty wyglądasz!

Ciekawe, pomyślał Reynevan, jak ty byś wyglądał, gdyby ci kon padł zaraz za Bystrem. Gdybyś musiał całą noc blakac się po bagnach i uroczyskach nad Swierzna, a nad ranem zamienić mokre i ubłocone lachy na gwizdnieta z wiejskiego płota siermiego. Ciekawe, jak ty byś po czymś takim wyglądał, wymuskany paniczu.

Przyglądający się im dość ponurym wzrokiem trzeci olesnicki rycerz, Benno Ebersbach, zapewne myślał podobnie.

- Zamiast dziwować się - powiedział sucho - dajcie mu jakieś odzienie. Zdejmuj te lachmany, Bielau. Nuże, panowie, wyciągajcie z juków, co tam który ma.

- Reynevan - do Krompusza nadal słabo dochodziło. - To ty?

Reynevan nie odpowiedział. Wciągnął rzucone mu koszule i kabat. Był tak zły, że aż bliski płaczu.

- Potrzebuję pomocy... - powtórzył. - Nawet bardzo potrzebuje.

- Widzimy i wiemy - potwierdził skinieniem głowy Ebersbach. - I też jesteśmy zdania, że bardzo. Jak najbardziej bardzo. Chodź. Trzeba pokazać ci Haugwitzowi. I księciu.

- On wie?

- Wszyscy wiedzą. O sprawie jest głośno.

* * *

Jesli Konrad Kantner ze swa pociągła twarza, przedłużonym lysina czołem, czarna broda i przenikliwymi oczami mnicha niezbyt przypominał typowego przedstawiciela dynastii, to w przypadku jego córki Agnieszki nie mogło być wątpliwości - niedaleko upadło to jabłuszko od śląsko-mazowieckiej jabłoni. Księżniczka miała płowe włosy, jasne oczy i mały, zadarty, wesół nosok Piastówny, niesmiertelny już słynna rzeźba w katedrze naumburskiej. Agnieszka Kantnerówna, jak szybko obliczył Reynevan, miała około piętnastu lat, musiała więc już być komus zaswatana. Reynevan nie pamiętał plotek.

- Wstan.

Wstał.

- Wiedz - przemówił księciu, wiercąc go ognistym spojrzeniem - że nie pochwalam twego uczynku. Ba, mam go za nieczny, naganny i karygodny. I szczerze doradzam ci skrucie i pokute, Reinmarze Bielau. Mój kapelan zapewnia mnie, że w piekle jest specjalna enklawa dla cudzołozników. Biesy mocno trapią tam grzeszników na narzędziu grzechu. W szczególności nie wejdziesz z uwagi na obecność dziewczęcia.

Seneszał Rudiger Haugwitz parskał gniewnie. Reynevan milczał.

- Jakie zadoscuczynienie dasz Gelfradowi von Stercza - ciagnal Kantner - to juz sprawa twoja i jego. Nie mieszac mi sie do tej rzeczy, zwlaszcza, zescie obaj wasalami nie moimi, ale ksiecia Jana na Ziebicach. I w zasadzie do Ziebic powinienem cie odprawic. Umywszy rece.

Reynevan przelknal sline.

- Ale - podjal ksiaze po chwili dramatycznego milczenia - jam nie Pilat, to raz. Dwa, przez wzglad na twego ojca, który pod Tannenbergiem polozyl zycie u boku mego brata, nie dopuszcze, by zamordowano cie w ramach glupiej rodowej wróždy. Trzy, w ogóle najwyzszy czas, by skonczyc z rodowymi wróždami i zyc jak przystalo na Europejczyków. To tyle. Pozwalam ci podrózowac w moim orszaku chocby i do samego Wroclawia. Ale w oczy mi sie nie pchaj. Bo nie cieszy ich twój widok.

- Wasza ksiazeca....

- Odejdz, powiedzialem.

Polowanie bylo zakonczone definitywnie. Sokoly dostaly kapturki na lby, upolowane kaczki i czaple kruszaly, przytroczone do drabinek wozu, ksiaze byl zadowolony, jego orszak tez, bo zapowiadajaca sie na dluzej gonitwa wcale dlugo nie trwala. Reynevan zlowil kilka wyraźnie wdziecznych spojrzeń - po orszaku zdazylo sie rozniesc, ze to ze wzgledu na niego ksiaze skrócił polowanie i wznovil podróz. Reynevan mial uzasadnione obawy, ze nie tylko to zdazylo sie rozniesc. Uszy mu plonely jak na cenzurowanym.

- Wszyscy - zaburczal do jadacego obok Benno Ebersbacha - wszystko wiedza...

- Wszyscy - potwierdzil wcale nie wesolo olesnicki rycerz. - Ale, na twoje szczescie, nie wszystko.

- He?

- Ty durnia udajesz, Bielau? - spytal Ebersbach, nie podnoszac glosu. - Kantner jak nic przegnalby cie, a moze i odeslal w petach kasztelanowi, gdyby wiedzial, ze w Olesnicy padl trup. Tak, tak, nie wybaluszaj na mnie oczu. Mlody Niklas von Stercza nie zyje. Rogi Gelfrada rogami, ale zabitego brata Sterczowie nie wybacza ci w zyciu.

- Palcem... - powiedzial po serii glebokich oddechów Reynevan. - Palcem nawet nie tknałem Niklasa. Przysiegam.

- Do kompletu - Ebersbach w sposób widoczny nie przejal sie przysiega - piekna Adela oskarzyla cie o czary. O to, zes ja zauroczyl i bezwolna wykorzystal.

- Nawet jesli to prawda - odpowiedzial po malej chwili Reynevan - to zmuszono ja do tego. Grozac smiercia. Przecie maja ja w reku...

- Nie maja - zaprzeczyl Ebersbach. - Od augustianów, u których publicznie oskarzyla cie o czarcie praktyki, piekna Adela uciekla do Ligoty. Za furte klasztoru cysterek.

Reynevan odetchnal z ulga.

- Nie wierze - powtórzyl - w te oskarzenia. Ona mnie kocha. A ja Kocham ja.

- Pieknie.

- A żebyś wiedział, że pięknie.

- Prawdziwie pięknie - spojrzał mu w oczy Ebersbach - zrobiło się wszelakoż, gdy zrewidowali twoją pracownię.

- Ha. Tego się bałem.

- I jakże słusznie. Moim skromnym zdaniem tylko dlatego nie masz już na karku Inkwizycji, że jeszcze nie skończyli inwentaryzować diabelstw, które u ciebie znaleźli. Przed Sterczami Kantner może ci obroni, ale przed Inkwizycją raczej nie. Gdy rozniesie się o tym czarnoksiestwie, sam cię im wyda. Nie jedź z nami do Wrocławia, Reynevan. Odlacz się wcześniej i uciekaj, skryj się gdzieś. Dobrze ci radzę.

Reynevan nie odpowiedział.

- A tak przy okazji - rzucił od niechcienia Ebersbach. - Faktycznie znasz się na magii? Bo ja, widzisz, panne ostatnio poznałem... No... Jakby tu rzec... Przydałby się jakiś eliksir...

Reynevan nie odpowiedział. Od czoła orszaku rozległ się okrzyk.

- Co jest?

- Byków - zgadł Ciolek Krompusz, popędzając konia. - Karczma „Pod Gasiorem”.

- I chwalić Boga - dodał półgłosem Jaks z Wiszni - bom zgłodniał okrutnie przez całe to zaszrane polowanie.

Reynevan i tym razem nie odpowiedział. Dobywające się z jego trzewi przeciągle burczenie było aż nadto wymowne.

Gospoda „Pod Gasiorem” była duża i zapewne znana, sporo było tu bowiem gości, zarówno miejscowych, jak i przyjezdnych, co dało się miarkować po koniach, wozach i krzatających się wokół tychże pacholkach i zbrojnych. Gdy orszak księcia Kantnera z wielkim fasonem i hałasem wjechał na podwórze, karczmarz był już uprzedzony. Wypadł przed wejście jak kula z bombardy, rozganiając drób i rozpryskując gnój. Przestępował z nogi na nogę i gwałcił się w ukłonach.

- Powitać, powitać, Bóg w dom - dyszał. - Jakież to zaszczyt, jakież honor, że wasza jasnie oświecona łaskawość...

- Ludno tu coś dzisiaj - Kantner zsiadł z przytrzymywanego przez pacholków gniadosza. - Kogóż to gościsz? Któż to garnki tu opróżnia? Starczy aby i dla nas?

- Niechybnie starczy, niechybnie - zapewnił karczmarz, z trudem łapiąc oddech. - A już i nie ludno wcale... Scienciaków, goliardów i kmieciów wien wygnalem... ledwo com wasze miłoscie na gościncu zoczył. Wolna całkiem izba ninie, wolny także alkierz, jeno...

- Jeno co? - nastroszył brwi Rudiger Haugwitz.

- W izbie goście. Ważne i duchowne osoby... Posły. Nie śmiałem...

- To i dobrze - przerwał Kantner - że nie śmiales. Mnie byś despekt uczynił i całej Olesnicy, gdybys

smial. Goscie to goscie! A jam Piast, nie saracenski sultan, dla mnie zadna ujma jesc pospolu z goscmi. Prowadzcie, panowie.

W zadymionej nieco i przepelnionej zapachem kapusty izbie faktycznie nie bylo ludno. Po prawdzie, to zajety byl jeden tylko stol, za którym zasiadalo trzech mezczyzn. Wszyscy mieli tonsury. Dwóch nosilo stroj charakterystyczny dla duchownych w podrózy, ale tak bogaty, ze nie mogli to byc zadni zwykli proboszcze. Trzeci mial na sobie habit dominikanina.

Na widok wchodzacego Kantnera duchowni podniesli sie z lawy. Ten, którego stroj byl najbogatszy, uklonil sie, ale bez przesadnej unizonosci.

- Wasza laskawosc ksiaze Konradzie - przemówil, dowodzac dobrego poinformowania - zaiste, zaszczyt to dla nas wielki. Jam jest, za pozwoleniem waszym, Maciej Korzbok, oficjal diecezji poznanskiej, w misji do Wroclawia, do brata waszej ksiazeczej laskawosci, biskupa Konrada, zleconej przez jego przewielebnosc biskupa Andrzeja Laskarza. Oto zas moi towarzysze podrózy, jak i ja z Gniezna do Wroclawia zmierzajacy: pan Melchior Barfuss, wikariusz jego wielebnosci Krzysztofa Rotenhahna, biskupa Lubusza. Oraz wielebny Jan Nejedly z Vysoke, *prior Ordo Praedicatorum*, podrózujacy z misja od krakowskiego prowincjala zakonu.

Brandenburgczyk i dominikanin sklonili tonsury, Konrad Kantner odpowiedzial lekkim ruchem glowy.

- Wasza dostojnosc, wasze wielebnosci - przemówil nosowo. - Milo mi bedzie posilic sie w tak zacnej kompanii. I pogawedzic. Pogawedki zasie, o ile to wielebnych nie znuzy, zazyjemy dosc i tu, i w drodze, albowiem ja tez do Wroclawia jade, z moja córka... Pozwól tu, Anezka... Sklon sie przed slugami Chrystusa.

Ksiezniczka dygnela, pochylila glówke z zamiarem calowania w reke, ale Maciej Korzbok powstrzymal ja, poblogoslalil szybkim znakiem krzyza nad plowa grzywka. Czeski dominikanin zlozyl rece, pochylil kark, zamamrotal krótka modlitwe, dorzucajac cos *oclarissima puella*.

- Oto zas - podjal Kantner - pan seneszal Rudiger Haugwitz. A to moi rycerze i mój gosc...

Reynevan poczul szarpniecie za rekaw. Usluchal gestów i sykniec Krompusza, wyszedl wraz z nim na podwórze, na którym nadal trwal wywolany przyjazdem ksiecia rejwach. Na podwórzu czekal Ebersbach.

- Zasiegnalem jezyka - rzekl. - Byli tu wczoraj. Wolfher Stercza, samoszóst. Wypytalem tez tych Wielkopolan. Sterczowie zatrzymali ich, lecz nie smieli sie narzucac duchownym osobom. Ale widac szukaja cie po wroclawskim goscincu. Uciekalbym na twoim miejscu.

- Kantner - baknal Reynevan - mnie obroni...

Ebersbach wzruszyl ramionami.

- Twoja wola. I twoja skóra. Wolfher bardzo glosno i ze szczególami opowiada, co z toba robi, gdy cie zlapie. Ja, bedac toba...

- Kocham Adele i nie porzuce jej! - wybuchnal Reynevan. - To po pierwsze! A po drugie... To dokad mialbym niby uciekac? Do Polski? Albo na Zmudz moze?

- Calkiem niezla koncepcja. Ta ze Zmudzia, znaczy.

- Zaraza! - Reynevan kopnal krecaca sie u nóg kwoke. - Dobra. Pomysle. I cos wymysle. Ale najpierw cos zjem. Zdycham z glodu, a zapach tej kapusty mnie dobija.

Czas byl najwyzszy, jeszcze moment, a mlodziency obeszliby sie smakiem. Garnki kaszy i kapusty z grochem oraz misy wieprzowych kosci z miesem postawiono na głównym stole, przed ksieciem i ksiezniczka. Naczynia wedrowaly na krance stolów dopiero po tym, gdy nasycili sie nimi siedzacy najblizej Kantnera trzej duchowni, umiejacy, jak sie okazalo, nielicho zjesc. Po drodze byl na domiar zlego umiejacy nie gorzej zjesc Rudiger Haugwitz oraz szerszy w barach nawet od Haugwitza zagraniczny gosc ksiecia, czarnowlosy rycerz o twarzy tak smaglej, jak gdyby dopiero co wrócił byl z Ziemi Swietej. Tym sposobem w misach, które docieraly do nizszych ranga i mlodszych, nie zostawalo niemal nic. Szczesciem, za chwile karczmarz podal ksieciu wielka deske z kaplonami, te zas wygladaly i pachnialy tak smakowicie, ze kapusta i wieprzowa tluszczna stracily nieco na wzeci i dotarly na konce stolów w stanie niemalze nienaruszonym.

Agnieszka Kantnerówna skubala zabkami udko kaplona, starajac sie chronic przed kapiacym tluszczem modnie rozciete rekawy sukni. Mezczyzni rozprawiali o tym i o owym. Kolej przypadla wlasnie na jednego z duchownych, owego dominikanina, Jana Nejedlego z Vysoke.

- Jestem - perorowal wzmiankowany - a raczej bylem przeorem u swietego Klemensa na Starym Miescie praskim. *Item*, mistrzem Uniwersytetu Karola. Ninie zas, jak widzicie, jestem wygnancem na cudzej lasce i cudzym chlebie. Mój klasztor spladrowano, zas w akademii, jak lacno zgadnac mozecie, nie po drodze mi bylo z apostatami i lotrami pokroju Jana Przybrania, Krystiana z Prachatic i Jakubka ze Strzybra, oby ich Bóg pokaral...

- Mamy tu - wpadl w slowo Kantner, lowiac okiem Reynevana - jednego studenta z Pragi. *Scholarus academiae pragensis, artium baccalaureus*.

- Radzilbym w takim razie - oczy dominikanina blysnely znad lyzki - uwazne na niego miec baczenie. Daleki jestem od rzucania oskarzen, ale herezja jest jak sadza, jak smola. Jak lajno! Kto sie w poblizu kreci, ten musi sie powalac.

Reynevan szybko spuscil glowe, czujac, jak znowu krasnieja mu uszy i krew bije na jagody.

- Gdziez tam - zasmial sie ksiaze - naszemu scholarowi do herezji. Toc on z porzadnej rodziny, na ksiedza i medyka sie w praskiej uczelni szkoli. Prawym, Reinmarze?

- Za pozwoleniem laski - Reynevan przelknal - juz sie w Pradze nie szkole. Za rada brata porzucilem Karolinum w roku dziewietnastym, niedlugo po swietych Abdonie i Senie... Znaczy, zaraz po defenes... No, wiecie, kiedy. Teraz mysle, ze moze do Krakowa po nauke spróbuje... Albo do Lipska, dokad wiekszosc praskich mistrzów uszla... Do Czech nie wróce. Dopokad trwaja niepokoje.

- Niepokoje! - z ust podnieconego Czecha wylecialo i osiadlo na szkaplerzu kilka pasemek kapusty. - Ladne słówko, zaiste! Wy tu, w spokojnym kraju, nawet przedstawic sobie nie mozecie, co w Czechach herezja wyrabia, jakich potwornosci nieszczesny kraj ten jest widownia. Podjudzony przez kacerzy, wiklefiatów, waldensów i inne slugi szatana motloch zwrócił swa bezmyslna zlosc przeciw wierze i Kosciolowi. W Czechach niszczy sie Boga i pali Jego swiatynie. Morduje sie slugi boze!

- Wiesci dochodza - potwierdzil, oblizujac palce, Melchior Barfuss, wikariusz biskupa lubuskiego - rzeczywiscie straszne. Wierzyc sie nie chce...

- A mus wierzyć! - krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Jan Nejedlý. - Bo żadna wieść przesadzona nie jest!

Piwo z jego kubka prysnęło, Agnieszka Kantnerówna cofnęła się odruchowo, zasłaniając, jak tarczą, udkiem kapłona.

- Chcecie przykładów? Służę niemi! Masakry zakonników w Czeskim Brodzie i Pomuku, pomordowani cystersi w Zbrasławiu, Velehradzie i Mnichowym Hradiszczu, pomordowani dominikanie w Pisku, benedyktyni w Kladrubach i Postoloprtech, pomordowane niewinne premonstratki w Chotieszowie, pomordowani kapłani w Czeskim Brodzie i Jaromierzu, ograbione i spalone klasztory w Kolinie, Milevsku i Złatej Korunie, zbezczeszczone ołtarze i wizerunki świętych w Brzevnowie i Vodnianach... A co wyczyniał Zizka, ten pies wściekły, ten antychryst i diabli pomiot? Krwawe rzezie w Chomutowie i Prachaticach, czterdziestu księży żywcem spalonych w Beruniu, spalone klasztory w Sazavie i Vilemowie, świętokradztwa, jakich nie dopuściłby się Turek, ohydne zbrodnie i okrucieństwa, bestialstwa, na widok których zadrzałby Saracen! O, zaprawdę, Boże, dokądże nie będziesz sędził i wymierzał za krew naszą kary?

Cisze, w której słychać było tylko szmer modlitwy olesnickiego kapelana, przerwał głęboki i dzwiczny głos smagłolicego i barczystego rycerza, gościa księcia Konrada Kantnera.

- Nie musiało tak być.

- Słucham? - uniósł głowę dominikanin. - Co chcecie przez to rzec, panie?

- Można było tego wszystkiego z łatwością uniknąć. Wystarczyło nie palić Jana Husa w Konstancji.

- Wście - zmrużył oczy Czech - już tam, wtedy, bronili kacerza, krzyżowali, protestowali, petycje składali, wiem to. A nieprawdą jest, że wtedy byli i teraz jesteście. Herezja płeni się jak kakol, a każę Pismo Święte chwast spalać ogniem. Nakazują bulle papieskie...

- Zostawcie bulle - uciął smagłolicego - na soborowe dysputy, śmiesznie brzmią w karczmie przytaczane. A w Konstancji rację miałem, możecie gadać, co chcecie. Luksemburczyk królewskim słowem i listem żelaznym gwarantował Husowi bezpieczeństwo. Słowo i przysięgę złamał, plamiał tym honor monarszy i rycerski. Na to patrzeć spokojnie nie mogłem. I nie chciałem.

- Przysięga rycerska - zawarł Jan Nejedlý - ma być składana w służbie Bogu, zajedno, kto przysięga, giermek czy król. Nazywacie boską służbą dotrzymywanie przysięgi i słowa kacerzowi? Zwiecie to honorem? Ja to zwał grzechem.

- Ja, jeśli daje, daje słowo rycerskie w obliczu Boga. Dlatego dotrzymuje go nawet Turkom.

- Turkom dotrzymywać można. Heretykom nie wolno.

- Iście - rzekł bardzo poważnie Maciej Korzbok, oficjal poznański. - Maur albo Turczyn tkwi w poganstwie przez ciemnotę i dzikość. Może być nawrócony. Odszczepieniec zaś i szymatyk od wiary i Kościoła się odwraca, szydzi z nich, bluźni. Dlatego też stokrotnie bardziej Bogu jest ohydny. I każdy sposób walki z herezją jest dobry. Toż przecie nikt, kto na wilka idzie albo na psa wściekłego, nie będzie, jeśli przy zdrowych zmysłach, o honorze i słowie rycerskim rozprawiał! Na heretyka wszystko się godzi.

- W Krakowie - gość Kantnera zwrócił ku niemu ogorzalą twarzą - kanonik Jan Elgot, gdy trzeba usidlić kacerza, za nic ma tajemnicę spowiedzi. Biskup Andrzej Laskarz, któremu służycie, zaleca to samo

ksiezom diecezji poznańskiej. Wszystko sie godzi. Zaiste.

- Nie kryjecie, panie, swych sympatii - rzekł kwasno Jan Nejedly z Vysoke. - Ja moich tez wiec kryl nie bede. I powtórze: Hus byl kacerz i na stos pójsc musial. Król rzymski, węgierski i czeski slusnie postapil, slowa danego czeskiemu heretykowi nie dotrzymujac.

- I za to - odparował smagolicy - tak go teraz Czesi kochaja. Z tego to powodu uciekal spod Wyszehradu z czeska korona pod pacha. I teraz króluje Czechom, ale w Budzie, bo na Hradczany niepredko go wpuszczaja.

- Drwic z króla Zygmunta sobie pozwalacie - zauwazyl Melchior Barfuss. - A przecie mu sluzycie.

- Wlasnie dlatego.

- A moze dla czego innego? - zgrzytnal zjadliwie Czech. - Wyscie sie przecie, rycerzu, pod Tannenbergiem bili przeciwko szpitalnikom Panny Marii po stronie Polaków. Po stronie Jagielly. Króla neofity, który herezji czeskiej jawnym jest autorem i ucho chetnie ku schizmatykom i wiklefiptom sklania. Synowiec Jagielly, apostata Korybutowicz, w najlepsze przecie panoszy sie w Pradze, polscy rycerze w Czechach morduja katolików i rabuja klasztory. I choc Jagiello udaje, ze to bez jego woli i zgody, to przecie sam z wojskiem jakos przeciw kacerzom nie rusza! A gdyby ruszyl, gdyby sie z królem Zygmuntem w krucjacie sprzymierzyl, w mig jeden byloby po husytach! Czemu tedy Jagiello tego nie czyni?

- Wlasnie - smagolicy znowu sie usmiechnal, a byl to usmieszek wielce znaczący. - Czemu? Ciekawe.

Konrad Kantner chrzaknal glosno. Barfuss udal, ze interesuje go wylaczenie kapusta z grochem. Maciej Korzbok zagryzl wargi, pokiwal głowa z ponura mina.

- Co prawda - przyznal - to prawda. Król rzymski nie raz pokazal, ze przyjacielem Korony polskiej nie jest. Zaprawde, do walki w obronie wiary kazdy Wielkopolanin, za nich bowiem reczyc moge, ochotnie stanie. Ale tylko wtedy, jesli Luksemburczyk da gwarancje, ze jesli my na poludnie ruszmy, to ani Krzyzacy, ani Brandenbury na nas z najazdem nie wpadna. A jak ma taka gwarancje dac, jesli wraz z onymi rozbiór Polski knowa? Nie mam racji, ksiaze Konradzie?

- Cóż tu rozprawiac - usmiechnal sie wyjatkowo nieszczerze Kantner. - Nad potrzebe, widzi mi sie, politykujemy. A nie idzie polityka w parze z jadem. Które stygnie, nawiasem mówiac.

- Wlasnie, ze mówic trza o tym - zaprotestował Jan Nejedly, ku radosci mlodszeo rycerstwa, do którego juz dwa garnki dotarly niemal nie tknięte przez rozgadanych wielmożów. Radosc byla przedwczesna, wielmoze pokazali, ze moga gadac i jesc równocześnie.

- Bo to uwazacie, wielmożni - ciagnal, pochlaniajac kapuste, byly przeor od swietego Klemensa - nie jeno czeska to rzecz, owa wiklefiicka zaraza. Czesi, ja ich znam, gotowi i tu przyjsc, jak chodzili na Morawe i do Rakus. Moga przyjsc do was, panowie. Do wszystkich, jak tu siedzicie.

- Pah - wydal wargi Kantner, grzebiac lyzka w misce w poszukiwaniu skwarków. - W to nie uwierze.

- Ja tym bardziej - prychnal piwna piana Maciej Korzbok. - Do nas, do Poznania, krzyne za daleko maja.

- Do Lubusza i Ftirstenwalde - powiedzial z pelnymi ustami Melchior Barfuss - tez z Taboru kawal

drogi. O wa, nie bojam sie.

- Tym bolej - dodal z nieladnym usmieszkiem ksiaze - ze predzej sie sami Czesi gosci doczekaja, niz do kogo pójda. Zwlaszcza teraz, gdy Zizki nie stalo. Tak sobie mysle, ze gosci tylko patrzec, co dnia Czesi ich wygladac powinni.

- Kruczata? Wiecie co moze, wasza laskawosc?

- Nijak nie - odparl Kantner z mina, która sugerowała cos przeciwnego. - Jeno tak sobie dumam. Gospodarzu! Piwa!

Reynevan cichcem wymknal sie na podwórze, a z podwórza za chlew i w krzaki za warzywnik. Ulzywszy sobie nalezycie, wrócił. Ale nie do izby. Wyszedl przed wrota, dlugo patrzyl na ginacy w sonej mgielce gosciniac. Na którym, ku uspokojeniu, nie zobaczyl nadjezdżajacych cwalem braci Sterczów.

Adela, pomyslal nagle, Adela wcale nie jest bezpieczna u ligockich cysterek. Powinienem...

Powinienem. Ale boje sie. Tego, co moga zrobic mi Sterczowie. Tego, o czym w szczegóлах opowiadaja.

Zawrócił na podwórze. Zdumial sie, ujrzawszy księcia Kantnera i Haugwitza, raznie i lekko wychodzacych zza chlewów. W zasadzie, pomyslal, czemu tu sie dziwic. W krzaki za chlewikami nawet ksiazeta i seneszale chadzaja. I to piechota.

- Nadstaw no uszu, Bielau - rzekl obcesowo Kantner, myjac rece w kuble, który w pospiechu podstawila mu dziewczka sluzebna. - I sluchaj, co powiem. Nie pojedziesz ze mna do Wroclawia.

- Wasza ksiazeca...

- Zamknij gebe i nie otwieraj jej, póki nie rozkaze. Robie to dla twojego dobra, chlystku. Bo wiecej niz pewien jestem, ze we Wroclawiu mój brat biskup wsadzi cie do wiezy predzej, niz zdazysz wymówic *benedictum nomen Iesu*. Biskup Konrad wielce ciety jest na cudzolózców, pewnie, hehehe, nie lubi konkurencji, hehehe. Wezmiesz tedy tego konia, com ci go uzyczyl i pojedziesz do Malej Olesnicy, do komandorii joannickiej. Rzekniesz komandorowi Dytmarowi de Alzey, zem cie przyslal na pokute. Tera cicho posiedzisz, az cie nie wezwie. Jasne? Musi byc jasne. A na droge nasci tu sakiewke. Wiem, ze mala. Dalbym wiecej, ale mój komornik odradzil. Ta karczma nadto nadszarpnela mój fundusz reprezentacyjny.

- Wielce dziekuje - mruknal Reynevan, choc waga sakieweczki bynajmniej na dzieki nie zaslugiwala. - Wielkie dzieki waszej laskawosci. To jeno tylko, ze...

- Sterczów sie nie lekaj - przerwal ksiaze. - W joannickim domie cie nie najda, a w drodze tamój nie bedziesz sam. Tak sie sklada, ze w tamtym kierunku, bo ku Morawie, zmierza mój gosc. Widziales go pewnie za stolem. Zgodzil sie, bys mu towarzysyl. Szczerze mówiac, nie od razu. Ale przekonalem go. Chcesz wiedziec, jak?

Reynevan pokiwal glowa na znak, ze chce.

- Powiedzialem mu, ze twój ojciec zginął w choragwi mego brata pod Tannenbergiem. A on tez tam byl. Tyle, ze on mawia: pod Grunwaldem. Bo byl po przeciwnej stronie.

- Tak tedy, bywaj w zdrowiu. I rozchmurz się, chłopczyno, rozchmurz. Wyrzekac na moja laske nie mozesz. Konia masz, grosz masz. A i bezpieczenstwo w podróży zapewnione.

- Jak zapewnione? - odwazyl sie baknac Reynevan. - Mosci ksiaze... Wolfher Stercza jezdzi samoszóst... A ja... Z jednym rycerzem? Nawet jesli z giermkim... Wasza laskawosc... To przecie tylko jeden rycerz!

Rudiger Haugwitz parsknal. Konrad Kantner protekcyjnalnie wydal wargi.

- Oj, glupis ty, Bielau. Niby uczony bakalarz, a slawnego czleka nie rozpozna. Dla tego rycerza, kapcanie, szesciu to fraszka.

A widzac, ze Reynevan nadal nie rozumie, wyjasnil.

- To jest Zawisza Czarny z Garbowa.

Rozdzial czwarty

w którym Reynevan i Zawisza Czarny z Garbowa rozprawiaja o tym i o owym na goscincu brzeskim. Potem Reynevan leczy Zawisze z gazów, a Zawisza odwiedzicza sie cennymi naukami z zakresu historii najnowszej.

Wstrzymujac nieco konia, by zostac w tyle, rycerz Zawisza Czarny z Garbowa uniósł sie w kulbace i przeciagle pierdnal. Potem westchnal mocno, wsparl oburacz na leku i pierdnal raz jeszcze.

- To ta kapusta - wyjasnil rzeczowo, zrównujac sie znowu z Reynevanem. - W moim wieku nie mozna jesc tyle kapusty. Na kosci swietego Stanislaw! Gdy bylem mlody, moglem zjesc, ze ho, ho! Koflik, znaczy sie wiecej niz pół garnca kapusty zjadalem w trzy pacierze. I nic mi nie bylo. Moglem jesc kapuste pod kazda postacia, chocby i dwa razy dziennie, byle jeno kminku bylo w niej dostatek. A teraz, ledwo co malosc zjem, to az mi sie gotuje w zywocie, a gazy, sam baczysz, chłopcze, malo mnie niej rozsadza. Starosc, psia mac, nie radosc.

Jego kon, potezny kary ogier, bryknal ciezko, jak gdyby rwal sie do szarzy. Ogier caly, az po chrapy, okryty byl czarnym kropierzem przyozdobionym na klebie Sulima, herbem rycerza. Reynevan dziwil sie, ze od razu nie skojarzyl slynnego znaku - nietypowego wszak w heraldyce polskiej, zarówno pod wzgledem figury zaszczytnej, jak i mobiliów.

- Cos taki milczacy? - zagadnal go nagle Zawisza. - Jedziemy i jedziemy, a ty jeslis dziesiatek słów uронil, to wszystko. I to za jezyk ciagniony. Boczysz sie na mnie? O Grunwald idzie, he? Wiesz co, chłopcze? Móglbym cie zapewnic, ze nie moze byc tym, który zabil ci ojca. Zaden bylby dla mnie wysilek powiedziec, ze nie moglem sie z twym ojcem zetknac w boju, bo choragiew krakowska byla w centrum szyku wojsk polsko-litewskich, a choragiew Konrada Bialego na krzyzackim skrzydle lewym,

az za Stebarkiem. Ale nie powiem, bo byloby to kłamstwo. Wtedy, w dzień Rozesłania Apostołów, zabiłem wielu ludzi. W totalnym zamieszaniu i sakramenckiej kretwie, w której mało co było widac. Bo to była bitwa. I tyle.

- Ojciec - odchrzaknął Reynevan - nosił na tarczy...

- Nie pamiętam herbów - przerwał ostro i dość obcesowo Sulimczyk. - W walnym boju nie mają one dla mnie żadnego znaczenia. Ważne, w którą stronę zwrócony jest łeb konia. Jeśli w przeciwną niż łeb mojego, to rabie, choćby tamten Bogurodzice sama miał na tarczy. Zresztą gdy krew przyklei się do kurzu, a kurz do krwi, to i tak gównem na tarczach widac. Powtarzam, Grunwald to była bitwa. A w bitwie jak to w bitwie. I przy tym zostanmy. Nie bocz się na mnie.

- A i nie bocz się.

Zawisza wstrzymał lekko ogiera, uniósł się na siodle i pierdnął. Z przydrożnych wierzb zerwały się spłoszone kawki. Jadący z tyłu orszak rycerza z Garbowa, złożony ze szpakowatego giermka i czterech zbrojnych pacholków, przezornie trzymał się na dystans. Zarówno giermek, jak i pacholkiwie jechali na pięknych koniach, a odziani byli dostatnio i czysto. Jak wypadali na służki kogos, kto był starosta kruszwickim i spiskim i kto ciągnął, jak wieść niosła, tenuty z okragło licząc trzydziestu wsi. Ani giermek, ani pacholkiwie nie wyglądali jednak na jedwabnych paskich pazików. Przeciwnie, wyglądali na tegich zabijaków, a broni, która była obwieszona, żadna miara nie można było uznać za paradne ozdoby.

- Tak więc - podjął Zawisza - nie boczysz się. Czemu tedy ty milczysz taki?

- Bo zdaje mi się - odważył się Reynevan - że to wy więcej boczycie się na mnie. I wiem, czemu.

Zawisza Czarny obrócił się w siodle i długo mu się przyglądał.

- Ot - przemówił wreszcie - odezwała się żalostliwym głosem ukrzywdzona niewinność. Wiedz, synku, że nie godzi się to, chędożyć cudze żony. I jeśli chcesz znać moje zdanie, jest to podły proceder. I wart kary. Mówiac szczerze, wcaleś w moich oczach nie lepszy od takiego, co w tłumie obrzyna kieski albo okrada kurniki. Ot, myślę, jeden z drugim drobny hultaj, mizerny huncwot, któremu udało się skorzystać z okazji.

Reynevan nie skomentował.

- Był w Polsce przed wiekami zwyczaj - podjął Zawisza Czarny - że schwytanego amatora cudzych żon prowadzono na most i do tego mostu cwiekiem żelaznym przybijano mu worek z jajkami. I kładziono podług gaszka nóż. Pry, chcesz na swobodzie, to się odetnij.

Reynevan nie skomentował i tym razem.

- Już się nie przybija - skonkludował rycerz. - A szkoda. Mojej pani Barbary płocho nie nazwiesz, ale gdy pomyśle, że jej chwile słabości wykorzystuje tam może w Krakowie jakiś galant, jakiś tobie, chłopcze, podobny gładyszek... Ach, co tu gadac.

Cisze, która zapadła na chwilę kilka, przerwała po raz kolejny zjedzona przez rycerza kapusta.

- Taaak - Zawisza steknął z ulgą i popatrzył w niebo. - Wiedz jednak, chłopcze, że cie nie potępiam, albowiem temu jeno kamieniami godzi się miotac, kto sam jest bez grzechu. I tym sposobem podsumowawszy, nie mówmy już o tym więcej.

- Miłość wielka jest rzeczą i niejedno ona ma imię, odezwał się Reynevan, nadęty nieco. - Piosni i romansów słuchajecie, nikt nie wydziwia na Tristana i Izoldę, na Lancelota i Ginewrę ani na trubadura Gwilelma de Cabestaing i panią Małgorzatę z Roussillonu. A mnie i Adele wcale nie mniej wielka, gorąca i szczerą miłość łączy. A macie, wszyscy jakby się uwzięli...

- Jeśli ta miłość taka wielka - Zawisza dał pozór zaciekawienia - czemu tedy ty nie przy twej lubej? Czemu *fugas chrustas*, iście jak przydybany złodziejasek? Tristan, by móc być przy Izoldzie, znalazł sposób, przedział się, jeśli mnie pamięć nie myli, w lachmany oparszywiałego zebra. Lancelot, by wybawić swą Ginewrę, samojeden uderzył na wszystkich Rycerzy Okrągłego Stolu.

- Nie takie to proste - Reynevan splonął jak alkiermes. - Długo przyjdzie jej, gdy mnie złapie i ubija. O mnie samym już nie wspominać. Ale sposób znajdzie, nie bójcie się. Choćby w przebraniu, jak Tristan właśnie. Miłość zawsze zwycięży. *Amor vincit omnia*.

Zawisza uniósł się w kulbace i pierdął. Trudno było ocenić, czy był to komentarz, czy tylko kapusta.

- Jeden z tej dysputy spor - powiedział - zeszliśmy pogadali, bo cknęło się milczkiem jechac, z nosem spuszczone. Gadajmy jeszcze, młody panie Słazaku. Na obojętny temat.

- Czemu - odważył się po chwili Reynevan - tedy jedziecie? Nie bliżej z Krakowa na Morawę przez Racibórz? I Opawsko?

- Może i bliżej - zgodził się Zawisza. - Ale ja, widzisz, Raciborczyków cierpieć nie mogę. Z niedawno zmarłego księcia Jana, świec Panie nad jego duszą, kawał był skurwysyna. Nasłał morderców na Przemka, syna księcia cieszyńskiego Noszaka, a ja i Noszaka znalazłem, i Przemko druhem mi był. Tak tedy z raciborskiej gościny nie korzystałem ani onegdaj, ani teraz nie będę, bo synalek Jana, Mikołajek, dzielnie, jak mówią, kroczy po rodzica śladach. Nadto drogi nadłozylem, bo było z Kantnerem o czym pogadać w Olesnicy, powtórzyć mu, co rzekł był pod jego adresem Jagiello. Do tego, droga przez Dolny Śląsk zwykle obfituje w atrakcje. Choć widzę, że przesadzona coś ta opinia.

- Ha! - domyślił się bystro Reynevan. - To dlatego w pełnej zbroi jedziecie! I na bojowym koniu! Bitki wypatrujecie. Zgadłem?

- Zgadles - przyznał spokojnie Zawisza Czarny. - Gadali, roi się tu u was od raubritterów.

- Nie tu. Tu bezpiecznie. Dlatego tak ludno.

W samej rzeczy, na brak towarzystwa narzekać nie mogli. Sami nie dogonili co prawda nikogo i nikt ich nie wyprzedził, za to w przeciwnym kierunku, z Brzegu ku Olesnicy, ruch był ożywiony. Mineli już kilku kupców na nagrzonych, rysujących głębokie koleiny wozach, w eskorcie kilkunastu zbrojnych o wyjątkowo bandyckich gebach. Mineli piesza kolumnę obładowanych łagwiami maziarzy, anonsowanych wcześniej ostrym zapachem żywicy. Mineli grupkę konnych Krzyżaków z Gwiazda, mineli podróżującego z giermkim młodego joannite o twarzy cherubina, mineli wolarzy pedzających woły, a także pięciu podejrzanie wyglądających pielgrzymów, którzy, choć grzecznie spytali o drogę do Częstochowy, w oczach Reynevana podejrzany być nie przestali. Mineli jadących na drabiniastym wozie goliardów, wesolymi i niezbyt trzewnymi głosy śpiewających *In cratere meo*, pieśń ułożoną do słów Hugona z Orleanu. A teraz właśnie - rycerza z niewiastą i małym orszaczkiem. Rycerz był w pysznej bawarskiej zbroi, a wspięty dwuogoniasty lew na tarczy dowodził przynależności do rozległego rodu Unruhów. Rycerz - widzieć to się dało - momentalnie rozpoznał herb Zawiszy, i pozdrowił ukłonem, ale tak dumnym, by jasnym było, że nie gorsi Unruhowie od Sulimczyków. Odziana w

jasno-fioletowa suknie towarzysza rycerza jechała po damsku na pięknej skarogniadej klaczy i nie nosiła - o dziwo - żadnego nakrycia głowy, wiatr swobodnie igrał w jej złotych włosach. Przejeżdżając obok, kobieta uniosła głowę, uśmiechnęła się leciutko i obdarzyła zagapionego na nią Reynevana spojrzeniem tak zielonym i wymownym, że chłopiec aż zadrzał.

- Oj - powiedział po chwili Zawisza. - Nie umrzesz ty, chłopaczku, śmiercią naturalną.

I pierdnął. Z siłą bombardy średniego wagomiaru.

- By dowiedzieć - rzekł Reynevan - zem na was wcale za wasze złości i przytyki nie krzywy, uleczę was z tych wzdęć i gazów.

- Ciekawość, jak.

- Zobaczycie. Niech no tylko trafi się pasterz.

Pasterz trafił się nawet przedko, ale zobaczywszy skrecających ku niemu z goścince konnych rzucił się do panicznej ucieczki, wpadł w chaszczę i znikł jak sen jakiś złoty. Zostały tylko beczace owce.

- Było - ocenił, stając w strzemionach, Zawisza - sposobem go brać, z zasadzki. Bo teraz go już po tych wertepach nie dognamy. Wnosząc z tempa, w jakim wiał, już zdążył zresztą odgrodzić się od nas Odra.

- Albo i Nysa - dodał Wojciech, giermek rycerza, dowodząc żywego dowcipu i znajomości geografii.

Reynevan nie przejął się jednak drwinami wcale. Zsiadł, pewnym krokiem udał się do pasterskiego szalasu, skąd po chwili wylonil się z wielkim pekiem suchych ziół.

- Nie pasterz mi potrzebny - wyjaśnił spokojnie - lecz to. I odrobinka wrzasku. Garnek się znajdzie?

- Wszystko - rzekł sucho Wojciech - się znajdzie.

- Jeśli gotowanie - Zawisza spojrzał w niebo - tedy popas. I to dłuższy, bo noc bliska.

* * *

Zawisza Czarny rozsiadł się wygodniej na nakrytym kozuchem siodle, zajrzał do opróżnionego przed chwilą kubka, powachał.

- Zaprawdę - orzekł - smakuje jak ogrzana słońcem woda z fosy, a śmierdzi kotem. Ale pomaga, na meke Panska, pomaga! Już po pierwszym kubku, gdy mnie przesrało, poczułem się lepiej, a teraz to już jakby reka odjął. Moje uznanie, Reinmarze. Leż to, jak widzę, że uniwersytety mogą młodzika nauczyć jeno pijanstwa, wszeteczeństwa i plugawej mowy. Leż, zaprawdę.

- Ociupinka wiedzy o ziołach, nic więcej - odpowiedział skromnie Reynevan. - Tym zaś, co naprawdę wam pomogło, panie Zawiszo, było zdjęcie zbroi, odpoczynek w wygodniejszej niż kulbaka pozycji...

- Za skromnyś - przerwał rycerz. - Ja moje możliwości znam, wiem, jak długo zdolnym wytrwać w siodle i zbroi. Trzeba ci wiedzieć, że często podróżuje noca, z latarnią, bez popasania. Raz, że to skraca podróż, dwa, bo wtedy jeśli nie za dnia, to może chociaż po ciemnicy ktoś zaczepi... I dostarczy uciechy.

Ale skoro twierdzisz, że to spokojna okolica, ha, po cóż konie męczyc, posiedzmy przy ogniu do switu, pogawiedzmy... W końcu to też rozrywka. Może i nie tak dobra, jak wyprucie flaków z paru raubritterów, ale zawsze.

Ogień strzelił wesoło, rozjaśnił noc. Zaskwierczał i zapachniał tłuszcz, kapiący z kielbas i kawałów boczku, przypiekanych na patykach przez giermka Wojciecha i pacholków. Wojciech i pacholkowie zachowywali milczenie i stosowny dystans, ale w rzucanych Reynevanowi spojrzeniach dostrzegało się wdzięczność. Nie podzielali widac bynajmniej zamilowania swego pana do całonocnego podróżowania z latarnią.

Niebo nad lasem skrzyło się od gwiazd. Noc była chłodna.

- Taak - Zawisza oburacz pomasaował brzuch. - Pomogło, pomogło, lepiej i szybciej niż zwykle zalecane modlitwy do świętego Erazma, patrona od trzewi. Cóż to za magiczna herba była, cóż za czarodziejska mandragora? I czemuś jej właśnie u pasterza szukał?

- Po świętym Janie - wyjaśnił Reynevan, rad, że może się popisać - pasterze zbierają różne sobie tylko wiadome zioła. Wiązki z owych noszą najpierw uwiązane do hyrkawicy, tak zwie się z czeska pasterski kij. Potem zioła suszy się w szalasiu. I warzy z nich odwar, którym...

- Którym poi się trzoda - spokojnie wpadł w słowo Sulimczyk. - Znaczy, potraktowałeś mnie jak wzdeta krowe. No, ale jeśli pomogło...

- Nie sierzcie się, panie Zawiszo. Madrość ludowa jest ogromna. Nie gardził nią żaden z wielkich medyków i alchemików, ani Pliniusz, ani Galen, ani Walafrid Strabo, ani uczeni Arabowie, ani Gerbert z Aurillac, ani Albertus Magnus. Wiele medycyna skorzystała od ludu, a od pasterzy zwłaszcza. Bo wielka i niezmierna mają oni wiedzę o ziołach i ich mocach leczniczych. I o mocach... innych.

- W rzeczy samej?

- W rzeczy samej - potwierdził Reynevan, dla lepszego widoku przysuwając się bliżej do ognia. - Nie uwierzycie, panie Zawiszo, ile mocy skrywa się w tej wiązance, w tym suchym wiechciu z pasterskiej budy, za który nikt nie dałby złamanego szelaga. Spójrzcie: rumianek, nenufar, niby nic takiego, ale gdy nagotować naparu, cuda czynia. Także te, którym wam podałem: ukwap, barszcz, arcydziegiel. A te, o tu, po czesku zwa się „sporzyczek” i „siedmikraska”. Mało który medyk wie, jak bardzo są skuteczne. Wywarem zaś z tych, które zwa się „jakubki”, pasterze dla ochrony przed wilkami skrapiają owce w maju, w dniu świętych Filipa i Jakuba. Wierzcie lub nie, ale pokropionych owiec wilk nie tknie. To zaś są jagody świętego Wendelina, a to jest ziółko świętego Linharta, obaj święci, jak pewnie wiecie, są obok Marcina patronami pasterzy. Podając te zioła trzodzie, trzeba inwokować do tych właśnie świętych.

- To, coś mruczał nad kociolkiem, nie było o świętych.

- Nie było - przyznał, odchrząknawszy, Reynevan. - Mówiłem wam, madrość ludowa...

- Bardzo taka madrość stosem pachnie - rzekł poważnie Sulimczyk. - Na twoim miejscu uważałbym, kogo leczyć. Z kim gadam. I w czyjej przytomności powołuje się na Gerberta z Aurillac. Uważałbym, Reinmarze.

- Uważam.

- A ja - odezwał się giermek Wojciech - myślę, że jeśli czary są, to lepiej się na nich znać, niż się nie

znac. Mysle...

Zamilkl, widzac grozny wzrok Zawiszy.

- A ja mysle - rzekl ostro rycerz z Garbowa - ze cale zlo tego swiata bierze sie z myslenia. Zwlaszcza w wykonaniu ludzi calkiem ku temu nie majacych predyspozycji.

Wojciech jeszcze nizej pochytil sie nad uprzeza, która czyscil i smarowal sadlem. Reynevan, nim sie odezwal, odczekal dluzsza chwile.

- Panie Zawiszo?

- A?

- W karczmie, w sporze z owym dominikaninem, nie kryliscie... No... Ze jakby... Za czeskimi husytami jestescie. A przynajmniej bardziej za, nizli przeciwi.

- A tobie co, z mysleniem od razu herezja sie skojarzyla?

- Tez - przyznal po chwili Reynevan. - Ale jeszcze bardziej mnie ciekawi...

- Co cie ciekawi?

- Jak to bylo... Jak to bylo pod Niemieckim Brodem, w roku dwudziestym drugim? Kiedyscie do czeskiej niewoli trafili? Bo to juz legendy kraza...

- Jakie niby?

- A takie, ze was husyci ujeli, bo ucieczka zdala wam sie niegodna, a walczyć nie mogliście, będąc posłem.

- Tak mówia?

- Tak. I jeszcze, ze... Ze król Zygmunt porzucil was w potrzebie. A sam zemknal nikczemnie.

Zawisza milczal przez chwile.

- A ty - odezwal sie wreszcie - chcialbys znac wersje prawdziwa, co?

- Jesli - odrzekl z wahaniem Reynevan - wam to nie wadzi...

- A co mi ma wadzic. Przy pogaduszce milej czas plynie. Czemu tedy nie pogadac?

Wbrew deklaracji, rycerz z Garbowa znowu milczal dlugo, bawiac sie pustym kubkiem. Reynevan nie byl pewien, czy aby nie czeka na jego pytania, ale nie spieszyl sie z ich zadawaniem. Jak sie okazalo, sluszenie.

- Zaczac - zaczal Zawisza - trza, widzi mi sie, od poczatku. Ktoremi jest taki, ze mnie król Wladyslaw poslal do króla rzymskiego w delikatnej dosc misji... szlo o mariaż z królowa Eufemia, bratowa Zygmunta, wdowa po Wacławie czeskim. Jak ninie wiadomo, nie wyszlo z tego nic, Jagiello wolal Sonke Holszanska, ale woncez wiadomo nie bylo. Król Wladyslaw polecil, bym ustalil z Luksemburczykiem,

co trza, posag głównie. To pojechałem. Ale nie do Pozonia ani do Budy, jeno na Morawe, skąd Zygmunt wyruszał właśnie na swych nieposłusznych poddanych z kolejną wyprawą krzyżową, z twardym zamiarem zdobycia Pragi i ostatecznego wyplenienia w Czechach husyckiej herezji.

- Gdy tam dojechałem, a dotarłem na święty Marcin, Zygmuntowa krucjata rozwijała się wcale ładnie. Choć armie Luksemburczyków miała być osłabiona. Odejść do domu zdążyła już większość wziętego przez landwójta Rumpolda wojska z Łuzyc, zadowolony zniszczeniem ziem wokół Chrudimia. Wrócił do domu kontyngent śląski, w którym, nawiasem mówiąc, był i nasz niedawny gospodarz i współbiedak, książę Konrad Kantner. W marszu na Pragę król wspierał więc na dobrą sprawę tylko rakuśkie rycerstwo Albrechta i morawskie wojsko biskupa z Olomunca. No, ale samej węgierskiej jazdy miał Zygmunt więcej niż dziesięć tysięcy...

Zawisza zamilkł na chwilę, zapatrzony w trzaskający ogień.

- Chceć nie chceć - podjął - musiałem, by z Luksemburczykiem Jagiellowym mariażem negocjować, w tej ich krucjacie udział wziąć. I różnym rzeczom się przyglądać. Bardzo różnym. Takim choćby, jak zdobycie Policzki i dokonana po zdobyciu rzeź.

Pacholki i giermek siedzieli bez ruchu, kto wie, może i spali. Zawisza mówił głosem cichym i dość jednostajnym. Usypiającym. Zwłaszcza dla kogoś, kto zapewne znał opowieść. Albo wręcz uczestniczył w wydarzeniach.

- Po Policzce Zygmunt ruszył na Kutną Górę. Zizka zastąpił mu drogę, odparł kilka ataków węgierskiej jazdy, ale gdy gruchnęła wieść o zajęciu miasta zdrada, wycofał się. Królewscy weszli do Kutnej Góry, upojeni triumfem... Ha, ha, pobili samego Zizkę, sam Zizka pierzchnął przed nimi! I wtedy Luksemburczyk popełnił błąd niewybaczalny. Choć odradzałem mu to i ja, i Filip Scollari...

- Znaczący, Pippo Spano? Ten słynny florentyński kondotier?

- Nie przerywaj, chłopcze. Wbrew radom Pippa i moim król Zygmunt, przekonany, że Czesi uciekli w popłochu i nie zatrzymają się aż w Pradze, pozwolił Węgom rozjechać się po całej okolicy, aby, jak to nazwał, szukać zimowisk, bo mróz był tegi. Madziarzy rozproszyli więc i spędzali Gody na grabieżach, gwałceniu niewiast, paleniu wsi i mordowaniu tych, których uznali za kacerzy lub ich sympatyków. Czyli każdego, kto się nawinał.

- Noca w niebo były luno, dniem dymy, a król w Kutnej Górze ucztował i sprawował sady. I wtedy, w Trzech Króli, rankiem, gruchnęła wieść: idzie Zizka. Zizka nie uciekł, cofnął się tylko, przegrupował, wzmocnił i teraz idzie na Kutną Górę z całą siłą Taboru i Pragi, już jest w Kanku, już jest w Niebowidach! I co? Co zrobili waleczni krzyżowcy na tę wieść? Widząc, że brak czasu na zebranie do kupy rozpełznietej po okolicy armii, uciekli, zostawiając sporo sprzętu i dobytku, podpalając za sobą miasto. Pippo Spano na chwilę opanował panikę i ustawił szyk w połowie drogi między Kutną Górą a Niemieckim Brodem.

- Mróz zelzał, było pochmurno, szaro, mokro. I wtedy z dala usłyszeliśmy... I zobaczyliśmy... Chłopcze, czegoś takiego nie słyszałem i nie widziałem jeszcze nigdy, a słyszałem i widziałem wiele. Szli na nas, oni, taborcy i prazanie, szli, niosąc sztandary i monstrancje, w pięknym, równym, karnym szyku, ze śpiewem dudniącym jak grom. Szły te ich osławione wozy, z których szczyły na nas pułki, hufnice i tarasnice...

- I wtedy zadufane niemieckie heldy, pyszni rakuśscy pancerni Albrechta, Madziarzy, szlachta morawska i łuzicka, najemnicy Spana, wszyscy jak jeden mąż rzucili się do ucieczki. Tak, chłopcze, nie

przesłyszales sie: zanim husyci zbliżyli sie na strzał, cała Zygmuntowa armia uciekała w totalnym poplochu, w dzikiej panice, na leb na szyje, ku Niemieckiemu Brodowi. Pasowani rycerze uciekali, tratując sie i przewracając wzajemnie, wrzeszcząc ze strachu, przed praskimi szewcami i powroznikami, przed kmiotkami w łapciach, z których jeszcze niedawno szydzili. Uciekali w panice i zgrozie, rzucając bron, która podczas całej tej krucjaty podnosili głównie na bezbronnych. Uciekali, chłopcze na moich zdumionych oczach jak tchórze, jak chlystki przyłapane przez sadownika na kradzieży sliwek. Jak gdyby przelecieli sie... prawdy. Hasła VERITAS VINCIT, wyhaftowanego na husyckich sztandarach.

- Wegrom i zelaznym panom w wiekszosci udalo sie uciec na lewy brzeg zamarzniętej Szawy. Potem łód sie zalamal. Radze ci, chłopcze, z całego serca, jesli kiedy wypadnie ci wojowac w zimie, nigdy w zbroi nie uciekaj po lodzie. Nigdy.

Reynevan przyrzekl sobie, ze nigdy. Sulimczyk sapnal, chrzaknal.

- Jak mówilem - podjal - rycerstwo, choc stracilo honor, uratowalo skórę. W wiekszosci. Ale pieszy lud, setki oszczepników, strzelców, pawezników, zaciezni wojacy z Rakus i Morawy, uzbrojeni mieszczanie z Olomunca, tych husyci dopadli i bili, bili strasznie, bili przez dwie mile, od wsi Habry do przedpoli Niemieckiego Brodu. I snieg na tej drodze zrobil sie czerwony.

- A wy? Jak was...

- Nie ucieklem z królewskim rycerstwem, nie ucieklem i wtedy, gdy uciekali Pippo Spano i Jan von Hardegg, a oni, trza oddac im honor, uciekli jako jedni z ostatnich i nie bez walki. Ja tez, wbrew bajaniom, bilem sie i to ostro. Posel nie posel, trzeba bylo sie bic. I nie bilem sie sam, bylo przy mnie paru Polaków i ładnych paru morawskich panoszków. Takich, co nie lubili uciekac, zwlaszcza przez lodowata wode. Bilismy sie tedy i tyle ci powiem, ze niejedna tam placze z mojego powodu czeska matka. *Alenec Hercules...*

Pacholkowie, jak sie okazalo, nie spali. Albowiem jeden własnie podskoczyl, jakby uzadlila go zmija, drugi krzyknal zduszonym glosem, trzeci zazgrzytal dobywanym kordem. Giermek Wojciech porwal za kusze. Wszystkich uspokoil ostry glos i władczy gest Zawiszy.

Z mroku cos wyszlo.

Zrazu mysleli, ze to fragment, klebek ciemnosci, ciemniejszy od niej samej nawet, wypaczkowy z nieprzebitej cmy, zaznaczajacy sie antracytowa czernia w rozjasnianym rozblyskami ognia, migotliwym mroku nocy. Gdy plomien wybuchal gwałtowniej, zywiej i jasniej, ten kes ciemnosci, nic nie tracac ze swej czerni, przybieral jednak ksztalt. I postac. Postac mala, krepka, pekata, postac ni to ptaka stroszacego pióra, ni to zwierzka o zjezonej sierści.

Wciagnieta w ramiona glowe stwora zdobila para duzych, szpiczastych uszu, sterczacych, jak u kota, pionowo i nieruchomo.

Wojciech wolno, nie spuszczajac ze stwora oczu, odlozyl kusze. Któryś z pacholków wezwal instancji swietej Kingi, ale i jego uciszyl gest Zawiszy, gest nie gwałtowny, ale pelen władzy i autorytetu.

- Witaj nam, przybyszu - przemówil, imponujac spokojem, rycerz z Garbowa. - Zasiadz bez obawy przy naszym ognisku.

Stwór poruszyl glowa, Reynevan dostrzegl ulotny blysk wielkich oczu, w których czerwono przejrzał sie ogien.

- Zasiadź tu bez obawy - powtórzył Zawisza głosem życzliwym i twardym zarazem. - Nie musisz się nas lekac.

- Nie lekam - odezwał się chrapliwie stwór. Ku osłupieniu wszystkich. Stwór zaś wyciągnął łapę. Reynevan byłby odskoczył, ale zbyt się bał, by móc się poruszyć. I nagle ze zdumieniem uswiadomił sobie, że łapa wskazuje herb na tarczy Zawiszy. Potem zaś, ku jeszcze większemu jego zdumieniu, stwór wskazał na kociołek z ziołowym naparem.

- Sulima i Zielarz - zachrypiał stwór. - Prawość i wiedza. Czego tedy lekac? Nie lekam. Imię moje Hans Mein Igel.

- Witaj nam, Hansie Mein Igelu. Czyś głodny? Czy spragniony?

- Nie. Posiedzieć jeno. Posłuchac. Bo slyszal, jak mówia. I przyszedł posłuchac.

- Jesteś naszym gościem.

Stwór przybliżył się do ogniska, zjeżył w kule, znieruchomiał.

- Taaak - znowu zaimponował spokojem Zawisza. - Na czym to ja stanąłem?

- Na tym... - Reynevan przełknął, odzyskał mowę. - Na tym, *zenec Herkules*.

- Tak właśnie - zachrypiał Hans Mein Igel.

- Ano - rzekł swobodnie Sulimczyk - tak i było. *Nec Herkules*, zmogli nas. Kupa ich była, husytów znaczy. I tak mieliśmy to szczęście, że zwała się na nas kalisznicka jazda, taboryccy cepnicy nie znają bowiem takich słów jak „pardon” czy „okup”. Gdy zaszli mnie w koncu z kulbaki, ktoś z tych, co zostali przy mnie, Mertwicz albo Rarowski, zdążył krzyknąć, kim jestem. Ze byłem pod Grunwaldem z Zizką i Janem Sokolem z Lamberku.

Reynevan westchnął z cicha, słysząc sławne imiona. Zawisza milczał długo.

- Reszta - powiedział wreszcie - musicie znać. Bo reszta wiele od legendy różnić się nie może.

Reynevan i Hans Mein Igel w milczeniu kiwnęli głowami. Długo potrwało, nim rycerz przemówił znowu.

- Teraz - powiedział - tak mi się coś widzi, że sam sobie na starość zarobił na klatwie albo jak. Bo gdy mnie z niewoli wykupiono i wróciłem do Krakowa, to ja to wszystko, co wtedy, w dzień Trzech Króli, widziałem pod Niemieckim Brodem, to wszystko, na co patrzyłem nazajutrz, po zdobyciu miasta, opowiedziałem królowi Władysławowi. Opowiedziałem. Nie radziłem, nie pchałem się ze swoim zdaniem i opinią, nie byłem nachalny w sadach i osadach. Zwyczajnie opowiedziałem, a on, stary chytry Litwin, słuchał. I wiedział. I nigdy, chłopcze, bądź tego pewny, choćby papież słożył nad zagrożoną wiarą, a Luksemburczyk srożył się i groził, stary chytry Litwin nie posle na Czechów polskiego i litewskiego rycerstwa. I wcale nie przez złość na Luksemburczyka za wyrok wrocławski ani za rozbiórowe knowania w Poznaniu bynajmniej, lecz z powodu mojej opowieści. I wysnutego z niej jedynie słusznego wniosku, że polskie i litewskie rycerstwo jest potrzebne na Krzyżaków i głupio, całkiem bez sensu byłoby topic je w Sazawie, Weltawie czy Labie. Jagiello, po wysłuchaniu mojej opowieści, nigdy nie przyłączył się do antyhusyckich krucjat. Za moją, jak się rzekło, sprawą. Dlatego jade nad Dunaj, na Turków, zanim mnie ekskomunikują.

- Zartujecie - baknał Reynevan. - Gdzie was... Jaka ekskomunika? Takiego rycerza jak wy... Zartować raczyście.

- Pewnie - kiwnął głową Zawisza. - Pewnie, że racze. Ale strach jest.

Przez czas jakiś milczeli. Hans Mein Igel sapiał cicho. Konie w ciemnościach pochrapywały niespokojnie.

- Byłby to - zaryzykował Reynevan - koniec rycerstwa? I rycerskości? Piechota, solidarna i zwarta, ramię przy ramieniu, nie dość, że dostoi konnym pancernym, to nawet zdola ich pokonać? Szkotowie pod Bannockburn, Flamandowie pod Courtrai, Szwajcarzy pod Sempach i Morgarten, Angielczycy pod Azincourt, Czesi na Witkowie i pod Wyszehradem, pod Sudomierzem i Niemieckim Brodem... Może to koniec... epoki? Może kończy się czas rycerstwa?

- Wojna bez rycerstwa i rycerskości - odrzekł po chwili Zawisza Czarny - musi wreszcie przerodzić się w zwykły mord. A w konsekwencji ludobójstwo. W czymś takim nie chciałbym brać udziału. Ale tak szybko to nie nastąpi, więc nie myślę, bym dożył. Między nami mówiąc, nie chciałbym dożyć.

Długo panowała cisza. Ognisko dogasało, polana zarzyły się rubinowo, od czasu do czasu wybuchając sinawym płomykiem lub gejzerem iskier. Któryś z pacholków zachrapał. Zawisza tarł czoło dłonią. Hans Mein Igel, czarny jak klebek mroku, poruszał uszami. Gdy w jego ślepiach po raz kolejny odbił się płomień, Reynevan zorientował się, że stwór patrzy na niego.

- Miłość - odezwał się nagle Hans Mein Igel - niejedno ma imię. A tobie, młody Zielarzu, właśnie ona wyznaczy los. Miłość. Życie uratuje, gdy nie będziesz nawet wiedział, że to ona właśnie. Bo wiele ma imion Bogini. A jeszcze więcej twarzy.

Reynevan milczał osłupiały. Tym, który zareagował, był Zawisza.

- Proszę, proszę - powiedział. - Przepowiednia. Jak każda ciężka do wyrozumienia, jak każda pasuje do wszystkiego i do niczego zarazem. Bez urazy, panie Hansie. A dla mnie? Będziesz coś miał?

Hans Mein Igel poruszył głową i uszami.

- Nad wielką rzeką - powiedział wreszcie swym niezbyt wyraznym, chrapliwym głosem - stoi na górze gród. Na górze, a woda opływa. A zwie się: Golebi Gród. Złe miejsce. Nie jedź tam, Sulima. Złe miejsce dla ciebie, Golebi Gród. Nie jedź tam. Zawróć.

Zawisza milczał długo, widac było, że pogrążony jest w zadumie. Milczał tak długo, że Reynevan uznał, że zbednie milczeniem dziwne słowa dziwnego nocnego stworzenia. Mylił się.

- Ja - przerwał milczenie Zawisza - miecza jestem człowiek żelazny. Ja wiem, co mnie czeka. Znam mój los. Znam go od czterdziestu bez mała lat, od chwili, gdy wziąłem miecz do ręki. Ale nie obejrzę się za siebie. Nie spojrzę na pozostawiane za koniem hundsfeldy, psie groby i królewskie zdrady, na podłość, na małostkę i bezbożność ducha. Nie zawrócę z obranej drogi, mosci Hansie Mein Igelu.

Hans Mein Igel nie powiedział ani słowa, ale jego wielkie oczy rozblęskły.

- Tym niemniej - Zawisza Czarny potarł czoło - wolałbym, żebyś jak Reynevanowi wieszczę mi miłość. Nie śmierć.

- Ja też - powiedział Hans Mein Igel - bym wolal. Bywajcie.

Stwór nagle zwiększył się, mocno nastroszył sierść. I znikł. Rozpłynął się w mroku, tym samym mroku, z którego się wylonił.

Konie parskaly i potupywały w ciemnościach. Pacholkiwie chrapali. Niebo jasniało, gwiazdy bladły nad wierzchołkami drzew.

- Niesamowite - powiedział wreszcie Reynevan. - To było niesamowite.

Sulimczyk poderwał głowę, zbudzony z drzemki.

- Co? Co niesamowite?

- Ten... Hans Mein Igel. Wiecie, panie Zawiszo, że... No, przyznac musze... Byłem dla was podziwu pełen.

- Czemu?

- Gdy się wylonił z cmy, nawet nie drgneliscie. Ba, ani głos wam nie zadrzał. A jak z nim później gadaliscie, podziw brał... A przeciez to był... Stwór nocny. Nieludz.... Obcy.

Zawisza Czarny z Garbowa patrzył na niego długo.

- Znam mnóstwo ludzi... - odrzekł wreszcie bardzo poważnym głosem. - Całe mnóstwo ludzi bardziej mi obcych.

* * *

Świt był mglisty, mokry, kropelki rosy girlandami całymi wisiały na pajęczynach. Las był cichy, ale groźny jak śpiąca bestia. Konie boczyły się na nadpływający, płozący się opar, parskaly, potrasaly łbami.

Za lasem, na rozdrożu, stał kamienny krzyż. Jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. I mocno spóźnionej skruchy.

- Tu się rozstaniemy - powiedział Reynevan.

Sulimczyk spojrzal na niego, powstrzymujac się jednak od komentarza.

- Tu się rozstaniemy - powtórzył chłopiec. - Jak i wam, mnie też nie w smak ogladac się na hundsfieldy. Jak i wam, wstretna jest mi myśl o podłości i małości ducha. Wracani do Adeli. Albowiem... Nieważne, co mówił ów Hans... Moje miejsce jest przy niej. Nie będę uciekał jak tchórz, jak drobny złodziejasek. Stawie czoło temu, czemu będę musiał stawic. Jak wy stawiliscie pod Niemieckim Brodem. Bywajcie,

szlachetny panie Zawiszo.

- Bywaj, Reinmarze z Bielawy. Miej baczenie na siebie.

- I wy miejcie. Kto wie, może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Zawisza Czarny z Garbowa patrzył na niego długo.

- Nie sadze - powiedział wreszcie.

Rozdział piaty

w którym Reynevan wpięrow na własnej skórze poznaje, jak czuje się otępiony wilk w obrzuconej kniei. Potem spotyka Nikolette Jasnowłosa. A potem odpływa z pradem.

Za lasem, na rozdrożu, stał kamienny krzyż pokutny. Jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. I mocno spóźnionej skruchy.

Krzyż miał ramiona zakończone w kształt koniczynek. Na jego rozszerzonej u dołu podstawie wykuto topór - narzędzie, za pomocą którego pokutnik wyprawił na tamten świat bliźniego. Lub paru bliźnich.

Reynevan przyjrzał się krzyżowi uważnie. I bardzo brzydko zaklął.

To był dokładnie ten sam krzyż, przy którym bite trzy godziny temu pożegnał się z Zawiszą.

Winna była mgła, od świtu snująca się niczym dym po polach i lasach, winna była mżawka, która drobnymi kroplami zacinała w oczy, a gdy ustala, mgłę jeszcze wzmogła. Winien był sam Reynevan, jego zmęczenie i niedospanie, jego rozkojarzenie wywołane nieustannymi myślami o Adeli de Stercza i o planach jej oswobodzenia. A zresztą, kto wie? Może tak naprawdę winne były licznie zamieszkujące śląskie bory mamuny, zwodnice, lesowiki, majki, koboldy, chochliki, irlichty i inne wyspecjalizowane w wodzeniu na manowce licha? Mniej sympatyczni i mniej życzliwi krewni i znajomi poznanego noca Hansa Mein Igela?

Szukanie winnych nie miało jednak sensu i Reynevan wiedział o tym aż nadto dobrze. Należało rozumnie ocenić sytuację, podjąć decyzję i działać wedle tej ostatniej. Zsiadł z konia, oparł się o krzyż pokutny i zaczął intensywnie myśleć.

Miał po trzech godzinach jazdy być już gdzieś w połowie drogi do Bierutowa, cały ranek jeździł w kółko i był nadal tam, skąd wyruszył, a więc w bliskości Brzegu, nie dalej niż mile od grodu.[\[4.\]](#)

A może, pomyślał, może to los mna pokierował? Dał wskazówkę? Może jednak skorzystać z tego, że jestem blisko, jechać do miasta, do zaprzyjawnionego szpitala Świętego Ducha, tam poprosić pomocy?

Czy też lepiej nie tracić czasu i zgodnie z pierwotnym planem jechać prosto na Bierutów, do Ligoty? Do Adeli?

Miasta należy się wystrzegać, wywnioskował po zastanowieniu. Jego dobre, przyjacielskie wręcz kontakty z brzeskimi duchakami były znane wszystkim, a więc i Sterczom. Nadto, przez Brzeg wiodła droga do komandorii joannickiej w Malej Olesnicy, miejsca, w którym chciał odosobnić go książę Konrad Kantner. Pomijając dobre w sumie intencje księcia, pomijając i fakt, że Reynevan absolutnie nie miał ochoty spędzić kilku lat na pokucie u joannitów, ktoś z orszaku Kantnera mógł się wygadać lub dać przekupić, a wówczas było prawdopodobne, że Sterczowie czają się u brzeskich rogatki.

A więc Adela, pomyślał, jechać do Adeli. Na odsiecz Adeli. Jak Tristan do Izoldy, jak Lancelot do Ginewry, jak Gareth do Lionessy, jak Guinglain do Esmeraldy, jak Palmerin do Polinardy, jak Medoro do Angeliki. Słowem, trochę głupio i trochę ryzykancko, ba, szalenczo, lwo prosto w paszczkę. Ale, po pierwsze, tym może poszczycić się, tego mogą się nie spodziewać. Po drugie, Adela jest w potrzebie, czeka i z pewnością tęskni, nie może pozwolić, by czekała.

Rozpromienił się, a wraz z nim, jak za dotknięciem różdżki Merliną, zaczęło rozpromienić się niebo. Nadal było mgliście i mokro, ale już czuło się słońce, już coś tam w górze jasniało pomalutku, a wszechobecna szarość zaczęła nabierać barw. Ponuro milczące dotąd ptaki poczęły się niesmiało odzywać, wreszcie rozswiergotały się na dobre. Krople na pajęczynach lśniły jak srebro. Wiodące zaś z rozstają, tonące w oparze drogi wyglądały jak jakieś bajeczne zaswiaty.

A na to, żeby nie ulec błędnym urokom, też jest sposób. Zły, że zbyt zadufał i nie pomyślał o tym wcześniej, Reynevan rozgarnął stopa obrastające podstawę krzyża chwasty, przeszedł się skrajem drogi. Szybko i bez trudności znalazł to, czego szukał. Pierzasty lakowy kmin, obsypany różowymi kwiatkami zagorzalek, wilczomlecz. Odarł lodygi z listków, złożył je razem. Chwile potrwało, nim przypomniał sobie, jak i na które palce nawijać, jak przepleść, jak wykonać nodus, węzeł. I jak brzmi zaklecie.

Jedna, dwie, trzy

Wolfsmilch, Kiimmel, Zahntrost

Binde zu samene

Semitea eorum incurvatae sunt

Zas ma droga prosta.

Jedna z dróg rozstają zrobiła się po chwili jasnieszka, sympatyczniejsza, zapraszająca. Co ciekawe, bez pomocy nawazu Reynevan nigdy by nie przypuszczał, że to właśnie jest ta właściwa. Ale Reynevan wiedział, że nawazy nie kłamia.

* * *

Jechał może ze trzy pacierze, gdy usłyszał szczekanie psa i głośne, podniecone geganie gesi. Krótco potem nozdrza mile polechtal mu zapach dymu. Dymu wędzarni, w której ponad wszelką wątpliwość wisiało coś wielce smakowitego. Może szynka. Może boczek. A może półgesek. Reynevan wweşzył się w won tak zawzięcie, że zapomniał o bożym świecie i nie wiedząc nawet jak i kiedy wjechał w opłotki i na podwórze przydrożnej gospody.

Pies obszczekał go, ale tak bardziej z obowiązku, gasior, wyciągając szyję, nasyczał na konskie peciny. Do zapachu wędzonki dołączył zapach pieczonego chleba, wybijający się nawet ponad smród wielkiej gnojówki, oblezionej przez gesi i kaczki.

Reynevan zsiadł, uwiązał siwka do palika. Chłopak stajenny, który opodał oporządzał konie, nawet nie zwrócił na niego uwagi, tak był zajęty. Uwagę Reynevana przykuło natomiast coś innego - na jednym ze słupów podsienia, na dość bezładnie zmotanych różnokolorowych nitkach, wisiał heks - trzy gałazki związane w trójkąt i oplecione wiankiem z przywiedłych koniczyn i kaczeńców. Reynevan zadumał się, ale specjalnie nie zdziwił. Magia była wszechobecna, ludzie używali magicznych atrybutów nie wiedząc nawet, co znaczą i do czego naprawdę służy. Istotnym był natomiast fakt, że chroniący od złego heks, choć zapewne partacki, mógł zmylić jego nawez.

Dlatego tu trafilem, pomyślał. Psiakrew. Ale cóż, skoro już jestem...

Wszedł, schylając głowę pod niską belkę ościeżnicy.

Blony w małych oknach ledwo przepuszczały światło, wewnątrz panował półmrok, rozjasniany tylko rozbłyskami ognia z komina. Nad ogniem wisiał sagan, od czasu do czasu wzbierający piana, na co ogień reagował sykiem i dymem, dodatkowo utrudniającym widoczność. Nie było wielu gości, przy jednym tylko ze stolów, w kacie, siedziało czterech mężczyzn, prawdopodobnie wiesniaków, w ciemności trudno było rozpoznać.

Ledwo Reynevan siadł na ławie, dziewczka w zapasce postawiła przed nim miskę. Choć zrazu miał zamiar kupić tylko chleb i jechać dalej, wstrzymał się z protestem - przuchy w misce smakowicie i zniechęlająco pachniały topioną słoniną. Położył na stole grosz - jeden z tych niewielu otrzymanych od Kantnera.

Dziewka pochyliła się lekko, podając mu lipową łyżkę. Zaleciało od niej nikłym zapachem ziół.

- Wpadles jak sliwka w kupe - mruknęła z cicha. - Siedz spokojnie. Już cie widzieli. Skoczą na cie, ledwo się ruszysz zza stołu. Siedz więc i ani drgnij.

Odeszła w stronę paleniska, zamieszła w parującym i przyskającym saganie. Reynevan siedział zmartwiał, wpatrzony w skwarki na kluskach. Jego oczy przyzwyczaiły się już do mroku. Na tyle, by widzieć, że czterech mężczyzn przy stole w kacie za dużo mają broni i zbroi na sobie, by być wiesniakami. I że wszyscy czterech uważnie mu się przypatrują.

Przeklął w duchu swoją głupotę.

Dziewka wróciła.

- Za mało nas już zostało na tym świecie - mruknęła, udając, że wyciera stół - bym miała dać ci przepaść, synku.

Zatrzymała rękę, a Reynevan zobaczył na jej małym palcu kaczeniec, podobny do tych w heksie na

slupie. Nawiazany lodyzka w taki sposób, ze zółty kwiatek tworzył jakby klejnot pierścienia. Reynevan westchnał, odruchowo dotknął własnego nawezu, zasuplanych i wpietych pod guz kubraka lodgy wilczomleczka, zagorzalka i kminu. Oczy dziewczki zapłonely w półmroku. Kiwnęła głowa.

- Zobaczyłam, ledwoś wszedł - szepnęła. - I wiedziałam, że to właśnie na ciebie tamci polują. Ale nie dam ci przepaść. Mało nas już zostało, jeśli nie będziemy sobie wzajem pomagac, wyginieemy ze szczeniem. Jedz, nie dawaj pozorów.

Jadł bardzo wolno, czując, jak ciarki chodzą mu po plecach pod wzrokiem ludzi z kata. Dziewka pobrzekała patelnią, odkrzyknęła coś komus w drugiej izbie, dorzuciła do ognia, wróciła. Z miotła.

- Kazałam - mruknęła, zamiatając - zaprowadzić twego konia na gumno, za chlewik. Gdy się zaczniesz, uciekaj przez tamte drzwi, z tyłu, za rogoza. Za progiem miej baczenie. Na to.

Wciąż niby sprzątajac, podniosła długie zdźbło słomy, ukradkiem, acz szybko zawiązała na nim trzy supelki.

- Mna się nie przejmuj - szeptem rozwiła jego skrupuły. - Na mnie nikt nie zwróci uwagi.

- Gerda! - krzyknął karczmarz. - Chleb trza wyjmowac! Rusz się, kocmoluchu!

Dziewka odeszła. Zgarbiona, szarobura, nijaka. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikt oprócz Reynevana, któremu rzuciła na odchodnym palające jak zagiew spojrzenie.

Czterech zza stołu w kacie ruszyło się, wstało. Podeszli, dzwoniąc ostrogami, skrzypiąc skórą, chrzeszcząc kolczugami, wspierając pięści na rekojesciach mieczy, kordów i baselardów. Reynevan jeszcze raz, tym razem dosadniej, przeklął w myśli swój brak rozumu.

- Pan Reinmar Bielau. Ot, chłopcy, sami widzicie, co znaczy lowiecki opyt. Zwierz sprawnie otropiony, knieja sprawnie obrzucona, trochę szczęścia ino, a nie być bez zdobyczy. A szczęście się dziś do nas iscie usmiechnęło.

Dwaj z typów stanęli po bokach, jeden z prawej, drugi z lewej. Trzeci zajął pozycję za plecami Reynevana. Czwarty, ten, który się odezwał, wasaty, odziany w gesto nabijana guzami brygantynie, stanął naprzeciw. Po czym, nie czekając na zaproszenie, usiadł.

- Nie bedziesz - nie zapytał, stwierdził raczej - rzucił się, czynił prepedycję ani żadnego tara-rara? He? Bielawa?

Reynevan nie odpowiedział. Trzymał łyżkę między ustami a brzegiem miski, jak gdyby nie wiedział, co z tą łyżką poczac.

- Nie bedziesz - sam siebie zapewnił wasaty typ w brygantynie. - Bo przecie wiesz, że to byłoby całkiem głupio. My nic do ciebie nie mamy, ot, jeszcze jedna zwyczajna robota. Ale my, czujesz, zwykliśmy robote sobie ułatwac. Zacznieś wierzgac i halasowac, to cie ruk-cuk zrobimy potulnym. Tu, na krawędzi tego stołu złamiemy ci reke. To wypróbowany sposób, po takim zabiegu nawet wiazac pacjenta nie trzeba. Czyś coś mówił, czy mi się zdało?

- Nic - Reynevan pokonał opór zmartwiałych warg - nie mówiłem.

- To i dobrze. Koncz jedzenie. Do Sterzendorfu kawalek drogi, po co masz głodny jechac.

- Zwłaszcza - wycedził typ z prawej, w kolczudze i żelaznych awanbraszach na przedramionach - że w Sterzendorfie pewnie nie od razu cie nakarmia.

- A nawet jeśli - parsknął ten z tyłu, niewidoczny - to pewnością nie tym, co by ci mogło w smak pójść.

- Jeśli mnie puście... Zapłaćcie wam... - wydusił z siebie Reynevan. - Zapłaćcie wam więcej, niż dają Sterczowie.

- Zniewazasz zawodowców - rzekł wasaty w brygantynie. - Jestem Kunz Aulock, zwany Kyrielejson. Mnie się kupuje, ale nie przekupuje. Lękaj, lękaj kluski. Ruk-cuk!

Reynevan jadł. Prazuchy straciły smak. Kunz Aulock - Kyrielejson - zasadził za pas bulawę, która dotąd miał w reku, naciągnął rekawicę.

- Było - powiedział - nie dobierać się do cudzej baby.

- Całkiem niedawno - dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi - słyszałem księdza, cytującego po pijanemu jakiś list, bodajże do Hebrajczyków. Szło tak: wszelkie przekroczenie otrzyma słuszną zapłatę, iustam mercedis retributionem. Po ludzku znaczy to, że jeśli się coś uczyniło, trzeba umieć uczynków swych znać konsekwencje i być gotowym je ponieść. Trzeba umieć przyjmować to z godnością. Ot, dla przykładu, spojrzysz w prawo. To jest pan Stork z Gorgowic. Podobnych będąc jak ty zamilowan, całkiem niedawno popełnił pospół z druhami na jednej opolskiej mieszczce uczynek, za który, gdy schwycą, kleszczami szarpia i kołem lamia. I co? Patrz i podziwiaj, jak pan Stork godnie los znosi, jak jasne ma lica i wejrzenie. Bierz przykład.

- Bierz przykład - zachrypiał pan Stork, który, nawiasem mówiąc, lica miał przyszczate, a wejrzenie kaprawe. - I wstawaj. Czas w drogę.

W tym momencie palenisko komina eksplodowało, ze strasliwym hukiem plunęło na izbę ogniem, kurzawa iskier, klebami dymu i sadzy. Sagan wyleciał jak wystrzelony, łomotnął o podłogę, chlupnął warem. Kyrielejson podskoczył, a Reynevan mocnym pchnięciem zwałił na niego stół. Odkopnął w tył ławę, a niedojedzona miska prazuchów walnął pana Storka prosto w kroszcząca gębę. I szczupakiem rzucił się ku drzwiom na gumno. Jeden z typów zdążył złapać go za kołnierz, ale Reynevan miał za sobą studia w Pradze, łapano go za kołnierz po wszystkich bez mała szynkach Starego Miasta i Małej Strany. Zwałił się, uderzył łokciem, aż chrupnęło, wyrwał się, skoczył w drzwi. Pamiętał o ostrzeżeniu, zwinnie omiinal leżąc tuż za progiem zawezłona słome.

Scigający go Kyrielejson, ma się rozumieć, o magicznej słomie nie wiedział i zaraz na progu wywalil się jak długi, z impetem i poslizgiem jadąc przez swinskie łajna. Zaraz potem wywalil się na nawiezie Storka z Gorgowic, na klnącego na czym świat stoi Storka upadł trzeci z typów. Reynevan już był w siodle czekającego konia, już podrywał go do galopu, na wprost, na przelaj przez ogrody, przez grządki kapusty, przez agrestowe żywopłoty. Wiatr swiszczał mu w uszach, za sobą słyszał kłatwy i kwik swin.

Był wśród wierzb nad spuszczonego rybnikiem, gdy z tyłu usłyszał tetent i wrzask pogoni. Miast zatem omijać staw, pomknął po waziutkiej grobli. Serce kilkakrotnie zamierało mu, gdy grobla osuwała się pod kopytami. Ale udało się.

Poscig też wpadł na groble, ale aż tyle szczęścia nie miał. Pierwszy kon nie dobieżał nawet do połowy, osunął się wśród rzienia i po brzuch zapadł w mule. Drugi kon szarpnął się, do reszty rozwałił groble podkawkami, zjechał po zad w grzaskie blocko. Jeźdźcy wrzeszczeli, kleli wściekle. Reynevan pojął, że

musi wykorzystac okolicznosc i dany przez nia czas. Dzgnal siwka pieta, poszedl w cwal przez wrzosowiska, w kierunku zalesionych wzgórz, za którymi spodziewal sie zbawczych borów.

Choc swiadom, czym ryzykuje, zmusil chrapiacego ciezko konia do forsownego galopu w góre po pochylosci. Na szczycie tez nie dal siwkowi odpoczac, od razu popedzil go poprzez porastajace zbocze zagajniki. I wówczas, calkiem niespodzianie, droge zagrozdil mu jezdziec.

Sploszony siwek stanal deba, przenikliwie rzac. Reynevan utrzymal sie w siodle.

- Niezle - powiedzial jezdziec. Czy raczej amazonka. Byla to bowiem dziewczyna.

Dosc wysoka, w meskim stroju, w obcislym aksamitnym kubraku, spod którego wyzierała pod szyja snieznobiala krezka koszuli. Z grubym jasnym warkoczem, spływającym na ramie spod sobolowego kolpaczka, ozdobionego pekiem czaplich piór i zlota brosza z szafirem, warta zapewne tyle co dobry wierzchowiec.

- Kto cie sciga? - krzyknela, wprawnie opanowujac tanczacego konia. - Prawo? Gadaj zaraz!

- Nie jestem przestepca...

- Za co wiec?

- Za milosc.

- Ha! Od razu tak pomyslalam. Widzisz ten rzad ciemnych drzew? Tamtedy plynie Stobrawa. Jedz tam co tchu i zapadnij w moczary na lewym brzegu. A ja odciagne ich od ciebie. Dawaj oponcze.

- Co tez wy, pani... Jakze to...

- Dawaj oponcze, powiedzialam! Jezdzisz dobrze, ale ja jezdze lepiej. Ach, alez przygoda! Ach, alez bedzie co opowiadac! Elzbieta i Anka skreca sie z zazdrosci!

- Pani... - wybakal Reynevan. - Nie moge... Co bedzie, jak was doscigna?

- Oni? Mnie? - parsknela, mruzac oczy blekitne jak turkusy. - Chyba kpisz!

Jej klacz, zbiegiem okolicznosci również siwa, rzucila zgrabnym lbem, zatanczyla znowu. Reynevan byl zmuszony przyznac racje dziwnej pannie. Ten szlachetny, na pierwszy rzut oka raczy wierzchowiec wart byl znacznie wiecej od szafirowej broszy z kolpaczka.

- To szalenstwo - powiedzial, rzucajac jej oponcze. - Ale dziekuje. Odwdziecze sie...

Z dolu wzgórz daly sie slyszec krzyki poscigu.

- Nie trwon czasu! - krzyknela panna, nakrywajac glowe kapturem. - Dalej! Tam, nad Stobrawe!

- Pani... Twe imie... Rzeknij mi...

- Nikoletta. Mój Alkasyne, scigany za milosc. [\[5.\]](#) Byyywaaaaj!

Pchnela klacz w galop, a byl to raczej lot niz galop. Zjechała ze zbocza jak huragan, w obloku kurzu,

pokazała się poscigowi i poszła przez wrzosowiska tak szalonym cwalem, że Reynevan momentalnie wyzbył się wyrzutów sumienia. Zrozumiał, że jasnowłosa amazonka nie ryzykowała niczym. Ciezkie konie Kyrielejsona, Storka i pozostałych, niosące dwustufuntowych chłopów, nie mogły iść w zawody z siwą klaczą pełnej krwi, w dodatku obciążona jedynie lekką dziewczyną i lekkim siodłem. I faktycznie, panna nie dała się nawet gonić na oko, bardzo szybko znikła za wzgórzem. Ale poscig szedł za nią, twarde i nieublagane.

Moga ją zmęczyć równym biegiem, pomyślał ze strachem Reynevan. Ja i te jej klacze. Ale, uspokajał sumienie, ona z pewnością ma gdzieś w pobliżu swój orszak. Na takim koniu, tak odziana, to przecież oczywiste, że to dziewczyna wysokiego rodu, takie jak ona nie jeżdżą same, myślał, gnając galopem we wskazanym przez pannę kierunku.

I oczywista, myślał, lykając wiatr w cwale, wcale nie nazywa się Nikoletta. Zadrwiła sobie ze mnie, biednego Alkasy.

* * *

Skryty wśród bagien olsu nad Stobrawą Reynevan odetchnął, ba, poczuł się nawet dumnie i butnie, iście Roland czy Ogier, co okpił i w pole wywiódł przesladujące go hordy Maurów. Buta i dobre samopoczucie opuściły go jednak, gdy spotkała go przygoda zupełnie nierycerska, gdy zdarzyło mu się coś, co nigdy, jeśli wierzyć balladom, nie zdarzyło się Rolandowi, Ogierowi, Astolfowi, Renaltowi z Montalbanu ani Raulowi z Cambrai.

Zwyczajnie i całkiem prozaicznie okulał mu kon.

Reynevan zsiadł zaraz, gdy tylko poczuł fałszywy, złamany rytm kroku wierzchowca. Obejrzał nogę i podkowię siwka, ale niczego nie był w stanie stwierdzić. Ani tym bardziej niczego przedsięwziąć. Mógł tylko iść, ciągnąć kulejące zwierzę za wodze. Pięknie, myślał. Od srody do piątku, jeden kon zajędzony, drugi okulawany. Pięknie. Niezły wynik.

Na domiar złego z prawego, wysokiego brzegu Stobrawy rozbrzmiały naraz gwizdy, rzenie, kłatwy, wykrzyczane znajomym głosem Kunza Aulocka, zwanego Kyrielejson. Reynevan wciągnął konia w co gestsze krzaki, chwycił za chrapy, by nie zarzał. Krzyki i kłatwy ucichły w oddali.

Zgonili dziewczynę, pomyślał, a serce spłynęło mu aż do podbrzusza, tak ze strachu, jak i z wyrzutów sumienia. Dognali ją.

Nie dognali, nie zgonili, uspokajał rozsadek. Dopędzili, ale co najwyżej jej orszak, gdzie poznali pomyłkę. Gdzie „Nikoletta” wysmiała ich i wydrwiła, bezpieczna wśród swych rycerzy i pacholków.

Wrócili więc, kraza, tropia. Myśliwcy.

* * *

Noc przesiedział w chaszczach, czekając zębami i opędzając się od komarów. Nie zmrzywszy oka. A może zmrzywszy, lecz na małą jeną chwilkę. Musiał zasnąć, musiał snuć, bo jakimże innym sposobem mógł widzieć dziewczynę z karczmy, tę szarą, przez nikogo nie zauważaną, tę z kaczeńcowym

pierscionkiem na palcu? Jak inaczej, jak nie sennym widziadłem, mogła do niego przyjść?

Tak mało nas już zostało, powiedziała dziewczyna, tak mało. Nie daj się schwytac, nie daj się otropic. Co nie zostawia śladu? Ptak w powietrzu, ryba w wodzie.

Ptak w powietrzu, ryba w wodzie.

Chciał ja spytać, kim jest, skąd zna nawozy, czym - bo przecie nie prochem - wywołała eksplozję komina. Chciał ja spytać o wiele rzeczy.

Nie zdążył. Obudził się.

* * *

Jeszcze przed świtem ruszył w drogę. Kierował się biegiem rzeczki. Szedł może z godzinę, trzymając się wysokich gradów, gdy w dole pod nim rozciągnęła się naraz szeroka rzeka. Tak szeroka, jak jedna tylko na całym Śląsku.

Odra.

* * *

Odra zegłował pod prąd mały barkas, pełen gracji w nurcie niczym perkoz zwinnie sunący skrajem jasnej mielizny. Reynevan przyglądał się chciwie.

Tacyście przebiegli, pomyślał patrząc, jak wiatr wydyma żagiel barkasu, a przed dziobem pieni się woda. Tacy z was myśliwcy? Panie Kyrielejson et consortes? Takescie mnie, mniemacie, otropili, obrzuciwszy knieje? Poczekajcie, ja wam wytne numer. Przerwie się, wyjadę z waszej obierzy tak gracko, z takim rozmachem, że diabła zjecie, nim znowu odszukacie mój trop. Bo przyjdzie wam tego tropu szukać pod Wrocławiem.

Ptak w powietrzu, ryba w wodzie...

Pociągnął siwka w stronę wiodącą ku Odrze wyjeżdżonej drogi. Dla pewności nie szedł jednak drogą, lecz trzymał się łozy i wierzbiny. Droga wszak, jak sadił, wytyczała kierunek ku przystani rzecznej. Radził dobrze.

Już z oddalenia usłyszał podniesione głosy ludzi na przystani, zaperzone, nie wiadomo, w kłótni czy w zapale targów i handlowych negocjacji. Z łatwością dało się jednak poznać język, w którym mówili. A mówili po polsku.

Zanim więc wyszedł z łozy i ze skarpy zobaczył przystan, Reynevan wiedział, do kogo należały tak głosy, jak i przycumowane do pali małe skutny, barkasy i czołna. Byli to Wasserpolen, Polacy Wodni, flisacy i rybacy odrzanscy, zorganizowane bardziej na kształt klanu niż cechu towarzystwo, maszoperia, która oprócz wykonywanego zawodu scalał język i silne poczucie narodowej odrębności. Polacy Wodni mieli w rekach spora część śląskiego rybolówstwa, znaczny udział w splawie drewna i jeszcze znaczniejszy w małym transporcie rzeczonym, w którym całkiem udatnie konkurowali z Hanza. Hanza nie

docierala Odra wyzej niz do Wroclawia, Polacy Wodni wozili towary az do Raciborza. W dól Odry plywali az do Frankfurtu, Lubusza i Kostrzynia, a nawet - w niepojety sposób obchodzac rygorystyczne frankfurckie prawo skladu - dalej w dól, za ujście Warty.

Od przystani niosło ryba, mulem i smola.

Reynevan z trudem sprowadził kulejacego konia po sliskiej glinie skarpy, zbliżył się do przystani, wchodząc pomiędzy szopy, szalasy i suszące się sieci. Po pomostach lomotały i klaskały białe stopy, trwał załadunek i wyladunek. Z jednej skutki wyladowywano, na drugą załadowywano. Część towaru, na którą składały się głównie garbowane skóry i beczulki z nieznaną zawartością, była z przystani przenoszona na wozy, operację nadzorował brodaty kupiec. Na jedną ze skutk wprowadzano byka. Buhaj ryczał i tupal, aż cały pomost się trząsł. Flisacy kleli po polsku.

Dosć szybko się uspokoiło. Wozy ze skórami i beczkami odjechały, buhaj rogiem usiłował nadwyrezyc ciasną zagrodę, w której go zamknęto. Wodni Polacy, zgodnie ze swym obyczajem, wdali się w kłótnię. Reynevan znalazł polski na tyle dobrze, by wyrozumieć, że jest to kłótnia o nic.

- Czy żeglujecie, jeśli wolno spytać, ktoś z was w dół rzeki? Do Wrocławia?

Wodni Polacy przerwali dysputę i przyjrżeli się Reynevanowi niespecjalnie życzliwym wzrokiem. Jeden splunął do wody.

- A jeśli nawet - burknął - to co? Wielmożny panie szlachcicu?

- Kon mi okulał. A trzeba mi do Wrocławia.

Polak zachnął się, charknął, splunął znowu.

- No - nie rezygnował Reynevan. - Jakże tedy będzie?

- Nie wożę Niemców.

- Nie jestem Niemcem. Jestem Ślązakiem.

- Aha?

- Aha.

- To powiedz: soczewica, kolo, miele, mlyn.

- Soczewica, kolo, miele, mlyn. A ty powiedz: stół z powylamywanymi nogami.

- Stół z powy... myła... waly... Wsiadaj.

Reynevan nie dał sobie dwa razy powtarzać, ale żeglarz obcesowo schłodził jego zapal.

- Zaraz! Gdzie? Po pierwsze, to ja plynę ino do Olawy. Po drugie, to kosztuje piec skojców. Za konia dodatkowe piec.

- Jeśli nie masz - wtracił się z lisim uśmiechem drugi Wasserpolak, widząc, jak Reynevan z nietęga miną gmera w trzosie - to ja tego konia odkupię. Za piec... No, niech będzie sześć skojców. Dwanastcie

groszy. Bedziesz miał akurat na rejs. A za konia, nie mający go, płacić nie będziesz musiał. Czysty zysk.

- Ten kon - zauważył Reynevan - wart jest co najmniej pięć grzywien.

- Ten kon - zauważył szybko Polak - wart jest gównem. Bo nie dojedziesz na nim tam, dokąd ci pilno. Jakże tedy będzie? Sprzedasz?

- Jeśli dołożycie jeszcze trzy skojce za siodło i rzad.

- Jednego skojca.

- Dwa.

- Zgoda.

Kon i pieniądze zmieniły właścicieli. Reynevan na pożegnanie poklepał siwka po szyi, pogładził po zagrywku, pociągnął nosem, zegnając się, było nie było, z przyjacielem i towarzyszem niedoli. Uchwycił się liny i wskoczył na pokład. Żeglarz zrzucił cumę z pała. Szukuta drgnęła, wolno wpłynęła w nurt. Buhaj ryczał, ryby cuchnęły. Na pomostcie Polacy Wodni oglądali nogę siwka i klócili się o nic.

Szukuta płynęła w dół rzeki. Ku Olawie. Szara woda Odry chlupotała i pieniała się u burt.

* * *

- Mosci panie.

- Co? - Reynevan poderwał się, przetarł oczy. - Co jest, panie szyper?

- Olawa przed nami.

Od ujścia Stobrawy do Olawy jest Odra niecałe pięć mil. Odległość taka płynąca z prądem szukuta zdolna jest pokonać w czasie nie dłuższym niż dziesięć godzin. Pod warunkiem, że płynie się bez dłuższych postojów i nie ma poza żegluga żadnych innych zajęć.

Wasserpolak, szyper skutury, miał zajęć bez liku. Także i na brak postojów po drodze Reynevan nie mógł narzekać. Ogólnie rzecz biorąc, nie miał żadnych powodów, by narzekać. Choć miast dziesięciu godzin spędził na szkucie półtora dnia i dwie noce, był w miarę bezpieczny, podróżował wygodnie, zajął wczasu, wyspał się porządnie, najadł do syta. Ba, pokonwersował nawet.

Polak Wodny - choć nie powiedział się Reynevanowi z imienia i powiadania się nie wymagał - był w sumie czelkiem całkiem sympatycznym i miłym w obejściu. Choć mało mówny, by nie rzecz burkliwym, opryskliwym i niegrzecznym nie był bynajmniej. Choć prosty, nie był bynajmniej głupi. Szukuta lawirowała między kepami i mieliznami, zawijając do przystani już to na lewym, już to na prawym brzegu. Czterooosobowa załoga uwijała się jak w ukropie, szyper kłął i poganiał. Ster pewnie dzierżyła zona Wasserpolaka, niewiasta znacznie od niego młodsza. Reynevan, by nie nadużyć uprzejmości, unikał, jeśli się dało, patrzenia na jej mocne uda widoczne spod zawiniętej spódnicy. Odwracał, jeśli zdołał, wzrok, gdy przy manewrach sterowym wiosłem opinała się koszula na piersiach godnych Wenery.

Reynevan odwiedził na szkucie nadodrzańskie przystanie o nazwach takich jak Jazica, Zagwizdzie,

Kleby i Mat, był świadkiem kolektywnych połowów ryb i transakcji handlowych, a także swatów. Widział załadunek i wyładunek najrozmaitszych towarów. Zobaczył rzeczy, jakich nigdy przedtem nie zdarzyło mu się widzieć, jak chociażby mierzacy piec lokci i wazacy sto dwadzieścia piec funtów sum. Jadł, czego nigdy przedtem nie jadł, jak chociażby pieczone nad zarem filety z owego suma. Dowiedział się, jak ustrzec się utopca, nikska i wirnika. Jaka jest różnica między niewodem a drygawica, jaka między jazem a gacia, jaka między lacha a przykosa i jaka między leszczem a gusciora. Nasłuchał się bardzo brzydkich słów o niemieckich pankach, gnebiacych Polaków Wodnych zbójceckimi clami, mytami i podatkami.

A następnego ranka okazało się, że jest niedziela. Polacy Wodni i miejscowi rybacy nie pracowali. Modlili się długo u dość topornie wykonanych figur Matki Boskiej i świętego Piotra, potem ucztowali, potem odprawili coś na kształt sejmiku, potem zaś popili się i pobili.

Tak więc, choć długa, podróż nie dłużyła się wcale. A teraz był świt czy raczej poranek. I miasto Olawa za zakretem rzeki. Zona Wasserpolaka naparła na ster, jej piersi naparły na koszule.

- W Olawie - odezwał się szyper - zjedźcie mi na różne sprawy jeden, góra dwa dni. Jeśli tyle wydolicie zaczekac, weźme was do Wrocławia, młody panie Szlajak. Bez dobawnej opłaty.

- Dziękuję - Reynevan wyciągnął do uścisku rękę, świadom, że właśnie spotkał go zaszczyt okazanej sympatii. - Dziękuję, ale w drodze był czas przemysleć parę spraw. I teraz Olawa odpowiada mi nawet bardziej niż Wrocław.

- Wedle woli. Wyszadź was, gdzie chcecie. Na lewym wolicie brzegu, czy na prawym?

- Chciałbym na strzelinski trakt.

- Tedy na lewym. Rozumiem też, że samej miejskiej rogatki wolelibyście uniknąć?

- Wolalbym - przyznał Reynevan, zadziwiony bystrością Polaka. - Jeśli wam to nie wadzi.

- Co mi ma wadzić. Ster lewo na burt, Maryska. Płyn pod Drozdowy Jaz.

Za Drozdowym Jazem rozciągało się rozległe starorzecze, całe pokryte dywanem żółto kwitnących gaza. Nad starorzeczem snuła się mgła. Słychać było dalekie odgłosy rozbudzonego już olawskiego podgrodzia - pianie kogutów, ujadanie psów, podzwanianie metalu o metal, sygnaturkę.

Na dany znak Reynevan zeskoczył na chwiejny pomost. Szkuta otarła się o pale, rozgarnęła dziobem wodorosty, leniwie zawróciła na nurt.

- Grobla cały czas - zawołał Wasserpolak. - A tak, by słonko mieć za plecami! Az do mostu na Olawie, potem ku lasowi. Będzie strumyk, a za nim już strzelinski gosciniac. Zbłądzić się nie da!

- Dziękuję! Z Bogiem

Z rzeki szybko jęła wznosić się mgła, szkuta zaczęła nikić. Reynevan zarzucił na ramię wezelek

- Panie Szlajak! - dobiegło od rzeki.

- Aha?

- Stól z powylamywanymi nogami!

Rozdział szósty

w którym Reynevan najpierw zbiera ciegi, a potem rusza w drogę do Strzelina w towarzystwie czworga ludzi i jednego psa. Nude podróży umiła dysputa o herezjach, pieniacych się ponoc na podobieństwo kakolu.

Skrajem boru, wśród zielonych rdestów, wesolo tocząc nasłonecznioną wodę, płynął strumyk, meandrując szlakiem wytyczonym przez szpaler wierzb. Tam, gdzie zaczynała się przesieka i droga wchodziła w las, brzegi strumyka spinał mostek z grubych bali, bali tak czarnych, omszałych i starych, jak gdyby konstrukcje wykonano za czasów Henryka Pobożnego. Na mostku stał podróżny wóz, zaprzeczony w gniada i chudawa szkape. Wóz był silnie przechylony. Dalo się widzieć, dlaczego.

- Kolo - stwierdził fakt Reynevan, podchodząc. - Jest kłopot, co?

- Większy, niżli sádzicie - odrzekła, rozmazując na spoconym czole dziegieć, młoda, rudowłosa i ładna, choć nieco tegawa kobieta. - Ojko nam pekło.

- Ha. Tedy bez kowala ani rusz.

- Aj, aj! - złapał się za lisia czapę drugi podróżny, brodaty Żyd w skromnej, lecz zadbanej i bynajmniej nie ubogiej przyodziewie. - Boże Izaaka! Nieszczęście! Biada! Co tedy czynić?

- Jechaliscie - odgadł Reynevan z kierunku, który wskazywał dyszel - na Strzelin?

- Odgadliscie, młody panie.

- Pomogę wam, a wy mnie w zamian podwieziecie. Ja, widzicie, też w tamtą stronę. A też mam kłopoty...

- Nietrudno to wymiarkować - Żyd poruszył broda, a oczy błysnęły mu chytrze. - Zście szlachcic, młody panie, to widac. A gdzie tedy wasz kon? Wozem, chociażescie przecie nie Lancelot, mysliscie podróżować? Ale niech tam. Dobrze wam z oczu patrzy. Jam jest Hiram ben Eliezer, rabin kahału brzeskiego. W drodze do Strzelina...

- A jam jest - wesolo wpadła w słowo rudowłosa kobieta, naśladując sposób mówienia Żyda - Dorota Faber. W drodze w świat daleki. A wy, młody panie?

- Zwe się - zdecydował po krótkiej chwili wahania Reynevan - Reinmar Bielau. Posłuchajcie. Uczynimy tak. Ściągniemy jakos wóz z mostku, wyprzezemy kobyłę, ja na niej na oklep do Olawy na podgrodzie skoczę, z owym ojkiem, do kowala. Trzeba będzie, to go i przywiozę. Bierzmy się do roboty.

Okazalo sie, ze to nie tak latwo.

Z Doroty Faber pozytek byl maly, z leciwego rabiego zaden. Choc chuderlawa kobyła zawziecie tlukła kopytami w nadgnile bale i parla na chomato, posuneli wóz ledwie o sazen. Reynevan sam nie byl w stanie unosić wehikulu. Siedli wreszcie przy złamanej osi i przypatrywali sie, dyszac, kielbiom i minogom, od których az ruszalo sie piaszczyste dno rzeczki.

- Mówiliscie - zapytal Reynevan rudowlosa - ze idziecie w swiat. Dokad?

- Za chlebem - odrzekla swobodnie, wycierajac nos wierzchem dloni. - Na razie, skoro pan Zyd laskawie na wóz wzial, z nim do Strzelina, potem, kto wie, chocby i do Wroclawia samego. W moim fachu wszedy prace najde, ale chcialoby sie najlepsza...

- W waszym... fachu? - zaczal kojarzyc Reynevan. - To... to znaczy... ze...

- Wlasnie. Jestem... Jak wy to mówicie... Ta, no... Jawno grzesznica. Do niedawna z brzeskiego zamtuza „Pod Korona”.

- Rozumiem - powaznie kiwnal glowa Reynevan. - I razem jechaliscie? Rabbi? Ty? Wziales na wóz... Hmm... Kurtyzane?

- Co mialem nie wziac? - szeroko rozwarl oczy rabbi Hiram. - Wziales. Toc, prosze ja mlodego pana, na straszne wyszedlbym ciula, gdybym nie wzial.

Omszale bale drgnely pod krokami.

- Kłopot? - spytal jeden z trzech mezczyzn, którzy weszli na most. - Moze pomóc?

- Przygodziloby sie - przyznal Reynevan, choc niemile geby i ruchliwe oczka chetnych pomocników bardzo, ale to bardzo mu sie nie podobaly. Okazalo sie, ze slusnie. Zaraz, ledwie pchniety wieloma parami silnych rak wóz znalazl sie na lace za mostkiem.

- No! - powiedzial, potraszajac laga, najwyzszy z typów, zarosniety po oczy. - Robota zrobiona, tera trza placic. Wyprzegaj, parchu, konia z woza, sciagaj szube, dawaj sakiewke. Ty, paniczu, zdymaj kubrak i wyskakuj z botów. A ty, krasna, wyskakuj ze wszystkiego, tobie inak placic przyjdzie. Na gólke!

Kamraci zarechotali, szczerzac zepsute zeby. Reynevan schylil sie i uniósł kól, którym podwazal wóz.

- Patrza - wskazal go laga zarosniety - jaki to panicz bojowny. Jeszcze go nie naumialo zycie, ze jak kaza boty oddac, to trza oddac. Bo boso da sie chodzic, a na polamanych kulasach nie. Hajze! Bij go!

Typki zwinnie odskoczyly przed swiszczacym mlyncem, którym otoczyl sie Reynevan, jeden dopadl od tylu i wprawnym kopnieniem pod kolano zwalil chlopca na ziemie, sam zawyl i zatoczyl sie, chroniac oczy przed paznokciami siedzacej mu na karku Doroty Faber. Reynevan dostal laga przez bark, skulil sie pod kopniakami i razami kijów, zobaczyl, jak jeden z typów ciosem piesci obala próbujacego interweniowac Zyda. A potem zobaczyl czarta.

Zbiry zaczely krzyczec. Strasznie.

Tym, co dobrało się do zbirów, nie był, rzecz jasna, żaden czart. Był to wielki, smolście czarny pies, brytan, noszący na karku najezona kolcami obrozę. Pies zwijał się przy zbirach jak czarna błyskawica, atakował zaś nie jak brytan, ale jak wilk. Ciało klamało i puszczało. Był ciac drugiego. W lydki. W uda. W krocza. A gdy upadli, w rece i twarze. Krzyki kasanych zrobiły się makabrycznie cienkie. Aż włosy podnosiło.

Rozległ się przeszywający, modulowany świst. Czarny brytan natychmiast odskoczył od zbirów, siadł nieruchomo z postawionymi uszami. Jak figura z antracytu.

Na most wjechał jezdziec. Ubrany w krótki szary płaszcz spięty srebrną klamrą, obcisły wams i szaparon z długim, opuszczonym na ramię ogonem.

- Gdy słonko ponad wierzchołek tamtego świerka wyjrzy - przemówił donosnie przybysz, prostując na siodło karego ogiera postać bynajmniej nie stolinowa - puszcze Belzebuba waszym śladem, szubrawcy. Tyle macie czasu, obwiesie. A że Belzebub jest chyży, doradzam bieg. A odradzam przerwy w biegu.

Obwiesiom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zemknęli w las, kuszącykając, pojękując i oglądając się strachliwie. Belzebub, jak gdyby wiedział, czym bardziej ich nastraszy, nie patrzył na nich, ale na słońce i wierzchołek świerka.

Jezdziec lekko popędził zrebca. Podjechał bliżej, z wysokości siodła przyjrzał się Żydowi, Dorocie Faber i Reynevanowi, który wstawał właśnie, macając zebra i ocierając krew z nosa. Zwłaszcza Reynevanowi - co uważa chłopca nie uszło - jezdziec przypatrywał się wyjątkowo uważnie.

- No, no - powiedział wreszcie. - Sytuacja klasyczna. Jak w bajce. Bagienko, most, kolo, tarapaty. I pomoc jak na zawołanie. Nie przyzywajcie aby? Nie lekacie się, że wyjmę i każę podpisać cyrografy?

- Nie - rzekł rabbi. - Nie ta bajka.

Jezdziec parsknął.

- Jestem Urban Horn - oznajmił, patrząc wciąż wprost na Reynevana. - Komuż to wraz z moim Belzebubem pomogliśmy?

- Rabbi Hiram ben Eliezer z Brzegu.

- Dorota Faber.

- Lancelot z Wozu - Reynevan, mimo wszystko, nie miał jakos zaufania.

Urban Horn parsknął znowu, wzruszył ramionami.

- Tusze, że w stronę Strzelina wam droga. Wyprzedziłem na gościncu podróżnego, tamże zmierzającego. Jeśli pozwolicie sobie doradzić, lepiej by było o podwoje się pokłonić, niż tu nad złamanym kołem do nocy sterczeć. Lepiej. I bezpieczniej.

Rabbi Hiram ben Eliezer obrzucił swój wehikul tesknym spojrzeniem, ale kiwaniem brody przyznał obcemu rację.

- A teraz - obcy spojrział nad las, na wierzchołek świerka - bywajcie. Obowiązek wzywa.

- Myślałem - odwążył się Reynevan - żeście ich tylko straszili...

Jezdziec spojrzal mu w oczy, a wzrok miał zimny. Wreż lodowy.

- Straszylem - przyznał. - Ale ja, Lancelocie, nigdy nie strasze na wiatr.

* * *

Zapowiadany przez Urbana Horna podróżnym okazał się ksiądz. Powozacy sporym wozem grubasek z głęboko wygolona tonsura, odziany w płaszcz obszyty tchórzami.

Ksiądz zatrzymał konia, nie schodząc z kozła wysłuchał opowieści, przyjrzał wozowi ze złamaną oską, przypatrzył uważnie każdemu z trójga unieżenie proszacych, pojął wreszcie, o cóż to proszacy proszą.

- Ze niby jak? - zapytał wreszcie z wielkim niedowierzaniem. - Do Strzelina? Na moim wozie?

Proszacy przybrali poży jeszcze bardziej proszace.

- Ja, Filip Granciszek z Olawy, pleban od Matki Bożej Pocieszenia, dobry chrześcijanin i katolicki duchowny, mam wziąć na wóz Żyda? Kurwe? I włóczęge?

Reynevan, Dorota Faber i rabbi Hiram ben Eliezer popatrzyli po sobie, a miny mieli nietegie.

- Wsiadajcie - oznajmił wreszcie sucho ksiądz. - Tę na strasznego wyszedłbym ciula, gdybym was nie wziął.

* * *

Nie minęła godzina, gdy przed ciągnącym księzowski wóz bulanym walcem zjawił się Belzebub, łsniający od rosy. A nieco później na gościncu objawił się Urban Horn na swym karoszu.

- Pojadę z wami do Strzelina - oznajmił swobodnie. - Jeśli, naturalnie, nie macie nic przeciw.

Nikt nie miał nic przeciw.

O los obwiesiów nikt nie pytał. A z mądrych ślepiów Belzebuba nie dało się wyczytać nic.

Albo wszystko.

* * *

I jechali tak sobie strzelinskim gościncem, dolina rzeki Olawy, już to wśród lasów gestych, już to wśród wrosowisk i łąk rozległych. Przodem, niczym lafer, biegł brytan Belzebub. Pies patrolował drogę, czasem znikał wśród lasu, bobrował w chaszczach i trawach. Gonienie i obszczekiwanie płoszonych zająców czy sójek nie zdarzało się jednak, było wyraźnie poniżej godności czarnego psiska. Nie zdarzało

się, by musiał karcic czy przywoływać psa Urban Horn, tajemniczy nieznajomy o zimnych oczach, jadący obok wozu na swym karym zrebku.

Zaprzeczonym w bulanego walacha księzowskim wozem powozila Dorota Faber. Rudowłosa brzeska nierzadnica wyprosiła to na proboszczu i w sposób wyrazny traktowała jako rodzaj zapłaty za przejazd. A powozila świetnie, z wielką wprawą. Tym sposobem siedzący obok niej na kozle ksiądz Filip Granciszek mógł bez obawy o wehikul drzemac lub dyskutowac.

Na wozie, na workach z owsem - zależnie od okoliczności - drzemali lub dyskutowali Reynevan i rabbi Hiram ben Eliezer.

Na koncu, przywiązana do drabki, tułała chuderława żydowska kobyła.

Jechano wiec, drzemano, dyskutowano, przystawano, dyskutowano, drzemano. Zjedzono to i owo. Wypito gliniaczek gorzalki, który wyciągnął był z sepetów ksiądz Granciszek. Wypito drugi, który wyciągnął spod szuby rabbi Hiram.

Szybko, bo zaraz za Brzeźmierzem, wyszło na jaw, że proboszcz i Żyd jechali do Strzelina w identycznym niemal celu - na posłuchanie u wizytującego miasto i probostwo kanonika wrocławskiej kapituły. Jeśli jednak ksiądz Granciszek jechał, jak wyznał, na wezwanie, by nie powiedziec dywanik, rabbi miał dopiero nadzieję uzyskać audiencję. Proboszcz nie dawał mu dużych szans.

- Wielebny kanonik - mówił - siła ma tam roboty. Mnóstwo spraw, sądów, bez liku posłuchan. Trudne nam bowiem czasy nastaly, oj, trudne.

- Tak jakby - sciagnęła lejce Dorota Faber - byly kiedyś łatwe.

- Mówię o trudnych czasach dla Kościoła - zaznaczył ksiądz Granciszek. - I dla prawdziwej wiary. Albowiem pełni, pełni się kakol herezji. Spotkasz kogo, pozdrowi cie w imię Boże, a nie zgadniesz, czy nie kacerz. Mówiliscie cos, rabbi?

- Kochaj bliźniego - zamruczał Hiram ben Eliezer, nie wiada, czy nie przez sen. - Prorok Eliasza objawic się może z każda twarzą.

- Ot - lekceważaco machnął reka ksiądz Filip. - Żydowska filozofia. A ja mówię: czujność i praca, czujność, praca i modlitwa. Albowiem drzy i chwieje się Piotrowa opoka. Pełni, pełni się dokola kakol herezji.

- To - Urban Horn wstrzymał konia, by jechac tuż obok wozu - już mówiliscie, pater.

- A bo to i prawda - księdza Granciszka, wyglądało, całkiem odeszła sennosc. - Ile razy by nie powiadał, prawda. Szerzy się kacerstwo, mnoży apostazja. Jak grzyby po deszczu wyrastają fałszywi prorocy, gotowi fałszywymi swymi naukami Boży Zakon wykoslawiac. Zaprawdę, iscie wieszczko pisał apostoł Paweł do Tymoteusza: „Przyjdzie chwila, kiedy zdrowej nauki nie będą znosić, ale według własnych pozadań, ponieważ ich uszy swierzbia, będą sobie mnożyli nauczycieli. Będą się odwracali od słuchania prawdy, a obróca się ku zmyślonym opowiadaniom”. I będą twierdzić, zmiluj się Chryste, że w imię prawdy czynia to, co czynia.

- Wszystko na tym świecie - zauważył od niechcienia Urban Horn - odbywa się pod hasłem walki o prawdę. I choć zazwyczaj o bardzo różne prawdy chodzi, jedna prawda na tym korzysta. Ta prawdziwa.

- Kacersko zabrzmialo - zmarszczyl czolo ksiadz - to, coscie rzekli. Mnie, dajcie sobie powiedziec, wzgledem prawdy wiecej z tym po drodze, co mistrz Johann Nider w swym *Formicariusie* napisal. [6.] A porównal on kacerzy do owych w Indii zyjących mrówek, które z piasku złota drobinki pracowicie wybierają i do mrowiska noszą, choć przecie żadnego pożytku z onego kruszcu nie mają, ani go zjedzą, ani uszczkna. Tacy sami, pisze w *Formicariusie* magister Nider, są heretycy, którzy w Pismie Świętym grzebia i ziarn prawdy w nim szukają, choć przecie sami nie wiedzą, co z ona prawda począć by mieli.

- Bardzo ładne to było - westchnęła Dorota Faber, poganiając walacha. - To o tych mrówkach, znaczy. Och, prawie, gdy kogo tak mądrego słucham, aż mię w dolku ścisną.

Ksiądz nie zwrócił uwagi ani na nią, ani na jej dołek.

- Katarzy - prawili - inaczej albigensi, którzy ręce, chcąc ich na łono Kościoła przywrócić, jako wilcy kasali. Waldensi i lollardzi, osmielający się łzyć Kościół i Ojca Świętego, a liturgie szczekaniem psów nazywać. Obmierzli zaprzancy bogomilowie i podobni im paulicjanie. Aleksjanie i patrypasjanie, odwajający się zaprzeczać Trójcy Świętej. Fratricelli z Lombardii, ci galganiarze i zbóje, którzy niejednego mają duchownego na sumieniu. Im podobni dulcynisci, zwolennicy Fra Dolcina. *Item*, różni inni odstępcy: pryscyliananie, petrobruzjanie, arnoldysci, speronisci, passagianie, messalianie, bracia apostołscy, pastorełowie, patareni i amaurycjanie. Poplikanie i turlupini, negujący *divinitatem* w Chrystusie i odrzucający sakramenty, a kłaniający się diabłu. Lucyferianie, których nazwa jawnie mówi, komu cześć bluźnierczo oddają. No i rzecz jasna husyci, nieprzyjaciele wiary, Kościoła i papieża...

- Żeby było śmieszniej - wtrącił z uśmiechem Urban Horn - wszyscy przez was wymienieni siebie własnie uważają za prawych, a innych mają za nieprzyjaciół wiary. Co do papieża, to przyznacie wszak, księże proboszczu, że czasem trudno wśród licznych wybrać tego właściwego. Co zaś się tyczy Kościoła, to wszyscy jak jeden mąż wolają o konieczności reformy, *in capite et in membris*. Nie zastanawia was to, wielebny?

- Nie bardzo pojmuje słowa wasze - przyznał się Filip Granciszek. - Ale jeśli szło wam o to, że w samym łonie Kościoła herezja wyrasta, toście prawi. Wielce bliscy są tego grzechu, którzy w wierze błędzą, w pysze swej z pobożnością przesadzają. *Corruptio optimi pessima*! Ze choćby przytocze casus znanych wszystkim biczowników, czyli flagellantów. Już w 1349 papież Klemens VI ogłosił ich herezykami, wyklął i nakazał karać, ale czy to coś pomogło?

- Nic nie pomogło - oświadczył Horn. - Nadal laźili po całych Niemczech, ucieche budząc, albowiem dziewczek wśród nich co niemiara było, te zaś biczowały się do pasa obnażone, z cyczkami na wierzchu. Niekiedy z całkiem ładnymi cyczkami, a wiem, co mówię, widziałem ich pochody w Bambergu, w Goslarze i w Fürstenwalde. Oj, podskakiwały im te cycuszki, podskakiwały! Ostatni sobór potępił ich znowu, ale to też nic nie da. Przyjdzie jaka zaraza czy inna kleska, zaczęta się znowu biczownicze procesje. Oni to zwyczajnie muszą lubić.

- Jeden uczoney mistrz w Pradze - włączył się do dyskusji rozmarzony nieco Reynevan - dowodził, że to choroba. Ze niektóre niewiasty w tym właśnie znajdują błogosć, że się nagie chłuszczą, u wszystkich na oczach. Dlatego też tyle kobiet było i jest wśród flagellantów.

- Powoływać się na praskich mistrzów nie radzę w obecny czas - zasugerował cierpko ksiądz Filip. - Wszelako coś w tym jest. Bracia Kaznodzieje dowodzą, że wiele zła bierze się z cielesnej lubieżności, a ta w białogłowie jest nienasycona.

- Białogłowy - odezwała się niespodzianie Dorota Faber - lepiej w pokoju oświcie. Boscie sami nie są

bez grzechu.

- W rajskim ogrodzie - pokosił się na nią Granciszek - wąż nie na Adama, lecz na Ewę parol zagiał, a pewnie wiedział, co robi. Także dominikanie wiedzą pewnie, co mówią. Ale mnie nie o to szło, by białogłowy obmawiać, lecz o to, że wiele z obecnych herezji dziwnym trafem właśnie chuci i porubstwo ma u podstaw, wedle jakiejś małpiej chyba przewrotności, pry, Kościół zabrania, tedy róbmy na przekór. Nakazuje Kościół skromność? Nuże, wypnijmy rzyg gola! Nawołuje do wstrzemięzliwości i obyczajności? Dalejże, gzijmy się jako koty w marcu! Pikarce i adamicy w Czechach całkiem nadzy chadzają i chędożą się wszyscy ze wszystkimi, tarzają w grzechu niczym psy, nie ludzie. Podobnie czynili bracia apostołscy, czyli sekta Segarellego. Kolonscy *condormientes*, czyli „spiaci razem”, obcuja ze sobą cielesnie bez względu na płeć i pokrewieństwo. Paternianie, zwani tak od ich niegodziwego apostoła, Paterna z Paflagonii, sakramentu małżeństwa nie uznają, co nie przeszkadza im oddawać się pospólnej rozpucie, zwłaszcza takiej, co poczęcie czyni niemożliwym.

- Interesujące - rzekł w zadumie Urban Horn.

Reynevan pokrasniał, a Dorota parsknęła, dowodząc, że rzecz nie jest jej całkiem obca.

Wóz podskoczył na wyboju, tak ostro, że rabbi Hiram się rozbudził, a zabierający się do kolejnej przemowy ksiądz Granciszek o mało nie odgryzł sobie języka. Dorota Faber cmoknęła na walacha, strzeliła lejcami. Prezbiter poprawił pozycję na kozle.

- Byli i są też inni - kontynuował - którzy tym samym grzeszą, co biczownicy, znaczy się, przesadzona pobożnością, od której tylko krok do wynaturzenia i herezji. Jak choćby podobni biczownikom *disciplinati*, jak *battuti*, jak cyrkumcelioni, jak *bianchi*, czyli biali, jak humiliaci, jak tak zwani bracia lyońscy, jak joachimicy. Znamy to i z naszego śląskiego podwórka. Mówię o swidnickich i nyskich begardach.

Reynevan, choć o begardach i beginkach miał nieco odmienne zdanie, pokiwał głową. Urban Horn nie pokiwał.

- Begardzi - powiedział spokojnie - zwani *fratres de voluntaria paupertate*, ubodzy z wyboru, mogli być wzorem dla wielu księży i zakonników. Mieli też spore zasługi wobec społeczeństwa. Dość będzie powiedzieć, że to beginki w ich szpitalach stłumiły zarazę w roku szesćdziesiątym, nie dopuściły do rozprzestrzenienia się epidemii. A to oznacza tysiące ludzi uratowanych od śmierci. Zaiste, pięknie za to beginkom odplacono. Oskarzeniem o herezję.

- Było wśród nich - zgodził się ksiądz - i owszem, wielu ludzi pobożnych i poświęcenia pełnych. Ale byli też odstępcy i grzesznicy. Wiele beginazy, a i tych chwalonych hospicjów, okazało się kolebkami grzechu, bluźnierstwa, herezji i sprostego wszeteczeństwa. Wiele się też uległo zła wśród begardów wędrownych.

- Wolno wam tak uważać.

- Mnie? - zachnął się Granciszek. - Ja jestem zwykły pleban z Olawy, co ja mam do uważania? Begardów potępił sobór w Vienne i papież Klemens, na sto bez mała lat przed moim urodzeniem. Nie było mnie na świecie, gdy w roku tysiąc trzysta trzydziestym drugim Inkwizycja obnażyła wśród beginek i begardów praktyki tak okropne, jak rozkopywanie grobów i profanacja zwłok. Nie było mnie na świecie w siedemdziesiątym drugim, gdy na mocy nowych edyktów papieskich wznowiono Inkwizycję w Swidnicy. Śledztwo, które udowodniło kacerskość beginek i ich związki z zaprzanych Braterstwem i Siostrzeństwem Wolnego Ducha, z pikarcką i turlupincką ohydą, skutkiem czego księżna wdowa

Agnieszka zamknęła świadnicie beginaze, a begardów i beginki...

- Begardów i beginki - dokonał Urban Horn - szczerze i ściągano po całym Śląsku. Ale tu też pewnie chętnie umyjesz ręce, olawski plebanie, bo było to przed twoim urodzeniem. Wiesz, że było to i przed moim. Co nie przeszkadza mi wiedzieć, jak było naprawdę. Ze większość schwytanych begardów i beginek zamęczono w katowniach. Tych, którzy przeżyli, spalono. A spora grupa, jak to zwykle bywa, uratowała skórę, denuncjując innych, wydając na tortury i śmierć towarzyszy, przyjaciół, nawet bliskich krewnych. Część zdrajców oblekła potem dominikańskie habity i wykazała się iscie neofickim zapalem w walce z herezją.

- Uważacie - ostro spojrzał na niego proboszcz - że to złe?

- Denuncjować?

- Z zapalem walczyć z herezją. Uważacie, że to złe?

Horn odwrócił się gwałtownie na siodle, a twarz mu się zmieniła.

- Nie próbuj - syknął - że mna tych sztuczek, pater. Nie bądź, kurwa, taki Bernard Gui. Co ci z tego przyjdzie, że mnie osaczysz podchwytliwym pytaniem? Rozejrzyj się. Nie jesteśmy u dominikanów, ale w Brzezińskich Borach. Gdy poczuje się zagrożony, zwyczajnie dam ci w łeb i wrzucę do wykrotu. A w Strzelinie powiem, żeś po drodze umarł na nagłe zagrzenie krwi, na przyływ fluidów i humorów.

Ksiądz zbladł.

- Na nasze wspólne szczęście - dokonał spokojnie Horn - nie dojdzie do tego, bo ja ani begard, ani herezyk, ani sekciarz z bractwa wolnego ducha. Ale inkwizytorskich sztuczek nie próbuj, olawski proboszczu. Zgoda? He?

Filip Granciszek nie odpowiedział, kiwnął tylko kilka razy głową.

* * *

Gdy zatrzymali się, by rozprostować kości, Reynevan nie wytrzymał. Na stronie zagadnął Urbana Horna o przyczynę ostrej reakcji. Horn początkowo gadać nie chciał, ograniczył się do paru przekleństw i burkniek o cholernych domorosłych inkwizytorach. Widząc jednak, że Reynevanowi to nie wystarczy, usiadł na zwałonym pniu, przywołał psa.

- Te ich wszystkie herezje, Lancelocie - zaczął cicho - tyle mnie obchodzi co zeszłoroczny śnieg. Chociaż tylko, a za kpa się nie mam, nie spostrzegłby, że to *signum temporis* i że czas przejść do wniosków. Że może warto by coś zmienić? Zreformować albo jak? Ja staram się zrozumieć. I rozumieć mogę, że ich ponosi, gdy słysza, że Boga nie ma, że na Dekalog można i należy gwizdać, a czcić trzeba Lucyfera. Rozumiem ich, gdy na takie *dictum* wrzeszcza o herezji. Ale co się okazuje? Co ich najbardziej rozwściecza? Nie apostazja i bezbożność, nie negacja sakramentów, nie rewizja dogmatów czy zaprzeczanie tymże, nie demonolatria. Najbardziej ich rozjusza wezwania do ewangelicznego ubóstwa. Do pokory. Do poświęcenia. Do służenia Bogu i ludziom. Dostają szału, gdy ktoś zada od nich wyrzeczenia się władzy i pieniędzy. Dlatego z taką furją rzucili się *nabianchich*, na humiliatów, na bractwo Gerarda Groote, na beginki i begardów, na Husa. Psiakrew, za cud uważam, że nie spalili Poverella, Franciszka Biedaczyny! Ale boję się, że codziennie plonie gdzieś stos, a na nim jakiś

anonimowy, nikomu nie znany i zapoznany Poverello.

Reynevan pokiwał głową.

- Dlatego - dokończył Horn - tak mnie to denerwuje.

Reynevan kiwnął raz jeszcze. Urban Horn przypatrywał mu się uważnie.

- Rozgadałem się, nie ma co - ziewnął. - A niebezpieczne potrafi być takie gadanie. Niejeden już sam sobie gardło, jak mówią, własnym przydługim ozorem poderzwał... Ale ja ci ufam, Lancelocie. Nawet nie wiesz, dlaczego.

- Ależ wiem - uśmiechnął się wymuszenie Reynevan. - Gdybys powziął podejrzenie, że donoszę, dasz mi w łeb, a w Strzelinie powiesz, że umarłem na nagły przyływ fluidów i humorów.

Urban Horn uśmiechnął się. Bardzo wilczo.

* * *

- Horn?

- Słucham cie, Lancelocie.

- Nietrudno spostrzec, że bywały i rozeznany z ciebie człowiek. Nie wiesz przypadkiem, który z możnych ma dobrą w bliskiej okolicy Brzegu?

- A skąd - oczy Urbana Horna zweziły się - ta ciekawość? Tak niebezpieczna w dzisiejszych czasach?

- Stąd co zwykle. Z ciekawości.

- Jakzeby inaczej - Horn uniósł w uśmiechu kąciki ust, ale z jego oczu ani myślał zniknąć podejrzliwy błysk. - Cóż, zaspokoje twą ciekawość w miarę moich skromnych możliwości. W okolicy Brzegu, powiadasz? Konradswaldau należy do Haugwitzów. Na Jankowicach siedzą Bischofsheimowie, Hermsdorf to dobra Gallów... Na Schönau zaś, z tego, co mi wiadomo, siedzi czesnik Bertold de Apolda...[\[7.\]](#)

- Czy któryś ma córkę? Młoda, jasnowłosa...

- Az tak daleko - uciął Horn - moje rozeznanie nie sięga. I nie zwykle sięgać. A i tobie to odradzam, Lancelocie. Zwykła ciekawość panowie rycerze potrafią znieść, ale bardzo nie lubią, gdy ktoś za bardzo interesuje się ich córkami. I żonami...

- Pojmuje.

- To dobrze.

Rozdział siódmy

w którym Reynevan i jego kompania zjeżdżają do Strzelina w wigilia Wniebowzięcia Marii i, jak się okazuje, rychtyk na palenie. Potem zaś ci, co powinni, słuchają nauk kanonika wrocławskiej katedry. Jedni z większą, inni mniejszą ochotą.

Za wsia Hockricht, w bliskości Wiazowa, pusty dotąd gościniec zaludnił się nieco. Oprócz chłopskich fur i kupieckich wozów pojawili się także konni i zbrojni, toteż Reynevan uznał za wskazane nakryć głowę kapturem. Za Hockricht wiodącą wśród malowniczych brzezin droga znowu opustoszała, a Reynevan odetchnął. Przedwcześnie nieco.

Belzebub po raz kolejny dał dowód wielkiej psiej mądrości. Do tej pory nie warknął nawet na mijających ich zoldaków, teraz, niezawodnie czując intencje, krótkim, acz ostrym szczękiem ostrzegł przed zbrojnymi na koniach, którzy niespodziewanie wylonili się z brzezin po obu stronach drogi. Zawarczał też złowrogo, gdy na jego widok jeden z towarzyszących rycerzom pacholków schował kuszę z pleców.

- Hej, wy tam! Stój! - krzyknął jeden z rycerzy, młody i piegowaty jak przepiórcze jajo. - Stój, powiadam! Na miejscu!

Jadący obok rycerza konny pacholek wsunął stopę w strzemiączko kuszy, zreźnie napiał ją i uzbroił beltem. Urban Horn lekkim stepem wyjechał nieco do przodu.

- Nie poważ się strzelać do psa, Neudeck. Przyjrzyj mu się wpierw. I dojdź do wniosku, żeś go już kiedyś widział.

- Na pięć ran boskich! - piegowaty dłoń przesłonił oczy, by uchronić je od oslepiającej migotającej szarpanych wiatrem brzoźowych liści. - Horn? Tyżes to w samej rzeczy?

- Nie kto inny. Kazał pacholowi kuszę niechac.

- Jasne, jasne. Ale psa trzymaj. Nadto my tu w śledztwie. W poscigu. Spytać cię tedy muszę, Horn, kto tu z tobą? Kto jedzie?

- Uściślijmy wpierw - powiedział chłodno Urban Horn - rzecz taka: za kimż to waszmościowie w poscigu? Bo jeśli za złodziejami bydła, przykładowo, to my odpadamy. Z wielu przyczyn. *Primo* : nie mamy bydła. *Sekundo* ...

- Dobra, dobra - piegowaty zdążył już przyjrzeć się księdzu i rabinowi, pogardliwie machnął ręką. - Rzeknij mi jeno: znasz tych wszystkich?

- Znam. Wystarczy?

- Wystarczy.

- Wybaczenia prosim, wielebny - drugi rycerz, w saladzie i pelnej zbroi, sklonil sie lekko przed proboszczem Granciszkiem - ale my nie dla krotchwili bynajmniej inkomodujemy. Popelniono zbrodnie, a my za morderca sladem. Z rozkazu pana von Reideburga, strzelinskiego starosty. Ów to urodzony pan Kunad von Neudeck. Jam zas jest Eustachy von Rochów.

- Cóz to za zbrodnia? - spytal pleban. - Na Boga! Zabito kogo?

- Zabito. Niedaleko stad. Urodzonego Albrechta Barta, pana na Karczynie.

Czas jakis panowala cisza. W której rozlegl sie glos Urbana Horna. A byl to glos zmieniony.

- Jak? Jak to sie stalo?

- Dziwnie sie to stalo - odrzekl wolno Eustachy von Rochów, po chwili, która poswiecil na podejrzliwe przygladanie sie. - Po pierwsze: w samiuskie poludnie. Po drugie: w walce. Gdyby to nie bylo niemozliwe, powiedzialbym, ze w pojedynku. To byl jeden czlowiek, konno, zbrojno. Pchnieciem miecza ubil, a bardzo pewnym, wielkiej wymagajacym wprawy. W twarz. Miedzy nos a oko.

- Gdzie?

- Cwierc mili za Strzelinem. Wracal byl pan Bart z gosciny u sasiada.

- Sam? Bez ludzi?

- Tak jezdzil. Nie mial wrogów.

- Wieczne odpoczywanie - zamruczal ksiadz Granciszek - racz mu dac, Panie. A swiatlosc...

- Nie mial wrogów - powtórzyl, przerywajac modly, Horn. - Ale podejrzani sa?

Kunad Neudeck podjechal blizej wozu, z wyraznym zainteresowaniem przyjrzel sie biustowi Doroty Faber. Kurtyzana obdarzyla go slicznym usmiechem. Eustachy von Rochów tez podjechal. I tez wyszczerzyl zebry. Reynevan byl bardzo rad. Bo na niego nie patrzyl nikt.

- Podejrzanych - Neudeck oderwal wzrok - jest kilku. Pookolicy paletalo sie troche podejrzanego towarzystwa. Jakas pogon, jakas rodowa wrózda, cos w tej podobie. Widziano tu nawet takich osobników jak Kunz Aulock, Walter de Barby i Stoik z Gorgowic. Krazy plotka, ze jakis mlodziak zone zbalamucil rycerzowi, a ów rycerz nie na zarty zawzial sie na gaszka. I goni za nim.

- Wykluczyc nie lza - dodal Rochów - ze to ów scigany gaszek, trafunkiem na pana Barta wpadlszy, spanikowal i pana Barta ubil.

- Jesli tak - Urban Horn podlubal w uchu - to latwo go dostaniecie, tego, jak mówicie, gaszka. Musi miec wiecej niz siedem stóp wzrostu i ze cztery w barach. Takiemu troche ciezko utaic sie wśród zwyczajnych ludzi.

- Prawda - przyznal ponuro Kunad Neudeck. - Ulomkiem pan Bart nie byl, byle chmyzowi by sie nie dal... Ale moze byc, ze tam czary albo gusla uzyte byly. Mówia, ów uwodziciel zon cudzych czarownikiem jest zarazem.

- Matko Przenajswietsza! - wykrzyknela Dorota Faber, a ksiadz Filip sie przezegnal.

- A zreszta - dokonczył Neudeck - okaze sie, co i jak. Bo gdy my tego gaszka dopadniemy, to juz go wypytamy o szczegóły, oj, wypytamy... A rozpoznać go tak czy siak trudno nie będzie. Wiemy, że wdaly jest i na siwym jedzie koniu. Gdybyscie takiego napotkali...

- Nie omieszkamy doniesc - obiecal spokojnie Urban Horn. - Wdaly mlodzik, siwy kon. Nie da sie przeoczyć. Ani z niczym pomylic. Bywajcie.

- Panowie wiedza moze - zainteresował sie ksiadz Granciszek - czy w Strzelinie nadal bawi kanonik wroclawski?

- W samej rzeczy. Sady odprawuje u dominikanów.

- Jestli to jego milosc notariusz Lichtenberg?

- Nie - zaprzeczyl von Rochów. - Zwie sie Beess. Otto Beess.

- Otto Beess, prepozyt od swietego Jana Chrzciciela - zamruczal ksiadz, gdy tylko rycerze pana starosty ruszyli w swoja droge, a Dorota Faber popedzila walacha. - Surowy to maz. Wielce surowy. Oj, rabbi, marne nadzieje, by ci posluchanie dal.

- Otóz nie - odezwal sie Reynevan, rozpromieniony od chwil paru. - Bedziecie przyjeci, rabbi Hiramie. Przymkam wam to.

Wszyscy spojrzeli na niego, Reynevan zas usmiechnal sie tylko tajemniczo. Po czym, wesól wielce, zeskoczył z wozu i szedł obok. Zostal nieco z tyłu, wówczas podjechal do niego Horn.

- Teraz widzisz - rzekl z cicha - jak to jest, Reinmarze Bielau. Jak szybko sie oslawia przykleja. Po okolicy jezdzą najemne zbiry, lotry pokroju Kyrielejsona i Waltera de Barby, a zabija kogo, na ciebie pierwszego pada podejrzenie. Zauwazasz ironie losu?

- Zauwazam - odmruknal Reynevan - dwie rzeczy. Pierwsza, to ze jednak wiesz, kim jestem. Zapewne od samego poczatku.

- Zapewne. A druga?

- Zes znal tego zamordowanego. Owego Albrechta Barta z Karczyna. I glowe dam, ze do Karczyna wlasnie jedziesz. Albo jechales.

- No prosze - rzekl po chwili Horn - jakis ty bystry. I jaki pewny siebie. Nawet wiem, skad ta pewnosc wyplywa. Dobrze miec znajomków na wysokich stanowiskach, co? Wroclawskich kanoników? Czlowiek od razu czuje sie lepiej. I bezpiecniej. Zludne to jednak bywa uczucie, oj, zludne.

- Wiem - kiwnal glowa Reynevan. - Caly czas pamietam o wykrocie. O humorach i fluidach.

- I bardzo dobrze, ze pamietasz.

* * *

Droga wiodła pod wzgórze, na którym stała szubienica, na owej zaś wisieli trzej wisielcy, wszyscy wysuszeni jak sztokfisz. A w dole rozłożył się przed podróżnymi Strzelin, z jego barwnym podgrodzem, murem miejskim, zamkiem z czasów Bolka Surowego, wielce starożytna rotunda świętego Gotarda i nowoczesnymi wieżami kościołów klasztornych.

- Oj - zauważyła Dorota Faber. - Coś tam się dzieje. Święto jakie dziś czy co?

W samej rzeczy, na wolnej przestrzeni pod murem miejskim zebrał się całkiem spory tłum. Od strony bramy widac zaś było zmierzający w tamtą stronę pochód.

- Procesja chyba.

- Misteria raczej - stwierdził Granciszek. - Toć dziś czternasty sierpnia, wigilia Wniebowzięcia Maryi Dziewicy. Jedźmy, jedźmy, panno Doroto. Zobaczmy z bliska.

Dorota cmoknęła na walacha. Urban Horn przywołał brytana i wziął go na smycz, świadom widocznie, że wśród cizby nawet tak mądry pies jak Belzebub może stracić panowanie nad sobą.

Idący od strony miasta pochód zbliżył się na tyle, by można było w nim rozróżnić kilku duchownych w szatach liturgicznych, kilku biało-czarnych dominikanów, kilku brych franciszkanów, kilku konnych rycerzy w ozdobionych herbami jakach, kilku mieszczan w sięgających niemal ziemi deliach. I kilkunastu halabardników w złotych tunikach i matowo polyskujących kapalinach.

- Biskupie wojsko - pouczył z cicha Urban Horn, po raz któryś dowodząc dobrego poinformowania. - A ten wielki rycerz, ten na gniadoszu, ze znakiem szachownicy, to Henryk von Reideburg, starosta strzelinski.

Zolnierze biskupi prowadzili pod rece troje ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę. Kobieta miała na sobie białe giezło, jeden z mężczyzn nosił szpiczastą, jaskrawo pomalowaną czapkę.

Dorota Faber strzeliła lejcami, krzyknęła na walacha i na niechętnie rozstepujący się przed wozem tłum mieszczan. Zjechawszy z pagórka, pasażerowie wozu stracili jednak widoczność - by widzieć cokolwiek, musieli wstąpić, a do tego wehikułu trzeba było zatrzymać. I tak zresztą nie dało się jechać dalej, cizba stała się już zbyt gęsta.

Wstawszy, Reynevan zobaczył głowy i ramiona owych trojga, dwóch mężczyzn i niewiasty. I wznoszące się powyżej głów pale, do których byli oni przywiązani. Stosów chrustu, które pietrzyły się pod palami, nie widział. Ale wiedział, że tam były.

Słyszał głos, podniesiony i gromki, ale niewyraźny, tłumiony i rwany trzmielimi buczeniem tłumy. Z trudem rozpoznawał słowa.

- Zbrodnie przeciwko ludowi społecznemu wymierzone... *Errores Hussitarum ... Fides haeretica ...* Bluznierstwo i świętokradztwo... *Crimen ...* W śledztwie udowodnione...

- Zdaje się - powiedział stojący w strzemiach Urban Horn - że zaraz dokonasz tu naoczne podsumowanie naszej podróźnej dysputy.

- Na to patrzy - przelknął ślinę Reynevan. - Hej, ludzie! Kogóż to tracić będa?

- Haratyków - wyjaśnił, odwracając się, mężczyzna o wyglądzie zebra. - Złapali haratyków.

Powiadają, husów czy jakos tak...

- Nie husów, jeno husonów - poprawił drugi, podobnie obdarty, z identycznym polskim akcentem. - Palic ich beda za swietokradztwo. Bo gesiom komunie podawali.

- Ech, ciemnota! - skomentował z drugiej strony wozu patnik z naszytymi na płaszczu muszlami. - Nic nie wiedza!

- A ty wiesz?

- Wiem... Niech bedzie pochwalony Jezus Chrystus! - patnik dostrzegł tonsure ksiedza Granciszka. - Kacerze zowia sie husyci, a bierze sie to od ichniego proroka Husa, nie zas od gesiów. Oni mówia, husyci znaczy, ze czyscca nie masz wcale, a komunie przyjmują sposobem oboim, czyli *sub utraque specie*. Po temu i mówia tez na nich: utrakwisci...

- Nie udzielaj nam nauk - przerwał Urban Horn - bosmy juz uczeni. Tamtych troje, pytam, za co palic beda?

- A tego to ja nie wiem. Ja nietutejszy.

- Ten tam - pospieszył z wyjasnieniem jakis tutejszy, wnosząc z upapranej glina jupy, ceglarz. - Ten w czapce haniebnej to Czech, husycki wysłannik, ksiadz odstepca. W przebraniu z Taboru przywedrował, ludzi do buntu podzegał, do palenia kosciółów. Rozpoznali go jego własni rodacy, ci, co po roku dziewietnastym z Pragi zbiegli. A ten drugi to Antoni Nelke, nauczyciel szkoły parafialnej, tutejszy Czecha kacerza współnik. Schronienie mu dal i wraz z nim pisma husyckie rozprowadzał.

- A niewiasta?

- Elzbieta Ehrlichowa. Ona calkiem z innej beczki. Przy okazji. Meza swego jadłem otrula z milosnikiem w zmowie. Milosnik uszedł, gdyby nie to, tez by na stosie stal.

- Wylazło zas ninie szydło z wora - wtracił sie chudy typ w filcowej czapce, gladko przylegającej do czaszki. - Boc to jej drugi maz, Ehrlichowej znaczy. Pierwszego niechybnie tez otrula, jedza.

- Moze otrula, moze nie otrula, na dwoje babka wrózyła - włączyla sie do dysputy gruba mieszcza w haftowanym półkozusku. - Powiadają, ten poprzedni na smierc sie zapil. Szewc byl.

- Szewc, nie szewc, otrula go, jak amen w pacierzu - zawyrokował chudy. - Musialy tam i czary jakowes w robocie byc, ze pod dominikanske sady podpadła...

- Kiedy otrula, to dobrze jej tak.

- Pewnie, ze dobrze!

- Cichajcie! - zawołał, wyciągając szyje, proboszcz Granciszek. - Wyrok ksieza czytają, a nie slychac nic.

- A po co ma byc slychac? - zadrwil Urban Horn. - Przecie wszystko wiadomo. Ci na stosach to *haeretici pessimi et notorii*. A Kosciół, który krwia sie brzydzi, zdaje ukaranie winnych *nabrachium saeculare*, swieckie ramie...

- Cichajcie, mówilem!

- *Ecclesia non sinit sanguinem* - dobiegl od strony stosów rwany wiatrem i tłumiony pomrukiem cizby glos. - Kosciól nie pragnie krwi i wzdraga sie przed nia... Niechaj wymierzy tedy sprawiedliwosc i kare *brachium saeculare*, ramie swieckie. *Requiem aeternam dona eis ...*

Tlum zaryczal wielkim glosem. Przy stosach cos sie dzialo. Reynevan wstal, ale za pózno. Kat byl juz przy kobiecie, cos zrobil za jej plecami, jakby poprawial krepujacy szyje powróz. Glowa kobiety opadla na ramie, miekko, jak podciety kwiat.

- Zdusil ja - westchnal cicho proboszcz, zupełnie jakby wczesniej czegos podobnego nie widywal. - Kark jej zlomil. Temu nauczycielowi tez. Musieli oboje w sledztwie skrucze okazac.

- I kogos wsypac - dodal Urban Horn. - Normalka.

Motloch wyl i pomstowal, niezadowolony z laski okazanej nauczycielowi i trucicielce. Krzyk przybral na sile, gdy z wiazek chrustu buchnal zywy plomien, buchnal gwałtownie, w okamgnieniu ogarniajac cale stopy wraz z palami i przywiazanymi do nich ludzmi. Ogień zahuczal, wzbil sie wysoko, tłum, uderzony zarem, cofnal sie, przez co scisk zrobil sie jeszcze wiekszy.

- Partanina! - krzyknal ceglarz. - Gówniana robota! Suchy wzieli chrust, suchy! Jako ta sloma!

- Iscie, partanina - ocenil chudy w filcowej czapce. - Husyta ani glosu wydac nie zdolal! Nie umieja palic. U nas, we Frankonii, opat z Fuldy, oho, ten potrafil! Sam stopy dozorowal. Tak kazal bierwiona ukladac, ze wpierw same nogi smazyl, do kolan, potem zasie wyzej, do jajec, potem...

- Zlodziej! - cienko zawyla skryta w tłumie kobieta. - Zlooodzieeeeej! Lapaj zlodzieja!

Gdzies posród cizby plakalo dziecko, ktos przygrywal na fujarce, ktos rzucal kurwami, ktos smial sie, zanosil nerwowym, kretynskim smiechem.

Stopy huczaly ogniem, byly silnymi podmuchami zaru. Wiatr zawial w strone podrózných, przynoszac ohydny, duszacy, slodkawý zapach palonego trupa. Reynevan zaslonil nos rekawem. Ksiadz Granciszek zakaslal, Dorota zakrzusila sie, Urban Horn splunal, krzywiac sie niemilosiernie. Wszystkich zaskoczyl natomiast rabbi Hiram. Zyd wychylil sie z wozu i równie gwałtownie co obficie zwymiotowal - na patnika, na ceglarza, na mieszcze, na Frankonczyka tudziez na wszystkich innych, bedacych w poblizu. Dookola natychmiast zrobilo sie luzno.

- Prosze wybaczyc... - zdolal wybelkotac rabbi miedzy kolejnymi paroksyzmami. - To nie jest zadna polityczna demonstracja. To jest zwyczajny rzyg.

* * *

Kanonik Otto Beess, prepozyt od swietego Jana Chrzyciela, usiادل wygodniej, poprawil pileus, przyjrzel sie kolysanemu w pucharze kłaretowi.

- Bardzo prosze - powiedzial swym zwyklym zgrzytliwym glosem - dopilnowac, by dokladnie uprzatnieto i wygrabiono pogorzelisko. Wszystkie szczatki, nawet najmniejsze, prosze zebrac i rozsypac do rzeki. Mnoza sie bowiem przypadki zbierania zwęglonych kosteczek. I czczenia ich jak relikwii.

Proszę, by szanowni rajcowie zadbali o to. A bracia dojrżeli zadbania.

Obecni w zamkowej komnacie strzelinscy rajcowie sklonili się w milczeniu, dominikanie i Bracia Mniejsi schyliłi tonsury. I jedni, i drudzy wiedzieli, że kanonik zwykł prosić, nie rozkazywać. Wiedzieli też, że różnica była tylko w słowie.

- Braci Predykanów - kontynuował Otto Beess - proszę o to, by nadal, zgodnie z wytycznymi bulli *Inter cunctas*, z czujnością śledzili wszelkie przejawy kacerstwa i działalności taboryckich emisariuszy. I meldowali o najmniejszych nawet i pozornie nieznaczących rzeczach z taką działalnością związanych. Liczę tu też na pomoc ramienia świeckiego. O którą proszę was, szlachetny panie Henryku.

Henryk Reideburg schylił głowę, ale nieznacznie, po czym zaraz wyprostował swą potężną postać w ozdobionym szachownica wapenroku. Starosta Strzelina nie krył dumy i buty, nawet nie próbował udawać unizonego i potulnego. Widac było, że wizytację kościelnej hierarchii toleruje, bo musi, ale tylko czeka na to, by kanonik wreszcie wyniósł się z jego terenu.

Otto Beess wiedział o tym.

- Proszę też, panie starosto Henryku - dodał - o dolożenie większych niż dotychczas staran w śledztwie w sprawie dokonanego pod Karczynem morderstwa pana Albrechta von Barta. Kapituła żywo zainteresowana jest wykryciem sprawców tej zbrodni. Pan von Bart, mimo pewnej ostrości i kontrowersyjności poglądów, był człkiem znaczącym, *vir rarae dexteritatis*, wielkim dobroczyńcą henrykowskich i krzeszowskich cystersów. Domagamy się, by jego morderców spotkała zasłużona kara. Oczywiście, idzie o morderców prawdziwych. Kapituły nie zadowolą obarczanie winą wróbla w garsci. Nie wierzymy bowiem, by pan Bart zginał z reki tych dziś spalonych wiklefiatów.

- Mogli mieć - odchrząknął Reideburg - husyci owi jakowychs współników...

- Nie wykluczamy tego - kanonik przewiercił rycerza wzrokiem. - Nie wykluczamy niczego. Nadajcie, rycerzu Henryku, większy rozmach śledztwu. Poproście, jeśli trzeba, o pomoc starostę swidnickiego, pana Albrechta von Kolditz. Poproście zresztą, kogo tylko chcecie. Byleby były efekty.

Henryk Reideburg sklonił się sztywno. Kanonik odklonił się, ale dość niedbale.

- Dziękuję wam, szlachetny rycerzu - przemówił głosem brzmiącym jak otwieranie żardzewiałej bramy cmentarnej. - Nie zatrzymuje was dłużej. Panom rajcom i światobliwym braciom dziękuję również. Nie przeszkadzam w obowiązkach, których, tusze, macie obfitość.

Starosta, rajcy i mnisi wyszli, szurając cizmami i sandałami.

- Panowie klerycy i diakoni - dodał po chwili kanonik wrocławskiej katedry - również, jak mniemam, pamiętajcie o swoich obowiązkach. Proszę tedy przystąpić do nich. Niezwłocznie. Brat sekretarz i ojciec spowiednik zostają. Także...

Otto Beess uniósł głowę i przeszył Reynevana wzrokiem.

- Także ty zostajesz, chłopcze. Mam z tobą do pogadania. Ale wpieryw przyjmie petentów. Proszę wezwać proboszcza z Olawy.

Ksiądz Granciszek, gdy wszedł, mienił się na twarzy, w sposób zgola niepojęty błędnac i czerwieniejąc na przemian. Natychmiast ukląkł. Kanonik nie nakazał mu wstać.

- Twój problem, ojciec Filipie - zaczął zgrzytliwie - to brak szacunku i zaufania do zwierzchności. Indywidualność i własne zdanie są i owszem, cenne, znacznie niekiedy bardziej warte uznania i pochwały niż tepe i baranie posłuszeństwo. Alisic są takie sprawy, w których zwierzchność ma rację absolutną i jest nieomylna. Jak dla przykładu nasz papież Marcin V w sporze z koncylialistami, różnymi Gersonami i różnymi Polaczkami: Włódkowicami, Wyszami i Laskarzami, którzy chcieliby każda decyzję Ojca Świętego poddawać pod dyskusję. I interpretować wedle własnego widzimisie. A to nie tak, nie tak!
Roma locuta, causa finta .

- Dlatego też, drogi ojciec Filipie, jeśli kościelna zwierzchność mówi ci, o czym masz kazać, to masz być posłuszny. Nawet jeśli twoja indywidualność protestuje i krzyczy, masz być posłuszny. Bo najwyraźniej idzie o cel wyższy. Od ciebie, naturalnie. I od całej twojej parafii. Widzę, że chcesz coś powiedzieć. Mów tedy.

- Trzy czwarte moich parafian - wymamrotał ksiądz Granciszek - to ludzie niezbyt roztargnięci, rzekłbym, *pro maiori parte illiterati et idiotae* . Ale jest jeszcze ta jedna czwarta. Ta, której nijak mi w kazaniach mówić to, co zaleca kuria. Mówię, owszem, że husyci to kacerze, mordercy i zwyrodnialcy, a Zizka i Koranda to diabły wcielone, zbrodniarze, bluźniercy i świętokradcy, że czeka ich wieczyste potępienie i piekielne meki. Ale nie mogę mówić, że oni jedzą niemowlęta. I że żony u nich są wspólne. I że...

- Nie zrozumiałeś? - przerwał mu ostro kanonik. - Nie pojąłeś moich słów, plebanie? *Roma locuta* ! A dla ciebie Roma to Wrocław. Masz kazać, jak ci kazano, kaznodziejo. O wspólnych zonach, o zjadanych niemowlętach, o żywcem gotowanych mniszkach, o wyrwaniu języków katolickim księzom, o sodomii. Gdy otrzymasz takie wytyczne, będziesz kazać, że od komunii z kielicha husytom rosną włosy na podniebieniach i psie ogony u zadków. Ja wcale nie żartuję, widziałem odpowiednie pisma w biskupiej kancelarii.

- Zresztą - dodał, patrząc z lekkim politowaniem na skurczonego Granciszka - skąd wiesz, że nie rosną im ogony? Byłeś w Pradze? Na Taborze? W Hradcu Králové? Przyjmowałeś komunie *sub utraque specie* ?

- Nie! - omal nie udławił się wdechem proboszcz. - Nijak!

- To i bardzo dobrze. *Causa finta* . Audiencja też. We Wrocławiu powiem, że wystarczyło upomnienia, że już nie będzie z tobą kłopotów. Teraz zaś, byś nie odniósł wrażenia nadaremnej peregrynacji, wypowiadasz się mojemu spowiednikowi. I odbydziesz pokutę, która ci zada. Ojciec Felicjanie!

- Tak, wasza przewielebność?

- Leżenie krzyżem przed głównym ołtarzem u świętego Gotarda, noc cała, od kompletów do prymy. Reszta do twego uznania.

- Niech Bóg ma w opiece...

- Amen. Bywaj w zdrowiu, proboszczu.

Otto Beess westchnął, wyciągnął pusty puchar w stronę kleryka, który natychmiast nalał wien klaretu.

- Dzisiaj już żadnych petentów. Pozwól, Reinmarze.

- Wielebny ojciec... Zanim... Mam prośbę...

- Slucham cie.

- Towarzyszyl mi w drodze i przybyl wraz ze mna rabin z Brzegu...

Otto Beess gestem wydal polecenie. Za chwile kleryk wprowadzil Hiram ben Eliezera. Zyd sklonil sie gleboko, zamiótl podloge lisia czapa. Kanonik przypatrywál mu sie bacznie.

- Czegóz to - zazgrzytal - zyczy ode mnie rzecznik brzeskiego kahalú? W jakiej sprawie przybywa?

- Czcigodny pan ksiadz pyta, w jakiej sprawie? - uniósl krzaczaste brwi rabbi Hiram. - Boze Abrahama! A w jakiej, pytam ja sie, sprawie moze przychodzic Zyd do czcigodnego pana kanonika? O co moze, pytam ja sie, chodzic? To ja odpowiadam, ze o prawde. Prawde ewangeliczna.

- Prawde ewangeliczna?

- Nie inaczej.

- Mów, rabbi Hiramie. Nie kaz mi czekac.

- Jak czcigodny pan ksiadz rozkaze, to ja zaraz mówie, czemu ja nie mam mówic? Mówie tak: chodza różni ichmoscie po Brzegu, po Olawie, po Grodkowie, a i po wsiach okolicznych, i nawoluja, by bic niecnym morderców Jezusa Chrystusa, by rabowac ich domy i hanbic ich zony i córki. Na czcigodnych panów pralatów powoluja sie owi wolacze, ze niby to po boskiej i biskupiej woli takie bicie, grabiez i gwalcenie.

- Mów dalej, przyjacielu Hiramie. Wszak widzisz, zem cierpliwy.

- Cóz tu mówic wiele? Ja, rabbi Hiram ben Eliezer z kahalú brzeskiego, upraszam czcigodnego pana ksiedza, by pilnowac prawd ewangelicznych. Jesli juz mus bic i grabic morderców Jezusa Chrystusa, to prosze bardzo, bic! Ale, na praojca Mojzesza, bijciez tych własciwych. Tych, co ukrzyzowali. Znaczy sie, Rzymianów!

Otto Beess milczal dlugo, przypatrujac sie rabinowi spod półprzymknietych powiek.

- Taak - przemówil wreszcie. - A wiesz ty, przyjacielu Hiramie, ze za takie gadanie moga cie zamknac? Mówie oczywiscie o wladzach swieckich. Kosciól jest wyrozumialy, ale *brachium saeculare* potrafi byc ciezkie, gdy idzie o bluznierstwo. Nie, nie, nic nie mów, przyjacielu Hiramie. Mówil bede ja.

Zyd uklonil sie. Kanonik nie zmienil pozycji na fotelu, nie drgnal nawet.

- Ojciec Swiety Marcin, piaty tego imienia, idac sladem swych swiatlych poprzedników, oswiadczye byl racyl, ze Zydzi wbrew pozorom sa stworzeni na podobienstwo Boze i czesc z nich, jakkolwiek mala, dostapi zbawienia. Niestosowne jest wobec tego przesladowanie ich, dyskryminowanie, represjonowanie, ciemzenie i wszelkie inne gnebiecie, w tej liczbie chrzczenie pod przymusem. Nie watpisz chyba, przyjacielu Hiramie, ze wola papieza jest dla kazdego duchownego rozkazem. A moze w to watpisz?

- Jak ja mogle watpic? Toc juz chyba dziesiaty z rzędu pan papiez mówi o tym... Tedy musi to byc prawda, ani chybi...

- Jesli nie watpisz - przerwal kanonik, udajac, ze nie slyszy drwiny - to musisz rozumiec, ze oskarzanie duchownych o podzeganie do ataków na Izraelitów jest potwarza. Dodam: karygodna potwarza.

Zyd uklonil sie w milczeniu.

- Rzecz jasna - Otto Beess zmruzył lekko oczy - ludzie swieccy o nakazach papieskich wiedza malo albo zgola nic. Takze z Pismem Swietym im nielekko. Sa to bowiem, jak to ktos mi calkiem niedawno rzekl, *pro maiori parte illiterati et idiotae* .

Rabbi Hiram nie drgnal nawet.

- Twoje zas izraelickie plemie, rabbi - ciagnal kanonik - z upodobaniem i uporem dostarcza motlochowi pretekstów. Juz to dzumy epidemie wywolacie, studnie zatruxszy, juz to dziewczeczke niewinna chrzescijanska zameczycie, juz to z dzieciecia krew na mace spuscicie. Kradniecie i bezczescicie hostie. Trudnicie sie bezecna lichwa a z dluznika, który waszych zlodziejskich procentów nie moze splacic, zywe miesa kawalki wyrzynacie. I różnym innym plugawym procederem sie paracie. Jak mniemam.

- Cóż uczynic trzeba, czcigodnego pana ksiedza zapytuje - zapytal po pelnej napięcia chwili Hiram ben Eliezer. - Cóż uczynic, by owe rzeczy sie nie zdarzaly? Znaczy sie, studni zatruxwanie, dziewczeczek meczenie, krwi spuszczenie i hostii bezczeszczenie? Cóż, zapytuje, potrzebne jest?

Otto Beess milczal dlugo.

- Lada dzien - rzekl wreszcie - bedzie obwolany specjalny, jednorazowy, obejmujacy wszystkich podatek. Na kruczate antyhusyjna. Kazdy Zyd bedzie musial zaplacic jednego guldena. Gmina brzeska ponad to, co dac musi, dolozy z dobrej woli... Tysiac guldenów. Dwiescie piecdziesiat grzywien.

Rabin kiwnal broda. Nie próbujac sie targowac.

- Wspólnemu dobru - zaznaczyl bez specjalnego nacisku kanonik - posluzą te pieniadze. I wspólnej, powiedzialbym, sprawie Kacerze czescy zagrazają nam wszystkim. Oczywiscie najbardziej nam, prawym katolikom, ale i wy, Izraelici nie macie powodów, by husytów kochac. Wprost, powiedzialbym, przeciwnie. Dosc bedzie przypomniec margac roku dwudziestego drugiego, krwawy pogrom na Starym Miescie praskim. Późniejsze rzezie Zydów w Chomutarae, Kutnej Horze i Pisku. Bedzie wiec, Hiramie, okazja datkiem chocby przyczynic sie do pomsty.

- Pomsta jest moja - odrzekl po chwili Hiram ben Eliezer. - Tak mówi Pan, Adonai. Nikomu, mówi Pan, nie oddawajcie zlem za zle. A Pan nasz, jak zaswiadcza prorok Izajasz, hojny jest w przebaczeniu.

- Poza tym - dodal cicho rabin, widzac, ze kanonik milczy z dlonia przylozona do czola - husyci mordują Zydów od szesciu lat zaledwie. Cóż jest szesc wobec tysiac?

Otto Beess uniósł glowe. Jego oczy byly zimne jak stal.

- Zle skonczycie, przyjacielu Hiramie - zgrzytnal. - Boje sie o ciebie. Odejdz w pokoju.

- Teraz - rzekl gdy za Zydem zawarły sie drzwi - kolej wreszcie na ciebie, Reinmarze. Porozmawiamy. Sekretarzem i klerikiem przejmowac sie nie musisz. To ludzie zaufani. Sa obecni ale tak, jakby ich nie bylo.

Reynevan odchrzaknal, ale kanonik nie dopuscil go do glosu.

- Książe Konrad Kantner przybył do Wrocławia cztery dni temu, na świętego Wawrzynca. Z orszakiem złożonym z potwornych plotkarzy. Sam książę też do dyskretnych nie należy. Tym samym nie tylko ja, ale i cały bez mała Wrocław orientuje się już w zawilosciach pozamalzenskiej afery Adeli, żony Gelfrada de Stercza.

Reynevan odchrzaknął znowu, spuścił głowę, nie mogąc znieść swidrującego spojrzenia. Kanonik złożył dłonie jak do modlitwy.

- Reinmarze, Reinmarze - przemówił z nieco sztuczną egzaltacją. - Jak mogłeś? Jak mogłeś tak obrazić prawo boskie i ludzkie? Powiedzione jest wszak: we czci niech będzie małżeństwo i łożo nieskalane, gdyż rozpustników i cudzołazników osadzi Bóg. Ja zaś dodam od siebie jeszcze, że nader często zdradzonym meżom zbyt nierychliwa zdaje się sprawiedliwość boża. I nader często sami ją wymierzają. Srogo wymierzają.

Reynevan chrzaknął jeszcze głośniejsze i pochylił głowę jeszcze niżej.

- Aha - domyślił się Otto Beess. - Już za toba gonisz?

- Gonisz.

- Na piety następują?

- Następują.

- Głupcze młody! - przemówił po chwili milczenia duchowny. - W Narrenturmie cię zamkną, ot co! W Wieży Błaznow. Świetnie byś pasował do tamtejszych lokatorów.

Reynevan pociągnął nosem i zrobił minę, w jego własnym mniemaniu skruszona. Kanonik pokiwał głową, westchnął głęboko, splótl palce.

- Nie dalo się strzymać, co? - spytał ze znawstwem. - Śniła się po nocach?

- Nie dalo - przyznał Reynevan, czerwieniejąc. - Śniła się.

- Wiem, wiem - Otto Beess oblizal usta, a oczy rozblyśly mu nagle. - Wiem ci ja, że słodki jest owoc zakazany, że chce się, oj, chce się obejmować piersi nieznanej. Wiem ci ja, że miód wycieka z warg obcej, a podniebienie jej gładkie jak olej. Lecz w koncu, wierz mi, mądrze ucza *Proverbia Salomonowe*: będzie ona gorzka niby piołun i ostra jak miecz obosieczny, *amara quasi absinthium et acuta quasi gladius biceps*. Strzeż się, synu, byś nie splonął dla niej jako ta cma w płomieniu. Byś nie podał za nią ku śmierci, nie przepadł w Otchłani. Posłuchaj słów mądrych Pisma: idź drogą swą od niej daleko, pod drzwi jej domu nie podchodź, *longe fac ab ea viam tuam et ne adpropinques foribus domus eius*.

- Pod drzwi jej domu nie podchodź - powtórzył kanonik, a z głosu jego, jak zdmuchnięta wiatrem, znikła kaznodziejska egzaltacja. - Nadstaw nośsu, Reinmarze Bielau. Dobrze zakonotuj sobie słowa Pisma i moje. Dobrze wryj je sobie w pamięć. Posłuchaj rady: trzymaj się z daleka od wiadomej osoby. Nie rób tego, co zamierzasz zrobić, a co czytam w twoich oczach, smyku. Trzymaj się od niej z daleka.

- Tak, wielbny ojciec.

- Afere z czasem załagodzi się jakos. Sterczów postraszy się kuria i landfrydem, udobrucha zwyczajowa

nawiazka dwudziestu grzywien, zwykła kara dziesięciu grzywien trzeba też będzie zapłacić magistratowi Olesnicy. Wszystko to niewiele więcej niż wartość dobrego rasowego konia, tyle zdołasz zebrać z brata pomocą, a trzeba będzie, doloże. Twój stryj, scholastyk Henryk, dobrym był mi przyjacielem. I nauczycielem.

- Dzięki niech beda...

- Ale nic nie poradzę - przerwał ostro kanonik - gdy cię złapia i utłuka. Pojmujesz to, narwany głupku? Masz raz na zawsze wybić sobie z głowy żonę Gelfrada Sterczy, masz wybić sobie z głowy odwiedzanie jej potajemne, listy, posłanców, wszystko. Masz zniknąć. Wyjechać. Sugeruje Węgry. Od razu, nie mieszkając. Zrozumiałeś?

- Chciałbym wcześniej do Balbinowa... Do brata...

- Absolutnie nie pozwalam - uciał Otto Beess. - Ci, co cię scigają, z pewnością to przewidzieli. Podobnie zresztą jak wizyte u mnie. Zapamiętaj: gdy się ucieka, ucieka się jak wilk. Nigdy po ścieżkach, którymi się kiedyś chodziło.

- Ale brat... Peterlin... Jeśli naprawdę muszę wyjechać...

- Ja sam, przez zaufanych posłanców, uwiadomię o wszystkim Peterlina. Tobie zaś zabraniam tam jeździć. Zrozumiałeś, szalencze? Nie wolno ci podróżować po ścieżkach, które twoi wrogowie znają. Nie wolno ci pojawiać się w miejscach, gdzie mogą na cię czekać. A to znaczy, że w żadnym razie do Balbinowa. I w żadnym razie do Ziebic.

Reynevan słyszalnie westchnął, a Otto Beess słyszalnie zaklął.

- Nie wiedziałeś - wycedził. - Nie wiedziałeś, że ona jest w Ziebicach. To ja, stary duren, ci to zdradziłem. Cóż, stało się. Ale to bez znaczenia. Obojętne, gdzie ona jest. W Ziebicach, w Rzymie, w Konstantynopolu czy w Egipcie, obojętne. Nie zbliżysz się do niej, synu.

- Nie zbliże.

- Sam nie wiesz, jak bardzo chciałbym ci wierzyć. Posłuchaj mnie, Reinmarze, a posłuchaj uważnie. Dostaniesz list, zaraz każę sekretarzowi go napisać. Nie obawiaj się, pismo będzie zredagowane tak, że zrozumieć je zdoła tylko adresat. Wezmiesz list i postąpisz jak scigany wilk. Ścieżkami, którymi nigdy nie chodziłeś i na których szukać cię nie beda, pojedziesz do Strzegomia, do klasztoru karmelitów. Oddasz mój list tamtejszemu przeorowi, on zaś zapozna cię wówczas z pewnym człowiekiem. Temu zaś, gdy zostaniecie sam na sam, powiesz: osiemnasty lipca, rok osiemnasty. On cię wtedy zapyta: gdzie? Odpowiesz: Wrocław, Nowe Miasto. Zapamiętales? Powtórz.

- Osiemnasty lipca, rok osiemnasty. Wrocław, Nowe Miasto. A po co to wszystko? Nie rozumiem.

- Gdyby zrobiło się naprawdę niebezpiecznie - wyjaśnił spokojnie kanonik - ja cię nie uratuję. Chyba zebym ostrzygł cię w mnichy i zamknął u cystersów, pod kluczem i za murem, a tego, tusze, wolałbyś uniknąć. W każdym razie na Węgry wywieźć cię nie zdołam. Ten, którego ci polecam, zdoła. Zapewni ci bezpieczeństwo, a gdy trzeba będzie, obroni. Człek to natury dość kontrowersyjnej, w obyciu częstokroć nieprzyjemny, ale mus się cierpieć, bo w pewnych razach niezastąpiony. Zapamiętaj więc: Strzegom, klasztor braci Zakonu *Beatissimae Virginis Mariae de Monte Carmeli*, na zewnątrz murów miejskich, przy drodze do Bramy Świdnickiej. Zapamiętales?

- Tak, walebny ojcie.

- Wyruszasz bez zwloki. W Strzelinie i tak zbyt wielu ludzi cie widzialo. Zaraz dostaniesz list i hajda w droge.

Reynevane westchnal. Mial bowiem szczery zamiar pogawedzic jeszcze gdzies przy piwie z Urbanem Hornem. Horn budzil w Reynevaniu wielka estymie i admiracje, w parze ze swym psem Belzebubem rósł w jego oczach co najmniej do rycerza Yvaina z Lwem. Reynevane bardzo korcilo, by zlozyc Hornowi pewna propozycje, dotyczaca sprawy o rycerskim wlasnie charakterze - wspólnego uwolnienia pewnej ucisnionej niewiasty. Myslal takze o pozegnaniu sie z Dorota Faber. Ale cóz, nie traktuje sie lekko rad i polecen ludzi takich jak kanonik Otto Beess.

- Ojcie Ottonie?

- Slucham?

- Kim jest ten czlowiek od strzegomskich karmelitów?

Otto Beess milczal przez chwile.

- Kims - powiedzial wreszcie - dla kogo nie ma rzeczy niemozliwych.

Rozdzial ósmy

w którym z poczatku jest pieknie. A później nie bardzo.

Reynevane byl wesól i szczesliwy. Przepelniala go radosc, a wszystko dokola zachwycalo pieknem. Piekna byla dolina Górnej Olawy, wcinajacej sie zakolami w zielone wzgórze. Pieknie dreptal biegnaca wzdluz rzeki droga przysadzisty gniady zrebiec, podarunek od kanonika Ottona Beessa. Cudnie spiewaly wsród drzew drozdy, jeszcze cudniej wsród lak skowronki. Nastrojowo brzezaly pszczoły, zuki i konskie muchy. Wiejacy od wzgórz zefirek przynosil upojne wonie - juz to jaszminu, juz to czeremchy. Juz to gówna - byly widac w okolicy ludzkie sadyby.

Reynevane byl wesól i szczesliwy. Mial powody.

Nie udalo mu sie, mimo wysilków, spotkac ani pozegnac z niedawnymi towarzyszami podrózy, zalowal tego, zwlaszcza tajemnicze znikniecie Urbana Horna rozczarowalo go mocno. Ale to wlasnie wspomnienie Horna natchnelo go do dzialania.

Oprócz gniadego ogierka z biala strzalka na czole kanonik Otto obdarzyl go dodatkowo na droge trzosem, i to o wiele ciezszy niz sakieweczka otrzymana przed tygodniem od Konrada Kantnera. Wazac trzos w reku i po wadze domyslajac sie wewnatrz nie mniej niz trzydziestu praskich groszy,

Reynevan po raz kolejny przekonywał się o wyższości stanu duchownego nad rycerskim.

Ów trzosa odmienił jego los.

W jednej ze strzelinnych karczem, które odwiedził w poszukiwaniu Horna, napotkał bowiem totumfackiego kanonika, ojca Felicjana, lapczywie wyjadającego z rynki usmazona w grubych plastrach kielbase i popijającego tłustą ciężką lokalnym piwem. Reynevan z miejsca wiedział, co należy uczynić. I nawet nie musiał się zbyt wysilać. Księżulo na widok trzosa oblizal się, a Reynevan wręczył mu go bez cienia żalu. I bez liczenia, ile w nim faktycznie jest. Rzecz jasna, natychmiast zdobył wszystkie potrzebne informacje. Ojciec Felicjan powiedział wszystko, ba, był gotów zdradzić dodatkowo kilka sekretów zasłyszanych na spowiedzi, Reynevan jednak odmówił grzecznie, albowiem imiona penitentów nic mu nie mówiły, a ich grzechy i grzeszki nie interesowały go wcale.

Wyjechał ze Strzelina rankiem. Bez szelaga niemal przy duszy. Ale wesół i szczęśliwy.

Jechał zaś bynajmniej nie tam, dokąd kazał mu jechać kanonik. Nie głównym traktem, na zachód, przez Debowe Góry, południowym podnóżem Raduni, ku Swidnicy i Strzegomiowi. Całkiem wbrew kategorycznemu zakazowi, obróciwszy się do masywu Raduni i Słazy plecami, Reynevan jechał na południe, w górę Olawy, droga wiodąca do Henrykowa i Ziebic.

Wyprostował się w siodle, łowiac nozdrzami kolejne niesione przez wiatr mile wonie. Ptaszeta śpiewały, przygrzewało słonko. Ach, jakże piękny był świat cały. Reynevan miał ochotę zakrzyczeć z radości.

Piękna Adela, Gelfradowa żona, zdradził mu ojciec Felicjan w zamian za wazaca około trzydziestu groszy sakiewkę, choć wydawałoby się, osaczona przez szwagrów Sterczów w ligockim klasztorze cysterek, zdolna uciec i zmylić pogonię. Umknęła do Ziebic, by tam utaić się w klasztorze klarysek. Prawda, opowiadał księżulo, wylizując rynkę, prawda, że książe ziebicki Jan, zwiedziawszy się, surowo nakazał mniszkom wydać żonę swego wasala. Wziął ją pod areszt domowy, dopóki nie wyjaśni się sprawa domniemanego cudzołóstwa. Ale, tu ojciec Felicjan beknął zdrowo i piwnie, choć grzech wola kary, niewiasta jest w Ziebicach bezpieczna, ze strony Sterczów nie grozi już jej samosadna przemoc ni ukrzywdzenie. Książe Jan, tu ojciec Felicjan wysmarkał się, dobitnie przestrzegł Apeca Stercze, ba, na posłuchaniu palcem mu pogroził. Nie, nie zdolają już Sterczowie niczego złego uczynić bratowej. Nie ich siła.

Reynevan popędził gniadosza przez żółta od dziewanny i fioletowa od lubinu lake. Chciało mu się śmiać i krzyczeć z radości. Adela, jego Adela pokazała Sterczom dule, zrobiła z nich durniów i kpów, wystrychnęła na dudków. Myśleli, że osaczyli ją w Ligocie, a ona - smyk! I tyle ją widzieli. Ach, jak pieklił się pewnie Wittich, jak srożył i miotal bezsilne bluznierstwa Morold, jak krew mało nie zalała Wolfhera! A Adela w skok, w noc, na siwej klaczy, z powiewającym warkoczem...

Zaraz, zreflektował się. Adela nie nosi warkocza.

Muszę się opanować, pomyślał trzeźwo, popędzając ogierka. Nikoleta, amazonka z jasną jak słoma kosa, nie znaczy wszak dla mnie nic. Owszem, ocaliła mnie, odciała posąg, odwdzięczy się za to przy sposobności. Ba, do nóg padnie. Ale kocham Adele i tylko Adele, to Adela jest panią mego serca i moich myśli, myślę tylko o Adeli, w ogóle nie zaprzata mnie ni ten jasny warkocz, ni to błękitne wejrzenie spod sobolowego kołpaczka, ni te malinowe usta, ni te kształtne uda, obejmujące boki siwej klaczy...

Kocham Adele. Adele, od której dzieła mnie wszystkiego jakies trzy mile. Gdybym puścił konia w cwał, byłbym u ziebickich bram jeszcze przed wybiciem południa.

Spokojnie, spokojnie. Bez ferworu. Z chłodną głową. Wpierw, korzystając z okazji, że to po drodze, muszę odwiedzić brata. Gdy wyzwolę Adele z księżego aresztu w Ziebicach, uciekniemy oboje do Czech lub na Węgry. Peterlina może nie zobaczyć już nigdy. Muszę się pożegnać z nim, wyjaśnić. Prosić o braterskie błogosławieństwo.

Kanonik Otto zabronił. Kanonik Otto nakazał, by po wilczemu, by nigdy po uczeszczanych ścieżkach. Kanonik Otto ostrzegł, że posąg może czatować w okolicach Peterlinowego siedliska...

Ale Reynevan i na to miał sposób.

Do Olawy wpadał dopływ, rzeczka, strumyk raczej, utajony wśród sitowia, ledwie widoczny pod baldachimem olch. Reynevan ruszył w górę owego strumyka. Znal drogę. Droga, która wiodła nie do Balbinowa, gdzie Peterlin mieszkał, ale do Powojowic, gdzie pracował.

Pierwszy sygnał, że do Powojowic już blisko, dał po jakimś czasie właśnie ów strumyk, brzegiem którego Reynevan podróżował. Strumyk wpierw zaczął śmierdzieć, zrazu lekko, potem mocniej, potem wręcz okropnie. Jednocześnie woda zmieniła kolor, i to radykalnie - na brudnoczerwony. Reynevan wyjechał z lasu i z daleka już ujrzał przyczyny - ogromne drewniane stojaki suszarni, z których zwisały ufarbowane sztuki płótna i postawy sukna. Przeważał kolor czerwony - zasygnalizowana już przez strumyk produkcja dzienna - ale były też tkaniny błękitne, ciemnoniebieskie i zielone.

Reynevan znalazł te kolory, obecnie bardziej już kojarzone z Piotrem von Bielau niżli tynktury rodowego herbu. Miał zresztą w tych kolorach jakąś tam część własnego udziału, pomagał bratu w uzyskiwaniu barwników. Głęboka, żywa czerwień barwionych u Peterlina sukien i płócien pochodziła z sekretnej kompozycji alkiermesu, zmięwojca i marzanny. Wszystkie odcienie błękitu Peterlin uzyskiwał poprzez mieszanie soku borówek z urzetem, który to urzet zresztą - jako jeden z nielicznych na Śląsku - sam uprawiał. Urzet mieszany z szafranem i krokoszem dawał piękną intensywną zielen.

Wiatr powiał w jego stronę, przynosząc smród, od którego aż łzawiły oczy i skrecały się włoski w nozdrzach. Komponenty barwiarne, bielidla, lugi, kwasy, potaze, glinki, popioły i loje były dostatecznie smrodliwe, niechętnie woniała też zepsuta serwatka, w której - według receptur flamandzkich - moczono lniane płótno w końcowym stadium procesu bielenia. Wszystko to nie umywało się jednak do odoru używanego w Powojowicach podstawowego środka - wystającego ludzkiego moczu. Mocz, który w wielkich kadziach leżakował około dwóch tygodni, był potem obficie używany w foluszu, przy pilsnieniu sukna. Efekt był taki, że powojowicki folusz wraz z okolicą cuchnął szczykami jak jasne nieszczęście, a przy sprzyjających wiatrach smród potrafiło donieść aż do klasztoru cystersów w Henrykowie.

Reynevan jechał brzegiem czerwonej i śmierdzącej jak latryna rzeczki. Słyszał już folusz - nieustający loskot poruszanych wodą kół napędowych, stukot i skrzyp zębatek, zgrzyty przekładni; na wszystko szybko nałożył się głęboki, wstrząsający gruntem łomot - bicie stoporów, tłukących sukno w stopach. Folusz Peterlina był foluszem nowoczesnym, oprócz kilku tradycyjnych stanowisk ze stoporami posiadał też napędzane wodą młoty, które pilsniły szybciej, lepiej i równiej. I głośniejsze.

W dole nad rzeczka, za dalszymi suszarniami i rzędem dolów farbiarni zobaczył zabudowania, szopy i zadaszenia folusza. Stało tam, jak zwykle, dobrych dwadzieścia wozów, najróżniejszej wielkości i konstrukcji. Reynevan wiedział, że były to wozy zarówno dostawców - Peterlin importował z Polski duże ilości potazu - jak i wehikuly tkaczy, przywozających sukno do pilsnienia. Renoma Powojowic sprawiała, że przybywali tu tkacze z całej okolicy, z Niemczech, Ziebic, Strzelina, Grodkowa, Frankensteina nawet. Widział majstrów tkackich, tłoczonych dookoła folusza i dozorujących robotę, słyszał ich wybijające się nawet ponad loskot maszyny krzyki. Jak zwykle klócili się z folusznikami o sposób układania i przewracania sukna w stopach. Dostrzegł wśród nich kilku mnichów w białych

habitach z czarnymi szkaplerzami, to też nie była nowina, henrykowski klasztor cystersów produkował liczące się ilości sukna i był u Peterlina stałym klientem.

Tym, którego Reynevan nie widział natomiast, był właśnie Peterlin. Jego brat, który bywał w Powojowicach bardzo widoczny, zwykł był bowiem objeżdżać cały teren. Na koniu, by się dystyngować. Piotr von Bielau był w koncu rycerzem.

Co dziwniejsze, nigdzie nie dalo się też widzieć chudej i wysokiej postaci Nicodemusa Verbruggena, pochodzącego z Gandawy Flamanda, wielkiego majstra od folusznictwa i farbiarstwa.

Przypomniawszy sobie w porę przestrogi kanonika, Reynevan wjechał w zabudowania skrycie, za wozami kolejnych przybywających klientów. Opuszczył na nos kapelusz, zgarbił się w siodle. Nie zwróciwszy niczyjej uwagi podjechał pod dom Peterlina.

Gwarne zwykle i pełne ludzi budynki zdawały się zupełnie puste. Nikt nie zareagował na jego okrzyk, nie zainteresował się trzaskaniem drzwiami. Ni żywego ducha nie było ani w długiej sieni, ani w czeladnej. Wszedł do izby.

Na podłodze przed paleniskiem komina siedział majster Nicodemus Verbruggen, szpakowaty, ostrzyżony jak chłop, ale odziany jak pan. Komin huczał ogniem. Flamand zaś darł i wrzucał w płomień karty papieru. Konczył już. Na kolanach miał kilka zaledwie arkuszy, w ogniu zaś czerniała i zwijała się cała sterta.

- Panie Verbruggen!

- *Jezus Chrystus ...* - Flamand uniósł głowę, wrzucił w ogień następną kartę. - *Jezus Chrystus*, panicz Reinmar... Ależ nieszczęście, paniczu... Ależ okropne nieszczęście...

- Jakie nieszczęście, panie majstrze? Gdzie jest brat? Cóż to tu palicie?

- *Mynheer Peter* kazali. Rzekli, jakby co się stało, wyjąć ze skrytki, spalic, a wartko. Tako rzekli: „Jakby się co, Nicodemusie, nie daj Boże, stało, spal wartko. A folusz ma pracować”. Tako rzekli *mynheer Peter*. *En het woord is vlees geworden...*

- *Panie Verbruggen...* - *Reynevan* poczuł, jak straszliwe przecucie unosi mu włosy na karku. - *Panie Verbruggen, mówcież! Co to są za dokumenty? I jakie słowo stało się ciałem?*

Flamand wciągnął głowę w ramiona, rzucił w palenisko ostatnią kartę. *Reynevan* przyskoczył, parząc dłoń wyciągnął ją z ognia, machając ugasił. *Częściowo.*

- *Mówcież!*

- *Zabili* - przemówił głucho *Nicodemus Verbruggen*. *Reynevan* zobaczył łzę, meandrującą po zjezonym siwym szczecina policzku. - *Nie żyje dobrymynheer Peter*. *Zabili go*. *Zamordowali*. *Paniczu Reinmarze...* Takie nieszczęście, *Jezus Chrystus*, takie nieszczęście...

Trzasnęły drzwi. Flamand obejrzał się i pojął, że jego ostatnich słów już nikt nie wysłuchał.

* * *

Twarz Peterlina była biała. I porowata. Jak ser. W kąciku ust, mimo mycia, zostały ślady zakrzepłej krwi.

Starszy von Bielau leżał na ustawionych pośrodku świetlicy marach, wśród dwunastu gorejących świec. Na oczy położono mu dwa złote węgierskie dukaty, pod głowę podścielono gałazki świerczyny, której zapach, mieszając się z wonią topniejącego wosku, napelniał świetlice mdlącym, wstretnym, cmentarnym cuchem śmierci.

Mary nakryte były czerwonym sukniem. Barwionym alkiermesem w jego własnej farbiarni, pomyślał niedorzecznie Reynevan, czując, jak lży cisną mu się do oczu.

- Jak to... - wydusił ze scisniętego gardła. - Jak to... się mogło... stac?

Gryzelda z Derów, żona Peterlina, spoglądała na niego. Twarz miała zaczerwieniona i opuchnięta od płaczu, do spódnicy przyciskała obydwójce chłipiących dzieci, Tomaszka i Sybille. Ale jej spojrzenie było niezyczliwe, wręcz złe. Niezbyt przyjaźnie patrzyli też tesc i szwagier Peterlina, stary Walpot Der i jego kłocowaty syn Krystian.

Nikt, ani Gryzelda, ani Derowie, nie raczył odpowiedzieć na jego pytanie. Ale Reynevan ani myślał rezygnować.

- Co się stało? Czy ktoś mi wreszcie powie?

- Ubili go jacyś - bąknął sąsiad Peterlina, Gunter von Bischofsheim.

- Bóg - dorzucił proboszcz z Wawolnicy, Reynevan nie pamiętał jego nazwiska - Bóg ich za to pokarze.

- Mieczem pchnęli - powiedział chrapliwie Matjas Wirt, okoliczny dzierżawca. - Kon bez jeźdźca przybieżał. W samo południe.

- W samo południe - powtórzył, składając ręce, wawolnicki pleban. - *Ab incursu et daemone meridiano libera nos, domine ...*

- Kon przybieżał - powtórzył Wirt, zbity krzywe z tropu modlitewnym wtretem - z okrwawionym siodłem i czaprakiem. Tedy zaczęli szukać i znaleźli. W lesie, tuż przed Balbinowem... Przy drodze samej. Z Powojowic musi pan Piotr jechał. Grunt wieloma tamóży zryty był kopytami, widac, kupa obkoczyli...

- Kto?

- Nie wiada - wzruszył ramionami Matjas Wirt. - Zbóje pewnie...

- Zbóje? Zbóje nie zabrali konia? Być nie może.

- A kto tam wie, co być może, a co nie - wzruszył ramionami von Bischofsheim. - Pana Derowi i moi knechci gonia po lasach, nuz kogoś ulowia. A i do starosty znać dalismy. Przybada starostowi ludzie, zrobią śledztwo, wybadają, *cui bono*. Znaczy, kto miał do morderstwa powody i kto skorzystał na nim.

- Może to - odezwał się zjadliwie Walpot von Der - jaki lichwiarz, krzyw za lichwe niespłaconą? Może jakiś kamrat farbiarz, rad pozbyć się konkurenta? Może klient jakiś, na trzy złamane grosze oszukany? Tak

to jest, tym się kończy, gdy się o urodzeniu zapomina i z chamstwem kuma. W kupczyka bawi. Kto z kim przestaje, takim się staje. Tfu! Dalem cię za rycerza, córko, a terazes wdowa po...

Umilkł nagle, a Reynevan pojął, że to pod jego wzrokiem. Rozpacz i wściekłość walczyły w nim zaciekle, raz jedna brała górę, raz druga. Opanowywał się ostatkiem woli, ale ręce mu dygotały. Głos też.

- Nie widziano czasem w pobliżu - wykrztusił - czterech konnych? Zbrojnych? Jeden wysoki, wasaty, w kurcie nabijanej... Jeden mały, z krostami na gbie...

- Byli tacy - przemówił niespodziewanie pleban. - Wczoraj, w Wawolnicy, pod kościoła. Rychtyk na Anioł Panski dzwonił... O, na srogich patrzyli rebaczków. Cztery. Zaprawdę, jeźdźcy Apokalipsy...

- Wiedziałam! - krzyknęła ochryplym i zdartym od płaczu głosem Gryzelda, zatapiając w Reynevanie spojrzenie godne bazyliżki. - Wiedziałam, że cię zoczyłam, niecnoto ty! To przez ciebie! To przez twoje grzeszki i sprawy!

- Drugi von Bielau - Walpot Der z przekasem zaakcentował tytuł. - Też szlachcic. Ten dla odmiany od pijawek i lewatyw.

- Niecnoto, nicponiu! - wrzeszczała coraz głośniejszym głosem Gryzelda. - Ktokolwiek tym dzieciom ojca zamordował, twoim tu śladem przybył! Nieszczęście tylko przez ciebie! Zawsze bratu tylko wstyd przynosił a zgryzoty! Czego tu chcesz? Już ci scheda pachnie, kuku ty? Wynos się! Wynos się z mojego domu!

Reynevan z wielkim trudem opanował drżenie rąk. Ale głosu nie dobił. Już gotował się wewnętrznie od pasji i furii, aż rzucała nim chęć, by wyrzeczec tym wszystkim Derom w oczy, co myśli o całej ich rodzinie, mogącej grać panów tylko dzięki zarabianym w foluszu pieniądzom Peterlina. Ale pohamował się. Peterlin nie żył. Leżał zamordowany, z węgierskimi dukatami na oczach, w świetlicy własnego gródka, wśród kopcących świec, na marach, na czerwonym suknie. Peterlin nie żył. Nie godziły się, wstretne były przy jego zwłokach klótnie i pyskówki, mierzyla sama myśl o tym. Reynevan bał się nadto, że gdy tylko otworzy usta, to się rozsłocha.

Wszedł bez słowa.

Zaloba i przygnębienie wisiały nad całym balbinowskim grodkiem. Było pusto i cicho, służba skryła się gdzieś, świadoma, że pogrążonym w żalu zalobnikom niedobrze jest wlaźć pod reke. Nawet psy nie szczekały. W ogóle nie widac było psów. Oprócz...

Przetarł wciąż wypełnione łzami oczy. Siedzacy między stajnią a łaznią czarny brytan nie był zjawą. Ani myślał znikac.

Reynevan szybkim krokiem przemierzył podwórze, wszedł do budynku od strony wozowni. Przeszedł wzdłuż koryta dla krów - budynek był zarazem obora i chlewem - dotarł do przegród dla koni. W kacie przegrody zajmowanej zwykle przez konia Peterlina, dziobiąc nożem glinę klepiska, kleczał wśród odgarniętej słomy Urban Horn.

- Tęgo, czego szukasz, nie ma tutaj - powiedział Reynevan, sam dziwiąc się swemu spokojowi. Horn, o dziwo, wcale nie wydawał się być zaskoczony. Patrzył mu w oczy, nie wstając.

- To, czego szukasz, ukryte było w innej skrytce. Ale już tego nie ma. Splonęło.

- Doprawdy?

- Doprawdy - Reynevan wydobył z kieszeni nadpalony fragment arkusza, rzucił go niedbale na polepe. Horn nadal nie wstawiał.

- Kto zabił Peterlina? - Reynevan postąpił krok. - Kunz Aulock i jego banda na zlecenie Sterczów? Pana Barta z Karczyna też oni zabili? Co ty masz z tym wspólnego, Horn? Dlaczego jesteś tu, w Balbinowie, pół dnia zaledwie po śmierci mego brata? Skąd znasz jego skrytkę? Dlaczego szukasz w niej dokumentów, które splonęły w Powojowicach? I co to były za dokumenty?

- Uciekaj stad, Reinmarze - powiedział Urban Horn, przeciągając słowa. - Uciekaj stad, jeśli ci życie mile. Nie czekaj nawet na pochówek brata.

- Najpierw odpowiesz mi na pytania. Zaczynaj od tego najważniejszego: co ciebie łączy z tym zabójstwem? Co łączy z Kunzem Aulockiem? Nie próbuj klamać!

- Nie będę próbował - odrzekł Horn, nie spuszczać wzroku - ani klamać, ani odpowiadać. Dla twojego dobra zresztą. Może ci to zdziwi, ale taka właśnie jest prawda.

- Zmuszę cię do odpowiedzi - Reynevan postąpił krok i dobył pugnału. - Zmuszę cię, Horn. Jeśli trzeba będzie, siła.

O tym, że Horn zagwizdał, świadczyło tylko złożenie warg, dźwięk słyszalny nie był. Ale tylko dla Reynevana. W następnej bowiem chwili coś ze straszliwą mocą uderzyło go w piers. Runął na klepisko. Gnieciony ciężarem otworzył oczy, po to, by zobaczyć tuż przed nosem pełny garnitur zębisk czarnego brytana Belzebuba. Psia ślina kapłała mu na twarz, smród przyprawiał o mdłości. Złowrogi, gardłowy warkot paralizował lekkiem. W polu widzenia pojawił się Urban Horn, chowający za pazuchę nadpalony papier.

- Do niczego mnie nie możesz zmusić, chłopcze - Horn poprawił na głowie szaparon. - Wysłuchasz jednak tego, co powiem ci z dobrej woli. Ba, z życzliwości. Belzebub, nie rusz.

Belzebub nie ruszył. Choć widac było, że wielką miał chętkę.

- Z życzliwości - powtórzył Horn - radzę ci zatem, Reinmarze: uciekaj. Zniknij. Posłuchaj rady kanonika Beessa. Bo głowę stawie, że udzielił ci rad, dał wskazówki, jak wyplatać się z kabaly, w którą popadles. Nie lekceważ się, chłopcze, wskazówek i poleceń ludzi takich, jak kanonik Beess. Belzebub, nie rusz.

- Z powodu twego brata - powiedział Urban Horn - przykro mi niezmiernie. Sam nie wiesz, jak. Bywaj. I strzeż się.

Gdy Reynevan otworzył oczy, zacisnięte przed dotykającym niemal twarzy pyskiem Belzebuba, w stodole nie było już ani psa, ani Horna.

* * *

Przykucniety na grobie brata Reynevan kurczył się i dygotał ze strachu. Sypał dookoła siebie sól zmieszana z leszczynowym popiołem i drzącym głosem powtarzał zaklecie. Coraz mniej wierząc w jego

skuteczność.

Wirfe saltze, wirfe saltze

Non timebis a timore nocturno

Ni moru, ni goscia z ciemności

Ani demonia

Wirfe saltze, wirfe saltze...

Monstra klebiły się i hałasowały w mroku.

Choć świadom ryzyka i traconego czasu, Reynevan zaczął na pochówek brata. Nie dał się, mimo wysiłków bratowej i jej rodziny, zniechęcić do czuwania przy zwłokach, wziął udział w egzekwacjach, wysłuchał mszy. Był przy tym, gdy w obecności szlochającej Gryzeldy, proboszcza i nielicznego konduktu zakopano Peterlina w dole na cmentarzu na tyłach starodawnego wawolnickiego kościoła. Dopiero wówczas wyjechał. To znaczy - udał, że wyjeżdża.

Gdy zapadł zmrok, Reynevan pośpieszył na cmentarz. Ułożył na świeżej mogile czarodziejskie instrumentarium, skompletowane - o dziwo - bez specjalnych kłopotów. Najstarsza część wawolnickiej nekropolii przylegała do wyplukanego przez rzeczkę jaru, grunt obsunął się tam nieco, przez co dostęp do starożytnych grobów nie nastreczył trudności. W magicznym arsenale Reynevana znalazły się więc nawet gwóźdź z trumny i trupi palec.

Nie pomógł jednak ani trupi palec, ani zerwane pod cmentarnym plotem tojad, szalwia i złocien, ani zaklecia, szeptań nad ideogramem, wyrytym na grobie krzywym trumiennym gwoździem. Duch Peterlina, wbrew zapewnieniom ksiąg magicznych, nie uniósł się nad mogiła w postaci eteralnej. Nie przemówił. Nie dał znaku.

Gdybym miał tu moje księgi, pomyślał Reynevan, rozczłony i zniechęcony licznymi próbami. Gdybym miał *Lemegeton* lub *Necronomicon* ... Kryształ wenecki... Trochę mandragory... Gdybym miał dostęp do alembiku i mógł wydestylować eliksir... Gdybym...

Niestety. Grymuary, kryształ, mandragora i alembik były daleko, w Olesnicy. W klasztorze augustianów. Albo, co prawdopodobniejsze, w posiadaniu Inkwizycji.

Za horyzontu szybko zbliżała się burza. Towarzyszące rozbłyskom nieba pomruki grzmotów były coraz głośniejsze. Wiatr ustał zupełnie, powietrze zrobiło się martwe i ciężkie jak calun. Musiało być blisko północy.

I wtedy się zaczęło.

Kolejna błyskawica oświetliła kościół. Reynevan z przerażeniem zobaczył, że cała dzwonnica roi się od pajakopodobnych stworów, pelzających w górę i w dół. Na jego oczach kilka cmentarnych krzyży poruszyło się i pochyliło, jedna z dalszych mogił wybrzuszyła się mocno. Z ciemności nad jarem dobiegł

chrupot kruszonych trumiennych desek, potem rozbrzmiało głośne mlaskanie. A potem wycie.

Gdy sypał wokół siebie sól, rece latały mu jak w ataku febry, a wargi ledwo dały się zmusić do wybelkotania formuły zaklecia.

Największy ruch panował nad jarem, w najstarszej, zarosniętej olszyna części cmentarza. Tego, co się tam wyprawiało, Reynevan na szczęście nie widział, nawet błyskawice nie wydobywały z mroku nic poza niewyraźnymi kształtami i sylwetkami. Mocnych wrzawa dostarczał jednak słuch - buszujące wśród starych mogił towarzystwo tupalo, ryczało, wyło, gwizdało, kleło, do tego klapało i zgrzytało zębami.

Wirfe saltze, wirfe saltze...

Jakaś kobieta śmiała się cienko i spazmatycznie. Jakiś baryton złośliwie parodiował liturgie mszy, czemu towarzyszył dziki rechot pozostałych. Ktoś walil w beben.

Z mroku wylonil się kosciotrup. Trochę się pokrecił, potem siadł na grobie i tak siedział, objawszy pochyloną czaszkę koscistymi dłońmi. Przy nim przysiadł po chwili kosmaty stwór o wielkich stopach. W stopy te stwór jał drapac się zapamiętale, stekając przy tym i pojękując. Zamysłony kosciotrup nie zwracał na niego uwagi.

Obok przeszedł muchomor na pajecznych nogach, za nim po chwili przeczłapało coś, co wyglądało zupełnie jak pelikan, ale miast piór miało łuski, a dziób pełen kończystych kielków.

Na sąsiednia mogile wskoczyła wielka zaba.

I było tam jeszcze coś. Coś, co - Reynevan przysiągłby - stałe go obserwowało, nie spuszczało z oka. Co było zupełnie skryte w mroku, niewidzialne nawet w blasku błyskawic. Ale uważne spojrzenie pozwalało dostrzec ślepią świecać jak próchno. I długie zęby.

- *Wirfe saltze* - sypał przed siebie kończąca się już sola. - *Wirfe saltze ...*

Nagle przyciągnęła jego wzrok jasna, wolno poruszająca się plama. Sledził ją, czekając na kolejną błyskawicę. Gdy błysnęło, zobaczył ku swemu zdumieniu dziewczynę w białym giele, zrywającą i kładącą do kosza wielkie i rozłożyste cmentarne pokrzywy. Dziewczyna też go zobaczyła. Po chwili wahania podeszła, postawiła kosz. Nie zwróciła najmniejszej uwagi ani na fraszobliwego kosciotrupa, ani na kosmatego stworza, dlubiącego między paluchami wielkich stóp.

- Dla przyjemności? - spytała. - Czy z obowiązku?

- Eee... Z obowiązku... - pokonał strach, pojął, o co pytała. - Brat... Brata mi zabili. Tutaj leży...

- Aha - odgarnęła włosy z czoła. - A ja tu, widzisz, pokrzywy zbieram.

- Zeby uszyć koszule - westchnął po chwili, odgadując. - Dla braci zaklętych w ląbedzie?

Milczała długo.

- Dziwny jesteś - powiedziała wreszcie. - Pokrzywy są na płótno, a jakże. Na koszule. Ale nie dla braci. Ja nie mam braci. A gdybym miała, nigdy nie pozwoliłabym, by włożyli te koszule.

Zasmiała się gardłowo, widząc jego mine.

- Po co ty z nim w ogóle gadasz, Eliza? - odezwalo sie to zebate cos, niewidzialne w mroku. - Nie szkoda to zachodu? Nad ranem spadnie deszcz, rozmyje te jego sól. Wtedy odgryzie mu sie glowe.

- To nie jest w porzadku - powiedzial, nie podnoszac czaszki, fraszobliwy kosciotrup. - To nie jest w porzadku.

- Pewnie, ze nie - przytaknela nazwana Eliza dziewczyna. - Przeciez to Toledo. Jeden z nas. A malo nas juz zostalo.

- Chcial gadac z umarlakiem - oswiadczył, wylaniajac sie jak spod ziemi, karzel ze sterczacymi spod górnej wargi zębami. Był pekaty jak dynia, goly brzuch swiecił mu spod przykrótkiej wystrzepionej kamizeli.

- Z umarlakiem chcial gadac - powtórzyl. - Z bratem, co tu lezy pochowany. Chcial odpowiedzi na pytania. Ale ich nie dostal.

- Tedy godzi sie pomóc - powiedziala Eliza.

- Pewnie - powiedzial kosciotrup.

- Jasne, brekek - powiedziala zaba.

Lysnela blyskawica, przetoczyl sie grom. Zerwal sie wiatr, zaszumial w badylach, zakolowal i zakurzyl suchymi liscmi. Eliza bez wahania przestapila rozsypana sól, silnie pchnela Reynevana w piers. Upadl na mogile, walnal potylicą o krzyz. W oczach rozblysló mu, potem pociemniadlo, potem rozblysló znowu, ale tym razem byla to blyskawica. Ziemia pod plecami zadygotala. I zawirowala.

Dokola zaplasaly cienie, tanczace sylwetki, dwa kregi, wirujace naprzemiennie wokól mogily Peterlina.

- Barbelo, Hekate, Holda!

-*Magna Mater* !

- Eia!

Grunt pod nim zakolysal sie i pochylil tak stromo, ze Reynevan gwałtownie rozpostarl rece, by nie zsunac sie i nie spasc. Nogi nadaremnie szukaly oparcia. Nie spadal jednak. W uszy wdzieraly sie dzwieki, spiew. W oczy cisnely widziadla.

Veni, veni, venias

ne me mori, ne me mori facias!

Hyrca! Hyrca! Nazaza!

Trillirivos! Trillirivos! Trillirivos!

Adsumus, mówi Percival, klekający przed Graalem. *Adsumus*, powtarza Mojżesz, zgarbiony pod ciężarem znośzonych z góry Synaj kamiennych tablic. *Adsumus*, mówi Jezus, upadający pod krzyżem. *Adsumus*, powtarzają jednym głosem zgromadzeni za stołem rycerze. *Adsumus !Adsumus !* Jesteśmy tu, Panie, zebrani w Twoim imieniu.

Echo przebiega przez zamek jak dudniący grom, jak odgłos dalekiej bitwy, jak gruchot taranu o grodową bramę. I niknie powoli wśród ciemnych korytarzy.

Nadejdzie *Viator*, Wedrowiec, mówi młoda dziewczyna o lisiej twarzy i podkrążonych oczach, ustrojona w wianek z werbeny i koniczyny. Ktos odchodzi, ktos przychodzi. *Apage! Flumen immundissimum, draco maleficus ...* Nie pytaj o imię, ono jest tajemnicze. Z tego, który pozera, wyszło to, co się spożywa, a z mocnego wyszła słodycz. A kto jest winien? Ten, który prawdę powie.

Zostaną zgromadzeni, uwięzieni w lochu; beda zamknięci w więzieniu, a po wielu latach beda ukarani. Strzeż się Pomurnika, strzeż się nietoperzy, strzeż się demona, co niszczy w południe, strzeż się tego, który idzie w mroku. Miłość, mówi Hans Mein Igel, miłość ocali ci życie. Zalujesz, pyta pachnaca tatarakiem i miętą dziewczyna. Zalujesz? Dziewczyna jest naga, naga nagoscia niewinna, *nuditas virtualis*. Jest ledwie widoczna w mroku. Ale tak blisko, że czuje się jej ciepło.

Słońce, wąż i ryba. Wąż, ryba, słońce wpisane w trójkąt. Wali się Narrenturm, rozpada w gruzy *turris fulgurata*, wieża trafiona piorunem. Biedny błazen spada z niej, leci w dół, ku zagładzie. Ja jestem tym błaznem, przebiega przez głowę Reynevana, błaznem i szalencem, to ja spadam, lece w otchlan, na dno.

Człowiek, cały w płomieniach, biegnący z krzykiem po płytkim śniegu. Kosciół w ogniu.

Potrzasnął głową, by odpędzić widziadła. I wtedy, w rozbłysku kolejnej błyskawicy, zobaczył Peterlina.

Zjawa, nieruchoma jak posąg, zajasniała nagle nienaturalnym światłem. Reynevan zobaczył, że światło to, niczym blask słoneczny przez dziurawe ściany szalasu, bije z licznych ran - w piersi, szyi i podbrzuszu.

- Boże, Peterlin... - wyjeczał. - Jak cię strasznie... Zapłaca mi za to, przysięgam! Pomszczę cię... Pomszczę, braciszku... Klne się...

Widziadło wykonało gwałtowny gest. Ewidentnie przeczący, zabraniający. Tak, to był Peterlin, nikt inny oprócz ojca nie gestykulował tak, gdy czemus zaprzeczał lub gdy czegoś zabraniał, gdy karcił małego Reynevana za psoty lub szalencze pomysły.

- Peterlin... Braciszku...

Taki sam gest, jeszcze ostrzejszy, gwałtowniejszy, dobitniejszy. Nie pozostawiający wątpliwości. Reka, wskazująca południe.

- Uciekaj - odezwowało się widziadło głosem Elizy od pokrzyw. - Uciekaj, mały. Daleko. Jak najdalej. Za lasy. Nim pochłonie cię loch Narrenturmu. Uciekaj, biec przez góry, skacz po pagórkach, *saliens in montibus, transiliens colles*.

Ziemia zawirowała wściekle. I wszystko się skończyło. Zapadło w ciemność.

* * *

O swicie zbudził go deszcz. Leżał na mogile brata na wznak, nieruchomy i otepiały, a krople rozpryskiwały mu się na twarzy.

* * *

- Pozwól, młodzieńcze - powiedział Otto Beess, kanonik od świętego Jana Chrzciciela, prepozyt wrocławskiej kapituły. - Pozwól, że pokrótce zrekapituluję, co mi tu opowiedział, a co sprawiło, że uszom własnym przestałem dowierzać. Tak więc Konrad, biskup Wrocławia, mając okazję, by dobrać się do rzyki Sterczom, którzy go szczerze nienawidzą i których on nienawidzi, nie czyni nic. Mając niezbitę niemal dowody, że Sterczowie zamieszani są w rodowa wróżde i morderstwo, biskup Konrad nie podejmuje w sprawie żadnych kroków. Czy tak?

- Dokładnie tak - odparł Gwibert Bancz, sekretarz biskupa wrocławskiego, młody kleryk o ładnej twarzy, czystej cerze i łagodnych aksamitnych oczach. - Postanowione to jest. Żadnych kroków przeciw rodowi Sterczów. Nawet upomnień. Nawet przesłuchań. Biskup postanowił to w obecności jego wielbności sufragana Tylmana. I w przytomności owego rycerza, któremu śledztwo poruczono. Tego, który dziś rankiem do Wrocławia zjechał.

- Rycerz - powtórzył kanonik, wpatrzony w obraz przedstawiający mecenstwo świętego Bartłomieja, jedyna, prócz półki z lichtarzami i krucyfiksem, dekoracja surowych ścian izby. - Rycerz, który rankiem do Wrocławia zjechał.

Gwibert Bancz przelknął ślinę. Sytuacja, co tu dużo gadać, nie była dla niego najzwyklejsza. Nigdy nie była. I nic nie wskazywało, by kiedyś mogło się to zmienić.

- Właśnie - Otto Beess zabeźnił palcami po stole, skupiony, zdawałoby się, wyłącznie na meczonym przez Ormian świętym. - Właśnie. Cóż to za rycerz, synu? Imię? Ród? Herb?

- Khem... - chrząknął kleryk. - Ni imię nie padło, ni ród... Ni herbu nie nosił, cały w czerni beżad odzianym. Aleć jam go już u biskupa widywał.

- Jak tedy wygląda? Nie każ się ciągnąć za język.

- Niestary. Wysoki, szczupły... Włosy czarne do ramion. Nos długi, by dziób... *Tandem* wejrzenie jakies takie... ptasie... Przenikliwe... *In summa*, gładkim nazwać go trudno... Aleć meski...

Gwibert Bancz urwał nagle. Kanonik nie odwrócił głowy, nie przerwał nawet beźnienia palcami. Znal tajone upodobania erotyczne kleryka. To, że je znalazł, pozwoliło mu zrobić z niego swego informatora.

- Mów dalej.

- Owóż to ten właśnie przybysz rycerz, który, nawiasem mówiąc, w obecności biskupa nie wykazał ni unizonności, ni skrepowania nawet bynajmniej, zdał relację ze śledztwa w sprawie zabójstw panów Barta z Karczyna i Piotra von Bielau. A była ta relacja taka, że jego wielbność sufragana nie zdzierzył w pewnym momencie i śmiać się począł...

Otto Beess bez słowa uniósł brwi.

- Rzekł ów rycerz, że winni są Żydzi, albowiem w pobliżu miejsc obu zbrodni dano się wywieszyć *foetor judaica*, właściwy Żydom smród... Aby się tego odoru pozbyć, Żydowini pija, jak wszystkim wiadomo, krew chrześcijańska. Mord, prawil dalej przybysz, nie baczac, że wielebny Tylman do rozpuku się zasmiewa, nosi więc znamiona rytualnego i winnych należałoby szukać w najbliższych kahalach, zwłaszcza brzeskim, albowiem rabina z Brzegu widziano w okolicach Strzelina właśnie, i to w towarzystwie młodego Reinmara de Bielau... Tego, co to wie wasza wielebnosc...

- Wiem. Mów dalej.

- Na takie *dictum* wielebny sufragan Tylman oświadczył był, że to bajka, że obaj zamordowani padli od mieczów. Ze taki pan Albrecht von Bart silacz był i szermierz zawołany. Ze zaden rabin, z Brzegu czy skadkolwiek, nie dalby rady panu Bartowi nawet wówczas, gdyby bili się na Talmudy. I znowu jał smiac się do leż.

- A rycerz?

- Rzekł, że jeśli nie Żydzi zabili dobrych panów Barta i Piotra de Bielau, to musiał uczynić to diabeł. Co w sumie na jedno wychodzi.

- Co na to biskup Konrad?

- Jego dostojność - odchrzaknął kleryk - wzrokiem spiorunował wielebnego Tylmana, nierad, widac było, z jego wesołości. I od razu przemówił. Wielce surowo, poważnie i urzędowo, a mnie zapisac to kazał...

- Umorzył śledztwo - uprzedził kanonik, bardzo wolno wymawiając słowa. - Po prostu umorzył śledztwo.

- Jakbyście przy tym byli. A wielebny sufragan Tylman siedział i słowem się nie odezwał, ale mine miał dziwna. Biskup Konrad pomiarkował to i rzekł, a gniewnie, że racja jest po jego stronie, historia to zaświadczy i że *to ad maiorem Dei gloriam*.

- Tak rzekł?

- Tymi słowy. Dlatego nie idźcie, wielebny ojcze, w tej sprawie do biskupa. Recze, nic nie wskóracie. Nadto zas...

- Nadto zas co?

- Rzekł ów przybysz do biskupa, że jeśli w sprawach obydwu zbrodni będzie kto inwokował, składał petycje albo dalszego domagał się śledztwa, to on zada być o tym uwiadomiony.

- On zada - powtórzył Otto Beess. - A co na to biskup?

- Głowa kiwał.

- Głowa kiwał - powtórzył kanonik, też kiwając. - No, no. Konrad, Piast Olesnicki. Głowa kiwał.

- Kiwał, wielebny ojcze.

Otto Beess znowu spojrzal na obraz, na katowanego Bartłomieja, z którego Ormianie zdierali długie pasy skóry za pomoca wielgasnych obcegow. Jesli wierzyc „Zlotej legendzie” Jakuba da Voragine, pomyslal, nad miejscem mecenstwa unosil sie zapach róż przecudny. Akurat. Meka smierdzi. Nad miejscami tortur unosi sie smród, cuch, odór. Nad wszystkimi miejscami kazni i meki. Takze nad Golgota. Tam tez, glowe dam, nie bylo róż. Byl, jakze trafnie, *foetor judaica* .

- Prosze, chlopcze. Wez.

Kleryk, jak zwykle, najpierw siegnal po sakiewke, potem raptownie cofnal reke, jak gdyby kanonik podawal mu skorpiona.

- Wielebny ojciec... - baknal. - Toc ja nie dla... Nie dla grosza marnego... Jeno dlatego, ze...

- Wez, synu, wez - przerwal z protekcyjnalnym usmiechem kanonik. - Mówilem ci juz przy innych okazjach, ze informator musi brac zaplate. Gardzi sie przede wszystkim tymi, którzy donosza za darmo. Dla idei. Ze strachu. Ze zlosci i zawisci. Mówilem ci juz: wiecej nizli zdrada Judasz zasluzył na wzgarde tym, ze zdradzil tanio.

* * *

Popoludnie bylo pogodne i cieple, mila odmiana po kilku dniach sloty. Lsnila w sloncu wieza kosciola Marii Magdaleny, lsnily dachy kamieniczek. Gwibert Bancz przeciagnal sie. U kanonika zmarzl. Izba byla zacieniona, od murów wialo zimnem.

Oprócz siedziby w domu kapitulnym na Ostrowiu Tumskim prepozyt Otto Beess mial we Wroclawiu dom na Szewskiej, niedaleko rynku, tam zwykl byl przyjmowac tych, o których wizytach nie powinno byc glosno, w tej liczbie oczywiscie i Gwiberta Bancza. Gwibert Bancz postanowil wiec wykorzystac okazje. Na Ostrów wracac mu sie nie chcialo, bylo malo prawdopodobne, by biskup potrzebował go przed nieszporemami. A z Szewskiej byly trzy kroki do pewnej znanej klerykowi piwnicy za Kurzym Targiem. W piwnicy zas można bylo wydac czesc otrzymanych od kanonika pieniedzy. Gwibert Bancz swiecie wierzył, ze pozbywajac sie pieniedzy pozbywa sie grzechu.

Gryzacz nabyty na mijanym straganie precel, dla skrócenia drogi skrecil w ciasny zaułek. Bylo tu cicho i bezludno, tak bezludno, ze prysnely mu spod nóg zdumione pojawieniem sie czlowieka szczury.

Uslyszal szelest piór i lopot skrzydel. Obejrzał sie i zobaczył wielkiego pomurnika, niezgrabnie siadajacego na fryzie nad zamurowanym oknem. Upuscil precel, cofnal sie raptownie, odskoczyl.

Na jego oczach ptak zjechal po murze, chroboczac szponami. Zamazal sie. Wyrósł. I zmienil ksztalt. Bancz chcial wrzasnac, ale nie zdolal dobyc glosu ze skurzonego gardla.

Tam, gdzie przed chwila byl pomurnik, teraz stal znany klerykowi rycerz. Wysoki, szczuply, czarnowlosy, czarno odziany, o przenikliwym ptasim wejrzeniu.

Bancz znowu rozwarł usta i znowu nie wydobył z nich nic poza cichym skrzekiem. Rycerz Pomurnik zblizył sie posuwiscie. Bedac zupełnie blisko usmiechnal sie, mrugnal i zložyl usta, przesyłajac klerykowi bardzo erotyczny pocalunek. Nim kleryk zrozumial, w czym rzecz, zložyl okiem blysk klingi, dostal w brzuch, na uda chlusnela mu krew. Dostal drugi raz, w bok, nóg zachrupal na zebrach. Uderzył plecami o mur, trzeci cios niemal go don przygwodził.

Teraz już mógł wrzeszczec i byłby wrzasnal, ale nie zdazyl. Pomurnik doskoczyl i szerokim pociagnieciem rozplatal mu gardlo.

* * *

Skurzonego, lezacego w czarnej kaluzy trupa znalezli zebracy. Zanim zjawila sie straz grodowa, przybiegli jeszcze handlarze i przekupki z Kurzego Targu.

Nad miejscem zbrodni wisiala groza. Groza okropna, dlawiaca, skrecajaca kiszki. Groza straszna.

Tak straszna, ze do momentu nadejscia strazy nikt nie odwazyl sie ukrasc sakiewki z pieniędzmi, sterczacej zamordowanemu z rozerzniętych nozem ust.

* * *

-*Gloria in excelsis Deo* - zaintonowal kanonik Otto Beess, opuszczajac zlozone dlonie i sklaniajac glowe przed oltarzem. -*Et in terra pax hominibus bonae voluntatis ...*

Diakoni staneli po jego bokach, przyciszonymi glosami wlaczajac sie do spiewu. Celebrujacy msze Otto Beess, prepozyt wroclawskiej kapituly, kontynuowal. Kontynuowal mechanicznie, rutynowo. Myslamy byl gdzie indziej.

Laudamus te, benedicimus te, adoramus te,

glorificamus te, gratias agimus tibi...

Zamordowali kleryka Gwiberta Bancza. W bialy dzien, w centrum Wroclawia. A biskup Konrad, który umorzyl sledztwo w sprawie zabójstwa Peterlina von Bielau, sledztwo w sprawie swego sekretarza zapewne umorzy również. Nie wiem, co tu sie dzieje. Ale trzeba zadbac o własne bezpieczenstwo. Nigdy, pod zadnym pozorem, nie dac pretekstu ani okazji. I nie dac sie zaskoczyc.

Spiew wznosil sie az pod wysokie sklepienie wroclawskiej katedry.

Agnus Dei, Filius Patris, qui tollis peccata mundi,

miserere nobis;

Qui tollis peccata mundi, suscipe deprecationem

nostram...

Otto Beess przykleknął przed ołtarzem.

Mam nadzieję, pomyślał, czyniąc znak krzyża, mam nadzieję, że Reynevan zdążył... Że jest już bezpieczny. Mam wielką nadzieję...

-Miserere nobis ...

Msza trwała.

* * *

Czterech jeźdźców przegalopowało przez rozstaje, obok kamiennego krzyża, jednej z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i skruchy. Wiatr siekł, deszcz zaczął, błoto przyskalo spod kopyt. Kunz Aulock, zwany Kyrielejson, zaklął, mokra rekawica scierając wodę z twarzy. Stork z Gorgowic zawtórował spod ociekającego kaptura jeszcze bardziej sprośnie. Walterowi de Barby i Sybkowi z Kobylejglowy nawet już nie chciało się kląć. W cwał, myśleli, byle przedziej pod jakiś dach, do jakiej oberży, do ciepła, suchości i grzanego piwa.

Błoto bryzgnęło spod kopyt, błocąc i tak już ubłoconą postać, skurczoną pod krzyżem i nakrytą płaszczem. Żaden z jeźdźców nie zwrócił na postać uwagi.

Reynevan też nawet nie uniósł głowy.

Rozdział dziewiąty

w którym zjawia się Szarlej.

Przeor strzegomskiego klasztoru karmelitów był chudy jak szkielet; kompleksja, sucha cera, niedokładnie zgolony zarost i długi nos czyniły go podobnym do oskubanej czapli. Gdy patrzył na Reynevana, mrużył oczy, gdy wracał do czytania listu Ottona Beessa, przysuwał list do nosa na odległość dwóch cali. Kosciste i sine dłonie drżały mu nieustannie, usta co i rusz krzywił ból. Przeor nie był przy tym bynajmniej starcem. Była to choroba, którą Reynevan znalazł i widywał, choroba tocząca niczym trad - tyle tylko, że niewidocznie, od środka. Choroba, wobec której bezsilne były wszelkie leki i zioła, na którą skutkowało tylko najsilniejsza magia. Co z tego zresztą, że skutkowało. Nawet jeśli ktoś wiedział, jak leczyć, nie leczył, bo czasy były takie, że wyleczony potrafił zadenuncjować lekarza.

Przeor chrzaknięciem wyrwał go z zadumy.

- Tylko wiec dla tej oto rzeczy jedynie - uniósł list wrocławskiego kanonika - czekales na mój powrót, mlodziencze? Cale cztery dni? Wiedzac, ze ojciec gwardian ma na czas mojej nieobecności wszelkie plenipotencje?

Reynevan ograniczył się do kiwnięcia głową. Powoływanie się na warunek oddania listu do rąk własnych przeora było tak trywialnie oczywiste, że aż niewarte wspomnienia. Jeśli zaś szło o cztery spędzone w podstrzegomskiej wsi dni, też szkoda było o nich wspominać - minęły nie wiedzieć kiedy. Jak we śnie. Od tragedii w Balbinowie Reynevan wciąż był jak we śnie. Odretwiwały, rozkojarzony i półprzytomny.

- Czekales - stwierdził fakt przeor - by oddać list do rąk własnych. I wiesz co, mlodziencze? Bardzo dobrze, że czekales.

Reynevan nie skomentował i tym razem. Przeor powrócił do listu, podsuwając go do samego niemal nosa.

- Taaak - powiedział wreszcie przeciągle, podnosząc wzrok i mrużąc oczy. - Wiedziałem, że przyjdzie dzień, gdy czcigodny kanonik przypomni mi o długu. I upomni się o spłatę. Z lichwiarskim procentem. Którego, nawiasem mówiąc, Kościół pobierać zabrania. Mówi wszak Ewangelia Łukasza: pożyczajcie, niczego się za to nie spodziewając. Czy wierzysz, mlodziencze, bez zastrzeżenia w to, w co kaze wierzyć Kościół, matka nasza?

- Tak, wielbny ojcze.

- Chwalebna to cnota. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Zwłaszcza w miejscu takim, jak to. Czy wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, czym jest to miejsce? Oprócz klasztoru?

- Nie wiesz - przeor odgądl z milczenia. - Lub zrecznie udajesz, że nie wiesz. Jest to otóż dom demerytów. Co to takiego dom demerytów, zapewne nie wiesz również lub z równą zrečnością udasz, że nie wiesz. Tedy ci powiem: jest to więzienie.

Przeor zamilkł, splótł dłonie, patrzył na rozmówcę badawczo. Reynevan ma się rozumieć, dawno już odgądl, w czym rzecz, ale nie zdradzał się z tym. Nie chciał psuć karmelicie przyjemności, której ten sposób prowadzenia rozmowy ewidentnie mu dostarczał.

- Czy wiesz - odjął po chwili zakonnik - o co jego wielbność kanonik pozwala sobie prosić mnie w tym liście?

- Nie, wielbny ojcze.

- Ta niewiedza usprawiedliwia cię poniekąd. A ponieważ ja wiem, mnie nic usprawiedliwić nie może. Tym samym, jeśli proszę odmówię, postępki moje usprawiedliwione będą. Co ty na to? Czyż moja logika nie równa Arystotelesowej?

Reynevan nie odpowiedział. Przeor milczał. Bardzo długo. Potem zapalił list kanonika od świecy, obrócił nim tak, by płomień buchnął, rzucił na posadzkę. Reynevan patrzył, jak papier zwija się, czernieje i kruszy. Oto obracają się w popiół moje nadzieje, pomyślał. Niewczesne zresztą, bezsensowne i płonne. Może to więc i lepiej, że stało się tak, jak się stało.

Przeor wstał.

- Idz do szafarza - rzekl krótko i sucho. - Niechaj cie nakarmi i napoi. Potem zas pokwapisz sie do naszego kosciola. Tam spotkasz sie z tym, z kim powinienes. Rozkazy beda wydane, bedziecie mogli opuscic klasztor bez przeszkód. Kanonik Beess w swym liscie podkreslil, ze obaj udajecie sie w daleka podróz. Od siebie dodam, ze bardzo dobrze, ze w daleka. Byloby, dodam, wielkim bledem wyjezdzac zbyt blisko. I wracac zbyt szybko.

- Dziekuje waszej wielebnosci...

- Nie dziekuj. Jesli zas któregos z was napadlaby mysl prosic mnie przed odejsciem o bogoslawienstwo na droge, niechaj te mysl porzuci.

* * *

Wikt u strzegomskich karmelitów byl, w samej rzeczy, iscie wiezienny. Reynevan byl jednak wciaz zbyt przybity i apatyczny, by smakowac. Byl nadto, co tu gadac, nazbyt glodny, by wykrzywiac sie na solonego sledzia, kasze bez omasty i piwo, od wody różniace sie jedynie kolorem, a i to nieznacznie. A moze zreszta byl akurat post? Nie pamietal.

Jadl wiec zywo i zwawo, czemu z wyraznym zadowoleniem przygladal sie starszek szafarz, niewatpliwie obyty z duzo mniejszym entuzjazmem ugaszczanych. Ledwie Reynevan uporal sie z ulikiem, usmiechniety zakonnik obdarzyl go drugim, wyciagnietym wprost z beczulki - Reynevan postanowil wykorzystac ten akt przyjazni.

- Prawdziwa to forteca, wasz klasztor - odezwal sie z pelnymi ustami. - I nie dziwota, wiem wszak, czemu sluzyc. Ale przecie zbrojnej strazy nie macie. Z tych, co tu pokutuja, nigdy nikt nie uciekl?

- Oj, synu, synu - szafarz pokiwal glowa nad jego naiwna tepota. - Uciekac? A po cóz? Nie zapominaj, kto tu pokutuje. Kazdemu z nich kiedyś sie pokuta skonczy. A choc nikt z tutejszych nie pokutuje *pro nihilo*, koniec pokuty zmazuje wine. *Nullum crimen*, wszystko wraca do normy. A zbieg? Bylby wywolancem po kres swych dni.

- Rozumiem.

- To dobrze, bo mnie o tym gadac nie wolno. Jeszcze kaszy?

- Chetnie. A owi pokutnicy, to za co, ciekawosc, pokutuja? Za jakie przewiny?

- Mnie o tym gadac nie wolno.

- Toc nie o konkretne przypadki pytam. Jeno tak, ogólnie.

Szafarz zachrzakal i rozejrzal sie trwozliwie, niewatpliwie swiadom, ze w domu demerytów uszy moga miec nawet obwieszzone patelniami i czosnkiem sciany kuchni.

- Oj - powiedzial cicho, wycierajac o habit rece tluste od sledzi. - Za różnosc tu pokutuja, synu, za różnosc. Główna miara ksieza zdrozni. I mnisi. Ci, co im sluby nadto ciazly. Sam imaginujesz: slub posluszenstwa, pokory, ubóstwa... Takze abstynencji i umiarkowania... Jak to mówia: *plus bibere, quam orare*. Takze slub czystosci, niestety...

-*Hemina* - odgadł Reynevan -*instrumentum diaboli* ?

- Zebyz tylko femina... - westchnal szafarz, wznoszac oczy. - Ach, ach... Bezmiar grzechów, bezmiar... Nijak zaprzeczyc.. A sa u nas i sprawy powazniejsze... Oj, powazniejsze... Ale o tym gadac mi nie wolno. Skonczyles jesc, synu?

- Skonczyłem. Dziekuje. Bylo smaczne.

- Zachodz, ilekroc zechcesz.

* * *

Wnetrze kosciola bylo wyjatkowo mroczne, blask swiec i swiatlo z waziutkich okienek padaly tylko na okolice samego oltarza, tabernakulum, krucyfiks i tryptyk przedstawiajacy Oplakiwanie. Reszta prezbiterium, cala nawa, drewniane empory i stalle tonely w metnym półmroku. Moze to celowo, nie opedzil sie przed mysla Reynevan, moze to dlatego, by podczas modłów demeryci nie widzieli wzajem swych twarzy, by nie próbowali odgadywac z nich cudzych grzechów i wystepków. I porównywac ich z wlasnymi.

- Tutaj jestem.

Dzwieczny i gleboki glos, który dobiegl od strony ukrytej miedzy stallami wneki, pobrzmiwal - trudno bylo oprzec sie takiemu wrazeniu - powaga i dostojenstwem. Ale prawdopodobnie bylo to jedynie echo, poglos baldachimu sklepienia, kolaczacy sie wsród kamiennych scian. Reynevan podszedl blizej.

Nad roztaczajacym nikla won kadzidla i pokostu konfesjonalem górowal wizerunek swietej Anny Samotrzeciej, z Maria na jednym, a Jezusem na drugim kolanie. Reynevan obraz widzial, byl bowiem oswietlony kagankiem. Oswietlajac obraz, kaganek pograzal okolice w tym mroczniejszym mroku, totez mezczyzne, który siedzial wewnatrz konfesjonalu, Reynevan widzial jedynie w zarysach.

- Tobie tedy - powiedzial mezczyzna, budzac kolejne echa - przyjdzie mi dziekowac za szanse odzyskania swobody poruszania sie, he? Dziekuje zatem. Choc zdaje mi sie, ze raczej wiecej do zawdzieczenia mam pewnemu wroclawskiemu kanonikowi, nieprawdaz? I wydarzeniu, które miało miejsce... No, powiedz dla porzadku. Zebym byl zupełnie pewien, ze rozmawiam z wlasciwa osoba. I ze to nie sen.

- Osiemnasty lipca, rok osiemnasty.

- Gdzie?

- Wroclaw. Nowe Miasto...

- Oczywiscie - potwierdzil po chwili mezczyzna. - Jasna rzecz, ze Wroclaw. Gdziezby to moglo byc, jesli nie tam? Dobra. Zbliz sie teraz. I przybierz przepisowa pozycje.

- Slucham?

- Kleknij.

- Zabito mi brata - powiedział Reynevan, nie ruszając się z miejsca. - Mnie samemu grozi śmierć. Jestem ścigany, muszę uciekać. A wcześniej załatwiłem kilka spraw. I kilka porachunków. Ojciec Otto zapewnił mnie, że ty zdołasz mi pomóc. Właśnie ty, kimkolwiek jesteś. Ale ani myślę klekać przed tobą... Jak mam cię zwąć? Ojcem? Bratem?

- Zwij jak chcesz. Choćby wujem. Jest mi to głęboko obojętne.

- Nie do śmiechów mi. Mówiłem, brata mi zabili. Przeora rzekł, że możemy stąd wyjść. Wyjdźmy więc, opuśćmy to smutne miejsce, ruszajmy w drogę. A w drodze opowiem, co trzeba. Bys wiedział, co trzeba. I nie więcej niż trzeba.

- Prosiłem - echo głosu mężczyzny zadudniło jeszcze głębiej - byś ukleknął.

- A ja mówiłem: spowiadać ci się nie myślę.

- Kimkolwiek jesteś - rzekł mężczyzna - do wyboru masz dwie drogi. Jedną tu, do mnie, na kolce. Drugą przez klasztorną bramę. Bez mnie, ma się rozumieć. Nie jestem jurgielnikiem, chłopcem, ani najemnym zbirą do załatwiania twoich spraw i porachunków. To ja, zakarbuj sobie, decyduje, ile i jakiej potrzeba mi wiedzy. Zresztą, rzecz jest również we wzajemnym zaufaniu. Ty nie ufasz mi, jakże tedy ja mogę tobie?

- To, że wyjdiesz z więzienia - odszczeknął czupurnie Reynevan - możesz zawdzięczać mi właśnie. I ojcu Ottonowi. Sam to sobie zakarbuj i nie próbuj strugać wazniaka. I stawiać przed wyborami. Bo to nie ja, lecz ty stoisz przed wyborem. Albo idziesz ze mną, albo gnij tu dalej. Wybór...

Mężczyzna przerwał mu głośnym pukaniem w deskę konfesjonalu.

- Wiedz - powiedział po chwili - że trudne wybory nie są mi pierwszorzędne. Grzeszysz pychą, mniemając, że się ich uleknę. Jeszcze dziś rano nie wiedziałem o twoim istnieniu, jeszcze dziś wieczorem, jeśli trzeba będzie, o twoim istnieniu zapomnę. Powtarzam, a po raz ostatni: albo będąca wyrazem zaufania spowiedz, albo zegnaj. Pospiesz się z wyborem, niewiele czasu zostało do seksty. A tu surowo przestrzegam cię liturgii godzin.

Reynevan zacisnął pięści, walczył z przemożną ochotą, by odwrócić się i wyjść, wyjść na słońce, świeże powietrze, zielen i przestrzeń. Wreszcie przelamał się. Zdrowy rozsadek zwyciężył.

- Nie wiem nawet - wydusił z siebie, klekając na wyslizganym drewnie - czy jesteś kapłanem.

- To bez znaczenia - w głosie człowieka z konfesjonalu zabrzmiało coś na kształt drwiny. - Idź mi tylko o spowiedz. Rozgrzeszenia nie oczekuj.

- Nie wiem nawet, jak cię zwąć.

- Mam wiele nazwisk - dobiegło zza kratki, cicho, ale wyraźnie. - Pod różnymi imionami zna mnie świat. Skoro mam szansę być światu przywrócony... Trzeba będzie coś wybrać... Wilibald z Hirsau? A może, hmm... Benignus z Aix? Paweł z Tynca? Cornelius van Heemskerck? A może... A może... mistrz Szarlej? Jak ci się to widzi, chłopcze: mistrz Szarlej? No, dobra, nie rób min. Po prostu: Szarlej. Może być?

- Może, Przystąpmy do rzeczy Szarleju.

* * *

Ledwo masywne, iscie godne twierdzy wrzeciadcze strzegomskiego karmelu zatrzasnely sie za nimi z hukiem, ledwo obaj oddalili sie od wysiadujacych pod brama zebraków i proszalnych dziadów, ledwo weszli w cien przydroznych topoli, Szarlej zaskoczył Reynevana totalnie i z kretesem.

Niedawny demeryt i wiezien, jeszcze przed chwileczka fascynujaco tajemniczy, zasepiony i dostojnie milczacy, teraz ryknal nagle homeryckim smiechem, dal jeleniego susa w góre, rzucil sie na wznak w chwasty i przez chwil kilka tarzal wsród zieleni niczym zrebak, przez czas cały ryczac i smiejac sie na przemian. Wreszcie na oczach oslupialego Reynevana jego niedawny spowiednik machnal kozla, zerwal sie i uczynil w strone bramy wielce obelzywy gest na zgietym lokciu. Gest poparty zostal dluga litania krancowo nieprzyzwoitych przekleństw i wyzwisk. Kilka dotyczylo przeora personalnie, kilka strzegomskiego klasztoru, kilka zakonu karmelitów jako calosci, kilka mialo wymiar ogólny.

- Nie sadzilem - Reynevan uspokoil konia, sploszonego wystepem - ze tak tam bylo ciezko.

- Nie sadzcie, abyscie nie byli sadzeni. - Szarlej otrzepal odzienie. - To po pierwsze. Po drugie, powstrzymaj sie laskawie od komentarzy, przynajmniej chwilowo. Po trzecie, pospieszajmy do miasta.

- Do miasta? A po co? Myslalem...

- Nie mysl.

Reynevan wzruszyl ramionami, popedzil wierzchowca goscincem. Udawal, ze odwraca glowe, ale nie mógł powstrzymac sie od ukradkowej obserwacji kroczonego obok konia mezczyzny.

Szarlej nie byl zbyt wysoki, byl nawet odrobine nizszy od Reynevana, ale detal ten umykal uwadze, albowiem niedawny demeryt byl barczysty, mocno zbudowany i zapewne silny, co mozna bylo wnioskowac po zylastych i grajacych miesniach przedramionach, wyzierajacych spod przykrótkich rekawów. Szarlej nie zgodzil sie opuscic karmelu w habicie, a strój, który mu dano, byl lekko dziwaczny.

Twarz demeryta miala rysy dosyc grube, zeby nie rzec toporne; bylo to jednak oblicze zywe, zmieniajace sie bez przerwy, grajace cala gama wyrazów. Garbaty i mesko wydatny nos nosil slady dawnego zlamania, dolek podbródka niknal w starej, ale wciaz widocznej bliznie. Oczy Szarleja, zielone jak szklo butelki, byly bardzo dziwne. Gdy sie w nie spojrzalo, dlon machinalnie sprawdzala, czy sakiewka jest na miejscu, a pierscien na palcu. Mysl z niepokojem biegla ku pozostawionym w domu zonie i córkach, a wiara w cnote niewiescia obnazala cala swa naiwnosc. Nagle tracilo sie wszelkie nadzieje na zwrot pozyczonych pieniedzy, piec asów w talii do pikiety przestawalo dziwic, autentyczna pieczec pod dokumentem zaczynala wygladac cholernie nieautentycznie, a drogo kupionemu koniowi zaczynalo dziwnie rzezic w plucach. To wlasnie sie czulo, gdy patrzylo sie w butelkowo zielone oczy Szarleja. Na jego oblicze, w którym zdecydowanie wiecej bylo z Hermesa nizli z Apollina.

Mineli wielka polac podmiejskiej ogrodowizny, potem kaplice i szpital swietego Mikolaja. Reynevan wiedzial, ze hospicjum prowadzi ja annici, wiedzial tez, ze w Strzegomiu zakon ma komandorie. Zaraz przypomnial sobie ksiecia Kantnera i jego rozkaz, kierujacy go do Malej Olesnicy. I zaczal sie niepokoic. Z joannitami mógł byc kojarzony, zatem droga, która jechal, nie byla droga sciganego wilka; watpil, by kanonik Otto Beess pochwalil wybór. W tym momencie Szarlej po raz pierwszy dal dowód swej przenikliwosci. Lub równie rzadkiej umiejtnosci czytania w myslach.

- Nie ma powodów do niepokoju - powiedział swobodnie i wesoło. - Strzegom ma ponad dwa tysiące mieszkańców, znikniemy wśród nich jak bzdziwa w śniegach. Poza tym jesteś pod moją opieką. Wszak zobowiązałem się.

- Cały czas - odrzekł Reynevan po długiej chwili, jakiej potrzebował na ochłonięcie. - Czas cały zastanawiam się, ile dla ciebie znaczy takie zobowiązanie.

Szarlej wyszczerzył białe zęby ku maszerującym w przeciwnym kierunku zbieraczkom lnu, hożym dziewczynom w mocno rozchełstanych koszulach, odsłaniających wiele ze spoconych i zakurzonych wdzieków. Dziewoi było kilkanaście, a Szarlej szczerzył się do wszystkich po kolei, toteż Reynevan stracił nadzieję na to, że usłyszy odpowiedź.

- Pytanie - zaskoczył go demeryt, odrywając wzrok od kragłego tyłeczka ostatniej ze zbieraczek, podrygującego pod mokrym od potu gieźlem - było natury filozoficznej. Na takowe nie zwykłem odpowiadać na trzeźwo. Ale obiecuje ci: odpowiedzi udzieli jeszcze przed zachodem słońca.

- Nie wiem, czy doczekam. Czy wcześniej nie splonę z ciekawości.

Szarlej nie odpowiedział, przyspieszył natomiast kroku tak, że Reynevanowi przyszło zmusić konia do lekkiego klusa. Szybko więc znaleźli się pod Bramą Świdnicką. Za nią zaś, za gromadą kucających w cieniu brudnych patników i pokrytych wrzodami zebraków był już Strzegom, jego wąskie, błotniste, cuchnące i pełne ludzi uliczki.

Dokąd by i jakim bądź celu ich droga wiodła, Szarlej ją znalazł, prowadził bowiem pewnie i bez żadnego wahania.

Przeszli uliczka, w której stukotało tyle krosien, że niechybnie była to Tkacka lub Sukiennicza. Wkrótce znaleźli się na placu, nad którym górowała wieża kościelna. Przez plac - daleko się to widzieć i czuć - niedawno przeganiało bydło.

- Popatrz jeno - rzekł Szarlej, zatrzymując się. - Kościół, karczma, bordel, a w środku między nimi kupa gówna. Oto parabola ludzkiego żywota.

- A podobno - Reynevan nie uśmiechnął się nawet - na trzeźwo nie filozofujesz.

- Po długim okresie abstynencji - Szarlej skierował nieomyślnie kroki w zaułek, w stronę lady zastawionej antalkami i kuflami - upaja mnie sama jeno won dobrego piwa. Hej, dobry czleku! Białe strzegomskie poproszę! Z piwnicy! Zechciej zapłacić, chłopcze, albowiem, jak powiada Pismo, *argentum et aurum non est mihi*.

Reynevan parsknął, ale rzucił na łade kilka halerzy.

- Czy dowiem się wreszcie, jakie sprawy cię tu przywiodły?

- Dowiesz. Ale dopiero wówczas, gdy przynajmniej trzy z tych spraw wypije.

- A potem? - Reynevan zmarszczył brwi. - Ów dopiero co wspomniany zamtuż?

- Nie wykluczam - Szarlej uniósł kufel. - Nie wykluczam, chłopcze.

- A dalej? Trzydniowa libacja na okoliczność odzyskania wolności?

Szarlej nie odpowiedział, pił bowiem. Nim jednak przechylił kufel, mrugnął zza niego, a mrugnięcie to mogło znaczyć wszystko.

- To był jednak błąd - przemówił poważnie Reynevan, wpatrzony w grająca łykami grdykę demeryta. - Może błąd kanonika. A może mój, że go posлуchałem. Ze zadalem się z toba.

Szarlej pił, nie zwracając na niego żadnej uwagi.

- Na szczęście - ciągnął Reynevan - łatwo można temu wszystkiemu zaradzić. I kres położyć.

Szarlej odjął kufel od ust, westchnął, oblizal pianę z górnej wargi.

- Chcesz mi coś powiedzieć - odgadł. - Mówże wiec.

- My dwaj - rzekł zimno Reynevan - zwyczajnie nie pasujemy do siebie.

Demeryt skinął, by nalano mu drugie piwo, przez moment zdawał interesować się wyłącznie kuflem.

- Trochę się różnimy, fakt - przyznał, lyknawszy. - Ja, dla przykładu, nie zwykłem chędożyć cudzych żon. Gdyby dobrze poszukać, znajdzie się zapewne jeszcze kilka różnic. To normalne. Stworzono nas bowiem na obraz i podobieństwo, ale Stwórca zadbał o cechy indywidualne. I chwala Mu za to.

Reynevan machnął ręką, coraz bardziej zły.

- Zastanawiam się - wypalił - czy cie w imię Stwórcy nie pozegnac. Tu, zaraz. Abysmy rozeszli się, każdy w swoje strony. Bo doprawdy nie wiem, w czym możesz mi się przygodzić. Boję się, że w niczym.

Szarlej spojrzal na niego znad kufla.

- Przygodzić? - powtórzył. - W czym? Łatwo się przekonać. Krzyknij: „Pomocy, Szarleju!”, a pomoc będzie ci dana.

Reynevan wzruszył ramionami i odwrócił się z zamiarem odejścia. Potracił kogoś. A ten ktoś uderzył jego konia tak mocno, że kon kwiknął i cisnął się, obalając go w gnój.

- Jak chodzisz, złobie? Gdzie z ta chabeta? Tu jest miasto, nie twoja zafajdana wiocha!

Tym, który go potracił i rugał, był jeden z trzech młodych mężczyzn, odzianych bogato, modnie i elegancko. Wszyscy trzej byli niezwykle podobni - ustrojeni w jednakowe fantazyjne fezy na włosach fryzowanych na żelazkach oraz watowane kabaty, pikowane tak gęsto, że ich rękawy wyglądały jak wielkie gasienice. Nosili też bedace w modzie obcisłe paryskie spodnie zwanymi *parti*, mające nogawki w kontrastowych kolorach. Wszyscy trzej dzierżyli toczące laski z galkami.

- Jezu Chryste i wszyscy święci - powtórzył galant, wywijając laską młynka. - Cóż za chamstwo na tym Śląsku, cóż za sprośna dzicz! Czy ktoś ich kiedyś nauczył kultury?

- Trzeba będzie - powiedział drugi, z identycznym galijskim akcentem - samemu wziąć na siebie ten trud. I wprowadzić ich do Europy.

- Racja - zawtórował trzeci modnis, w blekitno-czerwonych *mi-parti* . - Na początek w ramach wprowadzania wygarbujemy po europejsku skórę temu tu prostakowi. Nuże, panowie, do kijów! I niech się nikt nie leni!

- Hola! - krzyknął właściciel piwnej lawki. - Bez burd, panowie kupcy! Bo straż zawezwe!

- Zawrzyj gebe, słaski cwoku, bo i ty oberwiesz.

Reynevan usiłował zerwać się, ale nie zdążył. Laska lomotnęła go w bark, druga z suchym trzaskiem spadła na plecy, trzecia strzeliła w pośladki. Uznał, że nie ma co czekać na dalsze cieżgi.

- Pomocy! - wrzasnął. - Szarleju! Pomocy!

Szarlej, który przyglądał się zajściu z umiarkowanym zainteresowaniem, odstawił kufel i nie spiesząc się podszedł.

- Dosyć zabawy.

Galanci obejrżeli się - i jak na komendę ryknęli śmiechem. Faktycznie, Reynevan musiał przyznać, w swym kusym i pstrokatym odzieniu demeryt nie prezentował się najdostojniej.

- Chryste Panie - parsknął pierwszy galant, pobożny widac. - Ależ pocieszne figury spotyka się na tym krancu świata!

- To jakiś miejscowy błazen - ocenił drugi. - Widac po cudacznym stroju.

- Nie suknia zdobi człowieka - odrzekł zimno Szarlej. - Odejdźcie stąd, laskawcy. Predziutko.

- Coo?

- Panowie - powtórzył Szarlej - laskawie zechca się oddalić. Znaczący, pójszcie sobie stąd gdzieś daleko. Nie musi być Paryż. Wystarczy przeciwległy kraniec miasta.

- Cooooo?

- Panowie - powtórzył Szarlej, wolno, cierpliwie i dobitnie, jak dzieciom. - Panowie racza sobie stąd pójszcie. I zająć czymś dla siebie zwykłym. Sodomia, dla przykładu. W przeciwnym wypadku zostaną panowie obici, i to gruntownie. I zanim którykolwiek z panów zdąży wymówić *credo in Deum patrem omnipotentem* .

Pierwszy modnis zamachnął się laską. Szarlej zwinnie uniknął ciosu, chwycił za kij i zakrecił, modnis wywinał kozła i płaśnął w błoto. Laska, która została mu w dłoni, demeryt zdziesiął przez łeb drugiego galanta, posyłając go na piwowarską ładę, ciosem szybkim jak myśl dał po łapie trzeciemu. Ten pierwszy zerwał się tymczasem i rzucił na Szarleja, rycząc jak ranny zubr. Demeryt bez widocznego wysiłku powstrzymał szarżę ciosem, który zgiał galanta w pół. Szarlej zaś łokciem uderzył go potężnie w nerki, padającego kopnął w ucho, zdawałoby się, od niechcienia. Ale kopniety zwinął się jak robak i już nie wstał.

Dwaj pozostali spojrzeli po sobie i jak na komendę dobyli puginałów. Szarlej pogroził im palcem.

- Nie radzę - powiedział. - Noże kaleczą!

Modnisie ostrzeżenia nie posłuchali.

Reyneveranowi zdawało się, że obserwuje zajście uważnie. Czegoś jednak nie zauważył, bo nie pojął, jak stało się to, co się stało. Wobec sadzących na niego i wymachujących jak wiatraki galantów Szarlej wydawał się niemal nieruchomy, ruchy zaś, jakie wykonał, gdy go dopadli, były nieznaczne, lecz tak szybkie, że umykające oku. Jeden z modnisiów upadł na kolana, pochyliwszy głowę niemal do ziemi charczał i jeden po drugim wypluwał w błoto zęby. Drugi siedział i krzyczał. Otworzywszy usta na pełną szerokość krzyczał i płakał, cienko, modulowanie, nieustannie, zupełnie jak długo nie karmione niemowlę. Własny pugiinal wciąż trzymał w reku, a nóż kolegi tkwił mu w udzie, wbity aż po złoconą gardę.

Szarlej spojrział w niebo, rozłożył ręce gestem znaczącym „a nie mówiłem”. Zdjął swój śmieszny przyciasny kubraczek. Podszedł do plującego zębami. Zrecznie chwycił go za łokcie, poderwał, ucałował za rekawy i kilkoma precyzyjnymi kopniakami wykopał galanta z watowanego kabata. Po czym sam się weni ustroił.

- Nie suknia czyni człowieka - rzekł, przeciągając się z lubością - lecz ludzka godność. Ale tylko człowiek dobrze ubrany czuje się prawdziwie godnie.

Potem pochylał się i zdarł modnisiowi z pasa wyszywana jalmuzniczkę.

- Bogate miasto, Strzegom - powiedział. - Bogate miasto. Pieniądze, patrzcie sami, walają się na ulicach.

- Na waszym miejscu... - powiedział drzącym nieco głosem właściciel piwnej lawki. - Na waszym miejscu uciekałbym, panie. To bogate kupce, goście wielmożnego pana Guncelina von Laasan. Dobrze im tak, za burdy, co je cieżgiem wszczynają... Ale uciekajcie lepiej, bo pan von Laasan...

- ...w mieście rzadzi - dokończył Szarlej, zabierając sakiewkę trzeciemu galantowi. - Dzięki za piwo, dobry człowieku. Pójdźmy, Reinmarze.

Poszli. Galant z nożem w udzie długo zegnał ich rozpaczliwym, nieustającym, niemowlęcym wyciem:

- Uaa-uaa! Uaa-uaa! Uaa-uaa! Uaa-uaa!

Rozdział dziesiąty

w którym zarówno Reyneveran, jak i czytelnik mają okazję lepiej poznać Szarleja - sposobność po temu daje wspólna wędrówka i różne towarzyszące tejże wydarzenia. Na koniec zaś pojawiają się trzy wiedźmy - absolutnie klasyczne, absolutnie kanoniczne i absolutnie anachroniczne.

Rozsiadłszy się wygodnie na omszonym piaku, Szarlej przyglądał się monetom, które wysypał z sakiewek do czapki. Nie ukrywał niezadowolenia.

- Wnosząc z ubioru i obejsia - sarkal - rzekłbys, zamozni nowobogaccy. A w mieszkach, spójrz sam, chłopcze, jaka bryndza. Jaki smietnik! Dwa ecu, trochę oberzniętych paryskich soldów, czteremascie groszy, półgroszki, magdeburskie fenigi, pruskie skojce i szelagi, denary i halerze ciensze od oplatków, jakies inne gówna, których nawet rozpoznać nie potrafie, dalibóg, falszywe. Wiecej, niech mnie diabli, warte te sakiewki, srebrna nicia i perlami wyszywane. Ale sakiewki to nie gotówka, gdzie ja je teraz spienieze? A monety nie starczy tu nawet na lichego konia, a ja, psiakrew, musze miec konia. Niech to mór, odzienie tych fircyków tez wiecej bylo warte. Powinienem ich do gola obedrzec.

- Wtedy - zauwazyl dosc cierpko Reynevan - w poscig za nami pan von Laasan poslalby pewnie nie dwunastu, ale stu ludzi. I nie jednym, ale wszystkimi traktami.

- Ale poslal dwunastu, wiec nie dywaguj.

W samej rzeczy, nie dluzej niz w pół godziny po tym, gdy obaj opuscili Strzegom Brama Jaworska, z teje bramy wypadl i pognal goscincem tuzin jezdzców w barwach Guncelina von Laasan, wielmozy, pana na strzegomskim zamku i faktycznego wladycy grodu. Szarlej jednak, dowodzac sprytu, krótko po wyjeździe kazal Reynevanowi skrecic w las i skryc sie w gaszczu. Teraz czekal i upewnial sie, czy aby poscig nie zawróci.

Reynevan westchnal i przysiadl obok Szarleja.

- Efekt naszej znajomosci jest taki - powiedzial - ze jesli dzis rano scigali mnie tylko bracia Sterczowie i najete przez nich zbiry, to juz na odwieczerz depcza mi po pietach von Laasan i strzegomscy zbrojni. Co bedzie dalej, az strach pomyslec.

- To ty wzywales pomocy - wzruszyl ramionami demeryt. - A ja wszak zobowiazalem sie do opieki i ochrony. Wspominalem juz o tym, ty zas raczyles nie dowierzac, niewierny Tomaszu. Czy naoczny dowód cie przekonal? Czy tez musisz dotknac ran?

- Gdyby wtedy wczesniej nadbiegla straz - wydal wargi Reynevan - albo kompani tych obitych, to zaiste, bylyby czego dotykac. A o tej porze juz bym wisial. A ty, mój opiekunie i obronco, wisialbys obok. Na sasiednim haku.

Szarlej nie odpowiedzial, wzruszyl tylko znowu ramionami i rozlozyl rece. Reynevan usmiechnal sie mimowolnie. Nadal nie nabral zaufania do dziwnego demeryta i nadal nie rozumial, skad bralo sie zaufanie kanonika Ottona Beessa. Nadal nie tylko nie zbлизal sie do Adeli, lecz wrecz zdawal od niej oddalac. Do listy miejscowosci, w których nie mógł sie pokazac, dopisany zostal Strzegom. Szarlej jednak, co tu duzo gadac, zaimponowal mu troche. Reynevan oczyma duszy widzial juz, jak Wolfher Stercza kleczy i jeden po drugim wypluwa zęby. Jak Morold, który w Olesnicy targal Adele za włosy, siedzi i wyje: „Uaaua-uaaua”.

- Gdzie sie nauczyles tak bic? W klasztorze?

- W klasztorze - potwierdzil spokojnie Szarlej. - Wierz mi, chłopcze, klasztory pelne sa nauczycieli. Niemal kazdy, kto tam przybywa, cos umie. Wystarczy wiec chec do nauki.

- U demerytów, w karmelu, bylo podobnie?

- Jeszcze lepiej, pod względem nauki oczywiście. Mielismy dużo czasu, z którym nie było co począć. Zwłaszcza jeśli nie gustowało się w bracie Barnabie. Brat Barnaba, cysters, choć ładny i pulchny jak dziewczeczka, dziewczeczka jednak nie był, a fakt ten niektórym z nas odrobine przeszkadzał.

- Oszczędz mi szczegółów, proszę. Co teraz robimy?

- Wzorem synów Aymona - Szarlej wstał i przeciągnął się - wsiadamy obaj na twego gniadego Bayarda. I ruszamy na południe, ku Swidnicy. Bezdrozami.

- Dlaczego?

- Mimo zdobycia trzech sakiewek, nadal cierpimy na niedostatek *argentum et aurum*. W Swidnicy znajdzie na to *antidotum*.

- Pytałem, dlaczego bezdrozami?

- Traktem swidnickim przybyłeś do Strzegomia. Duża szansa, że spotkalibyśmy się tam nos w nos z tymi, którzy cie scigają.

- Zgubiłem ich. Jestem pewien....

- Oni też liczą na tę pewność - przerwał demeryt. - Z twojej relacji wynikało, że scigają cie zawodowcy. Takich nielato zgubić. W drogę, Reynevanie. Mądrze będzie, nim noc zapadnie, znaleźć się jak najdalej od Strzegomia i pana von Laasan.

- Zgadzam się. Będzie mądrze.

* * *

Wieczór zastał ich wśród lasów, zmrok zaskoczył w okolicach jakiejś sadyby, dym pelzał tam po strzechach chat i rozsnuwał się po okolicy, mieszając z mgłą wstająca z las. Początkowo mieli zamiar zanocować w bliskim chalupe brogu, zakopani w ciepłym sianie, ale psy wyczuły ich i obszczekały tak zajadle, że zrezygnowali. Już niemalże po omacku znaleźli na skraju boru na wpół rozwalony pasterski szalas.

* * *

W lesie stale coś szuszcilo, coś chrobotalo, coś popiskiwało i powarkiwało, co i rusz zapalały się też w mroku blade latarenki ślepiów. Najprawdopodobniej były to kuny lub borsuki, ale Reynevan dla pewności wrzucił do ogniska ostatki zebranego na wawolnickim cmentarzu tojadu, dorzucił zerwany przed wieczorem rozchodnik, mrużąc przy tym pod nosem zaklecia. Tego, czy były to dobre zaklecia ani tego, czy dobrze je zapamiętał, nie był jednak całkiem pewien.

Szarlej przyglądał się ciekawie.

- Mów dalej - rzekl. - Opowiadaj, Reinmarze.

O wszystkich swych kłopotach Reynevan opowiedział już Szarlejowi podczas „spowiedzi” u karmelitów, tamże w ogólnych zarysach wyłożył swe plany i zamiary. Podówczas demeryt nie komentował. Tym bardziej niespodziana była jego reakcja teraz, gdy zaczęła być mowa o szczegółach.

- Nie chciałbym - rzekł, grzebiąc patykiem w ogniu - by sam miły początek naszej znajomości skazył nieudomówienia i nieszczeroci. Szczerze a bez ogródek powiem ci tedy, Reinmarze, że twój plan wart jest tego jedynie, by wsadzić go psu w dupę.

- Co?

- Psu w dupę - powtórzył Szarlej, modulując głos jak kaznodzieja. - Do tego nadaje się twój przedstawiony mi przed chwilą plan. Będąc młodzieńcem roztropnym i wykształconym, nie możesz sam tego nie widzieć. Nie możesz też liczyć na to, że ja w czymś takim wezmę udział.

- Ja i kanonik Otto Beess wyciągnęliśmy cię spod klucza - Reynevan, choć gotował się ze złości, zapanował nad głosem. - Nie z miłości, bynajmniej, lecz po to i tylko po to, byś wziął udział. Będąc rozropnym demerytem nie mogłeś tego nie wiedzieć, tam, w klasztorze. A jednak dopiero teraz komunikujesz mi, że udziału nie wezmiesz. Więc i ja powiem szczerze a bez ogródek: wracaj do więzienia u karmelitów.

- Ja wciąż jestem w więzieniu u karmelitów. Przynajmniej oficjalnie. Ale ty chyba tego nie pojmujesz.

- Pojmuje - Reynevan przypomniał sobie naraz rozmowę z karmelickim szafarzem od śledzi. - Doskonale pojmuje też, że zależy ci na odpokutowaniu, bo po pokuciu *nullum crimen*, wracasz do łask i przywilejów. Ale rozumiem i to, że kanonik Otto ma cię w reku. Wystarczy mu bowiem ogłosić, żeś zbiegł od karmelitów, a będziesz wywołancem do końca życia. Nie będzie powrotu do twojego zakonu i ciepłego klasztoru. Nawiasem mówiąc, jaki to zakon i jaki klasztor? Można wiedzieć?

- Nie można. W istocie, drogi Reinmarze, pojales rzecz właściwie. Faktycznie, od demerytów wypuszczono mnie niejako nieoficjalnie, pokuta wciąż mi biegnie. A i to prawda, że dzięki kanonikowi Beessowi biegnie mi ona na wolności, za co kanonikowi chwala, albowiem ja kocham wolność. Dlaczegożby jednak miał światobliwy kanonik odbierać mi to, co dał? Wszakże czynię to, do czego mnie zobowiązał.

Reynevan otworzył usta, ale Szarlej natychmiast mu przerwał, i to dość obcesowo.

- Twoja opowieść o miłości i zbrodni, choć porywająca, godna zaiste Chretien de Troyes, mnie porwać nie zdołała. Nie w mówisz mi, chłopcze, że kanonik Otto Beess polecił ci mnie jako pomocnika w wybawianiu z opresji ucisnionych niewiast i współnika w rodowej zemście. Ja kanonika znam. To człek mądry. Skierował cię do mnie, bym cię ocalił. A nie po to, byśmy obaj położyli głowy pod topór. Spełnie tedy, czego oczekuje ode mnie kanonik. Ocale cię przed poscigiem. I wywozie bezpiecznie na Węgry.

- Nie opuścisz Śląska bez Adeli. I nie pomściwszy brata. Nie kryje, że zdalaby mi się pomoc, że liczyłem na nią. Na ciebie. Ale jeśli nie, to trudno. Sam sobie poradzę. Ty zaś czyn podług woli. Jedź na Węgry, na Rus, do Palestyny, dokąd tylko chcesz. Ciesz się wolnością, która tak kochasz.

- Dzięki za sugestie - odrzekł zimno Szarlej. - Ale nie skorzystam.

- Ach. Czemuż to?

- Sam w oczywisty sposób nie poradzisz sobie. Stracisz głowę. A wówczas kanonik upomni się o moją.

- Ha. Jeśli tedy zależy ci na głowie, nie masz wyboru. Szarlej milczał długo. Reynevan zdążył go już jednak trochę poznać i nie liczył, że to koniec.

- Względem brata - przemówił wreszcie niedawny wiezien karmelu - będę stanowczy. Choćby z tego powodu, że nie masz pewności, kto go zabił. Nie przerywaj mi! Wróżda rodowa to rzecz poważna. A ty, jak wyznales, ni świadków nie masz, ni dowodów, jedyne, czym dysponujesz, to domysły i domniemanie. Nie przerywaj, proszę! Wysłuchaj. Wyjedźmy, odczekajmy, zbierzmy informacje, zdobędźmy dowody, zgromadźmy środki. Skrzyknijmy partie. Pomogę ci. Jeśli mnie usłuchasz, obiecuje, posmakujesz zemsty tak, jak trzeba ją smakować. Na zimno.

- Ale...

- Jeszcze nie skończyłem. Względem twojej wybranki Adeli, plan nadal jest psu do dupy, ale cóż, zawadzając o Ziebiec drogi nadto nie nadłożymy. A w Ziebicach wiele się wyjaśni.

- Coś sugerujesz? Adela mnie kocha!

- Czy ktoś przeczy?

* * *

- Szarleju?

- Słucham.

- Dlaczego kanonik i ty upieracie się przy Wegrach?

- Bo to daleko.

- A dlaczego nie Czechy? Też daleko. A ja Pragę znam, mam tam znajomych...

- Ty co, do kościoła nie chodzisz? Kazania nie słuchasz? Praga i całe Czechy to teraz kocioł z wrzającą smołą, można się boleśnie poparzyć. A za jakiś czas może być jeszcze weselej. Zuchwałość husytów przekroczyła granice, tak bezczelnej herezji nie zniesie ani papież, ani Luksemburczyk, ani kurfirst saski, ani landgrafowie Misni i Turyngii, ba, całej Europie sola w oku jest husyckie odstępstwo. I tylko patrzeć, jak cała Europa ruszy na Czechy z krucjatą.

- Były już - zauważył kwasno Reynevan - antyhusyckie krucjaty. Chodziła już na Czechy cała Europa. I zdrowo dostała w skórę. O tym, jak dostawała, opowiadał mi całkiem niedawno naoczny świadek.

- Wiarygodny?

- Wreć przysłowiowo.

- I co z tego? Dostała, to i wyciągnęła wnioski. Teraz lepiej się przygotuj. Powtarzam: świat katolicki husytów nie zniesie. To tylko kwestia czasu.

- Znosza ich juz od lat siedmiu. Bo musza.

- Albigensi trzymali sie lat sto. I gdzie teraz sa? To tylko kwestia czasu, Reinmarze. Czechy splyna krwia, jak splynela Langwedocja katarów. I metoda sprawdzona w Langwedocji w Czechach tez mordowac bedzie sie wszystkich równo, zostawiajac Bogu rozpoznanie niewinnych i prawowiernych. Dlatego nie jedziemy do Czech, lecz na Wegry. Tam moga nam zagrozic co najwyzej Turcy. Wole Turków niz krzyzowców. Turcy, gdy idzie o mordowanie, nie dorastaja krzyzowcom do piet.

* * *

Las byl cichy, nic w nim juz nie szuscilo i nie piszczalo, stwory albo przelekly sie zaklec, albo, co bardziej prawdopodobne, zwyczajnie sie znudzily. Reynevan dla pewnosci wrzucil do ognia resztkę ziół.

- Jutro - spytal - dotrzemy juz, mam nadzieje, do Swidnicy?

- Absolutnie.

* * *

Jazda bezdrozami miala, jak sie okazalo, swoje zle strony. Gdy sie mianowicie wyjechalo z bezdrozy na droge, bardzo trudno bylo sie zorientowac, skad i dokad dana droga wiedzie.

Szarlej postal pochylony nad odcisnietymi w piasku sladami, przygladal sie im, zlorzeczac pod nosem. Reynevan puscil konia ku przydrozным trawom, sam popatrzył na slonce.

- Wschód - zaryzykowal - jest tam. Tedy nam raczej trzeba tedy.

- Nie medrkuj - ucial Szarlej. - Wlasnie badam slady i ustalam, któredy odbywa sie główny ruch. I stwierdzam, ze my musimy... tedy.

Reynevan westchnal, albowiem Szarlej wskazal dokladnie w te sama strone, co i on. Pociagnal konia i ruszył za demerytem, dziarsko maszerujacym w wybranym kierunku. Po niedlugim czasie wyszli na rozstaje. Cztery absolutnie jednakowo wygladajace drogi wiodly w cztery strony swiata. Szarlej zamruczal gniewnie i znowu schylil sie nad sladami podków. Reynevan westchnal i zaczal rozgladac sie za ziolami, wygladalo bowiem, ze bez magicznego nawezu sie nie obedzie.

Krzaki zaszelescily, kon prychnal, a Reynevan podskoczyl.

Z zarosli wyszedl, podciagajac portki, dziad, klasyczny przedstawiciel lokalnego folkloru. Jeden z wedrownych proszalnych dziadów, jakich setki lazily po goscincach, zebraly po bramach i kruchtach, wyblagiwaly datki pod zenskimi klasztorami i strawe po karczmach i chlopskich zagrodach.

- Niech bedzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków, amen.

Dziad, ma sie rozumiec, wygladal jak typowy dziad. Jego siermiega pstrzyla sie od różnobarwnych lat,

lykowe łapcie i krzywy kostur były reminiscencją wielu dróg. Spod obdartej czapy, na którą surowca dostarczyły głównie zajace i koty, wyglądał czerwony nos i zmierzwiona broda. Na ramieniu dziad niósł sięgająca ziemi torbę, a na szyi zawieszony na sznurku cynowy garnuszek.

- Wspomogaj Was swiety Waclaw i swiety Wincenty, swieta Petronela, swieta Jadwiga patronka...

- Kedy to te drogi wioda? - przerwal litanie Szarlej. - Ktoredyz to, dziadku, ku Swidnicy bedzie?

- Eee? - dziad przylozyl dlon do ucha. - Jak powiadacie?

- Dokad drogi wioda!!!

- Aaa... Drogi... Aha... Wiem! Tamój idzie sie na Olszany.... A tamój ku Swiebodzicom... A tamój... Wciumasci... Zabaculem, kaj...

- Niewazne - Szarlej machnal reka. - Ja juz wszystko wiem. Jesli tani sa Swiebodzice, to w przeciwna sa Stanowice, przy strzegomskim trakcie. Ku Swidnicy, przez Jaworowa Góre, wiedzie zatem własnie ta droga. Bywaj w zdrowiu, dziadku.

- Wspomogaj was swiety Waclaw...

- Gdyby zas - tym razem przerwal Reynevan. - Gdyby zas ktos sie o nas dopytywal... Toscie nas nie widzieli. Pojeliscie?

- Co mialem nie pojac. Wspomogaj was swieta...

- Abys zas dobrze pamietal, o co cie proszono - Szarlej pogrzebal w kalecie - nasci tu, dziadku, pieniazek.

- Olaboga! Dzieki! Wspomogaj was...

- I was tez.

- Spójrz - Szarlej obejrzal sie, nim ujechali kawalatek. - Popatrz tylko, Reinmarze, jak on sie raduje, jak maca i radosnie obwachuje monete, cieszac sie jej gruboscia i waga. Zaiste, widok taki jest prawdziwa nagroda darczyncy.

Reynevan nie odpowiedzial, zajety obserwacja stad ptaków, które nagle wzbily sie nad lasem.

- Zaprawde - gadal dalej Szarlej z powazna mina, kroczac obok konia - nigdy nie wolno obojetnie i bezdusznie mijac ludzkiej nedzy. Nigdy nie nalezy odwracac sie do czlowieka ubogiego plecami. Glównie dlatego, ze czlowiek ubogi moze wtedy znienacka walnac kosturem w tyl glowy. Sluchasz mnie, Reinmarze?

- Nie. Patrze na te ptaki.

- Jakie ptaki? O, psia mac! W las! W las, zywo!

Szarlej z rozmachem uderzyl konia po zadzie, sam zas puscil sie takim pedem, ze sploszony do galopu kon zdolal go doscignac dopiero za linia drzew. W lesie Reynevan zeskoczyl z siodla, zaciagnal wierzchowca w chaszczce, potem dolaczyl do demeryta, obserwujacego gosciniac z zarosli. Przez chwile

nic się nie działo, ptaki przestały skrzeczeć, było cicho i tak spokojnie, że Reynevan już, już sposobił się wydrwić Szarleja i jego przesadną płochliwość. Nie zdążył.

Na rozstaje wpadli czterej jeźdźcy, otoczyli dziada wśród łomotu kopyt i chrapu koni.

- To nie strzegomscy - mruknął Szarlej. - A więc muszą to być... Reinmarze?

- Tak - potwierdził głucho Reynevan. - To oni.

Kyrielejson pochylił się z kulbaki, głośno pytał o coś dziada, Stork z Gorgowic napierał na niego koniem. Dziad krecił głową, składał ręce, niechybnie życząc im, by ich wspomagała święta Petronela.

- Kunz Aulock - rozpoznał, zaskakując Reynevana, Szarlej - vel Kyrielejson. Kawal zbója, choć przecież rycerz ze znacznego rodu. Stork z Gorgowic i Sybek z Kobylejgłowy, rzadkie lotry. A ten w kuniej czapce to Walter de Barby. Obłożony kłatwą biskupia za napad na folwark w Ocicach, własność raciborskich pańien dominikanek. Nie wspomniales, Reinmarze, że twoim tropem podążają aż takie sławy.

Dziad padł na kolana, nadal składał ręce, błagał, krzyczał i bił się w piersi. Kyrielejson zwił z siodła i chłaskał go przez grzbiet nahałajem, użytek z batów zrobili też Stork i pozostali, przy czym zrobił się ścisk, w którym wszyscy wzajemnie sobie przeszkadzali, a konie jęły się płoszyć i ciskać. Stork i obłożony kłatwą de Barby zeskoczyli więc z siodeł i zaczęli okładać wrzeszczącego dziada kulakami, a gdy upadł, wzięli się do kopania. Dziad wrzeszczał i wyl, aż łitość brała.

Reynevan zaklął, wałnął pięścią w ziemię. Szarlej spojrzał na niego koso.

- Nie, Reinmarze - powiedział zimno. - Nic z tych rzeczy. To nie są francuscy łalusię z Strzegomia. To jest czterech kutyh, uzbrojonych po zęby zbójów i rzeźników. To jest Kunz Aulock, któremu chyba nie dałbym rady nawet jeden na jednego. Porzuc więc głupie myśli i nadzieje. Siedzimy jak myszy pod miotłą.

- I przypatrujemy się, jak mordują Bogu ducha winnego człowieka.

- I owszem - odparł po chwili demeryt, nie spuściwszy wzroku. - Bo jeśli mam wybierać, moje życie bardziej mi lubi. A ja, prócz ducha Bogu, winien jestem kilku osobom pieniędzy. Byłoby to nieetycznym głupim ryzykanctwem pozbawiać ich szans na zwrot długu. Zresztą, próżno gadamy. Już po wszystkim. Znudziłem się.

W rzeczy samej, de Barby i Stork potraktowali dziada kilkoma pozegnalnymi kopniakami, napluli na niego, wsiedli na konie, za chwilę cała czwórka galopowała, hallakując i wzbijając kurz, w kierunku Jaworowej Góry i Swidnicy.

- Nie zdradził nas - westchnął Reynevan. - Zbili go i skopali, a on nas nie wydał. Na przekór twoim szyderstwom, ocaliła nas dana biednemu jalmuzna. Miłosierdzie i szczodrość...

- Gdyby Kyrielejson, miał brać się do bata, dał mu skojca, dziadyga wydalby nas jednym tchem - skomentował zimno Szarlej. - Jedziemy. Niestety, znowu przez dzikie bezdroża. Ktos tu, jak pamiętam, przechwalał się całkiem niedawno, że zgubił pościg i zatarł za sobą ślady.

- A nie godzi się - Reynevan zlekceważył sarkazm, patrzył, jak dziad na czworakach szuka w rowie czapki - nie godzi się odwdziżyć? Dac nawiązke? Dysponujesz wszak pochodzącym z grabieży

grosiwem, Szarleju. Okaz więcej miłosierdzia.

- Nie mogę - w butelkowych oczach demeryta zapaliła się drwina. - A to z miłosierdzia właśnie. Dałem dziadowi fałszywą monetę. Gdy będzie próbował wydać jedną, obija go tylko. Jeśli złapie z kilkoma więcej, powie, że miłosiernie oszczędzi mu więc takiego losu. W las, Reinmarze, w las. Nie trwoni czasu.

* * *

Spadł krótki i ciepły deszcz, gdy ustal, mokry las zaczął zasnuwać się mgłą. Ptaki nie śpiewały. Było cicho. Jak w kościele.

- Twoje grobowe milczenie - odezwał się wreszcie idący obok konia Szarlej - zdaje się coś wskazywać. Dezaprobatę jakby. Pozwól, niech zgodne... idzie o tego dziada?

- Owszem, o niego. Postąpiłeś nieładnie. Nieetycznie, delikatnie mówiąc.

- Ha. Ktoś, kto zwykł pieprzyć cudzą żonę, zaczyna nauczać moralności.

- Nie porównuj, łaskawie, rzeczy nieporównywalnych.

- Tylko ci się zdaje, że są nieporównywalne. Nadto, mój niecny, w twym mniemaniu, uczynek podyktowany był troską o ciebie.

- Zaiste, trudno to pojąć.

- Przy sposobności ci to wyjaśnię - Szarlej zatrzymał się. - Na razie jednak proponowałbym skupienie się na rzeczy ważniejszej nieco. Nie mam mianowicie pojęcia, gdzie jesteśmy. Zgubiłem się w tej parszywej mgłę.

Reyneván rozejrzał się, spojrzął w niebo. W rzeczy samej, przemieszczający przez mgłę błądy krążki słońca, jeszcze przed momentem widoczny i wskazujący kierunek, teraz znikł zupełnie. Gęsty opar wisiał nisko, nikieli w nim nawet czubki wyższych drzew. Przy ziemi mgła zalegała miejscami tak, że paprocie i krzaki zdawały się wystawać z oceanu mleka.

- Miał frasować się losem ubogich dziadów - odezwał się znowu demeryt - i przeżywać rozterki moralne, użyłbyś raczej swych talentów celem odnalezienia drogi.

- Słucham?

- Daruj mi miny niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię.

Reyneván też uważał, że nawęzy będą nieodzowne, nie zsiadał jednak z konia, zwlekał. Był zły na demeryta i chciał dać mu to odczucie. Kon parskał, chrapał, trząsał łbem, tupał przednim kopytem, odgłos tupania głucho niósł się przez zatopioną w mgłę knieję.

- Czuje dym - oświadczył nagle Szarlej. - Gdzieś tu pała ogień. Drwale albo węglarze. U nich wypytały się o drogę. A twoje magiczne nawęzy zachowamy na lepszą okazję. Twoje demonstracje również.

Ruszył szparko. Reynevan ledwie za nim nadazał, kon wciąż boczył się, opierał, chrapał niespokojnie, miażdżył kopytami bedlki i surojadki. Wysłany grubym dywanem zbutwiały liści grunt zaczął się nagle obniżać, nie wiedząc kiedy znaleźli się w głębokim jarze. Ściany jaru porastały pochyle, koslawe, obrosnięte liszajami mchu drzewa, ich odsłonięte przez osuwającą się ziemię korzenie wyglądały jak macki potworów. Reynevan poczuł ciarki na plecach, skurczył się w siodle. Kon parskął.

Z mgły przed sobą usłyszał kłatwy Szarleja. Demeryt stał w miejscu, w którym jar rozwidlał się na dwie odnogi.

- Tedy - rzekł wreszcie z przekonaniem, podejmując marsz.

Jar wciąż się rozwidlał, byli wśród istnego labiryntu parowów, zapach dymu zaś, jak zdawało się Reynevanowi, dochodził ze wszystkich stron naraz. Szarlej szedł jednak prosto i pewnie, dziarsko przyspieszył kroku, ba, zaczął sobie nawet podgwiżdżać. I przestał równie szybko, jak zaczął.

Reynevan zrozumiał, dlaczego. Gdy pod podkowami zachrupały kości.

Kon zarał dziko, Reynevan zeskoczył, oburacz uwiesił się uzdy, w samą porę, chrapiący panicznie gniadosz lypnął na niego zaleknionym okiem, cofnął się, ciężko bijąc kopytami, krusząc czerepy, miednice i piszczele. Stopa Reynevana uwięzła między polamanymi zebrami ludzkiej klatki piersiowej, straszał ją dzikimi wymachami nogi. Dygotał z odrazy. I strachu.

- Czarna Śmierć - powiedział stojący obok Szarleja. - Zaraza roku tysiąc trzysta osiemdziesiątego. Wymierały wtedy całe wsie, ludzie uciekali do lasów, ale i tam dopadał ich mór. Umarlaków chowano po jarach, jak tu. Potem zwierzę wykopało trupy i rozwlóczyło kości...

- Zawróćmy... - odchrząknął Reynevan. - Zawróćmy co rychlej. Nie podoba mi się to miejsce. Nie podoba mi się ta mgła. Ani zapach tego dymu.

- Płochliwy jesteś - zadrwił Szarlej - jak dziewczeczka. Umarlaki...

Nie dokonał. Rozległ się świst, gwizd i chichot, taki, że aż przykucnęli. Nad jarem, wlokąc za sobą iskry i warkocz dymu, przeleciała trupia czaszka. Nim zdążyli ochłonąć, przeleciała druga, swiszcząc jeszcze straszliwiej.

- Zawróćmy - rzekł glucho Szarlej. - Co rychlej. Nie podoba mi się to miejsce.

Reynevan był absolutnie pewien, że wracają po własnych śladach, ta sama droga, która przyszli. A jednak po chwili przed nosami wyrosło im strome zbocze parowu. Szarlej bez słowa zawrócił, skreślił w drugi wawóz. Po paru krokach tu także zatrzymała ich pionowa, najezona platanina korzeni sciana.

- Niech to diabli porwa - sapnął Szarlej, zawracając. - Nie rozumiem...

- A ja - jeknął Reynevan - boję się, że tak...

- Nie ma wyjścia - warknął demeryt, gdy po raz kolejny utkneli w ślepych zaułku. - Musimy zawrócić i przejść przez cmentarzysko. Szybko, Reinmarze. Raz, dwa.

- Poczekaj - Reynevan schylił się, rozejrział, szukając ziół. - Jest inny sposób...

- Teraz? - przerwał ostro Szarlej. - Dopiero teraz? Teraz nie ma czasu!

Nad lasem przeleciała z gwizdem następna czerepia kometa i Reynevan natychmiast zgodził się z demerytem. Poszli przez zwałowisko koci. Kon chrapał, szarpał łbem, ploszył się, Reynevan ciągnął go za wodze z najwyższym trudem. Zapach dymu stał się silniejszy. Dawalo się już w nim wyczuwać ziola. I coś jeszcze, coś nieuchwytnego, mdlącego. Przerazającego.

A potem zobaczyli ognisko.

Ognisko dymilo opodal wykrotu, pod ogromnym zwałonym pniem. Na ogniu stał, buchając klebami pary, osmolony kocioł. Obok pietrzył się stos trupich czaszek. Na czaszkach leżał czarny kot. W typowo kociej, rozleniwionej pozycji.

Reynevan i Szarlej stali jak sparalizowani. Nawet kon przestał chrapać.

U ogniska siedziały trzy kobiety.

Dwie zasłaniały dym i bijąca z kotła para. Trzecia, siedząca po prawej, wydawała się dość leciwa. Jej ciemne włosy gesto wprawdzie przetykała siwizna, ale wygarbowana słońcem i ślota twarz myliła nieco - kobieta mogła równie dobrze mieć na karku czwartą, jak i ósmą krzyżkę. Siedziała w niedbalej pozycji, chwiejąc się i nienaturalnie krecąc głową.

- Witaj - zaskrzeczała, po czym beknęła gromko i przeciągle. - Witaj, thanie Glamis!

- Przestan bredzić, Jagna - powiedziała druga kobieta, ta siedząca w środku. - Znowu się, cholera, spilas.

Powiew wiatru przytłamsił nieco dym i parę, teraz mogli przyjrzeć się dokładniej.

Kobieta siedząca pośrodku była wysoka i dość mocno zbudowana, spod czarnego kapelusza opadały jej na ramiona płomiennorude, falujące włosy. Miała wystające i zabarwione intensywnym rumieńcem kości policzkowe, kształtne usta i bardzo jasne oczy. Szyję spowijał jej szal z brudnozielonej wełny. Z identycznego materiału udziergane były ponczochoy - kobieta siedziała w dość swobodnym rozkroku i z dość swobodnie uniesioną spódnica, co pozwalało podziwiać nie tylko ponczochoy i lydki, ale i sporo wartej podziwu reszty.

Siedząca po jej prawicy trzecia była najmłodsza, dziewczynka za ledwie. Miała błyszczące, mocno podkrażone oczy i chuda lisia twarz o bladej i niezbyt zdrowej cerze. Jej jasne włosy przyozdabiał wianek z werbeny i koniczyny.

- No i patrzcie - powiedziała ruda, drapiąc się w udo nad zieloną ponczocho. - Nie było co do garnka włożyć, a, ot, zarcie samo przyszło.

Nazwana Jagna ciemnonica beknęła, czarny kot zamiauczał. Zgorączkowane oczy dzierłatki w wianku zapaliły się złym ogniem.

- Wybaczenia upraszamy za najście - uklonił się Szarlej. Był bladej, ale niezłe nad sobą panował. - Przepraszamy szanowne i wielce łaskawe panie. I proszę sobie nie przeszkadzać. Żadnych subiekcji. My tu przypadkiem. Całkiem niechcący. I już sobie idziemy. Już nas nie ma. Jeśli łaskawe panie pozwolą...

Rudowłosa podjęła ze stosu czaszkę, uniosła ją wysoko, głośno wyskandowała zaklecie. Reynevanowi wydało się, że rozpoznaje w nim słowa chaldejskie i aramejskie. Czaszka zaklapała zuchwa, wystrzeliła

w górę i z gwizdem poleciała ponad szczyty sosen.

- Zarcie - powtórzyła ruda bez emocji. - I do tego gadające. Będzie sposobność przed jedzeniem pokonwersować.

Szarlej zaklął pod nosem. Kobieta sugestywnie oblizwała wargi i wpiła w nich wzrok. Nie można było dłużej zwlekać. Reynevan wziął głęboki wdech.

Dłonią dotknął ciemienia. Prawą nogę zgwał w kolanie, uniósł, krzyżując z tyłu z lewą, lewą ręką uchwycił czubek buta. Choć wcześniej robił to wszystkiego dwa razy, poszło mu nad podziw gładko. Wystarczyła chwila koncentracji i wymruczane zaklecie.

Szarlej zaklął znowu. Jagna beknęła. Oczy rudowłosej rozszerzyły się.

A Reynevan, jak stał, w tej samej pozycji, pomalutku uniósł się nad ziemię. Niewysoko, na trzy, cztery palce. I nie na długo. Ale wystarczyło.

Rudowłosa podniosła gliniany gasiorek, lyknęła z niego solidnie, raz, potem drugi raz. Dziewczyny nie poczęstowała, Jagnie, która chciwie wyciągnęła rękę, usunęła naczynie z zasięgu szponiastych palców. Nie spuszczała z Reynevana wzroku, a zrenice jej jasnych oczu były jak dwa ciemne punkciki.

- No, no - powiedziała. - Kto by się spodziewał. Magicy, prawdziwi magicy, pierwsza gildia, Toledo. U mnie, u prostej wiedźmy. Cóż za zaszczyt. Podejdźcie, podejdźcie bliżej. Bez obaw! Chyba nie potraktowaliście poważnie tej krotchwili o zarcu i ludozerstwie? He? Chyba nie wzięliście tego za dobrą monetę?

- Nie, skądże znowu - zapewnił skwapliwie Szarlej, tak skwapliwie, że oczywistym było, że kłamie. Rudowłosa parsknęła.

- Czegóż więc - spytała - poszukują w moim ubogim zakatku panowie czarodzieje? Czego sobie życzą? A może...

Urwala, zaśmiała się.

- A może panowie czarodzieje zwyczajnie zablądzi? Poputali drogę? Zaniedbawszy magii w meskiej pysze? I teraz ta sama pycha nie pozwala im przyznać się, zwłaszcza przed niewiastami?

Szarlej odzyskał kontenans.

- Bystrość pani - skłonił się dwornie - w parze idzie z urodą.

- Popatrzcie tylko, siostrzyczki - błysnęła zębami wiedźma - jakież dworne trafił się kawaler, jak miłym potrafi uraczyć komplementem. Umie zrobić radość kobiecie, pomyślałabyś: trubadur. Albo biskup. Iście żał, że tak rzadko... Bo niewiasty i dziewczęta, i owszem, wcale często ryzykują drogę przez ostęp i uroczysko, moja reputacja sięga daleko, mało kto umie usunąć plód tak zgrabnie, bezpiecznie i bezbolesnie jak ja. Ale mężczyźni... Cóż, przybywają tu znacznie rzadziej... Znacznie rzadziej... A szkoda... Szkoda...

Jagna zaśmiała się gardłowo, dzierlatka pociągnęła nosem. Szarlej zarumienił się, ale chyba bardziej z ochoty niż z zakłopotania. Reynevan tymczasem też odzyskał rezon. Zdążył wywieszyć co trzeba w parze z bulgocącego kociolka i przyjrzeć się pekom ziół, tych suszonych i tych świeżych.

- Urodzie i bystrosci pan - wyprostowal sie, troche butnie, ale swiadom, ze blyśnie - dorównuje skromnosc. Bo pewien jestem, ze liczni przychodza tu goscie i nie tylko po uslugi medyczne. Widze przecie bialy dyptam, a tam cóz, jesli nie „kolczasty chlebek”, czyli bielun, datura? A tam cikliwica, tam znowu bozybyt, ziele wyroczeni. A tu, prosze, lulek czarny, herba Apollinaris, i ciemiernik, *Helleborus*, oba wywołujące wieszczę wizję. A na wróżby i wieszczby jest popyt, wszak sie nie myle?

Jagna beknela. Dzierlatka wiercila go wzrokiem. Ruda usmiechala sie zagadkowo.

- Nie mylisz sie, biegly w ziolach konfratrze - rzekla wreszcie. - Wielki jest popyt na wróżby i wieszczby. Nadchodzi czas zmian i przemian, wielu chce wiedziec, co ten czas przyniesie. I wy tez tego chcecie. Dowiedziec sie, co niesie wam los. Wszak sie nie myle?

* * *

Rudowlosa wrzucala do kociolka ziola i mieszala w nim. Wieszczyc miala zas ta mloda dzierlatka o twarzy lisicy i oczach plonacych od goraczki. W kilka chwil po wypiciu odwaru jej oczy zmetnialy, sucha skóra na policzkach sciagnela sie, dolna warga odslonila zeby.

- *Columna veli aurei* - przemówila nagle niezbyt wyraznie. - Kolumna zlotej zaslony. Urodzona w Genazzano, w Rzymie zywota dokona. Za lat szesc. Miejsce opróżnione zajmie wilczyca. W niedziele *Oculi*. Za lat szesc.

Cisza, zakłócana tylko potrzaskiwaniem ognia i mruzeniem kota, panowala tak dlugo, ze Reynevan zwatpil. Nieslusznie.

- Nim dwa dni mina - powiedziala dziewczyna, wyciagajac rozdygotana dlon w jego kierunku. - Nim dwa dni mina, slawnym on bedzie poeta. Slawne u wszystkich bedzie miano jego.

Szarlej zatrzasl sie lekko od tlumionego smiechu, uspokoil sie natychmiast pod ostrym spojrzeniem rudowlosej.

- Nadejdzie wedrowiec - wieszczka kilka razy odetchnela glosno. - Nadejdzie *Viator*, Wedrowiec, od slonecznej strony. Zamiana sie staje. Od nas ktos odchodzi, do nas Wedrowiec przychodzi. Mówi Wedrowiec: *ego sum qui sum*. Nie pytaj Wedrowca o imie, ono jest tajemnicze. Bo cóz jest, kto to zgadnie: z tego, który pozera, wyszlo to, co sie spozywa, a z mocnego wyszla slodycz.

Martwy lew, pszczoły i miód, pomyslal Reynevan, zagadka, która Samson zadal Filistynom. Samson i miód... Co to ma oznaczac? Co symbolizowac? Kim jest ów Wedrowiec?

- Brat twój wola - zelektryzowal go cichy glos medium. - Brat twój wola: Idz i przyjdz. Idz, skaczac po górach. Nie zwlekaj.

Zamienil sie w sluch.

- Mówi Izajasz: zgromadzeni, uwiezieni w lochu, zamknieni w wiezieniu. Amulet... I szczur... Amulet i szczur. Jin i jang, Keter i Malkut. Slonce, waz i ryba. Odemkna sie, uchyla wrota Piekiel, wonczas runie wieza, zawali *sieturris fulgurata*, wieza trafiona piorunem. W proch rozsypie sie Narrenturm, blazna pod gruzami pogrzebie.

Narrenturm, powtórzył w myśli Reynevan. Wieża Błaznów! Na Boga!

- *Adsumus ,adsumus ,adsumus !* - krzyknęła nagle dziewczyna, wyprzedzając się silnie. - Jesteśmy! Strzala za dnia lecaca, *sagitta volante in die* , strzeż się jej, strzeż! Strzeż się strachu nocnego, strzeż się istoty, która idzie w mroku, strzeż się demona, co niszczy w południe! I co woła: *Adsumus !* Strzeż się pomurnika! Bój się ptaków nocnych, bój cichych nietoperzy!

Korzystając z nieuwagi rudej, Jagna cichcem dorwała się do gasiorka, wypila kilka głębokich łyków. Zakaszła, czknęła.

- Strzeżcie się też - zaskrzeczała - Lasu Birnamskiego...

Rudowłosa uciszyła ją kuksancem.

- A ludzie - westchnęła rozdzierająco wieszczka - palic się beda, płonac w ognistym biegu. Omyłkowo. Skutkiem podobienstwa nazwisk.

Reynevan pochylił się w jej stronę.

- Kto zabil... - spytał cicho. - Kto ponosi winę za śmierć mojego brata?

Rudowłosa syknęła gniewnie i ostrzegawczo, pogroziła mu kopyscia. Reynevan świadom był, że robi to, czego robić nie wolno, że ryzykuje bezpowrotne przerwanie wieszczego transu. Ale pytanie powtórzył. Odpowiedz zaś dostał natychmiast.

- Winę ponosi wierutny kłamca - głos dziewczyny zmienił ton na niższy i bardziej chrapliwy. - Kłamca lub ten, który prawdę powie. Prawdę powie. Sklamie, albo prawdę powie. A to w zależności od tego, kto jakie żywi w tym względzie poglądy. Upalony, nadpalony, spalony. Nie spalony, bo umarły. Umarły pochowany. Niebawem wykopany. Nim trzy lata mina. Z grobu wyrzucony. *Buried at Lutterworth, remains taken up and cast out ...* Płynie, płynie rzeka popiół ze spalonych kości... Avon do Severn, Severn do mórz, z mórz na ocean... Uciekajcie, uciekajcie, życie ratujcie. Tak mało nas już zostało.

- Kon - wtracił nagle bezczelnie Szarlej. - Żeby uciekać, potrzebny mi kon. Chciałbym...

Reynevan uciszył go gestem. Dziewczyna patrzyła niewidzącymi oczyma. Watpił, by odpowiedziała. Był w błędzie.

- Cisawy... - baknęła. - Cisawy będzie.

- A ja chciałbym jeszcze... - spróbował Reynevan, ale urwał, widząc, że już koniec. Oczy dziewczyny zamknęły się, głowa opadła bezwładnie. Rudowłosa podtrzymała ją, położyła delikatnie.

- Nie zatrzymuje was - powiedziała po chwili. - Pojedźcie jarem, skrecając tylko w lewo, zawsze w lewo. Będzie bukowy las, potem polana, na niej kamienny krzyż. Na wprost krzyża przesieka. Wywiedzie was na trakt świdnicki.

- Dzięki, siostrze.

- Uważajcie na siebie. Tak mało nas już zostało.

Rozdział jedenasty

w którym pokretne przepowiednie zaczynają sprawdzać się w pokretny sposób, a Szarlej spotyka znajoma. I objawia nowe, dotąd nieobjawione talenty.

Za bukowina, przy skrzyżowaniu duktu z przesieką, stał wśród wysokich traw kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. Wnosząc ze śladów erozji i wandalizmu, zbrodni bardzo dawnej, być może dawniejszej nawet niż osada, której ruiny widoczne były opodal w postaci gęsto zarosniętych chwastem pagórków i dolów.

- Mocno spóźniona pokuta - skomentował zza pleców Reynevana Szarlej. - Wreż rozłożona na pokolenia. Dziedziczna, rzekłbym. Wyrzeźbienie takiego krzyża zajmuje szmat czasu, stawia go więc już najczęściej syn, w głowę zachodząc, kogo też nieboszczyk tatus utrupił i co go na starość natchnęło do skruchy. Prawda, Reinmarze? Jak myślisz?

- Ja nie myślę.

- Wciąż jeszcze zły jesteś na mnie?

- Nie jestem.

- Ha. Tedy jedźmy. Nasze nowe znajome nie kłamały. Przesieka na wprost krzyża, choć pewnie pamięta Bolka Chrobrego, niezawodnie wywiedzie nas na świdnicki trakt.

Reynevan popędził konia. Wciąż milczał, ale Szarlejowi to nie przeszkadzało.

- Przyznam, że zaimponowałeś mi, Reinmarze z Bielawy. U wieżm, znaczy. Wrzucić do ognia garść zielska, belkotac zamawiania i zaklecia, zasuplac nawez potrafi, bądźmy szczerzy, byle znachor i baba guslarka. Ale twoja lewitacja, no, no, to nie w kij dmuchał. Gdzieś ty się, przyznaj, w Pradze edukował: na Uniwersytecie Karola czy u czeskich czarowników?

- Jedno - Reynevan uśmiechnął się do wspomnień - drugiego nie wykluczało.

- Rozumiem. Wszyscy tam lewitowali podczas wykładów?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, demeryt poprawił się na konskim zadzie.

- Nie mogę się jednak oprzeć zdziwieniu - podjął - że oto zmykasz, kryjąc się przed poscigiem po lasach moda bardziej przystająca zajacowi niż magikowi. Magicy, nawet jeśli muszą uciekać, robią to z większą klasą. Medea, dla przykładu, uciekła z Koryntu rydwanem zaprzęzonym w smoki. Atlantes latał na hippogryfie. Morgana w pole wywodziła mirazami. Wiwiana... Nie pamiętam, co robiła Wiwiana.

Reynevan nie skomentował. Też zreszta nie pamiętał.

- Nie musisz odpowiadać - podjął Szarlej z jeszcze wyraźniejszą drwiną w głosie. - Pojmuje. Za mało masz wiedzy i wprawy, jesteś tylko adeptem nauk tajemnych, zaledwie uczniem czarnoksiężnika. Nieopierzonym piskleciem magii, z którego wyrosnie jednak kiedyś orzeł, Merlin, Alberich albo Maugis. A wówczas biada...

Urwał, widząc na drodze to samo, co Reynevan.

- Nasze znajome wiedźmy - szepnął - nie kłamały zaiste. Nie ruszaj się.

Na przesiece, schyliwszy głowę i szczypiąc trawę, stał kon. Zgrabny kon pod wierzch, lekkipalefrois o cienkich pecinach. Cisawej masci, z ciemniejszą grzywą i ogonem.

- Nie ruszaj się - powtórzył Szarlej, zsiadając ostrożnie. - Taka okazja może się już nie powtórzyć.

- Ten kon - rzekł Reynevan z naciskiem - jest czyjąś własnością. Do kogoś należy.

- Owszem. Do mnie. Jeśli go nie spłoszysz. Wtedy nie spłosz.

Na widok zbliżającego się wolniutko demeryta kon wysoko uniósł leb, potrzaskał grzywą, prychnął przeciągle, nie spłoszył się jednak, pozwolił uchwycić za kantar, który nosił. Szarlej pogłaskał go po chrapach.

- To cudza własność - powtórzył Reynevan. - Cudza, Szarleju. Trzeba będzie oddać właścicielowi.

- Ludzie, ludzie... - zanucił cichutko Szarlej. - Hej-hej... Czyj to kon? Gdzie właściciel? Widzisz, Reinmarze? Nikt się nie zgłosił. A zatem *res nullius cedit occupanti* [8].

- Szarleju...

- Dobra, dobra, uspokój się, nie trwój twego delikatnego sumienia. Oddamy konia prawowitemu posiadaczowi. Pod warunkiem, że go napotkamy. Przed czym niechaj, błagam, ustrzeż nas bogi.

Błaganie ewidentnie nie dotarło do adresatów lub nie zostało wysłuchane, albowiem przesieka zaroiła się nagle od pieszych, zdyszanych i wskazujących konia palcami...

- To wam uciekł ten cisek? - uśmiechnął się zyczliwie Szarlej. - Jego szukacie? To macie szczęście. Rwał na północ, co sił w kopytach. Ledwo zdołałem go zatrzymać.

Jeden z przybyszów, wielki brodac, przyjrzał mu się podejrzliwie. Wnosząc z nieschludnej przyodziewy i odrazającej aparycji był, jak i pozostali, wiesniakiem. Jak i pozostali, uzbrojony był w gruby kij.

- Zatrzymał się - przemówił, wyrывая Szarlejowi postronek kantara - to i chwali się wam. A teraz idźcie sobie z Panem Bogiem.

Pozostali podeszli, otaczając ich ciasnym wiencem i duszaco nieznośnym smrodem gospodarki rolnej. Nie byli to kmiecie, lecz wiejska biedota - zagrodnicy, komornicy i owczarze. Wyklóć się z takimi o znaleźne sensu nie miało, Szarlej zrozumiał to od razu. Bez słowa przepchnął się przez cizbę. Reynevan ruszył za nim.

- Ejże - krepy i ohydnie woniejacy owczarz chwycił nagle demeryta za rekaw. - Kumie Gamrat! Tak ich puszczacie? Nie wypytawszy, co za jedni? A nie beda to wypadkiem owi wywolancy? Owi dwaj, co ich strzegomskie pany szukaja? I nagrode za zlapanych obiecujaja? Nie beda to ci wlasnie?

Wiesniacy zaszemrali. Kum Gamrat zblizyl sie, podpierajac jesionowa laga, ponury jak poranek w Zaduszki.

- Moze i oni - burknal zlowrogo. - A moze i nie oni...

- Nie oni, nie oni - zapewnil z usmiechem Szarlej. - To nie wiecie? Tamtych juz schwytano. I nagrode wyplacono.

- Widzi mi sie, ze lziecie.

- Pusc rekaw, chlopie.

- A jak nie, to co?

Demeryt przez chwile patrzyl mu w oczy. Potem zas ostrym szarpnieciem wytracil go z równowagi, z pólobrotu kopnal w golen, tuz pod kolano. Owczarz gwałtownie padl na kleczki, a Szarlej krótkim ciosem z góry zlamal mu nos. Chlop zlupal sie za twarz, krew spod palców polalala sie obficie, jaskrawym zaciekiem przyozdabiajac przód siermiegi.

Nim wesniacy zdolali ochlonac, Szarlej wydarl kumowi Gamratowi kij i zdzielil go nim w skron. Kum Gamrat blysnal bialkami oczu i upadl w ramiona chlopa stojacego za nim, a demeryt walnal i tego. Zawirowal jak bak, piorac kosturem na lewo i prawo.

- Uciekaj, Reinmarze! - wrzasnal. - W nogi!

Reynevan zgnal konia, roztracil czerede, ale uciec nie zdolal. Wiesniacy doskoczyli jak psy, z obu stron, wczepili sie w uprzaz. Tlukul piesciami jak szalony, ale zwlekli go z siodla. Bil, ile mocy, i kopal jak mul, ale i na niego sypaly sie razy. Slyszal wsciekly ryk Szarleja i suche trzaski czaszek, w które trafialy ciosy jesionowej lagi.

Obalili go, przytlamsili, przygnietli. Sytuacja byla rozpaczliwa. To, z czym usilowal walczyć, to nie byla juz banda kmiotów, ale straszliwy wielogłowy potwór, sliska od brudu, smierdzaca lajnem, moczem i zjelczalym mlekiem hydra o stu nogach i dwustu kulakach.

Przez wrzask zgrai i szum krwi w uszach uslyszal nagle bojowe krzyki, tetent i rzenie koni, a grunt zadygotal od podków. Zaswiszczaly nahaje, rozbrzmialy wrzaski bolesci, a dlawiacie go wielorekie monstrum rozpadlo sie na elementy skladowe. Agresywni przed momentem wesniacy teraz na wlasnej skórze poznawali, czym jest agresja. Hulajacy po przesiece jezdzy rozjezdzalili ich konmi i bez zmilowania siekli batami, siekli tak, ze az klaki lecialy z kozuchów. Kto zdolal, pierzchal w las, ale na sucho nie uszlo nikomu.

Po chwili uciszylalo sie nieco. Jezdzy uspokajali chrapiace konie, krazylili po pobojowisku, wypatrujajac, komu by tu jeszcze przylac. Byla to malownicza dosc kompania, towarzystwo, z którym nalezalo sie liczyć, a nie nalezalo zartowac, znac to bylo od pierwszego rzutu oka, tak po odzieniu i rynsztunku, jak i po gebach, których sklasyfikowanie jako zakazane i bandyckie nie nastreczyloby trudnosci nawet niezbyt wprawnemu fizjonomiscie.

Reynevan wstal. I znalazł się tuż przed nosem jabłkowitej klaczy, na której, flankowana przez dwóch konnych, siedziała tego i sympatycznie pucolowata kobieta w męskim wamsie i berecie na jasnopłowych włosach. Spod zdobiącego beret peku żołnich piór patrzyły twarde, klujące i madre orzechowe oczy.

Szarlej, który, wyglądalo, znaczniejszych obrazem nie odniósł, stanął obok, odrzucił ułomek jesionowej lagi.

- Wszelki duch - powiedział. - Oczom nie wierze. A jednak nie miraz to, nie uluda. Jejmość Dzierzka Zbylutowa we własnej osobie. Dobrze mówi przysłowie: góra z góra...

Jabłkowita klacz potrzasnęła łbem, aż zadzwoniły kółka munsztuka. Kobieta poklepała ją po szyi, milczała, mierzac demeryta przenikliwym spojrzeniem orzechowych oczu.

- Zmizerniales - powiedziała wreszcie. - A i włos ciut ci poszedział, Szarleju. Witaj. A teraz zabierajmy się stąd.

* * *

- Zmizerniales, Szarleju.

Siedzieli za stołem w białym przestronnym alkierzu na tyłach zajazdu. Jedno okno wychodziło na sad, na krzywe grusze, krzaki czarnej porzeczeki i brzezczące od pszczoł ule. Z drugiego okna widac było zagrodę, w której spędzano i grupowano w tabun konie. Wśród dobrej setki rumaków przeważały masywne ślaskie *dextrarii*, wierzchowce dla ciężkozbrojnych, były też kastelany, ogiery krwi hiszpańskiej, były kopijnicze konie wielkopolskie, były mierzyny i podjezdki. Wśród lomotu kopyt i rżenia co i rusz dawały się słyszeć okrzyki i kłatwy masztalerzy, koniuchów i eskorty o zakazanych gebach.

- Zmizerniales - powtórzyła kobieta o orzechowych oczach. - I głowę śnieżkiem coś jakby przyprószyło.

- Cóż robic - odrzekł z uśmiechem Szarlej. - *Tacitisque senescimus annis* [9.]. Choc tobie, jejmość Dzierzko Zbylutowa, lata zdają się dodawac urody i uroku.

- Nie kadz mi. I nie jejmościuj, bo zaraz czuje się jak jakaś starka. A i Zbylutowa już nie jestem. Gdy się Zbylutowi zmarło, wróciłam do panińskiego miana. Dzierzka de Wirsing.

- Prawda, prawda - pokiwał głową Szarlej. - Toc rozstał się z tym światem Zbylut z Szarady, świec Panie nad jego duszą. Ile to już lat, Dzierzko?

- Na Młodzianków będzie dwa roki.

- Prawda, prawda. Ja zaś w tym czasie...

- Wiem - uciela, przenikliwym spojrzeniem obrzuciła Reynevana. - Wciąż nie przedstawiłeś mi twego towarzysza.

- Jestem... - Reynevan wahał się przez moment, decydując wreszcie, że wobec Dzierzki de Wirsing Lancelot z Wozu może być i nietaktowny, i ryzykowny. - Jestem Reinmar z Bielawy.

Kobieta milczała chwilę, wiercac go wzrokiem.

- Iście - wyciedziła wreszcie. - Góra z górą. Zjecie biermuszki, chłopcy? Podają tu wysmienita biermuszke. Ilekroć tu staje, jem. Skosztujecie?

- No pewnie - oczy Szarleja zablysły. - Pewnie, że tak. Dzięki, Dzierzko.

Dzierzka de Wirsing klasnęła w dłonie, obsługa zjawiała się natychmiast, zakrzatała. Musiano tu znać i powozac handlarke koni, w rzeczy samej, pomyślał Reynevan, niejedną raz musiała tu gościć z pedzonym na sprzedaż tabunem, niejedną floren musiała tu wydać, w tym zajeździe niedaleko swidnickiego traktu, pod wsia, której nazwy zapomniał. I nie miał czasu sobie przypominać, albowiem podano jadło. Po chwili obaj z Szarlem siorbali polewke, lowiac grudki twarogu, pracując lipowymi łyżkami szybko, acz w rytmie, by uniknąć zderzenia się w misie. Dzierzka milczała taktownie, przyglądała się im, holubiąc kufel spocony od zimnego piwa.

Reynevan odetchnął głęboko. Nie jadł ciepłej stawy od czasu obiadu z kanonikiem Ottonem w Strzelinie. Szarlej zaś wpatrywał się w piwo Dzierzki tak wymownie, że i im przyniesiono niebawem ociekające pianą kubki.

- Dokąd to Bóg prowadzi, Szarleju? - odezwała się wreszcie niewiasta. - I czemuż to wdajesz się po lasach w bitki z wiesniakami?

- Pielgrzymujemy do Barda - żelgał niefrasobliwie demeryt. - Do Matki Boskiej Bardzkiej, pomodlić się w intencji naprawy tego świata. A napadli nas bez dania racji. Zaprawdę, świat pełen jest niegodziwości, a po gościncach i lasach znacznie łatwiej o lotrzyka niżli o przeorysze. Holota owa zaatakowała nas, powtarzam, bez powodu, wiedzioną grzeszną chucią czynienia zła. Ale my odpuszczamy naszym winowajcom...

- Kmiotów - Dzierzka przerwała mu tok wymowy - najelam, by pomogli szukać zrebca, co uciekł. Ze obmierzłe to chamy, nie zaprzeczę. Ale potem bajdurzyli coś o sciganych, coś o wyznaczonych nagrodach...

- Rojenia głów próżniaczych - westchnął demeryt - i umysłów mialkich. Któż je odgadnąć zdoła...

- Siedziałeś pod kluczem na klasztornej pokucie. Prawda?

- Prawda.

- I cóż?

- I nic - twarz Szarleja a nie drgnęła. - Nuda. Każdy dzień taki sam. W kółko *Matutinum*, laudesy, pryma, tercja, potem na Barnabe, seksta, nona, potem na Barnabe, nieszpory, *collationes*, kompleta, na Barnabe...

- Przestan wreszcie krecić - Dzierzka przerwała mu ponownie. - Dobrze wiesz, o co mi idzie, gadaj więc: zwiałeś? Scigają cię? Wyznaczyli nagrodę?

- Uchowaj Boże! - Szarlej przybrał minę urażonego supozycja. - Zostałem zwolniony. Nikt mnie nie sciga, nikt nie przesładuje. Jestem człowiekiem wolnym.

- Jakże mogłam zapomnieć - odrzekła z przekasem. - Ale dobrze, niech będzie, daję wiarę. A jeśli daje... To wniosek nasuwa się prosty.

Szarlej uniósł brwi znad oblizywanej łyżki, dając wyraz zaciekawieniu. Reynevan niespokojnie powiercił się na lawie. Jak się okazało, słusznie.

- Wniosek nasuwa się prosty - powtórzyła, przypatrując mu się, Dzierzka de Wirsing. - Tedy to imię młody pan Reinmar z Bielawy jest obiektem polowania i poscigu. Ze od razu nie zgadłam, chłopcze, to przez to, że w takich aferach rzadko przegrasz, stawiając na Szarleja. Oj, dobraliscie się wy, dobraliscie niczym w korcu maku....

Zerwała się nagle, doskoczyła do okna.

- Hej, ty! - wrzasnęła. - Tak, ty! Lajzo jedna! Kulfonie zółzowaty! Kutasie krzywy! Jeszcze raz uderzysz konia, a kaze cie nim po majdanie włóczyć!

- Wybaczcie - wróciła do stołu, spłótła ramiona pod falującym biustem. - Ale wszystkiego muszę sama dopilnować. Ledwo oko odwróce, a już się biesza, nicponie. O czym to ja? Aha. Zescie się dobrali, figlarze.

- Wiesz zatem.

- A jakże. Krazy plotka po narodzie. Kyrielejson i Walter de Barby uganiają się po gościncach, Wolfher Stercza jeździ samosózt po Śląsku, śledzi, wypytuje, odgraza się... Zbytecznie jednak sepisz nos, Szarleju, a i ty niepotrzebnie się niepokoisz, chłopcze. Przy mnie jesteście bezpieczni. Nic mnie nie obchodzi miłosne awantury i rodowe swary, Sterczowie ni braty mi, ni swaty. W przeciwieństwie do ciebie, Reinmarze Bielau. Bos dla mnie, może cie to zdziwi, ale krewniak. Nie rozdziawiaj gęby. Jam jest wszak *de domo* Wirsing, z Wirsingów na Reichwalde. A Wirsingowie z Reichwalde poprzez Zedlitzów spokrewnieni są z Nostitzami. A przecie twoja babka była Nostitzówna.

- To prawda - przemógł zdumienie Reynevan. - Ale zescie, pani, tak biegli w koneksjach...

- Wiem to i owo - uciela kobieta. - Brata twego, Piotra, znalazłam dobrze. Drużył ze Zbylutem, moim malzonkiem. Goscil u nas, na Skalce, niejeden raz. Na koniach ze skaleckiej stadniny zwykł jeździć.

- Mówicie w czasie przeszłym - Reynevan spochmurniał. - Tedy wiecie już...

- Wiem.

Trwające czas jakiś milczenie przerwała Dzierzka de Wirsing.

- Szczerze z toba współczuje - powiedziała, a jej poważna twarz szczerą potwierdzała. - To, co stało się pod Balbinowem, to i dla mnie tragedia. Twego brata znalazłam i lubiłam. Zawsze ceniłam go za rozsadek, za trzeźwe spojrzenie, za to, że nigdy nie robił z siebie nadetego półpanka. Co tu dużo gadać, toć za przykładem Peterlina właśnie mój Zbylut nabral umu-rozumu. Nos, co go zwykł był po wielkopansku zadzierać, opuścił ku ziemi, zobaczył, na czym nogami stoi. I jał się hodowli koni.

- Tak to było?

- A jakże. Przedtem Zbylut z Szarady był pan, szlachcic, znana jakoby w Małopolsce rodzina, samym Melsztynskim piata pono woda po kisielu. Herbowy rycerz, z tych, co to wiecie: na piersi Leliwa, pod

Leliwa podarte gacie. Az tu Piotr Bielau, taki *sammiles mediocris*, dumny, ale biedny, bierze sie za interes, buduje farbiarnie i folusz, sprowadza majstrów z Gandawy i Ypres. Bimbajac na to, co powiedza inni rycerze, robi pieniadze. I co? Wkrótce jest prawdziwym panem, moznym i bogatym, a pogardzajacy nim herbowi gna sie w uklonach i slinia w usmiechach, byle tylko byl laskaw pozyczyc im gotówki...

- Peterlin - oczy Reynevana blysnely. - Peterlin pozyczal pieniadze?

- Wiem, co podejrzewasz - Dzierzka spojrzala na niego bystro. - Ale to watpliwe. Twój brat pozyczal tylko ludziom dobrze sobie znanym i pewnym. Za lichwe mozna podpasc Kosciolowi. Peterlin bral mały procent, nawet nie polowe tego, co Zydzi, ale przed donosem nie tak latwo sie obronic. A wzgledem twoich podejrzen... Ha, fakt, nie brakuje takich, co gotowi zamordowac, nie mogac lub nie chcac splacic dlugu. Ale ludzie, którym pozyczal twój brat, do takich raczej nie nalezeli. Bładzisz wiec po zimnym tropie, krewniaku.

- Niewatpliwie - zacisnal wargi Reynevan. - Nie ma co mnozyc podejrzen. Ja wiem, kto i dlaczego zabil Peterlina. Watpliwosci w tym wzgledzie nie mam zadnych.

- Nalezysz wiec do mniejszosci - rzekla zimno kobieta. - Bo wiekszosc watpliwosci ma.

Cisze, która zapadla, znowu przerwala Dzierzka de Wirsing.

- Kraza plotki po narodzie - powtórzyla. - Ale wielce nierozsadnym, ba, glupim wrecz byloby na podstawie onych pochopnie brac sie do wróždy i zemsty. Mówie to na wypadek, gdybyscie trafunkiem wcale nie do Matki Boskiej Bardzkiej zmierzali, lecz calkiem inne mieli plany i zamiary.

Reynevan udal, ze calkowicie pochlania go zaciek na powale. Szarlej mial mine niewinna jak dziecko. Dzierzka nie spuszczala z obu orzechowych oczu.

- Wzgledem zas smierci Peterlina - podjela po chwili, znizajac glos - to watpliwosci sa. I to powazne. Bo to, uwazacie, dziwna sie zaraza szerzy na Slasku. Dziwny pomór padl na przedsiebiorców i kupców, a i rycerskich głów nie oszczedza. Umieraja ludzie zagadkowa smiercia...

- Pan Bart - mruknal pod nosem Reynevan. - Pan Bart z Karczyna...

- Pan von Bart - doslyszala, kiwnela glowa. - A wczesniej pan Czambor z Heissensteinu. A przed nim dwaj platnerze z Otmuchowa, imion zapomnialam. Tomasz Gernrode, mistrz cechu rymarzy z Nysy. Pan Fabian Pfefferkorn z niemodlinskiej spółki handlowej, od handlu ołowiem. A ostatnio, ledwo tydzien temu, Mikolaj Neumarkt, swidnicki *mercator* sukienny. Iscie pomór...

- Niechaj zgadne - odezwal sie Szarlej. - Zaden z wymienionych nie umarl na ospe. Ani ze starosci.

- Zgadles.

- Bede zgadywal dalej: nie bez kozery masz liczniejsza niz zwykle eskorte. Nie bez kozery zlozona z uzbrojonych po zeby bandziorów. Dokad to, mówilas, jedziesz?

- Nie mówilam - uciela. - Tamtej sprawy tknelam zas jeno po to, byscie pojeli, jak jest duza. Byscie pojeli, ze tego, co sie dzieje na Slasku, przy najlepszych checiach nie da sie przypisac Sterczom. Ani obciazyc tym Kunza Aulocka. Bo to sie zaczelo na dlugo przed tym, nim przylapano mlodego pana de Bielau w łózku z pania Sterczowa. Warto, byscie o tym pamietali. Ja nie mam juz nic wiecej do dodania.

- Powiedzialas zbyt duzo - Szarlej nie spuscil wzroku - by nie dokonczyc. Kto zabija slaskich kupców?

- Gdybysmy wiedzieli - oczy Dzierzki de Wirsing zaplonely groznie - to juz by nie zabijal. Ale bez obawy, dowiemy sie. Wy trzymajcie sie od tego z dala.

- Czy mówi wam cos - wtracil Reynevan - nazwisko Horn? Urban Horn?

- Nie - odrzekla, a Reynevan od razu wiedzial, ze klamie. Szarlej spojrzal na niego, w jego oczach Reynevan odczytal wskazówke, by nie zadawac dalszych pytan.

- Trzymajcie sie od tego z dala - powtórzyła Dzierzka.

- To niebezpieczna rzecz. A wy macie, jesli wierzyc plotkom, dosc własnych zmartwien. Gadaja ludziska, ze Sterczowie srodze sie zawzieli. Ze Kyrielejson i Stork kraza jak wilki, ze sa juz na tropie. Wreszcie, ze pan Guncelin von Laasan wyznaczyl nagrode za jakowychs dwóch szelmów...

- Plotki - przerwal Szarlej. - Pogloski.

- Mozliwe. Niemniej niejednego one zawiodly na szubienice. Radzilabym wiec trzymac sie z dala od głównych traktów. A w miejsce Barda, do którego pono zmierzacie, doradzalabym jakis inny, odleglejszy gród. Mógłby to byc Pozon, dla przykladu. Albo Ostrzyhom. Buda wreszcie.

Szarlej uklonil sie z atencja.

- Rada cenna - rzekl. - I dzieki za nia. Ale Wegry daleko, hen... A ja na piechote... Bez konia...

- Nie zebrz, Szarleju. Nie do twarzy ci z tym... Zaraza!

Znowu zerwala sie, dopadla okna, znowu obrzucila wyzwiskami kogos, kto niedbale obchodzil sie z koniem.

- Wyjdzmy - rzekla, poprawiajac wlosy i falujac biustem. - Jak sama nie dojrze, skurwysyny pomarnuja mi zrebce.

- Ladny tabunik - ocenil Szarlej, gdy wyszli. - Nawet jak na skalecka stadnine. Niezly grosz sie szykuje. Jesli sprzedasz.

- Nie ma strachu - Dzierzka de Wirsing z luboscia przyjrzala sie swym rumakom. - Jest popyt na kastelany, ida i podjezdki. Gdy idzie o konia, panowie rycerze zapominaja o wezu w kieszeni. Wiecie, jak to jest: na wyprawie kazdy chce sie i własnym koniem pochwalic, i poczem.

- Na jakiej wyprawie?

Dzierzka odchrzaknela, rozejrzala sie. Potem wykrzywila usta.

- W intencji naprawy tego swiata.

- Aha - odgadl Szarlej. - Czesi.

- O tym - handlarka koni wykrzywila sie jeszcze bardziej - lepiej nie gadac za glosno. Biskup wroclawski pono ostro sie za lokalnych heretyków zabral. Po drodze, ilem minela grodów, pod kazdym

ciezkie od wisielców szubienice. Zgliszczą po stosach.

- Przecie my nie heretycy. To czego mamy sie lekac?

- Gdzie ogiery kastruja - rzekla Dzierzka ze znajomoscia rzeczy - tam nie zaszkodzi uwazac i na wlasne jajca.

Szarlej nie skomentowal. Zajety byl obserwacja kilku zbrojnych, którzy wlasnie wyprowadzali z szopy wóz, zakryty czarnym smolowanym wantuchem. Do wozu zaprzeczono dwójke koni. A potem, ponaglani przez grubego sierzanta, zbrojni wyniesli i zaladowali pod plachte spory zamczysty kufer. Wreszcie z karczmy wyszedl wysoki typ w bobrowym kolkpaku i plaszczu z bobrowym kolnierzem.

- Kto zacz? - zaciekawil sie Szarlej. - Inkwizytor?

- Bliskos trafil - odrzekla póglosem Dzierzka de Wirsing. - To kolektor. Podatek sciaga.

- Jaki podatek?

- Specjalny, jednorazowy. Na wojne. Z kacerzami.

- Czeskimi?

- Sa inni? - Dzierzka wykrzywila sie znowu. - A podatek uchwalili panowie na Reichstagu we Frankfurcie. Czyj majatek wiekszy niz dwa tysiace guldenów, ma zaplacic guldena, czyj mniejszy - guldena pół. Kazdy giermek z rycerskiego rodu dac ma trzy guldeny, rycerz piec, baron dziesiec... Wszyscy duchowni uiscic maja piec od sta ze swego rocznego dochodu, duchowni bez dochodów - dwa grosze...

Szarlej wyszczerzyl w usmiechu swe biale zeby.

- Brak dochodów zadeklarowali pewnie wszyscy duchowni. Z dopiero co wspomnianym biskupem wroclawskim na czele. A jednak skrzyneckie musialo podniec czterech krzepkich drabów. Eskorty zas naliczylem osmiu. Dziwi, iz tak sensownego ciezaru strzeze tak nieliczna grupa.

- Eskorta sie wymienia - wyjasnila Dzierzka. - Na calej trasie. Którego rycerza dziedzina, ten dostarcza zbrojnych. Dlatego w tej chwili tak ich malo. To jest, Szarleju, jak z tym przejsciem Zydów przez Morze Czerwone. Zydzi przeszli, Egipcjanie jeszcze nie nadciagneli...

- A morze sie rozstapilo - Szarlej tez znal ten dowcip. - Rozumiem. Cóz, Dzierzko, bedziemy sie zegnac. Dzieki piekne za wszystko.

- Podziekujesz za chwile. Bo zaraz kaze wyszykowac ci konika. Bys nie musial dralowac na piechote. I mial jakies szanse, gdy dojdzie cie poscig. Nie mysl tylko, ze to z milosierdzia i dobroci serca. Zwrócisz mi pieniadze przy sposobnosc. Czerdziesci renskich. Nie ró b min. Cena jak dla brata! Wdziecznym byc powinienes.

- I jestem - usmiechnal sie demeryt. - Jestem, Dzierzko. Dzieki przeogromne. Zawsze mozna bylo na ciebie liczyc. A zeby nie wyszlo, zem tylko do brania skory, prosze, oto prezent dla ciebie.

- Sakiewki - chlodno stwierdzila fakt Dzierzka. - Niebrzydkie. Srebrna nicia wyszywane. I perlami. Ladnymi nawet. Choc falszywymi. Ale dlaczego trzy?

- Bom hojny. To jeszcze nie wszystko - Szarlej zniżył głos, rozejrzal się. - Trzeba ci wiedzieć, Dzierzko, że obecny tu młody Reinmar ma pewne... Hmm... Zdolności. Zgola niezwykle, by nie rzec... magiczne.

- He?

- Szarlej przesadza - zachnął się Reynevan. - Jestem medykiem, nie magikiem...

- Właśnie - wpadł mu w słowo demeryt. - Gdybys potrzebowała jakiegos eliksiru albo filtru... Miłosnego, dajmy na to... Afrodyssjaku... Czegos na potencje...

- Na potencje - powtórzyła w zamysleniu. - Hmm... Mogłoby się przygodzie...

- No prosze. Nie mówilem?

- ...dla ogierów - dokonczyła Dzierzka de Wirsing. - Ja z miłością sobie sama radzę. I jeszcze całkiem gracko obywam się bez czarnoksiestwa.

- Poprosze o utensylia do pisania - rzekł po chwili ciszy Reynevan. - Wypisze recepte.

* * *

Wyszykowanym konikiem okazał się ów zgrabny cisawy palefrois, ten sam, którego znaleźli na przesieci. Reynevan, który wieszczbom lesnych czarownic początkowo wiary raczej nie dawał, teraz zadumał się głęboko. Szarlej zaś wskoczył na konia i dziarsko obklusował majdan. Demeryt ujawnił kolejny talent - powodowany pewną ręką i mocnymi kolanami cisek szedł jak po sznurku, pięknie unosząc nogi i wysoko trzymając głowę, zaś w niewymuszenie eleganckiej pozycji jezdzieckiej Szarleja największy znawca i mistrz hippiki nie znalazłby nic do skrytykowania. Koniuchy i zbrojni z eskorty zaklaskali w dłonie. Nawet opanowana Dzierzka de Wirsing zacmokała z uznaniem.

- Anim wiedziała - mruknęła - że tyli z niego kawalkator. Iscie, nie zbywa mu na talentach.

- Prawda.

- Ty zaś, krewniaku - odwróciła się - uważaj na siebie. Polowanie trwa na husyckich emisariuszy. Na obcych i przybyszów wszędzie teraz bacznie patrza, a o wypatrzonych zaraz donosza. Bo kto nie doniesie, sam w podejrzeniu. Tys zaś nie dość, że obcy i przybysz, to jeszcze twoje imię i ród znane się na Śląsku zrobiły, coraz więcej ludzi ma na Bielawie wyostrzone uszy. Wymyśl sobie coś. Nazwij się... Hmm... Żeby imię choć to samo zostało i nie myliło ci się ciegami... Niechaj tedy będzie... Reinmar von Hagenau.

- Przecież - uśmiechnął się Reynevan - tak nazywał się sławny poeta...

- Nie grymas. A zresztą czasy mamy trudne. Kto w takich pamięta nazwiska poetów?

Szarlej zakończył pokaz krótkim, acz energicznym galopem, wrył konia, aż przysnął zwir. Podjechał, zmuszając ciska do kroków tak tanecznych, że znowu zarobił na aplauz.

- Wdala bestyjka - powiedział, klepiąc zrebca po szyi. - I ścięła. Jeszcze raz dziękuje, Dzierzko. Bywaj.

- Bywajcie. I niech Bóg prowadzi.
- Do widziska.
- Do obaczyska. Oby w lepszych czasach.

Rozdział dwunasty

w którym w wigilie świętego Idziego, wypadająca w piątek, Reynevan i Szarlej jedzą postny obiad w klasztorze benedyktynów. Po obiedzie zaś egzorcyzmują diabła. Z całkiem niespodziewanym efektem.

Klasztor usłyszeli, zanim go zobaczyli, bo skryty wśród lasu odezwał się nagle głębokim, acz melodyjnym biciem dzwonu. Nim dzwon przebrzmiał, otoczone murem budynki nagle zaczerwieniły się dachówkami wśród listowia olch i grabów, przeglądających się w zielonej od rzesy i poryblinu wodzie stawów, gładkiej jak lustro, chwilami jeno poruszanej rozchodzącymi się kołami, oznakami zerwania wielkich ryb. W szuwarach rechotały zaby, kwakały kaczki, pokrekiwały i pluskotały wodne kurki.

Konie szły stępą po umocnionej grobli, w szpalerze drzew.

- Ot - wskazał Szarlej, stając w strzemionach. - Ot i mamy klasztor. Ciekawość, jakiej też reguły. Mówi znany dwuwiersz:

Bernardus valles, montes Benedictus amabat,

Oppida Franciscus, celebres Dominicus urbes. [\[10.\]](#)

Tutaj zaś ktoś lubił bagna, stawy i groble. Choć pewnie nie do stawów i grobli to miłość, lecz do karpia. Jak myślisz, Reinmarze?

- Ja nie myślę.
- Ale karpia byś zjadł? Albo lina? Piątek dzisiaj, a mnisi dzwonili na none. Może podejmą obiadem?
- Watpie.
- Dlaczego i w co?

Reynevan nie odpowiedział. Patrzył na półotwartą furte klasztoru, z której wypadł srokaty konik z zakonnikiem w siodle. Zakonnik zaraz za furta poderwał srokacza do ostrego galopu - i skończyło się to źle. Choć daleko mu było do dzianeta czy kopijniczego *dextrarius*, srokaty konik okazał się ognisty i narowisty, a mnich - jak znać było po czarnym habicie, benedyktyn - jezdziecka sprawnością nie grzeszył bynajmniej, w dodatku zaś dosiadał srokacza obuty w sandały, nijak nie chcąc trzymać się strzemion. Ujechawszy może z ćwierć stajania srokaty konik wierzgnął, a zakonnik wyfrunął z siodła i pokulał się pod wierzby, błyskając gołymi łydkami. Srokacz bryknął, zarzał, zadowolony z siebie, po czym lekkim klusikiem pobiegł po grobli w kierunku obu wędrowców. Gdy ich mijal, Szarlej złapał go za wodze.

- Popatrz tylko - powiedział - na tego centaury! Uzda z postronka, siodło z derki, szmaciany popreg. Nie wiem, czy reguła świętego Benedykta z Nursji dozwala jazde konna czy jej zakazuje, doprawdy nie wiem. Ale takiej powinna zakazywać.

- Spiesz się gdzieś. Było to widac.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie. Zakonnika, jak przedtem klasztor, usłyszeli wcześniej niż zobaczyli. Siedział bowiem wśród łopianów i złożywszy głowę na kolanach, płakał żalosnie, szlochał tak, że serce się krajało.

- No, no - przemówił z wysokości siodła Szarlej. - Nie ma co leż ronic, frater. Strata żadna. Koniczek nie uciekł, mamy go, o, tu. A jeździć wierzchem jeszcze zdąży się frater nauczyć. Czasu na to bowiem, jak widzę, ma frater bardzo, baaardzo dużo.

W samej rzeczy, Szarlej miał rację. Mnich był mniszkiem. Gołowasem. Wyrostkiem, któremu trzesły się od szlochu ręce, wargi i cała reszta twarzy.

- Brat... Deodat... - zakał. - Brat... Deodat... Przeze mnie... Umrze

- He?

- Przeze mnie... Umrze... Zawiodłem... Zawiodłem...

- Spiesz się po medyka? - domyślił się szybko Reynevan. - Do chorego?

- Brat... - zaszlochał chłopiec - Deodat... Przeze mnie...

- Mówże składniej, frater!

- W brata Deodata - krzyknął mniszek, unosząc zaczerwienione oczy - wstąpił zły duch! I opętał go! To i nakazał mi opat co tchu... Co tchu gonić do Swidnicy, do Braci Kaznodziejów... Po egzorcyście!

- Lepszego jeźdźcy w klasztorze nie było?

- Nie było... To ja najmłodszy... O, ja nieszczęsny!

- Raczej szczęsny - rzekł z poważną miną Szarlej. - Zaprawdę, szczęsny raczej. Odnajdź, synu, wśród zieleni twe trepy i biegnij do klasztoru. Oznajmij opatowi dobrą nowinę. Ze łaska Paska wiadomienie nad klasztorem waszym. Zes na grobli napotkał był magistra Benignusa, bywałego egzorcyście, którego niechybnie anioł jaki skierował w te strony.

- Wy, dobry panie? Wy jesteście...

- Biegnij, rzekłem, co tchu do opata. Obwiesć mu, że nadchodzę.

* * *

- Powiedz mi, że się przesłyszałem, Szarleju. Powiedz mi, że ty się przejeżdżyłeś. Że wcale nie powiedziałeś tego, co przed chwilą powiedziałeś.

- Znaczący, czego? Że wyegzorcyzmuje brata Deodata? Ależ wyegzorcyzmuje, jak najbardziej. Z twoją pomocą, chłopcze.

- O, co to, to nie. Na mnie nie licz. Ja i bez tego mam dość kłopotów. Nowe mi niepotrzebne.

- Mnie też nie. Potrzebne są mi natomiast obiad i pieniądze. Obiad najlepiej zaraz.

- To najgłupszy pomysł z wszystkich możliwych głupich pomysłów - ocenił Reynevan, rozglądając się po zalanym słońcem klasztorным wirydarzu. - Czy ty świadomy jesteś, co wyczyniasz? Czy wiesz, co grozi za podszywanie się pod duchownego? Pod egzorcyzta? Pod jakiegoś zatraconego magistra Benignusa?

- Jakie podszywanie? Jestem duchownym. I egzorcyzta. Jest to sprawa wiary, a ja wierzę. W to, że mi się uda.

- Ty kpisz chyba ze mnie.

- Bynajmniej. Zaczynaj duchowo przygotowywać się do zadania.

- Nie wezmę udziału w czymś podobnym.

- A to czemu? Jesteś jakoby lekarzem. Godzi się pomóc cierpiącemu.

- Jemu - Reynevan wskazał w stronę infirmerii, z której niedawno wyszli, a w której spoczywał brat Deodat. - Jemu nie można pomóc. To jest letarg. Zakonnik jest w letargu. W śpiączce. Słyszałeś, jak mnisi mówili, że próbowali go zbudzić, klując w piety gorącym nożem? Zatem to coś podobnego do *grand mal*, do wielkiej choroby. Niemocą tknięty jest tu mózg, *spiritus animalis*. Czytałem o tym w *Canon medicinae* Avicenny, także u Razesa i Averroesa... I wiem, że tego leczyć się nie da. Można tylko czekać...

- Czekać, i owszem, można - przerwał Szarlej. - Ale czemu z założonymi rękami? Zwłaszcza jeśli można działać? I zarobić na tym? Nikomu nie szkodzić?

- Nie szkodzić? A etyka?

- Z pustym brzuchem - wzruszył ramionami Szarlej - nie zwykłem rozprawiać o filozofii. Dzisiaj wieczorem natomiast, gdy będę syty i podchmielony, wyłożę ci *principia* mojej etyki. I zadziwicie ich prostotą.

- To się może źle skończyć.

- Reynevan - Szarlej odwrócił się gwałtownie. - Myślę, do diabła, pozytywnie.

- Wlasnie to robie. Mysle, ze to sie zle skonczy.

- A mysl, co tylko chcesz. Ale teraz zamknij sie laskawie, bo nadchodza.

Istotnie zblizal sie opat w asyscie kilku mnichów. Opat byl niski, okraglawy i pucolowaty, dobrodusznemu i poczciwemu wygladowi przeczył jednak zaciety grymas ust oraz zywe i bystre oczy. Którymi szybko skakal od Szarleja do Reynevana. I z powrotem.

- I cóz powiecie? - spytal, chowajac rece pod szkaplerz. - Co z bratem Deodatem?

- Niemoca - oznajmil Szarlej, dumnie wydawszy wargi - tkniety jest *spiritus animalis*. Jest to cos w typie *grand mal*, wielkiej choroby, opisanej przez Avicenne, krótko mówiac: Tohu Wa Bohu. Musicie wiedziec, *reverende pater*, ze najlepiej rzecz nie wyglada. Ale podejmuje sie.

- Podejmujecie sie czego?

- Wypedzic z opetanego zlego ducha.

- Takiscie pewni - opat przekrzywil glowe - ze to opetanie?

- Pewnym - glos Szarleja byl dosc zimny - ze to nie biegunka. Biegunka inaczej sie objawia.

- Wszakze - w glosie opata wciaz pobrzmiewala nutka podejrziwosci - nie jestescie duchownymi.

- Jesteśmy - Szarlejowi nie drgnela powieka. - Tlumaczylem to juz bratu infirmierzowi. A ze nosimy sie ze swiecka, to dla kamuflazu. By omamic diabla. By móc przez zaskoczenie z manki go zazywac.

Opat popatrzył nan bystro. Oj, niedobrze, niedobrze, pomyslal Reynevan, on glupi nie jest. To sie naprawde moze zle skonczyc.

- Jakzeż wiec - opat nie spuszczał z Szarleja sondujacego wzroku - myslicie postapic? Wedle Avicenny? Czy moze wedle zalecen swietego Izydora z Sewilli, zawartych w slynnym dziele o tytule... Oj, przepomnialem... Ale wy, uczony egzorcysta, niezawodnie znacie...

- *Etymologiae* - Szarlejowi i tym razem nie drgnela powieka. - Owszem, korzystam z zawartych tam nauk, wszak to wiedza elementarna. Podobnie jak tegoz autora *De natura rerum*. Jak *Dialogus magnus visionum atque miraculorum* Cezarego z Heisterbachu. I jak *De universo* Rabana Maura, arcybiskupa mogunckiego.

Wzrok opata zlagodnial nieco, ale widac bylo, ze nie ze wszystkim opuscila go podejrziwosc.

- Uczenie, trudno zaprzeczyc - rzekl z przekasem. - Dowiesc tego umieliscie. I co teraz? Wprzód o jadło poprosicie? I napitek? I o zaplate z góry?

- O zaplacie i mowy byc nie moze - wyprostowal sie Szarlej tak pysznie, ze Reynevana ogarnal prawdziwy podziw. - Mowy byc nie moze o groszach, bom ja nie kupiec i nie lichwiarz. Zadowole sie jalmuzna, datkiem jakim skromnym, a i to nie z góry bynajmniej, lecz po skonczonym dziele. Wzglem zas jadlo i napitku, to przypominam wam, wielebny ojcze, slowa Ewangelii: zle duchy wyrzuca sie tylko modlitwa i postem.

Twarz opata rozjasniła się, a z oczu znikła wroga twardeść.

- Zaprawde - rzekł. - Widzę, że z prawymi i światobliwymi mam do czynienia chrześcijanami. I zaprawde powiadam: Ewangelia Ewangelia, ale cóż to, uczciwszy uszy, za dzieło z pustym brzuchem. Zapraszam na *prandium*. Skromne *postneprandium*, bo dziś przeciw *feria sexta*, piątek. Pluski bobrze w sosie...

- Prowadźcie, cny ojciec opacie - głośno przelknął sline Szarlej. - Prowadźcie.

* * *

Reynevan otarł usta i stłumił beknienie. Bobrzy plusk, czyli ogon, uduszony w gęstym chrzanowym sosie okazał się, podany z kaszą, prawdziwym przysmakiem. Reynevan do tej pory słyszał jedynie o tym specjale, wiedział, że w niektórych klasztorach jadano go w czas postu, albowiem z niewiadomych i ginących w pomroce dziejów przyczyn uważany był za coś podobnego rybie. Był to jednak rzadki dość delikates, nie każde opactwo miało w okolicy bobrowe gony i nie każde dysponowało przywilejem odłowu. Wielką przyjemność ze zjedzenia smakoluku psuła jednak pełna niepokoju myśl o czekającym ich zadaniu. Ale, dumal, skrupulatnie wycierając miske chlebem, tego, co zjadłem, nikt mi już nie odbierze.

Szarlej, który w okamgnieniu poradził sobie z małą doś - bo postną przecie - porcją, perorował, robiąc wielce madre miny.

- Względem diabelskiego opętania - gadał - różne wypowiedziały się autorytety. Te największe, co do których wątpić nie śmiem, że czcigodni bracia znają je również, to świeci ojcowie i doktorowie Kosciola: miara główna Bazyli, Izidor z Sewilli, Grzegorz z Nazjanzu, Cyryl Jerozolimski i Efreem Syryjczyk. Z pewnością znane są też wam dzieła Tertuliana, Orygenesusa i Laktancjusza. Prawda?

Niektórzy z obecnych w refektarzu benedyktynów z zapalem pokiwali głowami, inni głowy spuścili.

- Są to jednak źródła wiedzy dość ogólne - tłumaczył dalej Szarlej - a zatem poważny egzorcysta do nich jedynie ograniczyć swego poznania nie może.

Mnisi znowu pokiwali głowami, pilnie wyjadając z misek ostatki kaszy i sosu. Szarlej wyprostował się, odkaszlnął.

- Ja - oznajmił nie bez dumy - znam *Dialogus de energia et operatione daemonum* Michała Psellosa. Znam na wrywki *Exorcisandis obsessis a daemonio*, dzieło autorstwa papieża Leona III, zaiste, dobrze to i z korzyścią, gdy namiestnicy Piotrowi parają się piórem. Czytywałem *Picatrix*, przetłumaczony z arabskiego przez Alfonsa Madrego, uczonego króla Leonu i Kastylii. Znam *Orationes contra daemoneum* i *Flagellum daemonum*. Znam też *Ksiege tajemnic Henocha*, ale tu nie ma się czym chwalić, to znają wszyscy. Zás mój asystent, odważny magister Reinmar, zglebił nawet księgi saracenskie, choć świadom był hazardu, jaki niesie kontakt z czarnoksięstwem pogan.

Reynevan poczerwieniał. Opat uśmiechnął się zyczliwie, wziawszy to za przejaw modestii.

- Zaprawde! - ogłosił. - Tocz widzim, że uczeni z was meze i bywali egzorcysty. Ciekawość, siła czartów macie na rozkładzie?

- Po prawdzie - Szarlej spuścił oczy, skromny jak klaryska nowicjuszka - to z rekordami mi się nie mierzyć. Najwięcej diabłów, ile udało mi się od jednego machu wygonić z opętanego, to dziewięć.

- W samej rzeczy - zatroskał się widomie opat - nie jest to wiele. Słyszałem o dominikanach...

- Ja też słyszałem - przerwał Szarlej. - Ale nie widziałem. Nadto, ja mówiłem o diablach pierwszej gildii, a wszak wiadomo, że każdy jeden diabeł pierwszej gildii ma na usługi co najmniej trzydziestu mniejszych czarciuków. Tych jednak szanujący się egzorcysty przy wypędzaniu nie liczą, bo jeśli wygoni się herszta, uciekają i ciury. Ale gdy wszystkie policzyć metodą braci predykantów, to wnet okazać się może, że śmiało może z onymi w paragon iść.

- Juzci prawda - przyznał opat, ale dość niepewnie.

- Niestety - dorzucił Szarlej zimno i trochę jakby od niechcenia - nie mogę też przyobiecac pisemnych gwarancji. Proszę to mieć na uwadze, żeby potem nie było pretensyj.

- He?

- Święty Marcin z Tours - Szarlejowi i tym razem nawet powieka nie drgnęła - od każdego egzorcyzmowanego diabła brał podpisany jego własnym diabelskim imieniem dokument, zobowiązanie, że dany czart już nigdy, przenigdy nie powąży się opętać danej osoby. Wielu słynnym świętym i biskupom to samo się później udawało, lecz ja, skromny egzorcysta, takiego dokumentu załatwić nie zdolam.

- Może to i lepiej! - opat przeżegnał się, pozostali bracia również. - Matko Boska, królowo niebiańska! Pergamin podpisany ręką Złego? Toż to abominacja! I grzech! Nie chcemy, nie chcemy...

- To dobrze - uciął Szarlej - że nie chcecie. Ale najpierw obowiązki, potem przyjemności. Ażali pacjent już w kaplicy?

- Niezawodnie.

- Wszelakoż - odezwał się nagle jeden z młodszych benedyktynów, od dłuższego czasu nie spuszczał z Szarleja oczu - czym wyjaśnicie, mistrzu, że brat Deodat leży jak kłoda, ledwo dysza i palcem nie ruszy, gdy tymczasem wszystkie niemal cytowane przez was uczone księgi mówią, że opętany zwykle w nadzwyczajnej członków jest agitacji i że diabeł przez niego stale gada i krzyczy. Nie maszli tu sprzeczności jakowejs?

- Wszelka choroba - Szarlej spojrzał na zakonnika z góry - w tym i opętanie, jest dziełem Szatana, destruktor dzieła Bożego. Każda choroba wywołana jest przez któregoś z czterech Czarnych Aniołów Zła: Mahazela, Azazela, Azraela lub Samaela. To, że opętany nie miota się, nie krzyczy, lecz leży jakoby martwy, dowodzi, że zajął nim któryś z demonów podległych Samaelowi właśnie.

- Chryste Panie! - przeżegnał się opat.

- Alisci - nadal się Szarlej - ja sposób na takie demony wiem. Latają one na wietrze, a opętują czleka cichcem i chylkiem, poprzez wdech, znaczy się *insufflatio*. Ta sama droga, to jest poprzez *exsufflatio*, kaze diabłu chorego opuścić.

- Jakże to jednak jest - nie rezygnował młody mnich. - Diabeł w opactwie, gdzie dzwony, msza, brewiarz i świętości? Opetuje zakonnika? Jakże to tak?

Szarlej zrewanżował mu się ostrością spojrzenia.

- Jak uczy nas święty Grzegorz Wielki, doktor Kościoła - przemówił surowo i dobitnie - zakonnica polknęła kiedyś diabła wraz z liściem salaty z klasztornej grządki. Albowiem zlekceważyła obowiązek modlitwy i znaku krzyża przed spożyciem. Czy bratu Deodatowi nie zdarzały się przypadkiem podobne przewiny?

Benedyktyni spuścili głowy, opat zachrzakał.

- Juzci prawda - zamamrotał. - Nader świecki potrafił być brat Deodat, nader świecki i mało obowiązkowy.

- Łatwym tym samym - skonkludował sucho Szarlej - stając się dla Złego łupem. Prowadźcie do kaplicy, wielebni.

- Co będzie potrzebne, mistrzu? Woda świecona? Krzyż? Obrazy? Benedykcjonal?

- Tylko woda świecona i Biblia.

* * *

Kaplica ziała chłodem i tonela w półmroku, rozjaśnionym tylko jarzacymi się aureolami świec i skosnym słupem kolorowego światła przesączonego przez witraż. W świetle, na nakrytym płótnem katafalku, spoczywał brat Deodat. Wyglądał identycznie jak przed godziną w klasztornej infirmerii, gdy Reynevan i Szarlej zobaczyli go po raz pierwszy. Miał twarz woskowo zastygłą i żółtawą jak wygotowana kosc tukowa, zapadłe policzki i usta, zamknięte oczy, a jego oddech był tak płytki, że niemal niezauważalny. Ułożono go, krzycząc na piersi rece poznaczone ranami po puszczeniu krwi i wplatając w bezwładne palce różaniec i fioletowa stule.

Kilka kroków od katafalku, oparty plecami o mur, siedział na posadzce olbrzymi, ostrzyżony do skóry mężczyzna o zamglonych oczach i twarzy mało rozgarniętego dziecka. Waligóra ów trzymał dwa palce prawej dłoni w ustach, lewa zaś przyciskał do brzucha gliniany garnuszek. Co kilka chwil osiek ohydnie pociągał nosem, odrywał brudny i lepki garnuszek od brudnej i lepkiej tuniki, wycierał palce o brzuch, pakował je do garnuszka, nabierał miodu i niósł do ust. Po czym rytual powtarzał się.

- To sierota, podrzutek - uprzedził pytanie opat, widząc zdeglustowaną minę Szarleja. - Przez nas ochrzczony Samsonem, jako że postury i siły jest słusznej. Posługacz klasztorny, trochę uposledzony... Ale brata Deodata miluje wielce, jak piesek za nim wszędy chodzi... Na krok nie odstepuje... Tedy myśleliśmy...

- Dobrze, dobrze - przerwał Szarlej. - Niechaj siedzi, gdzie siedzi, byle cicho był. Zaczynamy. Magistrze Reinmarze...

Reynevan, naśladując Szarleja, zawiesił sobie stule na szyi, złożył rece, pochylił głowę. Nie wiedział, czy Szarlej udaje, czy nie, sam jednak modlił się szczerze i żarliwie. Był, co tu dużo gadać, w wielkim strachu. Szarlej natomiast wydawał się absolutnie pewny siebie, był władczy i aż chlupało w nim od autorytetu.

- Módlcie się - polecil benedyktynom. - Odmawiajcie *Domim sancte* .

Sam stanal nad katafalkiem, przezegnal się, uczynil znak krzyza nad bratem Deodatem. Dal znak, Reynevan pokropil opetanego woda swiecona. Opetany, ma się rozumiec, nie zareagowal.

-*Domine sancte, Pater omnipotens* - pomruk mnisiej modlitwy wibrowal echem zwielokrotnionym przez gwiazdziste sklepienie -*aeterne Deus, propter tuam largitatem et Filii tui ...*

Szarlej mocnym chrzaknieciem oczyscil gardlo.

-*Offer nostras preces in conspectu Altissimi* [\[11.\]](#) - przemówil gromko, budzac jeszcze silniejsze echa -*ut cito anticipent nos misericordiae Domini, et apprehendas draconem, serpentem antiquum, qui est diabolus et satanas, ac ligatum mittas in abyssum, ut non seducat amplius gentes. Hinc tuo confisi praesidio ac tutela, sacri ministerii nostri auctoritate, ad infestationes diabolicae fraudis repellendas in nomine Iesu Christi Dei et Domini nostri fidentes et securi aggredimur* .

-*Domine* - wlaczyl się na dany znak Reynevan -*exaudi orationem meam* .

-*Et clamor meus ad te ueniat* .

- Amen.

-*Princeps gloriosissime caelestis militiae, sancte Michael Archangele, defende nos in praelio et colluctatione. Satanas! Ecce Crucem Domini, fugite partes aduersae! Apage! Apage! Apage!*

- Amen!

Brat Deodat na katafalku nie dal znaku zycia. Szarlej dyskretnie otarl czolo koncem stuly.

- Tak oto - nie spuscil oczu pod pytajacymi spojrzzeniami benedyktynow - wstep mamy za soba. I wiemy jedno: z nie byle jakim diablina chudzina mamy do czynienia, taki bowiem juz by uciekl. Trzeba bedzie ciezsze wytoczyc bombardy.

Opat zamrugal i poruszyl się niespokojnie. Siedzacy na posadzce Samson waligóra podrapal się w krocze, smarknal, charknal, pierdnal, z trudem odlepil od brzucha garnuszek z miodem i zajrzal don, sprawdzajac, ile zostalo.

Szarlej powiódł po zakonnikach spojrzaniem, które w jego własnej opinii bylo madre i natchnione zarazem.

- Jak uczy nas Pismo - rzekl - szatana cechuje pycha. Nic innego, a pycha niezmiernie przywiodla Lucyfera do buntu przeciw Panu, za pyche zostal on ukarany straceniem do piekielnej czelosci. I pyszny jest diabel nadal! Pierwszym przykazaniem egzorcysty jest przeto urazic diabelska pyche, dume i milosc własna. Krótko mówiac: zelzyc go porzadnie, sklac, obrazic, naublizac. Zniewazyc, a wonczas umknie on jak niepyszny.

Mnisi czekali, pewni, ze to jeszcze nie koniec. I mieli racje.

- Zaraz tedy - ciagnal Szarlej - zaczniemy czarta zniewazac. Jesli który z fratrow jest na grubsze wyrazy wrażliwy, niechaj oddal się nie mieszkajac. Przybliz się, magistrze Reinmarze, przemów slowy Mateuszowej Ewangelii. Wy zas, bracia, módlcie się.

- Jezus rozkazał mu surowo i zły duch opuścił go - wyrecytował Reynevan. - Od owej pory chłopiec odzyskał zdrowie. Wtedy uczniowie zbliżyli się do Jezusa na osobności i pytali: Dlaczego my nie mogliśmy go wypędzić? On zaś im rzekł: Z powodu małej wiary waszej.

Szmer mamrotanej przez benedyktynów modlitwy mieszał się z recytacją. Szarlej zaś poprawił stule na szyi, stanął nad nieruchomym i sztywnym bratem Deodatem i rozpostarł ręce.

- Diable plugawy! - wrzasnął tak, że Reynevan zająknął się, a opat aż podskoczył. - Rozkazuje ci, natychmiast wynijdz z tego ciała, nieczyste silo! Precz od tego chrześcijanina, ty brudny, otyły i sprośny wieprzu, bestio spośród wszystkich bestii najbardziej bestialska, zakął Tartaru, ohydo Szeolu! Wypędzam cię, ty szczeciasta żydowska świnię, do piekielnego chlewa, gdzie obys utopił się w gównie!

-*Sancta Virgo virginem* - szeptał opat -*ora pro nobis* ...

-*Ab insidiis diaboli* - wtórowali mnisi -*libera nos* ...

- Ty krokodylu stary! - ryczał Szarlej, czerwieniejąc. - Bazyliszku zdychający, koczokodanie obsrany! Ty nadęta ropucho, ty kulawy osle ze zbitym zadem, ty zaplątana w sieć własna tarantulo! Ty zapluty wielbladzie! Ty robaku niedźny, tkwiący w padlinie zasmierdziej na samym dnie Gehenny, ty chraszczu obrzydły siedzący w lajnie! Słysz, jak nazywam cię twym prawdziwym mianem: *scrofa stercorata et pedicosa*, świnię nieczysta i zawszona, o ty najpodlejszy z podłych, o najgłupszy z głupców, *stultus stultorum rex*. Ty węglarzu tępy! Ty szewcze przepity! Ty capie ze spuchniętymi jajcami!

Leżący na marach brat Deodat nie drgnął nawet. Choć Reynevan kropił go wodą świeconą ile weszło, krople bezsilnie spelały po steżalym obliczu starca. Mięśnie na szczekach Szarleja zadrgały mocno. Zbliża się kulminacja, pomyślał Reynevan. Nie pomylił się.

- Wynijdz z tego ciała! - zaryczał Szarlej. - Ty w rzyć jebany katamito!

Jeden z młodszych benedyktynów uciekł, zakrywając uszy, wzywając imienia Pana nadaremno. Inni byli albo bardzo błądzi, albo bardzo czerwoni.

Ostrzyżony osilek stekał i poje kiwał, usiłując wetknąć do garnuszka z miodem całą dłoń. Było to niewykonalne, dłoń była dwa razy większa od garnuszka. Walióra wysoko uniósł naczynie, zadarł głowę i rozdziawił usta, ale miód nie wyciekał, było go już zwyczajnie za mało.

- I cóż - odważył się wybakac opat - z bratem Deodatem, mistrzu? Co ze złym duchem? Azali już wyszedł?

Szarlej schylił się nad egzorcyzmowanym, przyłożył niemal ucho do jego białych warg.

- Jest już pod samym wierzchem - ocenił. - Zaraz go wygonimy. Trzeba jeno porazić go smrodem. Czart czuły jest na smród. Nuże, fratrzy, przyniescie kubel lajny, patelnie i kaganek. Bedziemy opetanemu smazyc pod nosem świeże lajno. Zreszta wszystko, co dobrze śmierdzi, nada się. Siarka, wapno, asafetyda... A najlepiej zepsuta ryba. Albowiem powiada księga Tobiasza: *incenso icore piscis fugabitur daemonium*.

Kilku braci pobiegło zrealizować zamówienie. Siedzący pod murem osilek podlubał palcem w nosie, obejrzał palec, wytarł w nogawkę. Po czym wznowił wybieranie resztek miodu z garnuszka. Tym samym

palcem. Reynevan poczul, jak zjedzony bobrzy plusk podchodzi mu do gardla na wzbierajacej fali chrzanowego sosu.

- Magistrze Reinmarze - ostry glos Szarleja przywrócił go swiatu. - Nie ustawajmy w wysilkach. Ewangelia wedlug Marka, prosze, stosowny ustep. Módlcie sie, bracia.

- A Jezus widzac, ze tłum sie zbiega - przeczytal poslusznie Reynevan - rozkazal surowo duchowi nieczystemu: Duchu niemy i gluchy, rozkazuje ci, wyjdz z niego i nie wchodz wiecej w niego.

-*Surde et mute spiritus ego tibi praecipio* - powtórzyl groznie i rozkazujaco schylony nad bratem Deodatem Szarlej -*exi ab eo !Imperet tibi dominus per angelum et leonem !Per deum vivum ! Justitia eius in saecula saeculorum !* Niechaj moc Jego wypodzi cie i zmusi do wyjścia razem z cala twoja zgraja!

-*Ego te exorciso per characterum et verborum sanctum! Impero tibi per clavem salomonis et nomen magnum tetragrammaton* [\[12.\]](#) !

Zracy miód osilek zakaszal nagle, oplul sie i usmarkal. Szarlej otarl pot z czola.

- Ciezki i trudny *tocatus* - wyjasnil, unikajac coraz bardziej podejrziwego wzroku opata. - Przyjdzie jeszcze mocniejszych uzyc argumentów.

Przez chwile bylo tak cicho, ze slychac bylo dzikie bzyczenie muchy, która pajak dopadl w pajeczynie we wnece okiennej.

- Na apokalipse - rozlegl sie w ciszy troche juz zachrypniety baryton Szarleja - przez która Pan zdradzil rzeczy, które nadejsc maja, i potwierdzil owe rzeczy usty aniola przez siebie zeslanego, wyklinam cie, szatanie!*Exorciso te, flumen immundissimum, draco maleficus, spiritum mendacii !*

- Na siedem swieczników złotych i na jeden swiecznik miedzy siedmioma stojacy! Na glos, bedacy glosem wód wielu, który powiada: Jam jest ten, który umarl, i ten, który zmartwychwstal, ten, który zyje i zyc bedzie wiecznie, który mam w piecy klucze do smierci i piekla, powiadam ci, odejdz, duchu nieczysty, który znasz kare wiecznego potepienia!

Skutku jak nie bylo, tak nie bylo. Na twarzach przypatrujacych sie benedyktynów malowaly sie różne, bardzo różne uczucia. Szarlej wzial mocny wdech.

- Niechaj porazi cie Agyos, jak porazil Egipt! Niechaj cie ukamienuja, jak Izrael ukamienowal Achana! Niechaj podepca cie nogami i zawiesza na widlach, jak zawieszono pieciu królów amoryckich! Niechaj przylozy Pan do czola twego cwiek i niechaj walnie w ów cwiek mlotkiem, jak uczynila Siserze niewiasta Jael! Niechaj ci, jak przekletemu Dagonowi, leb wrazy i rece obie odrabane beda! I niech ci ogon utna przy samej twej diabelskiej dupie!

Oj, pomyslal Reynevan, to sie zle skonczy. To sie zle skonczy.

- Duchu piekielny! - Szarlej gwałtownym ruchem rozpostarl rece nad nadal nie dajacym znaku zycia bratem Deodatem. - Zaklinam cie na Acharona, Eheya, Homusa, Athanatosa, Ischirosa, Aecodesa i Almanacha! Zaklinam cie na Aratona, Bethora, Phalega i Oga, na Pophiela i na Phula! Zaklinam cie poteznymi imionami Shmiela i Shmula! Zaklinam cie najokropniejszym z imion: imieniem przemoznego i straszliwego Semaphora!

Semaphor nie poskutkował lepiej niż Phul i Shmul. Nie dalo się tego ukryć. Szarlej też to widział.

- Jobsa, hopsa, afia, alma! - zakrzyczał dziko. - Melach, Berot, Not, Beribet *vos omnes* ! Hemen etan! Hemen etan! Hau! Hau! Hau!

Zwariował, pomyślał Reynevan. A nas zaraz zaczną bić. Zaraz polapiesz się, że to wszystko bezsens i parodia, przecież aż tacy głupi być nie mogą. Zaraz skończy się to wszystko strasznym biciem.

Szarlej, spocony już jak cholera i zdrowo zachrypnięty, przyciągnął jego wzrok i mrugnął z aż nadto czytelna prośbą o wsparcie, prośbą poparł dość gwałtownym, choć ukradkowym gestem. Reynevan wniósł oczy ku sklepieniu. Wszystko, pomyślał, starając się przypomnieć sobie stare księgi i rozmowy z zaprzyjznanymi czarownikami, wszystko jest lepsze od „hau-hau-hau”.

- Hax, pax, mas! - zawył, wymachując rękami. - Abeor super aberer! Aie Saraye! Aie Saraye! Albedo, rubedo, nigredo!

Szarlej, oddychając ciężko, spojrzeniem wyraził mu wdzięczność, gestem nakazał kontynuować. Reynevan mocno nabrał powietrza w płuca.

- Tumor, rubor, calor, dolor! *Per ipsum, et cum ipso, et in ipso* ! Jobsa, hopsa, et vos omnes! *Et cum spiritu tuo* ! Melach, Halach, Molach!

Zaraz beda nas bicia, pomyślał gorączkowo, a może nawet i kopania. Zaraz, za mała, za tydzień. Nie ma rady. Trzeba iść na całość. Na arabski. Stój przy mnie, Averroesie. Ratuj, Avicenna.

- Kullu-al-szaitanu-al-radzim! - wrzasnął. - Fa-ana-sahum Tarisz! Qasura al-Zoba! Al-Ahmar, Baraqan al-Abayad! Al-szaitan! Khar-al-Sus! Al ouar! Mochefi al relil! El feurdz! El feurdz!

Ostatnie słowo, jak niejasno pamiętał, znaczyło po arabsku „cipa” i mało miało wspólnego z egzorcyzowaniem. Świadom był, jak wielkie głupstwo popełnia. Tym mocniej zadziwił go efekt.

Miał wrażenie, że świat zamarł na moment. I wówczas, w zupełnej ciszy, wśród zastygłego na tle szarych murów *tableau* benedyktynów w czarnych habitach, coś nagle drgnęło, coś się wydarzyło, coś zakłóciło martwy spokój ruchem i dźwiękiem.

Siedzący pod ścianą tepooki waligóra gwałtownie, z obrzydzeniem i wstretiem odrzucił brudny i lepiący się garnuszek z miodem. Garnuszek stuknął o posadzkę, nie rozbił się jednak, lecz poturlał, wdzierając w cisze głuchym, acz głośnym turkotaniem.

Waligóra uniósł do oczu lepki od słodkości palec. Przyglądał się im przez chwilę, a na jego nalany księzycowym obliczu odmalowało się najpierw niedowierzanie, a potem przerażenie. Reynevan przyglądał mu się, oddychając ciężko. Czuł na sobie ponagający wzrok Szarleja, ale nie był już w stanie wykrztusić ani słowa. Koniec, pomyślał. Koniec.

Osilek, wciąż patrząc na swe palce, zajęczał. Rozdzierająco.

I wówczas leżący na marach brat Deodat zastękał, zakaszlał, zacharczał i wierzgnął nogami. Po czym zaklął, nader świecko.

- Święta Eufrozyno... - jęknął opat, klekając. Pozostali mnisi poszli za jego przykładem. Szarlej otworzył usta, ale szybko i przytomnie je zamknął. Reynevan przyłożył rękę do skroni, nie wiedząc,

modlic sie czy uciekac.

- Zaraza... - zaskrzeczal brat Deodat, siadajac. - Ale mnie suszy... Co? Przespalem wieczerze? Mór na was, braciszkanie... Chcialem sie ino zdrzemnac... Ale przeciezem prosil, by rozbudzic mnie na nieszpory...

- Cud! - krzyknal jeden z klezczacych zakonników.

- Nastalo królestwo Boze - drugi padl krzyzem na posadzke. - Igitur pervenit in nos regnum Dei!

-*Alleluia* !

Siedzacy na marach brat Deodat wodzil dookola nie rozumiejacym wzrokiem, od klezczacych konfratrów do Szarleja ze stula na szyi, od Reynevana do waligóry Samsona, wciaz ogladajacego swe dlonie i brzuch, od modlancego sie opata do mnichów, którzy wlasnie nadbiegli z kublem lajna i miedziana patelnia.

- Czy ktos - zapytal niedawny opetany - zechcialby mi wyjasnic, co tu sie wyprawia?

Rozdzial trzynasty

w którym po opuszczeniu klasztoru benedyktynów Szarlej wyklada Reynevanowi swa filozofia egzystencjalna, sprowadzajaca sie - w uproszczeniu - do tezy, ze wystarcza spuszczone spodnie i chwila nieuwagi, by ktos niezyczliwy dobral ci sie do dupy. Za chwila zycie potwierdza te wywody w calej rozciaglosci i kazdym detalu. Z opresji ratuje Szarleja ktos, kogo czytelnik juz zna a raczej zdaje mu sie, ze zna.

Egzorcyzmowanie u benedyktynów - choc w zasadzie uwiecznione sukcesem - wzmoglo jeszcze niechec Reynevana do Szarleja, niechec budowana, rzec by mozna, od pierwszego wejrzenia, a zyskujaca na ostrosci po wypadku z proszalnym dziadem. Reynevan zdazyl juz zrozumiec, ze jest od demeryta zalezny i ze nie da sobie bez niego rady, ze w szczególnosci operacja wyswobodzenia jego ukochanej Adeli ma w pojedyнке znikome szanse powodzenia. Rozumienie rozumieniem, zalezność zaleznością, ale niechec byla, dokuczala i zloscila jak naderwany paznokiec, jak utruszony zab, jak drzazga w opuszku palca. A pozy i wypowiedzi Szarleja poglebialy ja tylko.

Do sporu - czy, raczej dysputy - doszlo wieczorem po opuszczeniu klasztoru, w calkiem, jak twierdzil demeryt, nieduzym juz oddaleniu od Swidnicy. Paradoksalnie Reynevan wspomnial egzorcystyczne szelmstwa Szarleja i jal mu je wyrzucac podczas spozywania darów, dzieki szelmostwu zdobytych - na odchodnym wdzieczni benedyktyni wreczyli im bowiem pokazne zawiniatko, zawierajace, jak sie okazalo, zytne chleb, tuzin jablek, kilkanascie jaj na twardo, peto wedzonej jalowcowej kielbasy i gruba polska kiszke kaszana.

W miejscu, gdzie zrujnowany czesciowo jaz spietrzył i rozlal rzeczke, na suchym stoku na skraju boru, wedrowcy siedzieli zatem i jedli, przygladajac sie sloncu, opuszczajacemu sie coraz to nizej ku szczytom sosen. I dysputujac. Reynevan rozgalopowal sie nieco, wychwalajac normy etyczne, a ganiac sowizdrzalstwo. Szarlej usadzil go natychmiast.

- Nie przyjmuje - oswiadczyl, wypluwajac skorupki niedokladnie oblupanego jajka - nauk moralnych od kogos, kto zwykl pieprzyc cudze zony.

- Ile razy jeszcze - uniosl sie Reynevan - kazesz sobie powtarzac, ze to nie to samo? Ze nie ma porownania?

- Jest, Reinmarze, jest.

- Ciekawe.

Szarlej oparl chleb o brzuch i ukroil kolejna pajde.

- Różni nas - zaczal po chwili z pelnymi ustami - jak latwo zauwazyc, doswiadczenie i madrosc zyciowa. Dlatego to, co ty robisz instynktownie, kierowany prosta, dziecieca wrecz daznoscia do zaspokojenia popedów, ja czynie z rozmyslu i planowo. Ale u podstaw lezy wciaz to samo. Przekonanie mianowicie, ze wszec miar slusne zreszta, ze licze sie ja, moje dobro i moja przyjemnosc, reszta zas, o ile mojemu dobru i interesowi niczego nie przysparza, moze spokojnie trafic szlag, albowiem cóz ta reszta moze mnie obchodzic, w niczym mi nie sluzac. Nie przerywaj. Wdzieki twej luby Adeli byly dla ciebie jak cukierek dla dziecka. By móc polizac i pociuckac, zapomniales o wszystkim, liczyla sie tylko i wylacznie twoja wlasna przyjemnosc. Nie, nie próbuj wyjezdzac mi tu z miloscia, cytowac Petrarki i Wolframa von Eschenbach. Milosc to tez przyjemnosc, i to jedna z najbardziej egoistycznych, jakie znam.

- Nie chce tego sluchac.

-*In summa* - ciagnal niewzruszenie demeryt - nasze programy egzystencjalne niczym sie nie różnia, bedac opartymi *oprincipium* : wszystko, co czynie, ma sluzyc mnie. Moje wlasne dobro, blogosc, wygoda i szczesliwosc sa jedynie wazne, reszta pal diabli. Tym, co nas jednak różni...

- Wiec jednak?

- ...jest umiejtnosc perspektywicznego myslenia. Ja, mimo czestych pokus, powstrzymuje sie w miare mozliwosci od chedozenia cudzych zon, poniewaz perspektywiczne myslenie podpowiada, ze nie tylko nie przyniesie mi to korzysci, ale wrecz przeciwnie: przysporzy klopotów. Ubogich, jak owego przedwczorajszego dziada, nie rozpieszczam datkami nie ze skapstwa, jeno dlatego, ze taka dobroczynnosc nic nie daje, ba, wrecz szkodzi... grosza ubywa, a czlowiek zarabia sobie na opinie durnia i frajera. A ze frajerów i durniów *infinitus est numerum* , sam wyludzam, co i ile sie da. Nie stosujac taryfy ulgowej wobec benedyktynów. I innych zakonów. Pojales?

- Pojalem - Reynevan ugryzl kes jablka - za co siedziales w pudle.

- Niczego nie pojales. Ale czas na nauke jest, na Wegry daleka droga.

- A dotre tam aby? Calo?

- Co chciales przez to powiedziec?

- A bo słucham cie, słucham, i coraz większym czuje się frajerem. Który w każdej chwili może zostać ofiarą całopalna na ołtarzu twojej własnej wygody. Owa reszta, która pał diabli.

- No proszę - ucieszył się Szarlej - jednak czynisz postępy. Zaczynasz rozumować rozsądnie. Pomijając nieuzasadniony sarkazm, już zaczynasz łapać podstawową zasadę życiową: zasadę ograniczonego zaufania. Uczuć, że otaczający świat nieustannie na ciebie dybie, nigdy nie przepuści okazji, by wyrządzić ci zniewagę, przykrość lub krzywdę. Ze tylko czeka, aż spuszczysz portki, by natychmiast dobrać się do twojej gołej dupy.

Reynevan parsknął.

- Z czego - nie dał zbic się z pantalyku demeryt - płyną dwa wnioski. *Primo* : nigdy nie ufaj i nigdy nie wierz w intencje. *Secundo* : jeśli sam wyrządził komuś przykrość lub krzywdę, nie gryz się tym. Byłoby zwyczajnie szybszy, zadziałałby prewencyjnie...

- Zamilcz!

- Co znaczy, zamilcz? Mówię szczerą prawdę i wyznaję zasadę wolności słowa. Swoboda...

- Zamilcz, psia krew. Coś słyszałem. Ktoś tu się podkrada...

- Pewnie wilkolek! - zarechotał Szarlej. - Straszliwy meżowilk, postrach okolicy!

Gdy opuszczali klasztor, troskliwi zakonnicy ostrzegli ich i uprzedzili, by mieli się na baczności. W okolicy, rzekli, osobliwie podczas pełni, grasuje od jakiegoś czasu groźny *lykanthropos*, czyli meżowilk, czyli wilkolek, czyli człowiek, moca piekielna zamieniony w wilkopodobne monstrum. Ostrzeżenie wyjątkowo rozbawiło Szarleja, który przez dobrych kilka staj śmiało się do rozpuku i szydził z zabobnych mnichów. Reynevan też nie bardzo wierzył w meżowilki i wilkolki, nie śmiało się jednak.

- Słyszysz - powiedział, nadstawiając uszu - czyjes kroki. Ktoś nadchodzi, bez dwóch zdań.

W chaszczach alarmująco zaskrzeczała sójka. Konie zaparskały. Trzasnęła gałązka. Szarlej przyslonił oczy dłonią, zachodzące słońce oslepiało blaskiem.

- Niech to czart - zamruczał pod nosem. - Tego nam, zaiste, jeszcze brakowało. Spójrz tylko, ktoś to nam tu zawitał.

- Byłby to... - zająknął się Reynevan. - To jest...

- Waligóra od benedyktynów - potwierdził jego podejrzenie Szarlej. - Klasztorny wielkolud, Beowulf miodozerca. Garnkoliz o biblijnym imieniu. Jak mu tam było? Goliat?

- Samson.

- Samson, prawda. Nie zwracaj na niego uwagi.

- Co on tu robi?

- Nie zwracaj uwagi. Może sobie pójść. Swoją drogą, dokadkolwiek ona wiedzie.

Nie wyglądało jednak na to, by Samson zamierzał sobie pójść. Wreć przeciwnie, wyglądało, jakby

znalazł się u kresu swej drogi - rozsiadł się bowiem na oddalonym o trzy kroki pniaku. I siedział, obróciwszy ku nim swe nalane matolkowate oblicze. Twarz jednak miał czysta, dużo czystsza niż poprzednio, znikły też zeskorpiałe smarki spod nosa. Także chałat, który obecnie nosił, był nowy i schludny. Mimo tego od wielkoluda wciąż dolatywał nikły zapach miodu.

- Cóż - odchrząknął Reynevan. - Grzeczność nakazuje...

- Wiedziałem - przerwał Szarlej i westchnął. - Wiedziałem, że to powiesz. Hej, ty tam! Samsonie! Pogromco Filistynów! Głodnys?

- Głodnys? - Szarlej, nie doczekawszy się reakcji, potrząsnął w stronę osilka kawałem kiszki, zupełnie jakby przywabiał psa lub kota. - Na! Rozumiesz mnie? Na, tu, tu, na! Papu-papu! Mniamu-mniamu! Zjesz?

- Dziękuję - odrzekł nagle olbrzym, nadszpiewanie wyraźnie i przytomnie. - Ale nie skorzystam. Nie jestem głodny.

- Dziwna jest to sprawa - zamruczał Szarlej, pochylając się ku uchu Reynevana. - Skąd on się tu wziął? Szedł za nami? Przecież jakoby zwykle lazi za bratem Deodatem, naszym niedawnym pacjentem... Od klasztoru dzieli nas dobra mila, żeby tu dotrzeć, musiał wyruszyć natychmiast po nas. I szparko iść naszym tropem. W jakim celu?

- Zapytaj go.

- Zapytam. Gdy przyjdzie pora. Na razie zaś dla pewności mówmy po łacinie.

-*Bene* .

* * *

Słońce opuszczało się coraz to niżej nad ciemny bór, odkrzyczały hejnał lecące na zachód zurawie, rozpoczęły głosny koncert zaby w bagnie nad rzeczką. A na suchym stoku na skraju lasu, niczym w uniwersyteckiej auli, rozbrzmiewała mowa Wergilego.

Reynevan po raz nie wiadomo który - ale po raz pierwszy po łacinie - opowiadał swe niedawne dzieje i opisywał perypetie. Szarlej słuchał - lub udawał, że słucha. Klasztorny osilek Samson przyglądał się tego nie wiadomo czemu, a jego nalanej fizjonomii nadal nie znaczyła żadna poważniejsza emocja.

Opowieść Reynevana była, ma się rozumieć, tylko wstępem do rzeczy zasadniczej - do kolejnej próby wciągnięcia Szarleja w zaczepną akcję przeciw Sterczom. Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło. Także wtedy, gdy Reynevan jał necie demeryta perspektywa wielkich pieniędzy - pojęcia zresztą nie mając, skąd w razie czego wziąć takie pieniądze. Problem miał jednak charakter czysto akademicki, albowiem Szarlej ofertę odrzucił. Otrzymał spór, w którym obaj dyskutanci mocno posilkowali się klasycznymi cytacjami - od Tacyta po Eklezjastę.

-*Vanitas vanitatum* , Reinmarze! Marność nad marnoszciami i wszystko marność! Nie bądź pochopny, gniew przebywa w piersi głupców. Zapamiętaj -*melior est canis vivus leone mortuo* , lepszy jest żywy pies niż lew nieżywy.

- Ze co?

- Jesli nie porzucisz glupich planów zemsty, bedziesz niezwywy, bo te plany to dla ciebie pewna smierc. A mnie, nawet jesli nie zabija, wsadza na powrót do wiezienia. Ale tym razem nie na wywczasu u karmelitów, lecz do lochu, *ad carcerem perpetuum*. Albo, co uznaja za laske, na dlugoletnie *in pace* w klasztorze. Czy ty wiesz, Reinmarze, co to jest *in pace*? To jest pogrzebanie zywcem. W piwnicy, w celi ciasnej i tak niskiej, ze mozna tylko siedziec, a w miare przybywania ekskrementów trzeba sie coraz bardziej garbic, by nie szorowac ciemieniem o strop. Chybas zmysly postradal, jesli myslisz, ze zaryzykuje cos takiego dla twojej sprawy. Sprawy metnej, zeby nie powiedziec: smierdzacej.

- Co jest dla ciebie smierdzace? - obruszył sie Reynevan. - Tragiczna smierc mojego brata?

- Towarzyszace jej okolicznosci.

Reynevan zacial usta i odwrócił glowe. Przez chwile patrzył na Samsona waligóre, siedzacego na pienku. Wyglada jakos inaczej, pomyslal. Wciaz ma, i owszem, fizys kretyna, ale cos sie w nim zmienilo. Co?

- W okolicznosciach smierci Peterlina - podjal - nie ma nic niejasnego. Zamordowal go Kyrielejson. Kunz Aulocket *suos complices*. *Ex subordinatione* i za pieniadze Sterczów. Sterczowie powinni wiec poniesc...

- Nie sluchales - przerwal Szarlej - tego, co mówila Dzierzka, twoja powinowata?

- Sluchalem. Ale wagi nie przywiazywalem.

Szarlej wyciagnal z juków i odkorkowal gasiorek, wokół rozszedl sie zapach nalewki. Gasiorka ponad wszelka watpliwosc nie bylo wsród pozegnalnych benedyktynskich darów, Reynevan pojecia nie mial, kiedy i w jaki sposób demeryt wszedl w jego posiadanie. Ale podejrzewal najgorsze.

- To wielki blad - Szarlej pociagnal z gasiorka, podal go Reynevanowi. - To blad, nie sluchac Dzierzki, ona zwykle wie, co mówi. Okolicznosci smierci twego brata nie sa jasne, chlopcze. Z pewnoscia nie na tyle, by z punktu brac sie do krwawej pomsty. Nie masz zadnych dowodów winy Sterczów. *Tandem*, nie masz zadnych dowodów winy Kyrielejsona. Ba, *in hoc casu* brak nawet przeslanek i motywów.

- Co ty... - Reynevan zakrztusil sie nalewka. - Co ty gadasz? Aulocka i jego bande widziano w okolicy Balbinowa.

- Jako dowód *non sufficit*.

- Mieli motyw.

- Jaki? Uwaznie przysluchiwalem sie twej opowiesci, Reinmarze. Kyrielejsona wynajeli Sterczowie, szwagrowie twojej lubej. Aby schwytal cie zywym. Bezwzglesnie zywym. Wydarzenia z owej podbrzeskiej karczmy dowodza tego niezbitcie. Kunz Aulock, Stork i de Barby to zawodowcy, robia tylko to, za co im zaplaco. Zaplaco im za ciebie, nie za twego brata. Po co mieliby na drodze za soba zostawiac trupa? Taki zostawiony na szlak *cadaver* to dla zawodowej klopot: grozi poscig, prawo, zemsta... Nie, Reinmarze. W tym nie ma za grosz logiki.

- Kto wiec, wedlug ciebie, zamordowal Peterlina? Kto? *Cui bono*?

- Wlasnie. Warto, naprawde warto sie nad tym zastanowic. Musisz wiecej opowiedziec mi o twoim

bracie. W drodze na Węgry, ma się rozumieć. Przez Świdnicę, Frankenstein, Nyse i Opawę.

- Zapomniałeś o Ziebicach.

- Fakt. Ale ty nie zapomniesz. I nie zapomnisz, obawiam się. Ciekaw, kiedy on to zauważy.

- Kto? Co?

- Samson Milczek od benedyktynów. W pniaku, na którym siedzi, jest gniazdo szerszeni.

Waligóra zerwał się. I usiadł z powrotem, pojawiając się, że wpadł w pułapkę.

- Tak podejrzewałem - wyszczerzył zęby Szarlej. - Rozumiesz łacine. Bratku.

Na oczach zdumionego do granic Reynevana olbrzym odwzajemnił uśmiech.

- *Mea culpa* - odrzekł z akcentem, którego nie zganilby Ciceron. - Ale to jednak nie grzech. A nawet jeśli, to *któzsine peccato est*.

- Nie nazwałbym cnotą - wydal usta Szarlej - podsłuchiwanie cudzych rozmów pod pozorem nieznanomości języka.

- Racja to - lekko skłonił głowę Samson. - I już przyznałem, że moja wina. A zęby przewin nie mnożyć, uprzedzę od razu, że przejście na mowę Franków też nie zapewni wam dyskrecji. Znam francuski.

- Ach - głos Szarleja był zimny jak lód. - *Est-ce vrai ?* W samej rzeczy?

- W samej zaiste. *On dit, et il est verite*.

Jakiś czas panowała cisza. Wreszcie Szarlej chrząknął głośno.

- Mowa Angielczyków - zaryzykował - władasz, nie wątpię, równie dobrze.

- *Yes* - odparł bez zająknięcia olbrzym. - *Herkneth, is the point, to speken short and plain. That ye han said is right enough. Namore of this*, dość tego. Bo gdybym nawet mówił wszystkimi językami ludzi i aniołów, byłbym tu jak cymbał brzmiały. Miast tedy popisywać się elokwencją, przejdźmy do rzeczy, bo czas nagli. Nie szedłem w ślad za wami dla rozrywki, lecz wiedziony trudną koniecznością.

- Doprawdy? A w czym to zasada się, jeśli można wiedzieć, *owadira necessitas* ?

- Przyjrzyjcie mi się uważnie i odpowiedzcie z reka na sercu - chcielibyście tak wyglądać?

- Nie chcielibyśmy - odpowiedział rozbrajająco szczerze Szarlej. - Pod niewłaściwym jednak adresem zanosisz pretensje, kumotrze. Twój wygląd zawdzięczasz bezpośrednio twym tacie i mamie. Pośrednio zaś Stwórcy, choć wiele zdaje się temu przeczyć.

- Mój wygląd - Samson całkowicie zlekceważył drwine - zawdzięczam wam. Waszym idiotycznym egzorcyzmem. Narozrabialiscie, chłopaki, i to zdrowo. Czas spojrzeć prawdzie w oczy i zacząć medytować, w jaki sposób skorygować to, coście uczynili. A godziłoby się pomyśleć i o zadoskuczynieniu dla tego, komście narobili kłopotów.

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz - stwierdził Szarlej. - Mówisz, przyjacielu, wieloma językami ludzi i aniołów, ale wszystkimi niezrozumiale. Powtarzam: nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Przysięgam na wszystko, co mi drogie, to znaczy: na ma kuske stara. *Je jure ca sur mon coullon* .

- Tyle elokwencji, tyle swady - skomentował waligóra. - A pomysłunku za grosz. Naprawdę nie pojmujesz tego, co się stało w wyniku waszych cholernych zakleć?

- Ja... - wykrztusił Reynevan. - Ja pojmuję... Podczas egzorcyzmów... Coś zaszło.

- No proszę - olbrzym spojrzał na niego - jak triumfują młodość i studia uniwersyteckie, zwyczajnie kolokwializmy, prawdopodobnie Praga. Tak, tak, młodzieńcze. Inkantacje i zaklęcia mogą mieć skutki uboczne. Powiada Pismo: modlitwa pokornego przeniknie obłoki. Przeniknęła.

- Nasze egzorcyzmy... - szepnął Reynevan. - Czulem to. Czulem nagły przypływ Mocy. Ale czy to możliwe, aby... Czy to możliwe...

- *Certes* .

- Nie bądź dzieckiem, Reinmarze, nie daj się podejść - rzekł spokojnie Szarlej. - Nie daj mu się omamić. On drwi sobie z nas. Udaje. Pozuje na przypadkowo wywołanego mocą naszych egzorcyzmów diabła. Demona, przyzwanego z zaswiatów i przesadzonego w cielesną powłokę Samsona Miodojadka, klasztornej idioty. Udaje inkluza, którego nasze zaklęcia wyzwoliły z klejnotu, dzinna, uwolnionego z dzbanu. Czego zapomniałem wymienić, przybyszu? Czym jesteś? Kim jesteś? Powracającym z Avalonu królem Arturem? Ogierem Dunczykiem? Barbarossa przybywającym z Kyffhausenu? Z ydem Wiecznym Tulaczem?

- Dlaczego zamilkles? - Samson skrzyżował potężne przedramiona na piersi. - Wszakże ty, w niezmierną swą mądrość, wiesz, kim jestem.

- *Certes* - Szarlej zrewanżował się akcentem. - Wiem. Ale to ty, bratku, podszedłeś do naszego biwaku, a nie odwrotnie. Dlatego tobie wypada się przedstawić. Nie czekając, aż cię zdemaskują.

- Szarleju - wtracił dość poważnie Reynevan. - On chyba mówi prawdę. Wywołaliśmy go za pomocą naszych egzorcyzmów. Dlaczego nie zauważasz tego, co oczywiste? Dlaczego nie widzisz tego, co widzialne? Dlaczego...

- Dlatego - przerwał demeryt - że w przeciwieństwie do ciebie nie jestem naiwniakiem. I doskonale wiem, kim on jest, skąd się wziął u benedyktynów i czego chce od nas.

- Kim więc jestem? - uśmiechnął się olbrzym uśmiechem wcale nie głupawym. - Zdradz mi to, proszę. Pilnie. Nim spłonie z ciekawości.

- Jesteś poszukiwanym zbiegiem, Samsonie Miodku. Uciekinierem. Zwyczajnie kolokwializmy, prawdopodobnie zbiegłym księdzem. W klasztorze ukrywałeś się przed posągami, udając półgłówka, w czym, bez urazy, wydatnie pomogła ci aparycja. Półgłówkiem ewidentnie nie będąc, momentalnie poznałeś się na nas... a raczej na mnie. Nie nadstawiałeś tu uszu nadaremnie. Chcesz zbiec na Węgry, a wiedziałeś, że w pojedynkę będzie trudno. Nasza kompania, kompania ludzi sprytnych i bywałych, to dla ciebie dar niebios. Pragniesz się przyłączyć. Myślisz?

- Tak, i to grubo. I w zasadzie w każdym szczególe. Poza jednym: faktycznie na tobie od razu się poznałem.

- Aha - Szarlej wstał również. - Ja się więc mylę, a ty mówisz prawdę. Dalej więc, dokaż jej. Jesteś istotą nadprzyrodzoną, mieszkancem zaswiatów, skąd nie chcąc cię wyciągnęliśmy egzorcyzmami. Zademonstruj zatem swą moc. Niech zatrzęsie się ziemia. Niechaj zagrzmią grzmoty i rozbłysną błyskawice. Niech zaśle własnie słońce znowu wszędzie. Niechaj zaby w bagnisku, miast kumkac i zegotac, zaspiewają chórem *Lauda Sion Salvatorem* .

- Nie zdolam tego sprawić. A nawet gdybym zdolał, uwierzyłbys mi?

- Nie - przyznał Szarlej. - Z natury nie jestem łatwowierny. A do tego mówi Pismo: nie dowierzajcie każdemu duchowi. Gdyż wielu fałszywych proroków pojawiło się na świecie. Krótko: kłamca na kłamcy i kłamca poganania.

- Nie lubię - odrzekł waligóra, łagodnie i spokojnie - gdy nazywa się mnie kłamca.

- Och, doprawdy? - demeryt opuścił ręce, lekko pochylił się do przodu. - I co wtedy czynisz? Ja, dla przykładu, nie lubię, gdy ktoś łże w żywe oczy. Do tego stopnia, że zdarza mi się nawet złamać łgarzowi nos.

- Nie próbuj.

Choć Szarlej był od Samsona o więcej niż głowę niższy, Reynevan nie miał wątpliwości, co zajdzie. Widział to już. Kopniak w golen, tuż pod kolano, padający na kleczki dostaje z góry w nos, kosc peka z chrupnięciem, krew bryzga na ubranie. Reynevan był do tego stopnia pewien scenariusza, że zdziwienie jego nie miało granic.

Jeżeli Szarlej był szybki jak kobra, to wielki Samson był jak pyton, poruszał się z zaskakującą zwinnoscia. Błyskawicznym kontrkopniakiem sparował kopniak, zrecznie zablokował przedramieniem cios pięści. I odskoczył. Szarlej odskoczył również, błyskając zębami spod górnej wargi. Reynevan, sam nie wiedząc, dlaczego to czyni, wpadł pomiędzy nich.

- Pokój! - rozpostarł ręce. - *Pax* ! Panowie! Nie wstyd wam? Zachowujcie się jak ludzie cywilizowani!

- Bijesz się... - Szarlej wyprostował postać. - Bijesz się jak dominikanin. Ale to tylko potwierdza moją teorię. A łgarzy nie lubię nadal.

- On - rzekł Reynevan - może mówić prawdę, Szarleju.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Takie przypadki już bywały. Istnieją byty równoległe, niewidzialne... Światy astralne... Można się z nimi komunikować, były też... Hmm... Przypadki odwiedzin.

- O czym ty bajdurzysz, nadziejo mezatek?

- Nie bajdurze. Wykładano o tym w Pradze! Wspomina o tym *Zohar* , pisze o tym w *De universo* Raban Maur. Istnienia paralelnego świata duchowego dowodzi też Duns Scotus. Według Dunsy Scotusa, *materia prima* może istnieć bez fizycznego kształtu. Ciało ludzkie nieuduchowione to wyłącznie *forma corporeitatis* , kształt niedoskonały, który...

- Przestani, Reinmarze - przerwał niecierpliwym gestem Szarlej. - Pochamuj ferwor. Tracisz słuchaczy.

Przynajmniej jednego. Odchodzi bowiem, by przed snem wypróżnić się pośród gąszczy. Będzie to, nawiasem, czynność stokrotnie bardziej płodna niż ta, na którą tracimy tu czas.

- Poszedł się wypróżnić - skomentował po chwili wielkolud. - Duns Scotus w grobie się przewraca, podobnie jak Raban Maur i Mojżesz z Leonu wraz z resztą kabalistów. Jeśli takie autorytety go nie przekonują, jakie szanse mam ja?

- Marne - przyznał Reynevan. - Bo po prawdzie moich wątpliwości też nie udało ci się rozwiązać. I mało robisz w tym kierunku. Kim jesteś? Skąd tu przybyłeś?

- Tego, kim jestem - odpowiedział spokojnie waligóra - nie pojmiesz. Ani tego, skąd przybyłem. Tego zaś, jak się znalazłem akurat tutaj, sam do końca nie pojmuję. Jak mówi poeta: Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy.

Io non so ben ridir com' i' v' intrai

tant' era pien di sonno a quel punto

che la verace via abbandonai. [\[13.\]](#)

- Jak na przybysza z zaświatów - pokonał zdumienie Reynevan - niezłe znasz języki ludzi. I poezje Dantego.

- Jestem... - rzekł Samson po chwili milczenia. - Jestem wędrowcem, Reinmarze. A Wędrowcy wiedzą wiele. To się nazywa: mądrość przebytych dróg, odwiedzonych miejsc. Więcej powiedzieć ci nie mogę. Powiem ci natomiast, kto ponosi winę za śmierć twego brata.

- Co? Ty coś wiesz? Mów!

- Nie teraz, muszę rzecz jeszcze przemyśleć. Słuchałem twojej opowieści. I mam pewne podejrzenia.

- Mówże, na Boga!

- Tajemnica śmierci twego brata tkwi w owym nadpalonym dokumencie, tym, który wyciągnąłeś z ognia. Postaraj się przypomnieć sobie, co tam było, fragmenty zdań, słowa, litery, cokolwiek. Odcyfruj dokument, a ja wskażę ci winnego. Potraktuj to jako przysługę.

- A dlaczego to wyświadczasz mi przysługę? I czego oczekujesz w zamian?

- Bys się odwdzieczył. Wpływając na Szarleja.

- W jakim względzie?

- Aby odwrócić to, co się stało, abym mógł powrócić do mojej własnej postaci i mojego własnego świata, trzeba powtórzyć, w miarę dokładnie, cały egzorcyzm. Cała procedura...

Przerwało im dobiegające z zarośli dzikie wycie wilka. I makabryczny wrzask demeryta.

Obaj natychmiast rzucili się biegiem, mimo swej tuszy Samson nie dał się wiele wyprzedzić. Wpadli w mroczny gąszcz, kierując się krzykiem i trzaskiem łamanych gałęzi. A potem zobaczyli.

Szarlej zmagal się z potworem.

Ogromny, czelakopodobny, ale porosnięty czarna sierścią dziwostwór musiał zaatakować niespodziewanie, od tyłu, od razu chwytając Szarleja w straszliwy nelson kosmatych i szponiastych łap. Mając kark przygięty tak, że podbródek wbijał się w pierś, demeryt nie krzyczał już, charczał tylko, usiłując odsunąć głowę z zasięgu zębatej i ociekającej śliną paszczki. Walczył, ale bezkutecznie - monstrum trzymało go chwytem modliszki, skutecznie unieruchamiając jedno ramię i mocno ograniczając drugie. Mimo tego Szarlej zwinął się jak lasica i na oslep tłukł łokciem w wilczy pysk, próbował też wierzgać i zadawać kopniaki, ale próby te udaremniały opuszczone poniżej kolan spodnie.

Reynevan stał jak słup, sparalizowany grozą i niezdecydowaniem. Natomiast Samson ruszył do boju bez wahania.

Olbrzym, jak się ponownie okazało, umiał poruszać się z szybkością pytona i gracją tygrysa. W trzech skokach był przy walczących, precyzyjnie, acz potężnie zdzielił potwora kulakiem prosto w wilcza mordę, zaskoczonego ucałował za kosmate uszy, oderwał od Szarleja, zakrecił, zakrecone kopnął, posyłając na pień sosny, w który stworzył wyrzniętym łbem z głuchym stuknięciem, tak że aż sypnęło się igliwie. Od podobnego uderzenia czaszka człowieka peklaby jak jajko, ale wilkolek zerwał się natychmiast, zawył wilczo i rzucił na Samsona. Nie atakował, jak należało oczekiwać, otwartą paszczą i klami, lecz zasypał olbrzyma gradem błyskawicznych, umykających oku ciosów i kopniaków. Samson parował i odbijał wszystkie, niewiarygodnie wręcz przy swej staturze szybki i zwrotny.

- Biję się... - wystękał Szarlej, którego Reynevan próbował podnieść. - Biję się... jak dominikanin.

Odbiwszy serię ciosów i wypatrywszy stosowny moment, Samson przeszedł do kontrataku. Wilkolek zawył, trafiony prosto w nos, zakolebał się, kopnięty w kolano, uderzony w pierś poleciał na pień sosny. Stuknęło głucho, ale i tym razem czerep wytrzymał. Potwór zaryczał i skoczył, pochyliwszy łeb jak szarżujący byk, zamierzając obalić olbrzyma samym rozpedem. Próba nie powiodła się, Samson ani drgnął pod naporem, oplótł wilkolka ramionami, stali tak, iscie Tezeusz i Minotaur, stekając, pchając się i orzając stopami ściółkę. Wreszcie przemógł Samson. Odrzucił potwora i zdzielił go pięścią - a jego pięść była jak taran. Stuknęło głucho - bo sosna nadal stała tam, gdzie wprzód. Teraz Samson nie dał potworowi czasu na atak. Dostkoczył, wymierzając kilka potężnych, precyzyjnych ciosów, po których wilkolek znalazł się na czworakach. A Samson znalazł się z tyłu za nim. Zad stworza, nieowłosiony i czerwony, stanowił wyborny cel, nie można było chybić, a buty nosił Samson ciężkie. Kopnięty wilkolek zakwiczał i poleciał, już po raz czwarty waląc łbem w pień nieszczęsnej sosny. Samson pozwolił mu się unieść tylko na tyle, by zad znowu utworzył cel. I kopnął raz jeszcze, wkładając w kopniak jeszcze więcej impetu. Wilkolek skoziółkował z pochyłości, z pluskiem wpadł do rzeczki, wydarł z niej jak jelen, przechlupotał przez bagnisko, z trzaskiem przedarł się przez łoże i zemknął w bór. Zawył tylko raz, z oddali. Żalosiście raczej.

Szarlej wstał. Był błydy. Trzesły mu się ręce i dygotały łydki. Ale opanował się szybko. Klął tylko cicho, trąc i masując kark.

Zbliżył się Samson.

- Cały jesteś? - spytał. - Nienaruszony?

- Podstępem mnie skurwysyn wziął - usprawiedliwił się demeryt. - Od tyłca zaszedł... Zeber mi ciut nadwyrezył... Ale i tak dalbym mu rade. Gdyby nie te spodnie... Poradziłbym sobie...

Zreflektował się pod znaczącymi spojrzeniami.

- Kiepsko ze mną było - przyznał. - Karku mało mi nie złamał... Dzięki za pomoc, kumotrze. Uratowałeś mnie. Mogłem, co tu gadac, jak nic stracić życie.

- Życie jak życie - przerwał Samson - ale tyłka całego byś nie uniósł. Tu tego lykantropa znają, cała okolica go zna. Jako człowiek też miał upodobania do perwersji, w wilczej postaci mu to zostało. Teraz czyha na takich, co ściągna spodnie i odsłonia słabiznę. Zwykły, paskudnik, od tyłu capnac, unieruchomic... A potem... Sam rozumiesz.

Szarlej rozumiał niezawodnie, bo wzdrygnął się zauważalnie. A potem uśmiechnął i wyciągnął do olbrzyma prawicę.

* * *

Miesiąc w pełni świecił urocznie, plynąc dnem kotlinki rzeczka lśniła w jego blasku jak merkuriusz w tyglu alchemika. Ognisko strzelało płomieniami, sypało iskrami, potrzaskiwały polana i smolne galezie.

Szarlej nie uronił ni jednej drwiny, ni jednego słowa dezaprobaty - ograniczył się do krecenia głową i paru westchnień, którymi kilka razy unaocznili swą rezerwę dla przedsięwzięcia. Ale udziału w przedsięwzięciu nie odmówił. Reynevan wziął udział z entuzjazmem. I optymizmem. Przedwczesnym.

Na prośbę dziwnego olbrzyma powtórzyli cały rytuał egzorcyzmu od benedyktynów, według Samsona nie było bowiem wykluczone, że tym sposobem dojdzie do ponownej przesiadki, to znaczy: on wróci do swego bytu, a klasztorny kretyn z powrotem do swego wielkiego ciała. Powtórzyli więc egzorcyzm, starając się nie pomijać niczego. Ani cytatów z Ewangelii, ani z modlitwy do Michała Archaniola, ani z *Picatrixa*, przelozonego przez uczonego króla Leonu i Kastylii. Ani z Izydora z Sewilli, ani z Cezarego z Heisterbachu. Ani z Rabana Maura, ani z Michała Psellosa.

Nie zapomnieli o powtórzeniu zaklęć - tych na Acharona, Eheya i Homusa, i tych na Phalega, Oga, Pophiela i straszliwego Semaphora. Spróbowali wszystkiego, nie pomijając ani „jobsa, hopsa”, ani „hax, pax, max”, ani „hau-hau-hau”. Reynevan z ogromnym wysiłkiem przypomniawszy sobie nawet i powtórzył arabskie - czy też pseudoarabskie - sentencje zaczerpnięte z Averroesa, Avicenny i Abu Bekra Mohameda ibn Zakariaha al-Raziego, znanego w świecie zachodnim jako Razes.

Wszystko na nic.

Nie dało się odczuć żadnego drgnienia i poruszenia Mocy. Nic się nie stało i nic nie zaszło, jeśli nie liczyć dobiegających z lasu skrzeków ptaków i parskania koni, sploszonych wrzaskami egzorcystów. W szczególności, dziwny przybysz w dalszym ciągu był Samsonem, waligóra od benedyktynów. Jeśli nawet przyjąć, że względem niewidzialnych światów, paralelnych bytów i kosmosów nie mylili się Duns Scotus, Raban Maur oraz Mojżesz z Leonu wraz z resztą kabalistów, do ponownej przesiadki doprowadzić się nie udało. O dziwo, najmniej rozczarowanym wydawał się najbardziej zainteresowany.

- Potwierdza się - mówił - teza, że w zaklęciach magicznych znaczenie słów i w ogóle dźwięków jest znikome. Decydująca jest predyspozycja duchowa, determinacja, wysiłek woli. Wydaje mi się...

Urwał, jak gdyby czekał na pytania albo komentarz. Nie doczekał się.

- Nie mam innego wyjścia - dokończył - jak się was trzymać. Będzie musiał wam towarzyszyć. Licząc, że kiedyś powtórzy się to, co którymś z was - lub obu wam - udało się przypadkowo osiągnąć w klasztornej kaplicy.

Reyneveran niespokojnie spojrzał na Szarleja, ale demeryt milczał. Milczał długo, poprawiając okład z listki babki, który Reyneveran przyłożył mu na podrapany i pokasany kark.

- Cóż - powiedział wreszcie - jestem twym dłużnikiem. Pomijając wątpliwości, których rozwiązać, kumotrze, nie do końca ci się powiodło, jeśli chcesz nam towarzyszyć w wędrowce, nie oponuję Kim jesteś, pal diabli. Ale umiałeś udowodnić, że w drodze bardziej się przydasz, niż zawadzisz.

Waligóra uklonił się w milczeniu.

- Powinno nam się więc - podjął demeryt - dobrze i wesoło wspólnie wędrować. Jeśli naturalnie zechcesz powstrzymać się od nadmiernej ostentacji w publicznym głoszeniu też o twoim pozaswiatowym pochodzeniu. Winienes - wybac szczerość - raczej powstrzymać się od głoszenia cegokolwiek. Twoje wypowiedzi bardzo konfundująco klóca się bowiem z twoim wyglądem.

Olbrzym uklonił się ponownie.

- Kim naprawdę jesteś, powtarzam, w sumie mi obojętne, spowiedzi ani wyznania nie oczekuję i nie domagam się ich. Ale chciałbym wiedzieć, jakim imieniem cię zwą.

- Dlaczego - zacytował z cicha Reyneveran, przypominając sobie trzy lesne wiedźmy i ich wieszczbę - pytasz się o moje imię: ono jest tajemnicze.

- Zaiste - uśmiechnął się olbrzym. - *Nomen meum, quod est mirabile* ... Zbieżność ciekawa i w sposób oczywisty nieprzypadkowa. Wszakże to „Księga Sędziów”. Słowa odpowiedzi, jaka otrzymał na swe pytanie Manoach.. Ojciec Samsona. Zostanemy więc przy Samsonie, wszak to imię dobre jak każde inne. A nazwisko, cóż, nazwisko wszak może zawdzięczać twej właśnie, Szarleju, inwencji i fantazji... Choc wyznam, że mdli mnie na samą myśl o miodzie... Ilekroć sobie przypomnę to przebudzenie, tam, w kaplicy, z lepkiem naczyniem w reku... Ale przyjmuje. Samson Miodek, do usług.

Rozdział czternasty

który opisuje wydarzenia, dziejące się tego samego wieczora co w rozdziale poprzednim, lecz w innym miejscu: dużym mieście, odległym o około osiem mil - lotem wrony - w kierunku północno-wschodnim. Rzut oka na mapę Śląska, do którego autor gorąco czytelnika zachęca, wyjaśni, o jakie miasto chodzi.

Siadający na dzwonnicy kościoła pomurnik spłoszył gawrony; czarne ptaszyska zerwały się, kraczac donosnie, poszybowały w dół, na dachy kamienic, wirując jak niesione z pożaru platy sadzy. Gawrony miały przewagę liczebną i niełatwo dawały się wyganiać z wież. Nigdy nie skapitulowałyby przed zwykłym pomurnikiem. Ale to nie był zwykły pomurnik, gawrony poznały to od razu.

Silny wiatr dął nad Wrocławiem, gnał ciemne chmury od strony Slezki, marszczyła się pod podmuchami szarosiną wodą Odry, kołysały galeziami wierzby na Wyspie Słodowej, falowały trzcinowiska między starorzeczami. Pomurnik rozpostarł skrzydła, skrzekliwie rzucił wyzwanie kraczakom nad dachami gawronom, wzbil się w powietrze, okrzyki wież, siadł na gzymsie. Przecisnąwszy się przez maswerki okna, runął w ciemną otchłan dzwonnicy, poleciał w dół, krecąc karkolomną spiralę wzdłuż drewnianych schodów. Wylądował, siadł, bijąc skrzydłami i strosząc pióra, na posadzce nawy, prawie natychmiast zmienił postać, przeobrażając się w czarnowłosego i czarno odzianego mężczyznę.

Od strony ołtarza nadchodził, stukając sandałami i mruczac do siebie, ostiariusz, staruszek o bladej pergaminowej cerze. Pomurnik wyprostował się dumnie. Ostiariusz na jego widok zbladł jeszcze bardziej, przezegnal się, nisko pochylił głowę i szybko wycofał ku zakrystii. Postukiwanie jego sandałów zaalarmowało jednak tego, z kim Pomurnik chciał się spotkać. Spod kryjącej kaplice arkady bezszelestnie wylonil się wysoki mężczyzna z krótką szpiczastą brodą, owinięty w płaszcz ze znakiem czerwonego krzyża i gwiazdy. Wrocławski kościół świętego Macieja należał do szpitalników *cum Cruce et Stella*, ich hospicjum znajdowało się tuż przy kościele.

- *Adsumus* - pozdrowił półgłosem Pomurnik.

- *Adsumus* - odrzekł cicho Krzyżak z Gwiazdą, składając dłonie. - W imieniu Pana.

- W imieniu Pana - Pomurnik w sposób odruchowo ptasi poruszył głową i ramionami. - W imieniu Pana, bracie. Jak się mają sprawy?

- Jesteśmy stale w pogotowiu - szpitalnik nadal mówił cicho. - Ludzie wciąż przychodzą. Notujemy pilnie wszystko, o czym donoszą.

- Inkwizycja?

- Niczego nie podejrzewa. Otworzyli nowe własne punkty donosielskie, w czterech kościołach: w Wojciechu, Wincentym, Łazarzu i Pannie Marii na Piasku, nie polapia się, że dodatkowo działa nasz. W te same dni i pory, we wtorki, czwartki i niedziele, od godziny...

- Wiem, kiedy - przerwał obcesowo Pomurnik. - Przybywam właśnie na stosowny czas. Wskaz mi konfesjonal, bracie. Posiedzę, posłucham, dowiem się, co nurtuje społeczeństwo.

Nie minęły trzy pacierze, gdy przed kratką kleknął pierwszy klient.

* * *

- ...nie ma dla zwierzości poszanowania brat Tytus, nikogo nie uszanuje... Raz, Boże odpusc, nawrzeszczał na samego przeora, że nietrzeźwy msze odprawia, a przecie malenkosc jeno przeor wtedy wypil, no bo co to jest, kwarta na trzech. A brat Tytus bez szacunku nijakiego... Tedy kazal przeor baczniej mu sie przygladac... I cichcem mu, Boze odpusc, cele zrewidowac... I pokazaly sie ksiegi i broszury, pod lozkiem schowane. Uwierzyc trudno... *Dialogus* Wiklefa... *De ecclesia Husa* ... Pisma

lollardów i waldensów... Do tego zaś *Postilla apocalypsim*, które spisał Petrus Olivi, ów heretyk wyklety, apostoł begardów i joachimitów, kto to ma i czyta, ten niechybnie sam begard utajony. A że nakazała zwierzchność na begardów donosić... Tedy donosze... Boże odpusc...

* * *

- Unizenie donosze, jako Gaston de Vaudenay, trubadur, co się w lasce księcia na Głogowie wcisnął, jest mordercą, kurewnikiem, furfantem, kaczerem i bezbożnikiem. Wierszami swymi niedzielnym najniższym gustem gawiedzi ślebia, nie wie, co w nim widzą, czemu prymitywne jego rymy nad moje... chciałem rzec, nad rodzime przedkładają. Wierze, godziłoby się przez przyblede wygnać, niechże wraca do swej Prowansji, nam tu kulturowo obce wzorce niepotrzebne!

* * *

- ...zataił, że ma brata za granicą, w Czechach. A było co tać, bo brat jego, przed rokiem dziesiętnastym diakon u świętego Szczepana w Pradze, teraz też służy za księdza, ale na Taborze, u Prokopa, brode nosi, nabożeństwa w szczerym polu, bez alby ni ornatu odprawia i komunii pod obiema postaciami udziela. Czy dobry katolik, pytam ja się, tai, iż ma takiego brata? Czy może, pytam ja się, dobry katolik w ogóle mieć takiego brata?

* * *

- ...i wołał, że prędzej proboszcz własne ucho obaczy, niż od niego dziesięć, i żeby mór na tych popów rozbestwionych i że husytów na nich trza i oby jak najrychlej z Czech przyszli. Tak wołał, klę się na wszystkie relikwie. I to jeszcze powiem, że złodziej jest, koze moja skradł... Gada, że nieprawda, że to jego koza, alec ja swoja koze poznam, bo to, uważacie, czarna plamka ma na koncu ucha...

* * *

- Ja, jegomość, na Magde skarże... Na jatrewkę znaczy. Bo to zdzira bezwstydną... W nocy, gdy jej dziewczyna na wyrku dosiada, to dyszy, jeczy, steka, krzyczy, jak kocica miauczy. Zeby ino w nocy, gdzie tam, bywa i za dnia, przy robocie, gdy myśli, że nikt nie widzi... Rzuci motyke, pochyli się, ulapi plotu, a dziewczyna ja, kieckie aż na plecy zadarłszy, jako ten cap chędoży... Tfu, sromota... A memu chłopu, bacze, oczy się świeca, aż się nieraz obliże... Tedy jej gadam, obyczajność miej, pocpiego jedna, czego cudzym meżom głowy krecisz. A ona na to: wygódź chłopu, jak należy, to się nie będzie za innymi oglądał ani ucha nadstawiał, gdy inni welne greplują. I rzekła jeszcze, że cicho się kochać nie myśli, bo jej przyjemne, a jak przyjemno, to jeczy a krzyczy. A że ksiądz w kościele kazał, że to grzech, taka przyjemność, tedy on, musi, durny albo zbiesił się, bo nie może być rozkosz grzechem, przecie to Pan Bóg tak rzeczy stworzył. Jakem to sąsiadce powtórzyła, rzekła mi owa, że taka gadka to nic, ino herezja, i żeby naskarżyć na dzire. No to i skarże...

* * *

- ...gadal, że w kościele, pry, na ołtarzu to przecie nie może być ciało Chrystusowe żadną miarą, bo chociażby i był Jezus wielki jako ta, nie przymierzając, katedra, to by ciała nie starczyło na te wszystkie msze, już by to wszystko, pry, księży dawno sami zezarli. Tak brechał, tymi własnymi słowami, żeby tak zdechł, jeśli lże, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż. A jak go już na stos powioda i spala, to uniesienie dopraszam się, aby te jego dwie mogiły podle strumienia moje były. Tacy mówią ze zasługi, pry, będą policzone...

* * *

- ...Dzierżka, wdowa po Zbylucie z Szarady, co się po śmierci małżonka odmieniła na „de Wirsing”, stała się po nieboszczyku przejeżdżała i koniami handluje. Godzi się to, by białogłowa przemysłem i handlem się parala? Konkurencja nam... Znaczący, uczciwym katolikom, robiła? Dlaczego jej tak dobrze idzie, he? Gdy innym nie idzie? Bo czeskim husytom konie sprzedaje! Heretykom!

* * *

- ...dopiero co na sienenskim sejmie uchwalono, a królewskimi edyktami potwierdzono, że z husyckimi Czechami wszelki obchód zakazany jest, że kto by z husytami handlował, na majątku i ciele ma być karany. Nawet ten polski poganin Jagiello infamia, banicja, utrata godności i przywilejów karze, kto by się z kacerzami znośił, ołów, brąz, sól albo srebro im sprzedawał. A u nas, na Śląsku? Drwią sobie z zakazów pyszni panowie kupcy. Mówią, że zarobek gruntu, że jak zarobić, to choćby i z diabłem. Chcecie nazwiska? Oto one: Tomasz Gemrode z Nysy. Mikołaj Neumarkt ze Świdnicy. Hanusz Throst z Raciborza. Tenże Throst, dodam, bluźnił nadto na księży, że rozwiązli, świadków na to będzie wielu, bo miała rzecz miejsce we Wrocławiu mieście, w karczynie „Pod Głową Maura” na Placu Solnym, *vicesima prima lulii*, w godzinach wieczornych. Aha, byłbym zabył, handluje jeszcze z Czechami niejaki Fabian Pfefferkorn z Niemodlina... A może on już nie żyje?

* * *

- ...powiada się: Urban Horn. Znają go, wichrzyciel to i podżegacz, kacerz pono i przechrzta. Waldens! Begard! Matka jego była beginka, spalili ją w Świdnicy, wcześniej na mekach do ohydnych się przyznała praktyk. Była jej Roth, Małgorzata Roth. Tego ci Horna, alias Rotha, w Strzelinie na własne oczy widziałem. Do buntów nawoływał, z papieża sobie dworował. Włóczył się za nim ów Reinmar de Bielau, pociotek jakiś Ottona Beessa, kanonika od Jana Chrzyciela. Warto jeden drugiego, same przechrzty i heretyki...

* * *

Zmierzchało już, gdy ostatni klient opuścił kościół świętego Macieja. Pomurnik wyszedł z konfesjonalu, przeciągnął się, oddał brodatemu Krzyżakowi z Gwiazdą zapisane karty.

- Przeor Dobeneck - spytał - nie wydobrzał jeszcze?

- Nie wydobrzał - potwierdził szpitalnik. - Wciąż niemoca złożon. Praktycznie inkwizytorem a *Sede Apostolica* jest więc Grzegorz Hejncze. Też dominikanin.

Szpitalnik skrzywił lekko usta, jakby poczuł w nich coś niesmacznego. Pomurnik zauważył to. Szpitalnik zauważył, że Pomurnik zauważył.

- Młodziak, ten Hejncze - wyjaśnił z lekkim ociąganiem. - Formalista. Na wszystko żąda dowodów, nader rzadko kaze na meki braci. Co i rusz podejrzanego znajdzie niewinnym i wypuści. Miekki jest.

- Widziałem pogorzeliśka po stosach na podwalu za Świętym Wojciechem.

- Wszystkiego dwa stosy - wznurzył ramionami szpitalnik. - Za ostatnie trzy niedziele. Za czasów brata Schwenckefelda byłoby dwadzieścia. Prawda, że tylko patrzec, jak będzie palony trzeci. Jego wielebność ulapił czarownika. Podobno ze szcetem zaprzędany diabłu. Własnie poddawany jest bolesnemu śledztwu.

- U dominikanów?

- Na ratuszu.

- Hejncze jest przy tym?

- Wyjątkowo - uśmiechnął się brzydki Krzyżak - jest.

- Ten czarownik, co za jeden?

- Zachariasz Voigt, aptekarz.

- Na ratuszu, powiadasz, bracie?

- Na ratuszu.

* * *

Grzegorz Hejncze, w praktyce obecny *inguisitor a Sede Apostolica specialiter deputatus* na diecezję wrocławską, był faktycznie człowiekiem wyjątkowo młodym. Pomurnik nie dawał mu więcej niż trzydziści lat - co oznaczało, że byli rówiesnikami. Gdy Pomurnik wszedł do ratuszowej piwnicy, inkwizytor właśnie się posił. Wysoko podwinawszy rekawy, ochoczo palaszował wprost z garnka kasze ze skwarkami. W świetle lucywy i świec scena prezentowała się malowniczo i nastrojowo - zebrowane sklepienie, surowe ściany, debowy stół, krucyfiks, świeczniki obrosłe festonami wosku, plama białego dominikańskiego habitu, kolorowa polewa glinianych naczyń, spódnica i zapaska usługującej dziewczki - wszystko to komponowało się niczym na miniaturze z gradualu, brakowało tylko iluminacji.

Nastroj psuły jednak i zakłócały przeszywające wrzaski i ryki bólu, w regularnych odstępach dobiegające z głębszego podziemia, zejście do którego, niczym wrota piekieł, czerwono rozświetlala migotliwa poswiata ognia.

Pomurnik zatrzymał się przy schodach, czekał. Inkwizytor jadł. Nie spieszył się. Zjadł wszystko, do samego dna, wydrapał nawet łyżką to, co się przypaliło. Dopiero po tym uniósł głowę. Krzaczaste, groźnie zrosniete brwi nad bystrymi oczyma dodawały mu powagi, sprawiały, że wydawał się starszy, niż był w istocie.

- Od biskupa Konrada, prawda? - rozpoznał. - Imię pan...

- Von Grelleort - przypomniał Pomurnik.

- Oczywiście - Grzegorz Hejncze powściągliwymi ruchami palców ponaglił dziewczkę, by sprzątnęła ze stołu. - Birkart von Grelleort, biskupi zaufany i doradca. Siadajcie, proszę.

Torturowany zawył z podziemia, zakrzyczał dziko i nieartykulowanie. Pomurnik usiadł. Inkwizytor wytarł z podbródka resztki tłuszczu.

- Biskup - zaczął po chwili - opuścił, jak się zdaje, Wrocław? Wyjechał?

- Rządziła rzecz wasza wielmożność.

- Do Nysy pewnie? Odwiedzić panią Agnieszkę Salzwedel?

- Jego dostojność - Pomurnik nawet drgnieniem powieki nie zareagował na utrzymywane w głębokim sekrecie nazwisko najnowszej biskupiej miłośnicy. - Jego dostojność nie zwykł informować mnie o takich detalach. Ja też ich nie dociekam. Kto wściubia nos w sprawy infulatów, ryzykuje jego utratę. A mnie mój nos miły.

- W to nie wątpię. Ale ja jednak nie sensację, lecz jego zdrowie dostojnego mam na uwadze. Biskup Konrad nie jest przecie pierwszej młodości, unikac winien nadmiaru gorących turbacji... A jednak ledwo tydzień mijał, jak zaszczycał Ulryka von Rhein. Do tego te wizyty u benedyktynek... Dziwicie się, panie rycerzu? Rzecz inkwizytora jest wiedzieć.

Z podziemia rozległ się krzyk. Urwany, przechodzący w charkot.

- Rzecz inkwizytora jest wiedzieć - powtórzył Grzegorz Hejncze. - Toteż wiem, że biskup Konrad podróżuje po Śląsku nie tylko po to, by odwiedzać meżatki, młode wdówki i mniszki. Biskup Konrad przygotowuje kolejny wypadek na Broumovsko. Usiłuje nakłonić do współpracy Przemka Opawskiego i pana Albrechta von Kolditz. Uzyskać zbrojną pomoc pana Puty z Czastolovic, starosty kłodzkiego.

Pomurnik nie skomentował, nie spuścił oczu.

- Biskupowi Konradowi - ciągnął inkwizytor - zdaje się nie przeszkadzać, że całkiem co innego postanowił król Zygmunt i książęta Rzeszy. Ze nie wolno powtarzać błędów poprzednich krucjat. Ze trzeba postępować rozwaznie i bez euforii. Ze trzeba się przygotować. Zawrzeć sojusze i aliansy, zebrać środki. Przeciagnąć na naszą stronę panów morawskich. A do tego czasu powstrzymać się od zbrojnych awantur.

- Jego dostojność biskup Konrad - przerwał milczenie Pomurnik - nie musi się oglądać na książęta Rzeszy, na Śląsku jest im bowiem równy... jeśli nie wyższy. Zawsze dobry król Zygmunt zdaje się być zajęty... Jako przedmurze chrześcijaństwa zbrojnie zabawia się z Turkami nad Dunajem. Prosi się o nowy Nikopol. A może stara się zapomnieć inne bitwy, te, które trzy lata temu dostał od husytów pod

Niemieckim Brodem, może usiłuje zapomnieć, jak stamtąd uciekał. Ale chyba wciąż jeszcze pamięta, bo mu coś do nowej czeskiej wyprawy nie spieszy. Na biskupa Konrada tedy, Bóg to widzi, spada obowiązek posiania postrachu wśród kacerzy. Wie wszak wasza wielbność: *si vis pacem, para bellum*.

- Wiem też - inkwizytor bez wysiłku wytrzymał spojrzenie - *zenemo sapiens, nisi patiens*. Ale zostawmy to. Miałem do biskupa spraw parę. Parę pytań. Ale skoro wyjechał... Trudna rada. Bo na to, że na te pytania odpowiecie wy, panie Grelenort, liczyć raczej nie mogę, prawda?

- To zależy od pytań, jakie wasza wielbność raczy zadać.

Inkwizytor milczał przez chwilę, wyglądało, że czeka, aż torturowany w podziemiach znowu zakrzyknie.

- Chodzi - przemówił, gdy wrzask przebrzmiał - o owe dziwne przypadki śmierci, zagadkowe zabójstwa... Pan Albrecht von Bart, zamordowany pod Strzelinem. Pan Piotr de Biellau, zabity gdzieś pod Henrykowem. Pan Czambor z Heissensteinu, zaszyty w skrytobójczo w Sobótce. Kupiec Neumarkt, napadnięty i zabity na swidnickim gościncu. Kupiec Fabian Pfefferkorn, zamordowany na samym progu niemodlińskiej kolegiaty. Dziwne, tajemnicze, zagadkowe zgony, niewyjaśnione morderstwa zdarzają się ostatnimi czasy na Śląsku. Nie mógł o tym biskup nie słyszeć. Ani wy.

- Coś tam, nie przecze, obilo się nam o uszy - przyznał obojętnie Pomurnik. - Głównie jednak tym specjalnie nie zaprzataliśmy, ni biskup, ni ja. Od kiedy to morderstwo jest takim ewenementem? Co i rusz ktoś kogoś zabija. Miast kochać bliźniego swego, ludzie się nienawidzą i gotowi są za byle co posłać na tamten świat. Wrogów ma każdy, a motywów nigdy nie brakuje.

- Czytacie moje myśli - oświadczył równie obojętnie Hejncze. - I wyjmujecie mi słowa z ust. To samo dotyczy pozornie owych niewyjaśnionych zabójstw. Pozornie ni motywów ni brak, ni wroga, na którego szybko pada podejrzenie. Już to zatargi sąsiedzkie, już to zdrady małżeńskie, już to wroźdy rodowe, masz, sadziłbyś, winnych w zasięgu ręki, wszystko jasne. A przyjrzyj się sprawie uważnie... i nic nie jest jasne. I to właśnie jest w tych morderstwach ewenementem.

- Tylko to?

- Nie tylko. Dochodzi zaskakująca, niewiarygodna wręcz wprawa zbrodniarza... lub zbrodniarzy. We wszystkich przypadkach ataki następowały zniemacka, były to iskrzy gromy z jasnego nieba. Dosłownie z jasnego. Zabójstwa dokonywane były bowiem w południe. Niemal dokładnie w południe.

- Ciekawe.

- To właśnie miałem na myśli.

- Ciekawe - powtórzył Pomurnik - jest coś innego. To, że nie rozpoznajecie słów psalmu. Nic nie mówi wam *sagitta volante in die*! Strzala godzaca niby błyskawica, padający z jasnego nieba grot, który niesie śmierć? Nic nie przypomina wam demona, co niszczy w południe? Dziwicie się, zaiste.

- A więc demon - inkwizytor zbliżył złożone dłonie do warg, ale nie zdołał całkiem zasłonić sarkastycznego uśmiechu. - Demon grasuje po Śląsku i popełnia zbrodnie. Demon i demoniczna strzala, *sagitta volante in die*. No, no. Nie do wiary.

- *Haeresis est maxima, opera daemonum non credere* - odparował natychmiast Pomurnik. - Zali uchodzi, abym to ja, zwykły śmiertelnik, przypominał o tym papieskiemu inkwizytorowi?

- Nie uchodzi - wzrok inkwizytora stwardniał, w głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta. - Nijak nie uchodzi, panie von Grellenort. Nie przypominajcie mi już, proszę, o niczym więcej. Skoncentrujcie się raczej na odpowiadaniu na pytania.

Pelen bólesci ryk z podziemia dość znacząco skontrapunktował wypowiedź. Ale Pomurnik nie drgnął nawet.

- Nie jestem - oświadczył chłodno - w stanie pomóc waszej wielbności. Choć, jak rzekłem, plotki o zabójstwach dotarły do mnie, nazwiska rzekomych ofiar nic mi nie mówią. Nigdy nie słyszałem o tych ludziach, wieści o ich losie są dla mnie nowina. Nie wydaje mi się, by warto było pytać o nich jego dostojność biskupa. Odpowie to samo, co ja. I doda pytanie, którego ja zadać się nie osmielię.

- Alez osmielcie się. Nic wam nie grozi.

- Biskup zapytałby: czym pomienieni, ów von Biellau, ów Pfefferkorn, ów, nie pamiętam, Czambor czy Bambor, zasłużyli na uwagę Świętego Oficjum?

- Biskup - odparł z miejsca Hejncze - otrzymałby odpowiedź. Święte Oficjum miało wobec pomienionych *suspicio de haeresi*. Podejrzenia o sympatie prohusyckie. O uleganie kacerskim wpływom. O kontakty z czeskimi odszczepieniami.

- Ha. A to niegodziwcy. Jeśli więc zostali zabici, nie ma Inkwizycja powodów, by ich oplakiwać. Biskup, jak go znam, niezawodnie powiedziałby, że tylko się cieszyć. Że ktoś Oficjum wyreczył.

- Oficjum nie lubi, gdy się je wyrecza. Tak odpowiedziałbym biskupowi.

- Biskup zareplikowałby, że w takim razie Oficjum winno działać sprawniej i szybciej.

Z podziemi znowu doleciał wrzask - tym razem znacznie głośniejszy, przeraźliwszy, bardziej przeciągły i trwający dłużej. Wąskie usta Pomurnika skrzywiły się w parodii uśmiechu.

- Oho - wskazał ruchem głowy. - Czerwone żelazo. Przedtem było zwykle *strappado* i kluby na palcach rąk i nóg. Prawda?

- To zatwardziały grzesznik - odrzekł niechętnie Hejncze. - *Haereticus pertinax* ... Nie odbiegajmy jednak od tematu, rycerzu. Badzcie łaskawi powtórzyć jego dostojności biskupowi Konradowi, że Święta Inkwizycja z rosnącym niezadowoleniem obserwuje, jak tajemniczo giną ludzie, na których są delacje. Ludzie podejrzani o herezję, o kunszacty i spiskowanie z kacerzami. Ludzie ci giną, zanim Inkwizycja zdola ich przesłuchać. Wygląda tak, jakby ktoś chciał zacierać ślady. A temu, kto zaciera ślady herezji, samemu trudno będzie przed zarzutem herezji się obronić.

- Powtórz biskupowi słowo w słowo - uśmiechnął się drwiako Pomurnik. - Ale wątpię, by się złął. Nie jest z tych strachliwych. Jak wszyscy Piastowie.

Po poprzednim wrzasku wydawało się, że torturowany głośniejszy i przeraźliwiej wrzasnąć już nie zdoła. Ale tylko się tak wydawało.

- Jeśli teraz nic nie wyzna - powiedział Pomurnik - to nie wyzna nigdy.

- Wygląda, że macie wprawę.

- Nie praktyczna, bron Boze - Pomurnik usmiechnal sie paskudnie. - Czytywalo sie jednak praktyków. Bernarda Gui. Mikolaja Eymericha. I waszych wielkich slaskich poprzedników: Peregryna z Opolá, Jana Schwenckefelda. Zwlaszcza tego ostatniego polecalbym uwadze waszej mlodej wielebności.

- Rzeczywiscie?

- Nie inaczej. Brat Jan Schwenckefeld bowiem cieszył sie i radował, ilekroć jakas tajemnicza reka zakatrupila lotra, kacerza czy kacerskiego popiecznika. Brat Jan dziekował w duchu owej tajemniczej rece i odmawiał pacierz w jej intencji. Bylo zwyczajnie jednego lotra mniej, sam brat Jan miał dzieki temu wiecej czasu na innych lotrów. Za slusne i dobre uważal bowiem brat Jan, by grzesznicy zyli w trwodze. By, jak kaze Ksiega Powtózonego Prawa, drzał grzesznik dniem i noca ze strachu, nie bedac pewnym zycia. By rano myslal: któz sprawi, by nadszedl wieczór, a wieczorem: któz sprawi, by nadszedl poranek.

- Interesujace mówicie rzeczy, panie. Przemysle je, badzcie pewni.

- Twierdzicie - powiedział po chwili Pomurnik - a poglad ten usankcjonowali juz liczni papieze i doktorowie kosciola, ze czarownicy i kacerze to jedna wielka sekta, działajaca bynajmniej nie chaotycznie, lecz według wielkiego, wymyślonego przez samego Szatana planu. Twierdzicie z uporem, ze herezja *imaleficcium* to ta sama tajna, potezna liczebnie, zintegrowana, perfekcyjnie urzadzona, kierowana przez diabla organizacja. Organizacja, która w ostrym i zacietym boju konsekwentnie realizuje plan obalenia Boga i przejecia wladzy nad swiatem. Dlaczego wiec az tak zapalczywie odpychacie od siebie mysl, ze w tym boju takze druga wojujaca strona... powolala do zycia... swoja wlasna... tajna organizacje? Dlaczego tak nie chce sie wam w to wierzyc?

- Dlatego chocby - odrzekł spokojnie inkwizytor - ze pogladu podobnego nie usankcjonował zaden z papiezy ani doktorów kosciola. Dlatego, dodam, ze Bóg nie potrzebuje zadnych tajnych organizacji, mając nas, Swiete Oficjum. Dlatego, dodam jeszcze, ze zbyt wielu widziałem pomylenców, mających sie za Boze narzedzia, działajace w boskim poslannictwie i w imieniu Opatrzności. Zbyt wielu juz widziałem takich, którzy słyszeli głosy.

- Pozazdroscic. Wielescie widzieli. Któzby przypuscil, patrzac na wasza mloda wielebność.

- Totez - Grzegorz Hejncze nie przejął sie drwina - gdy wreszcie wpadnie mi w rece *owasagitta volante*, ów samozwancy demon i Boze narzedzie... Skonczy sie nie meczentwem bynajmniej, na które ów pewnie liczy, ale zamknieniem na trzy spusty w Narrenturmie. W Wiezy Błaznów bowiem jest miejsce błazna i szalenca.

Na schodach do podziemia, z którego juz od dluzszego czasu nie dobiegaly krzyki, zaszuraly buty.

Wkrótce do sali wszedł chudy dominikanin. Zblizyl sie do stolu, schylil w uklonie, demonstrujac upstrzona brunatnymi plamami lysine nad waskim wianuszkiem tonsury.

- I jak? - spytał z wyrazna niechęcia Hejncze. - Bracie Arnulfie? Wyznal wreszcie?

- Wyznal.

-*Bene*. Bo juz mnie to zaczynalo nuzyc.

Mnich uniósł oczy. Nie bylo w nich niecheći. Ani znuzenia. Oczywistym bylo, ze procedura w

ratuszowym podziemiu nie znuzyla go bynajmniej ani nie zde gustowała. Wrecz przeciwnie. Oczywistym bylo, ze z chęcia zaczalby od nowa. Pomurnik usmiechnal sie do bratniej duszy. Dominikanin usmiechu nie odwzajemnil.

- I cóż? - ponaglil inkwizytor.

- Zeznania sa spisane. Powiedzial wszystko. Poczynajac od wezwania i wywołania demona, poprzez teurgie i konjuracje do tetragramacji i demonomagii. Podal tresc i obrzadek podpisania cyrografu. Opisal osoby, które widywal podczas sabatów i czarnych mszy... Nie zdradzil jednak, choc sie staralismy, miejsca ukrycia magicznych ksiąg i grymuarów... No, ale zmusilismy go do podania nazwisk osób, dla których sporzadzil amulety, w tym i amulety zabójcze. Przyznal sie tez, ze z diabelska pomoca, uzywajac urim i thurim, zmusil do uleglosci i uwiódl dziewice...

- O czym ty mi tu bajesz, braciszku - warknal Hejncze. - Co ty mi tu o demonach i dziewicach? Kontakty z Czechami! Nazwiska taboryckich szpiegów i emisariuszy! Skrzynki kontaktowe! Miejsca ukrycia broni i materialów propagandowych! Nazwiska zwerbowanych! Nazwiska sympatyków husytyzmu!

- Z tych rzeczy - zajaknal sie mnich - nie wyznal niczego.

- Tedy - Hejncze wstal - jutro zabierzcie sie za niego od nowa. Panie von Grelenort...

- Poswieccie mi - Pomurnik oczami wskazal chudego zakonnika - jeszcze chwilke.

Inkwizytor odprawil mnicha niecierpliwym gestem. Pomurnik czekal, az wyjdzie.

- Chcialbym - powiedzial - dowiesc dobrej woli. Liczac, ze zostanie to tajemnica, w sprawie tych zagadkowych zabójstw chcialbym, jesli wolno, doradzic waszej wielebnosci...

- Nie mówcie jeno, prosze - Hejncze, nie podnoszac wzroku, pukal palcami o stół. - Nie mówcie, ze winni sa Zydzi. Uzywajacy urim i thurim.

- Radzilbym pojmac... I dokladnie przesluchac... Dwie osoby.

- Nazwiska.

- Urban Horn. Reinmar z Bielawy.

- Brat tego zamordowanego? - Grzegorz Hejncze zmarszczyl sie, ale trwalo to tylko sekunde. - Ha. Bez komentarza, bez komentarza, panie Birkarcie. Bo znowu gotowiscie wytknac mi brak znajomosci Pisma, tym razem historii o Kainie i Ablu. Tych dwóch zatem. Reczycie mi slowem?

- Recze.

Przez chwile mierzyli sie klujacymi spojrzzeniami. Znajde obu, myslal inkwizytor. I to szybciej, niz przypuszczasz. Moja w tym glowa. A moja, myslal Pomurnik, w tym, bys nie znalazl ich zywyimi.

Zegnam, panie von Grelenort. Bóg z wami. Amen, wasza wielebnosc.

* * *

Aptekarz Zachariasz Voigt stekał i jeczal. W celi ratuszowego karceru rzucono go w kat, w dołek, w którym zbierała się cała sciekająca z murów wilgoc. Słoma była tu zgnila i mokra. Aptekarz nie mógł jednak zmienić miejsca, nawet pozycję zmieniał nieznacznie i z ledwością - miał poprzetracane łokcie, powyciągane stawy barkowe, połamane golenie, pogruchothane palce rąk, do tego rwące jatrzącym bólem oparzeliny na bokach i stopach. Leżał więc na wznak, stekał, jeczal, mrugał pokrytymi zakrzepłą krwią powiekami. I majaczył.

Wprost ze ściany, wprost z pokrytego liszajem pleśni muru, wprost, wydawało się, że szczelin między cegłami wyszedł ptak. I natychmiast przeobraził się w czarnowłosego i czarno odzianego człowieka. To znaczy, w czelakowską postać. Zachariasz Voigt wiedział bowiem dobrze, że to nie był człowiek.

- O panie mój... - zastekał, wijąc się na słomie. - O, księżu ciemności... Mistrzu ukochany... Przybyłeś! Nie porzuciłeś w potrzebie wiernego twego sługi...

- Muszę cię rozczarować - powiedział czarnowłosy, schylając się nad nim. - Nie jestem diabłem. Ani wysłannikiem diabła. Diabeł losem jednostek przejmuje się mało.

Zachariasz Voigt otworzył usta jak do krzyku, ale zdołał tylko zaskrzeczeć. Czarnowłosy chwycił go za skronie.

- Miejsce ukrycia traktatów i grymuarów - powiedział. - Przykro mi, ale muszę je z ciebie wydobyć. Ty nie będziesz już miał z ksiąg żadnego pożytku. A mnie bardzo się przydadzą. Przy okazji ocale cię od dalszych tortur i ognia stosu. Nie dziękuj.

- Jeśli nie diabłem... - oczy tracącego władzę nad sobą czarownika rozwarły się w zgrozie. - Tedy przybywałeś... Od tego drugiego? O Boże...

- Znowu cię rozczaruje - uśmiechnął się Pomurnik. - Ten losem jednostek przejmuje się jeszcze mniej.

Rozdział piętnasty

w którym okazuje się, że choć pojęcia „oplacalna sztuka” i „artystyczny geszeft” wcale nie muszą oznaczać *contradictio in adiecto*, to jednak w dziedzinie kultury nawet epokowe wynalazki nie tak łatwo znajdują sponsorów.

Jak każde większe miasto na Śląsku, Świdnica kara grzywny groziła każdemu, kto uważałby się wyrzucać na ulicę śmieci bądź nieczystości. Nie wyglądało jednak na to, by zakaz ten egzekwowano przesadnie surowo, wręcz przeciwnie, widac było, że nikt nic sobie z tego zakazu nie robi. Krótka, acz obfita poranna ulewa podmoczyła uliczki grodu, a kopyta koni i wołów szybko zmiesiły je w gówniano-blotnisto-słomiana topiel. Z topieli, niczym zaklęte wyspy z oceanu, wyrastały stosy

odpadków, bogato udekorowane przeróżnymi, niekiedy bardzo widowiskowymi egzemplarzami padliny. Po co gestszym gnoju czlapały gesi, po co rzadszym plywały kaczkę. Ludzie z trudem poruszali się po trotuarach z desek i dranic, co i rusz z nich spadając. Choc wilkierze magistratu groziły grzywna również za puszczenie samopas inwentarza, ulicami w obu kierunkach biegały kwiczące wieprze. Wieprze sprawiały wrażenie oszalałych, klusowały na oslep na wzór swych biblijnych praszczurów z Gadary, potracając pieszych i plosząc konie.

Mineli uliczkę Tkaczy, potem huczaca młotkami Bednarska, wreszcie Wysoka, za którą już był rynek. Reynevana korciło, by zajrzeć do pobliskiej a słynnej apteki „Pod Złotym Lindwurmem”, znalazł bowiem dobrze aptekarza, pana Krzysztofa Eschenloera, u którego studiował kiedyś podstawy alchemii i białej magii. Porzucił jednak zamiar, ostatnie trzy tygodnie sporo nauczyły go o zasadach konspiracji. Nadto Szarlej ponaglał. Nie zwolnił kroku nawet obok żadnej z piwnic, w których nalewano swidnickie marcowe, piwo o światowej renomie. Przeszli szybko - na ile pozwalał ścisk - targ warzyw w podcieniach na wprost ratusza, powędrowali ciasną od wozów uliczką Kraszewicka.

Weszli za Szarlejem pod niskie kamienne sklepienie, w ciemny tunel bramy, w której śmierdziało tak, jak gdyby już z dawien dawna szczęły tu starożytne plemiona Slezan i Dziadoszan. Z bramy wyszli na podwórze. Ciasna przestrzeń zagracona była wszelakim smieciem i złomem, a kotów było tu tyle, że nie powstydziliby się chram bogini Bastet w egipskim Bubastis.

Koniec podwórza otoczony był podkowa kruzganka, obok wiodących na stromych schodów stała drewniana podobizna, nosząca niki i pochodzące sprzed wieków ślady farby i pozłotki.

- Jakis święty?

- Łukasz Ewangelista - wyjaśnił Szarlej, wstępując na skrzypiące schody. - Patron artystów malarzy.

- A po co myśmy tu przyszli, do owych artystów malarzy?

- Po różny ekwipunek.

- Strata czasu - orzekł niecierpliwy i teskniący do swej łubej Reynevan. - Tracimy czas! Jaki ekwipunek? Nie rozumiem...

- Dla ciebie - przerwał Szarlej - znajdziemy nowe onuce. Wierz mi, są ci pilnie potrzebne. A i my odetchniemy, gdy pozbedziesz się starych.

Wylegające się na stopniach koty ustępowały niechętnie. Szarlej zakolatal, masywne drzwi otwarły się i stanął w nich niski, chuderławy i rozczochrany jegomość z sinym nosem, w chalcie upstrzonym feeria różnobarwnych plam.

- Mistrz Justus Schottel jest nieobecny - oznajmił, śmiesznie mrużąc powieki. - Zajdźcie później, dobrzy... Dla Boga! Oczom nie wierze! Czcigodny pan...

- Szarlej - uprzedził szybko demeryt. - Nie kaczciez mi stac na progu, panie Unger.

- A jakże, a jakże... Proszę, proszę...

Wewnątrz mocno pachniało farbą, lnianym olejem i żywicą, wrzała wyteżona praca. Kilku młodzików w zatłuszczonych i uczernionych fartuchach uwijało się obok dwóch dziwacznych maszyn. Maszyny zaopatrzone były w kolowroty i przypominały prasy. I faktycznie były to prasy. Na oczach Reynevana

spod przyciskanego drewniana sruba tloczydla wyciagnieto karte papieru, na której widniała Madonna z Dzieciatkiem.

- Ciekawe.

- He? - sinonosy pan Unger oderwał wzrok od Samsona Miodka. - Co powiadacie, młody panie?

- Ze to ciekawe.

- To bardziej - Szarlej uniósł arkusz wyjęty spod drugiej maszyny. Na arkuszu widniało kilka równo ułożonych prostokątów. Były to karty do pikiety, asy, wyzniki i niziniki, nowoczesne, według wzoru francuskiego, w kolorach *pigue itrefle*.

- Pełna talie - pochwalil się Unger - znaczy, trzydziści sześć kart, robimy w cztery dni.

- W Lipsku - odrzekł Szarlej - robia w dwa.

- Ale seryjna tandete! - uniósł się honorem sinonosy. - Z byle jakich drzeworytów, byle jak malowane, krzywo cięte. Nasze, spójrzcie jeno, jak wyrazne w rysunku, gdy się pokoloruje, arcydzieło będzie. Tedy w nasze grają na zamkach i dworach, ba, w katedrach i kolegiatach, a w te lipskie ino lapserdaki rzną po szynkach i bordelach...

- Dobrze, dobrze. Ile bierzecie za talie?

- Półtorej kopy groszy, jeśli *loco* pracownia. Jeśli *franco* klient, dochodzi transport.

- Prowadźcie do indergmaszku, panie Szymonie. Tam na mistrza Schottela zaczekam.

W drugiej izbie, przez którą przechodzili, było ciszej i spokojniej. Przy sztalugach siedziało tu trzech artystów. Byli tak pochłonięci pracą, że nawet nie odwrócili głów.

Na desce pierwszego artysty był tylko grunt i szkic, nie dalo się więc odgadnąć, co malowidło będzie wyobrazić. Dzieło drugiego malarza było znacznie bardziej zaawansowane, widniała na nim Salome z głową Jana Chrzciciela na tacy. Salome miała na sobie odzienie powłóczyście i zupełnie przejrzyste, artysta zadbał o to, by widoczne były szczegóły. Samson Miodek parsknął z cicha, Reynevan westchnął. Spojrzał na trzecią deskę. I westchnął jeszcze głośniejsze.

Obraz był zupełnie niemal gotowy i przedstawiał świętego Sebastiana. Sebastian z obrazu różnił się jednak dość zasadniczo od zwykłych wyobrażeń meczennika. Owszem, nadal stał u pała, nadal z natchnionym uśmiechem mimo licznych strzał wbitych w brzuch i tors efeba. I tu podobieństwa się kończyły. Ten Sebastian był bowiem całkowicie goły. Stał sobie z przyrodzeniem grubasnym i zwisającym tak okazałe, że widok ten każdego meczczyźne musiał przyprawić o zakłopotanie.

- Specjalne zamówienie - wyjaśnił Szymon Unger. - Dla klasztoru cysterek w Trzebnicy. Pozwólcie, panowie, do indergmaszku.

* * *

Od strony pobliskiej ulicy Kotlarskiej dolatywał dziki brzek i loskot.

- Ci - wskazał ruchem głowy Szarlej, od jakiegoś czasu zajęty pisaniem czegoś na karcie papieru. - Ci snadź mają sporo zamówień. Kreści się interes w kociolkowej branży. A jak u was, drogi panie Szymonie?

- Zastój - odrzekł dość ponuro Unger. - Zamówienia to i nie powiem, są. Ale co z tego? Kiedy nie ma jak towaru rozwozić? Cwierci mili nie ujedziesz, a już cię zatrzymują, skąd, pry, dokąd, pytają, w jakiej sprawie, po sepetach i jukach grzebia...

- Kto? Inkwizycja? Czy Kolditz?

- Jedni i drudzy. Ksieża inkwizytorzy u dominikanów, o rzut burakiem stad, rezydują. A w pana starostę Kolditza jakby diabeł wstąpił. A to wszystko przez to, że naraz złapali paru czeskich emisariuszy z kacerskimi pismami i manifestami. Ci, jak ich na ratuszu mistrz małodobry przypiekl, wyznali, z kim się znosili, kto im dopomagał. U nas, a także w Jaworze, w Rychbachu, po wsiach nawet, w Kleczkowie, we Wirach... Tylko tu, w Swidnicy, osmiu na stosach splonęło na bloniu przed Dolną Bramą. Ale prawdziwa bieda to się zaczęła tydzień temu, gdy w dniu Bartłomieja apostoła, w samo południe, na wrocławskim gościncu, zamordował ktośik bogatego kupca, pana Mikołaja Neumarkta. Dziwna, ojdziwna to była sprawa...

- Dziwna? - zainteresował się nagle Reynevan. - Czemu?

- A bo to, młody panie, nikt wyrozumieć nie mógł, kto i dlaczego pana Neumarkta ubił. Jedni gadali, pry, rycerze rabusie, choćby taki Hayn von Czirne albo Buko Krossig. Drudzy zaś mówili, że to Kunz Aulock, też zbir nielichy. Aulock, gadają, jakiegoś junaka, wywołanca, po całym Śląsku goni, bo ów junak czyjaś żonę zhanbił gwałtem i czarostwem. Inni mówią, że to musowo ten właśnie scigany junak ubił. Jeszcze inni gadali, że mordercami są husyci, którym się pan Neumarkt czymś naraził. Jak tam było naprawdę, nie zgadniesz, ale pan starosta Kolditz się wściekł. Klął się, że zabójcę pana Neumarkta, gdy go złapie, żywcem ze skóry oblupi. A skutek taki, że nijak towar rozwozić, bo ciągiem kontrolują, jedni albo drudzy, jak nie Inkwizycja, to starostowi... Tak, tak...

- Tak, tak.

Reynevan, który od dłuższego czasu zabawiał się bazgraniem węglem po karcie, poderwał nagle głowę, szturchnął łokciem Samsona Miodka.

- *Publicus super omnes* - powiedział cicho, pokazując mu kartę. - *Annis de sanctimonia. Positione hominis. Voluntas vitae* .

- Słucham?

- *Voluntas vitae* . A *mozepofestas vitae* ? Staram się odtworzyć napis na nadpalonym papierze Peterlina. Na tym, który wyciągnąłem z ognia w Powojowicach. Zapomniales? Twierdziłeś, że to ważne. Miałem sobie przypomnieć, co tam było napisane. Więc sobie przypominam.

- Ach, prawda. Hmm... *Potestas vitae* ? Niestety. Z niczym mi się nie kojarzy.

- A mistrza Justusa - mówił do siebie Unger - jak nie ma, tak nie ma.

Jakby na wypowiedziane zaklecie drzwi otwarły się i stanął w nich jegomość odziany w czarna, obszerna i podbita futrem delie z bardzo szerokimi rekawami. Nie wyglądał na artystę. Wyglądał na

burmistrza.

- Witaj, Justus.

- Na kosci swietego Wolfganga! Pawle? To ty? Na swobodzie?

- Jak widzisz. A zwe sie teraz Szarlejem.

- Szarlej, hmm... A twoi... Hmm... kompanioni?

- Oni tez na swobodzie.

Mistrz Schottel poglaskal kota, który, zjawiwszy sie nie wiedziec skad, ocieral mu sie o lydki. Potem siadl za stołem, splótl dlonie na brzuchu. Przyjrzał sie bacznie Reynevanowi, dlugo, bardzo dlugo nie odrywal wzroku od Samsona Miodka.

- Przyjechales po pieniadze - odgadl wreszcie ponuro. - Musze cie upzedzic...

- Ze interesy ida zle - ucial bezceremonialnie Szarlej. - Wiem. Slyszałem. Tu jest lista. Spisalem, znudzony czekaniem na ciebie. Wszystko, co na niej figuruje, musze miec jutro.

Kot wskoczyl Schottelowi na kolana, drzeworytnik poglaskal go w zamysleniu. Czytal dlugo. Wreszcie podniósł wzrok.

- Pojutrze. Wszak jutro niedziela.

- Racja, zapomnialem - kiwnal glowa Szarlej. - Cóz, uczcimy i my dzien swiety. Nie wiem, kiedy ponownie do Swidnicy zawitam grzechem wiec byloby paru chlodnych piwnic nie odwiedzic, nie sprawdzic, jak sie tegoroczne marcowe udalo. Ale pojutrze, maestro, to pojutrze. Poniedzialek, ni dnia dluzej. Pojmujesz?

Mistrz Schotte kiwnieciem zapewnil, ze tak.

- Nie pytam cie - podjal po chwili Szarlej - o stan mojego rachunku, bo spółki rozwiazywac ani udzialu wycofywac nie zamierzam. Upewnij mnie jednak, ze o spółke dbasz. Ze nie lekcewazysz danych ci niegdys dobrych rad. Ani idei, które dla spółki moga byc intratne. Wiesz, o czym mówie?

- Wiem - Juitus Schottel wygrzebal z kalety duzy klucz. - I zaraz cie upewnie, ze tve pomysly i rady biore sobie do serca. Firnie Szymonie, prosze wyjac ze skrzyni i przyniesc próbe ksylografów. Tych z serii biblijnej.

Unger sprawil sie szybko.

- Prosze - Schottel rozrzucil arkusze na stole. - Wszystko moja wlasna reka, nie dawalem uczniom. Niektóre gotowe pod tloczy, nad niektórymi jeszcze pracuje. Wierze, ze twój pomsl byl dobry. Ze ludzie to kupia. Nasza serie biblijna. Prosze, prosze, ocen. Ocencie, panowie.

Wszyscy pochylili sie nad stołem.

- Co to... - Reynevan, czerwony, wskazal jeden z arkuszy, przedstawiajacy naga pare w absolutnie niedwuznacznej pozycji asytuacji. - Co to jest?

- Adam i Ewa. Przecież widac. To, o co Ewa sie opiera, to wszak Drzewo Zakazane.

- Aha.

- Tutaj zas, prosze spojrzec - demonstrowal dalej snycerz, pelen dumy ze swych dzieł - Mojzesz i Hagar. Tutaj Samson i Dalila. A tutaj Amnon i Tamar. Wcale ladnie mi sie to udalo, nieprawdaz? Tu zas...

- Na ma dusze ... Co to ma byc? Ta platanina?

- Jakub, Lea i Rachela.

- A to... - zajaknal sie Reynevan, czujac, ze krew lada moment trysnie mu z jagód. - Co to... To...

- Dawid i Jonatan - wyjasnil niefrasobliwie Justus Schottel. - Ale to musze jeszcze poprawic. Przerobic...

- Przerób - przerwal dosc zimno Szarlej - na Dawida i Batszebe. Bo brakuje tu, cholera, tylko Balaama i oslicy. Powsciagnij nieco wyobraznie, Justus. Jej nadmiar szkodzi, podobnie jak nadmiar soli w zupie. A to zle robi interesom.

- Generalnie jednak - dodal, by udobruchac obrazonego nieco artyste - *bene, bene, benissime, maestro* . Powiem krótko: lepiej, niz oczekiwalem.

Justus Schottel pojasnial, jak kazdy artysta prózny i lasy na pochwaly.

- Widzisz wiec, Szarleju, ze gruszek w popiele nie zasypiam, ze o firme dbam. A to ci jeszcze powiem, zem bardzo ciekawe nawiazal kontakty, takie, które wielce korzystnymi dla spółki naszej moga sie okazac. Trzeba ci bowiem wiedziec, zem „Pod wolem i jagnieciem” poznal niezwyklego mlodego czlowieka, zdolnego wynalazce... Ach, po cóz opowiadac, sam zobaczysz i uslyszysz. Albowiem zaprosilem go. Tylko go patrzec. Zareczam, gdy go poznasz...

- Nie poznam - przerwal Szarlej. - Nie chcialbym, by ów mlody czlowiek w ogóle mnie widzial u ciebie. Ani mnie, ani moich towarzyszy.

- Rozumiem - zapewnil po chwili milczenia Schottel. - Znowu wdepnales wiec w jakies gównno.

- Mozna to tak nazwac.

- Kryminalne czy polityczne?

- Zalezy od punktu widzenia.

- Cóż - westchnal Schottel - takie czasy. Ze nie chcesz, by cie tu widziano, rozumiem. W danym przypadku tve obiekcje sa jednak nieuzasadnione. Młodzieniec, o którym mówie, to Niemiec, rodem z Moguncji, bakalarz uniwersytetu w Erfurcie. W Swidnicy jest przejazdem. Nikogo tu nie zna. I nie pozna, bo wkrótce wyjezdza. Warto, Szarleju, warto sie z nim zaznajomic, warto zastanowic sie nad tym, co wynalazl. Niezwykly to, swiatly umysl, wizjoner, rzeklbym. Zaprawde, *vir mirabilis* . Zobaczysz sam.

* * *

Gleboko i dzweczenie rozległ się dzwon kościoła farnego, jego wezwanie do modlitwy na Anioł Pański podjęły dzwonnice wszystkich pozostałych czterech świdnickich świątyn. Dzwony ostatecznie zakończyły dzień pracy - zamilkły wreszcie nawet pracowite i hałasliwe warsztaty z ulicy Kotlarskiej.

Już dawno poszli do domów również artyści i czeladnicy z pracowni mistrza Justusa Schottela, toteż gdy wreszcie zjawiał się zapowiadany gość, ów wart poznania światły umysł i wizjoner, w izbie z tłoczniami powitali go tylko sam mistrz, Szymon Unger, Szarlej, Reynevan i Samson Miodek.

Gość był rzeczywiście człowiekiem młodym, rówieśnikiem Reynevana. Szkolarz wnet poznał też szkolarza - podczas powitania gość miał dla Reynevana ukłon nieco mniej formalny, a uśmiech nieco bardziej szczery.

Przybysz nosił wysokie kurdybanowe buty, miękki aksamitny beret i krótki płaszcz na skórzanym kubraku zapinanym na liczne mosiężne klamry. Na ramieniu niósł wielką podróżną torbę. W sumie wyglądał bardziej na truwerę waga-bunde niż na szkolarza - jedynym, co wskazywało na akademickie zwiazki, był szeroki sztylet norymberski, bron popularna we wszystkich uczelniach Europy, tak wśród studentów, jak i pracowników naukowych.

- Jestem - zaczął przybysz, nie czekając, aż przedstawi go Schottel - bakalarzem akademii erfurckiej, zwał się Jan Gensfleisch von Sulgeloch zum Gutenberg. Wiem, że to trochę przydługie, dlatego zwykle skracam do samego Gutenberg. Jan Gutenberg.

- Chwali się - odrzekł Szarlej. - A że i ja jestem zwolennikiem skracania rzeczy niepotrzebnie długich, przejdźmy nie mieszkając do sedna. Czego dotyczy wasz wynalazek, panie Janie Gutenberg?

- Druku. Dokładniej, drukowania tekstów.

Szarlej od niechcienia przerzucił leżące na ławie ksylografy, wyjął i pokazał jeden, na którym pod symbolem Trójcy Świętej widniał napis: BENEDICITE POPULI DEO NOSTRO.

- Wiem... - poczerwieniał lekko Gutenberg. - Wiem, panie, co dajecie do zrozumienia. Raczcie alisci zauważyć, że celem umieszczenia tekstu na waszym ksylografie, celem sporządzenia tego napisu, niezbyt długiego, przyznacie, snycerz musiał zmudnić rżnąć w drewnie ze dwa dni. A gdyby się pomylił nawet w jednej literze, cała praca na nic, musiałby zaczynać od nowa. A gdyby przyszło mu sporządzić drzeworyt dla, weźmy, całego psalmu szesćdziesiątego piątego, jak długo musiałby pracować? A gdyby chciał wydrukować wszystkie psalmy? A cała Biblię? Jak długo...

- Wieczność, ani chybi - przerwał Szarlej. - Waszmości zaś wynalazek, jak mniemam, likwiduje minusy pracy w drewnie?

- W znacznej mierze.

- Ciekawym.

- Jeśli pozwolicie, zademonstruję.

- Pozwole.

Jan Gensfleisch von Sulgeloeh zum Gutenberg otworzył swa torbe, wysypał zawartosc na stół. I jal demonstrowac, opisujac swe czynnosci slowami.

- Wykonalem - mowil i pokazywal - z twardego metalu klocki z poszczególnymi literami. Litery na klocku sa, jak widzicie, wyrznięte wypuklo, wiec nazwalem to patryca. Odbiwszy taka patryce w miekkiej miedzi, otrzymalem...

- Matryce - odgadl Szarlej. - To oczywiste. Wypukle pasuje do wkleslego jak tata do mamy. Slucham dalej, panie von Gutenberg.

- We wkleslych matrycach - pokazywal bakalarz - moge sztuka giserska wykonac odlewy, tyle, ile zechce miec buksztab, czyli czcionek. O, takich, prosze spojrzec. Czcionki, których klocki idealnie do siebie przystaja, ukkladam... we wlasciwym porzadku... na tej oto ramce... Ramka jest mala, dla celów demonstracyjnych, ale normalnie, zechca panowie spojrzec, jest ona wielkosci stronicy przyszlej ksiegi. Jak widzicie, ustalam sobie dlugosc wierszy. Wkladam kliny celem ustawienia równych marginesów. Sciskam ramke zelazna obejma, zeby mi sie to wszystko nie rozpieprzylo... Smaruje tuszem, tym samym, którego uzywacie wy... Mozna poprosic o pomoc, panie Unger? Klade pod tloczydlo... Na to karte papieru... Panie Unger, szruba... I prosze, gotowe.

Na karcie, równiutko posrodku, wydrukowane wyraznie i czysto, widnialo:

IUBILATE DEO OMNIS TERRA

PSALMUM DICITE NOMINI EUIS

- Psalm szescdziesiaty piaty - klasnal w dlonie Justus Schottel. - Jak zywy!

- Jestem pod wzrazeniem - przyznal Szarlej. - Pod duzym wzrazeniem, panie Gutenberg. Bylbym pod jeszcze wiekszym, gdyby nie fakt, ze powinno byc „dicite nomini eius”, nie zas „euis”.

- Ha-ha! - bakalarz rozpromienil sie jak zak, któremu udal sie figiel. - Z rozmyslem to uczynilem! Celowo popelnilem pomyлке skladacza, znaczy, blad zecerski. By zademonstrowac, popatrzcie jeno, z jaka latwoscia mozna dokonac korekty. Blednie wstawiona buksztabe wyjmuje oto... Wkladam na miejsce wlasciwe... Szruba, panie Unger... I oto tekst poprawny.

-*Bravo* - rzekl Samson Mioddek. -*Bravo ,bravissimo* . Rzeczywiscie robi wzrazenie.

Nie tylko Gutenberg, ale i Schottel oraz Unger otwarli usta. Jasnym bylo, ze mniej zdziwiloby ich, gdyby odezwal sie kot, podwórkowa statua swietego Lukasza albo malowany Sebastian z wielkim fiutem.

- Pozory - wyjasnil, chrzaknawszy, Szarlej - czasem myla. Nie jestescie pierwsi.

- I pewnie nie ostatni - dodal Reynevan.

- Przepraszam - rozlozyl rece olbrzym. - Nie moglem sie oprzec pokusie... Bedac, badz co badz, swiadkiem wynalazku, który odmieni oblicze epoki.

- Ha! - rozpromienil sie Gutenberg, jak kazdy artysta rad z pochwały, chochy i wygloszonej przez siegajacego glowa powaly osilka o obliczu idioty. - Tak wlasnie bedzie! Nie inaczej! Bo wyobrazic raczyc sobie chciejcie, cni panowie, uczone ksiegi w dziesiatkach, a kiedys, jakby smiesznie to dzis nie brzmialo, moze i w setkach egzemplarzy! Bez uciuzliwego i wieki trwajacego przepisywania! Madrosc ludzkosci wydrukowana i dostepna! Tak, tak! A jesli wy, cni panowie, mój wynalazek poprzecie, to recze wam, ze to wlasnie wasz gród, przeswietna Swidnica, po wsze czasy slynac bedzie jako miejsce, w którym zaplonal kaganek oswiaty. Jako miejsce, z którego na swiat caly rozeszla sie swiatlosc.

- Zaiste - przemówil po chwili Samson Miodek, swym lagodnym i spokojnym glosem. - Widze to oczyma duszy mojej. Masowa produkcja papieru, gesto pokrytego literami. Kazdy papier w setkach, a kiedys, jakby smiesznie to nie zabrzmialo, moze i w tysiacach egzemplarzy. Wszystko po wielokroc powielone i szeroko dostepne. Lgarstwa, brednie, oszczerstwa, paszkwile, donosy, czarna propaganda i schlebiajaca motlochowi demagogia. Kazda podlosc nobilitowana, kazda nikczemnosc oficjalna, kazde klamstwo prawda. Kazde swinstwo cnota, kazda zapluta ekstrema postepowa rewolucja, kazde tanie haselko madroscia, kazda tandeta wartoscia. Kazde glupstwo uznane, kazda glupota ukoronowana. Bo wszystko to wydrukowane. Stoi na papierze, wiec ma moc, wiec obowiazuje. Zaczac to bedzie latwo, panie Gutenberg. I rozruszac. A zatrzymac?

- Watpie, by zaszla koniecznosc - wtracil pozornie powaznie Szarlej. - Bedac wiekszym od ciebie realista, Samsonie, az takiej popularnoscii temu wynalazkowi nie wróze. A nawet gdyby faktycznie poszlo prorokowanym przez ciebie torem, to da sie to, da sie zatrzymac. Sposobem prostym jak dyszel. Najzwyczajniej w swiecie stworzy sie indeks ksiag zakazanych.

Gutenberg, jeszcze niedawno promieniejący, przygasl. Tak bardzo, ze Reynevanowi zrobilo sie go zal.

- Nie wrózycie wiec memu wynalazkowi przyszlosci - stwierdzil po chwili grobowo. - Z iscie inkwizytorskim zapalem wysledziwszy ciemne jego strony. I zupełnie jak inkwizytorzy lekcewazac jasne. Swietliste. Najswietsze. Wszak drukowac mozna bedzie, i tym samym szeroko propagowac, Slowo Boze. Co na to odpowiecie?

- Odpowiemy - usta Szarlej a skrzywil drwiacy usmieszek - jak inkwizytorzy. Jak papiez. Jak ojcowie soborowi. Cóż to, panie Gutenberg, nie wiecie, co w tym wzgledzie orzekli ojcowie soborowi? *Sacra pagina* winna byc przywilejem duchownych, tylko oni bowiem sa zdolni ja zrozumiec. Wara od niej swieckim glabom.

- Szydzicie.

Reynevan tez tak myslal. Bo Szarlej, gdy gadal dalej, wcale nie skrywal ni szydliwego usmiechu, ni drwiacego tonu.

- Swieckim, nawet tym wykazujacym szcztakowy rozum, wystarcza kazania, lekcje, ewangelia niedzielnia, wypisy, opowiesci i morality. A ci calkiem ubodzy duchem niechaj poznaja Pismo na jaselkach, miraklach, pasjach i drogach krzyzowych, spiewajac laudy i gapiac sie w kosciolach na rzezby i obrazy. A wy chcecie wydrukowac i dac tej ciemnocie Pismo Swiete? Moze jeszcze w dodatku przetlumaczone z laciny na jezyk ludowy? Zeby kazdy mógł je czytac i po swojemu interpretowac? Chcielibyscie, by do tego doszlo?

- Wcale nie musze chciec - odrzekl spokojnie Gutenberg. - Bo do tego juz doszlo. Calkiem niedaleko stad. W Czechach. I jakkolwiek sie dalsze dzieje potocza, nic nie zmieni juz ani tego faktu, ani jego skutków. Czy chcemy tego, czy nie, stoimy w obliczu reform.

Zapadła cisza. Reynevanowi wydalo sie, ze powialo zimnem. Od okna, od strony odleglego o rzut burakiem klasztoru dominikanów, w którym rezydowała Inkwizycja.

- Kiedy Husa spalili w Konstancji - odwazyl sie przerwac dlugie milczenie Unger - uleciala, mówia, z dymu i popiolu golebica. Powiadaja: omen. Nadejdzie prorok nowy...

- A bo to tez i czasy takie - wybuchnal nagle Justus Schottel - ze nic tylko wziac, spisac jakies tezy i przybic je, kurwaz jego mac, na drzwiach jakiegos kosciola. Psik, Luter, psik ze stolu, bezczelny kocie.

Znowu dlugo panowala cisza, w której rozlegalo sie pelne zadowolenia mruczenie kota Lutra.

Cisze przerwal Szarlej.

- Plunawszy na dogmaty, doktryny i reformy - powiedzial - stwierdzam, ze jedno mi sie podoba, jedna mysl cieszy mnie ogromnie. Jesli waszmosc swym wynalazkiem ksiag nadrukujesz, to a nuz ludzie zaczną uczyć sie czytać, wiedzac, ze jest co czytać? Wszak nie tylko popyt rodzi podaż, lecz *vice versa* . Na poczatku bylo wszak slowo, *in principio erat verbum* . Warunkiem jest oczywista, by slowo, czyli ksiega, byla tansza jesli nie od talii kart, to od gasiora wódki, jako ze jest to kwestia wyboru. Reasumujac: wie pan co, panie Janie Gutenberg? Pomijajac jego minusy, po glebszym przemyśleniu dochodze do wniosku, ze ten panski wynalazek moze jednak byc epokowy.

- Z ust mi to wyjales, Szarleju - powiedzial Samson Miodek. - Z ust mi to wyjales.

- Tedy - twarz bakalarza pojasniala znowu - zechcecie sponsorowac...

- Nie - ucial Szarlej. - Nie zechce. Epokowosc epokowoscia, ale ja tu, panie Gutenberg, interes prowadze.

Rozdzial szesnasty

w którym Reynevan, szlachetny jak Perceval i równie głupi, rzuca sie z odsieczą i staje w obronie. W efekcie cala kompania musi uciekac. Bardzo szybko.

-*Basilicus super omnes* - powiedzial Reynevan. -*Annus cyclicus. Voluptas* ? Tak, na pewno*voluptas. Voluptas papillae .De sanctimonut et... Expeditione hominis* . Samsonie!

- Slucham?

-*Expeditione hominis* . *Albopositione hominis* . Na nadpalonym papierze. Tym z Powojowic. Kojarzy ci sie z czyms?

- *Voluptas papillae* ... Oj, Reinmarze, Reinmarze.

- Pytałem, czy ci się kojarzy!

- Nie. Niestety. Ale cały czas myślę.

Reynevan nie skomentował, choć mimo zapewnień Samson Miodek zdawał się mniej myśleć, a więcej drzemac w siodle rosłego myszatego walacha, konia, którego załatwił Justus Schottel, swidnicki mistrz drzeworytnik, na podstawie sporządzonej przez Szarleja listy.

Reynevan westchnął. Skompletowanie zamówionego ekwipunku trwało nieco dłużej, niż planowano. Miast trzech, spędzili w Swidnicy bite cztery dni. Demeryt i Samson nie narzekali, ba, wręcz radzi byli, mogąc poszwendac się po sławnych swidnickich piwnicach i dogłębniej przebadac jakość tegorocznego marcowego. Reynevan natomiast, któremu dla konspiracji włóczenie się po szynkach odradzono, nudził się w pracowni w towarzystwie nudnego Szymona Ungera, złościł, niecierpliwił, kochał i tęsknił. Pilnie liczył dni rozłąki z Adela i za nic w świecie nie chciał mu wyjść mniej niż dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem dni! Miesiąc bez mała! Zastanawiał się, czy i jak Adela jest w stanie to zniesć.

Piątego dnia rankiem oczekiwania nadszedł kres. Pożegnawszy się z drzeworytnikami, trzech wędrowcy opuścili Swidnicę, tuż za Bramą Dolną dołączając do długiej kolumny innych wędrowców, konnych, pieszych, obładowanych, objuczonych, pedzających bydło i owce, ciągnących wózki, pchających taczki, jadących na wehikulach najprzeróżniejszej konstrukcji i urody. Nad kolumną unosił się smród i duch przedsiębiorczości.

Do sporządzonej przez Szarleja listy ekwipunku Justus Schottel z własnej inicjatywy dołączył i dostarczył całkiem sporo rozmaitych, acz wyraźnie chaotycznie zebranych sztuk odzieży, wszyscy trzech wędrowcy zyskali więc szansę przeodziać się. Szarlej skorzystał z szansy natychmiast i teraz prezentował się poważnie, ba, wojaćko nawet, odziany w pikowany *hagueton*, noszący rdzawe i budzące respekt odciski pancerza. Poważny ubiór w magiczny sposób zmienił też samego Szarleja - pozbywszy się błazńskiego stroju demeryt wyzbył się też błazńskich manier i odzywek. Teraz siedział wyprostowany na swym pięknym cisku, opierał piasek o biodro i patrzył na mijających kupców z marsową miną, z prewencją jeśli nie Gawaina, to co najmniej Gareta.

Samson Miodek też zmienił wygląd, choć w dostarczonych przez Schottela pakunkach niełatwo było znaleźć coś na olbrzyma pasującego. Wreszcie udało się zastąpić workowaty klasztorny chałat luźną krótką zurnadą i kapuza powycinaną w modne zabki. Był to ubiór na tyle popularny, że Samson przestał się - na ile było to możliwe - wyróżniać z tłumu. Teraz, w kolumnie innych wędrowców, każdy przyglądający się widział szlachcica w kompanii zaka i służki. Taka przynajmniej miał Reynevan nadzieję. Liczył też, że Kyrielejson i jego banda, jeśli nawet zwiedzieli się o towarzyszącym mu Szarleju, wypytują o dwóch - nie o trzech - podróżnych.

Sam Reynevan, wyrzuciwszy swe podniszczone i niezbyt świeże rzeczy, wybrał z oferty Schottela obcisłe spodnie i lentner z modnie watowanym przodem, nadającym sylwetce ptasi nieco wygląd. Całosek uzupełniał beret, jaki zwykli nosić szkolarze - jak choćby świeżo poznany Jan von Gutenberg. Ciekawe, że właśnie Gutenberg stał się przedmiotem dyskursu, przy czym, o dziwo, wcale nie szło o wynalazek druku. Goscinię za Bramą Dolną, biegnący do Rychbachu dolina rzeki Pilawy, stanowił część ważnego szlaku handlowego Nysa-Drezno i jako taki był bardzo uczeszczany. Tak bardzo, że zaczęło to drażnić czuły Szarlejowy nos.

- Panowie wynalazcy - gderal demeryt, opędzając się od much - pan Gutenberg *et consortes*, mogliby wreszcie wynaleźć coś praktycznego. Jakis, dajmy na to, inny sposób komunikacji. Jakies *perpetuum*

mobile , cos, co porusza sie samo, bez koniecznosci zdawania sie na konie i woly, jak te tu, bez ustanku demonstrujace nam ogromne zaiste mozliwosci swych kiszek. Ach, zaprawde powiadam wam, marzy mi sie cos, co samo jedzie, nie zanieczyszczajac zarazem srodowiska naturalnego. Co? Reinmarze? Samsonie? He? Co ty na to, przybyly z zaswiatów filozofie?

- Cos, co samo jezdzi, a nie smrodzi - zastanowil sie Samson Miodek. - Samo sie porusza, a nie paskudzi na drogi i nie zatruwa srodowiska. Ha, zaiste, nielatwy to dylemat. Doswiadczenie podpowiada mi, ze wynalazcy go rozwiaza, ale tylko w czesci.

Szarlej moze i mial zamiar indagowac olbrzyna o sens wypowiedzi, przeszkodzil mu jednak jezdziec, oberwaniec na chudej szkapie, wyrywajacy na oklep w strone czola kolumny. Szarlej opanowal sploszonego ciska, pogrozil oberwancowi piescia, rzucil za nim serie wyzwisk. Samson stanal w strzemiesiach, spojrzal w tyl, skad oberwaniec przygalopowal. Szybko zdobywajacy doswiadczenie Reynevan wiedzial, czego wypatruje.

- Na zlodzieju czapka gore - odgadl. - Tego uciekiniera ktos sploszyl. Ktos jadacy od strony miasta...

- ...i uwaznie przygladajacy sie wszystkim podróznym - dokonczyl Samson. - Pieciu... Nie, szesciu zbrojnych. Kilku ma godlo na jakach. Czarny ptak z rozpostartymi skrzydlami...

- Znam ten herb...

- Ja tez! - rzekl ostro Szarlej, sciagajac wodze. - W konie! Za chuda kobyła! Jazda! Co tchu!

Blisko juz czola kolumny, w miejscu, gdzie droga wchodzila w mroczne bukowiny, skrecili w las, po jakimś czasie ukryli sie w krzakach. I widzieli, jak oboma skrajami drogi, przygladajac sie wszystkim, skrupulatnie zagladajac do wozów i pod plachty furgonów, przejechalo szesciu konnych. Stefan Rotkirch. Dieter Haxt. Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem. Oraz Wittich, Morold i Wolfher Sterczowie.

- Taak - powiedzial przeciagle Szarlej. - Tak, Reinmarze. Siebie miales za madrego, a caly swiat za glupi. Z przykroscia informuje cie, ze bylo to mniemanie bledne. Bo caly swiat juz przejrzal i ciebie, i twoje latwe do przejrzenia zamiary. Wie, ze zmierzasz do Ziebic, gdzie twa luba. Jesli zas wlasnie zaczynasz miec watpliwosci, jesli zaczynasz szukac sensu jazdy do Ziebic, to nie trudz sie mysleniem. Ja ci to powiem: sensu nie ma. Zadnego. Twój plan jest... Pozwól, niech poszukam odpowiedniego slowa... Hmm...

- Szarleju...

- Mam! Absurdalny.

* * *

Spór byl krótki, ostry i zupełnie bezcelowy. Reynevan pozostal gluchy na logike Szarleja, Szarleja nie wzruszily Reynevanowe milosne tesknoty. Samson Miodek wstrzymal sie od glosu.

Reynevan, którego mysli zaprzatala głównie kalkulacja dni rozlaki z kochanka, nalegal, rzecz jasna, by kontynuowac jazde ku Ziebicom, badz to sladem Sterczów, badz tez podjawszy próbe wyprzedzenia ich, na przyklad gdy stana na popas, prawdopodobnie gdzieś w poblizu Rychbachu lub w samym

miescie. Szarlej był zdecydowanie przeciw. Dany przez Sterczów pokaz ostentacji, twierdził, świadczyć może tylko o jednym.

- Oni - pouczył - mają za zadanie właśnie wypłoszyć cię w kierunku Rychbachu i Frankensteinu. A tam gdzie czekają już Kyrielejson i de Barby. Wierz mi, chłopcze, to standardowy sposób chwywania zbiegów.

- Jakże więc masz propozycje?

- Moje propozycje - Szarlej wskazał wokół siebie szerokim gestem - limituje geografia. Tamto wielkie, zasnuwane chmurami, na wschodzie, to jest, jak wiesz, Szeza. To, co się wznosi tam, to są Góry Sowie, tamto duże to jest góra zwana Wielka Sowa. Przy Wielkiej Sowie są dwie przełęcz, Walimska i Jugowska, tamtędy mogliśmy dostać się do Czech, na Broumovsko.

- Czechy, jak twierdziłeś, są ryzykowne.

- W tej chwili - odparł zimno Szarlej - największym ryzykiem jesteś ty. I poscig, który depta cię po piętach. Wyznam, że najchętniej ruszyłbym teraz właśnie do Czech. Z Broumova przeskoczył na Klodzko, z Klodzka na Morawę i na Węgry. Ale ty, podejrzewam, nie zrezygnujesz z Ziebic.

- Słusznie podejrzewasz.

- Cóż, przyjdzie więc nam zrezygnować z bezpieczeństwa, jakie zapewniłyby przełęcz.

- Byłoby to - wtrącił niespodzianie Samson Miodek - bezpieczeństwo bardzo względne. I trudno osiągalne.

- To fakt - zgodził się spokojnie demeryt. - Nie jest to najbezpieczniejsza okolica. Cóż, zatem kierujemy się jednak na Frankenstein. Ale nie traktem, lecz podnóżem gór, skrajem borów Przesieki Śląskiej. Drogi nadłożymy, trochę powędrujemy przez bezdroża, ale cóż nam pozostaje?

- Jechac traktem - wybuchnął Reynevan. - Za Sterczami! Dopasć ich...

- Sam - uciął ostro Szarlej - nie wierzysz w to, co mówisz, chłopcze. Bo przecież nie chcesz wpaść im w łapy. Bardzo nie chcesz.

* * *

Jechali więc, początkowo przez bukowiny i dąbrowy, potem duktami, wreszcie droga, wijąca się wśród pagórków. Szarlej i Samson gawędzili cicho. Reynevan milczał i rozpamiętywał ostatnie słowa demeryta.

Szarlej po raz kolejny dowiedział, że umie jeśli nie czytać w myślach, to bezbłędnie zgadywać na podstawie przesłanek. Widok Sterczów obudził, co prawda, w Reynevanie zrazu wściekłość i dzika żądza zemsty, gotów był niemal natychmiast ruszyć tropem, doczekać nocy, zakręcić się i podrzynąć gardła uspiętym. Powstrzymał go jednak nie tylko rozsadek, ale i paralizujący strach. Kilka razy już budził się, złany zimnym potem, ze snu, w którym pojmano go i wleczono do katowni w lochach Sterzendorfu, względem zaś zgromadzonych tam narzędzi sen był przerazająco dokładny. Gdy Reynevan przypominał sobie te narzędzia, robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Teraz też ciarki pelzały mu po plecach, a serce stawało, ilekroć na skraju drogi wyrastały ciemne sylwetki, które dopiero po

uwazniejszym spojrzeniu okazywały sie nie Sterczami, lecz jalowcami.

Sprawę pogorszyło jeszcze, gdy Szarlej i Samson zmienili temat rozmowy i jeli sie rozwazan z zakresu historii literatury.

- Gdy trubadur Gwilelm de Cabestaing - prawil Szarlej, wymownie zerkajac na Reynevana - uwiódl zone pana de Chateau-Roussillon, ów kazal zakatrupic poete, wypatroszyl go, serce kazal kucharzowi usmazyc i dal niewiernej malzonce do zjedzenia. Ta zas rzucila sie z wiezy.

- Tak przynajmniej mówi legenda - odpowiadal Samson Miodek z erudycja, która w zestawieniu z jego kretynska geba wprawiala w oslupienie. - Panom trubaduróm nie zawsze mozna dawac wiare, ich strofy o milosnych sukcesach u zameznych dam czesciej oddaja checi i marzenia, rzadziej zdarzenia rzeczywiste. Przykladem chocby Marcabru, którego, pomimo nachalnych sugestii, zdecydowanie nie laczylo z Eleonora Akwitanska. Wyolbrzymione sa tez, moim zdaniem, romanse Bernarta de Ventadorn z pania Alaiz de Montpellier i Raula de Coucy z pania Gabriela de Fayel. Watpliwosci budzi tez Tybald z Szampanii, gdy przechwala sie wzgledami Blanki Kastylijskiej. A takze Arnold de Mareil, wedlug wlasnych słów kochanek Adalazji z Beziers, faworyty króla Aragonii.

- Tu moze byc - godzil sie Szarlej - ze trubadur konfabulowal, bo skonczylo sie na przepedzeniu z dworu, byloby w poezji ziarno prawdy, rzecz moglaby miec smutniejszy final. Albo gdyby król byl bardziej krewki. Jak chocby pan de Saint-Gilles. Ten za dwuznaczna kancone do swej zony kazal trubadurowi Piotrowi de Vidal uciac jezyk.

- Wedlug legendy.

- A trubadur Giraut de Corbeilh, zrzucony z murów Carcassonne, to tez legenda? A Gaucelm de Pons, otruty za przyczyna jakiejs pieknej mezatki? Mów co chcesz, Samsonie, ale daleko nie kazdy rogacz byl takim blaznem jak markiz Montferrat, który znalazl w ogrodzie swa zone, spiaci w objeciach trubadura Raimbauta de Vaqueyras, nakryl oboje plaszczem, by nie przemarzli.

- To byla jego siostra, nie zona. Ale reszta sie zgadza.

- A co spotkalo Daniela Carreta za przyprawienie rogów baronowi de Faux? Baron zabil go rekami wynajetych zbirów, kazal sporzadzic sobie puchar z jego czaszki i teraz pija z niego.

- Wszystko prawda - kiwnal glowa Samson Miodek. - Oprócz tego, ze nie byl to baron, lecz hrabia. I nie zabil, lecz uwiezil poete. I sporzadzil nie puchar, lecz ozdobny woreczek. Na sygnet i drobne pieniadze.

- Wo... - zachlyslal sie Reynevan. - Woreczek?

- Woreczek.

- Cóżes to nagle tak posinial, Reinmarze? - udal troske Szarlej. - Cóżes to, niezdrów moze? Wszak zawsze twierdzil, ze wielka milosc zada poswiecen. Mówi sie wybrance: wole cie nizli królestwo, nizli sceptr, nizli zdrowie, nizli dlugi wiek i zycie... A woreczek? Woreczek to drobiazg.

* * *

Z niedalekiego kościółka - jak twierdził Szarlej, ze wsi o nazwie Lutomia - dobiegł akurat dzwiek dzwonu, gdy jadacy na czele Reynevan zatrzymał się, uniósł rękę.

- Słyszycie?

Byli na rozstaju, przy krzywym krzyżu i figurze, rozmytej przez deszcze w bezkształtny balwan.

- To waganie - stwierdził Szarlej. - Śpiewają.

Reynevan pokręcił głową. Dobiegające z ginałego w lesie wawozu dźwięki niczym nie przypominały ani *Tempus est iocundum*, ani *Amor tenet ognia*, ani *In taberna quando sumus*, ani żadnej z innych popularnych goliardzkich piosenek. Głosy, które słyszał, niczym nie przypominały głosów waganów, którzy wyprzedzili ich niedawno. Przypominały raczej...

Zmacał dłoń rekojęsc kordą, kolejnego z otrzymanych w Swidnicy podarunków. A potem pochylił się w siodle i popędził konia. W klus. A potem w cwał.

- Dokąd? - ryknął za nim Szarlej. - Stój! Stój, do diabła! Wpakujesz nas w kłopoty, głupcze!

Reynevan nie słuchał. Wjeżdżał w jar. A za jarem, na polanie, wrzała bitwa. Stał tam zaprzęg, dwa przysadziste konie i furgon nakryty czarnym smolowanym płótnem. Obok furgonu jakichś dziesięciu pieszych w brygantynach, kolczych kapturach i kapalinach, uzbrojonych w bron drzewcowa, atakowało dwóch rycerzy. Zajądło jak psy. Rycerze bronili się. Zajądło. Jak osaczone dziki.

Jeden rycerz, konny, był w pełnej zbroi płytowej, zakuty w blachy od stóp do głów, znaczy, od kopuły salady po szpiczaste sabatony. Ostrza sulic i glewi odskakiwały od napiersnika, dzwoniły na taszkach i bejgwantach, nie dawały wżać się w szczeliny. Nie mogąc dobrać się do jeźdźcy, napastnicy wyzywali się na koniu. Nie dźgali, starali się nie kaleczyć - w końcu kon kosztował grube pieniądze - ale tłukli drzewcami, co się zmiesci, licząc, że szalejące zwierzę zwałi rycerza. Kon faktycznie szalał, trząsł łbem, chrapał i gryzł ociekające pianą kielchno. Szkolony snadź w tym sposobie walki wierzgał przy tym i kopał, utrudniając dostęp do siebie i swego pana. Rycerz jednak kolebał się w siodle tak energicznie, że aż dziw brał, że się w nim utrzymuje.

Drugiego z rycerzy, również w pełnej pływicy, z siodła bowiem zszedł się pieszym udało - teraz bronił się zaciekle, przyparty do czarnego furgonu. Nie miał helmu, spod odrzuconego kaptura powiewały długie, jasne, okrwawione włosy, spod podobnie jasnych wąsów błyskały zęby. Atakujących go przepędzał ciosami trzymanego oburącz szarszuna, który, lubo długi i ciężki, smigał w dłoniach rycerza niby jakiś ozdobny dworski mieczyk. Bron była groźna nie tylko z wyglądu - przystęp atakującym utrudniało już trzech leżących na ziemi rannych, wyjących z bólu i usiłujących odczołgać się na bok. Reszta napastników okazywała więc respekt, nie podchodzić, a usiłując dziabnąć rycerza z bezpiecznej odległości. Jednak nawet jeśli pchnięcia trafiały, jeśli nie zostawały odbite ciężką klingą szarszuna, ostrza zeslizgiwały się po blachach.

Obserwacja wydarzenia, opisanie którego zajęć tych kilka linijek musiało, Reynevanowi zajęła chwilkę tylko. Miał przed oczami to, co miałby każdy: dwóch pasowanych rycerzy w biedzie, napastowanych przez horde opryszków. Albo: dwa lwy kasane przez hieny. Albo: Rolanda i Florismarta, stawiających opór przewadze Maurów. Reynevan w jednej chwili poczuł się więc Olivierem. Wrzasnął, wyszarpnął z pochwy kord, uderzył konia piętami i rznął na odsiecz, zupełnie nie zważając na ostrzegawcze krzyki i przekleństwa Szarleja.

Jakkolwiek szalencza, odsiecz nie była nawet o moment za wczesna. Atakowany rycerz zwałił się

bowiem właśnie z konia, czyniac huk, jak gdyby miedziany kociol zrzucano z wieży kościelnej. Przyparty zas drzewcami do wozu blondyn z szarszunem mógł wspomóc go jedynie plugawymi słowami, którymi szczerze obrzucał napastników.

Na to wszystko wpadł Reynevan. Koniem roztracił i obalił klebiących się nad zrzuconym z siodła, jednego, siwowasego, który obalić się nie dał, ciał, aż zadzwoniło, kordem po kapalinie. Kapalin spadł, a siwowasy obrócił się, wykrzywił złowrogo i z rozmachem zdeptał Reynevana halabardą, z bliska, na szczęście więc jedynie drzewcem. Ale Reynevan i tak spadł z konia. Siwowasy skoczył na niego, przygniótł, chwycił za gardło. I odfrunął. Dosłownie. Z taką bowiem mocą Samson Miodek huknął go pięścią w bok głowy. Na Samsona momentalnie skoczyli inni, olbrzym znalazł się w opalach. Porwał z ziemi halabardę, pierwszego atakującego wałnął płazem po hełmie tak, że żelazce odleciało, a walnieta padł jak skoszony. Samson zawiązał ratyszczem, zamłynkował nim jak trzcina, czyniac rum wokół siebie, Reynevana i podnoszącego się z ziemi rycerza. Rycerz przy upadku zgubił salade, znad kryjącego szyję bartu widac było młodą, rumianą twarz, perkaty nos i zielone oczy.

- Poczekajcie, swinskie ryje! - krzyczał śmiesznym dyszkantem. - Ja wam pokaze, gównojady! Na czerep świętej Sabiny! Popamiętajcie mnie!

W sukurs będącemu już w położeniu oplakany, broniącemu się przy wozie jasnowłosemu przyszedł Szarlej. Demeryt w istic akrobatycznym stylu, w pełnym cwale podniósł czyjs upuszczony miecz, rozpedził pieszych, rabiąc na prawo i lewo z podziwu godną wprawą. Jasnowłose, któremu w scisku przy wozie wytracono szarszun, nie tracił czasu na szukanie go w piachu, rzucił się w wir walki z pięściami.

Niespodziewana odsiecz przechyliła, wydawałoby się, szale na stronę napadniętych, gdy wtem zalomotały podkute kopyta i na polane w pełnym galopie wpadli czterej ciężkozbrojni. Jeśli nawet Reynevan przez moment miał wątpliwości, rozwiał je triumfalny wrzask pieszych, ze zdwojona ochotą rzucających się do boju na widok posiłków.

- Żywcem bracie! - wrzeszczał spod zasłony hełmu przywódca ciężkozbrojnych, z trzema srebrnymi rybami na tarczy. - Żywymi hultajów!

Pierwsza ofiara nowo przybyłych był Szarlej. Demeryt wprawdzie zwinnie uniknął ciosu bojowego topora, zeskakując z kulbaki, ale na ziemi przeważająca siła opadli go piesi. Z pomocą pospieszył mu Samson Miodek, gromiąc swym ratyszczem. Olbrzym nie ułaskawił się napierającego na rycerza z toporem, wałnął jego rumaka w chroniący łeb żelazny naczółek z taką siłą, że ratyszczę pękło z trzaskiem. Ale koniak zakwicział i padł na kolana. A jeździec ściągnął z siodła jasnowłosego. Obaj zaczęli się barować, spleceni jak dwa niedzwiedzie.

Reynevan i stracony z siodła młodzik desperacko stawili opór pozostałym pancernym, dodając sobie odwagi dzikim krzykiem, kłatwami i wzywaniem świętych. Beznadziejność sytuacji była jednak nie do przeoczenia. Nic nie wskazywało, by atakujący w ferworze pamiętali o rozkazie brania żywcem - a nawet jeśli, Reynevan widział się już na stryczku.

Ale fortuna była im tego dnia łaskawa.

- Bij, w imię Boże! Morduj, kto w Boga wierzy!

Wśród tetentu i bogobojnych okrzyków do walki wkroczyły następne siły - trzech kolejnych ciężkich jeźdźców w pełnych zbrojach i przyłbicach z zasłonami typu hunds-gugel, psia kapuca. Nie było wątpliwości, po czyjej stronie. Ciosy długich mieczy jednego po drugim rozciągały na zakrwawionym

piasku pieszych w kapalinach. Ciety poteznie, zachwiał się w siodle rycerz z rybami w herbie. Drugi osłonił go tarczą, podtrzymał, złapał konia za wodze, obaj rzucili się w galop, do ucieczki. Trzeci też chciał uciekać, ale dostał mieczem po głowie i runął pod kopyta. Co meźniejsi piesi próbowali się jeszcze zastawiać drzewcami, ale co i rusz któryś rzucał bron i zmykał w las.

Jasnowłosy poteznym ciosem piesci w żelaznej rekawicy obalił tymczasem swego przeciwnika, usiłującego wstać pchnął stopą w ramię, gdy zaś pchnięty usiadł ciężko, rozejrział się za czymś, czym by go mógł grzmotnąć.

- Lap! - krzyknął jeden z ciężkozbrojnych. - Lap, Rymbaba!

Nazwany Rymbaba jasnowłosy chwycił w locie rzucony mu czepek, paskudnie wyglądający *martel de fer*, z rozmachem, aż zahuczalo, wałnął po helmie usiłującego wstać, raz, drugi, potem trzeci raz. Głowa bitego opadła na ramię, spod wgiętej blachy krew obficie wylała się na *auentail*, obojczyk i napiersnik. Jasnowłosy stanął nad rannym okrzykiem i grzmotnął raz jeszcze.

- Jezu Chryste - sapnął. - Jak ja lubię te roboty...

Młodziak z perkatym nosem zacharczał, wypluł krew. Potem wyprostował się, uśmiechnął ubroczonej usty i wyciągnął do Reynevana dłoń.

- Dzięki za pomoc, szlachetny paniczku. Na pieszczole świętego Afrodyzjusza, nie zapomnę wam tego! Jestem Kuno von Wittram.

- A mnie - jasnowłosy wyciągnął prawicę do Szarleja - niech czarci w piekle oprawia, jeśli zapomnę pomocy waszej. Jam jest Paszko Pakosławic Rymbaba.

- Zbieraj się - skomenderował jeden z pancernych, pokazując spod otwartej zasłony słońca twarz i sine od gładko zgolonego zarostu policzki. - Rymbaba, Wittram, łapciez konie! Żywiej, u kaduka!

- O, wa - Rymbaba pochylił się i wysmarkał w palce.

- Toc uciekli!

- Wróć wnet - orzekł drugi z przybyłych z odsieczą, wskazując na porzuconą tarczę z trzema rybami w słup. - Czyscie się obaj blekotu nacpali, by napadac podróżnych akurat tu?

Szarlej, głaszcząc ciska po chrapach, obdarzył Reynevana znaczącym, bardzo znaczącym spojrzeniem.

- Akurat tu - powtórzył rycerz. - Na dziedzinie Seidlitzów. Nie darują...

- Nie darują - potwierdził trzeci. - W konie, wszyscy!

Droga i lasem niósł się krzyk, rzenie, łomot kopyt. Przez paprocie i karczce biegli halabardnicy, droga pedziło kilkunastu konnych, ciężkozbrojnych i kuszników.

- W nogi! - wrzasnął Rymbaba. - W nogi, komu szyja miła!

Poszli w cwał, scigani wrzaskiem i swistem pierwszych beltów.

* * *

Nie scigano ich dlugo. Gdy piechota zostala z tylu, konni zwolnili, nie dowierzajac widac przewadze. Strzelcy poslali za uciekajacymi jeszcze jedna salwe - i na tym pogon sie skonczyla.

Dla pewnosc i gnali jeszcze galopem pare staj, pokluczyla, ogladajac sie co i rusz, wsród wzgórz i jaworowych lasów. Nikt ich jednak nie scigal. By dac odetchnac koniom, zatrzymali sie w poblizu wioski, przy skrajnej chalupie. Chlopina, nie czekajac, az mu spladruja chate i obejście, sam wyniosl miske pierogów i ceber maslanki. Raubritterzy siedli u plotu. Jedli i pili w milczeniu. Najstarszy, który wczesniej przedstawil sie jako Notker von Weyrach, dlugo przypatrywal sie Szarlejowi.

- Taaaak - rzekl wreszcie, oblizujac umazane maslanka wasy. - Porzadni i smiali z was ludzie, panie Szarleju i ty, paniczu von Hagenau. Nawiasem, czyscie jaki potomek tego slawnego poety?

- Nie.

- Aha. O czym to ja? A, ze smiale i dzielne z was chlopy. A i wasz pachol, choc na oko przyglup, odwazny jest i waleczny ponad podziwienie. Taaak. Pospieszyliscie z pomoca moim chlopcom. I przez to samiscie w opalach, nie mina was klopoty. Zadarliscie z Seidlitzami, a oni sa msciwi.

- Prawda - poswiadczył drugi rycerz, z dlugimi wlosami i sumiastym wasem, który przedstawil sie jako Woldan z Osin. - Seidlitze sa osobliwe sukinsyny. Caly ich ród, znaczy sie, takze samo Laasany. I Kurzbachy. Wszystko wyjatkowo zlosliwe bydlaki i msciwe dranie... Ej, Wittram, ej, Rymbaba, aleście nabzdziili w sprawie, zeby was zaraza!

- Myslec trzeba - pouczyl Weyrach. - Myslec, jeden z drugim!

- Przecie myslelim - wybakal Kuno Wittram. - Bo bylo tak: patrzam, jedzie wóz. Tedy pomyslelim: moze go tak ograbic? Od slowa do slowa... Tfu, na powrozy swietego Dyzmy! Sami wiecie, jak to jest.

- Wiemy. Ale myslec trzeba.

- A takoz - dodal Woldan z Osin - baczenie miec na eskorte!

- Nie bylo eskorty. Tylko woznica, ciury i konny w bobrowej szubie, musi kupiec. Te uciekli. To i myslimy: dobra nasza. Az tu masz: jak spod ziemi wyskakuje pietnastu zawzietych chmyzów z halebardami...

- Toc mówie. Myslec trzeba.

- A bo to tez i czasy takie! - zaperzyl sie Paszko Pakoslawic Rymbaba. - Do czego to doszlo! Glupi zasrany wóz, towaru tam pod tym wantuchem pewnie za trzy grosze, a bronili, jakby tam byl, nie przymierzajac, Swiety Graal.

- Drzewiej tak nie bywalo - pokiwal modnie po rycersku podstrzyzona czarna czupryna trzeci rycerz, ten sniady, niewiele starszy od Rymbaby i Wittrama, zwacy sie Tassilo de Tresckow. - Drzewiej, jak sie zakrzyklo: „Stój i dawaj!”, to dawali. A dzis bronia sie, bija jak czarty, jak weneckie kondotieri. Górze nam sie stalo! Jak tu w takich warunkach na przemysl chodzie?

- Nijak - podsumowal Weyrach. - Coraz trudniejsze nasze *exercitium*, coraz to ciezsza nasza

raubritterska dola. Hej...

- Heej... - zawtórowali zalosnym chórem rycerze rabusie. - Heeeej...

- Po gnojowisku - zauwazyl i wskazal Kuno Wittram - swinia ryje. Moze zarzniem i zabierzem?

- Nie - zdecydowal po chwili namyslu Weyrach. - Czasu szkoda.

Wstal.

- Panie Szarleju - rzekl. - Isto sie nie godzi, samotrzec cie tu ostawiac. Seidlitze pamietliwi, niechybnie juz poscigi rozsiali, beda sledzic po drogach. Tedy, jedzcie, prosim, z nami. Do Kromolina, naszego siodla. Tam nasi giernkowie sa, a i druhów dosc bedzie. Nikt wam tam nie zagrozi ani nie ublizy.

- Niechby spróbowal! - nastroszyl jasne wasy Rymbaba. - Jedzcie z nami, jedzcie, panie Szarleju. Bo to wam powiem, zescie mi sie nadzwyczajnie udali.

- Jak i mnie mlody panicz Reinmar - Kuno Wittram walnal Reynevana w plecy. - Klne sie na kielnie swietego Ruperta z Salzburga! Jedzciez tedy z nami do Kromolina. Panie Szarleju? Dobra?

- Dobra.

- Tedy - przecignal sie Notker von Weyrach - w droge, *comitiva* .

* * *

Gdy orszak sie formowal, Szarlej zostal z tylu, dyskretnie wezwal ku sobie Reynevana i Samsona Miodka.

- Ów Kromolin - rzekl cicho, poklepujac po szyi ciska - to gdzies w poblizu Srebrnej Góry i Stoszowic, przy tak zwanej Sciezce Czeskiej, szlaku, który z Czech wiedzie przez PrzelecZ Srebrna do Frankensteinu, do traktu wroclawskiego. Jechac z nimi tedy bardzo nam po drodze i bardzo na reke. I duzo bezpiecniej. Trzymajmy sie ich. Przymknawszy oczy na proceder, którym sie paraja. W biedzie sie nie wybiera. Radze wszelako zachowac ostroznosc i za duzo nie gadac. Samsonie?

- Milcze i udaje gamonia. *Pro bono commune* .

- Swietnie. Reinmarze, zbliz sie. Mam ci cos rzec.

Reynevan, juz w siodle, podjechal, podejrzewajac, co go czeka i co uslyszy. Nie pomyлил sie.

- Posluchaj mnie uwaznie, niepoprawny durniu. Stanowisz dla mnie smiertelne zagrozenie juz samym faktem istnienia. Nie pozwole, bys to zagrozenie zwiakszal kretynskim zachowaniem i postepkami. Nie bede komentowal faktu, ze chcac byc szlachetny, okazales sie glupi, zes rzucil sie na odsiecz zbójcom i wsparl owych w walce z silami porzadku. Nie bede sie naigrawal, da Bóg, fakt ten nauczyl cie czegos. Ale zapowiadam: jesli jeszcze raz zrobisz cos podobnego, zostawie cie na laske losu, nieodwolalnie i definitywnie. Zapamietaj, osle, zakonotuj sobie, balwanie: tobie nikt nie pospieszy z pomoca w potrzebie, tylko idiota zatem spieszzy z pomoca innym. Jesli ktos wzywa pomocy, nalezy odwrócić sie plecami i predko oddalic. Zapowiadam: jesli w przyszlosci glowe choc zwrócisz w strone biedaka, dziewicy w

opresji, krzywdzonego dziecka lub bitego psa, rozstaniemy się. Strugaj sobie potem Percevala na własny rachunek i ryzyko.

- Szarleju...

- Milcz. I czuj się ostrzeżony. Ja nie żartuję.

* * *

Jechali przez śródlesne laki, wśród sięgających strzemion traw i ziół. Niebo na zachodzie, zasłane poszarpanym pierzem chmur, gorzało smugami ognistej purpury. Ciemniała sciana gór i czarnych borów Przesieki Śląskiej.

Jadacy w awangardzie Notker von Weyrach i Woldan z Osin, poważni i skupieni, śpiewali hymn, od czasu do czasu wznosząc ku niebu oczy spod podniesionych hunds-gugli. Śpiew ich, choć niegłosny, brzmiał dostojnie i surowo.

Pange lingua gloriosi

Corporis mysterium,

Sanguinisque pretiosi,

Quem in mundi pretium

Fructus ventris generosi

Rex effudit Gentium. [\[14.\]](#)

Nieco z tyłu, tak daleko, by nie przeszkadzać własnym śpiewem, jechali Tassilo de Tresckow i Szarlej. Obaj, ze znacznie mniejszą powagą, śpiewali ballade miłosna.

So die bluomen uz dem grase dringent,

same si lachen gegen der spilden sunnen,

in einem meien an dem morgen fruo

und diu kleinen uogelln wól singent

in ir besten wtse, die si kunnen,

waz wunne mac sich da gelichen zuo? [\[15.\]](#)

Za spiewakami jechali stepa Samson Miodek i Reynevan. Samson przysluchiwal sie, kiwal w kulbace i mruzczal, jasnym bylo, ze slowa minnesangu zna i ze - gdyby nie zachowywane incognito - chetnie przylaczyliby sie do chóru. Reynevan pograzony byl w myslach o Adeli. Mysli trudno bylo jednak zebrac, albowiem zamykajacy kawalkade Rymbaba i Kuno Wittram nieustannie ryczeli piesni pijackie i sprosne. Ich repertuar sprawial wrazenie niewyczerpanego.

Pachnialo dymem i sianem.

Verbum caro, panem verum

verbo carnem efficit:

fitgue sanguis Christi merum,

et si sensus deficit,

ad firmandum cor sincerum

sola fides sufficit. [\[16.\]](#)

Podniosla melodia i bogobojne wersy Tomasza z Akwinu nie byly w stanie nikogo zmylic, rycerzy wyprzedzala snadz reputacja. Na widok orszaku w poplochu pierzchaly zbierajace chrust baby, zmykaly niczym sarny dorastajace dziewczeta. Drwale uciekali przez zreby, a zdjeci zgroza pasterze wczolgiwali sie pod owce. Uciekl, porzucajac wózek, dziegiarz. Umknelo, zadarlszy habity az po zadki, trzech wedrownych Braci Mniejszych. Wcale, ale to wcale nie podzialaly na nich uspokajaco poetyckie strofy Waltera von der Vogelweide.

Nu wol dan, welt ir die warheit schouwen,

gen wir zuo des meien hohgezite!

der ist mit aller siner krefte komen.

seht an in und seht an werde frouwen,

wederz da daz ander uberstrite:

daz bezzer spil, ob ich daz han genomen. [\[17.\]](#)

Samson Miodek nucil pod nosem do wtóru. Moja Adela, myslal Reynevan, moja Adela. Zaprawde,

gdy wreszcie bedziemy razem, gdy skonczy sie rozlaka, bedzie tak, jak u Walthera von der Vogelweide, w piesni, która spiewaja - nastanie maj. Albo jak w innych strofach tegoz poety...

Rerum tanta novitas

in solemni ver

et veris auctoritas

jubet nos gaudere...[\[18.\]](#)

- Mówiles cos, Reinmarze?

- Nie, Samsonie. Nic nie mówilem.

- Ha. Ale dziwne jakies wydawales pomruki.

Ech wiosna, wiosna... A moja Adela piekniejsza jest od wiosny. Ach, Adelo, Adelo, gdziezes jest, ukochana? Kiedyz wreszcie cie ujrze? Ucaluje twe usta? Twe piersi...

Predzej, naprzód, predzej! Do Ziebic!

Ciekawe tez, pomyslal nagle, gdziez jest i cóz tez porabia Nikoletta Jasnowlosa?

Genitori, Genitoque

laus et jubilatio,

salus, honor, uirtus quoque

sit et benedictio...[\[19.\]](#)

Z konca orszaku, niewidoczni za zakretem drogi, darli sie, ploszac zwierzynie, Rymbaba i Wittram.

Garbarze kurwiarze

dupe wyprawili.

Szewcy skurwysyn

buty z niej zrobili![\[20.\]](#)

Rozdział siedemnasty

w którym w raubritterskim siodle Kromolin Reynevan robi znajomości, je, pije, przyszywa uciete uszy i uczestniczy w tingu anielskiej milicji. Do czasu, gdy do Kromolina przybywają zupełnie niespodziewani goście.

Z punktu widzenia strategii i obronności, raubritterska osada Kromolin była ułożona korzystnie - leżała na wyspie, utworzonej przez szeroką i zamuloną odnogę rzeki Jądkowej. Przystęp dawał skryty wśród wierzb i wiklin most, ale przystępu można było łatwo bronić - świadczyły o tym zapory, kozły i kolczaste kobylice, najwyraźniej przygotowane po to, by w razie konieczności drogę zatarasować. Nawet w półmroku zapadającego zmierzchu widoczne były dalsze elementy fortyfikacji - zasieki i zastrzone pale, wbite w bagnisty brzeg. Przy samym wjeździe most dodatkowo przegrodzony był grubym lancuchem, ale ten został natychmiast zdjęty przez pacholków - zanim jeszcze Notker von Weyrach zdążył zadać w róg. Niewątpliwie wcześniej dostrzeżono ich z czatowni, wznoszącej się nad olszynką.

Wjechali na wyspę, między kryte darnia kłecie i szopy. Głównym, podobnym do fortecy budynkiem był, jak się okazało, młyn, to, co mieli za odnogę rzeki okazało się młynówka. Stawidła były podniesione, młyn pracował, koło huczało, woda ląła się z szumem, pieniać biała piana. Zza mlyna i strzech chałup widac było poswiate licznych ogni. Słychac było muzyke, krzyki, rejwach.

- Hulaja - odgadł Tassilo de Tresckow.

Zza chałup wypadła rozchelstana i rozchichotana dziewczka z powiewającym warkoczem, scigana przez grubego bernardyna. Oboje wpadli do stodółki, z której po chwili rozległy się śmiechy i piski.

- No prosze - mruknął Szarlej. - Zupełnie jak w domu. Mineli ukryta w chaszczach, ale dekonspirująca się smrodem latryne, wyjechali na majdan, pełen ludzi, jasny od ogni, rozbrzmiewający muzyką i gwarem. Dostrzeżono ich, od razu zjawili się przy nich kilku pacholków i giermków. Zsiedli, o rycerskie konie natychmiast zadbanie. Szarlej mrugnięciem dał znak Samsonowi, olbrzym westchnął i odszedł ze służbą, ciągnąc za sobą wierzchowce.

Notker von Weyrach oddał armigerowi helm, ale miecz wziął pod pachę.

- Duzo ludzi zjechało - zauważył.

- Duzo - potwierdził sucho armiger. - A mówią, więcej będzie.

- Chodźcie, chodźcie - ponaglił, zacierając dłonie, Rymbaba. - Głodnym!

- Prawda! - zawtórował Kuno Wittram. - I pic się chce!

Przeszli obok buchającej zarem, smierdzącej węglem i dzwoniącej metalem kuzni, kilku kowali czarnych jak cyklopi uwijało się tam przy robocie, której mieli pełne ręce. Przeszli obok stodoły, która zamieniono na rzeźnię - w szeroko rozwartych wrotach widac było wiszące za nogi sprawione tusze kilku wieprzy i wielkiego wolu, z tego ostatniego, rozplatanego właśnie, wywalano do balii wnetrznosci. Przed stodołą płonęły ogniska, nad zarem skwierczały na roznach prosiaki i barany. Parowały i urzekały wonia osmolone kotły i sagany. Obok, na lawach, za stolami lub wprost na ziemi, siedzieli jeźdźcy, wśród rosnących gór ogryzionych kości klebiły się i gryzły psy. Świeciła oknami i lampami podświetlona karczma, z której co i rusz wytaczano beczki, natychmiast oblegane przez spragnionych.

Otoczony zabudowaniami majdan zalany był migotliwym światłem płonących maznic. Kreciło się tu sporo ludzi, wiesniaków, pacholków, giermków, dziewczek, handlarzy, zonglerów, bernardynów, franciszkanów, Żydów i Cyganów. I sporo rycerzy i armigerów, w zbroi i nieodmiennie z mieczami u pasa lub pod pachą.

Rynsztunek rycerzy określał ich status i stan majątkowy. Większość była w pełnej pływce, a kilku wręcz pyszniło się wyrobami norymberskich, augsburskich i insbuckich mistrzów sztuki platnerskiej. Byli jednak i tacy, których stac było tylko na płytę niekompletna, na noszone na kolczym pancerzu napiersniki, obojczyki, opachy lub nabiodrki.

Przeszli obok spichrza, na schodach którego koncertowała grupa grajków waganatów, rzepolili gęśle, piskały fujarki, buczała basetla, grały fletnie i rozki. Waganeci podskakiwali do rytmu, podzwaniały przy tym przyszyte do ich strojów dzwoneczki i brzekadelka. Opoś, na drewnianym podestce, kilku rycerzy tańczyło, jeśli można było tak nazwać skoki i holubce kojarzące się raczej z chorobą świętego Wita. Czyniony przez nich na deskach łomot prawie zagłuszał gędźbę, a wzbijany kurz unosił się wierzchem w nosie chmura. Dziewki i Cyganki śmiały się i pisały cieniem od goliardzkich piszczałek.

Na środku majdanu, na wielkim, wytyczonym na rogach maznicami kwadracie udeptanej ziemi oddawano się rozrywkom bardziej męskim. Rycerze w zbrojach poddawali próbom wzajemnej umiejętności w posługiwaniu się orem i wytrzymałości blach. Dzwoniły klingi, hukowały o tarcze topory i morgensterny, rozbrzmiewały dosadne kłatwy i zachęcające okrzyki widzów. Dwóch rycerzy, z tego jeden ze złotym karpem Glaubitzów na tarczy, bawiło się dość ryzykownie, bo bez hełmów. Glaubitz zadawał ciosy mieczem, jego przeciwnik, osłaniając się puklerzem, próbował chwycić bron w żeby łamacza głowni.

Reynevan stanął, by przyglądać się walce, ale Szarlej pociągnął go za łokieć, nakazując iść za raubritterami, których najwyraźniej jadło i napoje interesowały bardziej niż oremne zapasy. Niebawem znaleźli się w samym środku uczty i zabawy. Przekrzykując gielk, Rymbaba, Wittram i de Tresckow witali się ze znajomymi, wymieniali uściski dłoni i walnięcia w plecy. Wkrótce wszyscy, wliczając Szarleja i Reynevana, siedzieli już w scisku za stołem, ogryzali z mięsa wieprzowe i baranie łopatki i spełniali kubki pod życzenia zdrowia, szczęścia i tego, by się nam dobrze działo. Gardząc czymś tak nikczemnie małym jak kubek, srodcie widac spragniony Rymbaba pił miód z mieszczącego garniec ceberka, złocisty trunek lał mu się z wasów na napiersnik.

- Zdrowia! W ręce wasze!

- Na honor, w wasze!

- Żeby nam się dobrze działo!

Oprócz walczącego na majdanie Glaubitza byli wśród raubritterów i inni, którzy najwyraźniej nie

uwazali, by zbójceki proceder hanbil rodowy herb i wcale sie z owym nie kryli. Niedaleko Reynevana miażdzył zębami chrzastki dryblas w jace z herbem rodu Kottwitzów - czerwonym haikiem w polu srebrnym. W poblizu krecil sie drugi, kedzierzawy, noszacy Róze, herb Porajów, polskich rycerzy takim wlasnie skrzykujacych *siecri de guerre*. Jeszcze inny, szeroki w barach jak tur, odziany byl w lentner ozdobiony zlotym rysiem. Reynevan nie pamietal, co to za herb, ale wnet mu przypomniano.

- Pan Bozywoj de Lossow - dokonal prezentacji Notker von Weyrach. - Panowie Szarlej i Hagenau.

- Na honor - Bozywoj de Lossow wyjal z ust swinskie zebro, tluszcz kapnal na zlotego rysia. - Na honor, powitac. Hagenau, hmm... Potomek jaki tego slynnego poety?

- Nie.

- Aha. Tedy napijmy sie. Zdrowia!

- Zdrowia.

- Pan Wencel de Hartha - przedstawial kolejnych podchodzacych Weyrach. - Pan Buko von Krossig.

Reynevan przyjrzał sie ciekawie. Noszacy lamowana mosiadzem zbroje Buko von Krossig byl osoba na Slasku slawna, zwlaszcza od ubieglorocznych Zielonych Swiatek, kiedy to dopuscil sie glosnej grabiezy na orszaku i osobie kustosza glogowskiej kolegiaty. Teraz, zmarszczywszy czolo i zmruzywszy powieki, slawny raubritter wpatrywal sie w Szarleja.

- Czy my sie nie znamy? Czysmy sie juz gdzie nie widzieli?

- Nie wykluczam - odparl swobodnie demeryt. - Moze w kosciele?

- Zdrowia!

- Szczescia!

- Zeby nam sie!

- ...rada - mowil Buko von Krossig do Weyracha. - Bedziemy radzic. Niech jeno wszyscy zjada. Traugott von Barnhelm. I Ekhard von Sulz.

- Ekhard Sulz - skrzywil sie Notker von Weyrach. - No jasne. Ten wszedy nos wsciubi. A o czym to radzic mamy?

- O wyprawie - rzekl rycerz siedzacy opodal, dystyngowanie niosac do ust kawalki miesa, które szyletem odrzynal z trzymanego w garsci udzca. Mial dlugie, silnie szpakowate wlosy, zadbane dlonie i oblicze, którego szlachetnosci nie kazily nawet stare szramy.

- Podobno - powtorzyl - wyprawa sie szykuje.

- A na kogóz to, panie Markwarcie? Szpakowaty nie zdazyl odpowiedziec. Na majdanie wszczelo sie zamieszanie i rwetes. Ktos klal, ktos wrzeszczal, urwanie zaskomlal kopniety pies. Ktos gromko wolal cyrulika lub Zyda. Lub obu.

- Slyszycie? - wskazal glowa szpakowaty, usmiechajac sie drwiaco. - Rychlo w czas. Co tam sie stalo?

He? Panie Jasku?

- Otto Glaubitz poszczerbil Johna Schoenfelda - odrzekł zdyszany rycerz z wasami cienkimi i opadającymi jak u Tatarów. - Medyka mu trza. A ów uszedł. Przepadł, parch, szelma.

- A kto się wczoraj odgrzał, że nauczy Żyda jesc obyczajnie? Kto się brał przemocą karmić go swinina? Kogom prosił, by w pokoju ostawić nieboraka? Kogom upominał?

- Jako zwykle praw byliście, cny panie von Stolberg - przyznał niechętnie wasaty. - Ale co nam teraz czynić? Schoenfeld krwawi jak wieprz, a po cyruliku jeno jego żydowskie przyrzady ostaly...

- Dawac tu te przyrzady - rzekł głośno i bez zastanowienia Reynevan. - I dawac tu rannego. I światła, więcej światła!

Rannym, który po chwili z hukiem zbroi wylądował na stole, okazał się ów z majdanu, jeden z walczących bez helmu. Skutkiem nierozwagi okazał się rozrabany aż do kości policzków i nadcięte mocno, zwisające ucho. Ranny klął i rzucał się, krew obficie lała się na lipowe deski stołu, plamila mięso, wsiąkała w chleb.

Przyniesiono sakwę medyka, w świetle kilku skwierczących luczyw Reynevan zabrał się do pracy. Znalazł flakon z larendogra, wylał zawartość na ranę, przy tej operacji pacjent zatrzepotał jak jesiotr i o mało nie spadł ze stołu, musiano go więc przytrzymać. Reynevan przedko nawlókł dratwa krzywa igłę i wziął się do szycia, starając się robić w miarę równe ścięgi. Operowany jał potwornie bluznić, plugawie dotykając niektórych dogmatów religijnych, szpakowaty Markwart von Stolberg zatkał mu więc usta kawalem schabu. Reynevan podziękował wzrokiem. I szyl, szyl i wiazał pod ciekawym wzrokiem oblegającej stół publiki. Ruchami głowy opędzając się od ciem, gesty lecących do pochodni, skupiał się na tym, by przytwierdzić uciete ucho jak najbliżej pierwotnej lokalizacji.

- Czyste płótno - poprosił po jakimś czasie. Natychmiast złapano i odarto z koszuli jedną z przyglądających się dziewczek, protesty uciszono, dając jej parę razy w pape.

Reynevan dokładnie i grubo obandażował głowę rannego poprutym na pasy lnem. Ranny, o dziwo, nie zemdlał, lecz usiadł, niewyraźnie powiedział coś o świętej Lucji, zajechał, zastekał i uscisnął Reynevanowi dłoń. Zaraz potem wszyscy inni wzięli się do sciskania, gratulując medykowi dobrej roboty. Reynevan gratulacje przyjmował, usmiechnięty i dumny. Choć świadom był, że z uchem nie bardzo mu poszło, to jednak na licznych otaczających go gebach widział ślady po ranach zszytych dużo gorzej. Ranny belkotał coś spod bandazy, ale nikt go nie słuchał.

- A co? Zuch, nieprawdaz? - obok przyjmował gratulacje Szarlej. - *Doctus doktor*, niech mnie diabli. Dobry medyk, he?

- Dobry - przyznał, wcale nie okazując skruchy, winowajca, ów Glaubitz ze złotym karpim w herbie, wręczając Reynevanowi kubek miodu. - I trzezwy, a to wśród konowalów rzadkość. Miał Schoenfeld szczęście!

- Miał szczęście - skomentował zimno Buko von Krossig - bos to ty go ciał. Gdybym to był ja, nie byłoby co szyc.

Zainteresowanie zdarzeniem spadło nagle, przerwane przez nowych gości, wjeżdżających na kromolński majdan. Raubritterzy zaszumieli, zapanowało podniecenie, świadczące, że nie było kto wjeżdża. Reynevan przyjrzał się, wycierając ręce.

Kawalkade kilkunastu zbrojnych wiodło trzech jeźdźców. W środku jechał lysiejacy grubas w czarno emaliowanej płycie, mający po prawicy rycerza z ponurą gębą i ukosną blizną na czole, a po lewicy księdza lub mnicha, ale z kordem u boku i w żelaznym obojczyku na kolczudze wdzianej wprost na habit.

- Przyjechali Barnhelm i Sulz - ogłosił Markwart von Stolberg. - Do karczmy, panowie rycerze! Na ting! Dalej, dalej! Zawołac mi tych, co się z dziewczkami gza po sasiakach! Pobudzić śpiących! Na ting!

Powstało małe zamieszanie, niemal każdy z udających się na naradę rycerzy zaopatrywał się w coś do jedzenia i picia. Gromko i groźnie wzywano pacholków, by wytaczali nowe antalki i kufy. Wśród tych, którzy na wezwanie przybiegli, pojawił się i Samson Miodek. Reynevan cichaczem przyzwał go i zatrzymał przy sobie. Chciał oszczędzić towarzyszowi losu służby, której raubritterzy nie żalowali kuksanców i kopniaków.

- Idźcie na ten ting - rzekł Szarlej. - Wmieszajcie się w tłum. Dobrze będzie wiedzieć, co planuje to towarzystwo.

- A ty?

- Mam chwilowo inne plany - demeryt złowił wzrokiem płomienne oczy krecacej się w pobliżu Cyganki, urodziwej, choć nieco przysadzistej, ze złotymi pierścionkami powplatanymi w kruczoczarne loki. Cyganka mrugnęła do niego.

Reynevan miał chęć na komentarz. Ale zwalczył ją w sobie.

* * *

W karczmie był scisk. Pod niską powalą snuł się dym i smród. Wśród ludzi od dawna nie zdejmujących zbroi, to znaczy odór żelaza i nie tylko. Rycerze i armigerzy pogrupowali ławy tak, by utworzyć coś w rodzaju imitacji okrągłego stołu króla Artura, ale daleko nie dla wszystkich starczyło tam miejsca. Duża część stała. Wśród tych, na koncu, by nie rzucić się w oczy, Reynevan i Samson Miodek.

Ting otworzył, witając co znaczących z imienia, Markwart von Stolberg. Zaraz potem głos zabrał Traugott von Barnhelm, ów nowo przybyły, otyły i lysawy, w blachach pokrytych czarną emalią.

- Rzecz, znaczy się, w tym - zagaił, ze szczykiem kładąc przed sobą miecz w pochwie - że Konrad, biskup Wrocławia, zwoluje zbrojnych pod swe znaki. Znaczący się, zbiera wojsko, żeby znowu uderzyć na Czechów, znaczy się, na kacerzy. Bedzie, znaczy się, krucjata. Uwiadomił mnie przez poufnika pan starosta Kolditz, że kto chce, może się do wojska krzyżowego zaciągnąć. Winy będzie krzyżowiec miał przebaczone, a co zarobi, to jego. Konradowi popi gadali przy tym różności, jednak nie spamiętałem, ale jest tu pater Hiacynt, com go, znaczy się, wziął po drodze, on wam to lepiej wyłoży.

Pater Hiacynt, ów ksiądz w zbroi, wstał, rzucił na stół własną bron, ciężki i szeroki kord.

- Błogosławiony Pan - zagrzmiął jak z ambony, wznosząc ręce kaznodziejskim gestem - opoka moja! On moje ręce zaprawia do walki, moje palce do wojny! Bracia! Wiara odeszła! W Czechach kacerska zaraza nabrała sił nowych, ohydny smok husyckiej herezji unosi leb obmierzły! Czyż wy, pasowani rycerze, będziecie patrzeć na to obojętnie, gdy pod znaki krzyżowe garna się tłumnie ludzie stanów

nizszych? Gdy widzac, ze husyci wciaz zyja, co rano placze i frasuje sie Matka Boska? Szlachetni panowie! Przypominam wam slowa swietego Bernarda: zabic nieprzyjaciela dla Chrystusa to zyskac go dla Chrystusa!

- Do rzeczy - wtracil ponuro Buko von Krossig. - Streszczaj sie, pater.

- Husyci - pater Hiacynt walnal w stól obu piesciami naraz - Bogu sa wstretni! Bogu wiec bedzie mile, gdy uderzym w nich mieczem, nie pozwalajac, by wciagali dusze w swój blad i plugastwo! Albowiem zaplata za grzech jest smierc! Smierc tedy, smierc czeskim odszczepiencom, ogien i zaglada kacerskiej zarazie! Dlatego powiadam i prosze, imieniem jego dostojnosci biskupa Konrada, obleczcie, bracia rycerze, na zbroje znak krzyza, stancie sie anielska milicja! A beda wam grzechy i winy odpuszczone, tak na tym padole, jak i na Sadzie Bozym. A co który zarobi, to jego.

Czas jakis panowala cisza. Komus sie odbilo, komus przeciegle zaburczalo w brzuchu. Markwart von Stolberg odchrzaknal, podrapal sie za uchem, powiódl wzrokiem dookola.

- I cóz - zagail - powiecie, panowie rycerze? He? Panowie anielska milicja?

- Nalezalo sie tego spodziewac - przemówil jako pierwszy Bozywoj de Lossow. - Goscil we Wroclawiu legat Branda, z orszakim bogatym, ha, dumalem nawet napasc gdzies na krakowskim trakcie, ale eskorta byla za silna. Nie tajna to rzecz, ze kardynal Branda do krucjaty wzywa. Dojedli husyci rzymskiemu papie!

- Bo tez i prawda, ze w Czechach faktycznie nie jest wesolo - dodal Jasko Chromy z Lubni, znany juz Reynevanowi raubritter o wasach jak u Tataru. - Oblezone sa twierdze Karlsztajn i Zebrak, moga pasc lada dzien. Widzi mi sie, ze jesli my w pore czegos z Czechami nie zrobimy, to Czesi cos zrobia z nami. Trza to, widzi mi sie, pod rozwage wziac.

Ekhard von Sulz, ten z ukosna blizna na czole, zaklal, walnal dlonia w rekojesc miecza.

- Jest mi co rozwazac! - parsknal. - Dobrze gada pater Hiacynt: smierc kacerzom, ogien i zaglada! Bij Czecha, kto cnotliwy! A przy okazji oblowimy sie, bo i slusnie to, by za grzech byla kara, a za cnote nagroda.

- Prawda to - odezwal sie Woldan z Osin - ze krucjata to duza wojna. A na duzej wojnie rychlej sie ludzie bogaca.

- Rychlej tez - zauwazyl kedzierzawy Poraj - po lbie biora. I mocniej.

- Lekliwy sie zrobiles, panie Blazeju - zawolal Otto Glaubitz, rebacz uszu. - A czego sie tu bac? Raz matka rodzila! A tutaj co, nie nadstawiamy szyi, na przemysl chodzac? A czym sie tu wzbogacisz? Co tu urwiesz? Kupcowi sakiewke? A tam, w Czechach, w walnym boju, jak poszczesci ci sie rycerza zywym wziac, mozesz zadac okupu nawet i dwiescie kóp groszy. Powalisz zas, wezmiesz konia, zbroje z ubitego, to jest najmniej dwadziescia grzywien, licz jak chcesz. A miasto jakie zdobedziem...

- No! - podochocil sie Paszko Rymbaba. - Miasta tamój bogate, w zamkach skarbce pelne. Chooby ten Karlsztajn, o którym wciaz sie gada. Dobedziemy i zlupimy...

- Ot, wymyslil - parsknal rycerz z czerwonym balkiem w herbie. - Toc Karlsztajn nie w husyckim, lecz katolickim reku. Oblezona jest twierdza przez heretyków, krucjata ma isc na odsiecz wlasnie! A ty, Rymbaba, glupi capie, nic sie na polityce nie rozumiesz.

Paszko Rymbaba poczerwieniał i nastroszył wasy.

- Ty bacz, Kottwitz - wrzasnął, wyciągając zza pasa czekan - kogo głupim zwiesz! O politykę nie stoje, ale na tym, jak w leb dac, to ja się rozumiem dość!

- *Pax, pax* - uspokoił Bożywoj de Lossow, przemocą nieledwie sadzając Kottwiza, który już przechylił się przez stół z dłonią zacisniętą na mizerykordii. - Spokój! Obaj! Zupełnie jak dzieci! Nic, tylko schlać się i do nożów.

- A pan Hugo praw - dodał Traugott von Barnhelm. - Iście nie przyswajasz ty, Paszko, politycznych arkanów. Tę o krucjacie mówim. Wiesz li ty, co to krucjata? To tak, jak Gotfryd de Bouillon, jak Ryszard Lwie Serce, znaczy się, wiecie, rozumiecie, Jeruzalem i w ogóle. Nie?

Raubritterzy pokiwali głowami, ale Reynevan stawiał każde pieniądze, że nie każdy pojął. Buko von Krossig wypił duszkiem kubek, walnął nim o stół.

- Jebał pies - ogłosił trzeźwo - Jeruzalem, Ryszarda Lwie Serce, bulion, politykę i religię. Będę łupić i tyle, kogo popadnie i kto podleci, czort z nim i z jego wiara. Niesie wieść, że tak Polacy w Czechach czynią, Fedor z Ostrogu, Dobko Puchala i inni. Niezłe się już, mówią, nachapali. A my, anielska milicja, to co, gorsi?

- Nie gorsi! - wrzasnął Rymbaba. - Dobrze Buko gada!

- Na meke Panska, dobrze!

- Na Czechy!

Podniósł się rwetes. Samson nachylił się nieznacznie ku uchu Reynevana.

- Wypisz wymaluj - szepnął - Clermont w roku tysiąc dziewięćdziesiątym piątym. Tylko patrzec chóralnego *Dieu le veult*.

Wielkolud mylił się jednak, euforia trwała nader krótko, zgasła, niby słomiany ogień, stłumiona przekleństwami i groźnymi spojrzeniami sceptyków.

- Nazwani Puchala i Ostrogski - odezwał się milczący do tej pory Notker Weyrach - nachapali się, bo wojują po zwycięskiej stronie. Tej, co bije, a nie tej, co jest bita. Jak do tej pory krzyżowcy z Czech więcej przywozili guzów niżli bogactw.

- Prawda - potwierdził po chwili Markwart von Stolberg. - Opowiadali ci, co byli pod Praga w roku dwudziestym, jak to Misniacy Henryka Isenburga uderzyli na Wzgórze Witkowskie. I jak uciekli, zostawiając pod szancem górę trupów.

- Husycy księcia - dodał, kiwając głową, Wencel de Hartha - bili się pono na tym szancu u boku wojaków, a wyli przy tym jako wilcy, zgroza brała. Nawet baby tam wojowały, tłukły cepami, jak szalem jete... A tych, co żywi wpadli husydom w łapy...

- Bajanie! - machnął reka pater Hiacynt. - Zreszta na Witkowie był Zizka. I diabelska moc, której się zaprzedał. A teraz nie ma już Zizki. Rok mija, jak się w piekle smazy.

- Nie bylo - powiedzial Tassilo de Tresckow - Zizki pod Wyszehradem, w dzien Wszystkich Swietych. A tam, chociaz czterokrotna mielismy przewage, srogie wzielismy od husytów bity. Okrutnie nas zbili, stluki i pogonili tak, ze do dzis wstyd wspominal, jakismy stamtad uciekali. W poplochu, na oslep, byly dalej, dopokad konie nie zaczely charczec... A piec setek trupów zaleglo pole. Znamienitsi z czeskich i morawskich panów: Henryk z Plumlova, Jaroslaw ze Szternberka... Z Polski pan Andrzej Balicki herbu Topór. Z Luzyc pan von Rathelau. Z naszych zas, ze Slazaków, pan Henryk von Laasan...

- Pan Stosz z Schellendorfu - dokonczyl w ciszy Stolberg. - Pan Piotr Schirmer. Nie wiedzialem, ze byles pod Wyszehradem, panie Tassilo.

- Bylem. Bom poszedl, jak glupi, ze slaskim wojskiem, z Kantnerem Oleinickim i Rumpoldem z Glogowa. Tak, tak, panowie, Zizke diabli wziel, ale sa w Czechach insi, co nie gorzej bic umieja. Pokazali to pod Wyszehradem, wtedy, w dzien Wszystkich Swietych: Hynek Kruszyna z Lichtenburka, Hynek z Kolsztajnu, Wiktoryn z Podiebrad. Jan Hwiezda. Rohacz z Dube. Zapamietajcie sobie te nazwiska. Bo je uslyszycie, z kruczata sie do Czech wybrawszy.

- O, wa - przerwal ciezka cisze Hugo Kottwitz. - Strachy na Lachy! Pobili was, boscie sami bic sie nie umieli. Wojowalen i ja z husytami, w roku dwudziestym pierwszym, pod panem Puta z Czastolovic. Pod Petrovicami dalismy kacerzom bobu, ze wióry lecialy! Potem nawiedzilismy miechem i ogniem kraj chrudimski, puscilismy z dymem Zampach i Litice. I bralismy lup, az hej! Zbroja, co ja nosze, bawarskiej roboty, stamtad wlasnie...

- Prózno gledzic - ucial Stolberg. - Trza wreszcie cos uradzic. Idziem do Czech czy nie?

- Ja ide! - oznajmil gromko i dumnie Ekhard von Sulz. - Pienic trza kakol herezji, ot co. Wypalac trad, nim wszystko stoczy.

- Ja tez ide - rzekl de Hartha. - Musze lupu nabrac. W potrzebie jestem. Zenic sie zamiaruje.

- Na zeby swietej Apolonii! - wyrwal sie Kuno Wittram. - Lupem i ja nie pogardze!

- Lup jedno - baknal niepewnie nieco Woldan z Osin - ale pono kto wezmie krzyz, grzechy bedzie mial na pytel odpuszczone. A nagrzeszylo sie... Oj, nagrzeszylo!

- Ja nie ide - rzekl krótko Bozywoj de Lossow. - Nie bede guza szukal po obcych stronach.

- Ja nie ide - rzekl spokojnie Notker Weyrach. - Bo jesli Sulz idzie, znaczy, sprawa jest sliska i smierdzi.

Znowu wybuchla wrzawa, posypaly sie klatwy, przemoca posadzono Ekharda Sulza z kordem juz do polowy dobytym.

- Mnie - rzekl, gdy sie uspokoilo, Jasko Chromy z Lubni - jesli gdzie isc, to wolej do Prus. Z Polakami na Krzyzaków. *Albo vice versa*. Zalezy, kto lepiej zaplaci.

Przez chwile wszyscy gadali i przekrzykiwali jeden drugiego, wreszcie gestami uciszyl towarzystwo kedzierzawy Poraj.

- Ja na te kruczate nie rusze - oznajmil w ciszy. - Bo nie pójde na sznurek do biskupów i popów. Nie dam, by mie jako psa na kogo szczuli. Co to za krzyzowa wyprawa? Na kogo? Czesi nie Saraceni. Do boju monstrancje przed soba niosa. A ze im sie nie podoba Rzym? *Papa Odo Colonna*? *Branda*

Castiglione ? Nasz biskup Konrad i insi pralaci? Nie dziwie sie. Mnie tez sie nie podobaja.

- Breszesz ty, Jakubowski! - rozdarl sie Ekhard von Sulz. - Czesi kacerze sa! Heretycka nauke wyznaja! Koscioly pala! Diablu czesc oddaja!

- Goli chadzaja!

- A zony - krzyknal pater Hiacynt - to chca, by wspólnie byly! Chca...

- Pokaze wam - przerwal gromko Poraj - czego Czesi chca. A wy, wiere, zastanowicie sie, z kim tu, a przeciw komu isc trzeba.

Na dany znak zblizył sie niemlody goliard w czerwonym rogatym kapturze i kabacie z powycinana w zabki baskina. Goliard wyciagnal zza pazuchy zwiniety pergamin.

- Niech wiedza wszyscy wierni chrzescijanie - przeczytal donosnie i dzwiecznie - ze Królestwo Czeskie niezmiennie trwa i z Boza pomocą trwac bedzie, na smierc i zycie, przy nizej spisanych artykulach. Po pierwsze: by w Królestwie Czeskim swobodnie i bezpiecznie gloszono slowo Boze i by ksieza glosili je bez przeszkód...

- Co to jest? - zawolal von Sulz. - Skad ty to masz, grajku?

- Niechaj go - zmarszczyl sie Notker von Weyrach. - Skad ma, to ma. Czytaj, chlopie.

- Po drugie: by Ciało i Krew Chrystusa Pana rozdawane byly pod postacia obojga chleba i wina wszystkim wiernym...

- Po trzecie: by ksiezom odebrano i zniesiono ich swiecka wladze nad bogactwem i dobrem doczesnym, aby dla zbawienia swego wrócili do reguly Pisma i zywota, jaki wiódl Chrystus ze swymi apostołami.

- Po czwarte: by wszystkie grzechy smiertelne i inne wystepki przeciw prawu bozemu karano i potepiono...

- Kacerskie pismo! Samo sluchanie to grzech! Kary bozej sie nie boicie?

- Zawrzyj gebe, pater!

- Cisza! Niech czyta!

- ...wśród ksiezy: swietokupstwo, kacerstwo, branie pieniedzy za chrzest, za bierzmowanie, za spowiedz, za komunie, za oleje swiete, za wode swiecona, za msze i modlitwy za zmarlych, od postów, od bicia w dzwony, za probostwa, za stanowiska i pralatury, za dostojenstwa, za odpusty...

- A co? - wzial sie pod boki Jakubowski. - Nieprawda moze?

- Dalej: wynikajace stad herezje i hanbiace kosciól Chrystusowy cudzolóstwo, przeklęte plodzenie synów i córek, sodomia i inne rozpusty, gniew, klótnie, zwady, obmowa, dreczenie prostego ludu, ograbianie go, sciaganie opłat, danin i ofiar. Kazdy sprawiedliwy syn swej matki, kosciola swietego, powinien to wszystko odrzucic, wyrzec sie, nienawidzic jak diabla i miec to w obrzydzeniu...

Dalsze czytanie zaklócila ogólna wrzawa i zamieszanie, podczas którego, jak zauwazył Reynevan,

goliard wymknął się cichcem wraz ze swym pergaminem. Raubritterzy wrzeszczeli, kleli, popychali się, skakali sobie do oczu, ba, zaczęli już zgrzytać klingi w pochwach.

Samson Miodek tracił Reynevana w bok.

- Wydaje mi się - mruknął - że warto, byś rzucił okiem w okno. I to szybko.

Reynevan rzucił. I zmartwiał.

Na kromolinski majdan wjeżdżało stępa trzech konnych.

Wittich, Morold i Wolfher Sterczowie.

Rozdział osiemnasty

w którym do tradycji i obyczajów rycerskich wkracza - z hukiem - nowoczesność, a Reynevan - jakby chciał uzasadnić tytuł książki - robi z siebie błazna. I jest zmuszony przyznać się do tego. Przed całą przyrodą.

Reynevan miał powody do wstydu i złości, uległ bowiem panice. Na widok wjeżdżających do Kromolina Sterczów oświadczył, że jest głupi i strach ten głupio i bezmyślnie nim pokierował. Jego wstyd był tym większy, że w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Miał trzeźwo ocenić sytuację i zadziałać w myśl rozsądnego planu, zareagował jak spłoszone i szczute zwierzę. Wskoczył przez okno alkierza i rzucił się do ucieczki. Między szopy i klecie, w kierunku gąszczu nadrzecznej wikliny, oferującego, jak mu się wydawało, bezpieczny i ciemny azyl.

Ocaliło go szczęście i katar, który od kilku dni gnębił Stefana Rotkircha.

Sterczowie bowiem dobrze zaplanowali łowy. Wjechali do Kromolina we trzech. Pozostała zaś trójka, czyli Rotkirch, Dieter Haxt i Puchacz von Knobelsdorf, przybyli do osady wcześniej i niepostrzeżenie obsadzili najbardziej prawdopodobne drogi ucieczki. Reynevan jak nic wpakowałby się wprost na zasadzonego za szopa Rotkircha, gdyby nie to, że przeziebiony Rotkirch kichnął, kichnął tak potężnie, że jego spłoszony koń huknął kopytem w deski. Reynevan, choć panika mroziła mu mózg i niemal odbierała władzę w nogach, zatrzymał się w porę, zawrócił, przemknął obok kleci, obok kupy gnoju, na czworakach przepelzł pod płotem i skrył się za suchym chrusniakiem. Trząsł się tak, że zdawało mu się, iż cały chrusniak szelesci niczym targany wichura.

- Pst! Pst, panicu!

Obok, za płotem, stał sześciolatek może chłopczyk w filcowej czapie i przewiązanej powrósem koszuli sięgającej połowy brudnych łydek.

- Pst! Do sernika, panicu... Do sernika... Tamój! Spojrzał we wskazanym kierunku. Na odległa o jakiś rzut kamieniem drewniana konstrukcja, czworokatna, nakryta szpiczastym gontowym dachem bude, wznosząca się prawie trzy szańce nad ziemią na czterech solidnych słupach. Nazwana sernikiem buda bardziej przypominała wielki golebnik. A najbardziej pulapkę bez wyjścia.

- Do sernika - ponaglił chłopczyk. - Sybko... Tamój się schowajta...

- Tam?

- Ano. My się wszyscy zawsze tam chowamy.

Reynevan nie podjął dyskusji, tym bardziej, że całkiem niedaleko ktoś zagwizdał, a głośne kichnięcie i tup konia zwiastowały zbliżanie się zakatarzonego Rotkircha. Szczęściem Rotkirch, skręciwszy między kłecie, wjechał wprost na gęsia obórkę, a gęsi podniosły dziki i zagłuszający wszystko jazgot. Reynevan zrozumiał, że albo teraz, albo nigdy. Skulony puczył się biegiem skrajem chrusniaka, dopadł sernika. I zmartwiał. Nie było drabiny, a o wspieciu się po wygładzonej debinie słupów nie mogło być i mowy.

Klnąc w duchu swą głupotę już miał zamiar uciekać dalej, gdy usłyszał ciche syknięcie, a z góry, z czarnego otworu, spłynął, niczym wąż, zawieszony sznur. Reynevan ucałował linę rekoma i nogami, migiem znalazł się na górze, w mrocznym, dusznym i przesyconym odorem starego sera wnętrzu. Tym, który spuścił sznur i pomógł mu wejść, był goliard w czerwonym kabacie i rogatym kapturze. Ten sam, który dopiero co odczytywał w karczmie husycka libelle.

- Pst - syknął, kładąc palec na ustach. - Badzcie cicho, panie.

- Czy tu jest...

- Bezpiecznie? Tak. My się zawsze tu chowamy.

Reynevan może i próbowałby ustalić, dlaczego w takim razie tak regularnie się chowających nikt regularnie nie znajduje, ale nie było czasu. Tuż obok sernika przejechał Rotkirch. Kichnął i pojechał dalej, nie zaszczycając budowli na słupach nawet spojrzeniem.

- Wycie - odezwał się w mroku goliard - Reinmar z Bielawy. Brat Piotra. Zamordowanego w Balbinowie.

- Bezbłędnie - potwierdził po chwili Reynevan. - Ty zaś skryłeś się tu ze strachu przed Inkwizycją.

- Bezbłędnie - potwierdził po chwili goliard. - To, co w karczmie czytałem... Artykuły...

- Wiem, co to były za artykuły. Ale ci, co przyjechali, to nie Inkwizycją.

- Nigdy nie wiadomo.

- Prawda. Ale wyglądało, że masz protektorów. A jednak się ukryłeś.

- A wy nie?

* * *

Sernik miał w ścianach liczne otwory, służące zapewnieniu suchym górnym obiegu powietrza, ale i umożliwiające wszechstronna obserwacje. Reynevan przywarł okiem do dziury wychodzącej na karczmie i oświetlony przez maszyny majdan. Mógł widzieć, co się działo. Odległość nie pozwalała słyszeć. Ale domyślić się wcale nie było trudno.

* * *

Narada wojenna w karczmie trwała jeszcze, opuścili ją tylko nieliczni. Sterczów powitaly więc na majdanie głównie psy, oprócz tych tylko armigerzy i kilku zaledwie raubritterów, wśród nich Kuno Wittram i John von Schoenfeld z obandażowaną głową. „Powitali” było zresztą słowem wybitnie za dużym, mało który z rycerzy w ogóle podniósł głowę. Wittram i dwóch jeszcze całą uwagę poświęcali szkieletowi barana, z zeber którego zdrapywali i pakowali do ust resztki mięsa. Schoenfeld gasił pragnienie malmazją, ciągnąc ją za pomocą przepchniętej przez bandażę słomki. Kowale i kupcy poszli spać, dziewczki, mnisi, waganci i Cyganie gdzieś przezornie znikli, pacholki udawali bardzo zajętych. Skutek był taki, że Wolfher Stercza musiał powtórzyć zadane pytanie.

- Pytałem - zagrzmiął z wysokości siodła - czyście widzieli młodzika, odpowiadającego opisowi. Czy był lub jest tu taki? Może ktoś wreszcie zechce mi odpowiedzieć? He? Czyście, zaraz na was, pogłuchli?

Kuno Wittram wypluł barania kostkę wprost pod kopyta Sterczowego konia. Drugi rycerz wytarł palce o wapenrok, spojrzal na Wolfhera i znacząco obrócił pas z mieczem. Schoenfeld, nie podnosząc wzroku, zabluzgotał przez swoją słomkę.

Podjechał Rotkirch, po chwili dołączył Dieter Haxt. Obaj przecząco pokręcili głowami pod pytającymi spojrzeniami Wolfhera i Morolda. Wittich zaklął.

- Kto widział takiego, któregoś opisal? - powtórzył Wolfher. - Kto? Może ty? Nie? A może ty? Tak, ty, wielgusie, do ciebie mówię! Widziałeś?

- Nie - zaprzeczył stojący pod karczmą Samson Miodek. - Nie widziałem.

- Kto widział i wskaże - Wolfher oparł się o lek - ten dostanie dukata. No? Ot, dukat, żebyście nie myśleli, że łże. Wystarczy wskazać mi człeka, którego szukam. Potwierdzić, że tu jest lubo był. Kto to uczyni, dukat jego! No? Kto chce zarobić? Ty? A może ty?

Jeden z pacholków zbliżył się z ociąganiem, rozglądając niepewnie.

- Ja, panie, widział... - zaczął. Ale nie dokończył, bo John von Schoenfeld potężnie kopnął go w tyłek. Pacholek upadł na czworaki. A potem zerwał się i uciekł, kulejąc.

Schoenfeld wziął się pod boki, spojrzal na Wolfhera i niewyraźnie zabluzgotał spod bandażu.

- He? - Stercza pochylił się na kulbace. - Czego? Co on rzekł? Co to było?

- Nie jestem pewien - odrzekł spokojnie Samson. - Ale wydaje mi się, że coś o zaszranym Judaszach.

- I mnie się tak zdaje - potwierdził Kuno Wittram. - Na beczkę świętego Wilibroda! Nie lubimy

Judaszów, tu, w Kromolinie.

Wolfher poczerwieniał, a potem zbladł, zaciskając pięść na trzonku nahaża. Wittich ruszył konia, a Morold sięgnął po miecz.

- Nie radzę - rzekł stojący w drzwiach karczmny Notker von Weyrach, mający u jednego boku de Tresckowa, u drugiego Woldana z Osin, a za plecami Rymbabe i Bożywoja de Lossow. - Nie radzę zaczynać, panowie Sterczowie. Bo klne się na Boga, co wy zaczniecie, to my skończymy.

* * *

- To oni zamordowali mi brata - sapnął Reynevan, wciąż z okiem przy dziurze w ścianie sernika. - Oni, Sterczowie, zlecili to zabójstwo. Da Bóg, dojdzie do kłótni... I raubritterzy ich rozsieka... Peterlin będzie pomoszony.

- Nie liczyłbym na to.

Odwrócił się. Oczy goliarda świeciły w mroku. Co on sugeruje, pomyślał. Na co mam nie liczyć, na kłótnie czy na zemstę? Czy ani na jedno, ani na drugie?

* * *

- Nie chce zwady - mówił, spuściwszy z tonu, Wolfher Stercza. - I nie szukam kłopotów. Ot, pytam grzecznie. Człek, którego scigam, brata mi ubił i bratowa zhanbil. Moje prawo dochodzić sprawiedliwości...

- Oj, panowie Sterczowie - pokiwał głową Markwart von Stolberg, gdy przebrzmiały śmiechy. - Kiepsko zeszliście z tą waszą bolączką do Kromolina wybrali. Idźcie, radzę wam, dokądś indziej szukajcie sprawiedliwości. Do sadu, przykładowo.

Weyrach parsknął, de Lossow ryknął śmiechem. Stercza pobałdł, świadom, że z niego kpią, Morold i Wittich zgrzytali zębami tak, że niemal krzesali iskry. Wolfher kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, na majdan wpadł cwalem Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem.

* * *

- Lajdaki - zgrzytnął zębami Reynevan. - Ze też nie ma na nich kary... Ze też nie smagnie ich Bóg swoim biczem, że też nie zesle na nich jakiegos anioła...

- Kto wie? - westchnął w pachnącej serem ciemności goliard. - Kto wie?

* * *

Puchacz podjechał do Wolfhera, mówił coś szybko, podniecony i czerwony na twarzy, wskazywał w stronę młyna i mostu. Nie musiał mówić długo. Bracia Sterczowie dali rumakom ostrogi i galopem puscili się przez majdan, w stronę przeciwną, między kłecie, w kierunku brodu na rzece. Za nimi gnali, nie oglądając się za siebie, Puchacz, Haxt i kichający Rotkirch.

- Krzyż na drodze! - splunął za nimi Paszko Rymbaba.

- Poczuly myszy kota! - zaśmiał się sucho Woldan z Osin.

- Tygrysa - poprawił znacząco Markwart von Stolberg. Stał bliżej i dosłyszał, co Puchacz powiedział Wolfherowi.

* * *

- Ja tam - rzekł z ciemności goliard - nie wychodziłbym jeszcze.

Reynevan, już prawie wisząc na zawieszonym linie, zatrzymał się.

- Nic mi już nie grozi - zapewnił. - Ale ty uważaj. Za to, co czytales, pała na stosie.

- Sa rzeczy - goliard przysunął się bliżej, tak by sączyła się szpara jasność księżyca oświetliła mu twarz - sa rzeczy warte tego, by życiem dla nich ryzykować. Sami dobrze o tym wiecie, panie Reynevanie.

- Coś chciał przez to rzec?

- Tę dobrze wiecie, co.

- Ja cie znam - westchnął Reynevan. - Widziałem cie już...

- Widzieliście i owszem. U brata w Powojowicach. Ale ostrożnie z tym, lepiej o tym nie gadać. Gadulstwo to przywara w dzisiejszych czasach zgubna. Niejeden już sobie gardło własnym przydługim ozorem poderzwał, jak mawia...

- Urban Horn - dokończył Reynevan, sam dziwiąc się swej domysłności.

- Ciszej - syknął goliard. - Ciszej z tym imieniem, panie.

* * *

Sterczowie, zaiste, pierzchneli z osady w dziwnym popłochu, jak przed tatarskim zagonem, jak na wieść o dzumie, wiali, jakby diabeł następował im na pięty. Widok ten bardzo poprawił samopoczucie Reynevana. Kiedy jednak zobaczył, przed kim uciekali, gdy spostrzegł, kto do Kromolina wjeżdża, dziwić się przestał.

Na czele oddziału rycerzy i konnych strzelców jechał mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce i barach szerokich jak wrota katedry, odziany w przepyszna i bogato zdobioną mediolańską zbroję. Także kon rycerza, wielki karos, był opancerzony: leb zbroił *muchamfron*, czyli naczólek, szyje folgowy

nakarczek, *crinet* .

Reynevan wmieszał się pomiędzy kromolinskich raubritterów, którzy tymczasem tłumnie wysypali się na majdan. Nikt oprócz Samsona nie zauważył go i nie zwrócił na niego uwagi. Po Szarleju nigdzie nie było śladu. Wokół raubritterzy szumieli jak rój os.

Po bokach rycerza w mediolańskiej zbroi jechało dwóch - przetowlosy, ładny jak panna młodzik i smagły chudzielec o zapadniętych policzkach. Obaj byli również w pełnej płytcie, obaj siedzieli na ladrowanych wierzchowcach.

- Hayn von Czirne - rzekł z podziwem Otto Glaubitz.

- Widzicie, jaka nosi milaneze? Niech mnie licho, warta jak nic czterdziści grzywien.

- Ten z lewej, ten młody - sapnął Wencel de Hartha to Fryczko Nostitz. A ten z prawej to Vitellozzo Gaetani, Italczyk...

Reynevan westchnął lekko. Dokola słyszał podobne westchnienia, sapnięcia i ciche kłatwy, świadczące, że nie tylko jego zbulwersowało pojawienie się jednego z bardziej znanych i groźniejszych śląskich raubritterów. Hayn von Czirne, pan na zamczysku Nimmersatt, cieszył się sławą najgorszą z możliwych, a jego imię, jak się okazało, budziło nie tylko przerażenie wśród kupców i spokojnych ludzi, ale i groźny respekt między kolegami po fachu.

Hayn von Czirne zatrzymał tymczasem konia przed starszyzną, zsiadł, podszedł, dzwoniąc ostrogami i zgrzypiac zbroja.

- Panie Stolberg - przemówił głębokim basem. - Panie Barnhelm.

- Panie Czirne.

Raubritter obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy jego orszak ma bron pod reka, a strzelcy kusze w pogotowiu. Upewniony, wsparł lewą dłoń na rekojesci miecza, a prawa na biodrze. Rozstawił nogi, zadął głowę.

- Rzekne krótko - zagrzmiął - bo czasu nie mam na długie gadanie. Ktos napadł i obdarł Walonów, gwarków ze Złotostockiej kopalni. A ja ostrzegałem, że Waloni ze Złotego Stoku są pod moją opieką i ochroną. Tedy rzekne wam coś, a wy baczcie: jeśli któryś z was, lotrzyki, palce w tym napadzie maczał, to niech się lepiej sam przyzna, bo jak ja go złapie, to pasy będą darł z takiego syna, choćby był i rycerz.

Twarz Markwarta Stolberga pokryła, rzekłbys, czarna chmura. Kromolinscy raubritterzy zaszumieli. Fryczko Nostitz i Vitellozzo Gaetani nie poruszyli się, siedzieli na koniach jak dwie żelazne kukły. Ale strzelcy z orszaku pochylili kusze, gotowi do akcji.

- Podejrzanie o ów uczynek - kontynuował Hayn von Czirne - jest duże na Kunza Aulocka i Storka z Gorgowic, tedy rzekne wam coś, a wy słuchajcie pilnie: będziecie tych złodziei i bekartów tać w Kromolinie, to mnie popamiętacie.

- Znana jest rzecz - ciągnął Czirne, nic sobie nie robiąc z rosnącego wśród rycerzy pogwaru - że bekarty Aulock i Stork są na zoldzie Sterczów, braci Wolfhera i Morolda, takich samych bekartów i szubrawców. Z tymi mam dawne sprawy, ale teraz przebrała się miarka. Pokaze się z Walonami prawda, to kieszki ze Sterczów wypuszcze. A za jednym obrotem i z tych, co ich kryć zamysła.

- I jeszcze rzecz jedna, na sam koniec. Ale rzecz to nie najmniej ważna, więc uszu nadstawcie. Ktos ostatnimi czasy sielnie sie na kupców zawział. Co i rusz jakiegos *mercatora* znajdują zimnym i sztywnym. Rzecz jest zreszta dziwna i wglebiac sie w nia nie mysle, ale rzekne wam cos: augsburska kompania Fuggerów płaci mi za ochrone. Jesli tedy którego *mercatora* od Fuggerów jaka niedobra przygoda spotka, a pokaze sie, ze to któryś z was, to niech sie nad nim Bóg zlituje. Pojmujecie? Pojmujecie, tacy synowie?

Wśród rosnacego wscieklego pomruku Hayn von Czirne dobył nagle miecza, machnął nim, az zaswiszczało.

- A pakliby - ryknął - przeciwil sie kto temu, com rzekł, lubo mniemał, ze lże, pakliby któremu to nie w smak bylo, tedy prosim tu, na plac! Wnet zelazem rzecz rozstrzygniem. Nuże! Czekał! Psia mac, od Wielkanocy nikogo nie ubilem.

- Niepieknie postepujecie, panie Hayn - powiedział spokojnie Markwart von Stolberg. - Godzi sie to?

- Nie tyczy sie, com rzekł - Czirne jeszcze bardziej wysunął zuchwe - ani was, cny panie Markwarcie, ani imc pana Traugotta, ni w ogóle nikogo ze starszyny. Ale swoje prawa znam. Z gromady wyzwac mi wolno.

- Jac tylko mówie, ze to niepieknie. Wszyscy was znaja. Was i wasz miecz.

- Tedy co? - parsknął zbój. - Mam, by mnie nie poznawano, za dziewczke sie przebierac, jak Lancelot z Jeziora? Rzekłem, prawa swoje znam. A i oni je znaja. Tu stojaca gromada posranców z drzacymi lydками.

Raubritterzy zaszumieli. Reynevan widział, jak stojacemu obok Kottwitzowi krew z wscieklosci odpłynęła z twarzy, usłyszał, jak Wencel de Hartha zgrzytnął zębami. Otto Glaubitz porwał za rekojesc i zrobil ruch, jakby chcial wystapic, ale Jasko Chromy złapał go za ramie.

- Nie próbuj - mruknął. - Jemu spod miecza jeszcze nikt zywy nie uszedł.

Hayn von Czirne znowu wywinał mieczyskiem, przeszedł sie, brzezac ostrogami.

- No i co, pierdziwory? - zagrmiał. - Co, gównoluby? Nikt nie występuje? Wiecie, za co was mam? Za dupy wolowe was mam i dupami wolowymi ogłaszam! A co? Moze kto zaprzeczy? Moze sie który powazy klam mi zadac? Co, nikt? Tedy wszyscy, co do jednego, jestescie pierdoly, fafuly i cienkobzdzieje. I ogólna hanba dla rycerstwa!

Rycerze rabusie szumieli coraz donosniej, Hayn zdawał sie jednak tego nie dostrzegac.

- Jednego - ciagnął, wskazując - tylko widze miedzy wami mezczyzne, o, tam stojacego Bozywoja de Lossow. Zaiste nie pojmuje, co taki czyni miedzy gromada wam podobnych popapranców, porwieszów i lupikotów. Pewnie sam zszedł na psy, tfu, wstyd i srom.

Lossow wyprostował sie, skrzyżował ramiona na ozdobionej herbowym rysiem piersi, bez leku wytrzymał spojrzeń. Nie poruszył sie jednak, stal z kamienna twarza. Jego spokój wyraznie rozłoscil Hayna von Czirne. Zbój poczerwieniał, wziął sie pod bok.

- Kozojebny! - zaryczał. - Kiernozy nieskrobane! Obszczybrudzy! Wyzywam was, slyszycie, fajdanisy?

No, który stanie? Pieszko lub konno, zaraz, tu, na tym placu! Na miecze lub na topory, na co zreszta chcecie, wybierajcie! No, który? Moze ty, Hugonie Kottwitz? Moze ty tam, Krossig? Moze ty, Rymbaba, gnoju jeden?

Paszko Rymbaba pochylił się i złapał za miecz, szczerząc zęby spod wąsów. Woldan z Osin chwycił go za ramię, osadził w miejscu ciężką ręką.

- Nie błażnij - syknął. - Życie ci niemile? Jemu nikt nie dostoi.

Hayn von Czirne zarechotał, jak gdyby dosłyszał.

- Nikt? Nikt nie wystąpi? Nie ma odważnego? Takem myślał! A, wy portkosraje! Psie chwosty! Dybidzbany! Garnkoskroby!

- A kurwa twoja mac! - wrzasnął nagle, występując, Ekhard von Sulz. - Hardopyszku! Gebaczu! Nadmidupo! Wychodź na plac!

- Stoje na nim - odrzekł spokojnie Hayn von Czirne. - Na co się spróbujemy?

- Na to! - Sulz uniósł samopale. - Hardys, Czirne, bos gracz na miecze, mocz na topory! Ale ninie idzie nowe! Oto nowoczesność! Równe szanse! Bedziemy się strzelać!

Wśród wrzawy, jaka się podniosła, Hayn von Czirne podszedł do konia, po chwili wrócił, niosąc strzelbę. Jeśli zaś Ekhard Sulz miał zwyczajną puszczalę, prosta rura na kij, broń Czirna była artystycznie wręcz wykonana rącznica, z graniastą lufą osadzoną w wyprofilowanym debowym łożu.

- Niechaj będzie tedy brona ognista - ogłosił. - Niechaj będzie nowoczesność w domu i w zagrodzie. Wytyczcie szrank.

Poszło szybko. Mety wytyczono za pomocą dwóch wbitych w ziemię włóczni, wyznaczających dystans dziesięciu kroków w szpalerze płonących maznic. Czirne i Sulz stanęli naprzeciw siebie, każdy z samopalem pod pachą i tłącym się lontem w drugiej ręce. Raubritterzy usunęli się na boki, schodząc z linii strzału.

- Gotów broni! - Notker Weyrach, który wziął na siebie obowiązek herolda, uniósł buzdygan. - Cel!

Adwersarze pochylił się, podnosząc lonty na wysokość zapalów.

- Pal!

Przez chwilę nic się nie działo, panowała cisza, lonty syczały i przyskaly iskrami, śmierdział proch palony na panewkach. Wyglądało, że trzeba będzie przerwać pojedynek celem ponownego nabicia broni. Notker Weyrach już sposobił się, by dać znak, gdy niespodzianie puszczala Sulza wypaliła ze straszliwym hukiem, błysnął ogień, zaklebił się cuchnący dym. Blżej stojący słyszeli gwizd kuli, która chybiła cel i poleciała gdzieś w stronę wychodka. W tym samym niemal momencie plunęła dymem i ogniem handkanona Hayna von Czirne. Z lepszym skutkiem. Kula trafiła Ekharda Suiza w podbródek i urwała mu głowę. Z szyi oredownika antyhusyckiej krucjaty trysnęła fontanna krwi, głowa lupnęła w ścianę stodółki, spadła, poturlała się po majdanie, wreszcie spoczęła w trawie, martwym okiem patrząc na obwachujące ją psy.

- Kurde - powiedział w zupełnej ciszy Paszko Rymbaba. - Tego się chyba przyszyć już nie da.

* * *

Reynevan nie docenił Samsona Miodka.

W stajni nie zdążył nawet osiodłać konia, gdy poczuł na karku laskotanie wzroku. Odwrócił się, zobaczył i stanął jak słup soli z trzymanym oburącz siodłem. Zaklął, po czym z rozmachem wpakował siodło koniowi na grzbiet.

- Nie potępiaj mnie - powiedział, nie odwracając się i udając bez reszty pochłoniętego uprzeza. - Muszę jechać za nimi. Chciałem uniknąć pożegnania. A właściwie pożegnalnych dyskusji, które nie dalyby nic poza zbytecznymi swarami i stratą czasu. Pomyślałem, że będzie lepiej...

Samson Miodek, wsparty o osiecznicę, splótł ręce na piersi i milczał, ale jego spojrzenie było aż nadto wymowne.

- Muszę jechać za nimi - wypalił po chwili napiętego wahania Reynevan. - Nie mogę inaczej. Zrozumiem mnie. To dla mnie niepowtarzalna okazja. Opatrzność...

- Osoba pana Hayna von Czirne - uśmiechnął się Samson - nasuwa i mnie wiele skojarzeń. Żadnego jednak nie nazwałbym opatrznościowym. Ale cóż, rozumiem cię. Choć nie powiem, by łatwo mi to przychodziło.

- Hayn Czirne to wróg Sterczów. Wróg Kunza Aulocka. Nieprzyjaciół moich nieprzyjaciół, a więc mój naturalny sojusznik. Dzięki niemu mogę mieć szansę pomścić brata. Nie wzdychaj, Samsonie. Nie miejsce i nie czas na kolejną dysputę, zakończoną wywoływaniem zemsty, to rzecz płonna i bezsensowna. Tam mordercy mojego brata nie tylko chodzą sobie spokojnie po ziemi, ale jeszcze bez przerwy deptają mi po piętach, grozą śmiercią, przesładują kobiety, którą kocham. Nie, Samsonie. Nie ucieknę na Węgry, zostawiając ich tu w pysze i glorii. Mam okazję, mam sprzymierzeńca, znalazłem wroga mojego wroga. Czirne zapowiedział, że ze Sterczów i z Aulocka kieszki wypuści. Może to i płonne, może przyziemne, może niegodne, może bezsensowne, ale chce go w tym wspomóc i chce przy tym być. Chcę patrzeć, jak będzie wypuszczał.

Samson Miodek milczał. A Reynevan po raz nie wiadomo który nie mógł wyjść z podziwu, ile w jego metnych oczach i nalany obliczu idioty mogło pojawiać się zadumy i madrej troski. I niemięgo, acz czytelne wyrzucie.

- Szarlej... - zająknął się, dociągając poprzeczek. - Szarlej, prawda to, pomógł mi, zrobił dla mnie wiele. Ale przecież sam słyszałeś, sam byłeś świadkiem... Nie raz. Ilekroć napomykałem o odwecie na Sterczach, odmawiał. Drwił przy tym i traktując mnie jak głupiego wyrostka. Kategorycznie odmawia pomocy w zemście, ba, nawet Adele, sam słyszałeś, bagatelizuje, wysmiewa, stale próbuje odwrócić mnie od jazdy do Ziebic!

Kon parsknął i zatupał, jak gdyby udzieliło mu się zdenerwowanie. Reynevan odetchnął głęboko, uspokoił się.

- Przekaz mu, Samsonie, niech nie ma żalu. Psiakrew, nie jestem niewdzięcznikiem, zdaje sobie sprawę, ile dla mnie zrobił. Ale chyba tak się właśnie najlepiej odwdzięczy, odchodząc. Sam powiedział: jestem największym ryzykiem. Bez mnie będzie mu łatwiej. Wam obu...

Zamilkl.

- Chcialbym, bys poszedl ze mna. Ale nie proponuje. Byloby to z mojej strony brzydkie i nieuczciwe. To, co zamierzam, to rzecz ryzykowna. Z Szarlejem bedziesz bezpieczniejszy.

Samson Miodek milczal dlugo.

- Odwodzic cie od twego zamiaru nie bede - powiedzial wreszcie. - Nie bede narazal cie na, jak to ladnie nazwales, swary i strate czasu. Powstrzymam sie nawet z moja opinia co do sensownosci przedswiezecia. Nie chce tez bynajmniej dodatkowo pogarszac sprawy i obarczac cie wyrzutami sumienia. Badz jednak swiadom, Reinmarze, ze odchodzac, niweczysz moje nadzieje na powrót do mego wlasnego swiata i wlasnej postaci.

Reynevan milczal dlugo.

- Samsonie - rzekl wreszcie. - Odpowiedz. Szczerze, jesli mozesz. Jestes naprawde... Czy jestes... Czy to, co mówiles o sobie... Kim jestes?

- *Ego sum, qui sum* - przerwal lagodnie Samson. - Jestem, kim jestem. Darujmy sobie pozegnalne wyznania. Nic one nie dadza, niczego nie usprawiedliwia i niczego nie zmienia.

- Szarlej to człek bywały i zaradny - rzekl predko Reynevan. - Na Wegrzech, zobaczysz, bez ochyby zdola skontaktowac cie z kims, kto...

- Jedz juz. Jedz, Reinmarze.

* * *

W calej kotlinie zalegala gesta mgla. Na szczescie tuman lezal nisko, tuz przy ziemi, dzieki czemu nie grozilo - przynajmniej na razie - zablaznienie, widac bylo, któredy biegł gosciniac, szlak widocznie i wyraznie wytyczal rzad wystajacych z bialego calunu krzywych wierzb, dzikich grusz i krzaków glogu. Nadto daleko, w ciemnosci, migotalo i wskazywalo droge niewyrazne tanczace swiatelko - latarnia oddzialu Hayna von Czirme.

Bylo bardzo zimno. Gdy Reynevan przejechal most na Jadcowej i wjechal w mgle, mial wrazenie, ze zanurza sie w lodowata wode. Cóż, pomyslal, w koncu to juz wrzesien.

Rozciagajaca sie wokól biala polac mgly dawala, odbijajac swiatlo, w sumie niezla widoczność na boki, Reynevan jednak jechal wśród zupełnej ciemności, ledwo widzac uszy konia. Najwiekszy mrok panowal - paradoksalnie - na samym goscincu, w szpalerze drzew i gestych krzy. Te ostatnie mialy niejednokroc sylwetki tak sugestywnie demoniczne, ze mlodzienciek kilka razy z wrazenia az sie wzdrygal i odruchowo sciagal wodze, ploszac i tak juz plochliwego wierchowca. Jechal dalej, wysmiewajac w duchu swa lekliwosc. Jakzez mozna, u diaska, bac sie krzaków?

Dwa krzaki nagle zagrozdily mu droge, trzeci wyrwal wodze. A czwarty przystawil do piersi cos, co moglo byc tylko grotem rohatyny.

Dookola zatupaly kopyta, zgestnial odór konskiego i ludzkiego potu. Szczeknelo krzesiwo, sypnely sie

iskry, rozblyśly latarnie. Reynevan zmruzył oczy i odchylił się w siodle, bo jedna przysunieto mu niemal do samej twarzy.

- Na szpiega za ładny - powiedział Hayn von Czirne. - Na płatnego morderce za młody. Pozory jednak potrafią mylic.

- Jestem...

Urwał i skulił się w kulbace, bo dostał czymś twardym w plecy.

- Na razie to ja decyduje, czym jesteś - stwierdził zimno Czirne. - I czym nie jesteś. Nie jesteś, przykładowo, rozwalonym beltami trupem w rowie. Chwilowo, dzięki mojej decyzji właśnie. Ale teraz milcz, bo myślę.

- A co tu myślec - odezwał się Vitellozzo Gaetani, Italczyk. Mówił po niemiecku płynnie, ale zdradzał go śpiewny akcent. - Nożem go po gardle i tyle. I jedziem, bo chłód i jesc się chce.

Z tyłu załomotały kopyta, zaparskały konie.

- Jest sam - zawołał Fryczko von Nostitz, którego z kolei zdradzał głos młody i miły. - Nikt za nim nie jedzie.

- Pozory potrafią mylic - powtórzył Czirne.

Z nozdrzy jego konia biła biała para. Podjechał blisko, zupełnie blisko, tak że zetknęli się strzemionami. Byli na wyciągnięcie ręki. Reynevan z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę, dlaczego. Czirne sprawdzał. Prowokował.

- A ja - powtórzył z ciemności Italczyk - mówię, co by go nożem po gardle.

- Nożem, nożem - uniósł się Czirne. - U was wszystko proste. A mnie potem spowiednik dziure w brzuchu wierci, neka, wypomina, pry, to wielki grzech ubić bez powodu, trzeba miec, pry, ważny powód, by ubić. Co spowiedz tak mi zrzędzi, powód, powód, nie lza bez powodu, skonczy się tym, że weźmę i rozdziakam klesze czerep bulawa, w koncu zniecierpliwienie to też powód, nie? Ale póki co, niechaj będzie, jak mi na spowiedzi nakazał.

- No, bratku - zwrócił się do Reynevana - gadaj, kim jesteś. Zobaczymy, jest powód, azali trzeba go dopiero wymyslic.

- Nazywam się Reinmar z Bielawy - zaczął Reynevan. A ponieważ nikt nie przerywał, kontynuował. - Mój brat, Piotr z Bielawy, został zamordowany. Morderstwo zlecił bracia Sterczowie, a dokonał Kunz Aulock i jego szajka. Nie mam więc powodów, by ich lubić. Zaskoczyłem w Kromolinie, że i między wami nie ma przyjaźni. Jąde tedy waszym tropem, by donieść, że Sterczowie byli w osadzie, uciekli stamtąd na wieść o was. Pojechali na południe, przez bród na rzecę. Mówię to wszystko i robię powodowany nienawiscia do Sterczów. Sam zemścić się na nich nie zdołam. Mam na to nadzieję w waszej kompanii. Niczego więcej nie chce. Jeśli się pomyliłem... Wybaczcie i pozwólcie ruszyć w swoją drogę.

Wziął głęboki wdech, zmęczony szybko wygłoszona oracja. Konie raubritterów pochrapywały, pobrzekiwały uprzeza, latarnie wydobywały z mroku upiorne, pląsające cienie.

- Von Bielau - parsknal Fryczko Nostitz. - U diaska, wychodzi, ze to chyba jakis mój pociotek.

Vitelozzo Gaetani zaklal po wlosku.

- W droge - rozkazal nagle krótko Hayn von Czirne. - Ty, panie z Bielawy, przy mnie. Blisko przy mnie.

Nawet nie kazal mnie obszukac, pomyslal Reynevan, ruszajac. Nie sprawdzil, czy mam ukryta bron. A kaze byc przy sobie. To kolejna próba. I prowokacja.

Na przydroznej wierzbie kolysala sie powieszona latarnia, sprytny trik, majacy zmylic jadacego sladem, upewnic go, ze oddzial jest daleko przed nim. Czirne zdjal latarnie, uniósł, jeszcze raz oswietlil Reynevana.

- Uczciwa twarz - skomentowal. - Szczere, uczciwe oblicze. Wychodzi, pozory nie klamia, a ów tu prawde gada. Nieprzyjaciel Sterczów, tak?

- Tak, panie Czirne.

- Reinmar z Bielawy, tak?

- Tak.

- Wszystko jasne. Dalej, brac go. Rozbroic, zwiazac. Postronek na szyje. Zywo!

- Panie Czirne... - wydusil z siebie chwycony mocnymi ramionami Reynevan. - Jakze to... Jakze...

- Jest na ciebie biskupi *significavit*, mlodziencze - oswiadczył niedbale Hayn von Czirne. - I nagroda za zywego. Poszukuje cie, widzisz, Inkwizycja. Czary albo herezja, mnie zreszta zajedno. Ale pojedziesz w petach do Swidnicy, do dominikanów.

- Puscie mnie... - Reynevan steknal, bo powróz bolesnie wgrzył mu sie w przeguby rak. - Prosze, panie Czirne... Jestecie wszak rycerzem... A ja musze... Mnie spieszno... Do niewiasty, która kocham!

- Jak nam wszystkim.

- Wszakze nienawidzicie moich wrogów! Sterczów i Aulocka!

- Fakt - przyznal raubritter. - Nienawidze sukinsynów. Ale ja, mlodziencze, nie jestem jakis tam dzikus. Jestem Europejczyk. Nie pozwalam, by w interesach kierowaly mna sympatie i antypatie.

- Ale... Panie Czirne...

- W konie, panowie.

- Panie Czirne... Ja...

- Panie Nostitz! - przerwal ostro Hayn. - To panski pono krewny. Niechze wiec pan sprawi, by sie uciszyl.

Reynevan dostal piescia w ucho tak, ze w oczach mu rozblysko, a glowe przygielo niemal do konskiej grzywy.

Nie odzywał się więcej.

* * *

Niebo na wschodzie pojaśniało w przeczuciu switu. Zrobiło się jeszcze zimniej. Skrepowany Reynevan trzasł się, dygotał, w równej mierze z chłodu, co ze strachu. Nostitz kilka razy musiał przywołać go do porządku szarpnięciem powroza.

- Co z nim zrobimy? - spytał nagle Vitellozzo Gaetani, - Bedziemy z sobą ciągnąć przez całe góry? Czy osłabimy oddział, dając mu eskortę do Swidnicy? He?

- Nie wiem jeszcze - w głosie Hayna von Czirne zabrzmiało zniecierpliwienie. - Myśle.

- A czy - nie zrezygnował Italczyk - ta nagroda aż tyle warta? I czy za martwego dają dużo mniej?

- Nie o nagrodę mi idzie - warknął Czirne - ale o dobre stosunki ze Świętym Oficjum. A w ogóle to dosyć tego gadania! Powiedziałem, myślę.

Wyjechali na trakt, Reynevan poznał to po zmianie odgłosu i rytmu kopyt uderzających o grunt. Domniemywał, że był to gościniec wiodący do Frankensteinu, największego okolicznego grodu. Stracił jednak orientację i nie był w stanie odgadnąć, czy jada w stronę miasta, czy oddalają się od niego. Zapowiedź odstawienia go do Swidnicy wskazywała na to drugie, rozpoznane na podstawie gwiazd strony świata mogły jednak sugerować, że jada do Frankensteinu właśnie, na nocleg, dajmy na to. Zaniechał na chwilę płuća sobie w brodzie i rozpamiętywania własnej głupoty, zaczął gorączkowo myśleć, układając fortele i plany ucieczki.

- Hooooo! - krzyknął ktoś z przodu. - Hooooo!

Zabłysła latarnia, wylawiając z mroku kanciaste kontury wozów i sylwetki jeźdźców.

- Jest - powiedział cicho Czirne. - Punktualnie! I tam, gdzie umówione. Lubie takich. Ale pozory potrafią mylić. Bron w pogotowiu. Panie Gaetani, zostaniec z tyłu i bądźcie czujni. Panie Nostitz, miejcie baczenie na krewniaka. Reszta za mną. Hooooo! Bywaj!

Latarnia z przeciwka zatoczyła w rytmie kroku konia. Zbliżało się trzech jeźdźców. Jeden palubowaty w ciężkiej, obszernej, okrywającej zad wierzchowca szubie, w asyście dwóch kuszników, identycznych ze strzelcami Czirna - odzianych w lebki, żelazne kolnierze i brygantyny.

- Pan Hayn von Czirne?

- Pan Hanusz Throst?

- Lubie słownych i punktualnych - pociągnął nosem człowiek w szubie. - Widzę, że nasi wspólni znajomi nie przesadzali, wydając wam opinie i polecając. Rad jestem was widzieć i ciesze się ze współpracy. Możemy ruszać, jak mniemam?

- Moja współpraca - odrzekł von Czirne - kosztuje sto guldenów. Nasi wspólni znajomi nie mogli wam o tym nie nadmienić.

- Ale snadz nie z góry - parsknal czlowiek w szubie. - Chyba nie sadziliscie, panie, ze na to pójde. Jestem kupcem, czlowiekiem interesu. A w interesach jest tak, ze wpierw usługa, potem zaplata. Wasza usługa: eskortowac mnie bezpiecznie przez Przelecz Srebrna do Broumova. Wykonacie, bedzie zaplacone. Sto guldenów, co do halerza.

- Lepiej - rzekl ze znaczącym naciskiem Hayn von Czirne - zeby tak bylo. Naprawde lepiej, panie Throst. A na wozach cóz to wieziecie, jesli wolno spytac?

- Towar - odrzekl spokojnie Throst. - Jaki, to rzecz moja. I tego, kto zan placi.

- Jasne - kiwnal glowa Czirne. - Mnie zreszta po cóz to wiedziec. Mnie i tyle wiedzy dosc, ze towar to pewnikiem nie licheszy nizli ten, którym handlowali ostatnio inni. Fabian Pfefferkorn. I Mikołaj Neumarkt. Ze o innych zmilcze.

- Moze i dobrze, ze zmilczycie. Za duzo gadamy. A czas by w droge. Po co na rozstajach wystawac, lichu kusic?

- Prawiscie - Czirne obrócił konia. - Niczego tu nie wystoim. Dajcie znak, niech rusza wozy. Wzglem zas licha, to nie bójcie sie. Owo lichu, co sie tak ostatnio srozy po Slasku, ma zwyczaj z jasnego nieba uderzac. W samo poludnie. Iscie, jak mówia popi, *daemone meridiano*, demon, co niszczy w poludnie. A tu wokół, toc rozejrzyjcie sie: ciemnosć.

Kupiec popedzil konia, zrównal sie z karoszem raubrittera.

- Na miejscu demona - powiedzial po chwili - odmienilbym zwyczaj, bo sie zrobily zanadto znane i przewidywalne. A ten sam psalm napomyka i o ciemnosciach. Nie pamietacie? *Negotio perambulans in tenebris ...*

- Gdybym wiedzial - w ponurym glosie Czirna zabrzmialo rozbawienie - zescie w takim strachu, podbilbym stawke. Do półtorej setki guldenów co najmniej.

- Zaplace tyle - oswiadczył Throst tak cicho, ze Reynevan ledwo doslyszal. - Sto piecdziesiat guldenów do reki, panie Czirne. Gdy bezpiecznie dotrzemy na miejsce. Bo i prawda to, ze jestem w strachu. Alchemik w Raciborzu stawial mi horoskop, wrózył z kurzych kiszek... Wyszlo, ze smierc krazy nade mna...

- Wierzycie w takie rzeczy?

- Do niedawna nie wierylem.

- A teraz?

- A teraz - rzekl twardo kupiec - znikam ze Slaska. Madrej glowie dosc dwie slowie, nie chce skonczyc tak, jak Pfefferkorn i Neumarkt. Wyjezdzam do Czech, tam nie dosiegnie mnie zaden demon.

- Fakt - przytaknal Hayn von Czirne. - Tam nie. Husytów nawet demony sie boja.

- Wyjezdzam do Czech - powtórzyl Throst. - A wasza rzecz sprawic, bym dotarl tam bezpiecznie.

Czirne nie odpowiedzial. Wozy turkotaly, skrzypialy na wybojach osie i piasty.

Wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń, tu zrobiło się jeszcze zimniej i jeszcze mglistiej. Usłyszeli szum wody na kamieniach.

- Weza - wskazał Czirne. - Rzeczka Weza. Stąd do przełęczycy niecała mila. Hooo! Poganiaj, pogaaaniaj!

Pod podkowami i obarczami kół zastukały i zazgrzytały otoczaki, wkrótce woda zapluskala i spieniła się u konskich nóg. Rzeczka była niezbyt głęboka, ale rwaca.

Hayn von Czirne zatrzymał się nagle posrodku brodu, znieruchomiał w siodle. Vitellozzo Gaetani obrócił konia.

- Co jest?

- Cicho. Ani słowa.

Zobaczyli wcześniej, niż usłyszeli. A zobaczyli białe rozbryzgi wody, pieniającej się pod kopytami koni szarżujących na nich korytem Wezy. Dopiero potem dostrzegli sylwetki jeźdźców, dostrzegli płaszcze, powiewające na kształt upiornych skrzydeł.

- Do broni! - wrzasnął Czirne, wyszarpując miecz. - Do broni! Kusze!

Uderzył w nich wiatr, raptowny, dziki, wyjący, tnący twarze wichur. A potem uderzył w nich szalency krzyk.

-*Adsumus !Adsuumuuuuus !*

Szczeknęły ciecwiwy kusz, zaspiewały belty. Ktoś krzyknął. A za moment konni runeli na nich w rozbryzgach wody, zwalili się jak huragan, tnąc mieczami, obalając i tratując. Zaklebiło się, noc rozdarły krzyki, wrzaski, lomot i szczek żelaza, kwik i rzenie koni. Fryczko Nostitz runął w rzeke razem z wierzgajacym wierchowcem, obok zwalił się z pluskiem zarabany armiger. Któryś ze strzelców zawył, wycie zamieniło się w charkot.

-*Adsuumuuuuus !*

Uciekający Hanusz Throst odwrócił się w kulbace, zakrzyczał, widząc tuż za sobą wyszczerzony koniski pysk, a za nim czarna sylwetkę w kapturze. Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył na ziemi. Waskie ostrze miecza ugodziło go w twarz, między oko a nos, z chrupem wbilo się w czaszkę. Kupiec wyprzeżył się, zatrząpiał rekami i runął na kamienie.

-*Adsumus !* - wrzasnął z triumfem czarny jeździec. -*In nomine Tuo !*

Czarni jeźdźcy spiełi konie i runeli w mrok. Z jednym wyjątkiem. Hayn von Czirne rzucił się w ślad, skoczył z kulbaki, ucałował jednego, obaj zwalili się w wodę, obaj zerwali zaraz, zaswiszczały i ze szczekiem zderżyły się miecze. Walczyli zaciekle, stojąc po kolana w pieniającej się rzeczce, snopy iskier sypały się z kling.

Czarny rycerz potknął się. Czirne, stary gracz, takiej okazji przepuścić nie mógł. Uderzył z półobrotu, w głowę, ciężki passawski brzeszczot rozciął kaptur, rozluźnił i zniósł helm. Czirne zobaczył przed sobą zalaną krwią, trupiobiałą, upiornie wykrzywioną twarz, wiedział nagle, że twarzy tej nie zapomni nigdy.

Ranny zaręczał i zaatakował, ani myślał upaść, choć upaść powinien. Czirne zaklął, uchwycił miecz oburącz i ciał jeszcze raz, z mocnego skretu bioder, płasko w szyję. Trysnęła czarna krew, głowa opadła na ramię, zwisała, trzymając się chyba tylko na skrawku skóry. A bezgłowy rycerz szedł dalej, wymachując mieczem i chlapiąc dokola posoka.

Któryś ze strzelców zawył ze zgrozy, dwaj inni rzucili się do panicznej ucieczki. Hayn von Czirne nie cofnął się. Zabłuznił straszliwie i niezwykle bezbożnie, stanął mocno na nogach i ciał raz jeszcze, tym razem odrabując głowę do końca i odwalając całe niemal ramię. Czarny rycerz runął w płytką przybrzeżną wodę, tłukąc się tam, rzucając i kopiając w konwulsjach. Długo trwało, zanim znieruchomiał.

Hayn von Czirne odepchnął od kolan obracanego pradem trupa kusznika w brygantynie. Dyszał ciężko.

- Co to było? - spytał wreszcie. - Co to, na Lucyfera, było?

- Jezu, bądź miłosiw... - mamrotał stojący obok Fryczko Nostitz. - Jezu, bądź miłosiw...

Rzeczka Weza śpiewnie szumiała na kamieniach.

* * *

Reynevan tymczasem uciekał, a szło mu tak, jak gdyby całe życie nie robił nic innego, tylko galopował w wierzchach. A galopował jak się patrzy, mocno zahaczywszy spętane przeguby o lek siodła, wtuliwszy twarz w grzywe, z całej mocy sciskając boki konia kolanami, rwał takim cwałem, że aż ziemia drżała i wyło w uszach powietrze. Kon, kochane zwierze, zdawał się rozumieć, w czym rzecz, wyciągał szyję i dawał z siebie, ile mógł, dowodząc, że przez ostatnie pięć czy sześć lat nie dawano mu owsa na darmo. Podkowy były o stwardniały grunt, szumiały zawadzone w dzikim galopie krzaki i wysokie trawy, smagały galezie. Szkoda, że Dzierzka de Wirsing tego nie widzi, pomyślał Reynevan, choć w zasadzie świadom był, że jego umiejętności jezdzieckie w tej chwili sprowadzają się raczej tylko do tego, by jakos utrzymać się w siodle. Ale, pomyślał zaraz, to i tak dużo.

Pomyślał może odrobine za wcześnie, bo kon zdecydował się właśnie przeskoczyć zwałony pien. I przeskoczył, całkiem zgrabnie, tyle, że za pniem był wykrot. Wstrzas osłabił chwyt, Reynevan zleciał między lopiany, szczęściem tak wielkie i gesty, że zdolne choć w części zamortyzować impet upadku. Ale uderzenie o ziemię i tak wytłoczyło mu z płuc całe powietrze i sprawiło, że z jękiem zwał się w klebek.

Rozwinąć się już nie zdążył. Scigający go Vitellozzo Gaetani zeskoczył z siodła tuż obok.

- Chciales uciec? - wycharczał. - Mnie? Ty wyskrobku!

Zamierzył się, by kopnąć, ale nie kopnął. Szarlej wyrósł jak spod ziemi, pchnął go w piers i poczęstował swoim ulubionym kopniakiem pod kolano. Italczyk nie upadł jednak, zatoczył się tylko, wyrwał miecz z pochwy i ciał od ucha. Demeryt zwinnie uskoczył z zasięgu ostrza, obnażył własną bron, krzywa szable. Zawinał nią, swisnął na krzyż, szable smigała w jego dłoni jak błyskawica i syczała jak zmija.

Gaetani nie dał się zastraszyć demonstrowaną sprawnością szermierczą, z dzikim wrzaskiem skoczył na Szarleja z mieczem. Scieli się ze szczękiem. Trzy razy. Za czwartym Italczyk nie zdążył sparować ciosu znacznie szybszej szable. Dostał w policzek, załżał się krwią. Mało mu było, byłby może i chciał walczyć dalej, ale Szarlej nie dał mu szans. Dostarczył, głowica trzasnęła między oczy. Gaetani runął między

lopuchy. Zawyl dopiero wtedy, gdy upadl.

-*Figlio di puttana* !

- Podobno - Szarlej wytarl klingę liściem. - Ale cóż począć, matka jest tylko jedna.

- Nie chce psuc zabawy - powiedział Samson Miodek, wylaniając się z mgły z trzema koniami, w tym i z chrapiącym i spienionym gniałoszem Reynevana. - Ale może by tak odjechać? I może galopem?

* * *

Mleczna opona pekła, mgły uniosły się, rozwiały w blasku przebijającego się przez chmury słońca. Zatopiony w *chiaroscuro* długich cieni świat pojaśniał nagle, zalsnił, zapłonął barwami. Zupełnie jak u Giotta. Jesli, naturalnie, ktoś widział freski Giotta.

Zalsniły czerwona dachówka wieże niedalekiego Frankensteinu.

- A teraz - rzekł, napatrzwszy się, Samson Miodek - teraz do Ziebic.

- Do Ziebic - zatarł ręce Reynevan. - Ruszamy do Ziebic. Przyjaciele... Jak się wam odwdzięczę?

- Pomyślimy o tym - obiecał Szarlej. - Na razie zaś... Zsiadź z konia.

Reynevan usłuchał. Wiedział, czego się spodziewać. Nie pomylił się.

- Reynevanie z Bielawy - powiedział Szarlej głosem dostojnym i uroczystym. - Powtarzaj za mną: Jestem durniem!

- Jestem durniem...

- Głośniej!

- Jestem durniem! - dowiadywały się zamieszkujące okolice, a budzące się właśnie stworzenia boże: myszy badyłarki, ropuchy, kumaki, chomiki, kuropatwy, trznadłe i kukulki, ba, nawet mucholówki zalobne, krzyżodzioby świerkowe i salamandry płamiste.

- Jestem durniem - powtarzał za Szarlejem Reynevan. - Durniem patentowanym, głupcem, kretynem, idiota i błaznem godnym zamknięcia w Narrenturmie! Cokolwiek wymyśle, okazuje się szczytem głupoty, cokolwiek uczynię, szczyty te przekracza. Solemnie przyrzekam, że się poprawię.

- Szczęściem dla mnie - toczyła się po mokrych łakach poranna litania - szczęściem całkiem niezasłużonym, mam przyjaciół, którzy nie zwykli zostawiać w biedzie. Mam przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć. Albowiem przyjaźń...

Słońce uniosło się wyżej i złotym blaskiem zalało pola.

- Przyjaźń to rzecz piękna i wielka!

Rozdział dziewiętnasty

w którym nasi bohaterowie trafiają w Ziebicach na bardzo europejski turniej rycerski. Dla Reynevana zaś kontakt z Europą okazuje się bardzo przykry. Ba, bolesny nawet.

Byli już tak blisko Ziebic, że mogli w całej okazałości podziwiać imponujące mury i wieże, wylaniające się zza porośniętego lasem pagórka. Dookoła jasniały strzechy chałup podgrodzia, wśród pól i łąk trudzili się rolnicy, pelzał nisko nad ziemią brudny dym palonych chwastów. Pastwiska pstrzyły się od owiec, łąki nad stawami bielily od gęsi. Maszerowali obładowani koszami wiesniacy, dostojnie stapały utuczone woly, turkotały wypełnione sianem i jarzynami wozy. Słowem, gdzie się nie spojrzalo, widziało się znamiona dobrobytu.

- Przyjemny kraj - ocenił Samson Miodek. - Pracowita, dostatnia dziedzina.

- I praworzadna - Szarlej wskazał na szubienice, uginające się pod ciężarem wisielców. Obok, ku radości wron, kilkanaście trupów gnilo na palach, bielaly też kości na kolach.

- Prawdziwie! - zarechotał demeryt. - Widac, że prawo tu prawo znaczy, a sprawiedliwość sprawiedliwość.

- Gdzie sprawiedliwość?

- Tu, o.

- Ach.

- Stąd też - gadał dalej Szarlej - bierze się dostatek, jakże słusznie przez ciebie, Samsonie, zauważony. Zaiste, takie miejscowości godzi się odwiedzać w celach sensowniejszych niżli ten, co nam przyswieca. Dla przykładu, by oszwabić, wykiwać i w butle nabicić któregoś z dobrze sytuowanych mieszkańców tej dziedziny, co nie byłoby trudne, jako że dobrobyt masami wręcz rodzi kpów, frajerów, naiwniaków i durniów. A my jedziemy, aby... Eeech... Szkoda słów.

Reynevan nie skomentował ni jednym nawet słowem. Nie chciał mu się. Słuchał podobnych tekstów już od bardzo długiego czasu.

Wyjechali zza pagórka.

- Chryste - sapnął Reynevan. - Ależ ludzi! Co to jest?

Szarlej zatrzymał konia, stanął w strzemionach.

- Turniej - odgadł po chwili. - To jest turniej, drodzy panowie. *Torneamentum*. Co dziś za dzień? Czy ktoś pamięta?

- Ósmy - policzył na palcach Samson. - *Mensis Septembris* , naturalnie.

- O! - Szarlej spojrzal na niego z ukosa. - To macie tam, w zaswiatach, taki sam kalendarz?

- Ogólnie rzecz biorac, owszem - Samson nie zareagował na zaczepke. - Pytales o date, odpowiedzialem. Zyczysz sobie czegos jeszcze? Jakis blizszych danych? Jest swieto Narodzin Marii Panny, *Nativitas Mariae* .

- A zatem - skonstatował Szarlej - turniej odbywa sie z tej własnie okazji. W droge, panowie.

Podmiejskie blonie pełne było luda, widac tez było prowizoryczne trybuny dla widzów lepszej kategorii, obite kolorowym suknem, udekorowane girlandami, wstegami, piastowskimi orlami i tarczami herbowymi rycerstwa.

Obok trybun wznosily sie budy rzemieslników i stragany sprzedawców jadla, relikwii i suwenirów, nad wszystkim zas powiewala feeria różnobarwnych flag, choragwi, proporców i gonfalonów. Nad pomruk tłumu wybijał sie co i raz miedziany głos surm i trab.

Wydarzenie w zasadzie nikogo dziwic nie powinno. Ksiaze ziebicki Jan wraz z kilkoma innymi ksiazetami i wielmozami slaskimi nalezal do Rudenbandu, Towarzystwa Obrozy, którego członkowie zobowiazywali sie do turniejowania przynajmniej raz do roku. W odróżnieniu jednak od wiekszosci ksiazat, którzy z kosztochlonnego obowiazku wywiazywali sie raczej niechetnie i malo regularnie, Jan z Ziebic co i rusz urzadzal turnieje. Ksiestwo, malutkie wszak, było, wbrew pozorom, malo dochodowe, kto wie, czy nie najubozsze pod tym wzgledem na Slasku, mimo to ksiaze Jan zastawiał sie, a stawiał sie. Zadluzyl sie po uszy u Zydów, sprzedal, co miał do sprzedania, puscil w dzierzawe, co miał do puszczania. Od ruiny uratowało go malzenstwo z Elzbieta Melsztynska, bardzo bogata wdowa po wojewodzie krakowskim Spytku. Ksiezna Elzbieta, póki zyła, hamowała nieco Jana i jego szeroki gest, ale gdy zmarła, ksiaze ze zdwojona sila wziął sie za trwonienie schedy. W Ziebicach znowu zaczęly sie turnieje, hulaszczecy i wystawne polowania.

Znowu zagrzmiály traby, zakrzyczal tłum. Byli juz na tyle blisko, by ze wzgórze zobaczyc szranki - klasyczne, długie na półtrzeciasta, szerokie na sto kroków, ogrodzone podwójnym plotem z bali, po zewnetrznej szczególnie solidnym, zdolnym powstrzymac napór tluszczcy. Wewnatrz szranków ustawiono bariere, wzdłuż której, pochyliwszy kopie, własnie szarżowało na siebie dwóch rycerzy. Tłum ryczał, gwizdal i bil brawo.

- Ten turniej - ocenil Szarlej - owo *hastiludium* , które podziwiamy, ulatwi nam zadanie. Cale miasto sie tu zebralo. Patrzcie, o, tam powlazili nawet na drzewa. Zaloze sie, Reinmarze, ze twojej ukochanej nie pilnuje nikt. Zsiadajmy z koni, by nie rzucac sie w oczy, obejdzmy ten halasliwy jarmark, wmieszajmy sie miedzy rolników i wkroczmy do miasta. *Veni, vidi, vici* !

- Nim pójdziemy w slady Cezara - pokrecil glowa Samson Miodek - nalezaloby sprawdzic, czy ukochanej Reinmara nie ma trafunkiem wśród turniejowych spektatorów. Jesli zebralo sie cale miasto, moze i ona tu jest?

- A cóz Adela - Reynevan zsiadl z konia - mialaby robic wśród tego towarzystwa? Ja tu wieza, przypominam. Wiezniów nie zaprasza sie na turnieje.

- Zapewne. Ale cóz szkodzi sprawdzic?

Reynevan wzruszył ramionami.

- Dalejże więc. Chodźmy.

Musieli iść ostrożnie, uważając, by nie wdepnąć w kupe. Okoliczne zagajniki stały się, jak przy okazji każdego turnieju, powszechna latryna. Ziebice liczyły sobie około pięciu tysięcy mieszkańców, turniej mógł też przywabić gości, co razem dawało w przybliżeniu jakieś pięć i pół tysiąca osób. Wyglądało na to, że każda z tych osób była w krzakach przynajmniej dwukrotnie, by wysrać się, wysikac i wyrzucić niedogryziony obwarzanek. Smierdziało jak diabli. Ewidentnie nie był to pierwszy dzień turnieju.

Traby zatrąbiły, tłum znów krzyknął jednym wielkim głosem. Tym razem byli już na tyle blisko, by wcześniej usłyszeć trzask kruszonych kopii i łomot, z jakim zderzyli się kolejni zawodnicy.

- Wystawny turniej - ocenił Samson Miodek. - Wystawny i bogaty.

- Jak to u księcia Jana.

Minał ich krzepki parobczak, prowadzący w krzaki hoza, rumiana i ognistooka krasawice. Reynevan z sympatią przyjrzał się parze, życząc im w duchu, by znaleźli miejsce dyskretne i zarazem wolne od gówień. Myśl zaprzatnął mu natretny obraz tego, czemu zaraz para w krzakach się odda, w kroczu przyjemnie zamrowilo. Nic to, pomyślał, nic to, mniej od podobnych rozkoszy z Adela dzieła też już tylko chwile.

- Tedy - Szarlej z właściwym sobie wyczuciem poprowadził ich między budy kowali i płatnerzy. - Dajcie wierzchowce tu, do plotu. I chodźcie tedy, tu luzniej.

- Spróbujmy podejść bliżej trybuny - powiedział Reynevan. - Jeśli Adela tu jest, to...

Jego słowa zagłuszyły fanfary.

-*Aux honneurs, seigneurs chevaliers et escuiers !* - zakrzyknął gromko marszałek heroldów, gdy fanfary przebrzmiały. -*Aux honneurs! Aux honneurs !*

Dewiza księcia Jana była nowoczesność. I europejskość. Wyróżniając się w tym względzie nawet wśród Piastów śląskich, książę ziebicki cierpiał na kompleks prowincjusza, bolał nad tym, że jego księstwo leży na peryferiach cywilizacji i kultury, na rubieży, za którą już nic, tylko Polska i Litwa. Książę ciężko to przeżywał i chorobliwie wręcz parł ku Europie. Dla otoczenia było to nieraz bardzo uciążliwe.

-*Aux honneurs !* - krzyczał po europejsku marszałek heroldów, odziany w złoty tabart z wielkim czarnym piastowskim orłem. -*Aux honneurs !Laissez les allegr !*

Rzecz jasna, marszałek, stary dobry niemiecki *Marschall*, u księcia Jana zwał się z europejską *Roy d'armes*, pomagali mu heroldowie - europejscy persewanci, a gonitwa na kopie przez plot, stare dobre *Stechen uber Schranken*, zwała się kulturalnie i europejsko: *la joute*.

Rycerze złożyli kopie w toki i z łomotem kopyt poszli na się wzdłuż bariery. Jeden, jak wynikało z godel na kropierzu, wyobrazających szczyt góry nad srebrno-czerwona szachownica, pochodził z rodu Hobergów. Drugi rycerz był Polakiem, świadczył o tym herb Jelita na tarczy i kozioł w klejnocie modnie zakratowanego turniejowego helmu.

Europejski turniej księcia Jana przyciągnął mnóstwo gości ze Śląska i zagranicy. Przestrzeń między

plotami szranków i specjalnie ogrodzony plac wypełniali bajecznie kolorowi rycerze i giermkowie, w tym i przedstawiciele co ważniejszych śląskich rodów. Na tarczach, konskich kropierzach, lentnerach i wapenrokach widniały zatem jelenie poroża Bibersteinów, baranie głowy Haugwitzów, złote klamry Zedlitzów, turze lby Zettritzów, szachownice Borschnitzów, skrzyżowane klucze Uechteritzów, ryby Seidlitzów, belty Bolzów i dzwonki Quasów. Jakby tego było mało, tu i ówdzie widziało się godła czeskie i morawskie - ostrzewie panów z Lipy i Lichtenburka, odrzywasy panów z Kravarz, Dube i Bechyni, oseeki Mirovskich, lilie Zvolskich. Nie brakowało i Polaków - Starychkoniów, Awdanców, Doliwów, Jastrzebców i Łodziów.

Wspomożeni potężnymi ramionami Samsona Miodka Reynevan i Szarlej wdrapali się na węgiel, a potem na dach budy kowala. Stamtąd Reynevan uważnie zlustrował bliska już trybunę. Zaczął od końca, od osób mniej ważnych. Był to błąd.

- Na Boga - westchnął bardzo głośno - Adela tam jest! Tak, na ma dusze... Na trybunie!

- Która to?

- Ta w zielonej sukni... Pod baldachimem... Obok...

- Obok samego księcia Jana - nie przegapił Szarlej. - Rzeczywiście, piękność. Cóż, Reinmarze, gustu gratuluje. Znajomości kobiecej duszy pogratulować nie mogę. Potwierdza się, o, potwierdza mój pogląd, że poronionym pomysłem była nasza ziębicka odyseja.

- To nie jest tak - zapewnił sam siebie Reynevan. - To nie może być tak... Ona... Ona jest więzienniczką...

- Czyim, zastanówmy się? - Szarlej osłonił oczy dłonią. - Obok księcia siedzi Jan von Biberstein, pan na zamku Stolz, za Bibersteinem leciwa niewiasta, której nie znam...

- Eufemia, starsza siostra księcia - rozpoznał Reynevan. - Za nią... Czyżby Bolko Wołoszek?

- Dziedzic na Głogówku, syn księcia opolskiego - Szarlej jak zwykle imponował wiedzą. - Obok Wołoszka zaś siedzi starosta kłodzki, pan Puta z Czastolowic, z żoną, Anną z Kolditzów. Dalej siedzi Kilian Haugwitz i jego małżonka Ludgarda, dalej stary Herman Zettritz, dalej Janko z Chotiemic, pan na zamku Książ. Właśnie wstaje i bije brawo Gocze Schaff z Greifensteinu, z żoną, chyba, obok niej zasiada Mikołaj Zedlitz na Alzenau, starosta otmuchowski, obok niego Gunczel Swinka ze Swin, dalej ktoś z trzema rybami w polu czerwonym, a więc Seidlitz albo Kurzbach. Z drugiej zaś strony dostrzegam Ottona von Borschnitz, dalej któregoś z Bischofsheimów, dalej widzę Bertolda Apolde, cześnika z Schonau. Dalej siedzi Lotar Gersdorf i Hartung von Klux, obaj Łuzyczanie. Na dolnej ławie zasiadają, jeśli mnie wzrok nie myli, Boruta z Wicemierzyc i Seckil Reichenbach, pan na Ciepłowodach... Nie, Reinmarze. Nie widzę nikogo, kto mógłby uchodzić za strażnika twojej Adeli.

- Tam dalej - bąknął Reynevan - siedzi Tristram von Rachenau. To krewniak Sterczów. Tak samo von Baruth, ten z turem w herbie. A tam... Ach! Psiakrew! To być nie może!

Szarlej mocno złapał go za ramię, gdyby nie to, Reynevan byłby spadł z dachu.

- Czyj to widok - spytał zimno - tak toba wstrząsał? Widzę, że twe wytrzeszczone oczy przylgnęły do dziewczyny z jasnymi kosami. Tej, do której zalecają się właśnie młody von Dohna i jakiś polski Rawicz. Znasz ją? Któż to jest?

- Nikolettka - powiedział cicho Reynevan. - Nikolettka Jasnowłosa.

* * *

Plan, zdawałoby się, genialny w swej prostocie i zarazem zuchwalości, wziął w łeb, przedsięwzięcie nie powiodło się na całej linii. Szarlej przewidywał to, ale Reynevan nie dał się powstrzymać.

Do zaplecza turniejowej trybuny przylegały prowizoryczne konstrukcje, zbudowane z pali i rusztowań opiętych płótnem. Widzowie - przynajmniej ci lepiej urodzeni i sytuowani - spędzali tam przerwy w turnieju, bawili się wzajem rozmową, flirtując i popisując strojem. A także raczali się jadłem i napitkiem - w stronę owych namiotów co i rusz bowiem posługacze toczyli beczki, nosili antalki i kadki, transportowali nosidła z kosztami. Pomysł, by zakręcić się do kuchni, wmieszać między sługi, chwycić kosz bułek i udać się z nim do namiotu, Reynevan uważał za genialny właśnie. Niesłusznie.

Udało mu się dotrzeć jedynie do przedsiónek, do miejsca, w którym produkty składowano, a z którego dalej nosili je paziowie. Reynevan, konsekwentnie realizując swój plan, postawił kosz, niepostrzeżenie wymknął się z szeregu wracających do kuchni pacholków i zakradł za namioty. Wyciągnął sztylet, by wyciąć w płótnie dziurkę obserwacyjną. I wtedy go capnięto.

Unieruchomił go chwyt kilku par krzepkich rak, żelazna dłoń scisnęła za gardło, druga, równie żelazna, wydusiła sztylet z palców. Wewnątrz pełnego rycerstwa namiotu znalazł się szybciej, niż się spodziewał, choć niezupełnie tak, jak się spodziewał.

Pchnięto go silnie, upadł, tuż przed sobą zobaczył modne cizmy z nieprawdopodobnie długimi noskami. Cizmy takie zwano *poulaines*, nazwa zaś, choć europejska, wcale nie z Europy się brała, lecz od Polski, obuwiem takim zasłynęli bowiem na cały świat szewcy krakowscy. Szarpnięto go, wstał. Znal z widzenia tego, który go szarpnął! Był to Tristram Rachenau. Krewniak Sterczów. Towarzyszyło mu kilku Baruthów z czarnymi turami na lentnerach, też Sterczowskich powinowatych. Reynevan nie mógł gorzej trafić.

- Zamachowiec - przedstawił go Tristram Rachenau. - Skrytobójca, mści książe. Reinmar z Bielawy.

Otoczający księcia rycerze zaszemrali groźnie.

Książe Jan Ziebicki, przystojny i postawny czterdziestoletni mężczyzna, odziany był w czarny obcisły *justau-corps*, na którym nosił modnie obfita, obszyta sobolami bordowa *houppelande*. Na szyi miał ciężki złoty lancuch, na głowie modny *chaperon* turban z opadającą na ramię *liripipe* z flamandzkiego muslinu. Ciemne włosy księcia obcięte były również wedle najnowszych europejskich wzorców i mód - pod grzywką dookoła głowy, dwa palce nad uszami, z przodu grzywka, z tyłu wygolone aż po potylicę. Obuty był zaś książe w czerwone krakowskie *poulaines* z modnie długimi noskami, te same, które Reynevan dopiero co podziwiał był z poziomu podłogi.

Książe, co Reynevan skonstatował z bolesnym uciskiem na gardło i przepone, trzymał pod ramię Adele de Stercza, w sukni w najmodniejszym kolorze *vert d'éméraire*, z trenem, z rozciętymi rekawami zwisającymi aż do ziemi, w złotej siateczce na włosach, ze sznurem perel na szyi, z dekoltem pysznie wyzierającym spod ciasnego gorsetu. Burgundka przypatrywała się Reynevanowi, a wzrok miała zimny jak u weza.

Książe Jan wziął w dwa palce sztylet Reynevana, podany mu przez Tristrama von Rachenau, obejrzał go, potem podniósł oczy.

- Pomyslec tylko - przemówił - ze nie bardzo wierzyłem, gdy oskarżano cie o zbrodnię. O zabicie pana Barta z Karczyna i swidnickiego kupca Neumarkta. Nie chciałem dać wiary. I oto proszę, chwytasz się ciebie na licu, gdy z nożem w reku starasz się zejść mnie od pleców. Czy tak mnie nienawidzisz? A może ktoś ci za to zapłacił? Czy też jesteś po prostu szalencem? He?

- Mosci książe... Ja... Ja nie jestem skrytobójcą... Prawda, że się zakradłem, ale ja... Ja chciałem...

- Ach! - książe Jan wykonał smukłą dłonią bardzo księzeczki i bardzo europejski gest. - Rozumiem. Zakradłeś się tu z pugnałem, by przedłożyć mi petycję?

- Tak! To znaczy nie... Wasza księżeczka mosć! Nie jestem winien niczemu! Przeciwnie, to mnie spotkała krzywda! Jestem ofiarą, ofiarą spisku...

- No jasne - wydal wargi Jan Ziebicki. - Spisek. Wiedziałem.

- Tak! - wrzasnął Reynevan. - Tak właśnie! Sterczowie zabili mi brata! Zamordowali go!

- Liesz, psu bracie - warknął Tristram Rachenau. - Nie szczekaj, radzecz, na mych swaków.

- Sterczowie zabili Peterlina! - szarpnął się Reynevan. - Jeśli nie własnoręcznie, to przez najemnych zbirów! Kunza Aulocka, Storka, Waltera de Barby! Lotrów, którzy i na mnie dybia! Wasza łaskawość książe Janie! Peterlin twym był wasalem! Domagam się sprawiedliwości!

- To ja się domagam! - krzyknął Rachenau. - Ja, prawem krwi! Ten psi syn ubił w Olesnicy Niklasa Stercze!

- Sprawiedliwość! - zawołał jeden z Baruthów, zapewne Henryk, bo u Baruthów rzadko chrzczono dzieci inaczej. - Książe Janie! Kara za ten mord!

- To kłamstwo i potwarz! - wrzasnął Reynevan. - To Sterczowie są winni morderstwa! Oskarżają mnie, by się sami wybielić! I z zemsty! Za miłość, która łączy mnie i Adele!

Twarz księcia Jana zmieniła się, a Reynevan pojął, jak strasznie pałnął głupstwem. Patrzył na obojętne oblicze swej kochanki i powoli, powoli zaczynał rozumieć.

- Adelo - odezwał się w zupełnej ciszy Jan Ziebicki. - O czym on mówi?

- Kłamie, Jasku - uśmiechnęła się Burgundka. - Nic mnie z nim nie łączy i nigdy nie łączyło. Prawda to, że narzucał mi się z afektami, zalecał się natrętnie, ale odszedł jak niepyszny, nic nie wskórał. Nawet z pomocą czarnej magii, która mnie omamiał.

- To nieprawda - Reynevan z trudem wydobył głos ze scisnietego gardła. - To wszystko nieprawda. Kłamstwo. Leż! Adelo! Powiedz... Powiedz, że ty i ja...

Adela rzuciła głową, gestem, który znała, rzucała tak, gdy kochała się z nim w swej ulubionej pozycji, siedząc na nim okrakiem. Oczy jej błysnęły. Ten błysk znała również.

- W Europie - powiedziała głośno, rozglądając się - nie mogłoby się zdarzyć coś podobnego. By brzydka aluzja znieważono cześć cnotliwej damy. I to na turnieju, na którym dama owa za ledwie wczoraj okrzyknięto *La Royne de la Beaulte et des Amours*. W przytomności turniejowych rycerzy. A

jeżeli nawet coś takiego by się w Europie przydarzyło, to taki *mesdisant*, taki *malfaiteur* ni chwili nie stałby bezkarnie.

Tristram Rachenau z miejsca pojął aluzję i z rozmachem wałnął Reynevana pięścią w kark. Henryk Baruth poprawił z drugiej strony. Widząc, że książę Jan nie reaguje, że patrzy w bok z kamienną twarzą, doskoczyli następni, wśród nich jakiś Seidlitz albo Kurzbach z rybami w polu czerwonym. Reynevan dostał w oczodół, świat zginął w wielkim błysku. Skulił się pod gradem ciosów. Dobiegł ktoś jeszcze, Reynevan upadł na kolana, uderzony w ramię turniejową maczugą. Zasłonił głowę, maczuga bolesnie palnęła go w palec. Dostał potężnie w nerki, padł na ziemię. Zaczęto go kopać, więc zwinął się w kłębek, chroniąc głowę i brzuch.

- Stac! Dosc! Natychmiast przestac!

Ciosy i kopniaki ustaly. Reynevan otworzył jedno oko.

Wybawienie przyszło z najmniej spodziewanej strony. Jego dreczycieli powstrzymał groźny, suchy, nieprzyjemny głos i rozkaz chudej jak szczapa niemłodej niewiasty w czarnej sukni i białej podwice pod sztywno wykrochmalonym toczkiem. Reynevan wiedział, kto to jest. Eufemia, starsza siostra księcia Jana, wdowa po Fryderyku hrabim Oettingen, która po śmierci męża wróciła do rodzinnych Ziebic.

- W Europie, która ja znam - powiedziała hrabina Eufemia - nie kopie się leżących. Nie pozwoliłby na to żaden ze znanych mi europejskich książąt, mój panie bracie.

- Zawinił - zaczął książę Jan. - Tedy ja...

- Wiem, czym zawinił - przerwała mu sucho hrabina. - Bona słyszała. A ja go niniejszym biore pod ochronę. *Mercy des dames*. Znam bowiem, pochlebiam sobie, europejski obyczaj turniejowy nie gorzej niż obecna tu słubna małżonka rycerza von Stercza.

Ostatnie słowa wypowiedziane zostały z takim naciskiem i tak zjadliwie, że książę Jan spuścił wzrok i zaczerwienił się aż po wygolony kark. Adela wzroku nie spuściła, na twarzy jej próżno szukałbyś choć śladu rumieńca, tryskającej z jej oczu nienawiści mógł przestraszyć się każdy. Ale nie hrabina Eufemia. Eufemia, jak wieść niesła, w Szwabii nader szybko i nader zrecznie radziła sobie z miłośnikami hrabiego Fryderyka. To nie ona się bała, to jej się bano.

- Pani marszałku Borschnitz - skinęła władczo. - Proszę wziąć w areszt Reinmara de Bielau. Odpowiadasz za niego przede mną. Głowa.

- Rozkaz, jasnie pani.

- Wolnego, pani siostrze, wolnego - odzyskał mowę Jan Ziebicki. - Wiem, co znaczy *mercy des dames*, ale tu o zbyt poważne idzie grawamina. Zbyt ciężkie są przeciw temu młodzieńcowi zarzuty. Morderstwa, czarna magia...

- Będzie w areszcie - ucięła Eufemia. - W wieży. Pod strażą pana Borschnitza. Stawi się na sąd. Jeśli go ktoś oskarży. Mam na myśli oskarżenie poważne.

- At! - książę machnął ręką i zamaszycie odrzucił *liripipe* na plecy. - Do diabła z nim. Ważniejsze mam tu sprawy. Dalejże, panowie, zaraz zacznie się buhurt. Nie będę sobie psuł turnieju, nie przegapię buhurtu. Pozwól, Adelo. Nim rozpoczyna walkę, rycerze muszą zobaczyć na trybunie Królowa Urody i Miłości.

Burgundka ujęła podane jej ramie, uniosła tren. Wiązany przez giermków Reynevan wpijał w nią wzrok, licząc, że się obejrzy, że okiem lub dłonią da mu sygnał, znak. Ze to tylko podstęp, gra, fortel, że w rzeczywistości wszystko jest tak, jak było, że nic nie zmieniło się między nimi. Czekal na taki znak do ostatniej chwili.

Nie doczekał się.

Jako ostatni opuścili namiot ci, którzy dalej scenie przypatrywali się jeżeli nie z gniewem, to z niesmakiem. Siwowłosa Herman Zettritz. Starosta kłodzki Puta z Czastolovic i Gocze Schaff, obaj z żonami ustrojonymi w kopulaste azurowe henniny, zmarszczony Lotar Gersdorf z Luzyc. I Bolko Wołoszek, syn księcia opolskiego, dziedzic Prudnika, pan na Głogówku. Zwłaszcza ten ostatni, nim odszedł, śledził zjawisko pilnie i spod przymrużonych powiek.

Rozbrzmiały fanfary, wznosił gromka owacje tłum, herold wykrzyczał swoje *laissez les aller iaux honneurs*. Zaczynał się buhurt.

- Idziemy - rozkazał armiger, któremu marszałek Borschnitz zlecił eskortę. - Nie stawiaj oporu, chłopcze.

- Nie będę. Jaka u was wieża?

- Pierwszy raz? Ha, widzę, że pierwszy. Przywoita. Jak na wieżę.

- Pójdźmy więc.

Reynevan starał się nie rozglądać, by nadmiernym podnieceniem nie zdradzić Szarleja i Samsona, co do których pewien był, że obserwują go skryci wśród tłumu. Szarlej, co tu gadać, był jednak zbyt szczeranym lisem, by dać się zauważyć.

Zauważył go natomiast ktoś inny.

Odmieniła uczesanie. Wtedy, pod Brzegiem, nosiła grubą kosę, teraz słomiane w kolorze, rozdzielone pośrodku głowy włosy miała splecione w dwa warkoczki, zwinięte na uszach w ślimaki. Na czole nosiła złotą obrączkę, na sobie błękitną suknię bez rękawów, pod suknią białą batystową koszulę, *chemise*.

- Jasnie panienko - armiger zachrzakał, podrapał się pod czapkę. - Nie wolno... Będę miał kłopoty...

- Chce - śmieśnie przygryzła wargę i tupnęła, trochę po dziecinnemu - zamienić z nim parę słów. Parę słów, nic więcej. Nie mów o tym nikomu, a kłopoty cie ominą. A teraz odwróć się. I nie przysłuchuj.

- Za co tym razem, Alkasyńco? - spytała, mrużąc lekko błękitne oczy. - Za co w petach i pod strażą? Uwaga! Jeśli odpowiesz, że za miłość, pogniewam się bardzo.

- A jednak - westchnął - to prawda. Ogólnie rzecz biorąc.

- A szczególnie?

- Przez miłość i głupotę.

- Oho! Stajesz się wiarygodniejszy. Ale wyjaśnij, proszę.

- Gdyby nie moja głupota, byłbym w tej chwili na Wegrzech.
- Ja - spojrzala mu prosto w oczy - i tak bede wszystko wiedziala. Wszystko. Kazdy detal. Ale nie chcialabym ogladac cie na szafocie.
- Ciesz sie, ze cie wtedy nie dogonili.
- Nie mieli szans.
- Jasnie panienko - armiger odwrócił sie, zakasłal w kulak. - Miejcie litosc...
- Bywaj, Alkasynie.
- Bywaj w zdrowiu, Nikoletto.

Rozdział dwudziesty

w którym po raz kolejny znajduje potwierdzenie stara prawda, że na kogo jak na kogo, ale na kolegów ze studiów zawsze można liczyć.

- Wiesz, Reynevan - powiedział Henryk Hackeborn - powszechnie się twierdzi, że źródłem wszystkich nieszczęść, które cie spotykają, całym złem i przyczyną twego marnego losu jest ta Francuzka, Adela Stercza.

Reynevan nie zareagował na tak odkrywcze stwierdzenie. Krzyże go swędziały, a nijak było się podrapać, mając ręce związane w przegubach i dodatkowo w łokciach przycisnięte do boków skórzanym pasem. Konie oddziału kłapały kopytami po wyboistej drodze. Strzelcy sennie kiwali się w siodłach.

Przesiedział w wieży ziebickiego zamku trzy doby. Ale daleki był od załamania. Był zamknięty i pozbawiony swobody, prawda, niepewny jutra, też prawda. Ale póki co nie bili, a karmili, choć podle i monotonnie, lecz codziennie, a od tego ostatnio odwykł i z przyjemnością przywykał.

Sypiał źle, nie tylko z przyczyny pcheł imponujących rozmiarów, grasujących w słomie. Ilekroć zamknął oczy, widział białą, porowatą jak ser twarz Peterlina. Albo Adele i Jana Ziebickiego, w różnych konfiguracjach. Sam nie wiedział, co gorsze.

Zakratowane okienko w grubym murze dawało widok na malusienki jeno kawałek nieba, ale Reynevan wciąż wisiał u wneki, uczipiony krat, pełen nadziei, że zaraz usłyszy Szarleja, niczym pajak pnącego się po murze z pilnikiem w zębach. Lub spoglądał na drzwi, marząc, że za moment wyleca z zawiasów pod mocarnym barkiem Samsona Miodka. Nie pozbawiona przesłanek wiara w omnipotencję

przyjaciół podtrzymywała go na duchu.

Rzecz oczywista, zaden ratunek nie nadszedł. Wczesnym rankiem dnia czwartego wyciągnięto go z celi, związano i wsadzono na konia. Wyjechał z Ziebic Brama Paczkowska, eskortowany przez czterech konnych kuszników, armigera i rycerza w pełnej zbroi, z tarcza przyozdobiona osmioramienna gwiazda Hackebornów.

- Wszyscy mówią - ciągnął Henryk Hackeborn - że to był twój pech, ruszenie tej Francuzki. To, że ja przeleciał, było twoją zguba.

Reynevan i tym razem nie odpowiedział, ale przed pełnym zadumy kiwnięciem głową nie ustrzegł się.

Ledwo stracili z oczu miejskie wieże, z pozoru ponury i do obrzydzenia służbisty Hackeborn ożywił się, poweselał i zrobił rozmowny, bez żadnej zachęty. Nosił - jak połowa Niemców - imię Henryk i był, jak się okazało, krewniakiem możnych Hackebornów z Przewozu, niedawno, bo wszystkiego przed dwoma laty przybył z Turyngii, gdzie ród coraz niżej spadał ranga w służbie landgrałów, co za tym idzie, coraz bardziej biedniejac. Na Śląsku, gdzie nazwisko Hackeborn coś znaczyło, rycerz Henryk liczył w służbie Jana Ziebeckiego na przygodę i karierę. Tej pierwszej miała mu dostarczyć spodziewana łada dzień wielka antyhusycka krucjata, druga miała zapewnić korzystną koligację. Henryk Hackeborn wyznał Reynevanowi, że wzdycha właśnie do słicznej i pełnej temperamentu Juty de Apolda, córki cześnika Bertolda Apolda, pana na Schonau. Jutta niestety, wyznał dalej rycerz, afektu nie tylko że nie odwzajemnia, ale i podkpiwac z awansów pozwala sobie. Ale nic to, grunt to wytrwalosc, kropla draży skale.

Reynevan, choć sercowe perypetie Hackeborna obchodziły go wielokrotnie mniej od zeszłorocznego sniegu, udawał, że słucha, grzecznie potakiwał, nie warto, w końcu, być niemiłym wobec własnej eskorty. Gdy po jakimś czasie rycerz wyczerpał zasób nurtujących go tematów i zamilkł, Reynevan spróbował zadrzemac, ale nic z tego nie wyszło. Przed zamkniętymi oczami stał mu martwy Peterlin na murach lub Adela z lydkami na ramionach księcia Jana.

Byli w Słuzejowskim Lesie, barwnym i pełnym aromatów po porannym deszczu, gdy rycerz Henryk przerwał milczenie. Sam, nie indagowany, zdradził Reynevanowi cel podróży - zamek Stolz, gniazdo możnego pana Jana Bibersteina. Reynevan zainteresował się i zaniepokoił zarazem. Miał zamiar wypytac gadule, ale nie zdążył, bo rycerz płynnie zmienił temat i jał dywagowac na temat Adeli von Stercza i marnego losu, jaki romans z owa przyniósł Reynevanowi.

- Wszyscy uważają - powtórzył - że to był twój pech, że ja przeleciał.

Reynevan nie polemizował.

- A przecie tak nie jest - ciągnął Hackeborn, robiac wszechwiedzaca mine. - Na odwrót wrecz jest. Sa tacy, co to odgadli. I wiedza. To, że te Francuzki przefiknal, życie ci uratowało.

- Słucham?

- Książę Jan - wyjaśnił rycerz - bez najmniejszych oporów wydalby cię Sterczom, Rachenau i Baruthowie mocno na niego naciskali. Ale co to by oznaczało? Że Adela kłamie, zapierając się. Że jednak ja chędożył. Dociera do ciebie? Z tych samych powodów książę nie dał cię katu na śledztwo w sprawie owych morderstw, któreś jakoby popełnił. Bo wiedział, że na mekach zaczniesz paplac o Adeli. Rozumiesz?

- Troche.

- Troche! - zasmial sie Hackeborn. - Owo troche dupe ci uratuje, bratku. Zamiast na szafot czy do katowni, jedziesz na zamek Stolz. Bo tam o milosnych przewagach w Adelinej loznicy mozesz opowiadac tylko murom, a mury tamój grube. Cóż, posiedziec troche posiedzisz, ale ocalisz glowe i inne czlonki. Na Stolzu nikt cie nie dostanie, nawet biskup, nawet Inkwizycja. Bibersteinowie to potezni wielmoze, nie boja sie nikogo, a z nimi nikt zadrzec sie nie osmieli. Tak, tak, Reynevan. Ocalilo cie to, ze ksieciu Janowi nijak przyznac, zes przed nim obracal jego nowa metrese. Rozumiesz? Kochanka, której rozkoszne poletko oral przedtem jedynie slubny malzonek, to niemal dziewica, a taka, która juz dawala innym milosnikom, to pocpiega. Bo jesli byl w jej lozu Reinmar de Bielau, to mógł przecie byc kazdy.

- Mily jestes. Dziekuje.

- Nie dziekuj. Rzeklem, za sprawa Amora jestes uratowany. I tak na to patrz.

Oj, nie do konca, pomyslal Reynevan. Nie do konca.

- Wiem, o czym myslisz - zaskoczyl go rycerz. - O tym, ze umrzyk jest jeszcze dyskretniejszy? Ze na Stolzu gotowi cie otruc albo kark cichaczem skrecic? Otóż nie, blednie mniemasz, jesli tak mniemasz. Chcesz wiedziec, dlaczego?

- Chce.

- Dyskretne odosobnienie cie na Stolzu zaferowal ksieciu sam pan Jan von Biberstein. A ksiaze przystal na to w mig. A teraz najlepsze: wiesz, czemu Biberstein pospieszyl z taka oferta?

- Pojecia nie mam.

- A ja mam. Bo plotka poszla po Ziebicach. Poprosila go o to siostra ksiecia, hrabina Eufemia. A owa ksiaze w wielkiej ma estymie. Gadaja, jeszcze z dzieciacych lat. Dlatego hrabina na ziebickim dworze tyle znaczy. Choc przecie pozycji to ona nie ma nijakiej, bo cóz ona za hrabina, pusty to tytul i czczy. Urodzila szwabskiemu Fryderykowi jedenascioro dzieci, a gdy owdowiala, dzieci te wysiudaly ja z Oettingen, zadna to tajemnica. Ale w Ziebicach z niej cala geba pani, nie zaprzeczysz temu.

Reynevan ani myslal zaprzeczac.

- Nie ona jedna - podjal po malej chwili Hackeborn - prosila za toba u pana Jana Bibersteina. Chcesz wiedziec, kto jeszcze?

- Chce.

- Bibersteinowa córa, Katarzyna. Musiales jej w oko wpasc.

- Czy to taka wysoka? Jasnowlosa?

- Nie udawaj glupka. Znasz ja wszak. Plotka glosi, ze juz wczesniej ratowala cie przed pogonia. Ech, jak to sie wszystko poplotlo dziwacznie. Powiedz sam, nie jest to ironia losu, komedia z omylek? Nie jest to Narrenturm? Istna Wieza Blaznów?

To prawda, pomyslal Reynevan. To jest istna Wieza Blaznów, Narrenturm. A ja... Szarlej mial racje - jestem blaznem najwiekszym. Królem durniów, marszałkiem glupków, wielkim przeorem zakonu

kretynów.

- W wieży na Stolzu - podjął wesoło Hackeborn - długo nie posiedzisz, jeśli wykazesz rozsadek. Szykuje się, wiem to na pewno, wielka wyprawa krzyżowa na czeskich heretyków. Złozysz śluby i przyjmiesz krzyż, to cię wypuszcza. Powojujesz. A zasłużysz się w walce ze schizma, to wybacza ci winy.

- Jest tylko jeden szkopuł.

- Jaki?

- Nie chce wojować.

Rycerz odwrócił się w kulbace, długo mu się przyglądał.

- A to - spytał z przekasem - niby dlaczego?

Reynevan nie zdążył odpowiedzieć. Rozległ się jadowity świst i syk, a zaraz potem donosny trzask. Hackeborn zachłysnął się, sięgnął rękami do gardła, w którym, przebiwszy blachę gorgetu, tkwił belt z kuszy. Rycerz obficie opluł się krwią, powoli przechylił do tyłu i spadł z konia. Reynevan widział jego oczy, szeroko otwarte, pełne bezbrzeżnego zdumienia.

Potem zaczęło się dziać dużo i szybko.

- Napaaaad! - wrzasnął armiger, wyszarpując miecz z pochwy. - Do brooni!

Z krzaków przed nimi huknęło straszliwie, błysnął ogień, zaklebił się dym. Kon pod jednym z pacholków padł jak rążony gromem, przygniatając jeźdźcę. Pozostałe konie postawały deba, spłoszone wystrzałem, stanął deba także kon Reynevana. Związany Reynevan nie zdołał utrzymać równowagi, spadł, bolesnie uderzając biodrem o grunt.

Z chaszczy wypadli konie. Reynevan, choć skulony na piasku, poznał ich od razu.

- Bij, zabij! - ryczał, wywijając mieczem, Kunz Aulock. Znany jako Kyrielejson.

Ziebiccy strzelcy dali salwę z kuszy, ale wszyscy trzej bezbożnie chybili. Chcieli uciekać, ale nie zdążyli, padli pod ciosami mieczy. Armiger meżnie ścinał się z Kyrielejsonem, konie chrapały i tanczyły, klingi dzwoniły. Starciu koniec położył Stork z Gorgowic, wbijając armigerowi burdę w plecy. Armiger wyprzył się, a wtedy Kyrielejson dobił go pchnięciem w gardło.

Głęboko w lesie, w gestwinie, alarmująco krzyczała wystraszona sroka. Śmierdziało prochem.

- Proszę, proszę - powiedział Kyrielejson, tracając leżące Reynevana czubkiem buta. - Pan Bielawa. Dawnośmy się nie widzieli. Nie cieszysz się?

Reynevan nie cieszył się.

- Naczekał się tu na ciebie - poskarżył się Aulock - w słońcu, chłodzie i niewygodzie. No, ale *finis coronat opus*. Mamy cię, Bielawa. I to gotowego, że tak powiem, do użycia, już stoczonego jak pakunek. Oj, nie jest, nie jest to twój dzień.

- Daj, Kunz, kopne go w zeby - zaproponował jeden z bandy. - On mnie oka wondrous mało nie wybil, w tamtej karczmie pod Brzegiem. To ja mu teraz zeby wykopne.

- Zostaw, Sybek - warknął Kyriejson. - Trzymaj nerwy na wodzy. Idź lepiej i sprawdź, co ów rycerz miał w jukach i kiesce. A ty, Bielawa, czemu tak gąły na mnie wytrzeszczasz?

- Zabiles mi brata, Aulock.

- He?

- Brata mi zabiles. W Balbinowie. Bedziesz za to wisial.

- Bredzisz - rzekł zimno Kyriejson. - Musiales z tego konia na glowe spasc.

- Zabiles mi brata!

- Powtarzasz sie w bredniach.

- Lzesz!

Aulock stanal nad nim, z wyrazu jego twarzy dalo sie odczytac, iz rozwaza dylemat - kopnac, azali nie kopnac. Nie kopnal, w sposob oczywisty z lekcewazenia. Odszedl kilka krokow, stanal nad koniem zabitym wystrzałem.

- Niech mnie diabli schwyca - powiedzial, kiwajac glowa. - Orez prawie grozny i morderczy, ta twoja handkanona, Stork. Podziwuj sie sam, jaka dziure w kobyle zrobilo. Kulak sie zmiesci! Iscie, bron to przyszlosci. Nowoczesnosc!

- Do dupy z taka nowoczesnoscia - odrzekl kwasno Stork z Gorgowic. - Nie w konia, jeno w jezdzca mierzyl zem z tej cholernej rury. I nie w tego jezdzca, ale w tamtego.

- Nic to. Niewazne, gdzie mierzony, grunt, ze trafiony. Hej, Walter, co tam czynisz?

- Dorzynam tych, co jeszcze dychaja! - odkrzyknal Walter de Barby. - Swiadkow nam nie trza, nie?

- Pospiesz sie! Stork, Sybek, ruk-cuk, wsadzie Bielawe na konia: Na tego rycerskiego kastelana. A przywiazcie krzepko, bo to zbytnik. Pamietacie?

Stork i Sybek pamietali, oj, pamietali, bo wsadzenie Reynevana na siodlo poprzedzili seria kuksancow i niewybrednych wyzwisk. Skrepowane rece przywiazano mu do leku siodla, a lydki do puslisk. Walter de Barby skonczyl dorzynanie, trupy ziebiczan zawleczono w krzaki, konie przegnano, na komende Kyriejsona cala czworka - plus Reynevan - ruszyla z kopyta. Jechali ostro, ewidentnie pragnac jak najszybciej oddalic sie od miejsca napadu i odsadzie od mozliwej pogoni. Reynevan podrygiwal w siodle. Zebra kluly przy kazdym oddechu, bolaly jak diabli. Nie moze tak dalej byc, pomyslal niedorzecznie, nie moze tak byc, by mnie co i rusz bito.

Kyriejson poganial kamratow krzykiem, jechali galopem. Caly czas goscincem. Najwyrazniej przedkladali tempo nad mozliwosc ukrycia sie, gesty las nie pozwolilby nawet na klus, o galopie nie wspominajac.

Wpadli na rozstaje. Wprost w zasadzke.

Ze wszystkich dróg, także z tyłu, runeli na nich ukryci dotąd w zarosłach konni. Było ich łącznie ze dwudziestu, z czego połowa pancernych w pełnych białych zbrojach. Kyrielejson i jego kompania nie mieli żadnych szans, ale i tak, trzeba przyznać, stawili zaciekle opór. Aulock zwał się z konia jako pierwszy, z głową strasznie rozrabiana toporem. Runął pod konskie kopyta Walter de Barby, na wylot przebity mieczem przez wielkiego rycerza z polskim Ogonczykiem na tarczy. Wziął po łbie buzdyganem Stork. Sybka z Kobylejgłowy zsiekano i skluto tak, że krew sownie obryzgała skulonego w siodle Reynevana.

- Wolnys, kamracie.

Reynevan zamrugał oczami. W głowie mu wirowało. Wszystko stało się zbyt szybko jak na jego gust.

- Dzięki, Bolko... Przepraszam... Wasza księżeczka mości...

- Dobra, dobra - przerwał Bolko Wołoszek, dziedzic Opoła i Prudnika, pan na Głogówku, przecinając kordelasem jego wieży. - Nie mościuj mi. W Pradze tobie było Reynevan, a mnie Bolko. Przy piwie i w bitce. I wtedy, kiedyśmy dla oszczędności brali we dwu jedną kurwę w bordelu na Celetnej, na Starym Mieście. Zapomniales?

- Nie zapomniałem.

- Ja też nie. Jak widzisz. Nie zostawia się scholara kamrata w biedzie. A Jan Ziebicki w rzyć mnie może pocalować. Zresztą stwierdzam z zadowoleniem, że to wcale nie ziebickich porabaliśmy. Choc przypadkiem, ale unikneliśmy dyplomatycznego incydentu, bosmy, wyznaje, na drodze do Stola czatując, ziebickiej się raczej spodziewali eskorty. A tu masz, niespodzianka. Cóż to za jedni, panie podstarosto? Poznaj, Reynevan, to mój podstarosta, pan Krzych z Koscielca. Cóż tedy, panie Krzychu? Rozpoznano którego? Zyje który może?

- To Kunz Aulock i jego kompania - uprzedził Reynevana olbrzym z Ogonczykiem na tarczy. - Dycha zas jeszcze ino jeden. Stork z Gorgowic.

- Oho! - zmarszczył brew i zaciął usta pan na Głogówku. - Stork. I żywy? Dawac go tu.

Wołoszek ruszył konia, z wysokości siodła przyjrzał się zabitym.

- Sybek z Kobylejgłowy - rozpoznał. - Kilka razy uciekł już katu, ale, jak to mówią, nosił wilk razy kilka. A tu Kunz Aulock, cholera, z takiej porządnej rodziny. Walter de Barby, cóż, jakie życie, taka śmierć. A kogóż tu mamy? Pan Stork?

- Litosci - zabelkotal Stork z Gorgowic, krzywiąc zalaną krwią twarz. - Pardonu... Pomiluj, panie...

- Nie, panie Stork - odparł zimno Bolko Wołoszek. - Opołe to niebawem moja będzie dziedzina, moje księstwo. Gwałt na opolskiej mieszczce to zatem w moich oczach bardzo ciężka zbrodnia. Zbyt ciężka na szybka śmierć. Szkoda, że tak mało mam czasu.

Młody książę stanął w strzemionach, rozejrzał się.

- Związać lotra - rozkazał. - I utopić.

- Gdzie? - zdziwił się Ogonczyk. - Toć nie masz tu nijakiej wody.

- Tam w rowie - wskazał Wołoszek - jest kaluza. Fakt, niewielka, ale głowa zmiesci się akuratnie.

Głogówcecy i opolscy rycerze zawlekli ryczącego i szamoczącego się w wieżach Storka do rowu, obrócili i trzymając za nogi, wpełchneli głowa do kaluzy. Ryk zmienił się we wściekłe bulgotanie. Reynevan odwrócił twarz.

Trwało to bardzo, bardzo długo.

Wrócił Krzych z Koscielca w towarzystwie drugiego rycerza, również Polaka, herbu Nieczuja.

- Cała woda z kaluzy wychłalał, niecnota - powiedział wesoło Ogonczyk. - Dopiero mulem się zadławił.

- Czas by nam stąd zniknąć, wasza książeczka mój - dodał Nieczuja.

- Racja - zgodził się Bolko Wołoszek. - Racja, panie Śląski. Posłuchaj, Reynevan. Ze mną jechać nie możesz, nie zdolam cię ukryć u siebie w Głogówku ani w Opolu, ani w Niemodlinie. Ani ojciec, ani stryj Bernard nie będą chcieli zwady z Ziebicami, wydadzą cię Janowi, gdy się upomni. A upomni się.

- Wiem.

- Wiem, że wiesz - młody Piast zmrużył oczy. - Ale nie wiem, czy rozumiesz. Dlatego wejdź w szczegóły. Obojętne, który kierunek wybierzesz, omijaj Ziebice. Omijaj Ziebice, kamracie, radzę ci to po starej amicycji. Omijaj to miasto i księstwo z daleka. Wierz mi, nie masz tam czego szukać. Może miałeś, ale już nie masz. Czy to dla ciebie jasne? Reynevan kiwnął głową. Było to dla niego jasne, ale przyznanie za nic nie chciało mu przejść przez gardło.

- Tedy - książę szarpnął wodzę, obrócił konia - każdy w swoją drogę. Radz sobie sam.

- Jeszcze raz dzięki. Jestem twoim dłużnikiem, Bolko.

- Nie ma o czym gadać - machnął ręką Wołoszek. - Rzekłem, po starej uczelnianej druźbie. Ech, to były czasy, w Pradze... Bywaj, Reinmar. *Bene vale* .

- *Bene vale* , Bolko.

Wkrótce scichły na trakcie kopyta koni opolskiego orszaku, znikł wśród brzeziny wiozący Reynevana skarogniady kastelan, do niedawna własność Henryka Hackeborna, rycerza z Turynii, przybyłego na Śląsk po własną śmierć. Na rozstaju uspokoiło się, ucichły wrzaski srok i sójek, wznowiły śpiew wilgi.

Nie minęła godzina, gdy pierwszy lis zaczął obgryzać twarz Kunza Aulocka.

* * *

Wydarzenia na wiodącym do Stolza gościncu stały się - na kilka dni przynajmniej - sensacją, ewenementem towarzyskim, modnym tematem rozmów i plotek. Książę ziebicki Jan przez kilka dni chodził zachmurzony, wścibscy dworacy rozpowiadali, że dała się na siostrę, księżną Eufemie, irracjonalnie przypisując jej winę za wszystko. Rozniosło się też, że boleśnie po uszach oberwała służka pani Adeli de Stercza. Fama głosiła, że za wesołość, za szczebiotanie i za śmiech - w chwili, gdy pani

całkiem nie było do śmiechu.

Hackebornowie z Przewozu zapowiedzieli, że morderców młodego Henryka dostaną choćby spod ziemi. Piękna i pełna temperamentu Jutta de Apolda śmiercią zalotnika nie przejęła się, jak mówiono, wcale.

Młodzi rycerze zorganizowali posąg za zbrodniami, cwałując od zamku do zamku wśród grania rogów i grzmotu kopyt. Posąg bardziej przypominał piknik i rezultaty też przyniosł piknikowe. Niektóre, jak cięże i ślania swatów - z dużym opóźnieniem.

Ziebice odwiedziła Inkwizycja, lecz tego, z czym przybyła, nie dowiedzieli się zza dominikańskich murów najbardziej nawet wścibscy i zadni sensacji plotkarze. Inne wieści i plotki rozchodziły się szybko.

We Wrocławiu, u świętego Jana Chrzciciela, kanonik Otto Beess modlił się żarliwie przed głównym ołtarzem, dziękował Bogu, opuściwszy czoło na złożone dłonie.

W Księginicach, wsi pod Lubinem, starutka, zupełnie zgrzybiała matka Waltera de Barby myślała o nadchodzącej zimie i o głodzie, który teraz, gdy została bez opieki i pomocy, niezawodnie zabije ją na przednówku.

W Niemczech, w karczmie „Pod Dzwonkiem”, było przez jakiś czas bardzo głośno - Wolfher, Morold i Wittich Sterczowie, a z nimi Dieter Haxt, Stefan Rotkirch i Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem, wrzeszczeli, kleli i odgrazali się, wypijając kwaterek za kwaterek i garniec za garncem. Donosząca napitek służba kurczyła się ze zgrozy, słysząc opisy mak, jakie biesiadnicy zamierzają w najbliższej przyszłości zadać niejakiemu Reynevanowi de Bielau. Nad ranem nastroje poprawiła nadszpiewanie trzeźwa uwaga Morolda. Nie ma tego złego, stwierdził Morold, co by na dobre nie wyszło. Skoro Kunza Aulocka diabli wzięli, tysiąc złotych reńskich Tammona Sterczy zostanie w kieszeni. Znaczący, w Sterzendorfie.

Po czterech dniach wieść doszła i do Sterzendorfu.

* * *

Młoda Ofka Baruth była bardzo, ale to bardzo niezadowolona. I bardzo zła na ochmistrzynię. Ofka nigdy nie darzyła ochmistrzyni sympatią, nazbyt często jej matka wyreczala się ochmistrzyni przy zmuszaniu Ofki do czynności przez Ofkę nie lubianych - zwłaszcza jedzenia kaszy i mycia. Dzisiaj jednak ochmistrzyni podpadła Ofce strasznie - przemocą oderwała ją od zabawy. Zabawa polegała na rzucaniu płaskiego kamienia na świeże krowie kupy i dzięki swej radosnej prostocie była ostatnio w modzie wśród rówieśników Ofki, głównie potomstwa straży grodowej i czeladzi.

Oderwana od igraszek dziewczynka marudziła, dąsała się i starała, jak mogła, utrudnić ochmistrzyni zadanie. Stawiała na złość małe kroczyki, przez co ochmistrzyni musiała ją niemal wlec. Złym fukaniem reagowała na upomnienia i na wszystko, co ochmistrzyni mówiła. Bo guzik ją to obchodziło. Miała dość przekładania mów dziadka Tammona, bo u dziadka w komnacie śmierdziało, dziadek zresztą też śmierdział. Guzik ją obchodziło, że właśnie przyjechał do Sterzendorfu wuj Apecz, że wuj Apecz przywiózł dziadkowi niesłychanie ważne wiadomości, że właśnie przekazuje je, a gdy skończy, dziadek Tammo będzie miał, jak zwykle, dużo do powiedzenia, a przecie oprócz niej, urodzonej panienci Ofki, nikt nie rozumie tego, co dziadek Tammo gada.

Urodzona panienka Ofka miała to wszystko gdzieś. Miała tylko jedno pragnienie - wrócić pod wal grodowy i rzucić płaski kamień na krowie kupy.

Już na schodach usłyszała dźwięki dobiegające z komnaty dziadka. Wiadomości przekazane przez wujka Apeca musiały być zaiste przerażające i wielce niemile, Ofka bowiem jeszcze nigdy nie słyszała, by dziadek tak ryczał. Nigdy. Nawet wtedy, gdy dowiedział się, że najlepszy ogier stadniny stracił się czymś i zdechl.

- Wuaahha-wuaha-buhhauahhu-uuuaaha! - dobiegalo z komnaty. - Hrrrrhyr-hhhyh... Uaarr-raaah!
O-o-oooo...

Potem zaś rozległo się:

- Bzppprrrr... Ppppprrrruuu...

I zapadła głucha cisza.

A potem z komnaty wyszedł wuj Apecz. Długo patrzył na Ofkę. Jeszcze dłużej zaś na ochmistrzynię.

- Proszę naszykować jadła w kuchni - powiedział wreszcie. - Wywietrzyc w komnacie. I wezwac księdza. W takiej właśnie kolejności. Dalsze dyspozycje wydam, gdy zjem.

- Wiele - dodał, widząc odgadujące prawdę spojrzenie ochmistrzyni. - Wiele się teraz tutaj zmieni.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym znowu zjawiają się czerwony goliard i czarny wóz, a na wozie piecset z górą grzywien. A wszystko skutkiem tego, że Reynevan znowu leci za spódniczką.

Okolo południa droge zatarasował mu wiatrolom - ogromna, sięgająca dalekiej sciany boru polac polamanych, lezacych pokotem pni. Zapora strzaskanych tramów, bezład splatanych konarów, chaos powykrecanych jakby w mece, wydartych z ziemi korzeni i labirynt wykrotów były iscie obrazem jego duszy. Alegoryczny krajobraz nie tylko zatrzymał go, lecz zmusił do myślenia.

Po rozstaniu z księciem Bolkiem Wołoszkim Reynevan apatycznie jechał na południe, tam, dokąd wiatr gnał zwaly ciemnych chmur. Właściwie nie wiedział, czemu właśnie taki kierunek wybrał. Czy dlatego, że wskazał go na odjezdnym Wołoszek? Czy instynktownie wybrał szlak oddalający go od miejsc i spraw budzących w nim lek i odrazę? Od Sterczów, Strzegomia i pana von Laasan, Hayna von Czirne, swidnickiej Inkwizycji, zamczyska Stolz, Ziebic, księcia Jana...

I Adeli.

Wiatr pedził chmury tak nisko, że niemal, wydawało się, zawadza o szczyty drzew za wiatrolodem. Reynevan westchnął.

Ach, jak zabolęły, jak targnęły sercem i trzewiami zimne słowa księcia Bolka! W Ziebicach nie ma już czego szukać! Na rany Chrystusa! Słowa te, może dlatego, że tak bezlitosnie szczere, tak prawdziwe, zabolęły bardziej niż zimne i obojętne spojrzenie Adeli, niż jej okrutny głos, gdy poduszczała na niego rycerzy, niż ciosy, które z tej przyczyny spadły na niego, niż więzienie. W Ziebicach nie ma już czego szukać. W Ziebicach, ku którym zmierzał pełen nadziei i miłości, skros niebezpieczeństw, ryzykując zdrowiem i życiem. W Ziebicach nie ma już czego szukać!

Nigdzie zatem nie mam już niczego, pomyślał zapatrzony w platanine korzeni i konarów. Miast zatem uciekać, by szukać tego, czego już nie ma, czy nie lepiej zawrócić do Ziebic? Znaleźć sposobność spotkania oko w oko z niewierną kochanką? By jak ów rycerz z ballady, co za rzucona przez płochą damę rekawiczka wszedł w cwinger między lwy i pantery, cisnąć Adeli w twarz, jak rekawiczkę właśnie, gorzki wyrzut i zimna wzgarda? Zobaczyc, jak niegodziwa błędnie, jak miesza się, jak łamie ręce, jak spuszcza wzrok, jak drża jej usta. Tak, tak, niech się dzieje, co chce, byle zobaczyć, jak ona błędnie, jak sroma się w obliczu hanby swego własnego przeniwierstwa! Sprawić, by cierpiała! By gryzła ją sumienie, dreczyły wyrzuty...

Akurat, odezwał się rozsadek. Wyrzuty? Sumienie? Ty durniu! Ona rozesmieje się, kaze ci znowu obić i wsadzić do wieży. A sama pójdzie do księcia Jana i obydwójce legną w lożnicy, będą się kochać, ba, gzić tak, że lożnica zatrzęsze. I nie będzie tam ni wyrzutów, ni żalów. Będzie śmiech, bo miłosnym igraszkom dodadzą, niby korzenna przyprawa, smaku i ognia szyderstwa z naiwnego głupca, Reinmara z Bielawy.

Rosadek, Reynevan skonstatował to zupełnie bez zdziwienia, przemawiał głosem Szarleja.

Kon Henryka Hackeborna zarzął, zatrzęsł łbem. Szarlej, pomyślał Reynevan, klepiąc go po szyi, Szarlej i Samson. Zostali w Ziebicach. Zostali? A może też zaraz po jego aresztowaniu ruszyli na Węgry, radzi, że pozbyli się wreszcie kłopotu? Szarlej całkiem niedawno wychwalał przyjazną, rzecz to wielką, prawil, i piękną. Ale wcześniej - a jakos prawdziwiej i szczerzej to brzmiało, jakos mniej w tym dźwięczało drwiny - deklarował, że liczy się dlań wyłącznie jego własna wygoda, jego własne dobro i szczęśliwość, że reszta pał diabli. Tak mówił, i w sumie...

W sumie coraz mniej mu się dziwi.

Kastelan Hackeborna zarzął znowu. I odpowiedziało mu rzenie.

Reynevan poderwał głowę, w samą porę, by zdążyć na skraju lasu zobaczyć jeźdźcę.

Amazonkę.

Nikoletta, pomyślał ze zdumieniem, Nikoletta Jasnowłosa! Siwa klacz, jasna kosa, szara oponcza. To ona, ona, bez dwóch zdań!

Nikoletta zobaczyła go w tym samym niemal momencie, co on ją. Ale wbrew oczekiwaniu nie pomachała mu ręką, nie okrzyknęła ochoczo i wesolo. Gdzie tam. Obróciła konia i rzuciła się do ucieczki. Reynevan nie zastanawiał się długo. Dokładniej mówiac, nie zastanawiał się ni sekundy.

Poderwał kastelana i rzucił się w ślad, skrajem wiatrolomu. Galopem. Wykroty groziły rumakowi połamaniem nóg, a jeźdźcowi skreceniem karku, ale jak się rzekło, Reynevan nie myślał. Kon też nie.

Gdy wpadł za amazonką w bór, między sosny, już wiedział, że się pomylił. Po pierwsze, siwy koń nie był znana mu rasowa i racza kłacza, lecz koscista i niezgrabna szkapka, cwałująca przez paprocie ocieźale i zupełnie bez gracji. A jadająca na szkapie dziewczyna w żaden sposób nie mogła być Nikoleta Jasnowłosa. Śmiała i rezolutna Nikoleta - czyli Katarzyna Biberstein, poprawił się w myśli - nie jechałaby, po pierwsze, w damskim siodle. Po drugie, nie kurczyłaby się w nim tak haniebnie, nie oglądała w poplochu. I nie piszczałaby tak przeraźliwie. Z całą pewnością by tak nie piszczała.

Gdy wreszcie dotarło do niego, że niczym kretyn lub zboczeniec ściga po lasach zupełnie obce dziewczyny, było już za późno. Amazonka wśród tetentu i pisku wyjechała na polane, Reynevan wyjechał tuż za nią. Wstrzymał konia, ale narowisty rycerski rumak nie dał się zatrzymać.

Na polanie byli ludzie, konie, cały orszaczek. Reynevan dostrzegł kilku pielgrzymów, kilku franciszkanów w burych habitach, kilku zbrojnych kuszników, grubego sierżanta, zaprzeczony w parę koni furgon nakryty czarnym smolowanym wantuchem. Jegomością na karoszu, w bobrowym kołpaku i płaszczu z bobrowym kołnierzem. Jegomość z kolei dostrzegł Reynevana, wskazał go sierżantowi i zbrojnym.

Inkwizytor, pomyślał ze strachem Reynevan, ale od razu zorientował się w pomyłce, przypomniał sobie. Widział już ten wóz, widział już osobnika w bobrowym kołpaku i kołnierzu. Kim był, zdradziła im Dzierzka de Wirsing, w folwarku, gdzie stała ze swym tabunem. Był to kolektor. Poborca podatków.

Wpatrując się w nakryty czarnym płótnem wóz, zdał sobie sprawę z faktu, że widział ten wehikul również później. Przypomniał sobie również okoliczności, co sprawiło, że natychmiast zapragnął uciekać. Nie zdążył. Nim zdolał obrócić tupiącego i szarpającego łbem konia, zbrojni dojechali cwałem, otoczyli go, odcinając od lasu. Widząc się celem kilku napiętych kusz, Reynevan pusił wodzę, uniósł ręce.

- Ja przypadkiem! - zawołał. - Omyłkowo! Bez złych zamiarów!

- Każdy tak może rzec - powiedział, podjechawszy, bobrowy kolektor. Przyglądał się nadzwyczaj ponurym wzrokiem, przyglądał się tak bacznie i podejrzliwie, że Reynevan zamarł w oczekiwaniu najgorszego i nieuniknionego. Czyli tego, że kolektor go rozpozna.

- Hola, hola! Niechajcie. Ja tego junaka znam!

Reynevan przelknął ślinę. Zdecydowanie był to dzień odnawiania znajomości. Wolającym był bowiem poznany w raubritterskim Kromolinie goliard, ten sam, który odczytywał husycki manifest, a później wraz z Reynevanem krył się w serniku. Niemłody, noszący kabat z powycinaną w zabki baskina i czerwony rogaty kaptur, spod którego wylazily krete kosmyki mocno szpakowatych już włosów.

- Znam dobrze - powtórzył, podjechawszy - tego młodzieńca. Z porządnej jest szlachty. Zwie się on... Reinmar von Hagenau.

- Potomek może - rysy bobrowego kolektora złagodniały odrobine - tego słynnego poety?

- Nie.

- A czemu to śledzi za nami? Tropem jedzie? He?

- Jakimże znowu tropem - uprzedził, parsknawszy, czerwony goliard. - Słepiecie czy jak? Toc z boru wyjechał! Gdyby tropił, jechałby duktem, po śladach.

- Niby, hmmm, prawda. I znacie sie, mówicie?

- Jak amen w pacierzu - potwierdził wesolo goliard. - Przecie ja jego imie wiem. A on moje. Ze zwe sie Tybald Raabe. No, rzeknijcie, paniczu Reinmarze, jak sie zwe?

- Tybald Raabe.

- Widzicie?

W obliczu niezbitego dowodu kolektor odkaszlnal, poprawil bobrowy kolpak, nakazal zolnierzom, by odstapili.

- Wybaczcie, hmm... Wiere, nazbyt ostroznym... Ale musze byc czujny! Wiecej rzec mi nie lza. Cóz, panie Hagenau, mozeecie...

- ...jehac z nami - dokonczyl ochoczno goliard, wczesniej przeslawszy Reynevanowi nieznaczne mrugniecie. - My do Barda. Wspólnie. Bo to w kupie razniej i... bezpieczniej .

* * *

Orszaczek posuwal sie wolno, wyboista lesna droga ograniczala tempo zaprzegu do takiego, któremu bez zadnego trudu mogli sprostac piesi, czterej patnicy z kosturami i ciagnacy maly wózek czterej franciszkanie. Patnicy wszyscy, jak jeden maz, mieli nosy sinoczerwone, dowodnie swiadczone o zamilowaniu do trunków i innych grzechach mlodosci. Franciszkanie byli ludzmi mlodymi.

- Patnicy i Bracia Mniejsi - wyjasnil goliard - tez zmierzaja do Barda. Do swietej Figury na Górze, wiecie, Madonny Bardzkiej...

- Wiem - przerwal Reynevan, upewniajac sie, czy ktos nie slucha, zwlaszcza jadacy obok czarnego furgonu kolektor. - Wiem, panie... Tybaldzie Raabe. Jesli zas czegos nie wiem...

- To tak widac musi byc - ucial goliard. - Nie zadawajcie zbednych pytan, paniczu Reinmarze. I badzcie Hagenau. Nie Bielau. Tak bezpieczniej.

- Byles - odgadl Reynevan - w Ziebicach.

- Bylem. I slyszalem co nieco... Dosc, by sie zdumiec, widzac was tutaj, w Goleniowskich Borach. Bo niosla wiesc, ze w wiezy siedzicie. Oj, przypisywano wam grzeszki... Plotkowano... Gdybym was nie znal...

- Ale znasz wszak.

- Znam. I zyczliwy wam jestem. Dlatego powiadam: jedzcie z nami. Do Barda... Dla Boga! Nie wpatrujciez sie tak w nia, paniczu. Nie dosc, zescie ja po lesie ganiali?

Gdy jadaca na czele orszaczku panna obejrzala sie po raz pierwszy, Reynevan az westchnal. Z wrazenia. I zdumienia. Ze mógł pomylic to brzydactwo z Nikoletta. Z Katarzyna Biberstein.

Włosy miała, fakt, identyczne niemal w kolorze, jasne jak słoma, częsty na Śląsku produkt mieszanki krwi jasnowłosych ojców znad Laby i jasnowłosych matek znad Warty i Prosnicy. Ale to był koniec podobieństw. Nikoleta miała cerę jak alabaster, czoło i podbródek dziewczyny dekorowały wypryski tradziku. Nikoleta miała oczy jak bławatki, pryszczata dziewczyna nijakie, wodniste i wciąż zabio wybaluszone, co można było przypisać przestרחowi. Nos zbyt mały i perkaty, wargi natomiast za wąskie i za blade. Coś tam widac usłyszawszy o modzie, wyskubała sobie brwi, ale z kiepskim skutkiem - miała wyglądać modnie, wyglądała jak głupia. Wrażenia dopełniał strój - nosiła trywialną czapkę z królika, a pod oponczką szara sukieneczka, prosto skrojona, uszyta z kiepskiej, zmechanicznej wełny. Katarzyna Biberstein zapewne w lepsze ubierała służki.

Brzydactwo, pomyślał Reynevan, biedna brzydula. Brakuje jej tylko dziobów po ospie. Ale wszystko przed nią.

Jadący bok w bok z dziewczyną rycerz miał - nie można było tego przeoczyć - ospę za sobą, śladów nie kryła krótka szpakowata broda. Rzad gniadosza, na którym jechał, był mocno wystrzępiony, a kolczug, jaką nosił, nie noszono od czasów bitwy legnickiej. Ubogi rycerz, pomyślał Reynevan, jakich wielu. *Zasciankowy vassus vassallorum*. Wiezie córkę do klasztoru. Bo dokąd by? Kto by taką chciał? Tylko klaryski albo cysterki.

- Przestaniec - syknął goliard - gapić się na nią. To nie uchodzi.

Cóż, rzeczywiście nie uchodziło. Reynevan westchnął i odwrócił wzrok, skupiając się całkowicie na rosnących na skraju drogi debach i grabach. Ale już było za późno.

Goliard zaklął z cicha. A ustrojony w legnicką kolczugę rycerz zatrzymał konia i poczekał, aż do niego podjadą. Mine miał bardzo poważną i bardzo ponurą. Głową uniósł dumnie, piasek wsparł o biodro, tuż obok rekojści miecza. Równie niemodnego jak kolczuga.

- Szlachetny pan Hartwig von Stietencron - odchrzaknąwszy, dokonał prezentacji Tybald Raabe. - Pan Reinmar von Hagenau.

Szlachetny Hartwig von Stietencron przyglądał się Reynevanowi przez chwilę, ale wbrew oczekiwaniom nie zapytał o pokrewieństwo ze słynnym poetą.

- Zalekście mi córe, mości panie - oznajmił wyniosłe. - Goniac za nią.

- Wybaczenia upraszani - Reynevan skłonił się, czuł, jak krasnieją mu policzki. - Jechałem za nią, albowiem... Omyłkowo. Proszę o wybaczenie. I ja też, jeśli pozwolicie, poproszę, klekne...

- Nie klekajcie - uciał rycerz. - Niechajcie ją. Lekliwa jest. Niesmiała. Ale dobre dziecko. Do Barda ją wioze...

- Do klasztoru?

- Dlaczego - rycerz zmarszczył brwi - tak sadzicie?

- Tę na wielce pobożnych - wybawił Reynevana z opresji goliard. - Na wielce pobożnych patrzycie oboje.

Szlachetny Hartwig von Stietencron schylił się z kulbaki, zacharczał i splunął, całkiem niepobożnie i zupełnie nie po rycersku.

- Niechajcie ma córe, panie von Hagenau - powtórzył. - Calkiem i zawzdy. Pojeliscie?

- Pojalem.

- Dobrze. Klaniem.

* * *

Po jakiejś godzinie jazdy nakryty czarnym wantuchem wóz ugrzał w blocku, do wyciągnięcia trzeba było solidarnie zaangażować wszystkie siły, Braci Mniejszych nie wylaczając. Rzecz jasna, do pracy fizycznej nie zniżyla się ani szlachta, czyli Reynevan i von Stietencron, ani kultura i sztuka w osobie Tybalda Raabego. Bobrowy kolektor incydentem zdenerwował się okropnie, biegł, klął, wydawał komendy, z niepokojem oglądał się na bór. Zauważył widac spojrzenia Reynevana, bo gdy tylko wehikul uwolniono i orszak ruszył, uznał za celowe rzecz wyjaśnić.

- Trzeba wam wiedzieć - zaczął, wprowadziwszy konia między Reynevana i goliarda - że tu o ładunek idzie, co go wioze. Wierę, nie byłoby jaki.

Reynevan nie skomentował. Dobrze zresztą wiedział, w czym rzecz.

- Tak, tak - kolektor zniżył głos, rozejrzał się nieco płochliwie na boki. - Na wozie tym nie byłoby szysz wieziemy. Innemu bym nie zdradził, ale wyscie przecie szlachta, z uczciwego rodu i uczciwie wam z oczu patrzy. Tedy wam rzeke: wieziemy sciagnięty podatek.

Znowu zrobił pauzę, odczekał na ciekawość, nie doczekał się.

- Podatek - podjął - uchwalony frankfurckim Reichstagiem. Specjalny, jednorazowy. Na wojnę z czeską herezją. Każdy płaci podług majątności. Rycerz pięć guldenów, baron dziesięć, duchowni pięć od sta ze swego rocznego dochodu. Pojmujecie?

- Pojmuje.

- A ja jestem kolektor. Co zebrane, na wozie wiozę. W szkatule. A jest tego, trzeba wam wiedzieć, niemało, bo w Ziebicach nie od byłoby baronka, ale od Puggarów zainkasowałem. Nie powinno dziwić, że ostrożny. Ledwo tydzień, jak napadli na mnie. Niedaleko Rychbachu, pod wsi Lutomia.

Reynevan i tym razem nie odezwał się i nie pytał. Kiwał tylko głową.

- Rycerze rabusie. Iście zuchwała szajka! Sam Paszko Rymbaba, rozpoznano go. Wierę, byłoby nas pomordowali, szczęściem pan Seidlitz w sukurs się zjawił, przepędził lotrów. Sam w potyczce o rane przyszedł, co do okrutnej go przywiodło cholery. Klął się, że raubritterom odpłaci, a wierę, słowa dotrzyma, pamiętliwi są Seidlitze.

Reynevan oblizwał wargi, wciąż machinalnie kiwając głową.

- Wolal w cholery pan Seidlitz, że wszystkich ich polapie i tak sprawi, tak umeczy, że i lepiej książe cieszyński Noszak zbója Chrzana nie umeczył, wiecie, tego, co mu syna ubił, młodego księcia Przemka. Pomnicie? Na rozpalonego konia miedzianego go posadzić kazał, do białości rozgrzanymi obcegi i

hakami ciało szarpac... Pomnicie? Ha, widzę po waszej minie, że pomnicie.

- Mhm.

- Dobrze się wiec stało, że mogłem panu Seidlitzowi rzec, kto owi rabusie byli. Paszko, jakem wprzód powiedział, Rymbaba, a gdzie Paszko, tam i Kuno Wittram, a gdzie ci dwaj, tam, wiecie, i Notker Weyrach, rozbójnik stary. Ale i inni tamóży byli, tych też panu Seidlitzowi opisałem. Wielgachne jakieś drabisko, z gęba głupia, wiecie, pomyłone. Mniejszy typek, garbonos taki, spojrzysz i wiesz: szubrawiec. I jeszcze chlystek, młodzik, waszego wieku, tyleż co i wy postury, trochę nawet do was podobny, zda mi się... Ale nie, co ja gadam, wyscie młodzian urodziwy, szlachetnego oblicza, wypisz wymaluj święty Sebastian na obrazie. A tamtemu z oczu patrzano, że wykolejeniec.

- Opowiadam tedy, opowiadam, a pan Seidlitz jak nie wrzasnie! Pry, on zna tych hultajów, słyszał o nich, jego swak, pan Guncelin von Laasan, też takich sciga, tych dwóch, garbonosa i chlystka, a to za napad, którego się owi w Strzegomiu dopuścili. Jak to się, popatrzcie, losy ploty... Dziwujecie się? Czekajcie, zaraz lepsze będzie, dopiero będzie się czemu dziwować. Już, już mam z Ziebic wyjeżdżać, a donosi mi pacholik, że ktoś się koło wozu krecił. Przeczytałem się i co widzę? Ówże garbonos i ówże wielgas matol! Uwazacie? Jak zuchwale lotry?!

Kolektor aż zachłysnął się z oburzenia. Reynevan kiwał głową i przelykał ślinę.

- Tedy ja co tchu - podjął poborca - do ratusza, uwiadomiłem, złożyłem doniesienie. Już ich tam pewnie pojмали, już ich w loszku mistrz na kóło naciaga. A miarkujecie, w czym tu proceder? Owe dwa lotry, z tym trzecim, chlystkiem, niechybnie dla raubritterów szpiegowali, znac dawali bandzie, na kogo się zasadzić ma. W strachu byłem, czy już na mnie się gdzie na goscincu nie czają, uwiadomieni. A eskorta moja, jak widzicie, mniej niżli skromna! Cóż ziebickie rycerstwo woli turniej, ucztę, igry, tance! Strach wiec, bo i życie mi mile, a i żal, by w zbójcekie łapy wpadło te piecset z góra grzywien... Na święty cel przecie przeznaczone.

- No pewnie - dorzucił goliard - że żal. I pewnie, że na święty. Ba, na święty i na dobry, a to nie zawsze w parze idzie, he-he. Ja to wiec panu kolektorowi doradziłem, by głównych traktów się wystrzegać, a cichcem lasami przemknąć, szach-mach, do Barda.

- I niech nas - kolektor wznosił oczy ku niebu - ma w opiece Bóg. I patroni podatkowych poborców, święci Adaukt i Mateusz. I Matka Boska Bardzka, cudami słynąca.

- Amen, amen - zawołali, dosłyszawszy, idący obok wozu patnicy z kosturami. - Pochwalona Najświętsza Paniątka, opiekunka i oredownicza!

- Amen! - zawołali chórem idący z drugiej strony Bracia Mniejsi.

- Amen - dodał von Stietencron, a brzydula przezegnęła się.

- Amen - zakończył kolektor. - Święte miejsce, panie Hagenau, powiadam wam, Bardo, przez Matkę Boską widac ulubione. Wiecie to, że podobnież znowu się na Górze Bardzkiej objawiła? I znowu płacząca, jak wónczas, w roku czterechsetnym. Jedni powiadają, zapowiedz to nieszczęść, co wkrótce spadna na Bardo i Śląsk cały. Inni mówią, płacze Matka Boska, bo wiara upada, schizma się szerzy. Husyci...

- Wy ciegłem ino - przerwał goliard - husytów widzicie i herezję wietrzycie. A nie zda się wam, że z całkiem innych powodów może płakać Najświętsza Paniątka? Może jej łzy płyną, gdy patrzy na księży,

na Rzym? Gdy widzi swietokupstwo, zberezna rozpuste, zlodziejstwo? Apostazje i herezje wreszcie, bo czymz, jesli nie herezja, jest czynienie wbrew Ewangeliom? Moze placze Matka Boska, gdy widzi, jak swiete sakramenty staja sie falszem i kuglarskim igrzyskiem, bo udziela ich kaplan trwajacy w grzechu? Moze ja oburza i smuci to, co smuci i oburza wielu: bedac bogatym ponad magnatów, czemu to papiez nie za swoje wlasne pieniadze, lecz za pieniadze ubogich wiernych buduje koscíól Piotrowy?

- Oj, scielilibyscie lepiej...

- Moze placze Matka Boska - nie dal sie uciszyc goliard - gdy patrzy, jak miast modlic sie i zyc w poboznosci, rwa sie ksieza do wojny, do polityki, do wladzy? Jak rzaadza? A do rzadzów ich jakze trafnie przystaja slowa Izajasza proroka: Biada prawodawcom ustaw bezboznych i tym, co ustanowili przepisy krzywdzace, aby slabych odepchnac od sprawiedliwosci i wyzuc z prawa biednych mego ludu; by wdowy uczynic swoim lupem i by móg ograbiac sieroty!

- Wiere - usmiechnal sie krzywo kolektor - ostre slowa, ostre, mosci Raabe. A rzeklbym, ze i do was samych mozna je zastosowac, ze samiscie nie bez grzechu. Przemawiacie jak polityk, by nie rzec ksiadz. Miast, co wam przystoi, patrzec lutenki, rymu i spiewu.

- Rymu i spiewu, mówicie? - Tybald Raabe zdjal z leku lutnie. - Wedle woli waszej!

Cesarscy popowie

sa antychrystowie;

ich moc nie od Chrysta,

ale od antychryst

z cesarskiego lista![\[21.\]](#)

- Zaraza - zamruczal, rozgladajac sie, kolektor. - To juz wole, byscie przemawiali.

Chryste, przez Twe rany,

racz nam dac kaplony,

izby prawde wiedli,

antychrysta pogrzebli,

nas k'tobie przywiedli!

Lachowie, Niemcowie,

Wszyscy jezykowi.

Watpicie li w mowie i waszego pisma slowie

Wiklef prawde powie!

Prawde powie, machinalnie powtórzyl w mysli zasluchany Reynevan. Prawde powie. Gdzie ja juz slyszalem te slowa?

- Bedzie wam kiedys, panie Raabe, jeszcze bieda za te przyspiewki - mowil tymczasem kwasno kolektor. - A wam, braciszkanie, dziwie sie, ze tak spokojnie tego sluchacie.

- W piesniach - usmiechnal sie jeden z franciszkanów - nader czesto prawda sie ukrywa. Prawda zas to prawda, nie zaklamac jej, trza scierpiec, chocby i boleć miala. A Wiklef? Cóz, bladzil, lecz *libri sunt legendi, non comburendi* .

- Wiklef, odpusc mu Panie - dorzucil drugi - pierwszy nie byl. Bolal juz nad tym, o czym tu mowa byla, nasz wielki brat i patron, Biedaczyna z Asyzu. Oczu nie ma co zamykac ni glowy odwracac: zle sie dzieje. Oddalaja sie duchowni od Boga, swieckich rzeczy patrza. Miasc zyc skromnie, bogatsi bywaja od ksiazat i baronów...

- A mowil wszak Jezus, jak zaswiadcza Ewangelia - dodal cicho trzeci - *nolite possidere aurum neque argentum neque pecuniam in zonis vestris* .[\[22.\]](#)

- A słów Jezusowych - wtracil, odchrzaknawszy, gruby sierzant - poprawiac ni odmieniac nie moze nikt, nawet papiez. A jesli to czyni, tedy on nie papiez, lecz jak w piesni: antychryst prawy.

- Ano! - zawolal, trac siny nos, najstarszy patnik. - Tak ono i jest!

- Ech, na Boga! - zachnal sie kolektor. - Cichajciez! Alez mi kompania wypadla! Toz to, wypisz wymaluj, waldenskie i begardzkie gadanie. Grzech!

- Bedzie wam odpuszczony - parsknal, strojac lutnie, goliard. - Sciagacie wszak podatek na swiety cel. Ujma sie za wami swieci Adaukt i Mateusz.

- Uwazacie, panie Reinmarze - powiedzial kolektor z wyraznym zalem - z jakim przekasem to rzekl? Wiere, kazdy swiadom jest, ze podatki na zbozne sie cele sciaga, ze ku dobru spolecznemu wioda. Ze placic trza, bo taki jest porzadek! Wszyscy to wiedza. I co? Nikt poborców nie kocha. Bywa, zobacza, ze nadjezdzam, w las uciekaja. Psami, bywa, poszczuja. Grubym slowem rzuca. A nawet ci, co placa, patrza jak na zadzumionego.

- Ciezka dola - kiwnal glowa goliard, mrugnawszy do Reynevana. - Nie pragneliscie tego nigdy odmienic? Tyle majac okazji?

* * *

Tybald Raabe był, jak się okazało, czelkiem bystrym i domyslnym.

- Nie wiercie się w kulbace - rzekł cicho do Reynevana, podprowadziwszy konia bardzo blisko. - Nie oglądajcie na Ziebice. Unikac wam Ziebic.

- Moi przyjaciele...

- Słyszałem - przerwał goliard - co gadał kolektor. Iść na pomoc przyjaciołom rzecz szczytna, ale wasi przyjaciele, pozwólcie sobie rzec, nie wyglądali na takich, co sobie sami rady nie dają. Co pozwoli się aresztować ziebickiej grodowej stróży, słynacej wszak, jak zwykli słynac wszyscy stróże prawa, z przedsiębiorczości, zapалу, szybkości działania, odwagi i inteligencji. Nie myślcie, powtarzam, o powrocie. Waszym kamratom w Zebicach nic się nie stanie, ale dla was ten gród to zguba. Jedźcie z nami do Barda, paniczu Reinmarze. A stamtąd osobiście przeprowadzę was do Czech. Co tak oczy otwieracie? Wasz brat bliskim był mi komilitonem.

- Bliskim?

- Zdziwilibyście się, jak bardzo. Zdziwilibyście się, ile nas łączyło.

- Mnie już nic nie zdziwi.

- To się wam tylko tak zdaje.

- Jeśli faktycznie byłeś Peterlinowi druhem - rzekł po chwili wahania Reynevan - to uraduje cię wieść, że jego zabójców spotkała kara. Nie żyje już Kunz Aulock ani nikt z jego kompanii.

- Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka - powtórzył oklepaną sentencję Tybald Raabe. - Czyżby z waszej padli reki, paniczu Reinmarze?

- Nieważne, z czyjej - Reynevan pokrasniał lekko, łowiac w głosie goliarda nutkę drwiny. - Grunt, że ziemię gryza. A Peterlin jest pomszczony.

Tybald Raabe milczał długo, obserwując lecącego ponad lasem kruką.

- Daleki jestem - rzekł wreszcie - od tego, by Kyrielejsona załować czy Storka oplakiwać. Niech się w piekle smaża, zasłużyli. Ale to nie oni zamordowali pana Piotra. Nie oni.

- Któż... - zachłysnął się Reynevan. - Któż wiec?

- Niejeden chciałby to wiedzieć.

- Sterczowie? Albo z poduszczenia Sterczów? Kto? Gadaj!

- Ciszej, paniczu, ciszej. Dyskretniej. Lepiej, by nie wpadło w niewłaściwe uszy. Nie umiem wam powiedzieć niczego ponad to, co sam zasłyszałem...

- A coś zasłyszał?

- Ze w rzecz zamieszane są... ciemne siły.

Reynevan milczał czas jakiś.

- Ciemne sily - powtórzyl z przekasem. - Tak, tez juz to slyszalem. Mówili to konkurenci Peterlina. Ze wiodlo mu sie w interesach, bo mu diabel pomagat, w zamian za dusze zaprzędana. I ze go ów diabel któregoś dnia do piekla porwie. Zaiste, ciemne i szatanskie sily. A pomyslec, ze mialem cie, mosci Tybaldzie Raabe, za czleka powaznego i rozsadnego.

- Juz milcze tedy - goliard wzruszyl ramionami i odwrócił glowe. - Juz i slowa nie uronie, paniczu. Bo sie boje jeszcze bardziej was rozczarowac.

* * *

Na popas orszaczek stanal pod olbrzymim debem, prastarym, niezawodnie pamietajacym wiele wieków drzewem. Po debie wesolo harcowały wiewiórki, nic sobie nie robiac z powagi i dostojenstwa. Wyprzezono konie z nakrytego czarnym wantuchem wozu, kompania zas rozsiadla sie pod konarami. Niebawem, jak oczekiwat Reynevan, wdano sie w dyskusje polityczne, zgodnie z jego oczekiwaniem, tyczące sie nadciągajacego od strony Czech zagrozenia herezja husycka i spodziewanej lada dzien wielkiej krucjaty, majacej owej herezji kres polozyc. Ale choc temat, i owszem, byl dosc typowy i przewidywalny, dyskusja nie poszla oczekiwany torem.

- Wojna - oznajmil niespodziewanie jeden z franciszkanów, trac tonsure, na która wiewiórka stracila zoladz. - Wojna jest zlem. Powiedziane jest wszak: nie zabijaj.

- A w obronie wlasnej? - spytal kolektor. - I majatku?

- A w obronie wiary?

- A w obronie czci? - szarpnal glowa Hartwig von Stietencron. - Tez gadanie! Czci mus bronic, a zniewagi zmywa sie krwia!

- Jezus w Getsemani nie bronil sie - odrzekl cicho franciszkanin. - I nakazal Piotrowi schowac miecz. Czyzby byl bezecnym?

- A co pisze Augustyn, *doctor Ecclesiae*, w *De civitate Dei*! - zakrzyknal jeden z patników, demonstrujac oczytanie - dosc zaskakujace, kolor jego nosa swiadczył bowiem o innych raczej upodobaniach. - Toc mowa jest tam o wojnie sprawiedliwej. A cóz bardziej sprawiedliwego nizli wojna z poganstwem i herezja? Nie jestli taka wojna mila Bogu? Nie jest Mu mile, gdy ktos zabija Jego wrogów?

- A Jan Chryzostom, a Izydor, co pisza? - zawolal drugi erudyta, z podobnie sinoczerwonym nosem. - A swiety Bernard z Clairvaux? Zabijac kaze kacerzy, Maurów i bezbozników! Wieprzami ich nazywa nieczystymi. Zabijac takich, rzecze, to nie grzech! To na chwale Boza!

- Kimzez jestem, Boze badz milosciw - zlozyl rece franciszkanin - bym mial przeczyc swietym i doktorom Kosciola? Toz ja nie do dysputy tu staje. Ja jeno powtarzam slowa Chrystusa na Górze. A nakazal on milowac blizniego swego. Przebaczac tym, którzy przeciw nam zawinili. Milowac nieprzyjacioly i modlic sie za nich.

- A Pawel kaze Efezjanom - dorzucil drugi z mnichów, glosem równie cichym - zbroic sie przeciw szatanowi w milosc i wiare. Nie w dzidy.

- Da to i Bóg, amen - przezegnal sie znakiem krzyza trzeci z franciszkanów - ze miłosc i wiara zwycieza. Ze zgoda i *pax Dei* zapanuja miedzy chrzescijany. Bo tez popatrzcie, kto z dyferencji miedzy nami korzysta? Bisurmanin! My sie dzis spieramy z Czechami o Slowo Boze, o postac komunii, a jutro co moze byc? Mahomet i półksiezyce na kosciolach!

- Cóz - parsknal najstarszy patnik - moze i Czesi przejrza na oczy, wyrzekna sie kacerstwa. Moze im w tym glód dopomoze! Bo cala Europa przystapila do embargo, handlu i wszelakiego przemyslu z husytami zakazala. A im potrzebne bron i proch, sól i zywnosc! Jesli im tego nie stanie, to sie ich rozbroi i zaglodzi. Gdy na kiskach glód zagra, to sie poddadza, obaczycie.

- Wojna - powtórzyl z naciskiem pierwszy franciszkanin - jest zlem. To juz ustalilismy. A wam co, zda sie owa blokada po mysli z Chrystusa nauka? Kazal Jezus na Górze blizniego glodem morzyc? Chrzescijanina? Religijne dyferencje pomijajac, Czesi sa chrzescijanami. Nie godzi sie owo embargo.

- Racja, bracie - wtracil rozparty pod debem Tybald Raabe. - Nie godzi sie to. A to wam jeszcze powiem, ze to czasem obosieczne bronie bywaja, takie blokady. Zeby nas one tylko do nieszczesc nie przywiodly, jak przywiodly Luzyczan. Zeby nie kosztowaly Slaska tyle, co Górne Luzyce Wojna Sledziowa roku lonskiego.

- Wojna Sledziowa?

- Tak ja nazwano - wyjasnil spokojnie goliard. - Bo i o embargo poszlo, i o sledzie. Chcecie, opowiem.

- Toc chcemy! Chcemy!

- Owóz - Tybald Raabe wyprostowal sie, rad z zainteresowania - bylo tak: pan Hynek Boczek z Kunsztatu, szlachcic czeski, husyta, wielkim byl smakoszem sledzi, malo co z równym smakiem jadal jak bałtyckie uliki, osobliwie pod piwo lub gorzalkę albo w post. A górnołużycki rycerz Henryk von Dohna, pan na Grafensteinie, wiedzial o pana Boczkowym apetycie. Ze zas akuratnie Reichstag o embargo radzil, postanowil pan Henryk w czyn gadanie obrócić i na własna reke husyte pognebic. I dostawy sledzi mu zablokowal. Zezłoscil sie pan Boczek, jal prosic, pry, religia religia, ale sledz sledziem! Wojuj, papisto jeden, o doktryne i liturgie, ale sledzie mi ostaw, bo ich lubie! A pan Dohna mu na to: sledzi ci, heretyku, nie przepuszcze, zryj, Boczku, boczek nawet w piątek. I tu przebrala sie miarka! Skrzyknal rozwscieczony pan Hynek Boczek druzyne, runal na luzyckie dzierzawy, niosac tam miecz i ogien. Pierwszy poszedl z dymem zamek Karlsfried, graniczny punkt celny, gdzie sledziowe transporty zatrzymywano. Ale tego malo bylo panu Boczkowi, strasznie byl ozezlony. Zaplonely wsie wokół Hartau, koscioly, folwarki, ba, przedmiesciom samej Zytawy zaswiecila w oczy luna. Trzy dni pan Boczek palil i lupil. Nie oplacila sie, oj, nie oplacila Luzyczanom Sledziowa Wojna! Nie zycze Slaskowi czegos podobnego.

- Bedzie - rzekl franciszkanin - co Bóg zdarzy.

Dlugo nikt nic nie mówil.

* * *

Pogoda jela sie psuc, gnane wiatrem chmury sciemniały groźnie, las szumial, pierwsze krople deszczu zaczęly znaczc kaptury, oponcze, zady koni i wantuch czarnego wozu. Reynevan zblizyl wierzchowca

do Tybalda Raabe, jechali strzemie w strzemie.

- Ladna opowiesc - zagadnal z cicha. - Ta o sledziach. I kantylena o Wiklefie tez niczego sobie. Dziw tylko, zes wszystkiego nie podsumowal, jak w Kromolinie, odczytaniem czterech artykulow praskich. Podatkowy kolektor zna, ciekawosc, twoje zapatrywania?

- Pozna je - odrzekl cicho goliard - gdy czas przyjdzie. Bo jest, jak mowi Eklezjastes, czas milczenia i czas mowienia. Czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas milowania i czas nienawisci, czas wojny i czas pokoju. Jest czas na wszystko.

- Tym razem zgodze sie z toba w calej rozciaglosci.

* * *

Na rozstaju, wsród jasnej brzeziny, stal kamienny krzyz pokutny, jedna z licznych na Slasku pamiatek zbrodni i skruchy.

Na wprost jasnial piaszczysty goscinec, w pozostalych kierunkach wiodly mroczne lesne dukty. Wiatr szarpal korony drzew, miotal suchymi liscmi. Deszcz - na razie tylko drobny - zacinal w twarze.

- Na wszystko - rzekl Reynevan do Tybalda Raabe - jest czas. Tak mowi Eklezjastes. Przyszedl zatem czas sie pozegnac. Zawracam ku Ziebicom. Nic nie mow.

Kolektor przygladal sie im. Podobnie Bracia Mniejsi, patnicy, zolnierze, Hartwig Stietenron i jego córka.

- Nie moze - podjal Reynevan - zostawic przyjaciól, którzy moga byc w biedzie. Nie godzi sie to. Przyjazn to rzecz wielka i piekna.

- A czy ja co mówię?

- Jade.

- Jedzcie - kiwnal glowa goliard. - Gdyby jednak przyszlo wam zmienic plany, paniczu, gdybyscie jednak woleli Bardo i droge do Czech... Dogonicie nas latwo. Bedziemy jechac wolno. A podle Sciborowej Poreby mamy w planie dluzej popasac. Sciborowa Poreba, zapamietacie?

- Zapamietam.

Pozegnanie bylo krótkie. Wrecz zdawkowe. Ot, zwykle zyczenia szczescia i boskich *auxiliów*. Reynevan obrócił konia. W pamieci mial spojrzzenie, którym rozstala sie z nim córka Stietenrona. Spojrzzenie cielege, maslane, spojrzzenie wodnistych i pelnych tesknoty oczu spod wyskubanych brwi.

Takie brzydactwo, pomyslal w galopie pod wiatr i deszcz. Taka szpeciula, taki wyplosz. Ale wdalego mezczyzne zauwazy od razu i umie sie poznac.

Kon przecwalowal ze staje, nim Reynevan rzecz przemyslal i pojal, jaki jest glupi.

* * *

Gdy wpakował się na nich w okolicy wielkiego debu, nawet się bardzo nie zdumiał.

- Ho! Ho! - krzyknął Szarlej, wstrzymując tanczącego konia. - Wszelki duch! Toż to nasz Reynevan!

Zeskoczyli z siodeł, za moment Reynevan zastękał w serdecznym, acz groźnym pogruchotaniem zeber uścisku Samsona Miodka.

- Proszę, proszę, proszę - mówił zmienionym nieco głosem Szarlej. - Uciekł ziebickim siepaczom, uciekł panu Bibersteinowi z zamku Stolz. Moje uznanie. Spójrz jeno, Samsonie, cóż za zdolny młodzieniec. Jest ze mną dwie niedziele zaledwie, a ile się już nauczył! Sprytny się zrobił, mac jego, jak dominikanin!

- Jedźcie ku Ziebicom - zauważył Samson, pozornie chłodno, ale w jego głosie też brzmiało wzruszenie. - A to świadczy wybitnie na niekorzyść sprytu. I rozumu. Jak to jest, Reinmarze?

- Sprawę ziebicka - rzekł Reynevan, zaciskając zęby - uważam za zakończoną. I nie była. Nic mnie już nie łączy z... z Ziebicami. Nic mnie już nie łączy z przeszłością. Ale bałem się, że was tam schwytali.

- Oni? Nas? Wolne żarty!

- Rad jestem was widzieć. Naprawdę się ciesze.

- Uśmiejesz się. My też.

Deszcz przybrał na sile, wiatr targał konarami drzew.

- Szarleju - rzekł Samson. - Myślę, że nie ma co jechać dalej tropem... To, cośmy zamierzeli, nie ma już ni celu, ni sensu. Reinmar jest wolny, nic go nie łączy, dajmy tedy koniom ostrogi i hajda, ku Opawie, ku węgierskiej granicy. Zostawmy, sugeruje, za plecami Śląsk i wszystko, co śląskie. W tym i nasze desperackie plany.

- Jakże plany? - zaciekawił się Reynevan.

- Nieważne. Szarleju? Co powiesz? Ja radzę zamiary porzucić. Zerwać umowę.

- Nie rozumiem, o czym mówicie.

- Później, Reinmarze. Szarleju?

Demeryt chrząknął głośno.

- Zerwać umowę? - powtórzył za Samsonem.

- Zerwać.

Szarlej, widac to było, bił się z myślami.

- Noc zapada - rzekł wreszcie. - A noc przynosi radę. *La notte*, jak mawiają w Italii, *porta la consiglia*. Warunkiem jest, dodam już od siebie, aby była to noc przespana w miejscu suchym, ciepłym

i bezpiecznym. Na kon, chłopcy. I za mna.

- Dokad?

- Zobaczycie.

* * *

Bylo juz zupełnie niemal ciemno, gdy zamajaczyly przed nimi ploty i budynki. Rozszczekaly sie psy.

- Co to jest? - spytal Samson z niepokojem w glosie. - Czy aby...

- To jest Debowiec - przerwal Szarlej. - Grangia nalezaca do klasztoru cystersów w Kamiencu. Gdy siedzialem u demerytów, kazali mi tu, bywalo, pracowac. W ramach kary, jak sluszenie podejrzewacie. Stad wiem, ze to miejsce suche i cieple, jakby stworzone do tego, by sie dobrze wyspac. A rano da sie i cos do zarcia zorganizowac.

- Rozumiem - rzekl Samson - ze cystersi cie znaja. Ze poprosimy o goscine...

- Tak dobrze nie ma - ucial znowu demeryt. - Petajcie konie. Zostawimy je tu, w lesie. A sami za mna. Na paluszkach.

Cysterskie psy uspokoily sie, szczekaly juz ciszej i od niechcienia, gdy Szarlej zreczenie wylamywal deske w scianie stodoly. Po chwili byli juz w ciemnym, suchym, cieplym wnetrzu, miło pachnacym sloma i sianem. Po chwili, wlazszy po drabinie na strop, juz sie w siano zagrzebywali.

- Spijmy - zamruczal Szarlej, szeleszczac. - Szkoda, ze na glodno, ale z jedzeniem proponuje wstrzymac sie do rana, wtedy z pewnoscia da sie ukrasc jakiejs spyzy, chochy jablek. Ale jesli mus, moze pójsc zaraz. Jesli ktos do rana nie strzyma. Co, Reinmarze? Ciebie glównie mialem na mysli jako osobe majaca trudnosc z opanowywaniem prymitywnych popedów... Reinmarze?

Reynevan spal.

Rozdzial dwudziesty drugi

w którym okazuje sie, ze nasi bohaterowie bardzo pechowo wybrali miejsce na nocleg. Potwierdza sie tez - choc rzecz ujawni sie duzo później - znana prawda, ze w historycznych czasach najdrobniejsze nawet zdarzenie moze okazac sie brzemiennie w historyczne skutki.

Reynevan, mimo zmeczenia, spal zle i niespokojnie. Przed zasnieciem ciskal sie w klujacym, pelnym

ostów sianie i wiercił między Szarlejem a Samsonem, zarabiając na kilka przekleństw i kuksanców. Potem jeczal przez sen, widząc krew płynącą z ust przeszywanego mieczami Peterlina. Wzdychał, widząc naga Adele de Stercza, siedząca okrakiem na ksieciu Janie Ziebickim, pojeikiwał, widząc, jak książe bawi się jej tarczycami rytmicznie piersiami, głaszcząc je i sciskając. Potem, ku jego zgrozie i rozpaczce, miejsce zwolnione przez Adele zajęła na ksieciu Nikoletta Jasnowłosa, czyli Katarzyna Biberstein, ujeżdżając niezmordowanego Piasta z nie mniejszymi niż Adela energia i entuzjazmem. I z nie mniejszą w finale satysfakcją.

Potem były półgole dziewczyny z rozwianym włosami, lecące na miotłach przez podświetlone lunami niebo, wśród stad kraczących wron. Był pelznący po ścianie pomurnik, bezgłośnie rozwierający dziób. Był oddział cwałujących wśród pół zakapturzonych rycerzy, krzyczących niezrozumiale. Był *turris fulgurata*, trafiona piorunem, rozsypująca się wieża, był spadający z niej człowiek. Był człowiek biegnący po śniegu, palący się, cały w płomieniach. Potem była bitwa, huk dział, palba samostrzałów, łomot kopyt, rzenie koni, szczęk oreza, krzyki...

Obudził go łomot kopyt, rzenie koni, szczęk oreza, krzyki. Samson Miodek w samą porę zakrył mu usta dłonią.

Podwórzec grangii roił się od pieszych i konnych.

- Alesmy wpadli - mruknął Szarlej, obserwujący majdan przez szpare między belkami. - Zaprawde, jak jez w gównu.

- Czy to poscig? Z Ziebic? Za mna?

- Gorzej. To jakiś cholera, zjazd. Cały tłum ludzi. Widzę wielmożów. I rycerzy. Psiakrew, akurat tutaj? Na tym odludziu?

- Zwiewajmy póki czas.

- Niestety - Samson wskazał głową w stronę owczarni - czas minal. Zbrojni gestem otoczyli cały teren. Wygląda, że po to, by nikogo tu nie dopuścić. Ale wątpię, by zechcieli kogoś wypuścić. Zbyt późno się zbudziliśmy. Az dziw, że nie wyrwał nas ze snu aromat, mięso pieka od świtu...

Faktycznie, od strony podwórca dolatywał coraz silniejszy zapach pieczenia.

- Ci zbrojni - Reynevan znalazł i dla siebie dziurę do patrzenia - noszą biskupią barwę. To może być Inkwizycja.

- Pięknie - mruknął Szarlej. - Kurwa, pięknie. Jedyną naszą nadzieją w tym, że do stodoły nie zajrzą.

- Niestety - powtórzył Samson Miodek. - Nadzieja to plonna, bo właśnie tu idą. Zakopmy się w siano. A gdyby nas znaleźli, udawajmy idiotów.

- Tobie łatwo mówić.

Reynevan dogrzebał się przez siano aż do desek pulapu, znalazł szpare, przyłożył do niej oko. Widział więc, jak do stodoły wpadli knechci, ku jego rosnacemu przerażeniu penetrując wszystkie zakamarki, bodąc nawet glewiami snopki i słome w sasieku. Jeden wdrapał się na drabinę, ale na poddasze nie wszedł, zadowolony z pobieżnym rzutem oka.

- Chwała i dzięki - wyszeptal Szarlej - odwiecznemu żołnierskiemu olewactwu.

Niestety, nie był to koniec. Po knechtach do stodoły wpadli pacholki i mnisi. Klepisko uprzątnięto i wymieciono. Nasypano pachnącej jedliny. Wtarabaniono lawy. Wstawiono sosnowe krzyżaki, na nich ułożono deski. Deski nakryto płótnem. Zanim jeszcze wniesiono antalki i kubki, Reynevan wiedział już, na co się zanosi.

Trochę potrwało, nim do stodoły wkroczyli wielmoże. Zrobiło się kolorowo, wyjaśniało od zbroi, klejnotów, złotych lancuchów i klamr, słowem, rzeczy zupełnie nie pasujących do obskurnego wnętrza.

- Zaraza... - szepnął Szarlej, też z okiem przy szparze. - Akurat w tej stodole urządzili sobie tajną naradę. Nie były jakieś to figury... Konrad, biskup wrocławski, we własnej osobie. A ten obok niego to Ludwik, książę na Brzegu i Legnicy...

- Ciszej...

Reynevan też rozpoznał obu Piastów. Konrad, od lat osiem biskup Wrocławia, zadziwiał swą iście rycerską posturą i czerstwym obliczem, zaskakującymi wobec zamilowania do opilstwa, obzarstwa i wszeteczeństwa, powszechnie znanych i przysłowiowych już przywar kościelnego dostojnika. Pewnie była to zasługa mocnego organizmu i zdrowej piastowskiej krwi, inni bowiem dostojnicy, nawet chlejący mniej i kurwiący się rzadziej, w wieku Konrada nosili już brzuchy do kolan, wory pod oczami i sinoczerwone nosy - jeśli jeszcze mieli nosy. Liczący zaś sobie czterdzieści wiosen Ludwik Brzeski przypominał króla Artura z rycerskich miniatur - długie falujące włosy okalały, niby aureola, oblicze natchnione jak u poety, choć meskie zarazem. [\[23.\]](#)

- Prosim za stół, szlachetni panowie - przemówił biskup, znowu zaskakując, tym razem dzwicznym głosem młodzieńca. - Choć to stodoła, nie pałac, ugościmy czym chata bogata, a proste wiejskie jadło nagrodzimy węgrynem, jakiego i u króla Zygmunta w Budzie nie zawsze staje. Co nam potwierdzi królewski kanclerz, imię pan Schlick. Jeśli, rzecz jasna, takim trunkiem znajdzie.

Młody, lecz bardzo poważnie i bogato wyglądający mężczyzna uklonił się. Na leńterze nosił herb - klin srebrny w polu czerwonym i trzy pierścienie o odwrotnej tynkturze.

- Kaspar Schlick - szepnął Szarlej. - Osobisty sekretarz, poufnik i doradca Luksemburczyka. Duża kariera jak na takiego gołowąsa...

Reynevan wyciągnął słomkę z nosa, nadludzkiem wysiłkiem tłumiąc kichnięcie. Samson Miodek syknął ostrzegawczo.

- Szczególnie serdecznie witam - kontynuował biskup Konrad - jego dostojność Jordana Orsiniego, członka kolegium kardynalskiego, niniejszego legata Jego Świątobliwości papieża Marcina. Witam także przedstawiciela państwa zakonnego, szlachetnego Gotfryda Rodenberga, wójta z Lipy. Witam również naszego czcigodnego gościa z Polski oraz gości z Moraw i z Czech. Witajcie i siadajcie.

- Aż tu pieprzonego Krzyżaka przyniosło - mrucał Szarlej, usiłując nożem powiększyć szparę w pulapie. - Wójt z Lipy. Gdzie to? W Prusiech pewnie. A któż ci inni beda? Widzę tam pana Pute z Czastolovic... Ten barczysty, z czarnym lwem w złotym polu, to Albrecht von Kolditz, starosta swidnicki... Zas ten z Odrzywasem w herbie to musi być któryś z panów z Kravarz.

- Badz cicho - syknął Samson. - I przestań dłubać... Bo nas wykryją po wpadających do kubków drzazgach...

Na dole, w rzeczy samej, wznoszono kubki i przepijano do sie, sluzba uwijala sie z dzbanami. Kanclerz Schlick skomplementowal wino, ale nie wiadomo bylo, czy nie z dyplomatycznej grzeczności. Siedzacy za stołem wydawali sie nawzajem znac. Z pewnymi wyjątkami.

- Kimze jest - zainteresowal sie biskup Konrad - wasz mlody towarzysz, *monsignore* Orsini?

- To mój sekretarz - odparl legat papieski, maly, siwy i mile usmiechniety staruszek. - Zwie sie Mikołaj z Kuzy. Wielka wróże mu kariere w sluzbie naszego Kosciola. *Vero*, wielce mi sie w mej misji przysluzyl, umie bowiem jak nikt heretyckie, a zwlaszcza lollarzkie i husyckie tezy obalac. Jego dostojnosc biskup krakowski moze potwierdzic.

- Biskup krakowski... - syknal Szarlej. - Zaraza... To jest...

- Zbigniew Olesnicki - potwierdzil szeptem Samson Miodek. - Na Slasku, w konszachtach z Konradem. Cholera, alesmy wpadli. Badzcie cicho jako te myszki. Bo jesli nas odkryja, to po nas.

- Jesli tak - podjal na dole biskup Konrad - to moze wielebny Mikołaj z Kuzy rozpocznie? Bo przecie wlasnie taki cel przyswieca naszemu zgromadzeniu: husyckiej zarazie kres polozyc. Nim tu jadla podadza a wina, nim podjemy i popijemy, niechaj nam ksiezyk Husa nauki obali. Sluchamy.

Sluzba wniosla na nosilkach i zwalila na stół upieczonego wolu. Blysnely i poszly w ruch sztylety i noze. Mlody Mikołaj z Kuzy wstal zas i zaczal przemawiac. A choc oczy swieciły mu sie na widok pieczystego, glos mlodego ksiedza nie zadrzal.

- Iskra rzecz jest mala - mówil z egzaltacja - lecz gdy na sucha rzecz trafi, miasta, mury, lasy wielkie gubi. Kwas tez mala i nikczemna rzecz sie zda, a wszakze wszystkie dzieze kwasu. Zas niezwywa mucha, powiada Eklezjastes, zepsuje naczynie wonnego olejku. Tak zla nauka od jednego sie poczyna, ledwie dwóch albo trzech ma na poczatku sluchaczów, lecz pomalu kancer sie w cielem szerzy, a jako mówia: parszywa owca wszystka trzode zaraza. A tak iskry wnetze, skoro sie ukaze, gasic, i kwas od dziezy odmiatac, i zle cialo odcinac, i parszywa owce z owczarni wypedzac potrzeba, aby dom wszystkich i cialo, i dzieza, i bydlo nie zginelo... [\[24.\]](#)

- Zle cialo odcinac - powtórzyl biskup Konrad, szarpiać zębami kawal wolowiny, ociekajacy tuszczem i krwawym sokiem. - Dobrze, iscie dobrze prawicie, mlody panie Mikołaju. W chirurgii sprawa! Zelazo, ostre zelazo najlepsza na husycki kancer medycyna. Wyciac! Rznac heretyków, rznac, a bez litosci!

Zgromadzeni za stołem tez wyrazili aprobatę, belkocac z pełnymi ustami i gestykulujac ogryzanymi kosmami. Wól pomalu przemienial sie w woli szkielet, a Mikołaj Kuzanczyk obalal po kolei wszystkie husyckie bledy, po kolei obnazal wszystkie niedorzeczności nauki Wiklefa: zaprzeczanie Przemienieniu, zaprzeczanie istnieniu czyscca, odrzucanie kultu swietych i ich wizerunków, odrzucanie spowiedzi usznej. Wreszcie doszedl do komunii *sub utraque specie* i obalil ja również.

- Pod jedna - wolal - pod chleba jeno postacia ma byc dla wiernych komuniam. Mówi przecie Mateusz: Chleba naszego powszedniego, *panem nostrum supersubstantialem* daj nam dzisiaj. Mówi Lukas: Wzial chleb, odmówil błogoslawienstwo, polamal go i dawal im. Gdzie tu o winie mowa? Zaprawde, jeden i tylko jeden jest od Kosciola uchwalony i potwierdzony zwyczaj, by pospolity czlowiek pod jedna tylko postacia przyjmowal. I na tym kazdy, który wyznawa, poprzestawac winien!

- Amen - dokonczyl, oblizujac palce, Ludwik Brzeski.

- Dla mnie - lwio ryknął biskup Konrad, cisnawszy kosc w kat - moga sobie husyci przyjmowac chocby nawet pod postacia klistiery, od dupy strony! Ale te skurwysyny chca mnie ograbic! O bezwzglydnej sekularyzacji dóbr koscielnych wrzeszcza, o ewangelicznym jakoby ubóstwie kleru! Znaczy sie: nam odebrac, a miedzy siebie rozdrapac! O, na meke Panska, temu nie byc! Po moim trupie! A predzej po ich kacerskiej padlinie! Oby zdechli!

- Na razie zyja - powiedzial cierpko Puta z Czastolovic, starosta kłodzki, którego przed zaledwie piecioma dniami Reynevan i Szarlej widzieli na turnieju w Ziebicach. - Na razie zyja i maja sie swietnie, calkiem wbrew temu, co po smierci Zizki prorokowano. Ze sie wzajem pozagryzaja, Praga, Tabor i Sierotki. Nic z tego, panowie. Jesli ktos na to liczyl, srodze sie zawiódl.

- Niebezpieczenstwo nie tylko nie maleje, ale wrecz rosnie - zagrzmiął glebokim basem Albrecht von Kolditz, starosta i hetman ziemski ksiestwa wroclawsko-swidnickiego. - Moi szpiedzy donosza o coraz scislejszej wspólracy prazan i Korybuta ze spadkobiercami Zizki: Janem Hwiezda z Vicemilic, Bohuslawem ze Szwamberku i Rohaczem z Dube. Glosno sie mówi o wspólnych wyprawach wojennych. Pan Puta ma racje. Pomylili sie ci, którzy po Zizkowym zgonie liczyli na cud.

- I nie ma co - wtracil z usmiechem Kaspar Schlick - liczyc na dalsze cuda. Ani na to, ze sprawe czeskiej schizmy zalatwi za nas Prezbiter Jan, który nadciagnie z Indii z tysiacami koni i sloni. My, my sami rzecz te musimy zalatwic. W tej wlasnie sprawie przysyla mnie tu król Zygmunt. Musimy wiedziec, na co realnie mozemy liczyc na Slasku, na Morawie, w ksiestwie opawskim. Dobrze bedzie tez poznac, na co realnie mozemy liczyc w Polsce. A to, mam nadzieje, zakomunikuje nam zaraz jego dostojnosc biskup krakowski. Jego nieprzejednana postawa wobec polskich popleczników wiklefizmu znana jest wszakze szeroko. A jego obecność tutaj dowodzi przychylnosci dla polityki króla rzymskiego.

- Wiemy w Romie - wtracil Giordano Orsini - z jakim zapalem i poswieceniem zwalcza herezje biskup Sbigneus. Wiemy o tym w Romie i nie zapomnimy wynagrodzic.

- Moge zatem przyjac - usmiechnal sie znowu Kaspar Schlick - ze Królestwo Polskie polityke króla Zygmunta wspiera? I wesprze jego inicjatywy? Czynnienie?

- Wielce radbym - parsknal rozparty za stołem Krzyzak, Gotfryd von Rodenberg - isc, wielce radbym poznac odpowiedz na to pytanie. Dowiedziec sie, kiedy to mozemy sie spodziewac czynnego udzialu wojsk polskich w antyhusyckiej wyprawie krzyzowej. Z ust obiektywnych chcialbym sie tego dowiedziec. Slucham tedy, monsignore Orsini. Wszyscy sluchamy!

- Tak jest - dorzucil z usmiechem Schlick, nie spuszczajac oczu z Olesnickiego. - Wszyscy sluchamy. Jak sie wasza misja u Jagielly powiodla?

- Rozmawialem z królem Ladislasm dlugo - rzekl zasmuconym nieco glosem Orsini. - Ale, hmm... Bez wiekszego skutku. W imieniu i z upowaznienia Jego Swiatobliwosci wreczylem królowi polskiemu nie byle jaka relikwie... jeden z gwozdzi, którymi nasz Zbawiciel przybity byl do krzyza. *Verò*, jesli taka relikwia nie jest w stanie chrzescijanskiego monarchy natchnac do antyheretyckiej krucjaty, to...

- To nie jest to chrzescijanski monarcha - dokonczyl za legata biskup Konrad.

- Zauwazylicie? - szydlwie wykrzywil sie Krzyzak. - Lepiej pózno niz wcale!

- Na poparcie Polaków widac tedy - wtracil Ludwik Brzeski - prawdziwa wiara liczyc nie moze.

- Królestwo Polskie i król Wladyslaw - odezwal sie po raz pierwszy Zbigniew Olesnicki - wspieraja

prawdziwa wiara i Kościół Piotrowy. Sposobem najlepszym z możliwych. Świątopietrzem mianowicie. Zaden z władców tu reprezentowanych powiedzieć tego o sobie nie może.

- Pah! - machnął reka książe Ludwik. - Gadajcie sobie, ile chcecie. Ładny mi z Jagiella chrześcijanin. To neofita, wciąż diabła mający za skórą!

- Jego poganstwo - uniósł się Gotfryd Rodenberg - najwidoczniej przejawia się w zacieklej nienawiści do całej niemieckiej nacji, podpora Kościoła bedacej, zwłaszcza zaś do nas, szpitalników Najświętszej Panny, *antemurale christianitatis*, którzy wiary katolickiej własną pierś przed poganą bronimy, i to już od lat dwustu! I prawda to, że ów Jagiello to neofita i balwochwalca, który, by Zakon mógł pognać, nie tylko z husytami, ale i z piekłem samym sprzymierzył się gotów. O, zaprawdę, nie o tym nam tu dziś radzić, jak Jagiella i Polskę do krucjaty przekonać, ale do tego nam wrócić, o czymesmy w Preszburgu, wtedy, dwa roku temu, we Trzech Króli radzili, jak na samą Polskę z krucjata uderzyć. I na kawalki rozszarpac twój ten niewydarzony, tego bekarta unii horodelskiej!

- Wasza mowa - rzekł bardzo zimno biskup Olesnicki - zda się Falkenberga samego godna. I nie dziwi to, bo przecież to nie sekret, że i tamte osławione Satyry nie gdzie indziej, a w Malborku Falkenbergowi podyktowano. Przypominani wam, że paszkwil ów potępił sobór, a sam Falkenberg gorszące i kacerskie swe tezy musiał odwołać pod groźbą stosu. Dziwnie więc, zaiste, brzmią w ustach kogos, kto się *antemurale christianitatis* powiada!

- Nie złóbcie się, biskupie - wtracił pojednawczo Puta z Czastolovic. - Toć faktem jest, że wasz król husytów wspiera, jawnie i tajnie. Wiemy i rozumiemy, że Krzyżaków tym w szachu trzyma, a że ich w szachu trzymać musi, temu, jeśli szczerzy mam być, dziwić się trudno. Ale skutki takiej polityki dla całej chrześcijańskiej Europy mogą okazać się zgubne. Przecież sami to wiecie.

- Niestety - potwierdził Ludwik Brzeski. - A skutki widzimy. Korybutowicz w Pradze, z nim Polaków całą rotę. Na Morawie Dobko Puchala, Piotr z Lichwina i Fedor z Ostrogu. Wyszek Raczynski u boku Rohacza z Dube. Oto, gdzie Polacy są, oto, gdzie na tej wojnie polskiej widać herby i polskie sływać zawołania bojowe. Oto, jak Jagiello prawdziwą wiarę wspiera. A te jego edykty, manifesty, ukazy? Oczy nam mydli, ot co.

- Ołów zaś tymczasem, konie, bron, żywność, wszelkie towary - dodał ponuro Albrecht von Kolditz - nieprzerwanie płyną z Polski do Czech. Jakże tedy, biskupie? Jedną drogą świętopietrze, którym się tak chwalcie, do Rzymu ślecie, a drugą proch i kule do husyckich dział? Wierę, podobne to do waszego króla, który, jak mówią, Bogu świeczkę, a diabłu ogarek.

- Nad pewnymi sprawami - przyznał po chwili Olesnicki - i ja boleję. By szło ku lepszemu, staran dołóż, tak mi dopomóż Bóg. Ale słów mi szkoda, by wciąż te same powtarzać kontrargumenta. Powiem więc, a krótko: dowodem intencji Królestwa Polskiego jest moja tu obecność.

- Która doceniamy - pacnął dłonią w stół biskup Konrad. - Ale cóż jest dziś wasze Królestwo Polskie? Wy nim jesteście, cny panie Zbigniewie? Czy Witold? Czy Szafrancy? Czy Ostrorogowie może? Czy też Jastrzebce i Biskupce? Kto w Polszczyźnie rządzi? Bo przecież nie król Władysław, starzec zgrzybiały, który nawet własną zoną rządzić nie zdola. Więc może to Sonka Holszanska w Polszczyźnie władza? I jej miłośnicy: Ciolek, Hincza, Kurowski, Zaremba? I kto tam tylko jeszcze te Rusinke chędoży?

- *Vero, vero* - smutno pokiwał głową legat Orsini. - Wstyd, żeby taki król był *cornuto* ...

- Niby poważne zgromadzenie - zmarszczył czoło biskup krakowski - a plotkami się bawi niby baby. Albo zacy w bordelu.

- Nie zaprzeczycie, że Sonka Jagielle rogi przyprawia i hanba go okrywa.

- Zaprzecze, bo *to vana rumoris*. Plotki przez Malbork puszczane i podsycane.

Krzyzak uniósł się zza stołu, czerwony i gotów do repliki, ale Kaspar Schlick powstrzymał go szybkim gestem.

- *Pax!* - uciał. - Zostawmy ten temat, są ważniejsze. Jak rozumiem, zbrojny udział Polski w krucjacie to rzecz na razie niepewna. Cóż, choć z zalem, przyjmuje do wiadomości. Ale, na muszle świętego Jakuba, dopilnujcie, biskupie Zbigniewie, by faktycznie respektowane były punkty układu z Kiezmorku i Jagiellowe edykty z Trembowli i Wielunia. Edykty te niby granice zamykają, z husytami handlującymi karami niby straszą, a towary i bron, jak słusznie zauważył pan starosta swidnicki, wciąż z Polski do Czech wędrują...

- Przyrzekłem - przerwał niecierpliwie Olesnicki - że staran doloze. I nie próżne to obietniczki. Znoszących się z czeskimi heretykami będzie się w Polsce karać, są królewskie edykty, *jura sunt clara*. Panu hetmanowi swidnickiemu i jego przewielebności biskupowi wrocławskiemu przypomnę jednak słowa Pisma: Czemu widzicie drzazgę w oku brata, a belki we własnym nie dostrzegacie? Pół Śląska z husytami handluje i nikt nic przeciw temu nie czyni!

- W błędzie jesteście, cny księże Zbigniewie - przechylił się przez stół biskup Konrad. - Bo się przeciw temu czyni. Upewniam was, że podjęto środki. Ostre środki. Bez edyktów, bez manifestów, bez pergaminów nijakich się obędzie, ale niektórzy *defensores haereticorum* na własnej skórze poczuja, co to znaczy z kacerzami się kumac. A na innych, upewniam was, błąd padnie strach. Świat pozna wówczas różnicę między działaniem prawdziwym a pozornym. Między prawdziwą walką o wiarę a oczu mydleniem.

Biskup mówił tak zjadliwie, w głosie jego było tyle zapiekłej nienawiści, że Reynevan poczuł, jak włosy jeża mu się na karku. Serce zaczęło mu bić tak mocno, że przestraszył się, że ci na dole mogą usłyszeć. Ci na dole mieli jednak coś innego na głowie. Kaspar Schlick ponownie uspokoił nastroje i zazęgnął spory, po czym wezwał do konkretnego a spokojnego omówienia sytuacji w Czechach. Klótlivcy w osobach biskupa Konrada, Gotfryda Rodenberga, Ludwika Brzeskiego i Albrechta von Kolditz zamilkli więc, a głos zabrali milczący dotychczas Czesi i Morawianie. Ani Reynevan, ani Szarlej, ani Samson Miodek nie znali nikogo z nich, było jednak oczywiste - lub prawie oczywiste - że byli to panowie z kregu landfrydu pilznenskiego i wiernej Luksemburczycy szlachty morawskiej, zgrupowanej wokół Jana z Kravarz, pana na Jiczynie. Rychło okazało się, że jeden z obecnych to ów słynny Jan z Kravarz we własnej osobie.

To właśnie Jan z Kravarz, postawny, czarnowłosy i czarnowasy, z twarzą o karnacji dowodzącej, że więcej czasu spędza w siodle niż za stołem, najwięcej miał do powiedzenia na temat aktualnej sytuacji w Czechach. Nikt mu nie przerywał, gdy mówił spokojnym, nawet nieco beznamietnym głosem, wszyscy, pochyliwszy się, w milczeniu wpatrywali się w mapę Królestwa Czech, rozłożoną na stole, w miejscu, z którego służba zdążyła do czysta ogryziony szkielet wolu. Z góry szczegóły mapy były niewidoczne, toteż Reynevan zdac się musiał na wyobraźnię, gdy pan na Jiczynie mówił o atakach husytów na Karlsztajn i Zebrak, nieskutecznych zresztą, i na Szvihów, Oborzyszczce i Kwietnice, całkiem udanych, niestety. O akcjach na zachodzie, przeciw wiernym królowi Zygmuntovi panom z Pilzna, Lokcia i Mostu. O atakach na południu, skutecznie na razie odpieranych przez jedyną katolicką paną Oldrzycha z Rozmberku. O zagrożeniu dla Iglawy i Olomunca wytworzonym przez sojusz Korybutowicza, Borzka z Miletinka i Rohacza z Dube. O niebezpiecznych dla północnych Moraw akcjach Dobka Puchaly, polskiego rycerza herbu Wieniawa.

- Alez mi sie chce lac - wyszeptal Szarlej. - Nie zdzierze...

- Moze pozwoli ci wytrwac mysl - odszeptal Samson Miodek - ze jak cie odkryja, to po raz wtóry poszczasz sie na stryczku.

Na dole zaczeto mówic o ksiestwie opawskim. I zaraz doszlo do sporu.

- Przemka Opawskiego - oswiadczył biskup Konrad - za niepewnego mam sojusznika.

- W czym rzecz? - uniósł glowe Kaspar Schlick. - W jego malzenstwie? Ze sie niby własnie ozenil z wdowa po Janie, ksieciu Raciborza? Ze owa jest Jagiellonka, córka Dymitra Korybuta, bratanica króla polskiego, rodzona siostra sprawiajacego nam tyle klopotów Korybutowicza? Upewniam panów, ze król Zygmunt nic sobie z tej koligacji nie robi. Jagiellonowie to rodzina wilcza, czesciej sie tam gryza niz kooperuja. Przemko Opawski nie sprzymierzy sie z Korybutowiczem tylko dlatego, ze to jego szurzy.

- Przemko juz sie sprzymierzyl - zaprzeczyl biskup. - W marcu, w Hluboczkach. I w Olomuncu, na swietego Urbana. Zaiste, szybko sie Opawa i morawscy panowie z kacerzami dogaduja, szybko w układy wchodzi. Cóż na to powiecie, panie Janie z Kravarz?

- Nie wygadujcie ani na mego tescia, ani na morawska szlachte - odburkнал pan na Jiczynie. - I wiedzcie, ze dzięki układow z Hluboczek i Olomunca mamy ninie mir na Morawie.

- A husyci - usmiechnal sie wyniosle Kaspar Schlick - maja wolne drogi handlowe z Polski. Niewiele, oj, niewiele rozumiecie z polityki, panie Janie.

- Gdyby nas... - ogorzale oblicze Jana z Kravarz poczerwienialo ze zlosci. - Gdyby nas naonczas... Gdy na nas szedł Puchala... Gdyby nas Luksemburczyk wsparł, to byśmy sie układow nie musieli.

- Prózno gdybac - wzruszył ramionami Schlick. - Wazne, ze przez wasze rokowania husyci teraz maja wolne drogi handlowe przez Opawe i Morawy. A wspomniany Dobko Puchala i Piotr Polak trzymaja Szumperk, Uniczów, Odry i Dolany, praktycznie blokują Olomuniec, rejsami lupia i terroryzują cala okolice. To oni maja tam mir, nie wy. Kiepski zrobiliscie interes, panie Janie.

- Rejzy - wtracil ze zlym usmiechem biskup wroclawski - to nie wylaczenie husycka specjalnosc. Dalem ja heretykom bobu w roku dwudziestym pierwszym w Broumovie i pod Trutnovem. Kladło sie tam czeskie trupy na chlopa wysoko, a od dymu ze stosów czarne bylo niebo. A kogosmy nie ubili i nie spalili, tośmy naznaczyli. Po naszymu, po slasku. Zobaczysz teraz Czecha bez nosa, reki albo nogi, pewnym badz, ze to po tamtej naszej wspanialej rejzie. Co, panowie, nie powtórzyć nam imprezy? Rok 1425 jest rokiem swietym... Moze uczcic to wygubieniem husytów? Ja nie lubie mówic po próznicy, nie zwyklem sie tez z gadami układow ani mirów z nimi zawierac! Co pan na to, panie Albrechcie? Panie Puta? Dodajcie mi do moich jeszcze obaj ze dwiescie kopii i piechote z ognista bronia, a nauczymy kacerzy moresu. Zaplonie lunami niebo od Trutnova po Hradec Kralove. Obiecujcie...

- Nie obiecujcie - przerwal Kaspar Schlick. - A zapal zachowajcie na stosowna chwile. Na krucjate. Nie w rejsach bowiem rzecz. Nie w obcinaniu rak i nóg, bo królowi Zygmuntowi nic po bezrekich i beznogich poddanych. A i Jego Swiatobliwosc nie masakrowac Czechów pragnie, lecz na lono prawdziwego Kosciola ich powrócic. I nie w mordowaniu ludnosci cywilnej sprawa, lecz w rozbiciu wojsk taborsko-orebickich. Takim rozbiciu, by sie rokowac zgodzili. Dlatego przejdźmy do rzeczy. Jaka sile wystawi Slask, gdy zostanie ogłoszona krucjata? Konkretnie, prosze.

- Konkretniscie - usmiechnal sie krzywo biskup - bardziej od Zyda. Godzi sie to tak z krewniakiem? Przeciezsie juz praktycznie mój swak. No, ale jesli takie jest wasze zyczenie, to prosze: ja sam wystawie siedemdziesiat kopii plus stosowna piechote i dzialostrzelectwo. Konrad Kantner, mój brat, wasz przyszly tesc, da szescdziesieciu konnych. Tyluz da, wiem to, obecny tu Ludwik Brzeski. Ruprecht z Lubina i jego brat Ludwik zbiora czterdziestu. Bernard Niemodlinski...

Reynevan nie wiedzial nawet, kiedy zadrzemal. Zbudzil go kuksaniec. Dookola bylo ciemno.

- Uciekamy stad - mruknal Samson Miodek.

- Pospalismy sie?

- I to solidnie.

- Koniec zjazdu?

- Przynajmniej chwilowo. Mów szeptem, za stodola jest posterunek.

- Gdzie Szarlej?

- Juz przeniknal sie do koni. Teraz ide ja. A potem ty. Policz do stu i wychodz. Przez podwórzec. Wez snopek slomy, idz wolno, ze schylona glowa, niby pacholek do koni. A za weglem skrajnej chaty w prawo i w las. Pojales?

- No pewnie.

* * *

I wszystko poszloby gladko, gdyby nie fakt, ze mijajac skrajna chate, Reynevan uslyszal swoje nazwisko.

* * *

Po majdanie krecilo sie troche zoldactwa, palily sie ogniska i maznice, ale mrok podsienia dawal ukrycie na tyle dobre, by Reynevan bez strachu wlazl na lawe, stanal na palcach i przez blony w oknie zajrzal do izby. Blony byly mocno brudne, a wnetrze oswietlone skapo. Dalo sie jednak rozpoznać, ze rozmawialy trzy osoby. Jedna byl Konrad, biskup Wroclawia. Kazda watpliwosc w tym wzgledzie rozwiewal glos, mlodzienczo dzwieczny i wyraźny.

- Powtarzam, wielce jestesmy wam, panie, wdzieczni za informacje. Nam samym nielatwo byloby je zdobyc. Kupców gubi chciwosc, a w handlu trudno o konspiracje, tajemnicy nie utrzymasz, zbyt wiele ogniw i posredników. Predzej czy później przyjdzie doniesienie na takiego, co z husytami sie kuma i handluje z nimi. Ale z panami szlachta i z mieszczanami duzo trudniej, oni umieja trzymac jezyk za zębami, musza sie wystrzegac Inkwizycji, wiedza, co spotyka kacerzy i husyckich popleczników. I prawda to, powtarzam raz jeszcze, ze bez pomocy z Pragi nigdy bysmy nie wpadli na trop takiego Albrechta Barta czy Piotra de Bielau.

Siedzacy plecami do okna mezczyzna przemówil z akcentem, którego Reynevan pomylic nie mógł. Był to Czech.

- Piotr z Bielawy - odpowiedzial biskupowi - umial strzec tajemnicy. Nawet u nas, w Pradze, malo kto o nim wiedzial. Ale wiecie, jak to jest: wśród wrogów człek sie strzeze, wśród przyjaciół rozwiazuja sie jezyki. Jesli juz przy tym jestesmy, to tusze, ze tu, wśród przyjaciół, nie wyspnelo sie wam, biskupie, jakie niebaczne słoweczko na temat mojej osoby?

- Obrazacie mnie takim przypuszczeniem - rzekl dumnie Konrad. - Nie jestem dzieckiem. Nadto, zjazd nie bez kozery odbywa sie tutaj, w Debowcu, w gluszy. To miejsce pewne i sekretne. A zjechali sie ludzie pewni. Przyjaciele i sprzymierzenci. Zreszta zaden z nich, pozwole sobie zauwazyc, was nawet nie widzial.

- I chwali sie taka przezornosc. Bo sa, mozece mi wierzyc, husyckie uszy na swidnickim zamku, u pana von Kolditza, sa i u pana Puty w Klodzku. Wzgleciem zas goszczacych tu morawskich panów, to tez radzilbym szczególna ostroznosc. Nie obrazajac, lubia oni zmieniac stronictwa. Pan Jan z Kravarz wielu ma wśród husytów krewniaków i powinowatych...

Przemówil trzeci z rozmawiajacych. Siedzial najblizej kaganka, Reynevan widzial dlugie czarne włosy i ptasia twarz budzaca skojarzenia z wielkim pomurnikiem.

- Jesteśmy ostrozni - powiedzial Pomurnik. - I czujni. A zdrade zdolamy ukarac, mozece mi wierzyc.

- A wierze, wierze - parsknal Czech. - Jak nie wierzyc? Po tym, co spotkalo Piotra z Bielawy, pana Barta? Kupców Pfefferkorna, Neumarkta i Throsta? Demon, aniol zemsty, srozy sie po Slasku, z jasnego nieba uderza. W samo poludnie. *Iscie, daemone meridiano* ... Strach padl na ludzi...

- I bardzo dobrze - wtracil spokojnie biskup - ze padl. Mial pasc.

- A efekty - pokiwal glowa Czech - golym okiem widac. Pusto sie zrobilo na karkonoskich przeleczach, dziwnie malo kupców ku Czechom zmierza. Nasi szpiedzy nie ida juz z misjami na Slask tak chetnie jak niegdys, krzykliwi do niedawna emisariusze z Hradca i Taboru tez cos przycichli. Ludzie gadaja, sprawa w plotke obrasta, rosnie jak sniegowa kula. Piotra de Bielau okrutnie pono skluto. Pfefferkorna nie ocalilo, mówia, swiete miejsce, w kosciele go smierc dosiegla. Hanusz Throst noca umykal, ale aniol pomsty, okazalo sie, nie tylko w poludnie, ale i w ciemnosciach nocy widzi i zabija. A ze to ja wam ich nazwiska podalem, ksieze biskupie, tedy cóz, wychodzi, mam ich na sumieniu.

- Chcecie, wyspowiadam was. Chocby zaraz. Bez oplaty.

- Pieknie dziekuje - Czech nie mógł nie doslyszec drwiny, ale sie nia nie przejal. - Pieknie dziekuje, ale jestem, jak wiecie, kalikstynem i utrakwista, nie uznaje spowiedzi usznej.

- Wasza rzecz i wasza strata - skomentowal chlodno i nieco lekcewazaco biskup Konrad. - Oferowalem wam nie ceremonial, lecz spokój duszy, a ten nie zalezy wszak od doktryny. Ale wasza wola odmówic. Tyle ze z sumieniem radzcie sobie wówczas sami. Ja wam zas tylko rzekne, ze owi nieboszczycy, Bart, Throst, Pfefferkorn, Bielau... zawinili. Zgrzeszyli. A pisze Pawel do Rzymian: Zaplata za grzech jest smierc.

- Tamze - odezwal sie Pomurnik - napisano o grzesznikach: Niech stól ich stanie sie sidlem, pulapka, kamieniem potkniecia i odplata.

- Amen - odpowiedział Czech. - Ech, żal, żal prawdziwy, że ów anioł czy demon jeno nad Śląskiem czuwa. Nie brak grzeszników i u nas, w Czechach... Niektórzy z nas tam, w Złotej Pradze, rano i wieczór zanoszą błaganie, aby pewnych grzeszników szlag trafił, by piorun ich spalił... Czy jakiś demon dopadł. Chcecie, a dam wam listę. Imienna.

- Jaka lista? - spytał spokojnie Pomurnik. - O co wam chodzi? Coś sugerujecie? Ludzie, o których mówimy, winni byli i zasłużyli na karę. Ale ukarał ich Bóg i ich własne grzeszne życie. Pfefferkorn zabił dzierżawcę z zazdrości o żonę, po czym powiesił się, doznawszy skruchy. Piotra z Bielawy zabił w szale własny brat, bedacy niespełna rozumem czarownik i cudzołonek. Albrechta Barta zabili Żydzi z zazdrości, bo był od nich bogatszy, kilku pojmano, wyznają prawdę na torturach. Kupca Throsta zabili rozbójnicy, lubił włóczyć się po nocach i doczekał się. Kupiec Neumarkt...

- Dosyć, dosyć - machnął ręką biskup. - Wstrzymajcie się, nie zanudzajcie naszego gościa. Mamy ważniejszy temat i do niego wróćmy. Znaczący, do tego, kto z praskich panów gotów jest współpracować i rokować.

- Wybaczcie szczerą - powiedział po chwili milczenia Czech - ale byłoby korzystniej, gdyby Śląsk reprezentował któryś z książąt. Wiem, ma się rozumieć, proporcja, ale mieliśmy w Pradze dość zgryzot i kłopotów przez radykałów i fanatyków, bardzo źle się u nas duchowni kojarzą...

- Nie znacie, mój panie, proporcji, placząc katolickich duchownych z heretykami.

- Wielu mniemam - ciągnął niewzruszenie Czech - że fanatyzm to fanatyzm, rzymski od taborskiego nie lepszy. Przeto...

- Jestem - uciął ostro biskup Konrad - na Śląsku namiestnikiem króla Zygmunta. Jestem Piastem królewskiej krwi. Wszyscy książęta śląscy, moi krewniacy, cała śląska szlachta, wszyscy uznali moje przewodnictwo, wybierając mnie landeshauptmanem. Dźwigam ten trudny obowiązek od dnia świętego Marka Anno Domini 1422. Długo, by o tym wiedziano. Nawet tam u was, w Czechach.

- Ależ wiemy, wiemy. Tym niemniej...

- Nie ma tym niemniej - uciął znowu biskup. - Na Śląsku rządzą ja. Chcecie rokować, to ze mną. Wóz albo przewóz.

Czech milczał długo.

- Lubicie, ojcze, lubicie wy to, wielbni - rzekł wreszcie. - Uwielbiacie rządzić, wtracać się do polityki, wścibiać wszedry nosy i wtykać paluchy. Zaprawdę, będzie dla was straszliwym ciosem, gdy ktoś was wreszcie władzy pozbawi, odbierze wam ją, wydrze z zachłannych łap. Jak wy to przeżyjecie? Co? Wyobrazcie to sobie? Żadnej polityki! Dzionek cały, od jutrzni do komplety nic, tylko modlitwa, pokuta, nauczanie, miłosierna dobroczynność. Jak wam to pachnie? Ksienie biskupie?

- To wam coś takiego pachnie - oznajmił wyniosłe Piast. - Tylko rece macie za krótkie. Rzekł kiedyś jakiś mądry kardynał: ujadanie kundelków nie zatrzyma karawany. Tym światem włada i będzie władał Rzym. Powiedziałbym, że to Bóg tak chce, ale nie będę używał imienia nadaremno. Powiem więc, że to słuszne, by władza była przy głowach najwartościowszych. A kto jest, mój panie, wartościowszy niżli my? Co? Może wy, rycerze?

- Znajdzie się - nie rezygnował Czech - jakiś mocny król lub cesarz. I wówczas skończy się...

- Skonczy sie Canossa - ucial po raz kolejny biskup. - Pod tymi samymi murami, pod którymi stal Henryk IV niemiecki. Ów mocny król, który domagal sie, by duchowienstwo, papieza Grzegorza VII nie wylaczajac, przestalo wtracac sie do polityki i od jutrzni do komplety zajmowalo wylaczenie modlitwa. I co? Musze wam przypomnac? Zadufek stal dwa dni boso w sniegu, a na zamku papa Grzegorz uzywal rozkoszy stolu i chwalonych wdzieków margrabiny Matyldy. I tym zakonczmy te czcza gadke. Nauka, by na Kosciól nie podnosic glosu. My zawsze bedziemy rzadzic, po kres swiata.

- Nawet poza kres - wtracil zjadliwie Pomurnik. - W Nowej Jerozolimie, zlotym miescie za murami z jaspisu, tez wszak przy kims musi byc wladza.

- Otóz to - parsknal biskup. - A dla psów, co wyja i ujadaja jak zwykle: Canossa! Pokuta, wstyd, snieg i zmarzniete piety. A dla nas ciepla komnata, grzane toskanskie wino i ochocza margrabina w puchowej poscieli.

- Tam u nas - glucho rzekl Czech - Sierotki i taboryci juz ostrza klingi, juz opatruja cepy, juz smaruja osie wozów. Wnet tu przyjada. I odbiora wam wszystko. Straciecie palace, wino, margrabiny, wladze, a na koniec i wasze wartosciowe pono glowy. Tak sie stanie. Powiedzialbym, ze to snadz Bóg tak chce, ale nie bede uzywal imienia nadaremno. Powiem wiec: zróbmy cos z tym. Przeciwdzialajmy.

- Zareczam wam, Ojciec Swiety Marcin...

- A dajciez mi - wybuchnal Czech - pokój z Ojcem Swiety, królem Zygmuntem i wszystkimi ksiazetami Rzeszy, z calym tym rozwrzeszczanym europejskim jarmarkiem! Z kolejnymi legatami, kolejno defraudujacymi kolejne zebrane na krucjate pieniadze! Na meke Panska! Kazecie nam czekac, az tam dojdzie do jakiej zgody? A nam codziennie smierc zaglada w oczy!

- Nam - odezwal sie Pomurnik - bezczynnosci zarzucic nie mozecie, panie. My, jak sami przyznaliscie, dzialamy. Modlimy sie zarliwie, modly nasze bywaja wysluchane, grzeszników spotyka kara. Ale grzeszników jest wielu, nowych wciaz przybywa. Prosimy was o dalsza pomoc.

- Znaczy, o dalsze nazwiska?

Ani biskup, ani Pomurnik nie odpowiedzieli. Czech w oczywisty sposób odpowiedzi nie oczekiwal.

- Zrobimy - rzekl - co w naszej mocy. Przeslemy spisy husyckich popleczników i handlujacych z husytami kupców. Podamy nazwiska... byscie mieli w czyjej intencji sie modlic.

- A demon - i tym razem nikt Czechowi nie odpowiedzial. - Demon, jak zwykle, uderzy celnie i niechybnie. Oj, przydalaby sie, przydalaby jakas taka akcja i u nas...

- Z tym - rzekl twardo Konrad - jest trudniej. Komu lepiej wiedziec, jak wam, ze u was sam diabel nie rozezna sie we wszystkich frakcjach? Ze nie zgadniesz, kto z kim trzyma i przeciw komu i czy we wtorek trzyma z tymi samymi, co w poniedzialek? Papiez Marcin i król Zygmunt chca sie dogadac z husytami. Z rozsadnymi. Z takimi jak wy, chociazby. Myslicie, ze malo bylo ochotników do zamachu na Zizke? Nie dalismy naszej zgody. Usuniecie pewnych jednostek grozilo chaosem, kompletna anarchia. Ani król, ani papiez nie zycza sobie tego w Czechach.

- Gadajcie tak - Czech parsknal lekcewazaco - z tym legatem, z Orsinim, mnie te frazesy darujcie. I ruszczciez troche, biskupie, wasza jakoby wartosciowa mózgownica. Pomyslcie o wspólnym interesie.

- Ktos ma zginac, wasz wróg, polityczny badz osobisty. A co jest wspólne?

- Mówilem wam - Czech i tym razem nie przejal sie drwina - ze taboryci i Sierotki patrzy na Slask lakomym okiem. Jedni chca was nawracac, inni zwyczajnie lupic i grabic. Rusza lada dzien, wpadna tu z mieczem i ogniem. Pragnacy chrzescijanskiego pojednania papiez Marcin bedzie sie za was w dalekim Watykanie modlil, chcacy ugody Luksemburczyk bedzie sie w dalekiej Budzie zzymal i pienil. Albrecht Rakuski i biskup Olomunca odetchna z ulga, ze nie na nich padlo. A was tu beda tymczasem scinac, palic w beczkach, na pale wbijac...

- Dobra, dobra - machnal reka biskup. - Darujcie sobie, mam to we Wroclawiu na obrazach, w kazdym kosciele. Chcecie mnie, jesli dobrze rozumiem, przekonac, ze gwałtowny zgon kilku wybranych taborytów uchroni Slask od najazdu? Od apokalipsy?

- Moze nie uchroni. Ale przynajmniej opóźni.

- Bez zobowiazan i przyrzeczen: o kogo by szlo? Kogóz trzeba by wykonczyc? To jest, wybaczenie *lapsus linguae* : kogo uwzglesdnic w modlitwach?

- Bohuslaw ze Szwamberka. Jan Hwiezda z Vicemilic, hetman hradecki. Stamtad tez Jan Czapek z San i Ambroz, byly proboszcz od Swietego Ducha. Prokop zwany Golym. Biedrzych ze Straznicy...

- Wolniej - polecil karcaco Pomurnik. - Zapisuje. Zechciejcie jednak, panie, skoncentrowac sie na okolicach Hradca Kralove. Poprosimy o liste aktywnych i radykalnych husytów z rejonu Nachodu, Trutnova i Vizmburka.

- Ha! - wykrzyknal Czech. - Planujecie cos?

- Ciszej, panie.

- Chcialem zaniesc do Pragi radosna nowine...

- A ja mówie, byscie ciszej byli.

Czech umilkł w momencie dla Reynevana zgubnym. Pragnac za wszelka cene zobaczyc jego twarz, Reynevan wspial sie na palce i zawiercil na lawie. Spróchniala noga zlamala sie z trzaskiem, Reynevan zwalil sie na deski, dodatkowo obalajac oparte o sciane chaty kije, tyczki, widly i grabie. Z loskotem, który slychac chyba bylo nawet we Wroclawiu.

Zerwal sie natychmiast i rzucil do ucieczki. Slyszal okrzyki strazy, niestety, nie tylko za soba. Przed soba również, własnie z kierunku, w którym chcial uciekac. Skrecil pomiedzy budynki. Nie widzial, jak z chaty wypadl Pomurnik.

- Szpieg! Szpieeeeeg! Za nim! Zywcem brac! Zyyyyyweeeeem!

Droge zastapil mu pacholek, Reynevan obalil go, drugiego, który chwycil go za ramie, trzasnal piescia prosto w nos. Scigany klatwami i wrzaskiem przesadzil plot, przedarl sie przez sloneczniki, pokrzywy i lopiany, zbawczy las byl tuz, tuz, niestety, pogon mial na karku, również z boku, zza stogu, zachodzili gnajacy za nim knechci. Jeden juz, juz mial go ucapic, gdy jak spod ziemi wyrósł Szarlej i palnal go w bok glowy wielkim glinianym garnkiem. Na pozostalych zaszarzowal Samson Miodek, uzbrojony w wylamana z plotu zerdz. Dzierzac dwusazniowy drag poziomo przed soba, olbrzym zwalil z nóg trzech za jednym zamachem, dwóch nastepnych poczestowal tak, ze runeli jak klody, tonac w lopianach jak w odmetach morza. Samson potrzasnal zerdzia i zaryczal jak lew w pozie, rzeklbys, swego slawnego

biblijnego imiennika grozacego Filistynom. Knechci zatrzymali sie na moment, ale tylko na moment - od strony grangii biegly posilki. Samson cisnal w zoldaków swym dragiem i zrejterowal sladem Szarleja i Reynevana.

Wskoczyli na siodla, uderzeniami piet i wrzaskiem podrywajac konie do galopu. Pognali przez bukowe w kurzawie lisci, pogalopowali przez zagajnik, kryjac twarze przed siekacymi galeziami. Rozchlapali kaluze na dukcie, wpadli w wysoki las.

- Nie ustawac! - krzyknal, odwracajac sie, Szarlej. - Nie ustawac! Gonia nas!

Fakt, gonili. Las za nimi rozbrzmial tetentem i wrzaskami. Reynevan obejrzał sie i zobaczył sylwetki jezdzców. Przywarł do grzywy, by chlaszczace galezie nie zmiotły go z kulbaki. Szczesciem wypadli z gestwiny w rzadszy las, puscili konie w cwal. Cisek Szarleja rwał jak huragan, zwiększał dystans. Reynevan zmusil wierzchowca do szybszego biegu. Bardzo ryzykownie, ale zostac w tyle, samemu, wcale mu sie nie usmiechalo.

Obejrzał sie znowu. Serce zamarło mu i zjechało w dół, do dna brzucha, gdy zobaczył scigajacych - sylwetki konnych z rozwianymi u ramion, wygladajacymi jak skrzydla upiorów plaszczami. Uslyszal krzyk.

-*Adsumus !Adsumuuuus !*

Gnali ile sil w kopytach. Kon Henryka Hackeborna zachrapal nagle, serce Reynevana zjechało jeszcze niziej. Przytulil twarz do grzywy. Poczul, jak kon skoczyl, z własnej inicjatywy przesadzajac wykrot lub rów.

-*Adsumuus !* - dolatywalo z tylu. -*Adsuumuuuus !*

- W jar! - krzyknal od czola Samson. - W jar, Szarleju!

Szarlej, choc w pelnym pedzie, dostrzegl wadroze - jar, holweg, drózke w kotlinie. Momentalnie skierowal tam konia, cisek zarzał, slizgajac sie na pokrywajacym zboczce dywanie lisci. Samson i Reynevan pospieszyli za nim. Skryli sie w wawozie, ale nie zwolnili, nie wstrzymali koni. Pedzili na zlamanie karku po tlumiacym lomot kopyt mchu. Kon Henryka Hackeborna zachrapal znowu, donosniej, kilka razy pod rzad. Kon Samsona chrapal również, piers miał jak namydlona, platy piany sypaly sie z niego. Cisek Szarleja nie zdradzal zadnych objawów zmeczenia.

Krete wadroze wyprowadzilo ich na polanke, za polanka byla leszczyna, gesta jak matecznik. Przedarli sie, wyjechali znowu na wysoki bór, umozliwiajacy cwal. Cwalowali wiec, a konie chrapaly coraz silniej.

Po jakims czasie Samson zwolnil i zostal w tyle. Reynevan zrozumial, ze musi uczynic to samo. Szarlej obejrzał sie, wstrzymal ciska.

- Chybasmy... - wydyszał, gdy zrównali sie z nim. - Chybasmy ich zgubili. W cózes ty nas, u licha, znowu wplatal, Reinmarze?

- Ja?

- Do diabla! Widzialem tych jezdzców! Widzialem, jak kurczysz sie ze strachu na ich widok! Co to za jedni? Dlaczego wrzeszczeli: „Jestesmy”?

- Nie wiem, przysięgam...

- Nic mi po twoich przysięgach. Tfu, kimkolwiek byli, udało nam się...

- Jeszcze się nie udało - powiedział zmienionym głosem Samson Miodek. - Jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło. Uwaga. Uwaga!

- Co?

- Coś nadchodzi.

- Nic nie słysze!

- A jednak. Coś złego. Coś bardzo złego.

Szarlej obrócił konia, stojąc w strzemionach rozglądał się i wyteżał słuch. Reynevan, przeciwnie, skurczył się w siodle, zmiana w głosie Samsona zmroziła go zgroza. Kon Henryka Hackeborna zachrapał, zatupał. Samson krzyknął. Reynevan wrzasnął.

I wtedy, nie wiedząc skąd, nie wiedząc jak, z mrocznego nieba runęły na nich nietoperze.

Nie były to, ma się rozumieć, zwykłe nietoperze. Choć od zwykłych większe niewiele, góra dwa razy, miały nienaturalnie wielkie głowy, ogromne uszy, oczy jak zarzace się węgliki i pyszczki pełne białych klów. I było ich mnóstwo, cała chmara, rój. Ich wąskie skrzydła swiszczwały i cięły jak jatagany.

Reynevan machał rękami jak oszalęły, odbijając od siebie wściekle atakujące bestie, wrzeszcząc ze zgrozy i wstretu zrywał z siebie te, które czepiały się karku i włosów. Niektóre stracał, zbijał jak piłki, inne chwytal i zgniatal, ale pozostałe drapały twarz, gryzły dłonie, bolesnie kasaly w uszy. Obok Szarleja na oslep rabał wokół siebie szablą, gesto pryskała czarna nietoperza posoka. Na głowie Szarleja siedziały ze cztery, Reynevan widział, jak po czole i policzkach demeryta pelzna weżyki krwi. Samson walczył w ciszy, miażdżył oblatujące go stwory, chwytając je w garście po kilka naraz. Konie szalaly, wierzgaly, rzały dziko.

Szablą Szarleja swisnęła Reynevanowi tuż nad głową, klinga otarła się o włosy, zmiatając z nich gacka, wielka, spasma i wyjątkowo nachalna bestie.

- W nogi! - ryknął demeryt. - Trzeba uciekać! Nie możemy tu zostać!

Reynevan poderwał konia, również nagle rozumiejąc. Nie były to zwyczajne nietoperze, były to potwory wywołane czarami, a to mogło oznaczać tylko jedno - że zostały wysłane przez pogon i że ta pogon niebawem się zjawi. Runęły w galop, nie musieli popędzać koni, spanikowane wierzchowce zapomniały o zmęczeniu i gnały jak scigane przez wilki. Gacki nie dały się zgubić, atakowały, pikowały i spadały na nich bez przerwy, w pełnym pedzie trudno było się bronić. Udało się to tylko Szarlejowi, który ciał swą szablą i kosił nietoperzyska w cwale z taką wprawą, jakby urodził się i całą młodość spędził w Tatarii.

A Reynevana, okazało się po raz kolejny, pech przesładował gorzej niż Jonasza. Nietoperze kasaly wszystkich trzech, ale to Reynevanowi jeden uczeplił się włosów na czole tak, że zupełnie zasłonił oczy. Potworki atakowały wszystkie trzy konie, ale tylko Reynevanowemu jeden wlaźł wprost do ucha. Kon cisnął się, rzac dziko, trzesąc opuszczonym łbem wierzgnął, rzucił w górę zadem z taką energią, że oslepiony Reynevan wyleciał z siodła jak pocisk z katapulty. Pozbawiony ciężaru kon poszedł w dziki

cwał i byłby uciekł w las, szczęściem Samson zdążył chwycić za wodze i osadzić go w miejscu. Szarlej zaś zeskoczył z siodła i ze wzniesioną szablą wpadł pomiędzy jalołce, gdzie nad turlającym się w wysokiej trawie Reynevanem gacki klebiły się niczym Saraceni nad zwałonym na ziem paladynem. Wykrzykując straszliwe klatwy i ohydne wyzwiska, demeryt chlastał szablą, aż bryzgala jucha. Obok Samson walczył w siodle, jedna reka - druga trzymał oba szarpiące się konie. Dokonać takiej sztuki mógł tylko ktoś tej mocy, co on.

Reynevan zaś był pierwszym, który zauważył, że do boju wkroczyły nowe siły. Może dlatego, że był na czworakach, usiłował wydostać się z zametu z nosem niemal przy trawie. I spostrzegł, jak trawa nagle kładzie się po ziemi, płasko, jak gdyby uderzona wichrem. Uniósł głowę i o jakieś dwadzieścia kroków zobaczył mężczyźnego, starca niemal, ale gigantycznej wprost statury, o płomiennych oczach i lwiej grzywie mlecznobiałych włosów. Starzec dzierżył kostur, dziwny, sekaty, kosławy, fantastycznie powyginany, istny wąż zastygły w paroksyzmach meki.

- Padnij! - krzyknął gromowym głosem starzec. - Nie podnosić się!

Reynevan rozplaszczyl się na ziemi. Czuł, jak dziwny wicher swiszcze mu nad głową. Usłyszał zduszone przekleństwo Szarleja. I nagły, wielki, przenikliwy pisk atakujących dotąd wśród zupełnej ciszy nietoperzy. Pisk scichł równie nagle, jak rozbrzmiał. Reynevan usłyszał i poczuł, jak dookoła coś pada gradem, uderzając o grunt glucho jak dojrzale jabłka. Czuł też na włosach i plecach deszcz drobniejszy, malutki, suchy. Rozejrzał się. Dookoła, gdzie nie spojrzal, leżały martwe nietoperze, a z góry, z galezi drzew, sypał się nieustanny, gesty deszcz martwych owadów - chrząszczy, zuczków, pajaków, liszek i cieni.

- Matavermis... - westchnął. - To było Matavermis...

- No, no - rzekł starzec. - Zna się! Młody, ale bywały. Wstawaj. Już można.

Starzec, teraz można to było stwierdzić, wcale nie był starcem. Młodzikiem nie był, rzecz jasna, także, ale biała szedł jego włosów, Reynevan dalby głowę, brała się mniej ze starczej siwizny, bardziej z częstego wśród magów albinotyzmu. Również gigantyczny wzrost okazał się wytworzonym przez magię pozorem - wspaniały na kosturze białowłosy był wysoki, ale bynajmniej nie nadnaturalnie.

Zbliżył się Szarlej, bez zainteresowania kopiąc leżące w trawie martwe nietoperze. Podszedł Samson Miodek z koniami. Siwowlasy przyglądał im się chwile - Samsonowi szczególnie uważnie.

- Trzech - powiedział. - Ciekawe. Bo dwóch szukaliśmy.

Skąd liczba mnoga, Reynevan dowiedział się, nim zdążył zapytać. Zadudniły kopyta, na polanie zaroilo się od chrapiących koni.

- Powitać - zawołał z wysokości siodła Notker von Weyrach. - Spotkaliśmy się jednak. A to dopiero traf.

- Traf - powtórzył z podobną drwiną w głosie Buko von Rrossig, lekko napierając na demeryta koniem.
- Tym isciej, że w miejscu całkiem innym, niż było umówione! Całkiem innym!

- Niesłownys, panie Szarleju - dodał, unosząc hunds-gugel, Tassilo de Tresckow. - Nie dotrzymujesz umów. A to rzecz karygodna.

- I nie minęła go, widzę, kara - parsknął Kuno Wittram. - Na łagę świętego Grzegorza Cudotwórcy!

Patrzcie jeno, jak mu ktosik uszów ponadgryzał!

- Trzeba sie stad zabierac - siwowlosy przerwal rozgrywajaca sie na oczach zdumionego Reynevana scene. - Poscig sie zbliza. Konni ida tropem!

- A nie mówilem? - parsknal Buko von Krossig. - Ze ich ratujemy, wyciagamy dupska z petli? Dobra, jedzmy. Panie Huonie? Ten poscig...

- Nie jest byle jaki - siwowlosy przyjrzał sie podniesionemu za koniec skrzydla nietoperzowi, potem przeniósł wzrok na Szarleja i Samsona. - Tak, nie byle kto tu nadchodzi... Poznałem, poznałem po swedzeniu palców... No, no... Ciekawi z was ludzie, ciekawi... Można rzec: pokaz mi, kto cie sciga, a powiem ci, kim jestes. Inaczej: mój poscig swiadczy o mnie.

- O, wa, poscig - zawolal, obracajac konia, Paszko Rymbaba. - Wielki mi szysz! Niech tylko nadjada, zadamy im bobu!

- Nie sadze - odrzekl siwowlosy - by to bylo takie proste.

- Ani ja - Buko tez przygladal sie nietoperzom. - Panie Huonie? Można prosic?

Nazwany Huonem siwowlosy nie odpowiedzial, miast tego skinal swym koslawym kosturem. Z traw i paproci momentalnie jela podnosic sie mgla, biala i gesta jak dym. W niebywale krótkim czasie las zniknal w niej zupełnie.

- Stary czarownik - zamruczal Notker Weyrach. - Ciarki przechodza...

- Ale! - parsknal wesolo Paszko. - Mnie tam nic nie przechodzi.

- Dla ludzi, którzy nas scigaja - odwazyl sie odezwac Reynevan - mgla moze nie byc przeszkoda. Nawet magiczna.

Siwowlosy odwrócił sie. Popatrzył mu w oczy.

- Wiem - powiedzial. - Wiem, panie znawco. Dlatego to jest nie na ludzi, lecz na konie. Czym przedzej tedy zabierajcie sie stad z waszymi. Gdyby zweszyly wapor, oszaleja.

- W droge, *comitiva* !

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym sprawy nabieraja obrotu tak kryminalnego, ze gdyby kanonik Otto Beess to przewidzial, bez zadnych ceregieli ostrzyglby Reynevana w mnichy i zamknal w cysterskiej klauzurze. A Reynevan zaczyna zastanawiac sie, czy alternatywa ta nie bylaby dla niego zdrowsza.

Weglarzy i smolarzy z pobliskiej wsi, zmierzających o switanu w stronę swego miejsca pracy, zaalarmowały i zaniepokoiły dochodzące stamtąd odgłosy. Co tchórzliwsi wzięli z miejsca nogi za pas. Za nimi pospieszali ci rozsądniejsi, słusznie rozumiejący, że dziś nici z roboty, węgla się nie wypali, smoly i dziegiu nie wydestyluje, mało tego, jeszcze po karku dostać można. Jedynie nieliczni najsmielsi odwagą podkręcać się pod smolarnie na tyle blisko, by wyjrzawszy ostrożnie zza pni, dostrzec na polanie jakieś piętnaście koni i tyluż zbrojnych, z czego część w pełnej płycie. Węglarze zobaczyli, że rycerze gestykują żywo, usłyszeli podniesione głosy, krzyki, przekleństwa. To ostatecznie przekonało węglarzy, że nic tu po nich, że trzeba uciekać, póki jeszcze można. Rycerze toczyli spór, klócili się, niektórzy byli wręcz wściekli, a od takich rycerzy biedny chłop mógł spodziewać się samych najgorszych rzeczy, na biednym chłopie rycerze zwykli byli wybijać złość i odreagowywać nerwy. Ba, mógł włączyć rozeźlonemu szlachetnie urodzonymu pod rękę chłop wziąć nie tylko piścia w pysk, butem w rzyć czy nahażka po plecach - bywało, sięgnął w złości pan rycerz po miecz, buzdygan lub topór.

Węglarze uciekli. I zaalarmowali wieś. Podpalac wsie rozszalonym rycerzom zdarzało się również.

* * *

Na polanie węglarzy toczył się ostry spór, wrzała kłótnia. Buko von Krossig wrzeszczał, aż płoszyły się trzymane przez giermków konie. Paszko Rymbaba gestykułował, Woldan z Osin pomstował, Kuno Wittram przyzywał na świadków świętych i święte. Szarlej zachowywał względny spokój. Notker von Weyrach i Tassilo de Tresckow usiłowali godzić zwasnionych.

Białowłosey mag siedział opodal na pieńku i demonstrował lekceważenie.

Reynevan wiedział, czego dotyczyła wasn. Dowiedział się w drodze, gdy noca cwałowali lasami, kluczyli po dąbrowach i bukowinach, wciąż oglądając się, czy aby nie wyloni się z mroku poscig, nie pojawia się jeźdźcy w rozwianych płaszczach. Poscigu jednak nie było i dalo się porozmawiać. Reynevan dowiedział się wówczas wszystkiego od Samsona Miodka. Dowiedział się i osłupiał, dowiedziawszy.

- Nie pojmuje... - rzekł, gdy ochłonał. - Nie pojmuje, jak mogliście zdecydować się na coś podobnego!

- Chcesz powiedzieć - Samson odwrócił się ku niemu - że gdyby chodziło o któregoś z nas, ty nie podjalbys prób ratunku? Nawet desperackich? Chcesz mi coś podobnego powiedzieć?

- Nie, nie chce. Ale nie rozumiem, jak...

- Właśnie - uciął dość ostro, jak na niego, wielkolud. Próbuje ci wyjaśnić, jak. Ale wciąż przeszkadzasz mi wybuchami świętego oburzenia. Racz posłuchać. Dowiedzieliśmy się, że zawioza cię na zamek Stolz, by tam niebawem zamordować. Czarny furgon poborcy podatków Szarlej wypatrzył już wcześniej. Gdy więc niespodzianie nawinął się Notker Weyrach ze swą comitiva, plan ułożył się sam.

- Pomoc w napadzie na kolektora. Współudział w grabieży w zamian za pomoc w uwolnieniu mnie?

- Jakbys przy tym był. Taka właśnie zawarto umowę. A że o przedsięwzięciu zwiędział się, pewnie przez czyjas gadatliwość, Buko Krossig, trzeba było włączyć i jego.

- No i teraz mamy.

- Mamy - zgodził się spokojnie Samson.

Mieli. Dyskusja na weglarskiej polanie robiła się coraz bardziej ostra, tak ostra, że niektórym dyskutantom słowa przestawały wystarczać. Dość widoczne było to zwłaszcza w przypadku Buka von Krossig. Raubritter podszedł do Szarleja i chwycił go oburacz za kubał na piersi.

- Jeszcze raz... - wycharczał wściekle. - Jeszcze raz wymówisz słowo „nieaktualne”, a pozalujesz. Co ty mi tu opowiadasz, lazego? Myślisz może, hultaju, że nie mam lepszych zajęć, jak jeżdżenie po lasach? Straciłem czas w nadziei na łup. Nie mów mi, że nadaremno, bo mnie reka swierzbi.

- Wolnego, Buko - odezwał się pojednawczo Notker von Weyrach. - Po co zaraz gwałty czynić. Dogadamy się może. A ty, panie Szarleju, nieładnie, pozwól sobie rzecz, postąpiłeś. Była umowa, że będziecie podatkowego poborcy śledzić od Ziebic, że dacie nam znać, kiedy ów pojedzie, gdzie się zatrzyma. Czekaliśmy na was. Była wspólna impreza. A wy co?

- W Ziebicach - Szarlej wygładził odzienie - gdy prosiłem pomocy panów, gdy za tę pomoc płaciłem intratną informacją i ofertą, co usłyszałem? Że może panowie pomogą, jeśli im się, cytuję, chciało będzie, w uwolnieniu obecnego tu Reinmara Hagenau. Ale z łupu z napadu na poborcy nie dostanie mi się nawet złamany szeląg. Tak ma wyglądać, według panów, wspólna impreza?

- Szło wam o druha. Miał być wolny...

- I jest wolny. Sam się uwolnił, własnym przemyśleniem. Chyba więc jasne, że pomoc panów nie jest mi już potrzebna.

Weyrach rozłożył ręce. Tassilo de Tresckow zaklął, Woldan z Osin, Kuno Wittram i Paszko Rymbaba zaczęli wrzeszczeć jeden przez drugiego. Buko von Krossig uciszył ich gwałtownym gestem.

- O niego szło, tak? - spytał z zacisniętymi zębami, wskazując Reynevana. - Jego mieliśmy że Stolz wyrwać? Jemu skórę ocalić? A nie, gdy on wolny, tośmy ci, panie Szarleju, niepotrzebni, tak? Umowa rozwiązana, słowo z wiatrem uleciało? Nadto śmiało, panie Szarleju, nadto chybko! Bo jeśli tobie, panie Szarleju, skóra przyjaciela tak droga, jeśli tak o jej całość stoisz, to wiedz, że ja mogę zaraz tę całość naruszyć! Nie pyskuj mi więc, że umowa rozwiązana, bo twój kompan bezpieczny. Albowiem tu, na tej polanie, w zasięgu mojej ręki, obojdwu wam cholernie do bezpieczeństwa daleko!

- Spokojnie - uniósł dłoń Weyrach. - Hamuj się, Buko. Ale ty, panie Szarleju, spuść z tonu. Twój druha już fortunnie uwolniony? Dobra twoja. Myśmy tobie, mówisz, niepotrzebni? Ty nam, wiedz, jeszcze mniej. Ruszaj stąd, jeśli taka twoja wola. Wcześniej za ratunek podziękowawszy. Bo i dnia nie ma, jakesmy was ratowali, jakesmy wasze dupski, jak ktoś mądrze zauważył, wyciągneli z petli. Bo gdyby was tamten nocny poscig doszedł, to na uszach pokasanych by się pewno nie skończyło. Zapomniałeś już o tym? Ha, prawda, ty szybko zapominasz. Cóż, rzeknij nam jeszcze tylko na odchodnym, kiedy poborca z wozem pojechał, która droga z rozdroża. I bywaj, czort z toba.

- Za waszą nocną pomoc - Szarlej odchrząknął, sklonił się lekko, ale nie przed Bukiem i Weyrachem, lecz w kierunku siedzącego na pniu i przyglądającego się obojętnie siwowłosego maga. - Za waszą nocną pomoc dziękuję. Nie chcąc bynajmniej przypominać, że ledwo jakiś tydzień minal, jakesmy to my pod Lutomią ratowali dupski panów Rymbaby i Wittrama. Tedy kwita jesteśmy. A kiedy pojechał kolektor, nie wiem, niestety. Zgubiliśmy ślad orszaku przedwczoraj po południu. A że krótko przed zmierzchem spotkaliśmy Reinmara, to nas kolektor interesować przestał.

- Trzymajcie mnie! - wrzasnal Buko von Krossig. - Trzymajcie mnie, kurwa, bo go zabije! Bo mnie szlag trafi! Slyszieliscie? On zgubil slad! Jego kolektor interesowac przestal! Jego, kurwa, przestalo interesowac tysiac grzywien! Nasze tysiac grzywien!

- Jaki tam tysiac - palnal bez zastanowienia Reynevan. - Tam nie bylo tysiac. Tam bylo... tylko... piecset...

Szybko, bardzo szybko pojal bezmiar glupstwa, jakie popelnil.

Buko von Krossig dobyl miecza ruchem tak szybkim, ze zgrzyt klingi w pochwie, zdalo sie, brzmial jeszcze, jeszcze wisial w powietrzu, gdy ostrze dotykalo juz Reynevanowego gardla. Szarlej zdolal zrobic tylko pol kroku, nim napotkal piersia rownie szybko dobyte klingi Weyracha i de Tresckowa. Brzeszczoty pozostalych zaszachowaly i zatrzymaly Samsona. Znikly, jak zdmuchniete wiatrem, wszelkie pozory rubasznej zyczliwosci. Zle, zmruzone, okrutne oczy raubritterow nie pozwalaly watpic, ze z broni zrobia uzytek. I ze uczynia to bez najmniejszych skrupulow.

Siedzacy na pniu siwowlosy mag westchnal i pokrecil glowa. Mine mial jednak obojetna.

- Hubecik - rzekl powoli Buko von Krossig do jednego z giernkow. - Wez rzemien, zrobc stryk i zarzuc na tamten konar. Ani drgnij, Hagenau.

- Ani drgnij, Szarlej - powtorzil jak echo de Tresckow. Miecze pozostalych wparly sie mocniej w piers i szyje Samsona.

- A wiec - Buko, nie odejmujac sztychu od gardla Reynevana, przyblizyl sie, zajrzal mu w oczy. - A wiec na wozie kolektora jest nie tysiac, lecz piecset grzywien. Ty to wiesz. A zatem wiesz i to, ktoredy woz pojechal. Masz, chlopce, wybor prosty: albo to wiesz, albo wisisz.

* * *

Raubritterzy spieszyli sie, narzucali ostre tempo. Nie zalowali koni. Jesli tylko teren pozwalal, podrywali je do galopu, gnali ile sil.

Weyrach i Rymbaba, pokazalo sie, znali okolice, prowadzili na skruty.

Musieli zwolnic, gdy skrót wypadl poprzez silnie podmokly mszar w dolinie rzeczki Budzówki, lewego doplywu Nysy Klodzkiej. Dopiero wtedy Szarlej, Samson i Reynevan znalezli sposobnosc do krótkiej rozmowy.

- Nie róbcie zadnych glupstw - ostrzegl cicho Szarlej. - I nie próbujcie uciekac. Ci dwaj za nami maja kusze i nie spuszcza z nas oka. Lepiej poslusznie jechac z nimi...

- I wziac - dokonczyl z przekasem Reynevan - udzial w bandyckim napadzie? Zaprawde, Szarleju, daleko zawiodla mnie znajomosc z toba. Zostalem rozbójnikiem.

- Przypominam - wtracil Samson - ze zrobilismy to dla ciebie. By uratowac ci zycie.

- Kanonik Beess - dodal Szarlej - nakazal mi cie strzec i chronic...

- I uczynić wyjetym spod prawa?

- To dzięki tobie - odrzekł ostro demeryt - jedziemy na Sciborowa Porebe, to ty wydałeś Krossigowi miejsce popasu poborcy. Szybko wydałeś, nawet nie musiał długo toba potrasać. Trzeba było twardziej się trzymać, meżnie milczec. Byłbys teraz uczciwym wisielcem o czystym sumieniu. Zda mi się, że lepiej byś się czuł w tej roli.

- Przestępstwo jest zawsze...

Szarlej zachnął się, machnął ręką, popędził konia.

Z mszaru unosiła się mgła. Bagno uginało się, mlaskało pod kopytami. Kumkały zaby, trąbiły baki, pogegiwały dzięki gesi. Niespokojnie odzywały się i z chlupotem podrywały do lotu kaczki i kaczozy. Coś wielkiego, zapewne los, lamalo w ostepie.

- To, co Szarlej zrobił - rzekł Szamson - zrobił dla ciebie. Krzywdzisz go swym zachowaniem.

- Przestępstwo... - odchrząknął Reynevan - jest zawsze przestępstwem. Nic go nie usprawiedliwia.

- Doprawdy?

- Nic. Nie można...

- Wiesz, co, Reynevan? - Samson Miodek po raz pierwszy objawił coś na kształt zniecierpliwienia. - Graj ty w szachy. Tam będziesz miał wszystko wedle gustu. Tu czarne, tam białe, a pola wszystkie kwadratowe.

* * *

- Skąd wiesz, że na Stolu miałem być zamordowany? Kto wam to wyjawiał?

- Zdziwisz się. Młoda kobieta, zamaskowana, szczelnie owinięta w płaszcz. Przyszła do nas w nocy, do gospody. W eskorcie uzbrojonych pacholków. Zdziwiłeś się?

- Nie.

Samson nie wypytywał.

* * *

Na Sciborowej Porebie nie było nikogo, ni żywego ducha. Było to widoczne wyraźnie i z daleka. Raubritterzy od razu zrezygnowali więc z planowanego skrytego podejścia, wpadli na polane z marszu, galopem, z lomotem, tupotem i wrzaskiem. Który spłoszył jedynie gawrony, uczujące obok obłożonego kamieniami paleniska.

Oddział rozjechał się, myszkując wśród szalasów. Buko von Krossig obrócił się w siodle i wpil w Reynevana groźny wzrok.

- Ostaw - uprzedził Notker von Weyrach. - On nie klamał. Widac, że ktos tu popasał.

- Był tu wóz - podjechał Tassilo de Tresckow. - Ot, ślady kół.

- Murawa zryta podkowami - zameldował Paszko Rymbaba. - Siła koni była!

- Popiół w ognisku ciepły jeszcze - doniósł Hubercik, giermek Buka, na przekór zdrobieniu chłop silnie już w leciech. - Wokół baranie kości i keski rzepy.

- Spóźniłem się - podsumował ponuro Woldan z Osin. - Kolektor tu popasał. I pojechał. Przybyłem za późno.

- Oczywiście - warknął von Krossig - jeśli młodzik nas nie olgał. Bo on mi się nie podoba, ten Hagenau. He? Kto was w nocy scigał? Kto gacki na was poszczuł? Kto...

- Ostaw, Buko - przerwał znowu von Weyrach. - Tematu nie trzymasz się. Dalej, *comitiva*, *objedzcie polane*, śladów szukajcie. Trza wiedzieć, co dalej czynić.

Raubritterzy rozjechali się ponownie, część posiadała z koni i rozlazła po szalaszach. Do poszukiwaczy, ku lekkiemu zdziwieniu Reynevana, dołączył Szarlej. Białowłose mag natomiast, nie zwracając uwagi na rejwach, rozłożył kozuch, rozsiadł się na nim, dobył z juków chleb, wiór suszonego mięsa i buklaczek.

- Pan, panie Huonie - zmarszczył się Buko - nie uzna za celowe pomóc w poszukiwaniach?

Mag lyknął z buklaczka, ugryzł chleb.

- Nie uznaję.

Weyrach parsknął. Buko zaklął pod nosem. Podjechał Woldan z Osin.

- Ciezko z tych śladów coś wymiarkować - uprzedził pytanie. - Wiadomo jeno, że koni siła była.

- To już słyszałem - Buko znowu zmierzył Reynevana złym spojrzeniem. - Ale detale poznać radbym. Wieluż to było z kolektorem ludzi? I kto to był? Do ciebie mówię, Hagenau!

- Sierżant i pięciu zbrojnych - baknął Reynevan. - Oprócz nich...

- No? Słucham! I patrzcież mi w oczy, gdy pytam!

- Czterej Bracia Mniejsi... - Reynevan już wcześniej zdecydował zataić osobę Tybalda Raabego, po namyśle rozciągnął decyzję również na Hartwiga Stietencrona i jego córkę brzydule. - I czterech patnicy.

- Mendykanci i pielgrzymi - skurczona w grymasie warga Buka odsłoniła zęby. - Wierzęchem na podkutych koniach? He? Co ty mi tu...

- Nie lże - Kuno Wittram podjechał klusem, rzucił przed nich kawał zawężonego sznura.

- Biały - ogłosił. - Franciszkanski!

- Zaraza - zmarszczył brwi Notker Weyrach. - Co tu zaszło?

- Zaszło, zaszło! - Buko trzepnął dlonia w rekojesc miecza. - Co mnie to obchodzi? Ja chce wiedzieć, gdzie kolektor! Gdzie wóz, gdzie pieniądze! Czy ktoś może mi to powiedzieć? Panie Huonie von Sagar!

- Jem teraz.

Buko zaklął.

- Z poreby trzy drogi wioda - powiedział Tassilo de Tresckow. - Na wszystkich są ślady. Ale ani dociec, które są które. Nie da się rzec, któredy kolektor pojechał.

- Jeśli w ogóle pojechał - z krzaków wyłonił się Szarlej. - Ja sadzę, że nie pojechał. Ze nadal tu jest.

- Jak niby? Gdzie? Skąd to wiecie? Jakście to stwierdzili?

- Używszy rozumu.

Buko von Krossig zaklął plugawie. Notker Weyrach pohamował go gestem. I popatrzył na demeryta wymownie.

- Mówcie, Szarleju. Coście wytropili? Co wiecie?

- Do udziału w łupie - hardo zadarł głowę demeryt - nie zechcieli nas panowie dopuścić. Więc i tropiciela sobie ze mnie nie róbcie. Co wiem, to wiem. Moja rzecz.

- Trzymajcie mnie... - zawarczał wściekle Buko, ale Weyrach powstrzymał go znowu.

- Jeszcze niedawno - powiedział - ni poborca was nie interesował, ni jego pieniądze. A ot, naraz udziału w łupach wam się zachciewa. Musi, coś się zmieniło. Ciekawosc, co?

- Wiele. Teraz łup, jeśli się nam poszczęści go wziąć, nie będzie pochodził z napadu na paborce. Teraz będzie to rekuperacja, grabienie grabieżcy. W czymś takim chętniej biore udział, bo uważam za moralne obrabować rabusia ze zrabowanej zdobyczy.

- Mówcie jasniej.

- Nie można jasniej - rzekł Tassilo de Tresckow. - Wszystko jest jasne.

* * *

Ukryte w lesie, otoczone trzesawiskiem jezioro, choć malownicze, budziło niejasne uczucie niepokoju, ba, leku nawet. Jego tafla była jak smoła - tak samo czarna i zastygła, tak samo nieruchoma, tak samo martwa, niezmaczona żadnym życiem, żadnym poruszeniem. Choć czubki przeglądających się w wodzie świerków chwiały się lekko na wietrze, gładkości tafli nie zakłócała najmniejsza nawet falka. Gęsta od brunatnych glonów woda poruszały jedynie banieczki gazu,

podnoszące się z głębin, rozchodzące wolno i pekające na oleistej, pokrytej rzesą powierzchni, z której, niczym trupie rece, sterczały uschłe rosochate drzewa.

Reyneveran wzdrygnął się. Odgadł już, co wykrył demeryt. Leża tam, pomyślał, w glebinie, w mule, na samym dnie tej czarnej otchłani. Kolektor. Tybald Raabe. Pryszczata Stietencronówna z wyskubanymi brwiami. I kto prócz nich?

- Spójrzcie - wskazał Szarlej. - Tutaj.

Trzesawisko uginało się pod stopami, strzykało woda wyciskana z gąbczastego dywanu mchów.

- Ślady ktoś usiłował zatrzeć - pokazywał dalej demeryt - ale i tak wyraźnie widac, któredy wleczono zwłoki. Tu, na liściach, jest krew. I tu. I tu. Wszędzie krew.

- To znaczy... - potarł podbródek Weyrach. - Ze ktoś...

- Ze ktoś napadł na poborce - dokonał spokojnie Szarlej. - Wykonał i jego, i jego eskortę. A trupy utopił tu, w stawie. Obciążony kamieniami wyciągniętymi z paleniska. Wystarczyło baczniej przyjrzeć się palenisku...

- Dobra, dobra - uciął Buko. - A pieniądze? Co z pieniędzmi? Czy to znaczy...

- To znaczy - Szarlej spojrział na niego z lekkim pobłażaniem - dokładnie to, co myślicie. Zakładając, że myślicie.

- Ze pieniądze zagrabiono?

- Brawo.

Buko milczał czas jakiś, cały ten czas coraz to bardziej czerwieniejąc.

- Kurwa! - wrzasnął wreszcie. - Boże! Widzisz i nie grzmisz? Do czego to doszło! Upadły, kurwa, obyczaj, zginęła cnota, umarła poczciwość! Wszystko, wszystko zagrabia, zrabują, ukradną! Złodziej na złodzieju i złodziejem pogania! Lobuży! Szelmy! Lajdaki!

- Lotry, na kociol świętej Cecylii, lotry! - zawtórował Kuno Wittram. - Chryste, że też nie spuszczasz na nich plagi jakiej!

- Świętości, skurwysyny, ani uszanują! - ryknął Rymbaba. - Tęch dudki, co je wiozł kolektor, na cel zbrojny były!

- Prawda. Na wojnę z husytami biskup zbierał...

- Jeśli tak - wybałał Woldan z Osin - to może diabelska to sprawa? Dyc diabeł z husytami trzyma... Mogli heretycy czarnej pomocy zawezwać... A mógł czart i sam ze siebie, biskupowi na złość... Jezu! Diabeł, mówcie mi, tu hulali, piekielne moce tu działały. Szatan, nikt inny, kolektora ubił i wszystkich jego ludzi zgladził.

- A pięćset grzywien co? - zmarszczył się Buko. - Do piekła uniósł?

- Uniósł. Albo w gówno przemienił. Bywały takie przypadki.

- *Może być - kiwnął głową Rymbaba - że w górnym. Górna tam, za szalarami, duża różnorodność.*

- *Mógł też - dodał Wittram, wskazując - czart pieniądze w tym oczku zatopić. Jemu one na nic.*

- *Hmm... - mruknął Buko. - Mógł zatopić, mówisz? Może by tedy...*

- *W życiu! - Hubercik w lot odgadł, o czym i o kim Buko myśli. - Co to, to nie! Za nic tam, panie, nie wejdę!*

- *Nie dziw się - rzekł Tassilo de Tresckow. - Mnie też nie podoba się to bajoro. Tfu! Nie wszedłbym do tej wody, choćby tam nie pięćset, a pięćset tysięcy grzywien leżało.*

Cos, co było w jeziorze, musiało go usłyszeć, bo jakby na potwierdzenie smolista woda jeziora wzburzyła się, zabulgotała, zawrzała tysiącem wielkich pecherzy. Buchnął i rozszedł się ohydny, zgnęły smród.

- *Chodźmy stąd... - sapnął Weyrach. - Odejdźmy...*

Odeszli. W dużym raczej pośpiechu. Bagienna woda strzykała spod stóp.

* * *

- *Napad na pobożce - oświadczył Tassilo de Tresckow - o ile miał miejsce, a Szarlej się nie myli, zdarzył się, wnosząc ze śladów, wczoraj w nocy lub dziś o świtaniu. Jeśli więc wyteżymy się nieco, możemy rabusiów dosięgnąć.*

- *A wiemy to - burknął Woldan z Osin - któredy pojechali? Z poręby trzy wiodą ścieżki. Jedna w kierunku bardzkiego goścince. Druga na południe, ku Kamiencowi. Trzecia na północ, na Frankenstein. Zanim ruszymy w posąg, warto by wiedzieć, w którym z tych trzech kierunków.*

- *Faktycznie - ocenił Notker von Weyrach, po czym chrząknął znacząco, spojrzawszy na Bukę, wzrokiem wskazał białowłosego magika, siedzącego opodal i przypatrującego się Samsonowi Miodkowi. - Faktycznie, warto by to wiedzieć. Nie chce być nachalny, ale może by tak, ot, dla przykładu, czarodziejstwa do tego celu użyć? Co, Buko?*

Magik słowa słyszał niezawodnie, ale nawet nie odwrócił głowy. Buko von Krossig zmell w zębach przekleństwo.

- *Panie Huonie von Sagar!*

- *Czego?*

- *Tropu szukamy! Może by pan tak pomógł?*

- *Nie - odrzekł magik lekceważąco. - Nie chce mi się.*

- *Nie chce wam się? Nie chce się? To po cóście, zarazą, z nami pojechali?*

- *Zeby powietrza swiezego zazyc. I gaudium sobie uczynic. Powietrza mam juz dosyc, gaudium* , okazuje sie, zadne, tedy najchetniej wracalbym juz do domu.

- Lup nam kolo nos przeszedl!

- A to, pozwólcie sobie powiedziec, *nihil ad me attinet* .

- Ja was z lupu utrzymuje i zywie!

- Wy? Doprawdy?

Buko poczerwienial z wscieklosci, ale nic nie powiedzial. Tassilo de Tresckow chrzaknal z cicha, pochylil sie nieznacznie w strone von Weyracha.

- Jak to z nim jest? - mruknal. - Z tym czarownikiem? On sluzyl w koncu Krossigowi, czy nie?

- Sluzyl - odmruknal Weyrach - ale starej Krossigowej. Ale o tym sza, nie gadaj nic. Temat delikatny...

- Czy to jest - półglosem spytal Reynevan stojacego obok Rymbabe - ów slynnny Huon von Sagar?

Paszko kiwnal glowa i otworzyl usta, niestety, Notker Weyrach uslyszal.

- Bardzo pan ciekawski, panie Hagenau - syknal, podchodzac. - A to nie przystoi. Nie przystoi to zadnemu z waszej cudacznej trójki. To przez was wszystkie te tarapaty. I pomocy z was tyle, co z kozla mleka.

- To - wyprostowal sie Reynevan - rychlo moze sie zmienic.

- He?

- Chcecie wiedziec, która droga pojechali ci, co obrabowali poborce? Wskaze wam.

Jesli zdziwienie raubritterów bylo wielkie, to na miny Szarleja i Samsona trudno bylo znalezc adekwatne okieslenie, nawet slowo „oslupialy” wydawalo sie za slabe. Ba, blysk zainteresowania pojawil sie nawet w oku Huona von Sagar. Albinos, który dotad na wszystkich - oprócz Samsona - patrzyl tak, jak gdyby byli przezroczyisci, teraz zaczal uwazniej sondowac Reynevana wzrokiem.

- Droge tutaj, na Porebe - wycedzil Buko von Krossig - wskazales nam pod grozba stryczka, Hagenau. A teraz pomozesz z ochoty? Skad ta zmiana?

- Moja rzecz.

Tybald Raabe. Nieladna córka Stietencrona. Z poderzniętymi gardlami. Na dnie, w mule. Czarni od raków, które ich oblażyły. Od pijawek. Wijących się wegorzy. I Bóg raczy wiedziec czego jeszcze.

- Moja rzecz - powtórzyl.

* * *

Nie musiał szukać długo. Sit, *juncus*, rósł na skraju wilgotnej laki całymi kępami. Dołożył obwieszona suchymi luszczynami lodyge swirzepy. Trzykrotnie przewiał ukłoniętym zdźblem turzycy.

Jedna, dwie, trzy

Segge, Binse, Hederich

Binde zu samene...

- Bardzo dobrze - odezwał się z uśmiechem siwowłosa mag. - Brawo, młodzieńcze. Ale czasu trochę zał, a ja chciałbym jak najszybciej wrócić do domu. Pozwól sobie, bez urazy, zdziebko pomóc. Zdziebko. Za grosik. Tyle by, jak mówi poeta, moc móg wzmóg.

Skinal swym kosturem, zatoczył nim szybki krag.

- *Yassar* ! - przemówił gardlowo. - *Qadir al-rah* !

Od sily zaklecia aż zadrzało powietrze, a jedna z wychodzących ze Sciborowej Poreby dróg zrobiła się jasniejsza, sympatyczniejsza, zapraszająca. Stało się to dużo szybciej niż przy użyciu samego tylko nawezu, natychmiast niemal, a emanująca z drogi poświata była znacznie silniejsza.

- Tedy - wskazał Reynevan przyglądającym się z otwartymi gębami raubritterom. - To ta droga.

- Szlak na Kamieniec - pierwszy ochłonał Notker Weyrach. - Dobra nasza. A i wasza też, panie von Sagar. Bo to ten sam kierunek, co dom, kiedy wam tak pilno. W konie, *comitiva* !

* * *

- Sa - zameldował wysłany na zwiad Hubercik, opanowując tanczącego konia. - Sa, panie Buko. Jada cugiem, wolno, gościncem w kierunku Barda. Luda ze dwudziestu, wśród nich ciężkozbrojni.

- Dwudziestu - powtórzył w jakimś skupieniu Woldan z Osin. - Hmmm...

- A czegoś się spodziewał? - spojrzał na niego Weyrach. - Kto, myślałeś, wyrzwał i potopił poborce z orszakiem, franciszkanów i patników nie licząc? He? Tomcio Paluch?

- Pieniadze? - spytał rzeczowo Buko.

- Jest kolebka - Hubercik podrapał się w ucho. - Skarbniczek...

- Dobra nasza. Tam wioza grosiwo. Dalej tedy na nich.

- A pewnie aby - odezwał się Szarlej - że to ci właściwi?

- Pan, panie Szarlej - Buko zmierzył go wzrokiem - jak coś powie... Rzekłbys mi pan lepiej, czy liczyć

na cie mozem. Na ciebie i twych kompanionów. Pomozecie?

- A miec z tej rekuperacji - Szarlej spojrzal na szczyty sosen - co bedziemy? Co powiecie na rowny udzial, panie von Krossig?

- Jeden na was trzech.

- Zgoda - demeryt sie nie targowal, ale pod spojrzzeniami Reynevana i Samsona dorzucil szybko:

- Ale bezoreznie.

Buko machnal reka, po czym odpial od siodla topór, potezne, szerokie ostrze na lekko wygietych stylisku. Reynevan zobaczyl, jak Notker Weyrach sprawdza, czy lancuchowy morgenstern dobrze obraca sie na trzonku.

- Posluchajcie, *comitiva* - rzekl Buko. - Choc to pewno wiekszoscia chmyzy, jest ich dwudziestu. Trzeba wiec z glowa. Zrobimy tak: stajanie stad, wiem to, droga przechodzi przez mostek na strudze...

* * *

Buko nie mylil sie. Droga faktycznie wiodla przez mostek, pod którym, w waskim, lecz glebokim jarze plynela ukryta w gaszczu olszyn struga, glosno szumiac na szypotach. Spiewaly wilgi, zajadle walil w pien dzieciol.

- Nie moze w to uwierzyc - powiedzial Reynevan, skryty za jalowcami. - Nie moze uwierzyc. Zostalem zbójca. Czekam w zasadzce...

- Badz cicho - mruknal Szarlej. - Jada.

Buko von Krossig splunal w garsec, ujal topór, zamknal zaslone armetu.

- Czuj duch - zaburczal jak z glebi garnka. - Hubercik? Gotowys?

- Gotowym, panie.

- Wszyscy wiedza, co robic? Hagenau?

- Wiem, wiem.

Wsród przeswitujacej zza jaworów jasnej brzeziny po przeciwnej stronie jaru zamigotaly kolory, zalsnily zbroje. Dolecial spiew. Spiewaja *Dum iuventus floruit*, rozpoznał Reynevan. Piesn do słów Piotra z Blois. Tez to spiewalismy w Pradze...

- Wesolo im, psu bratom - mruknal Tassilo de Tresckow.

- Tez sie wesele, gdy kogos zlupie - odburknal Buko. - Hubercik! Czuj duch! Rychtuj kusze!

Spiew ucichl, urwal sie nagle. Przy mostku pojawil sie pacholek w kapturze, dzierzacy sulice w poprzek siodla. Za nim wyjechalo trzech nastepnych, ci nosili kolczugi i zelazne opachy, na glowach mieli lebki, a

na plecach kusze. Wszyscy wolno wjechali na mostek. Za nimi zjawili się dwaj rycerze opancerzeni *cap a pied*, nawet z kopiami osadzonymi w uchwytach u strzemion. Jeden miał na tarczy czerwony stopień w polu srebrnym.

- Kauffung - mruknął znowu Tassilo. - Ki diabeł?

O most załomotyły podkute kopyta, wjechali na następni trzej rycerze. Za nimi, zaprzeczona w parze mierzynków, wjechała obita bordowym sukniem palubowata kolebka. Skarbniczek, eskortowany przez kolejnych kuszników w lebkach i kapalinach.

- Czekac - mrucał Buko. - Jeszcze... Niech kolebka ino zjedzie z mostu... Jeszcze... Teraz!

Szczeknęła cieciwa, zasyczał belt. Kon pod jednym z kopijników stanął deba, rzucił dziko, zwałił się, obalając zarazem jednego ze strzelców.

- Teraz! - ryknął Buko, podrywając konia. - Na nich! Bij!

Reyneván uderzył konia piętami, wydarł się z jałowców. Za nim skoczył Szarlej.

Przed mostem kotłowało się już, trwała walka - to na ariergarde orszaku uderzyli z prawa Rymbaba i Wittram, z lewa Weyrach i Woldan z Osin. Lasem niósł się wrzask, kwik koni, szczek, brzek, łomot zelaza o zelazo.

Buko von Krossig cieciem topora obalił wraz z koniem pacholka z sulica, uderzeniem na odlew rozwałił głowę usiłującemu napiąć kuszę kusznikowi. Przelatującego obok Reynevana obryzgały krew i mózg. Buko wykrecił się w kulbace, stanął w strzemionach, ciał potężnie, topór roztrzaskał naramiennik i niemal odrabiał bark rycerza ze stopniem Kauffungów na tarczy. Obok przemknął w pełnym cwałie Tassilo de Tresckow, szerokim ciosem miecza zwałając z konia giermka w brygantynie. Drogo zastawił mu pancerny w blekitno-białym lentnerze, ścielił się ze szczękiem stali.

Reyneván dopadł kolebki. Woznica z niedowierzaniem patrzył na sterzający mu z pachwiny wbity aż po lotki belt. Szarlej doskoczył z drugiej strony, mocnym pchnięciem stracił go z kozła.

- Wskakuj! - krzyknął. - I poganiaj konie!

- Uwważaj!

Szarlej nurknął pod konską szyję, gdyby spóźnił się z tym o sekundę, byłby nadziany na kopie, z którą szarżował z mostu rycerz w pełnej zbroi, z czarno-złotą szachownicą na tarczy. Rycerz staranował konia Szarleja, rzucił kopie, chwycił zawieszony na temblaku buzdycan, ale kropnac nim demeryta w ciemności już nie zdążył. Nadjeżdżający cwałem Notker Weyrach palnął go po saladzie morgensternem, aż się rozległo. Rycerz zachwiał się w siodle, Weyrach odwinał się i palnął go po raz drugi, w środek naplecznika, tak potężnie, że kolce żelaznej kuli wbiły się w blachę, uwieźły. Weyrach pusczył trzonek, dobył miecza.

- Poganiaj! - ryknął do Reynevana, który tymczasem wleź już na kozioł. - Jazda! Jazda!

Z mostu rozległ się dziki kwik, ogier w barwnym kropierzu strzaskał tam balustradę, razem z jeźdźcą runął do jaru. Reyneván krzyknął co mocy w płucach, chłaskał zaprzęg lejcami, mierzyny wyrwały do przodu, skarbniczek zakolebał się, podskoczył, z wewnątrz, spod szczelnej opony, dobiegł ku wielkiemu zdumieniu Reynevana przeraźliwy pisk. Nie było jednak czasu na dziwienie się. Konie szły galopem,

musiał niezle sie starac, by nie spasc z podskakujacej mu pod zadkiem deski. Wokól wciáz wrzał zaciety bój, rozlegal sie wrzask i szczek oreza.

Z prawej wyskoczył cwalem ciezkozbrojny bez helmu, schylił sie, usilujac chwycic za szory zaprzegu. Tassilo de Tresckow zajechal go i cial mieczem. Krew spryskala bok mierzynka.

- Pogaaaniaaaj!

Z lewej pojawil sie Samson, zbrojny tylko w leszczynowa witke, orez, jak sie pokazalo, calkiem adekwatny do sytuacji.

Zaciete po zadach mierzynki poszly w taki cwál, ze Reynevana wrecz wcisnelo w oparcie kozla. Skarbniczek, z wnetrza którego wciáz cos piszczalo, skakal i kolysal sie jak korab na sztormowej fali. Reynevan, prawde rzeklszy, nigdy w zyciu nie byl nad morzem, a korabie widywal wylacznie na obrazkach, nie watpil wszakoz, ze tak wlasnie, nie inaczej, musza one sie kolysac.

- Pogaaaniaaaaaj!

Na drodze pojawil sie Huon von Sagar na tanczacym karoszu, kosturem wskazal dukt, sam puscil sie wen galopem. Samson pomknal za nim, ciagnac za wodze konia Reynevana. Reynevan sciagnal lejce, krzyknal na zaprzeg.

Dukt byl wyboisty. Skarbniczek podskakiwal, kolebal sie i piszczal. Odglosy walki cichly za plecami.

* * *

- Nawet niezle poszlo - ocenil Buko von Krossig. - Calkiem niezle... Tylko dwóch giermków ubitych. Rzecz zwykla. Calkiem niezle. Jak na razie.

Notker von Weyrach nie odpowiedzial, dyszal tylko ciezko, obmacywal biodro. Spod taszki ciekla krew, cieniutka struzka pelzla w dól po nabiodrku. Obok dyszal Tassilo de Tresckow, ogladajac lewe ramie. Awanbrasu brakowalo, nalokcica wisiala na wpól oderwana, na jednym tylko skrzydle, ale reka wygladala na cala.

- A pan Hagenau - ciagnal Buko, na którym nie widac bylo zadnych powazniejszych uszkodzen. - Pan Hagenau pieknie powozil. Walnie sie spisal... O, Hubercik, caly jestes? Ha, widze, ze zyjesz. Gdzie Woldan, Rymbaba i Wittram?

- Juz nadjezdza.

Kuno Wittram sciagnal helm i mycke, wlosy pod nia mial skrecone i mokre. Blache naramiennika ciecie postawilo skrajem na sztorc, tarczka byla zupelnie zdeformowana.

- Pomózciez - zawolal, jak ryba lapiac powietrze. - Woldan ranion...

Zwlekli rannego z kulbaki, z trudem, wsród jeków i stekniec, sciagneli mu z glowy mocno wgiety, powykrzywiany i roznitowany hundsgugel.

- Chryste... - wystekal Woldan. - Alem dostal... Kuno, zobacz, mam jeszcze oko?

- Masz, masz - uspokoił go von Wittram. - Nie widzisz, bo ci jucha zalalo...

Reynevan uklakł, natychmiast zabrał się do opatrywania. Ktos mu pomagal. Uniósł głowę, napotkał szare oczy Huona von Sagar.

Stojący obok Rymbaba skrzywił się z bólu, obmacując duże wgniecenie na boku napiersnika.

- Zebro jak nic poszło - steknal. - Krwia, kurwa, plwam, patrzajcie.

- Kogo, kurwa, obchodzi, czym plwasz - Buko von Krossig sciagnął z głowy armet. - Gadaj lepiej: scigają nas?

- Nie... Troszkesmy ich poszczerbili...

- Beda scigac - rzekł z przekonaniem Buko. - Dalej, wybebeszmy kolebkę. Bierzmy pieniądze i jazda stad co rychlej.

Podszedł do wehikulu, szarpnął obite sukniem wiklinowe drzwiczki. Drzwiczki ustąpiły, ale tylko na cal, potem zamknęły się znowu. Było oczywiste, że ktos trzymał je od wewnątrz. Buko zaklął, szarpnął mocniej. Z wnętrza rozległ się pisk.

- Co to? - zdziwił się, krzywiąc, Rymbaba. - Piszczące pieniądze? A może kolektor podatek w myszach sciagał?

Buko gestem wezwał go na pomoc. We dwu targnieni drzwi z taką mocą, że urwały się całkiem, a wraz z nimi raubritterzy wywlekli ze środka osobę, która je trzymała.

Reynevan westchnął. I zamarł z otwartymi ustami.

Bo tym razem tożsamość wątpliwości budzić nie mogła najmniejszych.

Tymczasem Buko i Rymbaba rozpruli nożami oponę, wyciągnęli z wybitego futra wewnątrz skarbniczkę drugą dziewczynę, podobnie jak pierwsza jasnowłosa, podobnie potargana, odziana w podobną zieloną *cotehardie* z białymi rekawkami, może tylko nieco młodsza, niższa i pulchniejsza. To właśnie ta druga, pulchniejsza, miała skłonności do pisków, teraz, pchnięta przez Buko na trawę, zaczęła dodatkowo lkać. Pierwsza siedziała w ciszy, nadal sciskając drzwiczki kolebki i zaslaniając się nimi niczym paweż.

- Na kij świętego Dalmasta... - westchnął Kuno Wittram. - Co to ma być?

- Nie to, czegośmy chcieli - stwierdził rzeczowo Tassilo. - Racje miał pan Szarlej. Było najpierw się upewnić, potem napadać.

Buko von Krossig wylazł ze skarbniczki. Cisnął na ziemię jakieś wyniesione stamtąd ciuszki i laszki. Jego mina nadto wyraźnie mówiła o wynikach przeszukania. Każdego zaś, kto nie był pewien, czy i co Buko znalazł, seria sprośnych przekleństw winna była upewnić. Spodziewanych pięciuset grzywien w skarbniczku nie było.

Dziewczyny zbliżyły się do siebie i przytuliły w strachu. Wyższa obciagnęła *cotehardie* aż po kostki, spostrzegłszy, że Notker Weyrach łakomie przygląda się jej zgrabnym łydkom. Niższa pochlipywała.

Buko zgrzytnął zębami, sciskał rekojesc noża tak, że aż mu zbieleły kły. Mine miał wściekłą, niezawodnie bił się z myślami. Huon Sagar zauważył to natychmiast.

- Czas spojrzeć prawdzie w oczy - parsknął. - Pokpiłes, Buko. Wszyscy pokpiłicie. Najwyraźniej nie jest to wasz dzień. Radzę tedy udać się do domu. Prędko. Nim znowu nadarzy się wam okazja wygłupić.

Buko zaklął, tym razem zawtórował mu i Weyrach, i Rymbaba, i Wittram, i nawet Woldan z Osin spod opatrunku.

- Co z dziewczuchami? - Buko jakby teraz dopiero je dostrzegł. - Zarzynać?

- A może zerzynać? - Weyrach uśmiechnął się oblesnie. - Pan Huon ma trochę racji, istic kiepski nam wypadł dzionek. Może więc choć zakończyć go jakimś lubym akcentem? Weźmy dziewczki, znajdziemy jakiś stóg, coby było miękcej, i tam je obie zdupczym pospolu. Co wy na to?

Rymbaba i Wittram zarechotali, ale raczej niepewnie. Woldan z Osin zajechał spod zakrwawionego płótna. Huon von Sagar pokręcił głową.

Buko zrobił krok w stronę dziewcząt, te skuliły się i objęły ciasno. Młodsza zalkała.

Reynevan chwycił za rekaw Samsona, który już sposobił się interweniować.

- Nie wazcie się - powiedział.

- Co?

- Nie wazcie się jej tknąć. Bo oplakane może mieć to dla was skutki. To szlachcianka, i z nie było jakich. Katarzyna von Biberstein, córka Jana Bibersteina, pana na Stolzu.

- Jesteś pewien, Hagenau? - przerwał długą i ciężką ciszę Buko von Krossig. - Nie mylisz się?

- Nie myli się - Tassilo de Tresckow uniósł i pokazał wszystkim wydobyta ze skarbniczka sakwę z wyszytym herbem, czerwonym jelenim rogiem w polu złotym.

- Iście - przyznał Buko. - Bibersteinów znak. Która to?

- Ta wyższa, starsza.

- Ha! - raubritter wziął się pod bok. - Tedy i zakończymy dzień miłym akcentem. I powetujemy sobie strate. Hubercik, zwióz ja. I bierz na konia przed sobą.

- Wykrakalem - Huon von Sagar rozłożył ręce. - Jednak dał wam dzień nową okazję, by zrobić z siebie durniów. Nie po raz pierwszy, doprawdy, zastanawiam się, Buko, czy to u ciebie wrodzone, czy nabyte.

- Ty zaś - Buko, lekceważąc czarodzieja, stanął nad młodszą, która skurczyła się i zaczęła chlipać. - Ty, dziewczko, wytrzymaj nos i słuchaj uważnie. Siedź tu i czekaj na pociąg, za toba by może nie posłali, ale za Bibersteinówną przyjdzie niezawodnie. Panu na Stolzu przekazesz, że okup za jego córeczkę wynosił będzie... pięćset grzywien. Znaczy się, konkretnie pięćset kóp groszy praskich, dla Bibersteinów to drobnostka. Pan Jan będzie uwiadomiony o sposobie zapłaty. Pojelas? Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię! Pojelas?

Dziewczyna skurczyła się jeszcze bardziej, ale uniosła na Buka blekitne oczeta. I pokiwała głową.

- Czy ty - odezwał się poważnie Tassilo de Tresckow - naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

- Naprawdę. I dość mi o tym. Jedziem.

Obrócił się w stronę Szarleja, Reynevana i Samsona.

- Wy zaś...

- My - przerwał Reynevan - chcielibyśmy jechać z wami, panie Buko.

- Ze jak?

- Chcielibyśmy wam towarzyszyć - Reynevan, zapatrzonej na Nikolette, nie zważał ani na syknięcia Szarleja, ani na miny Samsona. - Dla bezpieczeństwa. Jeśli macie nic przeciw...

- Kto powiedział - rzekł Buko - że nie mam?

- Nie miej - powiedział dość znacząco Notker Weyrach. - Dlaczego masz miecz? Nie lepiej, wśród danych okoliczności, być z nami? Miałbyś za nami, za naszymi plecami? Chcieli, jak pamiętam, na Węgry, z nami im po drodze...

- Dobra - kiwnął głową Buko. - Jedźcie z nami. Na kon, *comitiva*. Hubercik, pilnuj dziewczynki... A pan, panie Huonie, czemu taka mina ma kwasna?

- Pomysł, Buko. Pomysł.

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym Reynevan, zamiast na Wagry, jedzie na zamek Bodak w Górach Złotostockich. Nie wie tego, ale wyjść stamtąd zdoła nie inaczej, jak *in omnem ventum*.

Jechali droga na Bardo, początkowo szybko, co i rusz oglądając się wstecz, rychło jednak zwolnili. Konie były pomeczone, a i kondycja jeźdźców, jak się pokazało, daleka od dobrej. W siodle garbił się i pojeżdżał nie tylko Woldan z Osin z twarzą silnie poranioną przez wgnieciony hełm. Obrażenia pozostałych, choć nie tak spektakularne, dawały się jednak wyraźnie we znaki. Stekał Notker Weyrach, przyciskał do brzucha łokieć i szukał wygodnej pozycji w kulbace Tassilo de Tresckow. Półgłosem wzywał świętych Kuno Wittram, skrzywiony jak po occie siedmiu złodziei. Paszko Rymbaba macał bok, klął, pluł na dłoń i oglądał płwocinę.

Z raubritterów jedynie po von Krossigu nie było nic widać, albo nie oberwał tak mocno jak inni, albo lepiej umiał znosić ból. Widać wreszcie, że wciąż musi zatrzymywać się i czekać na zostających w tyle kamratów, Buko zdecydował porzucić drogę i jechać lasami. Ukryci mogli jechać wolno - a bez ryzyka, że dojdzie ich pościg.

Nikoletta - Katarzyna Biberstein - nie wydała podczas jazdy najmniejszego dźwięku. Choć związane ręce i pozycja na leku Hubercika musiały dokuczać i ciążyć, dziewczyna nie jęknęła, nie uroniła słowa skargi. Patrzyła przed siebie apatycznie, widać było, że jest zupełnie zrezygnowana. Reynevan podjął kilka skrytych prób kontaktu, ale bez widocznego efektu - unikała jego wzroku, odwracała oczy, nie reagowała na gesty, nie zauważała ich - lub udawała, że nie zauważa. Tak było aż do przeprawy.

Przez Nyse przeprawili się na odwieczny, w niezbyt rozsądnie wybranym miejscu, pozornie tylko płytkim, prąd za to był znacznie silniejszy od spodziewanego. Wśród zametu, chlupotu, kłatw i rżenia koni Nikoletta zsunęła się z leku i byłaby skapała, gdyby nie czujnie trzymający się w pobliżu Reynevan.

- Odwagi - szepnął jej do ucha, unosząc i tuląc do siebie. - Odwagi, Nikoletto. Wyciągnę cię z tego...

Odnalazł jej małą i wąską dłoń, scisnął. Mocno odwzajemniła uścisk. Pachniała miętą i tatarakiem.

- Hej! - krzyknął Buko. - Ty! Hagenau! Zostaw ją! Hubercik!

Samson podjechał do Reynevana, wyjął mu Nikolette z ramion, uniósł jak piórko i posadził przed sobą.

- Ustalem ja wiec, panie! - uprzedził Buko Hubercik. - Niechaj waligóra mnie trochę zmieni!

Buko zaklął, ale machnął ręką. Reynevan przyglądał mu się z rosnącą nienawiścią. Nie bardzo wierzył w ludożercze potwory wodne, bytujące ponoć w odmetach Nysy w okolicach Barda, ale teraz wiele by dał, by jeden z takich potworów wynurzył się ze zmaconej rzeki i zezarł raubrittera razem z jego ryzogniadym ogierem.

- W jednym - rzekł półgłosem rozbryzgujący obok wody Szarlej - muszę oddać ci honor. W twojej kompanii nie można się nudzić.

- Szarleju... Winien ci jestem...

- Winien mi jesteś wiele, nie przeczę - demeryt sięgnął wodze. - Ale jeśli miałeś na myśli wyjaśnienia, to te sobie daruj. Poznałem ją. Na turnieju w Ziebicach gapiła się na nią jak ciele, później to ona nas ostrzegła, że na Stolicy beda na ciebie dybać. Zakładam, że masz u niej więcej długów wdzięczności. Czy już ci ktoś prorokował, że zgubią cię kobiety? Czy też ja będę pierwszy?

- Szarleju...

- Nie trudź się - przerwał demeryt. - Rozumiem. Dług wdzięczności plus afekt wielki, ergo znowu przyjdzie nadstawić karku, a Węgry wciąż dalej i dalej. Trudna rada. Proszę cię tylko o jedno: pomyśl, zanim zaczniesz czynić. Możesz mi to obiecać?

- Szarleju... Ja...

- Wiedziałem. Uważaj, milcz. Patrz na nas. I poganiaj konia, poganiaj! Bo cie nurt uniesie!

* * *

Pod wieczór dotarli do podnóża Reichensteinu, Gór Złotostockich, północno-zachodniego krańca granicznych pasm Rychlebów i Jesionika. W leżącej nad plynacą z gór rzeczka Bystra osadzie zamierzali popasać i posilić się, jednak tamtejsi chłopcy okazali się niegospinni - nie dali się ograbić. Zza broniącego wjazdu zasięku w stronę raubritterów sypnęły się strzały, a zaciete oblicza uzbrojonych w widły i oksze kmiściów nie zachęcały do wymuszania gościnności. Kto wie, do czego doszłoby w zwykłej sytuacji, teraz jednak szwank i zmczenie zrobiły swoje. Pierwszy obrócił konia Tassilo de Tresckow, za nim pospieszył zapalczywy zwykle Rymbaba, zawrócił, nawet nie rzuciwszy w stronę wsi słowem brzydkim, Notker von Weyrach.

- Chamy przeklecie - dogonił ich Buko Krossig. - Trzeba, jak czynił mój ojciec, przynajmniej raz na pięć lat burzyć im te budy, palić im to wszystko do gołej ziemi. Inaczej biesza się. Dostatek w głowach im przewraca. W pychę wbija.

Chmurzyło się. Od wsi niosło dymem. Szczekały psy.

* * *

- Przed nami Czarny Las - ostrzegł od czoła Buko. - Trzymać się w kupie! Z tyłu nie zostawiać! Na konie baczyć!

Ostrzeżenie zostało potraktowane poważnie. Bo też i Czarny Las, gęsty, mokry i zamglony kompleks buków, cisów, olch i grabów, bardzo poważnie się prezentował. Tak poważnie, że aż ciarki chodziły po plecach. Czuli się od razu drzemiące gdzieś tam w gąszczu zło.

Konie chrapały, rzucały łbami.

I jakos nie wzbudził sensacji zbieleły szkielet leżący przy samym skraju drogi.

Samson Miodek mruczał cicho.

Nel mezzo del cammin di nostra vit

mi ritrovai per una selva oscura

che la diritta via era smarrita...[\[25.\]](#)

- Chodzi za mną - wyjaśnił, widząc spojrzenie Reynevana - ten Dante.

- I wyjątkowo pasuje - wzdrygnął się Szarlej. - Miłutki laszek, szkoda gadać... Samemu tedy jechać... Po ciemku...

- Odradzam - rzekł, podjeżdżając, Huon von Sagar. - Stanowczo odradzam.

* * *

Jechali w góry, pod coraz to większą stromizną. Skonczył się Czarny Las, skonczyły bukowiny, pod kopytami zazgrzytał wapien i gnejs, zastukał bazalt. Na zboczach jarów wyrosły skalki o fantastycznych kształtach. Zapadał zmierzch, ciemniało szybko, a to przez chmury, kolejna czarna fala nadciągająca od północy.

Na wyraźny rozkaz Buki Hubercik przejął Nikolette od Samsona. Nadto Buko, jadący dotychczas na czele, zdal prowadzenie na Weyracha i de Tresckowa, sam trzymał się w pobliżu giernka i branki.

- Psiakrew... - mruknął Reynevan do jadącego obok Szarleja. - Przecież ja muszę ja uwolnić... A ten wyraźnie powziął podejrzenia... Strzeże jej, a nas cały czas obserwuje... Dlaczego?

- Może - odrzekł cicho Szarlej, a Reynevan z przerażeniem zorientował się, że to wcale nie jest Szarlej.
- Może przyjrzał się twojej twarzy? Bedaczej zwierciadłem tak uczuć, jak i zamiarów?

Reynevan zaklął pod nosem. Było już ciemnowo, ale nie tylko szarówkę winił za pomyłkę. Siwowłosy czarodziej ewidentnie użył magii.

- Wydasz mnie? - spytał wprost.

- Nie wydam - odrzekł po chwili magik. - Ale gdybyś chciał popełnić głupstwo, sam cię powstrzymam. Wiesz, że zdołam. Nie rób zatem głupstw. A na miejscu się zobaczy...

- Na jakim miejscu?

- Teraz moja kolej.

- Słucham?

- Kolej na moje pytanie. Cóż to, nie znasz reguł gry? Nie gralicie w to w uczelni? *Wquaestiones de quodlibet* ? Zapytales pierwszy. Kolej na mnie. Kim jest ten olbrzym, którego nazywacie Samsonem?

- Jest moim kompanem i druhem. Zreszta, czemu sam go nie zapytasz? Utaiwszy się pod magicznym kamuflażem.

- Próbowałem - przyznał bez skrepowania czarodziej. - Ale to cwik. Przejrzał kamuflaż z punktu. Skąd wycie go wytrzasnęli?

- Z klasztoru benedyktynów. Ale, jeśli to *quodlibet* , to teraz moja kolej. Co sławny Huon von Sagar robi w *comitvie* Buki von Krossig, śląskiego rycerza rabusia?

- Słyszales o mnie?

- Któż nie słyszał o Huonie von Sagar? I o Matavermis, potężnym zakleciu, które latem roku tysiąc czterysta dwunastego ocaliło od szaranczy pola nad Wezera.

- Nie było tej szaranczy aż tak znowu wiele - odrzekł skromnie Huon. - A co do twojego pytania...

Cóż, zapewniam sobie wikt, opierunek i byt na jakim takim poziomie. Kosztem, rzecz jasna, pewnych wyrzeczeń.

- Tyczących nieraz spraw sumienia?

- Reinmarze de Bielau - czarodziej zaskoczył Reynevana wiedzą. - Gra w pytania to nie dysputa o etyce. Ale odpowiem: nieraz tak, owszem. Sumienie jest jednak jak ciało: da się hartować. A każdy kij ma dwa konce. Zadowolonyś z odpowiedzi?

- Tak bardzo, że nie mam dalszych pytań.

- Tedy wygrana przy mnie - Huon von Sagar poderwał karosza. - A względem panny... Zachowaj zimną krew i nie rób głupstw. Powiadam, na miejscu się zobaczy. A już prawie jesteśmy na miejscu. Przed nami Czelusc. Bywaj więc, bo robota czeka.

* * *

Musieli się zatrzymać. Idąc kretą pod stromizną drogą częściowo ginęła w kamienistym piargu, powstałym na skutek osunięcia się zbocza, częściowo ucinana się i nikła w przepaści. Przepaść była wypełniona siwą mgłą, nie pozwalającą ocenić faktycznej głębokości. Po drugiej stronie migotały w szarówce światła, majaczyły zarysy budowli.

- Z siodeł - skomenderował Buko. - Panie Huonie, prosimy.

- Trzymajcie konie - mag stanął na skraju urwiska, uniósł swój koslawy kij. - Trzymajcie je solidnie.

Machnął kosturą, krzyknął zaklęcie, ponownie, jak na Sciborowej Porebie, brzmiące z arabską, lecz znacznie dłuższe, zawile i skomplikowane - również w intonacji. Konie zachrapały, cofnęły się, tupiąc mocno.

Powiało zimnem, raptownie, zniemacka spadł na nich lodowaty chłód. Mróz zakłul w policzki, zatrzeszczał w nosach, zalaźwił oczy, sucho i bolesnie wdarł się z oddechem do krtani. Temperatura spadała gwałtownie, byli jakby wewnątrz sfery, która, zdawałoby się, zasysa całe zimno świata.

- Trzymajcie... konie... - Buko zasłonił twarz rekawem. Woldan z Osin zajęczał, trzymając się za obandażowaną głowę. Reynevan czuł, jak grabieja mu i traca czucie palce zacisnięte na rzemieniu wodzy.

Ściągane przez czarodzieja całe zimno świata, do tej pory tylko wyczuwalne, naraz zrobiło się widoczne, przybrało postać klebiacej się nad przepaścią białej poswiaty. Poswiaty najpierw zaskrzyła się śnieżynkami, potem zbieleła oslepiająco. Rozległ się przeciągły, narastający trzask, chrupiące *crescendo*, osiagające kulminację w szklanym i jekliwym jak dzwon akordzie.

- Ja cie... - zaczął Rymbaba. I nie dokończył.

Nad przepaścią leżał most. Most z lodu, skrzacego się i polyskującego jak brylant.

- Dalej - Huon von Sagar mocno chwycił konia za wodze przy munsztuku. - Przechodzimy.

- A zdzierzy toto? Nie peknie?

- Z czasem peknie - wzruszył ramionami mag. - To rzecz bardzo nietrwala. Kazda chwila zwloki zwielsza ryzyko.

Notker Weyrach nie zadawal dalszych pytan, spiesznie pociagnal konia za Huonem. Za nim wszedl na most Kuno Wittram, nastepny ruszyl Rymbaba. Podkowy dzwoniły na lodzie, toczylo sie szklane echo.

Widzac, ze Hubercik nie moze sobie poradzić z koniem i Katarzyna Biberstein, Reynevan pospieszyl z pomocą, ale ubiegl go Samson, biorac dziewczynę na rece. Buko Krossig trzymal sie blisko, wzrok mial baczny, a dlon na rekojesci. Czuje pismo nosem, pomyslal Reynevan. Podejrzewa nas.

Emanujacy zimnem most podzwanił pod uderzeniami kopyt. Nikoletta spojrzala dól i jeknela cicho. Reynevan tez spojrzal i przelknal slinę. Przez lodowy kryształ widac bylo zalegajaca dno jaru mgle i wystajace z niej szczyty swierków.

- Szybciej! - ponaglil od czola Huon von Sagar. Jakby wiedzial.

Most zatrzeszczal, w oczach zaczal bielec, tracic przejrzystosc. W wielu miejscach pobiegly dlugie linie pekniec.

- Zywiej, zywiej, zaraza - ponaglil Reynevana prowadzacy Woldana Tassilo de Tresckow. Chrapaly ciagniete przez zamykajacego pochód Szarleja konie. Zwierzeta robily sie coraz bardziej niespokojne, boczily sie, tupaly. A z kazdym tupnieniem na moscie przybywalo pekniec i rys. Konstrukcja trzeszczala i jeczala. Polecialy w dól pierwsze odkruszone odlamki.

Reynevan odwazyl sie wreszcie spojrzec pod nogi, z nieopisana ulga zobaczyl kamienie, skalne zlomy, widoczne skros lodowej bryly. Byl po drugiej stronie. Wszyscy byli po drugiej stronie.

Most zachrupal, zatrzeszczal i pekl z hukiem i szklanym jekiem, rozsypal sie w milion lśniacych fragmentów, lecacych w dól i bezglosnie zapadajacych sie w mglista otchlan. Reynevan westchnal glosno - w chórze innych westchniec.

- On tak zawsze - powiedzial półglosem stojacy obok Hubercik. - Pan Huon, znaczy. Ino tak gada. Strachu nie bylo zadnego, most zdierzy, runie zawzdy po tym, jak przejdzie ostatni. Ilu by nie przechodzilo. Pan Huon ino szucic lubi.

Szarlej krótkim slowem podsumowal i Huona, i jego poczucie humoru. Reynevan obejrzal sie. Zobaczyl zebaty, zwienczony krenelazem mur. Brame, nad nia czworokatna czatownie. I wznoszaca sie nad tym wszystkim wieze.

- Zamek Bodak - wyjasnil Hubercik. - Doma my sa.

- Troche kłopotliwe macie dojście do domu - zauwazyl Szarlej. - Co robicie, gdy magia zawiedzie? Nocujecie na dworze?

- Gdziezby tam. Jest wtóra droga, od Klodzka, o, tamój biegnie. Ale tamtedy dalej, ho, ho, do północks by nam chyba jechac przyszlo...

Gdy Szarlej zagadywal giermka, Reynevan wymienil spojrzenia z Nikoletta. Dziewczyna miala wzrok sploszony, jak gdyby dopiero teraz, na widok zamku, zdala sobie sprawe z powagi sytuacji. Po raz pierwszy, jak sie wydawalo, przyniósł jej ulge i pocieszenie wzrokowy sygnal Reynevana. Mówiaci: Nie

lekaj sie. I trzymaj. Wydobede cie stad, przysiegam.

Zazgrzytala otwierana brama. Za nia byl nieduzy podwórzec. Kilku pacholków, których Buko von Krossig na dzien dobry sklal, ze zwlekali, i pogonil do roboty, kazac zajac sie konmi, zbrojami, laznia, jadlem i napitkiem. Wszystkim na raz i wszystkim natychmiast, zywo, na jednej nodze.

- Witam - powiedzial raubritter - na moim*patrimonium* , panowie. Na zamku Bodak.

* * *

Formoza von Krossig musiala byc niegdys piekna kobieta. Jak wiekszosc bowiem urodziwych niewiast zmienila sie, gdy przeszly lata mlode, w bardzo paskudnego babsztyla. Przyrównywana zapewne niegdys do mlodej brzozy sylwetka dzis kojarzyla sie raczej ze stara miotla. Cera, która zapewne niegdys komplementujace porównywano do brzoskwini, stala sie sucha i plamista, opinala sie na kosci jak na szewskim kopycie, przez co okazaly raczej nos, niegdys zapewne komplementowany jako seksowny, zrobil sie okropnie wiedznowaty - z powodu duzo krótszych i duzo mniej zakrzywionych nosów zwyklo sie bylo na Slasku plawic baby w rzekach i stawach.

Jak wiekszosc niegdys urodziwych niewiast, Formoza von Krossig z uporem nie zauwazala owego „niegdys”, nie przyjmowala do wiadomosci faktu, ze bezpowrotnie przeminela wiosna wieku. I ze zima nadciaga. Widac to bylo zwlaszcza po sposobie, w jaki Formoza sie odziewala. Caly jej strój, od jadownicie różowych cizemek po fikusny toczek, delikatna biala podwiczka, muslinowycouvrechef , obcisla suknia w kolorze jasnego indyga, wysadzany perlami pasek, szkarlatny brokatowysurcote - wszystko to przystawalo raczej dzierlatce.

Do tego, gdy przyszlo jej spotykac sie z mezczyznami, Formoza von Krossig instynktownie robila sie uwodzicielska. Efekt byl przerazajacy.

- Gosc w dom, Bóg w dom - Formoza von Krossig usmiechnela sie do Szarleja i Notkera Weyracha, demonstrujac mocno pozólkle uzebiecie. - Witam panów na moim zamku. Nareszcie jestes, Huonie. Bardzo, bardzo za toba tesknilam.

Z kilku zaslyszanych podczas podrózy słów i zdan Reynevan zdolal poskladac jaki taki obraz sytuacji. Rzecz jasna, niezbyt precyzyjny. I niezbyt szczególowy. Nie mógł, przykladowo, wiedziec, ze zamek Bodak Formoza von Pannewitz wniosla w wianie, wychodzac z milosci za Ottona von Krossig, podupadlego, acz dumnego potomka frankonskich ministerialów. I ze Buko, syn jej i Ottona, zwac zamek swympatrimonium , znacznie mijal sie z prawda. Nazwamatrimonium bylaby wlasciwsza, choc przedwczesna. Po smierci meza Formoza nie stracila substancji i dachu dzieki rodzinie, moznym na Slasku Pannewitzom. I popierana przez Pannewitzów byla faktyczna i dozywotnia pania zamku.

O tym, co Formoze laczylo z Huonem von Sagar, Reynevan również zaslyszal podczas podrózy to i owo - wystarczajaco wiele, by orientowac sie w sytuacji. O wiele jednak, rzecz jasna, za malo, by wiedziec, ze scigany i szczuty przez magdeburska arcybiskupia Inkwizycje czarodziej zbiegl na Slask, do krewnych - Sagarowie mieli pod Krosnem nadania jeszcze od Bolesława Rogatki. Potem jakos tak wyszlo, ze Huon poznal Formoze, wdowe po Ottonie von Krossig, faktyczna i dozywotnia pania na zamku Bodak. Czarodziej wpadl Formozie w oko. I na zamku odtad zamieszkiwal.

- Bardzo tesknilam - powtórzyla Formoza, wstajac na czubki różowych cizemek i calujac czarodzieja w policzek. - Przebierz sie, mój drogi. A panów zapraszam, zapraszam...

Na zajmujący środek hall i wielki debowy stół spoglądał z nadkomina herbowy dzik Krossigów, sasiadujący na okopconej i obrosłej pajęczynie heraldycznej tarczy z czymś, co trudno było zidentyfikować. Ściany obwieszane były skórą i bronią, nic z tego nie wyglądało na nadające się do użytku. Jedną ze ścian zajmował tkaniny w Arras flamandzki gobelin, przedstawiający Abrahama, Izaaka i uwikłanego w krzakach barana.

Comitiva w poznaczonych odciskami zbroi aketonach rozsiadła się za stołem. Nastrój, z początku raczej ponury, poprawił nieco wjeżdżający na stół antalek. A popsula go znowu wracająca z kuchni Formoza.

- Czy ja dobrze słyszę? - spytała groźnie, wskazując Nikolette. - Buko! Porwales córkę pana na Stolzu?

- Mówilem skurwemu synowi - zaburczal Buko do Weyracha - coby nic nie gadał... Kuglarz pieprzony, żeby zamkniętej ni pół pacierza nie utrzyma... Khmmm... Właśnie chciałem wam, pani matko, rzec. I wyłożyć wszystko. Wyszło owóz tak...

- Jak wam wyszło, to ja wiem - przerwała Formoza, najwyraźniej dobrze poinformowana. - Ofermy wy! Tydzień zmarnowali, a lup im ktoś sprzed nosa... Młodziakom się nie dziwie, ale że pan, panie von Weyrach... Maz dojrzały, stateczny...

Uśmiechnęła się do Notkera, ten spuścił oczy i zaklął bezgłośnie. Buko chciał zakląć głośno, ale Formoza pogroziła mu palcem.

- I porwie - kontynuowała - na koniec taki głupiec córkę Jana Bibersteina. Buko! Czyś ty ze szcetem rozumu zbył?

- Dalibyscie, pani matko, wpiérw jesc - rzekł gniewnie raubritter. - Siedzim tu za stołem jak na tryźnie, głodni, spragnieni, aż wstyd przed gośćmi. Od kiedy to u Krossigów takie obyczaje? Jesc dajcie, a o interesach potem pogadamy.

- Jadło się szykuje, wnet podadza. I napitek już niosa. Obyczajów mnie nie ucz. Wybaczcie, rycerze. A was, mści panie, nie znam... Ani ciebie, wdąły młodziencze...

- Ów Szarlejem kaze się zwac - przypomniał sobie o obowiązkach Buko. - A ten chlystek to Reinmar von Hagenau.

- Ach. Potomek jaki sławnego poety?

- Nie.

Wrócił Huon von Sagar, przeodziały w luzna *houppelande* z wielkim futrzanym kołnierzem. Z miejsca też okazało się, kto cieszy się największym faworem pani zamku. Huon natychmiast dostał piezzonego kurczaka, faskę pierogów i puchar wina, a usłużyła mu sama Formoza. Czarodziej bez skrepowania zaczął jesc, wyniosłe lekceważąc wygłodniałe spojrzenia reszty kompanii. Na szczęście, reszta też nie czekała długo. Na stół, ku ogólnej radości, wjechała, poprzedzana falą rozkosznego aromatu, miCHA wieprzowiny duszonej z rodzynkami. Za nią wniesiono drugą, kopiastrą od baraniny z szafranem, potem trzecią, pełną potrawki z różnej dziczyzny, za tym wszystkim podażyły garnki z kaszą. Nie mniejszą radością powitano też kilka wniesionych stągwi, zawierających - co natychmiast stwierdzono - miód dwójniak i wino węgierskie.

Kompania wzięła się za jedzenie w dostojnym milczeniu, przerywanym tylko chrzestem zębów i wznoszonymi od czasu do czasu toastami. Reynevan jadł ostrożnie i z umiarem - przygody ostatniego miesiąca nauczyły go już, jak przykre skutki ma obżarstwo po długiej głodówce. Miał nadzieję, że na Bodaku nie zwykło się zapominać o sługach i Samson nie jest skazany na post.

Trwało to czas jakiś. Wreszcie Buko von Krossig popuścił pasa i beknął.

- Teraz - powiedziała Formoza, słusznie mniemając, że był to sygnał kończący pierwsze danie - może i czas, by o interesach pogawędzić. Choc zdaje mi się, że ni o czym tu gadac. Marny to bowiem interes, Bibersteinowa córka.

- Interesy, pani matko - rzekł Buko, któremu wypity węgryz zauważalnie dodał rezonu - to rzecz moja, z całym szacunkiem. To ja na przemyśl chadzam, ja dobro do zamku znoszę. Mój trud tu wszystkich karmi, poi i odziewa. Ja życie w hazard stawie, przyjdzie na mnie kiedy z woli Bożej kryśka, obaczycie, jak się wam chudo robi. Nie wydziwiającie tedy!

- Patrzcie tylko - Formoza wzięła się pod boki, odwróciła do raubritterów. - Patrzcie tylko, jak się nadyma, ten mój najmłodszy. On mnie karmi i odziewa, dalebóg, że śmiechu pekne. Ładnie bym wyglądała, tylko na niego licząc. Szczęściem jest tu na Bodaku loszek głęboki, w nim kufry, w kufrach zaś to, co tam położył twój rodzic, smyku, i twoi bracia, świec Panie nad ich duszami. Oni umieli łup znosić w dom, oni kpow z siebie robić nie dali. Córki wielmożom nie porywali jak głupcy... Oni wiedzieli, co czynia...

- Ja też wiem, co robie! Pan na Stolzu okup zapłaci...

- Akurat! - uciela Formoza. - Biberstein? Zapłaci? Glupis! On na córeczce krzyżyk położy, a ciebie dopadnie, zemście wyrwie. Zdarzyło się już coś podobnego na Luzycach, wiedziałbys o tym, gdybys miał uszy do słuchania. Pamiętałbys, co spotkało Wolfa Schlittera, gdy podobna sztuka zadął z Frydrychem Bibersteinem, panem na Zarach. Jaka mu pan na Zarach moneta odplacił.

- Słyszałem o tym - potwierdził obojętnie Huon von Sagar. - Bo też i sprawa znana była szeroko. Ludzie Bibersteina dopadli Wolfa, skłuli oszczepami jak zwierze, wykastrowali, wypruli kiszki. Popularne było potem na Luzycach powiedzonko: nosił Wolf razy kilka, aż trafił na Róg Jeleni, poznał, jak ów bodzie...

- Pan, panie von Sagar - uciął niecierpliwie Buko - żadna to dla mnie nowina, o wszystkim słyszał, wszystko wie, wszystko umie. Może więc, miast snuć wspominki, pokaze nam swa medyczna sztuka? Pan Woldan z bólu jeczy, Paszko Rymbaba krwia odpluwa, wszystkich kosi lamia, może więc, miast się mądrzyć, jakiej driakwi nam nagotowi? Od czego we wieży ma warsztat, he? By jeno diabła wywoływać?

- Bacz, do kogo mówisz! - uniosła się Formoza, ale czarodziej uciszył ją gestem.

- Cierpiącym, w samej rzeczy, godzi się ulżyć - powiedział, wstając zza stołu. - Czy pan Reinmar Hagenau zechce mi pomóc?

- Oczywiście - Reynevan wstał również. - Oczywiście rzecz, panie von Sagar.

Wyszli obaj.

- Oba czarowniki - zaburczal w ślad za nimi Buko. - Stary i młody. Czarcie nasienie...

* * *

Pracownia czarodzieja znajdowała się na najwyższej - i zdecydowanie najzimniejszej - kondygnacji wieży, z okien, gdyby nie to, że zapadł już zmrok, widac byłoby pewnie duży kawał Kotliny Klodzkiej. Jak ocenił fachowym okiem Reynevan, pracownia była wyposażona nowoczesnie. W przeciwieństwie do magów i alchemików starszej daty, z upodobaniem zamieniających swe warsztaty w pełne wszelakiego smiecia rupieciarnie, czarodzieje nowoczesni przedkładali laboratoria urządzone i wyposażone spartansko - tylko w to, co konieczne. Oprócz korzyści w postaci ładu i estetyki, taki wystrój miał i te zalety, że ułatwiał ucieczkę. Zagrożeń przez Inkwizycję nowoczesni alchemicy przyskali według zasady *omnia mea mecum porto*, nie oglądając się na porzucane bez zalu ruchomości. Magowie szkoły tradycyjnej do ostatka bronili swych wypchanych krokodyli, zasuszonych ryb pil, homunkulusów, zmij w spirytusie, bezoarów i mandragor - i kończyli na stosie.

Huon von Sagar wyciągnął ze skrzyni opleciony słomą gasiorek, napełnił dwa puchary rubinowym płynem. Zapachniało miodem i wisniami, niezawodnie był to więc kirsztrank.

- Siadaj - wskazał krzesło - Reinmarze von Bielau. Napijemy się. Do roboty nie mamy nic. Gotowych kamforowych maszczy na stłuczenia mam duży zapas, są to, jak się domyślasz, leki bardzo na Bodaku chodliwe, lepiej idzie chyba tylko wywar leczący kaca. Zaprosiłem cię tu, bo chciałem pogadać.

Reynevan rozejrzał się. Podobało mu się alchemiczne instrumentarium Huona, cieszące oko czystością i porządkiem. Podobały mu się alembik i atanor, podobały równiutko ustawione i opatrzone porzadnymi etykietami flakony filtrów i eliksirów. Ale najbardziej zachwycał go księgozbiór.

Na pulpicie, otwarty, widac czytany, spoczywał - Reynevan z miejsca poznał, miał w Olesnicy taki sam egzemplarz - *Necronomicon* Abdula Alhazreda. [26.] Obok, na stole, piętrzyły się inne znane mu grymuary czarnoksięskie - *Grand Grimoire*, *Statuty papieża Honoriusza*, *Clavicula Salomonis*, *Liber Yag-Sothothis* [27.], *Lemegeton*, a także *Picatrix*, znajomością którego chwalił się nie tak dawno Szarlej. Były i inne znane mu traktaty medyczne i filozoficzne: *Ars parva* Galena, *Canon medicinae* Avicenny, *Liber medicinalis ad Almansorum* Razesa, *Ekrabaddin* Sabura ben Sahla, *Anathomia* Mondina da Luzzi, *Zohar* kabalistów, *De principiis* Orygenesy, *Wyznania* świętego Augustyna, *Summa* ... Tomasza z Akwinu.

Były tam, ma się rozumieć, i opera magna wiedzy alchemicznej: *Liber lucis Mercuriorum* Rajmunda Lulla, *The mirrour of alchimie* Rogera Bacona, *Heptameron* Piotra di Abano, *Le livre des figures hieroglyphiques* Nicolasa Flamela, *Azoth* Basiliusa Valentinusa, *Liber de secretis naturae* Arnolda de Villanovy. Były i prawdziwe białe kruki: *Grimorium verum*, *De vermibus mysteriis* [28.], *Theosophia pneumatica*, *Liber Lunae* - a nawet osławiony *Czerwony Smok*.

- Zaszczycony jestem - upił nieco kirsztranku - tym, że rozmowy ze mną zapragnął sławny Huon von Sagar. Którego wszędzie bym się spodziewał, ale nie...

- Ale nie na raubritterskim zamku - dokończył Huon. - Cóż, tak sprawiły fata. Na które zresztą wcale nie narzekam. Mam tu to, co lubię. Cisza tu, spokój, odludzie, Inkwizycja już pewnie o mnie zapomniała, zapomniał też pewnie wielebny Gunter von Schwarzburg, arcybiskup magdeburski, niegdyś strasznie na mnie zawzięty, twardo zdecydowany odwdziżyć mi się stołem za ocalenie kraju od szaranczy. Mam tu, jak widzisz, pracownie, trochę eksperymentuje, trochę pisze... Czasem, dla świeżego powietrza i

rekreacji, wyjade z Bukiem na rozbójniczy przemysł. W sumie...

Czarodziej westchnął ciężko.

- W sumie życie można. Tylko...

Reynevan grzecznie pohamował ciekawość, ale Huon von Sagar najwyraźniej był w nastroju do zwierzeń.

- Formoza - skrzywił usta - jaka jest, sam widziałeś: *exsiccatum est faenum, cecidit flos* .[29.] Roków pięćdziesiąt i pięć stuknęło babie, a ta, miast słabować, kwecac i na księcia obore patrzec, ciągiem wola, kobyła stara, by ją chędożyć, w kółko, rano, wieczór, we dnie, w nocy, na coraz to wymyślniejsze sposoby. Zoladek sobie, psia mac, i nerki niszcze afrodyzjakami. Ale mus mi starce wygadzać. Nie wykaze się w lożnicy, strace łaski, a wówczas Buko mnie stad wysiuda.

Reynevan nie skomentował i tym razem. Czarodziej przypatrywał mu się bystro.

- Buko Krossig - podjął - ma, póki co, przede mną mores, ale byłoby nierozsądnym nie docenić go. To cap, owszem, ale w swych złych skłonnościach tak nieraz przedsiębiorczy i pomysłowy, że aż skóra cierpnie. Teraz, w aferze z Bibersteinówną, również czymś zablysnie, jestem o tym przekonany. Dlatego postanowiłem ci pomóc.

- Wy, mnie? Dlaczego?

- Dlaczego, dlaczego. Bo nie w smak mi, by Jan Biberstein rozpoczął tu obleżenie, a Inkwizycja odgrzebała moje nazwisko w archiwach. Bo o twoim bracie, Piotrze z Bielawy, słyszałem same dobre opinie. Bo nie podobały mi się nietoperze, które ktoś poszczuł na ciebie i na twych kompanów w Cysterskim Borze. Tandem dlatego, że Toledo *alma mater nostra est* , nie chce, byś źle skończył, konfratrze mój w arkanach. A źle skończyć możesz. Z Bibersteinówną coś ci łączy, nie ukryjesz tego, nie wiem, afekt dawny czy od pierwszego wejrzenia, ale wiem, że *amantes amantes* .[30.] W drodze o włos byłeś od tego, by ją porwać na siodło i pójść w galop, zginelibyście wówczas obydwój w Czarnym Lesie. Teraz też, gdy sprawy się skomplikują, gotowyś chwycić ją w pól i skoczyć z murów. Bardzo się pomyliłem?

- Nie bardzo.

- Mówiłem - czarodziej uśmiechnął się kącikiem ust. - *Amantes amantes* . Tak, tak, życie to prawdziwy Narrenturm. Czy wiesz, nawiasem, co dzisiaj za dzień? A raczej: co za noc?

- Nie bardzo. Trochę pomieszały mi się daty...

- O daty mniejsza, kalendarze myła. Ważniejsze, że dziś wypada równonoc jesienna. *Aequinoctium autumnalis* .

Wstał, wyciągnął spod stołu rzeźbioną debową ławkę długości mniej więcej dwóch lokci, nieco ponad lokciec wysoka. Ustawił ją obok drzwi. Z komody wydobyl gliniany, zawiązany cieleca skóra, opatrzony etykieta gamek.

- W tym naczyniu - wskazał - przechowuje dość specjalną masę. Sporządzona według klasycznych receptur miszkulancje. *Recipe* , jak widzisz, zapisałem na karteluszu. *Solanum dulcamara* , *solanum niger* , akonitum, pieciornik, liście topoli, krew nietoperza, cykuta, mak czerwony, portulaka, dziki

seler... Jedyne, co zmieniłem, to tłuszcz. Zalecane przez *Grimorium Verum* sadło wytopione z nie ochrzczonego dziecięcia zastąpiłem olejem słonecznikowym. Tanszy i trwalszy.

- Czy to jest... - Reynevan przelknął sline. - Czy to jest to, co myślę?

- Drzwi pracowni - czarodziej jakby nie dosłyszał pytania - nie zamykam nigdy, w oknie, jak widzisz, nie ma krat. Masek stawiam tu, na stole. Jak się aplikuje, zapewne wiesz. Radzę aplikować oszczędnie, powoduje skutki uboczne.

- A czy to w ogóle jest... bezpieczne?

- Nic nie jest bezpieczne - Huon von Sagar wzruszył ramionami. - Nic. Wszystko jest teoria. A jak mawia jeden z moich znajomych: *Grau, teurer Freund, ist alle Theorie* .[\[31.\]](#)

- Ale ja...

- Reinmarze - przerwał zimno magik. - Miejże wzgląd. Powiedziałem i pokazałem ci dość, by być podejrzanym o współnictwo. Nie zadaj więcej. No, czas na nas. Weźmiemy kamforowe *unquentum* , by wysmarować bolączki naszych poobijanych rozbójników. Weźmiemy też wyciąg *z papaver somniferum* ... Ból usmierza i usypia... Sen zaś leczy i koi, a nadto, jak mawiają: *qui dormit non peccat* , kto śpi, nie grzeszy. I nie przeszkadza... Pomóż mi, Reinmarze.

Reynevan wstał, nieostrożnie potracił przy tym stosik ksiąg, chwycił je szybko, ocalając przed upadkiem. Poprawił księgę leżącą na wierzchu, która przydluga tytułowa inskrypcja identyfikowała jako *Bernardi Siluestri libri duo; quibus tituli Megacosmos et Microcosmos* ..., dalej czytać się Reynevanowi nie chciało, jego wzrok przykuł drugi inkunabul, ten leżący pod spodem, wyrazy, z których składał się tytuł. Nagle zdał sobie sprawę, że już widział te wyrazy. A raczej ich fragmenty.

Dość gwałtownie odsunął na bok Bernarda Silvestra. i westchnął.

DOCTOR EVANGELICUS

SUPER OMNES EVANGELISTAS

JOANNES WICLEPH ANGLICUS

DE BLASPHEMIA DE APOSTASIA

DE SYMONIA

DE POTESTATE PAPAE

DE COMPOSITIONE HOMINIS

Anglicus, nie*basilicus* , pomyślał. *Symonia* , nie*sanctimonia* . *Papae* , nie*papillae* . Nadpalona karta z Powojowic. Rekopis, który Peterlin chciał spalić. To był Jan Wiclef.

- Wiklef - bezwiednie glosno powtórzył mysl. - Wiklef, który sklamie i prawde powie. Spalony, z grobu wyrzucony...

- Slucham? - Huon von Sagar odwrócił sie z dwoma slojami w rekach. - Kogóz to wyrzucili z grobu?

- Nie wyrzucili - Reynevan myslami wciaz byl gdzie indziej. - Dopiero wyrzuca. Tak mówiła wieszczba. John Wycliffe, *doctor euangelicus*. Klamca, bo kacierz, ale w goliardzkiej piesni ten, który prawde powie. Pochowany w Lutterworth, w Anglii. Jego resztki beda wykopane i spalone, popioły wrzucone do rzeki Avon poplyna do mórz. Stanie sie to za trzy lata.

- Interesujace - rzekl powaznie Huon. - A inne proroctwa? Losy Europy? Swiata? Chrzescijanstwa?

- Przykro mi. Tylko Wiklef.

- Kiepsciuchno. Ale lepszy rydz niz nic. Wypieprza, powiadasz, Wiklefa z mogily? Za trzy lata? Zobaczymy, czy da sie te wiedze jakos wykorzystac... A ty, jesli my juz przy tym, czemu sie tak Wiklefem... Ach... Przepraszam. Nie powinienem. W dzisiejszych czasach nie zadaje sie takich pytan. Wiklef, Waldhausen, Hus, Hieronim, Joachim... Niebezpieczne to lektury, niebezpieczne poglady, niejeden juz przez to zycie stracil...

Niejeden, pomyslal Reynevan. Faktycznie, niejeden. Ech, Peterlin, Peterlin.

- Wez naczynie. I chodzmy.

* * *

Towarzystwo za stołem podochocilo sobie juz tymczasem niezle, na jedynych trzezwych wygladali Buko von Krossig i Szarlej. Kontynuowano obzarstwo, z kuchni przyniesiono bowiem danie drugie - kielbase z dzika w piwie, serwolatke, kiszke westfalska i duzo chleba.

Huon von Sagar namascil siniaki i stluczenia, Reynevan zmienil opatrunek Woldanowi z Osin. Odwinieta z bandaza spuchnieta geba Woldana wzbudzila ogólna i halasliwa wesolosc. Sam Woldan bardziej niz rana przejmowal sie helmem z hundsguglem, którego zapomniano w lesie, a który kosztowal jakoby cale cztery grzywny. Na uwagi, ze helm byl zniszczony, replikowal, ze dalby sie wyklepac.

Woldan byl tez jedynym, który wypil makowy eliksir. Buko, skosztowawszy, wylal dekokt na pokryta sloma posadzke i zbesztal Huona za „gorzkie gówno”, reszta poszla za jego przykladem. Plan zmorzenia raubritterów snem spelzl tedy na niczym.

Wegrzyna i dwójniaka nie pozalowala sobie tez Formoza von Krossig, znac to bylo tak z pokrasnialych policzków, jak i z nieskladnej juz krzyne wymowy. Gdy Reynevan i Huon wrócili, Formoza przestala slac uwodzicielskie spojrzzenia w strone Weyracha i Szarleja, zajela sie natomiast Nikoletta, która, zjadlszy nieco, siedziala z opuszczona glowa.

- Calkiem cos ona - orzekla, taksujac dziewczynne wzrokiem - nie jak Bibersteinówna. Niepodobna. Kibic cienka, zadek maly, a odkad sie Bibersteinowie z Pogorzelami skoligacili, córki u nich zwykle bardziej sa dupiaste. Po Pogorzelkach nosy tez w spadku wzily perkate, a ta tu ma nos prosty. Wysoka jest, prawda, jak bywaja Sedkowicówny, a Sedkowice tez z Bibersteinami spiknieci. Ale Sedkowicówny czarne oczy miewaja, ona zas ma blawe...

Nikoletta spuszcza głowę, usta jej drżały. Reynevan zaciskał pięści i zęby.

- Do biesa - Buko rzucił na stół ogryzione zebro. - Co to, klacz, by ja tak oglądać?

- Cichaj! Oglądam, bo oglądam. A jeśli znajdzie się czemu dziwić, to się dziwie. Choćby temu, że to nie mlódeczka, latek ma już pod osmnastcie. Czemu tedy, ciekawość, jeszcze nie wydana? Felerna może?

- A mnie co do jej felerów? Zenie się z nią mam czy jak?

- Pomysł nie jest zły - Huon von Sagar podniósł wzrok znad kubka. - Ożenie się z nią, Buko. *Raptus puellae* to przestępstwo dużo drobniejsze niż porwanie dla okupu. Może ci pan na Stolzu wybaczy i daruje, gdy mu wraz z posługującą do nóg padniecie. Będzie mu niejako zięcia koleś łamać.

- Synku? - Formoza uśmiechnęła się wiedźmie. - Co ty na to?

Buko spojrzał najpierw na nią, potem na czarodzieja, a oczy miał zimne i złe. Milczał długo, bawiąc się kielichem. Charakterystyczny kształt naczynia zdradzał pochodzenie, nie pozostawiały wątpliwości także wygrawerowane na obrzeżu sceny z życia świętego Wojciecha. Był to kielich mszalny, zrabowany zapewne podczas słynnej zielonoswiątkowej napadki na kustosa kolegiaty glogowskiej.

- Ja na to - wycedził wreszcie raubritter - rzekłbych chętnie: nawzajem, panie von Sagar, sami się z nią żeniecie. Ale wy jednak nie możecie, boscie ksiadze. Chyba, że zwolnił was z celibatu czart, któremu służycie.

- Ja się z nią mogę ożenić - oświadczył nagle zarumieniony od wina Paszko Rymbaba. - Udala mi się.

Tassilo i Wittram parsknęli, Woldan zarechotał. Notker Weyrach przyglądał się poważnie. Z pozoru.

- Pewnie - powiedział drwiaco. - Żenie się, Paszko. Dobra jest rzecz, z Bibersteinami parantela.

- O wa - beknął Paszko. - A ja to co, gorszy? Chudopacholek? Skartabel czy jak? Rymbaba *sum* ! Pakosława syn, Pakosława wnuk. Gdy my we Wielkiej Polsce i na Szlasku panami byli, Bibersteiny na Łuzycach jeszcze iscie wśród bobrów w błocie siedzieli, kore z drzew obgryzali i po ludzku ni be, ni me nie mówili. Tfu, żenie się z nią i tyle, raz kozie śmierć. Trza tylko pchnąć kogo konno do rodzica mego. Nie lza bez ocoowego błogosławieństwa...

- Będzie - drwił dalej Weyrach - nawet komu was pożenie. Słyszysz, pan von Sagar duchownym jest. Może ślub dać choć zaraz. Prawda?

Czarodziej nawet nie spojrzał na niego, zainteresowany z pozoru wyłącznie westfalską kiszka.

- Wypadaloby - powiedział wreszcie - zapytać wprawdzie główną zainteresowaną. *Matrimonium inter invitos non contrahitur* , małżeństwo wymaga zgody obojga nupturientów.

- Zainteresowana - parsknął Weyrach - milczy, *aqui tacet, consentit* , kto milczy, ten się zgadza. A innych głównych mogę spytać, czemu nie. Hola, Tassilo? Nie masz chęci do żeniaczki? A może ty, Kuno? Woldan? A ty, mosci Szarleju, cóżes taki cichy? Jak wszyscy, to wszyscy! Kto jeszcze ma wole zostać, przepraszam za wyrażenie, nupturientem?

- A może wy sami? - przechyliła głowę Formoza von Krossig. - Co? Panie Notkerze? Toż wam, jak

miarkuje, najwyższa pora. Nie chcecie jej za żonę? Nie udało wam się?

- Udała, a jakże - uśmiechnął się oblesnie Raubritter. - Ale małżeństwo to grób miłości. Dlatego optuje za tym, by ją zwyczajnie i gromadnie wyjechać.

- Czas, widzę - Formoza wstała - niewiastom od stołu odejść, by mężom w meskich żartach i krotofilach nie wadzić. Chodź, dziewczko, nic tu i po tobie.

Nikoletta wstała posłusznie, poszła jak na ścięgno, garbiąc się, nisko pochyliwszy głowę, usta jej się trzęsły, oczy szklily od łez.

To wszystko był pozór, pomyślał Reynevan, zaciskając pięści pod stołem. Cała jej śmiałość, cały wigor, cała rezolucja to był pozór jeno, udawanie. Jakżeż słaba, krucha i marna to jednak pleć, jakżeż zdana na nas, mężczyzn. Jakżeż od nas zależna.

Żeby nie powiedzieć - uzależniona.

- Huonie - rzuciła Formoza od drzwi. - Nie bądź długo na siebie czekać.

- A ja i zaraz idę - czarodziej wstał. - Zmęczonym, zbyt wycieńczoną mnie idiotyczną gonitwą po lasach, bym mógł dłużej przysłuchiwać się idiotycznym rozmowom. Spokojnej nocy życzę towarzystwu.

Buko von Krossig splunął pod stół.

* * *

Odejdźcie czarnoksiężnika i niewiast stało się sygnałem do jeszcze huczniejszej zabawy i ostrzejszej wypytki. *Comitiva* gromko zazała więcej wina, dziewczki, które trunki przyniosły, zebrały przepisową dole klepniec, macniec, szczyptic i kuksniec, pobiegły do kuchni czerwone i pochlipujące.

- Po kielbasie napijcie się!

- Oby nam się!

- Zdrowia!

- Niechaj służy!

Paszko Rymbaba i Kuno Wittram, objawiając się wzajem za ramiona, zaczęli śpiewać. Weyrach i Tassilo de Tresckow przyłączyli się do chóru.

Meum est propositum in taberna mori

ut sint vina proxima morientis ori;

Tunc cantabunt letius angelorum chori:

Sit Deus propitius huic potatori![\[32.\]](#)

Buko von Krossig upijał się brzydko. Z każdym kielichem stawał się - paradoksalnie - coraz bardziej trzeźwy, z toastu na toast robił się coraz bardziej ponury, mroczny i - znowu paradoksalnie - bleśszy. Siedział zaszepiony, sciskając w dłoni swój mszalny kielich, nie spuszczał z Szarleja przymrużonych oczu.

Kuno Wittram walił o stół kubkiem, Notker Weyrach rekojescia mizerykordii. Woldan z Osin kołysał zabandazowaną głową, belkotal. Rymbaba i de Tresckow ryczeli.

Bibit hera, bibit herus,

bibit miles, bibit clerus,

bibit Ule, bibit Ula,

bibit servus cum ancilla,

bibit velox, bibit piger,

bibit albus, bibit niger...[\[33.\]](#)

- Hoc! Hoc!

- Buko, bracie! - Paszko zatoczył się, objął Bukę za szyję, mocząc wasami. - Przepijam do cie! Weselmy się! Toć to moje, kurde, z Bibersteinówną zrekowiny. Udała mi się! To i niebawem, jak mi honor luby, zaproszę do siebie na wesele, a skoro i na chrzciny, dopieróż zahulamy!

Ej, wiwat, wiwat, ten miły kolek

Który się zmieścić zdoła w podolek...[\[34.\]](#)

- Badz czujny - syknął do Reynevana Szarlej, bezbłędnie wykorzystując sposobność. - Zdaje się, że przyjdzie nam głowy unosić.

- Wiem - odszepnął Reynevan. - W razie czego bierz z Samsonem nogi za pas. Na mnie się nie oglądaj... Ja muszę po dziewczynę. Do wieży...

Buko odepchnął Rymbabę, ale Paszko nie rezygnował.

- Nie turbuj się, Buko! Cóż, prawa była pani Formoza, dales rzyci, Bibersteina córę porywając. Alisci

jam cie z kłopotów wybawił. Ninie moja to narzeczona, wkrótce malzona, rzecz zalatwiona! Ha, ha, alem zrymował, kurde, jak jaki poeta. Buko! Pijmy! Weselmy sie, hoc, hoc! Ej wiwat, wiwat, ten miły kolek...

Buko odepchnął go.

- Znam cie - powiedział do Szarleja. - Już w Kromolinie tak myślałem, teraz już pewien jestem i miejsca, i czasu. Choc franciszkański wóczas habit na grzbiecie miałes, poznaje twa gebe, wspomniałem, gdzie cie widział. Na wrocławskim rynku, w roku osiemnastym, w tamten pamiętny lipcowy poniedziałek.

Szarlej nie odpowiedział, śmiało patrzac wprost w zmrużone oczy raubrittera. Buko obrócił w dłoniach swój kielich mszalny.

- A ty - zwrócił zle oczy ku Reynevanowi - Hagenau, czy jak tam cie prawdziwie zwac, diabli wiedza, ktos jest, może też mnich i księży bekart, może cie pan Jan Biberstein również za bunty i sedycje do turmy na Stolu wsadził. W drodze miałem cie w podejrzeniu. Baczyłem, jak na dziewczke spogladasz, dumalem, okazji wypatrujesz, by sie na Bibersteinie zemscic, jego córe pod zebro zgnac. No, ale twoja zemsta, a moje piecset grzywien, miałem cie na oku, nim bys, bratku, kozika dobył, głowy bys na karku nie znalazł.

- Teraz zas - cedził słowa raubritter - patrze na twa gebe i dumam, a może sie mylilem? Może tys wcale na nia nie dybał, może to afekt? Może ty ja ratowac chcesz, spod reki mi porwac? Tak sobie dumam i złość we mnie roscie, za jakiegocz ty durnia masz Buka von Krossig. I az mnie trzesie, by ci grdyke przerznac. Ale sie hamuje. Chwilowo.

- Może by tak - w głosie Szarleja był absolutny spokój. - Może by tak skonczyc na dzis? Dzień obfitował w meczace atrakcje, wszyscy to w kosciah czuja, ot, prosze spojrzec, tam pan Woldan usnął już z licem w sosie. Proponuje dalsze dyskusje odlozyc *ad cras* .

- Niczego - warknął Buko - nie będzie sie odkładac *ad cras* . Koniec uczty ja ogłosze, gdy czas przyjdzie. Ninie pij, mniszy synu, bekaracie, kiedyc nalewaja. I ty pij, Hagenau. Wiecie to, azali nie ostatnia to wasza wypitka? Na Wegry droga dluga i hazardowna. Kto wie, czy dojedziecie? Wszak mówia: nie wiadomo czleku ranie, co mu sie wieczorem stanie.

- Zwlaszcza - dodał zjadliwie Notker Weyrach - ze pan Biberstein pewnie rozesłał konnych po drogach. O córce porwana strasznie musi byc na porywaczy ciety.

- Nie uważaliscie - beknął Paszko Rymbaba - com rzekł? Furda Biberstein. Przecie ja sie z jego córka zenie. Przecie...

- Milcz - przerwał mu Weyrach. - Pijanys. Znalezlismy z Bukiem lepsze kwestii rozwiązanie, lepszy i prostszy na Bibersteina sposób. Tedy sie nam tu z twoim zenidlem nie pchaj. Niepotrzebne zgola.

- Ale ona udala mi sie... Zrekowiny... I pokladzmy... Ej, wiwat, wiwat, ten miły...

- Zawrzyj gebe.

Szarlej oderwał wzrok od oczu Buka, spojrzal na de Tresckowa.

- Czy pan, panie Tassilo - spytał spokojnie - pochwała plan kompanów? Również ma go za przedni?

- Tak - odrzekł po chwili milczenia de Tresckow. - Jakkolwiek mi przykro, za taki go mam. Ale takie jest życie. Wasz pech, że tak udatnie pasujecie do lamiglówki.

- Udatnie, udatnie - wpadł w słowo Buko von Krossig. - Jeszcze jak udatnie. Z tych, co udział w napadzie wzięli, owych najłatwiej rozpoznają, co byli bez przyłbic. Pana Szarleja. Pana Hagenaua, co tak chwacko porwana kolebka powoził. A wasz pachol wyrwidab też nie z tych, co to się zapomnieć dają. Rozpoznają te geby, ha, nawet u trupa. Wszystkich, nawiasem, beda rozpoznawac jako trupy. Wyda się, kto na orszak napadł. Kto Bibersteinówne wprowadził...

- I kto ja zamordował? - dokończył spokojnie Szarlej.

- I zgwałcił - uśmiechnął się oblesnie Weyrach. - Nie zapominajmy o zgwałceniu.

Reynevan zerwał się z lawy, ale natychmiast siadł, przyduszony ciężkim ramieniem de Tresckowa. W tym samym momencie Kuno Wittram schwycił Szarleja za barki, a Buko przyłożył demerytowi mizerykordie do gardła.

- Godzi się to tak? - baknął Rymbaba. - Oni nam wóczas na ratunek...

- Tak trza - uciał Weyrach. - Wez miecz.

Po szyi demeryta pocięła spod ostrza sztyletu struzka krwi. Mimo tego głos Szarleja był spokojny.

- Nie powiedzcie się wasz plan. Nikt wam nie uwierzy.

- Uwierza, uwierza - zapewnił Weyrach. - Zdziwilbys się, w co ludzie wierza.

- Biberstein nie da się wyprowadzić w pole. Połozycie głowy.

- A co ty mnie straszysz, mniszy synu? - Buko pochylił się nad Szarlejem. - Kiedy tobie samemu switu nie dożyć? Biberstein, mówisz, nie uwierzy? Może. Połozę głowę? Wola boska. Ale wam i tak gardła poderzne. Choćby dla *gaudium*, jak mawia skurwysyn Sagar. Ciebie, Hagenau, własnie już choćby po to zakatrupie, by Sagara pognebic, bos mu konfrater, też czarownik. A względem ciebie, Szarlej, niech się to zwie sprawiedliwoscia. Dziejowa. Za Wrocław, za rok osiemnasty. Dali inni hersztowie buntu głowy katu na wrocławskim rynku, ty dasz głowę na Bodaku. Bekarcie.

- Drugi raz nazwales mnie bekartem, Buko.

- Nazwe i trzeci. Bekart! I co mi zrobisz?

Szarlej nie zdążył odpowiedzieć. Z hukiem otwarły się drzwi i wszedł Hubercik. Dokładniej, wszedł Samson Miodek. Otworzywszy sobie drzwi Hubercikiem.

Wśród zupełnej ciszy, w której slychac było pohukiwanie latającego wokół wieży puszczyka, Samson dzwignął wyżej niesionego za kolnierz i spodnie giernka. I rzucił go pod nogi Buka. Hubercik jęknął rozdzierająco w kontakcie z podłoga.

- Ten osobnik - przemówił wśród ciszy Samson - usiłował udusić mnie w stajni lejcamy. Twierdzi, że na panski rozkaz, panie von Krossig. Czy zechce pan mi to wyjaśnić?

Buko nie zechcial.

- Zabic go! - wrzasnal. - Zabic skurwego syna! Bij!

Szarlej wezowym ruchem wyzwolil sie z chwytu Wittrama, lokciem uderzyl w gardlo de Tresckowa. Tassilo zacharczal i puscil Reynevana, Reynevan zas z lekarska precyzja grzmotnal Rymbabe piescia w stluczony bok, prosto w bolaczke. Paszko zawyl i zgial sie wpól. Szarlej doskoczyl do Buka, mocno kopnal go w golen. Buko upadl na kolana. Dalszego ciagu Reynevan nie widzial, albowiem Tassilo de Tresckow poteznie zdzielil go w kark, rzucil na stól. Domyslil sie jednak, slyszac odglos uderzenia, chrup lamanego nosa i wsciekly ryk.

- Nigdy wiecej - uslyszal wyrazny glos demeryta - nie nazywaj mnie bekartem, Krossig.

Tresckow zwarl sie z Szarlejem, Reynevan chcial skoczyc mu w sukurs, ale nie zdolal - skrzywiony z bólu Rymbaba ulapil go od tyłu, przygial. Weyrach i Kuno Wittram rzucili sie na Samsona, olbrzym chwycil lawe, pchnal nia Weyracha w piers, pchnal Kunona, obalil obu, przywalil lawa. Widzac, ze Reynevan szarpie sie i wierzga w niedzwiedzim uscisku Rymbaby, podskoczyl, otwarta dlonia strzelil Rymbabe w ucho. Paszko przedreptal bokiem przez cala szerokosc hali i wyrznil czolem w komin. Reynevan porwal ze stolu cynowa stagiew, walnal nia z brzkiem usilujacego wstac Notkera Weyracha.

- Dziewczyna, Reynevan! - krzyknal Szarlej. - Biegnij!

Buko von Krossig zerwal sie z podlogi, ryczac i obficie broczac krwia ze zgruchotanego nosa. Zdarl ze sciany rohatyne, zamachnal sie i cisnal nia w Szarleja, demeryt uchytil sie zwinnie, dzida otarla sie o jego ramie. I ugodzila Woldana z Osin, który wlasnie sie zbudzil i zupełnie zdezorientowany podniósł zza stolu. Woldan polecial do tyłu, rabnal plecami o flamandzki gobelin, osunal sie po nim, siadl, glowa opadla mu na sterczace z piersi drzewce.

Buko zaryczal jeszcze glosniej i skoczyl na Szarleja z golymi rekami, rozczapierzony jak krogulec. Szarlej zatrzymal go wyprostowana reka, druga walnal w zlamany nos. Buko zawyl i padl na kolana.

Na Szarleja skoczyl de Tresckow, na Tresckowa Kuno Wittram, na Wittrama Samson, na nich Weyrach, na nich zalany krwia Buko, na nich Hubercik. Wszyscy zakotlowali sie na podlodze, tworzac cos na ksztalt Laokoona z najblizsza rodzina. Reynevan juz tego nie widzial. Gnal ile sil po stromych schodach wiezy.

* * *

Napotkal ja przed niskimi drzwiami, w miejscu oswietlonym zatknietą w zelazna obejme pochodnia. Wcale nie wygladala na zaskoczona. Bylo zupełnie tak, jak gdyby czekala na niego.

- Nikoletto...

- Alkasynie.

- Przybywam...

Nie zdazyl opowiedziec, z czym przybywa. Silny cios cisnal nim o ziemie. Wsparl sie na lokciach. Dostal raz jeszcze, upadl.

- To ja do ciebie z sercem - wysapał, stając nad nim w rozkroku, Paszko Rymbaba. - Ja do ciebie z sercem, a ty mnie sóje w bok? W bolacy bok? Gadzie jeden!

- Hej, ty! Duży!

Paszko obejrzał się. I uśmiechnął szeroko i radośnie, widząc Katarzynę Biberstein, pannę, która mu się udala, z którą, jak mniemał, był już po zrekwiniach i z którą już widział się w marzeniach sparzonym w malzenskiej lożnicy. Ale, jak się okazało, marzył nieco na wyrost.

Niedoszła narzeczona krótko strzeliła go nasada pięści w oko. Paszko złapał się za twarz. Dziewczyna uniosła dla większej swobody *cotehardie* i potężnie kopnęła go w krocz. Niedoszły narzeczony skurczył się, ze swistem wciągnął powietrze, a potem zawył wilczo i padł na klęczki, oburacz sciskając swe meskie skarby. Nikoleta jeszcze wyżej podniosła suknie, demonstrując zgrabne uda, z podskoku kopnęła go w bok głowy, okreciła się, kopnęła w piers. Paszko Pakosławic Rymbaba runął na kretę schody i stoczył się po nich, koziolkując.

Reynevan podniósł się na kolana. Stała nad nim, spokojna, nawet nie bardzo zdyszana, ledwo co falująca biustem, tylko oczy, płonące jak u pantery, zdradzały podniecenie. Udawała, pomyślał, tylko udawała lekliwa i zastraszona. Omamila wszystkich, mnie też.

- Co teraz, Alkasyńie?

- Na górę. Predko, Nikoletto.

Pobiegła, skacząc po stopniach jak kozica, ledwo mógł za nią nadążyć. Trzeba będzie, pomyślał, sapiąc, poglądy odnośnie słabości płci poddać gruntownej weryfikacji.

* * *

Paszko Rymbaba sturlał się aż na sam dół schodów, z impetem wykocił do hali, na środek, niemal pod stół. Leżał przez chwilę, łapiąc powietrze ustami jak karp wyciągnięty niewodem, potem steknął, jęknął, zakolysał głową, trzymając się za genitalia. Potem usiadł.

W halli nie było nikogo, nie licząc trupa Woldana z wbitym w piers rohatorym. I skrzywionego z bólu Hubercika, tulącego do brzucha reke, ewidentnie złamaną. Giermek napotkał wzrok Rymbaby, wskazał głową drzwi wiodące ku wyjściu na podwórzec. Zbytecznie, Paszko już wcześniej usłyszał dobiegające stamtąd hałasy, krzyki, miarowe lomotanie.

Do hali zajrzeli przerażona dziewczka i pacholek, iscie, jak w przyspiewce: *servus cum ancilla*. Uciekli, gdy tylko na nich spojrzal. Paszko wstał, zaklął obrzydliwie, zerwał ze ściany wielki berdysz z toporzyskiem poczeriałym i usianym dziurkami po kornikach. Przez chwilę bił się z myślami. Choc aż wrzał ze złej ochoty, by zemście wyrzucić na wrednej Bibersteinównie, rozsadek podpowiadał, że należy pomóc *comitvie*.

Bibersteinówna, pomyślał, przed zemstą nie ucieknie, z wieży wyjścia nie ma. Na razie, pomyślał, czując, jak puchną mu jaja, ukarze ją więc tylko wyniosła wzdarda. Najpierw zapłaca mu tamci.

- Czekać, mac wasza! - wrzasnął, kuszący w stronę wyjścia na podwórzec i odgłosów walki. -

Juz ja was!

* * *

Drzwi wiezy dygotaly od wstrzasajacych nimi uderzen. Szarlej zaklal.

- Pospiesz sie! - krzyknal. - Samsonie!

Samson Miodek wywlókl ze stajni dwa osiodlane wierzchowce. Na pacholka, który zeskoczył ze stropu, ryknal groźnie. Pacholek pierzchnal, migajac pietami.

- Te drzwi dlugo nie wytrzymaja - Szarlej zbiegl po kamiennych schodach, przejal od niego wodze. - Brama, predko!

Samson tez widzial, jak w drzwiach, którymi udalo im sie odgradzic od Buka i jego kamratów, pekla i najezyla sie drzazgami kolejna deska. Dzwieczalo zelazo o mur i metal, bylo jasne, ze rozwsciezeni raubritterzy usilowali wyrabac zawiasy. Faktycznie, nie bylo czasu do stracenia. Samson rozejrzal sie. Brame zamykala belka, zabezpieczona dodatkowo masywna klódka. Olbrzym w trzech skokach znalazl sie przy stosie opalu, wyrwal z pniaka wielki topór ciesielski, w nastepnych trzech susach byl przy bramie. Steknal, wzniósł siekiere i z potezna sila spuscil obuch na klódke.

- Mocniej! - wrzasnal Szarlej, zerkajac na rozlatujace sie juz drzwi. - Wal mocniej!

Samson walnal mocniej. Tak, ze az zadrzala cala brama i czatownia nad nia. Klódka, produkt chyba norymberski, nie puscila, ale podtrzymujace belke haki do polowy wylazly z muru.

- Jeszcze raz! Wal!

Pod nastepnym uderzeniem norymberska klódka pekla, haki wysunely sie, belka spadla z loskotem.

* * *

- Pod pachami - nabrawszy na palce masci z glinianego garnuszka, Reynevan sciagnal koszule z ramion, zademonstrowal, jak aplikowac. - Nasmaruj sie pod pachami. I na karku, o, tak. Wiecej, wiecej... Wetrzyj mocno... Predko, Nikoletto. Nie mamy duzo czasu.

Dziewczyna przez chwile patrzyla na niego, w jej wzroku niedowierzenie walczylo z podziwem. Nie rzekla jednak ani slowa, siegnela po masc. Reynevan wyciagnal na srodek izby debowa lawke. Na osciez otworzyl okno, do czarnoksieskiej pracowni wdarl sie zimny wiatr. Nikoletta wzdrygnela sie.

- Nie podchodz do okna - powstrzymal ja. - Lepiej... nie patrzec w dól.

- Alkasynie - spojrzala na niego. - Rozumiem, ze walczymy o zycie. Ale czy ty na pewno wiesz, co robisz?

- Siadaj okrakiem na lawe, prosze. Czas naprawde nagli. Usiadz za mna.

- Wole przed toba. Obejmij mnie w pasie, obejmij mocno. Mocniej...

Była goraca. Pachniała tatarakiem i mieta, zapachu nie zabiła nawet specyficzna won Huonowej miszkulancji.

- Gotowa?

- Gotowa. Nie puszczysz mnie? Nie pozwolisz, bym spadła?

- Przedzej zginę.

- Nie gin - westchnęła, odwracając głowę, przez co ich usta musnęły się przelotnie. - Nie gin, proszę. Zyj. Mów zaklecie.

Weh, weh, Windchen

Zum Fenster hinaus

In omnetn ventum!

Fik z okna

Niczego się nie dotkna! [\[35.\]](#)

Lawa podskoczyła i wspierała się pod nimi jak narowisty kon. Przy całej swej rezolucji Nikoletta nie zdołała powstrzymać okrzyku przestachu, prawda, Reynevan nie zdołał również. Lawa uniosła się na sazen w górę, zawirowała jak wściekły bak, pracownia Huona rozmazała im się w oczach. Nikoletta zacisnęła palce na oplatających ją rekach Reynevana, zapiszczała, ale przysięgłaby, że bardziej z ochoty, niż strachu.

Lawa zasrunęła wprost w okno, w zimną i ciemną noc. I natychmiast spikowała stromo w dół.

- Trzymaj się! - zawył Reynevan. Pęd powietrza wtlaczał mu słowa z powrotem do krtani. - Trzyyymaaaaaj!

- Ty się trzymaj ! O Jeeeeezuuuuuu!

- Aaaaaaa-aaaaaaa!

* * *

Norymberska kłódka puscila, belka spadła z loskotem. W tym samym momencie z trzaskiem wyleciały drzwi wiodące na wieżę, na kamienne schody wysypali się raubritterzy, wszyscy uzbrojeni i wszyscy rozjuszeni, tak zaslepieni zadza krwi, że sadzacy jako pierwszy Buko von Krossig potknął się na stromych stopniach i spadł prosto w kupe gnoju. Pozostali rzucili się na Samsona i Szarleja. Samson

zaryczał jak bawół, odpędzając napastników dzikimi machnięciami siekiery, Szarlej, też rycząc, czynił wokół siebie rum znaleziona przy furcie halabarda. Ale przewaga - także wprawy bojowej - była przy raubritterach. Ustupując przed jadowitymi pchnięciami i zdradliwymi cieciami mieczy Samson i Szarlej cofali się.

Do chwili, gdy poczuli plecami twarde opór muru.

* * *

I wtedy nadleciał Reynevan.

* * *

Widząc rosnące w oczach płyty podwórca, Reynevan wrzasnął, wrzasnęła też Nikoletta. Wrzask, modulowany przez dławiaczy wicher w istic potępieniecze wycie, odniósł skutek dużo lepszy niż sama odsiecz. Oprócz Kunona Wittrama, który akuratnie spojrzął w górę, zaden z raubritterów w ogóle nie dostrzegł jeźdźców na latającej lawie. Ale wycie wywarło druzgocacy wręcz skutek psychologiczny. Weyrach padł na czworaki, Rymbaba zaklął, wrzasnął i rozplaszczyl się, obok runął Tassilo de Tresckow, nieprzytomny, jedyna ofiara nalotu - pikująca na podwórzec lawa zawadziła go, kropnęła w potylicę. Kuno Wittram przeżegnał się i wpelził pod wózek z sianem. Buko von Krossig skurczył się, gdy rabek *cotehardie* Nikoletty chłaskał go po uchu. Lawa zaś wzbila się ostro w górę, przy wtórze jeszcze głośniejszego wrzasku lotników. Notker Weyrach gapił się na odlatujących z otwartą gębą, miał szczęście, katem oka dostrzegł Szarleja, w ostatniej chwili uniknął pchnięcia halabardy. Ucapił drzewce, zaczęli się szarpac.

Samson rzucił precz siekiere, złapał jednego z koni za wodze, chciał chwycić drugiego. Buko doskoczył i pchnął go tulichem. Samson uchylił się, ale nie dość szybko. Puginał rozpruł rekaw. I ramie. Buko nie zdolał pchnąć ponownie. Dostał w zęby i potoczył się pod brame.

Samson Miodek pomacał ramie, przyjrzał się zakrwawionej dłoni.

- Teraz - powiedział wolno i głośno. - Teraz to się naprawdę wkurwiłem.

Podszedł do Szarleja i Weyracha wciąż wyszarpujących sobie drzewce halabardy. I wałnął Weyracha pięścią z taką mocą, że stary raubritter wywinał imponującego kozła. Paszko Rymbaba wznosił berdyż do ciecica, Samson odwrócił się, spojrzął na niego. Paszko szybko cofnął się o dwa kroki.

Szarlej lapał konie, Samson zaś sściagnął z przybramnego stojaka okrągły kuty puklerz.

- Na nich! - wrzasnął Buko, podnosząc upuszczony przez Wittrama miecz. - Weyrach! Kuno! Paszko! Na nich! O, Chryste...

Zobaczył, co robi Samson. Samson zaś ujął puklerz chwytem dyskobola i jak dyskobol obrócił się, zawirował. Puklerz wystrzelił z jego reki jak z balisty, niewiele chybiając Weyracha ze swistem przeleciał przez całe podwórze, wyrzwał w kroksztyn muru, druzgocąc go w drzazgi. Weyrach przelknął sline. Samson zaś zdjął ze stojaka drugi puklerz.

- Chryste... - sapnal Buko, widzac, ze olbrzym znowu zaczyna obracac sie i wirowac. - Kryj sie!

- Na cycki swietej Agaty! - wrzasnal Kuno Wittram. - Ratuj sie kto moze!

Raubritterzy rzucili sie do uciezki, kazdy w inna strone, nie mozna bylo przewidziec, w kogo Samson rzuci. Rymbaba zemknal do stajni, Weyrach zanurkowal za sag opalu, Kuno Wittram wpezl znowu pod wóz, odzyskujacy wlasnie przytomnosc Tassilo de Tresckow rozplaszczyl sie znów na ziemi. Buko von Krossig w biegu zerwal z cwiczebnego manekina podluzna staromodna tarcze, okryl nia plecy w uciezce.

Samson zakonczyl wirowanie na jednej nodze, w klasycznej pozie, godnej dluta Myrona lub Fidiasza miotniety puklerz z gwizdem pomknal do celu, z donosnym hukiem walnal w tarcze na plecach Krossiga. Impet cisnal raubritterem na odleglosc co najmniej pieciu sazni, a byloby dalej, gdyby nie mur. Przez chwile zdawalo sie, ze rozsmarowalo Buka na scianie, ale nie, po kilku sekundach osunal sie po niej na ziemie.

Samson Miodek rozejrzal sie. Nie bylo juz w kogo rzucac.

- Do mnie! - krzyknal z bramy Szarlej, juz w siodle. - Do mnie, Samsonie! Na kon!

Kon, choc rosly, przysiadl lekko pod ciezarem. Samson Miodek uspokoil go.

Poszli w cwal.

Rozdzial dwudziesty piaty

w którym, jak u Beroula i Chretien de Troyes, jak u Wolframa von Eschenbach i Hartmanna von Aue, jak u Gotfryda ze Strasburga, Gwilelema de Cabestaing i Bertrana de Bom - mowa jest o milosci i smierci. Milosc jest piekna. Smierc nie.

W istocie moglo byc prawda, czego jeden z praskich mentorów Reynevana usilowal dowodzic odnosnie lotów czarodziejskich, a to mianowicie, ze sa one poddane kontroli mentalnej wysmarowanej mascia lotna czarownicy lub czarownika. Przedmioty zas, na których sie leci, miotla, ozóg, lopata czy cokolwiek innego, to jedynie martwe przedmioty, nieozywiona materia poddana woli magika i calkowicie od tej woli zalezna.

Cos w tym byc faktycznie musialo, albowiem wiozaca Reynevana i Nikolette lawka, wzbiwszy sie w nocne niebo na wysokosc blanków wiezy zamku Bodak, zataczala wokól kregi dopóty, dopóki Reynevan nie zobaczyl, jak zamek opuszcza dwóch jezdzców, z czego jeden nieomylnie wielkiej postury. Lawka lekko poszybowała w slad, jakby chcąc uspokoic go, ze zaden z pedzacych droga na Klodzko konnych nie jest powaznie ranny i ze nie idzie za nimi pogon. I jakby rzeczywiscie wyczuwajac jego ulge, zatoczyła wokól Bodaku jeszcze jeden krag, po czym wzleczala w góre, w przestworza, ponad zalane

blaskiem księżycowym chmury.

Racje jednak, jak się okazało, miał też Huon von Sagar, gdy twierdził, że wszelka teoria jest szara, albowiem wywody praskiego doktora o kontroli mentalnej sprawdzały się w zakresie ograniczonym. I to mocno ograniczonym. Upewniwszy Reynevana, że Szarlej i Samson są bezpieczni, lawkolotnia zupełnie przestała być zależna od jego woli. W szczególności, absolutnie nie było wola Reynevana fruwać tak wysoko, że księżyc zdawał się być na wyciągnięcie ręki, a zimno panowało takie, że żeby jego i Nikoletty jęły szczekać jak hiszpańskie kastaniety. Dalekie od woli Reynevana było też latanie po kregu wzorem polującego myszolowa. Jego wola było lecieć za Samsonem i Szarlejem - ale te akurat wole lawkolotnia ewidentnie miała gdzieś.

Wcale też nie miał Reynevan chęci na studiowanie geografii Śląska z lotu ptaka, nie wiadomo było tedy, jakim cudem i pod wpływem czyjej kontroli mentalnej mebel obniżył lot i poszybował w kierunku północno-wschodnim, nad stoki Reichensteinu. Minawszy po prawej masywy Jawornika i Borówkowej, lawka niebawem przefrunęła nad grodem otoczonym podwójnym i najeżonym basztami murem, grodem, którym mógł być wyłącznie Paczków. Potem poniosła ich nad doliną rzeki, która mogła być wyłącznie Nysa. Wkrótce przesunęły się pod nimi dachy wież biskupiego Otmuchowa. Tu lawka zmieniła jednak kierunek, zatoczyła wielki łuk, wróciła nad Nyse i tym razem poleciała w górę rzeki, szlakiem wijącej się, srebrnej w księżycowym blasku wstęgi. Serce Reynevana przez moment było rytmem przyspieszonym, wyglądało bowiem tak, jakby lawka chciała wracać na Bodak. Ale nie, zawróciła nagle i poleciała na północ, szybując nad niziną. Niebawem mignął pod nimi klasztorny kompleks Kamienca, a Reynevan znów się zaniepokoił. W końcu Nikoletta też wysmarowała się lotną miszkulancją i też mogła wpływać na lawkolotnie siła woli. Mogli - kierunek zdawał się na to wskazywać - lecieć wprost do Stolza, siedziby Bibersteinów. Reynevan wątpił, by dobrze go tam przyjęto.

Lawka jednak skierowała się nieco ku zachodowi, przeleciała nad jakimś miastem, Reynevan tracił jednak pomalutką orientację, przestawał rozpoznawać krajobraz przewijający się pod łzawiaczami od wiatru oczami.

Pulap, na którym lecieli, nie był już zbyt wysoki, toteż lotnicy nie trzesli się już i nie szczekali zębami. Lawka leciała płynnie i stabilnie, bez powietrznych akrobacji, paznokcie Nikoletty przestały wbijać się w dłoń Reynevana, dziewczyna, poczuła to wyraźnie, odpreżyła się nieco. On sam, co tu dużo gadać, też oddychał swobodnie, nie dusił już ani pod powietrzem, ani adrenaliną.

Lecieli pod podświetlonymi księżycem obłokami. W dole przesuwawa się szachownica lasów i pól.

- Alkasynie... - przemogła wiatr. - Czy wiesz... dokąd...

Przycisnął ją silniej do piersi, wiedząc, że tak trzeba, że tego oczekuje.

- Nie, Nikoletto. Nie wiem.

Nie wiedział. Ale podejrzewał. I dobrze podejrzewał. I nawet nie był specjalnie zaskoczony, gdy cichy krzyk dziewczyny uswiadomił mu, że mają towarzystwo.

Wiedźma po lewej, kobieta w kwiecie wieku i czepku mezatki, leciała klasycznie, na miotle, pod powietrzem rozwiewała polę jej baraniego kozuska. Podlatując nieco bliżej, pozdrowiła ich uniesieniem ręki. Po chwili wahania odwzajemniła pozdrowienie, a ona wyprzedziła ich.

Dwie lecacze po prawej nie pozdrowiły ich i chyba nawet nie zauważyły, tak mocno były sobą zajęte. Obie bardzo młode, z rozpuszczonymi warkoczami, siedziały okrakiem, jedna za drugą, na płozie od san.

Całowały się namietnie i zachłannie, przy czym pierwsza, wyglądało, kark sobie skreci, by dosięgnąć ustami ust tej drugiej, siedzącej z tyłu. Ta druga natomiast całkowicie pochłonięta była piersiami pierwszej, wyluskany spod rozpiętej koszuli.

Nikoletta chrząknęła, kaszlnęła dziwnie, zawierciła się na lawce, jak gdyby chciała się odsunąć, oddalić. Wiedział, dlaczego to czyni, zdawał sobie sprawę ze swego podniecenia. Winien był nie tylko erotyczny widok, nie on jeden przynajmniej. Huon von Sagar ostrzegał przed ubocznymi skutkami specyfiku, Reynevan pamiętał, że w Pradze również o tym mówiono. Wszyscy specjaliści zgodni byli co do faktu, że wtarta w ciało masec lotna działa jak silny afrodyzjak.

Niebo nie wiedzieć kiedy zaroilo się od lecących wiedźm, lecieli już w długim sznurze czy kluczu raczej, czoło którego nikło gdzieś wśród luminescencji chmur. Czarownice, *bonae feminae* - a było w kluczu, i owszem, również kilku czarowników płci męskiej - leciały okrakiem na przeróżnych sprzętach, od klasycznych miotł i ozogów poprzez lawki, lopaty, widły, motyki, dyszle, holoble, zerdzie, kolki z plotów aż po zwykle, nawet nie okorowane kije i drągi. Przed i za lotnikami pomykały nietoperze, lelki, sowy, puszczyki i wrony-ciotki.

- Hej! Konfrater! Powitać!

Obejrzał się. I, co było dziwne, nie zdziwił.

Ta, która go okrzyknęła, nosiła swój wiedźmi czarny kapelusz, spod którego powiewały płomiennorude włosy. Za nią, jak tren, fruwał szal z brudnozielonej wełny. Obok leciała ta, która wówczas wieszczyła, młoda, o lisiej twarzy. Z tyłu kolysała się na ozogu ciemnowłosa Jagna, rzecz jasna, niezbyt trzeźwa.

Nikoletta chrząknęła głośno i obejrzała się. Wzruszył ramionami z niewinna mina. Rudowłosa zaśmiała się. Jagna beknęła.

Była noc jesiennego ekwinokcjum, u ludu noc Święta Wiałni, magiczny początek sezonu wiatrów ułatwiających odplewianie ziarna. U czarownic zaś i Starszych Plemion - Mabon, jeden z osmiu sabatów roku.

- Hej! - krzyknęła nagle rudowłosa. - Siostry! Konfratry! Zabawimy się?

Reynevan nie był w nastroju do zabawy, tym bardziej że pojęcia nie miał, na czym owa ma polegać. Ale lawka była już najwyraźniej częścią stada i robiła to, co stado.

Dość liczna eskadra spikowali w dół, w kierunku zauważonego blasku ognia. Zawadzając niemal o korony drzew, przemknęli, ujadając i hallakując, nad polana, nad ogniskiem, dookoła którego siedziało kilkunastu ludzi. Reynevan widział, że patrzą w górę, słyszał nieledwie ich podniecone krzyki. Paznokcie Nikoletty znów wpily mu się w ciało.

Rudowłosa zademonstrowała największą zuchwałość - sfrunęła, wyjąc jak wilczyca, tak nisko, że miotła wzbila z ogniska kurzawe iskier. Po czym wszyscy wlecieli stromo w górę, w niebo, scigani wrzaskami obozujących. Gdyby oni mieli kusze, wzdrygnął się Reynevan, kto wie, jak by się ta zabawa skończyła.

Klucz zaczął obniżać lot. W kierunku góry wynurzającej się z lasu i porosniętej lasem. Zdecydowanie nie była to jednak Sleza, wbrew przypuszczeniom Reynevana, który Slezy właśnie spodziewał się jako celu lotu. Góra była za mała na Sleze.

- Grochowa - zaskoczyła go Nikoletta. - To jest Grochowa Góra. Niedaleko Frankensteinu.

* * *

Na stokach góry plonely ogniska, zza drzew bil w góre zólty zywczy plomien, czerwony zar podswietlal snujacy sie kotlinami magiczny opar. Slychac bylo okrzyki, zaspiewy, pisk fletni i fujarek, brzeki tamburyнка.

Nikoletta drzala u jego boku, i to raczej nie tylko z zimna. Nie dziwil jej sie specjalnie. Jemu tez ciarki chodzily po plecach, a bijace mocno serce podeszlo az pod gardlo, z ledwoscia lykal sline.

Obok nich wyladowala i schodzila z miotly ognistooka i rozczochrana istota o wlosach koloru marchwi. Jej lapy, chude jak patyki, zbroily zakrzywione pazury szesciocalowej dlugosci. Opodal jazgotalo i przekrzykiwalo sie czterech gnomów w czapkach ksztaltu zoledzi. Wszyscy czterej, jak wygladalo, przylecieli na wielkim wiosle. Z drugiej strony czlupal, ciagnac za soba piekarska lopate, stwór w czymś, co przypominalo kozuch wlosem na wierzch, ale moglo byc naturalnym futrem. Przechodzaca wiedzma w snieznobialej i nader wyzywajaco rozpietej koszuli obrzucila ich niechetyym spojrzaniem.

Początkowo, jeszcze w czasie lotu, Reynevan planował natychmiastowa ucieczke, zaraz po wyladowaniu myslal jak najszybciej oddalic sie, zejsc z góry, zniknac. Nie powiodlo sie. Wyladowali w grupie, w gromadzie, gromada poniosla ich jak nurt. Kazdy ruch niezgodny, kazdy krok w innym kierunku rzucalby sie w oczy, musialby zostac zauwazony, wzbudzilby podejrzenia. Uznal, ze lepiej bedzie nie wzbudzac podejrzen.

- Alkasynie - Nikoletta przytulila sie do niego, ewidentnie wyczuwajac, o czym myśli. - Czy znasz takie powiedzenie: z deszczu pod rynnę?

- Nie lekaj sie - przelamal opór krtani. - Nie lekaj sie, Nikoletto. Nie pozwole, by stalo ci sie cos zlego. Wywiode cie stad. I na pewno nie opuszczę.

- Wiem - odrzekla od razu, a powiedziala to tak ufnie, tak cieplo, ze natychmiast odzyskal odwage i pewnosc siebie: walory, które, szczerze rzeklszy, w znacznej mierze dopiero com byl utracil. Smialo uniósł glowe, dwornie podal dziewczynie ramie. I rozejrzal sie. Z dobra mina. Ba, butnie nawet.

Wyprzedzila ich pachnaca mokra kora hamadriada, minal, ukloniwszy sie, karzel ze sterczacymi spod górnej wargi zębami, z wystajacym spod przykrótkiej kamizeli gołym brzuchem blyszczacym jak harbuz. Podobnego Reynevan widzial juz kiedys. Na wawolnickim cmentarzu, w nocy po pogrzebie Peterlina.

Na lagodnym stoku pod urwiskiem ladowali nastepni, lotników i letniczek wciáz przybywalo, pomalu robil sie scisk. Na szczescie organizatorzy zadbali o porzadek, wyznaczeni dyzurni kierowali ladujacych na polane, gdzie w specjalnie urzadzonych zagrodzie deponowano miotly i inny sprzet latajacy. Trzeba bylo tam odstac kilka chwil w kolejce. Nikoletta mocniej scisnela mu ramie, gdy tuz za nimi ustawila sie w ogonku chuda istota owinieta w calun - i pachnaca tez raczej trumiennie. Przed nimi zas, niecierpliwie i nerwowo potupujac nóżkami, zajely miejsce dwie majki z wlosami pelnymi suchych klosów.

Po chwili grubý kobold odebral od Reynevana lawke i wreczyl mu kwit - muszle szczezui z wymalowanym magicznym ideogramem i rzymska liczba CLXXIII.

- Pilnowac - warknal zwyczajowo. - Nie zgubic. Nie bede potem szukal po calym parkingu.

Nikoletta znowu przytulila sie mocniej, scisnela mu reke. Tym razem z konkretniejszych i zauwazalnych powodów. Reynevan również je zauwazyl.

Stali sie nagle osrodkiem zainteresowania i to bynajmniej nie zyczliwego. Przygladalo im sie zlym wzrokiem kilka wiedz. Przy kazdej Formoza von Krossig mogla uchodzic za mlódke i cud pieknosci.

- Prosze, prosze - zaskrzeczala jedna, wyrozniajaca sie szpetota nawet na tle tak okropnym. - Prawda musi byc, co mówia! Ze flugzalbe mozna teraz kupic w kazdej swidnickiej aptece! Kazdy tera lata, rak, ryba i plaz! Tylko patrzec, jak nam tu zaczyna zlatywac czernice, klaryski ze Strzelina! Mamyz to cierpiec, pytam sie? Co to za jedni?

- Racja! - blysnela jedynym zebem druga megiera. - Racja, moja pani Sprengerowa! Niech rzekna, kto sa! I kto im o zlocie powiedzial!

- Racja, racja, moja pani Kramerowa! - zachrypiala trzecia, zgieta we dwoje, noszaca na obliczu imponujaca kolekcje wlochatchy brodawek. - Niech powiedza! Boc to szpiegi moga byc!

- Zamknij jadaczke, stara krowo - powiedziala, podchodzac, rudowlosa w czarnym kapeluszu. - Nie udawaj waznej. A tych dwoje ja znam. Wystarczy?

Jejmoscie Kramerowa i Sprengerowa chcialy oponowac i klócić sie, ale rudowlosa uciela dyskusje grozna demonstracja zacisnietego kulaka, a Jagna podsumowala lekcewazacym bekniciem, donosnym i przeciąglym, wyrwanym, rzeklbys, z samego dna trzewi. Potem oponentów rozdzielil sznur idacych po stoku wiedz.

Rudowlosej, oprócz Jagny, towarzyszyła dzierlatka o lisiej twarzyczce i niezdrowej cerze, ta, która wieszczyla na uroczysku.

Jak wówczas, nosila na jasnych wlosach wianek z werbeny i koniczyny. Jak wówczas, miala oczy blyszczace i mocno podkrazone. I bezustannie wpatrywala sie nimi w Reynevana.

- Inni tez sie wam przygladaja - rzekla rudowlosa. - Zeby tedy zapobiec dalszym incydentom, musicie, jako nowi, stanac przed domina. Wtedy nikt juz nie osmieli sie wam naprzykrzac. Chodźcie za mna. Na szczyt.

- Czy moge - odchrzaknal Reynevan - liczyc, ze nic nam tam nie grozi?

Rudowlosa odwróciła sie, zatopila w nim zielone spojrzenie.

- Troche późno - wyciedzila - na obawy. Ostroznosc byla na miejscu przy nacieraniu sie mascia i wsadaniu na laweczke. Nie chce, mily konfratrze, byc nadto dociekliwa, ale juz przy pierwszym spotkaniu zrozumialam, ze jestes z tych, co zawsze zbladza tam, gdzie nie trzeba, i wplacza w to, w co nie trzeba. Ale, jak sie rzeklo, nie moja to rzecz. A czy ze strony dominy grozi wam cos? To zalezy. Od tego, co kryjecie w sercach. Jesli jest to zloc i zdrada...

- Nie - zaprzeczyl natychmiast, gdy tylko zawiesila glos. - Zapewniam.

- Tedy - usmiechnela sie - nie masz sie czego obawiac. Chodźmy.

Mijali ogniska, grupy stojacych wokół czarownic i innych uczestników sabatu. Dyskutowano tam, witano sie, weselono, klócono. Krazyly kubki i czarki, napelniane z kotłów i kadzi, unosila sie, mieszajac

z dymem, miła won cydru, gruszcznika i innych finalnych produktów fermentacji alkoholowej. Jagna zamierzała tam skrecic, ale rudowłosa powstrzymała ją ostrym słowem.

Na szczycie Góry Grochowej huczala i zmiotala plomieniami ogromna watra, miliardy iskier lecialy w czarne niebo niby ogniste pszczoły. Pod szczytem była kotlinka, konczaca sie tarasem. Tam, pod ustawionym na zelaznym trójnogu kotlem, palilo sie mniejsze ognisko, wokół niego majaczyły migotliwe sylwetki. Na stoku pod tarasem oczekiwalo - najwyrazniej na audyencje - kilka osób.

Podeszli blizej, na tyle blisko, by za woalem bijacej z kotla pary niewyrazne sylwetki zamienily sie w postaci trzech kobiet, dzierzacych udekorowane wstazkami miotly i złote sierpy. Przy kotle krzatal sie mezczyzna, bardzo brodaty i bardzo wysoki, a wyzszy jeszcze przez futrzana czape z umocowanym na niej rosochatym jelenim porozem. I byla tam, za ogniem i oparem, jeszcze jedna, nieruchoma, ciemna postac.

- Domina - wyjasnila rudowłosa, gdy zajeli miejsce w kolejce oczekujacych - najprawdopodobniej nie zapyta was o nic, ciekawosc nie lezy u nas we zwyczajach. Gdyby jednak, to pamietajcie - zwracac sie do niej nalezy *per „domna”*. Pamietajcie tez, ze na sabacie nie ma imion, chyba, ze miedzy przyjaciolami. Dla wszystkich innych jestescie *joioza ibachelor*.

Poprzedzajaca ich petentka byla mloda dziewczyna z grubym, zwisajacym ponizej pleców jasnym warkoczem. Choc bardzo ladna, byla ulomna - kulala. Na tyle charakterystycznie, by Reynevan potrafil zdiagnozowac wrodzone zwichniecie biodra. Minela ich, ocierajac lzy.

- Gapienie sie - skarcila Reynevana rudowłosa - jest niegrzeczne i niemile tu widziane. Dalej. Domina czeka.

Reynevan wiedzial, ze tytul dominy - albo Staruchy - przynalezal glówniej czarownicy, przewodniczcce lotu i kaplance sabatu. Choc wiec w cichosci ducha mial nadzieje zobaczyc niewiaste odrobine mniej odrazajaca od Sprengerowej, Kramerowej i towarzyszacym im paskud, to nie spodziewal sie raczej osoby w wieku innym niz, oglodnie mówiac, starszy. Mówiac krótko, spodziewal sie faktycznej staruchy. Tym, czego sie nie spodziewal, byla natomiast Medea. Kirke. Herodiada. Zabójczo atrakcyjna, ucielesniona dojrzała kobiecosc.

Byla wysoka, postawna, budowa ciala dawala sygnal autorytetu, przeczucie i przedsmak sily. Wysokie czolo nad regularnymi brwiami dekorowal srebrzysty sierp, palajacy blaskiem rogaty półksiezyc, z szyi zwisal złoty krzyz ankh, *crux ansata*. Linia ust mówila o zdecydowaniu, prosty nos przywodzil na mysl Here albo Persefone z greckich waz. Smoliscie czarne wlosy wezowa kaskada spadaly jej w boskim nieladzie na kark, fala splywaly z ramienia, jednoczac sie czernia z okrywajacym bark plaszczem. Widoczna spod plaszcza suknia zmieniala barwe w blasku ognia, mieniac sie wieloma odcieniami juz to bieli, juz to miedzi, juz to purpury.

W oczach dominy byla madrosc, noc i smierc.

Poznala od razu.

- Toledo - przemówila, a jej glos byl jak wiatr od gór. - Toledo i jego szlachetna *joioza*. Pierwszy raz wsród nas? Witajcie.

- Badz pozdrowiona - Reynevan sklonil sie, Nikoletta dygnela. - Badz pozdrowiona, domna.

- Macie do mnie prosby? Proscie instancji?

- Chca - przemówiła stojąca za nimi rudowłosa - jedynie złożyć uszanowanie. Tobie, domna, i Wielkiej Potrójnej.

- Przyjmuje. Idźcie w pokój. Świetujcie Mabon. Chwalcie imię Wszechmacierzy.

- *Magna Mater* ! Chwała jej! - powtórzył stojący obok dominy brodac z głową ustrójoną w jelenie poroże i opadająca na plecy skóra.

- Chwała! - powtórzyły trzy stojące za nim wiedźmy, wznosząc miotły i złote sierpy. - Eia!

Ogień strzelił w górę. Kocioł buchnął parą.

* * *

Tym razem, gdy schodzili z boczem w siodło między szczytami, Jagna nie dała się powstrzymać, natychmiast skierowała długie kroki tam, skąd dobiegał największy gwar i dochodził najsilniejszy zapach wydestylowanych trunków. Wkrótce, dopchnawszy się do kadzi, trąbiła jablecznik, aż jej grdyka grała. Rudowłosa nie mitygowała jej, sama ochotnie przyjęła stągiewkę, która podał jej uszaty kosmacz, bliźniaczo wręcz podobny do Hansa Mein Igela, tego, który przed miesiącem odwiedził na biwaku Reynevana i Zawisze Czarnego z Garbowa. Reynevan, przyjmując kubek, zamyslił się nad upływem czasu i nad tym, co czas ten zmienił w jego życiu. Cydr był mocny, że aż z nosa ciekło.

Rudowłosa miała wśród birbantów dużo znajomych, tak wśród ludzi, jak i wśród nieludzi. Wylewnie witały się z nią majki, driady, liski i wodniczki, wymieniały uściski i pocałunki tegie, rumiane wiesniaczki. Wymieniały sztywne i dystygowane ukłony kobiety w wyszywanych złotem sukniach i bogatych płaszczach, z twarzami częściowo zakrytymi przez maski z czarnego atlasu. Obficie lal się cydr, gruszczyk i sliwowica. Tłoczono się i przepychano, Reynevan objął więc Nikolette. Powinna tu nosić maske, pomyślał. Katarzyna, córka Jana Bibersteina, pana na Stolzu, powinna być zamaskowana. Jak inne szlachcianki.

Birbanci, wypiwszy co nieco, wzięli się, rzecz jasna, za plotki i obgadywanie.

- Widziałam ją na górze u dominy - rudowłosa wskazała oczami kuszykająca opodal kalekę z jasnym warkoczem, z twarzą opuchniętą od płaczu. - Co z nią?

- Zwykła rzecz, zwykła krzywda - wruszyła pulchnymi ramionami tego młynarka, wciąż jeszcze nosząca tu i ówdzie ślady maki. - Darmo do dominy chodziła, darmo prosiła. Tego, czego chciała, domina odmawia. Kaze zdawać się na czas i na los.

- Wiem. Sama kiedyś prosiłam.

- I co?

- Czas - rudowłosa złowrogo wyszczerzyła zęby - przyniósł, co należało. A losowi trochę dopomogłam.

Wiedźmy wybuchnęły śmiechem, który zjeżył Reynevanowi włosy na karku. Świadom był, że *bonae feminae* obserwują go, złościło go, że stoi jak kolek, przed tyłoma pięknymi oczami wypadając jak

zalekniiony prymityw. Lyknal dla kurazu.

- Niezwykle wielu... - zagadnal, odchrzaknawszy. - Niezwykle wielu jest tu obecnych przedstawicieli Starszych Plemion...

- Niezwykle?

Odwrócił się. Nie dziwota, że nie słyszał kroków, tym, kto stanął tuż za jego ramieniem, był alp, wysoki, ciemnoskóry, o włosach białych jak śnieg i szpiczastych uszach. Alpy poruszały się bez szelestu, nie można było ich usłyszeć.

- Niezwykle, mówisz? - powtórzył alp. - Ha, może jeszcze doczekasz się zwyczajności, chłopcze. To, co nazywasz Starszym, może będzie Nowym. Lub Odnowionym. Nadchodzi czas zmian, wiele się zmieni. Zmieni się nawet to, co liczni, niektórzy nawet tu obecni, uważali za niezmiennie.

- I nadal uważają - rzekł, do siebie widąc biorąc uszczypliwe słowa alpa, osobnik, którego Reynevan najmniej spodziewałby się w tym towarzystwie, mianowicie ksiądz z tonsurą. - Nadal tak uważają, albowiem wiedzą, że pewne rzeczy nie wróca już nigdy. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Mielicie swój czas, panie alpie, mielicie swoją epokę, erę, swój eon nawet. Ale cóż począć, *omnia tempus habent et suis spatiis transeunt universa sub caelo*, wszystko ma swój czas i swoją godzinę. A co minęło, nie wróci. Mimo wszelkie przemiany, których to przemian, nawiasem, czeka wielu z nas.

- Odmieni się - powtórzył uparcie alp - całkowicie obraz i porządek świata. Wszystko się zreformuje. Radzę, obróćcie oczy na południe, na Czechy. Tam padła iskra, od niej rozgorzeje płomień, w ogniu oczyszczy się Natura. Znikną z niej rzeczy złe i chore. Z południa, z Czech, nadejdzie Odmiana, pewnym rzeczom i sprawom koniec będzie. W szczególności księga, która tak chętnie cytujecie, spadnie ranga do zbioru przysłów i powiedzonek.

- Od czeskich husytów - pokręcił głową ksiądz - nie spodziewajcie się zbyt wiele, w pewnych sprawach świętsi oni są, że tak rzekę, od papieża. Nie pójdzie, widzi mi się, w dobrą dla nas stronę ta czeska reforma.

- Istota reformy - powiedziała mocnym głosem jedna z zamaskowanych szlachcianek - faktycznie jest, że zmienia rzeczy pozornie niezmiennie i niezmiennialne. Ze czyni wylom w pozornie nienaruszalnej strukturze, nadkrusza pozornie zwarty i twardy monolit. A jeśli coś można zarysować, naruszyć, nadkruszyć... To można i rozwalić w pył. Husyci czescy będą garstką wody zamarzająca w skale. I rozsadzająca ją.

- To samo - krzyknął ktoś z tyłu - mówiono o katarach!

- To były kamienie na szaniec!

Zaczął się rozgardiasz. Reynevan skurczył się, lekko przestraszony zamieszaniem, jakie wywołał. Poczul dłoń na ramieniu. Obejrzał się i drgnął, widząc wysoka istotę płci żeńskiej, dość atrakcyjną, ale o oczach świecących jak fosfor, a skórze zielonej i pachnącej pigwą.

- Nie lekaj się - przemówiła cicho istota. - Jestem tylko Starsze Plemię. Zwyczajna niezwykłość.

- Zmian - powiedziała głośniejszym głosem - nie powstrzyma nic. Jutro inne będzie niż Dzisiaj. Tak dalece, że ludzie przestaną wierzyć we Wczoraj. I raczej ma pan alp, doradzając, byście częściej spoglądali na południe. Na Czechy. Bo stamtąd nadciągnie nowe. Stamtąd przyjdzie Przemiana.

- Pozwalam sobie watpic nieco - stwierdzil cierpko ksiadz. - Stamtad przyjda wojna i mord. I nastanie *tempus odii* , czas nienawisci.

- I czas zemsty - dorzucila zlym glosem kulawa z plowym warkoczem.

- Dobra nasza - zatarla dlonie jedna z wiedzm. - Przyda sie troche ruchu!

- Czas i los - powiedziala znacaco rudowlosa. - Zdajmy sie na czas i na los.

- Losowi - dodala mlynarka - jak sie da, dopomagajac.

- Tak czy inaczej - wyprostowal chuda postac alp - twierdze, ze to poczatek konca. Obecny porzadek runie. Runie ten wykluty w Rzymie, zachlanny, arogancko rozpanoszony, przezarty nienawiscia kult. Az zreszta dziw, ze to sie tak dlugo trzymalo, bedac tak bezsensownym, a na domiar zupełnie nieoryginalnym. Ojciec, Syn i Duch! Zwyczajna triada, jakich bezlik.

- Co do Ducha - rzekl ksiadz - to bliscy byli prawdy. Tylko plec pomylili.

- Nie pomylili - zaprzeczyla zielonoskóra i pachnaca pigwa. - Lecz zaklamali! Cóz, moze teraz, w czasie przemian, pojma wreszcie, kogo przez tyle lat malowali na ikonach. Moze wreszcie dotrze do nich, kogo naprawde przedstawiaja madonny z ich kosciolów.

- Eia! *Magna Mater* ! - krzyknely chórem wiedzmy. Na ich krzyk nalozyl sie wybuch dzikiej muzyki, lomot bebenków, krzyk i zaspiew takze od okolicznych ognisk. Nikoletta-Katarzyna - przytulila sie do Reynevana.

- Na polane! - krzyknela rudowlosa. - Na Krag!

- Eia! Na Krag!

* * *

- Sluchajcie! - krzyknal, wznoszac rece, guslarz z jelenimi rogami na glowie. - Sluchajcie!

Zgromadzony na polanie tłum zaszemral w podnieceniu.

- Sluchajcie - zawolal guslarz - słów Bogini, której ramiona i uda oplataja Wszechswiat! Która na Poczatku oddzielila Wody od Niebios i tanczyła na nich! Z tanca której zrodzil sie wiatr, a z wiatru oddech zycia!

- Eia!

Obok guslarza stanela domina, dumnie prostujac swa królewska postac.

- Powstancie - krzyknela, rozposcierajac plaszcz. - Powstancie i przyjdziecie ku mnie!

- Eia! *Magna Mater* !

- Jam jest - przemówiła domina, a jej głos był jak wiatr od gór - jam jest uroda zielonej ziemi, jam jest biały księżyc wśród tysiąca gwiazd, jam jest sekret wód. Przyjdźcie ku mnie, albowiem ja jestem duchem natury. Ze mnie wszystkie rzeczy wynikają i do mnie wszystkie muszą powrócić, przed moje oblicze, uwielbiane przez bogów i śmiertelników.

- Eiaaa!

- Jam jest Lilith, jam jest pierwsza z pierwszych, jam jest Asztarte, Kybele, Hekate, jam jest Rigatona, Epona, Rhiannon, Nocna Klacz, kochanka wichru. Czarne są moje skrzydła, stopy moje ścięte są niż wiatr, dłonie moje słodsze niż róża. Nie wie lew, kiedy stąkam, nie pojmie mych dróg zwierzę polne i lesny. Albowiem zaprawdę powiadam wam: jam jest Tajemnica, jam jest Rozumienie i Wiedza.

Ognie huczały i strzelały jezorami płomienia. Tłum falował w podnieceniu.

- Czujcie mnie w głębi serc waszych i w radości obrzędu, składajcie ofiary z aktu miłości i rozkoszy, bo miła mi taka ofiara. Albowiem jam jest dziewica nietknięta i jam jest płonąca od zady miłośnica bogów i demonów. I zaprawdę powiadam wam: jak byłem z wami od początku, tak znajdziecie mnie u kresu.

- Słuchajcie - krzyknął na koniec guslarz - słów Bogini, tej, której ramiona i uda oplatają wszechświat! Która na początku oddzieliła wody od niebios i tańczyła na nich! Tańczcie i wy!

- Eia! *Magna Mater* !

Domina gwałtownym ruchem zrzuciła płaszcz z obnażonych ramion. Wyszła na środek polany, mając u boków towarzyszek.

We trójce stanęły, uchwyciwszy się za dłonie wyprężonych ku tyłowi rąk, twarzami na zewnątrz, plecami do wewnątrz, tak, jak w malarstwie przedstawia się niekiedy gracje.

- *Magna Mater* ! Trzykroć po dziewięć! Eia!

Do trójki dołączyły trzy kolejne wiedźmy i trzech mężczyzn, wszyscy, łącząc dłonie, utworzyli koło. Na ich przeciągły krzyk, zachęcający zew, dołączyli następni. Stając w takich samych pozycjach, twarzami na zewnątrz, plecami do stanowiącej centrum dziewiątki, sformowali następny krąg. Momentalnie stworzono jeszcze jedno koło, potem następne, następne i następne, każde kolejne plecami do poprzedniego i, rzecz jasna, większe i liczniejsze. Jeżeli stworzony przez dominę i jej kompanie nexus otaczał krąg złożony z nie więcej niż trzydziestu osób, w kręgu ostatnim, zewnętrznym, było ich co najmniej trzysta. Reynevan i Nikoleta, poniesieni rozgorączkowaną ciżbą, znaleźli się w kręgu przedostatnim. Z Reynevanem sąsiadowała jedna z zamaskowanych szlachcianek. Reke Nikoletty ścisnął dziwny stwór w bieli.

- Eia!

- *Magna Mater* !

Kolejny przeciągły krzyk i rozbrzmiewająca nie wiadomo skąd dzika muzyka dały hasło - tanecznicy ruszyli, kręgi zaczęły obracać się i wirować. Wirowanie - coraz szybsze i szybsze - odbywało się naprzemiennie, każdy krąg wirował w kierunku przeciwnym, niż sąsiadujący.

Sam widok powodował zawrót głowy, inercja ruchu, szalona muzyka i frenetyczne krzyki dopielniały dzieła. W oczach Reynevana sabat rozplynał się w kalejdoskop plam, nogi, jak mu się zdawało, przestały

dotykac ziemi. Tracil swiadomosc.

- Eiaaaa! Eiaaaa!

- Lilith, Asztarte, Kybele!

- Hekate!

- Eiaaaaa!

Nie wiedzial, jak dlugo to trwalo. Ocknal sie na ziemi, wsród innych lezacych i pomalu podnoszacych sie. Nikoletta byla przy nim - nie puscila jego reki.

Muzyka wciaz grala, ale melodia zmienila sie, dziki i wizgliwie monotonny akompaniament wirowego tancza zastapily zwyczajne mile i skoczne nuty, w rytm których podnoszace sie czarownice zaczely podspiewywac, podrygiwac i plasac. Przynajmniej niektóre i niektórzy. Inni nie podnosili sie z murawy, na która upadli po tancu. Nie wstajac, polaczyli sie w pary - w wiekszosci przynajmniej, bo zdarzaly sie i trójki, i czwórki, i jeszcze obfitsze nawet konfiguracje. Reynevan nie mógł oderwac wzroku, gapil sie, bezwiednie oblizujac wargi. Nikoletta - widzial, ze i jej twarz plonie nie tylko od blasku ognisk - odciaagnela go bez slowa. A gdy odwracal glowe, ofuknela.

- Wiem, ze to ta masc... - przytulila sie do jego boku. - Lotna masc tak je rozpala. Ale nie patrz na nie. Obraze sie, jesli bedziesz patrzyl.

- Nikoletto... - scisnal jej dlon. - Katarzyno...

- Wole byc Nikoletta - przerwala natychmiast. - Ale ciebie... Ciebie wolalabym jednak nazywac Reinmarem. Gdy cie poznalam, byles, nie przecze, zakochanym Alkasynem. Ale wszak nie dla mnie nim byles. Nic nie mów, prosze. Słowa nie sa potrzebne.

Plomien niedalekiego ogniska strzelil w góre, sypnela sie w niebo kurzawa iskier. Tanczacy wokół zakrzyczeli radosnie.

- Rozhulali sie - mruknal - tak, ze nie zwróca uwagi, gdy sie wymkniemy. A chyba czas sie wyniknac...

Odwrócila twarz, odbłask ognia zatanczyl na jej policzkach.

- Dokad ci tak pilno?

Nim ochlonal ze zdumienia, uslyszal, ze ktos sie zbliza.

- Siostro i konfratrze.

Stala przed nimi rudowlosa, trzymajac za reke mloda wieszczke o lisiej twarzy.

- Mamy sprawe.

- Slucham?

- Elizska, ta tutaj - zasmiala sie swobodnie ruda - wreszcie zdecydowala sie zostac kobieta. Tlumacze jej, ze to wszystko jedno, z kim, chetnych tu wszak nie brakuje. Ale ona uparla sie jak prawdziwa koza.

Krótko: tylko on i on. Znaczący ty, Toledo.

Wieszczka spuściła podkrążone oczy. Reynevan przelknął sline.

- Ona - kontynuowała *bona hemina* - wstydzi się i wajuje spytać wprost. Trochę też leka się Ciebie, siostrze, że jej oczy wydrapiasz. A że noc krótka i czasu żal na gonienie się wokół krzaków, spytam wprost: jak to z wami jest? Jesteś dla niego *joioza*? A on dla Ciebie *bachelor*? Jest wolny czy też zgłaszasz do niego prawa?

- Mój ci jest - odrzekła Nikoletta krótko i bez wahania, wprowadzając Reynevana w krancowe osłupienie.

- Sprawa jasna - kiwnęła głową rudowłosa. - Cóż, Eliszka, gdy się nie ma, co się lubi... Chodź, znajdziemy ci kogoś innego. Bywajcie. Dobrej zabawy!

- To ta maść - Nikoletta ścisnęła mu ramię, a głos miała taki, że aż się wzdrygnął. - To ta maść sprawia. Wybaczysz mi?

- Bo może - nie dała mu ochłonąć - miałaś na nią ochotę? Ha, jakie może, z pewnością miałaś, ta maść działa na Ciebie tak samo, jak... Wiem, jak działa. A ja przeszkodziłam, wlałam w parady. Nie chciałam, byś ją miała. Ze zwyczajnej zazdrości. Czegoś Ci pozbawiłam, niczego nie przyrzekając w zamian. Zupełnie jak pies ogrodnika.

- Nikoletto...

- Usiadźmy tu - przerwała, wskazując małą grocie w zboczu góry. - Nie skarżyłam się dotąd, ale od tych wszystkich atrakcji ledwie trzymam się na nogach.

Usiedli.

- Boże - odezwała się - tyle wrażeń... Pomysleć tylko, że wtedy, po tym poszyciu nad Stobrawą, gdy opowiadałam, żadna mi nie uwierzyła, Elżbieta, Anka ani Kaska, żadna nie chciała dać wiary. A teraz? Gdy opowiem o porwaniu, o podniebnym locie? O sabacie czarownic? Chyba...

Chrzaknęła.

- Chyba w ogóle nic im nie powiem.

- Słusznie - kiwnął głową. - Pomijając już rzeczy niewiarygodne, moja osoba w Twojej opowieści nie wypadłaby najkorzystniej. Prawda? Od śmieszności do okropności. I kryminału. Z blazna zostałam rozbójnikiem...

- Przecież nie z własnej woli - przerwała mu natychmiast. - I nie skutkiem własnych uczynków. Kto ma o tym wiedzieć lepiej niż ja? To ja wysledziłam w Ziebicach Twoich druhów. I zdradziłam im, że będą Cię wieźli na Stolz. Domyslałam się, co było potem i wiem, że to wszystko przeze mnie.

- To nie takie proste.

Siedzieli przez jakiś czas w ciszy, patrząc na ognie i tańczące wokół nich sylwetki, zasluchani w śpiew.

- Reinmarze?

- Slucham.

- Co to znaczy: Toledo? Dlaczego one tak cie nazywaly?

- W Toledo, w Kastylii - wyjasnil - jest slynna akademia magiczna. Utarlo sie, w niektórych kregach przynajmniej, nazywac tak tych, którzy arkana czarnoksieskie studiowali w uczelniach, w odróżnieniu od takich, którzy moce magiczne maja wrodzone, a wiedze przekazywana z pokolenia na pokolenie.

- A ty studiowales?

- W Pradze. Ale raczej krótko i pobieżnie.

- Wystarczylo - z lekkim ociaganiem dotknela jego dloni, potem ujela ja smiej. - Byles widac pilny w nauce. Nie zdazyłam ci podziakowac. Odwaga, która podziwiam, i zdolnościami wybawiles mnie, ocaliles... przed nieszczęściem. Przedtem tylko ci współczulam, bylam zafascynowana twoja historia, rodem wprost z kart Chretien de Troyes czy Hartmanna von Aue. Teraz cie podziwiam. Jesteś dzielny i mądry, mój Podniebny Rycerzu Latajacej Debowej Laweczki. Chce, bys byl moim rycerzem, moim magicznym Toledo. Moim i tylko moim. Dlatego wlasnie, z zachlannej i samolubnej zawisci, nie chcialam cie oddac tamtej dziewczynie. Nie chcialam cie jej odstapic nawet na chwile.

- Ty - baknal, zaklopotany - wiecej razy ratowalas mnie. To ja jestem twoim dluznikiem. I tez ci nie dziekowalem. Przynajmniej nie tak, jak nalezy. A przysiegalem sobie, ze gdy cie spotkam, padne ci do nóg...

- Podziekuj - przytulila sie do niego. - Tak, jak nalezy. I padnij mi do nóg. Snilam o tym, ze padasz mi do nóg.

- Nikoletto...

- Nie tak. Inaczej.

Wstala. Od ognisk dolecial smiech i dziki spiew.

Veni, veni, venias,

ne me mori, ne me mori facias!

Hyrca! Hyrca!

Nazaza!

Trillirivos! Trillirivos! Trillirivos![\[36.\]](#)

Jela rozbierac sie, wolno, niespiesznie, nie spuszczajac oczu, plonacych w ciemnosci. Rozpiela nabijany srebrem pasek. Zdjela rozcieta bokami cotehardie, zwlekla welniana ciasnoszke, pod która miala tylko cieniutenka biala chemise. Przy chemise zawahala sie lekko. Sygnal byl czytelny. Zblizyl sie powoli, dotknal jej delikatnie. Koszula, rozpozнал dotykem, uszyta byla z flandryjskiej tkaniny nazwanej od

imienia wynalazcy, Baptysty z Cambrai. Wynalazek pana Baptysty miał duży wpływ na rozwój włókiennictwa. I seksu.

Pulchra tibi faciem

Oculorum acies

Capiliorum series

O quam clara species!

Nazaza!

Ostrożnie dopomógł jej, jeszcze ostrożniej i jeszcze delikatniej pokonując instynktowny opór, cichy odruchowy lek.

Gdy tylko wynalazek pana Baptysty znalazł się na ziemi, na innych ciuszkach, westchnął, ale Nikoletta nie pozwoliła mu długo napawać się widokiem. Mocno przywarła do niego, oplatając ramionami i szukając ustami jego ust. Posłuchał. A temu, czego poskapiono jego oczom, kazał zachwycać się dotykiem. Składać hold drzącymi palcami i dłońmi.

Ukleknął. Padł jej do nóg. Składał hold. Jak Percival przed Graalem.

Rosa rubicundior,

Lilio candidior,

Omnibus formosior,

Semper, semper in te glorior!

Uklekła również, objęła go mocno.

- Wybacz - szepnęła - brak wprawy.

Nazaza! Nazaza! Nazaza!

Brak wprawy nie przeszkodził im. Wcale.

Glosy i śmiechy tanczących oddaliły się nieco, scichły, a w nich cichła namietność. Ramiona Nikoletty drżały lekko, czuł też dygotanie oplatających go ud. Widział, jak drża jej zamknięte powieki i przygryziona dolna warga.

Gdy wreszcie pozwoliła mu na to, uniósł się. I podziwiał. Owal twarzy jak u Campina, szyje jak u Parlerowskich madonn. A poniżej - skromna, zawstydzona *nuditas virtualis* - małe okraglutkie piersi ze stwardniałymi od zadzy sutkami. Cienka talie, wąskie biodra. Płaski brzuch. Wstydliwie przykurczone uda, pełne, piękne, godne najwyszukanszych komplementów. Od komplementów zreszta i piekności odurzonemu Reynevanowi aż gotowało się w głowie. Był wszak erudyta, truverem, kochankiem - we własnym pojęciu - na miarę Tristana, Lancelota, Paola da Rimini, Gwilelma de Cabestaing co najmniej. Mógł - i chciał - jej powiedzieć, że jest *lilio candidior*, bielsza niż lilia, *iomnibus formosior*, piękniejsza od wszystkich. Mógł - i chciał - jej powiedzieć, że jest *pulchra inter mulieres*. Mógł - i chciał - jej powiedzieć, że jest *forma pulcherrima Dido, deas supereminet omnis, la regina savoroza, Izeult la blonda, Beatrice, Blanziflor, Helena, Venus generosa, herzeliebez uroweltn, lieta come bella, la regina del cielo*. Wszystko to mógł - i chciał - jej powiedzieć. I nie był w stanie precyzyjnie sformułować słowa przez ściśniętą krtan. [\[37.\]](#)

Zauważyła to. Wiedziała. Jak mogła nie zauważyć i nie wiedzieć? Przecież tylko w oczach oszalonego szczęściem Reynevana była dziewczeczka, panna, która drży, tuli się, zamyka oczy i przygryza dolną wargę w bolesnej ekstazie. Dla każdego mądrego mężczyzny - gdyby taki był w pobliżu - sprawa byłaby jasna: to nie niesmiała i niewprawna młódka - to bogini, która z dumą przyjmuje należny jej hold. A boginie wszystko wiedza i wszystko zauważają.

I nie oczekują holdów w postaci słów.

Pociągnęła go na siebie. Wracał rytuał. Odwieczny obrządek.

Nazaza! Nazaza! Nazaza!

Trillirivos!

Wówczas, na polanie, słowa dominy nie w pełni dotarły do niego, głos, który był jak wiatr od gór, gubił się jednak w poszumie ciszy, tonął w krzykach, śpiewach, muzyce, huku ognia. Teraz, w łagodnym szale spełnianej miłości, słowa wracały dzwicznie, wyraźnie. Dobitnie. Słyszał je poprzez szum krwi w uszach. Ale czy do końca pojmował?

„Jam jest uroda zielonej ziemi, jam jest Lilith, jam jest pierwsza z pierwszych, jam jest Asztarte, Kybele, Hekate, jam jest Rigatona, Epona, Rhiannon, Nocna Klacz, kochanka wichru.”

„Czcijcie mnie w glebi serc waszych, składajcie ofiary z aktu miłości i rozkoszy, bo miła mi taka ofiara.”

„Albowiem jam jest dziewica nietknięta i jam jest płonąca od zadzy miłośnica bogów i demonów. I zaprawdę powiadam wam: jak byłem z wami od początku, tak znajdziecie mnie u kresu.”

Znaleźli Ja u kresu. Oboje.

Ognie były w niebo dzikimi eksplozjami iskieł.

* * *

- Przepraszam cie - powiedział, patrząc na jej plecy. - Za to, co się stało. Nie powinienem... Wybacz mi.

- Słucham? - odwróciła twarz. - Co mam ci wybaczyć?

- To, co się stało. Byłem nierozsądny... Zapomniałem się. Zachowałem niewłaściwie...

- Czy mam rozumieć - przerwała - że załujesz? Czy to chciałeś powiedzieć?

- Tak... Nie! Nie, nie to... Ale należało... Należało zapanować... Powinienem być rozsądniejszy...

- Więc jednak załujesz - przerwała mu znowu. - Robisz sobie wyrzuty, masz poczucie winy. Mniemasz że skrucha, że stała się szkoda. Krótko mówiąc: wiele byś dał, by to, co się stało, mogło się odstąpić. Bym ja mogła się odstąpić.

- Posłuchaj...

- A ja... - nie chciała słuchać. - Ja, pomyśl tylko... Ja gotowa byłam iść za tobą. Zaraz, jak stoje. Tam, dokąd ty idziesz. Na koniec świata. Był z tobą.

- Pan Biberstein... - wybał, spuszczał wzrok. - Twój ojciec...

- Jasne - przerwała i tym razem. - Mój ojciec. Wysłał posąg. A dwa posągi to jednak dla ciebie za dużo.

- Nikoletto... Nie rozumiałaś mnie.

- Mylisz się. Rozumiałam.

- Nikoletto...

- Nic już nie mów. Zasnij. Spij.

Dotknęła dłoń jego warg, ruchem tak szybkim, że umykał wzrokowi. Wzdrygnął się. I nie wiedząc kiedy znalazł się po chłodnej stronie wzgórza.

Usnął, zdawało mu się, tylko na małą chwilę. A jednak, gdy się obudził, nie było jej przy nim.

* * *

- Oczywiście - powiedział alp. - Oczywiście, że ja pamiętam. Ale przykro mi. Nie widziałem jej.

Towarzyszaca mu hamadriada wspierała się na palce, coś szepnęła mu do ucha, po czym skryła się za jego plecy.

- Jest trochę niesmiała - wyjaśnił, gładząc ją po sztywnych włosach. - Ale może pomóc. Pozwól z nami.

Poszli w dół po zboczu. Alp nucił pod nosem. Hamadriada pachniała żywicą i mokra topolowa kora. Noc Mabon miała się ku koncowi. Wstawał świt, ciężki i metny od mgły.

W grupie diskutujących nielicznych już pozostałych na Grochowej uczestników sabatu odnaleźli istotę płci żeńskiej, te o oczach świecących jak fosfor, a skórze zielonej i pachnącej pigwą.

- Owszem - kiwnęła głową wypytana Pigwa. - Widziałam te dziewczyny. W grupie kobiet schodziła w kierunku Frankensteinu. Jakis czas temu.

- Zaczekaj - alp chwycił Reynevana za ramię. - Bez pośpiechu! I nie tedy. Z tej strony górę otacza Las Budzowski, zabładzisz w nim jak dwa a dwa cztery. Poprowadzimy cie. Nam zresztą też trzeba w tamtą stronę. Mamy tam interes.

- Ide z wami - powiedziała Pigwa. - Pokażę, któredy dziewczyna poszła.

- Dziękuję - rzekł Reynevan. - Jestem wam bardzo wdzięczny. Nie znamy się przecież... A pomagacie mi...

- Zwykliśmy sobie pomagać - Pigwa odwróciła się, przeszła go fosforowym spojrzeniem. - Byliście ładną parą. A tak mało już nas zostało. Jeśli nie będziemy sobie wzajemnie pomagać, wyginieemy ze szczeniem.

- Dziękuję.

- A ja - wycedziła Pigwa - wcale nie ciebie miałam na myśli.

Weszli w jar, koryto wyschniętego strumienia, obrosnięte wierzbami. Z mgły przed nimi rozległo się ciche przekleństwo. A za moment dostrzegli kobiety, siedzące na omszałym glazie i wytrasające kamyki z cizem. Reynevan poznał ją od razu. Była to pulchna i wciąż jeszcze nosząca ślady maki młynarka, kolejna uczestniczka debaty przy beczulce jablecznika.

- Dziewka? - spytana, zastanowiła się. - Ta jasnowłosa? Aaa, ta szlachcianka, co była z tobą, Toledo? Widziałam ją, a jakże. Tedy szła. Ku Frankensteinowi. W kupie, kilka ich było. Jakis czas temu.

- Tedy szły?

- Tedy. Zaraz, zaraz, poczekajcie. Ide z wami.

- Bo masz tam interes?

- Nie. Bo tam mieszkam.

Młynarka nie była, delikatnie mówiąc, w najlepszej formie. Szła opieszale, czkając, mrucząc i powlócząc nogami. Denerwująco często przystawała, by poprawiać garderobę. Niewiadomym

sposobem wciaz nabierala do cizem zwiru, musiala siadac i wytrzasac go - a robila to denerwujaco wolno. Za trzecim razem Reynevan gotow juz byl wziac babe na barana i niesc, byle tylko zwiekszyz tempo.

- Moze by tak szybciej, kumoszko? - spytal slodko alp.

- Sam jestes kumoszka - odgryzla sie mlynarka. - Zaraz bede gotowa. Jeszcze ino... Momencik...

Zamarla z cizma w rece. Uniosla glowe. Nadstawila ucha.

- Co jest? - spytala Pigwa. - Co...

- Cicho - uniosl reke alp. - Cos slyszesz. Cos... Cos nadchodzi...

Ziemia zatrzesla sie nagle, zadudnila. Z mgly wypadly konie, caly tabun, nagle zaroilo sie wokol nich od bijacych i dracych ziemie kopyt, od rozwianych grzyw i ogonow, wyszczerzonych zebow w spienionych pyskach, od dzikich oczu. Ledwie zdolali uskoczyc za glazy. Konie przelecialy w szalenczym galopie, znikly rownie nagle, jak sie pojawily. Ziemia tylko dygotala wciaz od uderzen kopyt.

Nim zdolali ochlonac, z mgly wynurzyl sie nastepny kon. Ale w odrzniczeniu od poprzednich ten niosl jezdzca. Jezdzca w saladzie, w pelnej plytowej zbroi, w czarnym plaszczu. Plaszcz, rozwiany w galopie u ramion, wygladal jak skrzydla upiora.

-Adsumus !Adsuumuuuuuus !

Rycerz sciagnal wodze, kon stanal deba, zamlócił powietrze przednimi kopytami, zarzal. A rycerz dobyl miecza i runal na nich.

Pigwa krzyknela cienko, a nim krzyk przebrzmial, rozpadla sie - tak, to bylo wlasciwe slowo - rozpadla sie na milion ciem, ktore chmara rozlecialy sie w powietrzu, znikly. Hamadriada bezszelestnie wrosla w ziemie, w okamgnieniu wysmuklala, pokryla sie kora i liscmi. Mlynarka i alp, rownie sprytnych trikow na podorezniu widac nie majacy, zwyczajnie rzucili sie do uciezki. Reynevan, ma sie rozumiec, tez, za nimi. Tak szybko, ze ich wyprzedzil. Az tu mnie znalezli, myslal goraczkowo. Az tu mnie znalezli.

-Adsumus !

Czarny rycerz w przelocie chlasnal mieczem zamieniona w drzewko hamadriade, drzewko wydalo straszny krzyk, trysnelo sokiem. Mlynarka obejrzala sie, na wlasna zgube. Rycerz obalil ja koniem, usilujaca wstac cial, zwisajac z kulbaki, cial tak, ze az ostrze zachrupotalo na kosci czerepu. Czarownica upadla, skrecajac sie i wijac wsród suchych traw.

Alp i Reynevan pedzili ile sil w nogach, ale z galopujacym koniem nie mieli szans. Rycerz dogonil ich szybko. Rozdzielili sie, alp pognal w prawo, Reynevan w lewo. Rycerz pogalopowal za alpem. Po chwili z mgly dobiegl wrzask. Swiadcacy, ze alpowi nie dane bylo doczekac przemian i czeskich husytow.

Reynevan biegł na złamanie karku, dysząc i nie oglądając się. Mgła tłumila dzwieki, ale lomot kopyt i rzenie wciaz za soba slyszal - lub wydawalo mu sie, ze slyszy.

Tupot kopyt i chrap konia uslyszal nagle tuz przed soba. Stanal, martwiejac ze zgrozy, ale nim zdolal cokolwiek przedsiwziac, z mgly wynurzyla sie spieniona jablkowita klacz, niosaca w siodle niewysoka i tega kobiete w meskim wamsie. Kobietka na jego widok wryla klacz, odrzucajac z czola nieporzadnie

rozwiana grzywe pływających włosów.

- Pani Dzierzka... - wystękał, zdumiony. - Dzierzka de Wirsing...

- Krewniak? - handlarz koni wyglądała na nie mniej zdumiona. - Ty? Tutaj? Zaraza, nie stój! Dawaj reke, skacz za mnie!

Chwycił wyciągnięta dłoń. Ale było za późno.

-*Adsuumuuuus !*

Dzierzka zeskoczyła z kulbaki z zaskakującą przy jej kompleksji gracją i zwinnością. Równie zwinnie zdarła z pleców kuszę i rzuciła ją Reynevanowi. Sama chwytając drugą, przypięta do siodła.

- W konia! - wrzasnęła, rzucając mu belty i instrument do napinania, zwany „kozia nóżka”. - Mierz w konia!

Czarny rycerz pedził na nich ze wzniesionym mieczem i rozwianym płaszczem, takim galopem, że płatami leciała w górę rwana darn. Rece Reynevana dygotały, haki „koziej nóżki” za nic nie chciały zaskoczyć za cieciewe i czopy na łożu kuszy. Zaklął rozpaczliwie, pomogło, haki chwyciły, cieciewa złapała orzech. Drzazga dłoni nałożył belt.

- Strzelaj!

Strzelił. I chybił. Bo wbrew rozkazowi nie mierzył w konia, lecz w jeźdźcę. Widział, jak grot beltu skrzesał iskry, ocierając się o stalowy naramiennik. Dzierzka zakleła gromko i plugawie, zdmuchnęła włosy z oczu, wycelowała, nacisnęła spust. Belt trafił konia w pierś i cały się schował. Kon zakwiczął, zachrapał rzezaco, runął na kolana i na leb. Czarny rycerz zwałił się z siodła, poturlał, gubiąc hełm i miecz. I zaczął wstawac.

Dzierzka zakleła znowu, teraz obojgu trzesły się rece, obojgu koziej nóżki raz po raz zeslizgiwały się z czopów, belty wypadły z rowków. A czarny rycerz wstał, odpiał od siodła wielki morgenstern, ruszył ku nim chwiejnym krokiem. Na widok jego twarzy Reynevan stłumił krzyk, przyciskając usta do łoża kuszy. Twarz rycerza była biała, srebrzysta wręcz, jak u trefowatego. Okolone sinoczerwonym cieniem oczy były dzikie i nieprzytomne, w zasłinionych i pokrytych pianą ustach błyskały zęby.

-*Adsuumuuuus !*

Szczeknęły cieciewy, syknęły belty. Oba trafiły, przebijając zbroje z głośnym trzaskiem, oba weszły aż po lotki - jeden przez obojczyk, drugi przez napiersnik. Rycerz zachwiał się, zatoczył mocno, ale utrzymał na nogach, ku przerażeniu Reynevana ruszył na nich znowu, wrzeszcząc niezrozumiale, plując płynącą mu z ust krwią i wymachując morgensternem. Dzierzka zakleła, odskoczyła, nadaremnie usiłując zarepetować kuszę, widząc, że nie zdąży, odskoczyła przed ciosem, potknęła się, upadła, na widok lecącej ku niej kolczastej kuli zakryła głowę i twarz ramionami.

Reynevan krzyknął, krzykiem ratując jej życie. Rycerz zwrócił się ku niemu, a Reynevan strzelił z bliska, mierząc w brzuch. Belt i tym razem wszedł aż po lotki, z suchym trzaskiem dziurawiąc folgową szorcę. Siła uderzenia była znaczna, grot musiał utkwic głęboko w trzewiach, mimo tego rycerz nie upadł i tym razem, zachwiał się, ale odzyskał równowagę, ruszył szybko na Reynevana, rycząc i wznosząc morgenstern do ciosu. Reynevan cofał się, usiłując zaczepić koziej nóżki za cieciewe. Zaczepił, napiął kuszę. I dopiero wtedy polapał się, że nie ma beltu. Zawadził obcasem o grude, siadł na ziemi, że zgroza

patrzac na zbliżająca się śmierć - błada jak lepur, dzikooka, tocząca z ust pianę i krew. Zasłonił się trzymana oburącz kuszą.

- *Adsumus !Adsum...*

Wciąż półleżąc, półsiedząc, Dzierzka de Wirsing nacisnęła spust kuszy i wpakowała mu belt prosto w potylicę. Rycerz upuścił morgenstern, bezładnie zamachał rękami i runął jak kłoda, aż wyczuwalnie zatrzęsł się grunt. Padł o pół kroku od Reynevana. Mając w mózgu żelazny grot i kilka cali jesionowego drewna, nie był, o dziwo, całkiem martwy. Jeszcze parę długich chwil charczał, dygotał i drapał dłońmi. Wreszcie znieruchomiał.

Dzierzka czas jakiś kleczała, wsparta na wyprostowanych ramionach. Potem zwymiotowała gwałtownie. Potem wstała. Zarepetowała kuszę, nałożyła belt. Podeszła do chrapiącego konia rycerza, wycelowała z bliska. Szczeknęła ciciwa, łeb zwierzęcia bezwładnie lomotnął o ziemię, tylne nogi wierzgnęły spazmatycznie.

- Kocham konie - powiedziała, patrząc Reynevanowi w oczy. - Ale na tym świecie, by przeżyć, trzeba czasem poświęcić to, co się kocha. Zapamiętaj to, krewniaku. I na drugi raz celuj w to, w co kaze.

Kiwnął głową, wstał.

- Uratowałeś mi życie. I pomściłeś brata. W jakiejś tam części.

- To oni... Ci jeźdźcy... zabili Peterlina?

- Oni. Nie wiedziałeś? Ale nie czas na pogaduszki, krewniaku. Trzeba uciekać, nim zaskoczą nas tu jego kamraci.

- Ścigali mnie aż tutaj...

- Nie ciebie - zaprzeczyła beznamietnie Dzierzka. - Mnie. Czekali na mnie w zasadzce zaraz za Bardem, koło Potworowa. Rozgonili tabun, roznieśli eskortę, czternastu trupów leży tam na gościncu. Byłabym między nimi, gdyby nie... Za dużo gadamy!

Włożyła palce do ust, gwizdnęła. Po chwili o grunt zadudniły kopyta, z mgły wyłoniła się biegnąca klusem jablokowita klacz. Dzierzka wskoczyła na siodło, po raz kolejny zadziwiając Reynevana zwinnością i kocia ściągnięciem gracji ruchów.

- Czego stoisz?

Chwył jej dłoń, wskoczył za nią na zad klaczy. Klacz zachrapała i zadrobiła kopytami, wykrecając łeb cofnęła się od trupa.

- Kto to był?

- Demon - odpowiedziała, odgarniając z czoła nieposłuszne włosy. - Jeden z tych, co krocza w ciemności. Ciekawe tylko, kurwa, kto na mnie doniósł...

- Haszsz'aszin.

- Co?

- Haszsz'aszin - powtórzył. - Ten tutaj był pod wpływem odurzającej arabskiej substancji ziołowej, zwanej *haszsz'isz*. Nie słyszałaś o Starcu z Gór? O asasynach z cytadeli Alamut? W Chorasanie, w Persji?

- Do diabła z twoim Chorasaniem - obróciła się w siodle. - I z twoją Persją. Jesteśmy, jeśli do ciebie jeszcze nie dotarło, na Śląsku, u podnóża Góry Grochowej, mile od Frankensteinu. Ale do ciebie, widzi mi się, dużo może nie docierać. Schodzisz ze stoków Grochowej o świcie po jesiennej równonocy. I diabli wiedzą pod wpływem jakiej jesteś arabskiej substancji. Ale to, że grozi nam śmierć, powinieneś pojmować. Zamknij się więc i trzymaj, bo będę jechać ostro!

* * *

Dzierzka de Wirsing przesadzała - strach, jak zwykle, miał wielkie oczy. Na drodze i na zarosniętym chwastami poboczu leżało tylko osiem trupów, z czego pięciu zabitych należało do zbrojnej eskorty, broniącej się do ostatka. Blisko połowa z czternastoosobowej ekipy ocalała, ratując się ucieczką w pobliskie lasy. Z tych wrócił tylko jeden - stajenny, który, będąc w lecjach, daleko nie odbiegał. I którego teraz, gdy się już wyżej podniosło słońce, odkryli w zarosłach rycerze, nadjeżdżający gościncem od Frankensteinu.

Rycerze - ich orszak wraz z giermkami i pacholkami liczył dwadzieścia jeden głów - jechali wojennie, w pełnej białej płycie, z rozwiniętymi proporcami. Większość z nich bywała w boju, większość widziała w życiu niejedno. Mimo tego większość ta przelykała teraz ślinę na widok okrutnie posiekanych ciał, poskrecanych na piasku czarnym od wsiakłej krwi. I nikt nie drwił z chorobliwej bladoci, która na ten widok wypelzła na lica młodszych i mniej bywałych.

Słońce uniosło się wyżej, rozproszyło mgłę, w jego blasku zalsniły rubinowo skrzeple krople, wiszące, niczym jagody, na porastających pobocze ostach i bylicach. W żadnym z rycerzy widok nie wzbudził ani estetycznych, ani poetycznych skojarzeń.

- Ale ich, kurna mac, porabali - powiedział, splunawszy, Kunad von Neudeck. - Alez tu sieczka była, hej.

- Katowskie ciecica - zgodził się Wilhelm von Kauffung. - Rzeźnia.

Z lasu wylonili się następni ocaleli, pacholcy i koniuchy. Choć bladzi i półprzytomni ze strachu, nie zapomnieli o obowiązkach. Każdy wiódł kilka koni z tych, które rozpiezchły się podczas napadu.

Ramfold von Oppeln, najstarszy z rycerzy, spojrzal z wysokości siodła na stajennego, dygocącego ze strachu wśród otaczających go jeźdźców.

- Kto was napadł? Mówże, chłopie! Uspokój się. Przechyłes. Nic ci już nie grozi.

- Bóg ustrzegł... - w oczach stajennego wciąż wirowała panika. - I Matka Boska Bardzka...

- Przy okazji daj na msze. A teraz gadaj. Kto was pobił?

- A mnie ta skąd wiedzieć? Napadli... W zbroi byli... W żelazie... Jako i wy...

- Rycerze! - zachnął się dryblas z twarzą mnicha, noszący na czerwonej tarczy dwie srebrne skrzyżowane kłonicę. - Rycerze napadają kupców na gościncach! Na meke Panska, najwyższa pora temu raubritterstwu kres położyć. Najwyższa pora przedsięwziąć ostre jakie środki! Może, gdy kilka łbów na szafotach zleci, opamiętają się wreszcie panowie z zamczków!

- Święta racja - przytaknął z kamienną twarzą Wencel de Hartha. - Święta racja, panie von Runge.

- A dlaczego - wznowił śledztwo von Oppeln - was napadnięto? Wieźliscie coś drogiego?

- Gdzie tam... No, chyba, że konie...

- Konie - powtórzył w zamysleniu de Hartha. - Łasa rzecz, konie ze Skalki. Ze stadniny pani Dzierzki de Wirsing... Świec, Panie, nad jej...

Urwał, przelknął ślinę, nie mogąc oderwać oczu od zmasakrowanej twarzy kobiety, leżącej na piasku w makabrycznie nienaturalnej pozycji.

- To nie ona - stajenny zamrugł nieprzytomnymi oczyma. - To nie pani Dzierzka. To niewiasta masztalerza... O, tego, co tam leży... Jechała z nami od Kłodzka...

- Pomylili się - chłodno stwierdził fakt Kauffung. - Wzięli tę masztalerzową za Dzierzkę.

- Musi wzięli - potwierdził beznamiętnie stajenny. - Bo...

- Bo co?

- Wyglądała dostojnie.

- Czyżbyście - von Oppeln wyprostował się w siodle. - Czyżbyście, panie Wilhelmie, sugerowali, że to nie był napad rabunkowy? Że to pani de Wirsing...

- Była celem? Tak. Jestem tego pewien.

- Była celem - dodał, widząc pytające spojrzenia pozostałych rycerzy. - Była celem jak Mikołaj Neumarkt. Jak Fabian Pfefferkorn... Jak inni, wbrew zakazom handlujący z... z zagranicą.

- Winnymi są rycerze rabusie - rzekł twardo von Runge. - Nie łza dawać wiary głupim bajaniom, plotkom o spiskach i nocnych demonach. To wszystko są i były zwyczajne napady rozbójnicze.

- Mogli też - rzekł ciekawym głosem młodzieńca Henryk Baruth, dla odróżnienia od wszystkich innych Henryków w rodzinie zwany Szpaczkiem. - Mogli też te zbrodnie popełnić Żydzi. Dla zdobycia chrześcijańskiej krwi, wiecie, na mace. O, pojrzyjcie na tego tu, nieszczęśnika. W tym kropli krwi chyba nie zostało...

- Jak miało zostać - Wencel de Hartha spojrzał na młodzieńca z politowaniem - kiedy głowy u niego nie zostało...

- Mogły tego - wtracił ponuro Gunter von Bischofsheim - dokonać one więdzmy na miotłach, co na nas wczoraj nocą przy ognisku spadły! Na myćkę świętego Antoniego! Toż to się zaczyna powoli rozwiązywać zagadka! Przeczą wam mówilem, że był między diabolicami Reinmar de Bielau, że go rozpoznał! A rzecz pewna, że de Bielau to czarownik, że w Olesnicy czarna magia się parali, że uroki

rzucal na niewiasty. Tamtejsi panowie moga potwierdzic!

- Ja tam nic nie wiem - zamamrotal, patrzac na Benno Ebersbacha, Ciolek Krompusz. Obaj wczorajszej nocy rozpoznali Reynevana wsród lecacych niebem wiezdm, ale woleli sie z tym nie zdradzac.

- Ano, tak jest - odchrzaknal Ebersbach. - My w Olesnicy rzadko bywamy. Plotków nie sluchamy...

- Nie plotki to - spojrzal na niego Runge - lecz fakty. Bielawa czary uprawial. Przekletnik pono brata wlasnego zabil, jak Kain, gdy ten czarcie jego praktyki odkryl.

- Rzecz to pewna - przytaknal Eustachy von Rochów. - Mówil o tym pan von Reideburg, strzelinski starosta. Do niego zas takie wieści z Wroclawia doszly. Od biskupa. Mlody Reinmar de Bielau oszalal od uprawianych czarów, diabel rozum mu pomieszal. Diabel reka jego kieruje, do zbrodni pcha. Zabil wlasnego brata, zabil pana Albrechta Barta z Karczyna, zamordowal kupca Neumarkta, zamordowal kupca Hanusza Throsta, ba, na ksiecia ziebickiego sie pono zamachnal...

- Juzci zamachnal - potwierdzil Szpaczek. - Do wiezy za to poszedl. Ale zbiegl. Z diabelska pomoca niezawodnie.

- Jesli to czartowska sprawa - rozejrzal sie z niepokojem Kunad von Neudeck - to jedzmy stad co zywo... Bo jeszcze sie do nas co zlego przyczepi...

- Do nas? - Ramfold von Oppeln pacnal dlonia w zawieszona u siodla tarcze, powyzej herbowego srebrnego oseka przepasana wstega z czerwonym krzyzem. - Do nas? Do tego znaku? Dyc zesmy krzyz wzieli, dyc my krzyzowcy, z biskupem Konradem krzyzowa wyprawa na Czechy idziem, bic heretyków, Boga bronie i religii! Nie ma do nas czart przystepu. Bosmy *milites Dei*, anielska milicja!

- Jako anielska milicja - zauwazyl von Rochow - mamy i nie tylko przywileje, ale i obowiazki.

- Co chcecie przez to rzec?

- Pan von Bischofsheim rozpoznal Reinmara z Bielawy wsród czarownic lecacych na sabat. O tym, jak tylko zajedziemy do Klodzka, na punkt zborny krucjaty, trzeba nam doniesc Swietemu Oficjum.

- Donosic? Panie Eustachy! Wzdysmy pasowani!

- Wzgleciem czarów i herezji donos rycerskiej czci nie plami.

- Zawsze plami!

- Nie plami!

- Plami - orzekl Ramfold von Oppeln. - Ale doniesc trzeba. I sie doniesie. A ninie dalej, panowie, w droge, do Klodzka, nie lza sie nam, anielskiej milicji, na punkt zborny spóźnic.

- Bylby wstyd - potwierdzil cienko Szpaczek - gdyby biskupia krucjata bez nas na Czechy ruszyla.

- Tedy jazda, w droge - Kauffung obrócił konia. - Tym bardziej, ze nic tu juz po nas. Kto inszy, widze, afera sie zajmie.

W samej rzeczy, goscincem nadjezdza zbrojni burgrabiego z Frankensteinu

* * *

- Oto - Dzierzka de Wirsing wstrzymała konia, westchnęła mocno, przytulony do jej pleców Reynevan poczuł to westchnienie. - Oto i Frankenstein. Most na rzece Budzówce. Na lewo od drogi hospicjum bozogrobców, kościół świętego Jerzego i Narrenturm. Na prawo młyny i budy farbiarzy. Dalej, za mostem, brama miejska, zwana Klodzka. Tam zamek ksiązcy, tam wieża ratusza, tam fara świętej Anny. Zsiadaj.

- Tu?

- Tu. Ani myśle pokazywać się w pobliżu miasta. A i tobie by się zastanowić, krewniaku.

- Ja muszę.

- Tak myślałam. Zsiadaj.

- A ty?

- Ja nie muszę.

- Pytałem, dokąd pojedziesz.

Dmuchięciem odrzuciła włosy. Spojrzała na niego. Zrozumiał spojrzenie i więcej pytań nie zadawał.

- Bywaj, krewniaku. Do widzenia.

- Oby w lepszych czasach.

Rozdział dwudziesty szósty

w którym w mieście Frankenstein spotyka się wielu starych - choć niekoniecznie dobrych - znajomych.

Posrodku niemal rynku, między przegierzem a studnią rozciągała się spora kaluża, śmierdząca gnojem i spieniona od konskiego moczu. Pluskało się w niej sporo wróbli, dokola zaś siedziała gromada obdartych, rozczochranych i brudnych dzieci, zajętych babraniem się w brudzie, wzajemnym ochlapywaniem, czynieniem hałasu i puszczaniem lódeczek z kory.

- Tak, Reinmarze - Szarlej dokonał polewki, drapiąc łyżką dno miski. - Trzeba przyznać, że twój nocny lot mi zaimponował. Niezles leciał, w samej rzeczy, ktoś mógłby rzec: orzeł. Król lataczy.

Pamiętasz, prorokowałem ci to, wtedy, po lewitacji u lesnych wiedzm. Ze zostaniesz orłem. I zostałeś. Choc nie myślę, żeby bez asysty Huona von Sagar, ale zawsze. Klne się na ma kuske, chłopcze, robisz przy mnie ogromne postępy. Jeszcze trochę się przyłożysz, a będzie z ciebie Merlin. I zbudujesz nam tu na Śląsku Stonehenge. Takie, że to angielskie się schowa.

Samson parsknął.

- A co - podjął po chwili demeryt - z Bibersteinówna? Odstawiłeś bezpiecznie pod brame ojcowego zamczyska?

- Niemal - Reynevan zacisnął szczęki. Poszukiwał Nikoletty - bezskutecznie - przez cały ranek, w całym Frankensteinie, zaglądał do gospod, wypatrywał po mszy pod kościołem Świętej Anny, zabrnął do Furty Ziebieckiej i drogi wiodącej ku Stolzowi, wypytywał, błądził po Sukiennicach w rynku. I tam właśnie, w smatruzie, napotkał był - ku swej ogromnej radości i uldze - Szarleja i Samsona.

- Zapewne - dodał - dziewczyna jest już w domu.

Taka miał nadzieję, na to liczył. Zamek Stolz dzieliła od Frankensteinu niecała mila, wiodący do Ziebic i Opoli szlak był uczeszczany, Katarzynie Biberstein wystarczyło rzec, kim jest, a podwode i asystę dałby jej każdy kupiec, każdy rycerz czy mnich. Reynevan był więc niemal pewny, że dziewczyna już bezpiecznie dotarła na miejsce. Gryzł się jednak tym, że to nie on jej to zapewnił. Nie tylko tym się gryzł.

- Gdyby nie ty - Samson Miodek jakby czytał jego myśli - panna nie wyszłaby żywa z zamku Bodak. Ocaliłeś ją.

- A może i nas też - Szarlej obliznął łyżkę. - Stary Biberstein jak nic rozesał pogonię, a jesteśmy, jeśli któryś z was nie zauważył, całkiem blisko miejsca napadu, znacznie bliżej niżli wczoraj wieczorem. Gdyby nas złapano. Hmm... Może panna, pomna na ratunek, przyjdzie w sukurs z instancją, wyblaga u ojczulka całość naszych członków?

- Jeśli zechce - zauważył trzeźwo Samson. - I zdąży.

Reynevan nie skomentował. Dokonczył zupy.

- Wy - rzekł - też mi zaimponowaliście. Na Bodaku było pięciu uzbrojonych raubritterów rebajłów. A poradziście sobie z nimi...

- Byli pijani - skrzywił się Szarlej. - Gdyby nie to... Ale fakt jest faktem, z nieklamany podziwem patrzyłem na bojowe przewagi tu obecnego Samsona Miodka. A żebyś ty widział, Reinmarze, jak on wywałal brame! Ha, zaprawdę, gdyby królowa Jadwiga miała kogoś takiego do pomocy przy furcie Wawelu, mielibyśmy teraz Habsburgów na polskim tronie... A potem nasz Samson pogromił lotrowskich Filistynów. Krótko mówiac: to dzięki niemu obaj żyjemy.

- Ależ, Szarleju...

- Dzięki tobie żyjemy, skromny czelcze. Kropka. Dzięki niemu też, wiedz to, Reinmarze, odnaleźliśmy się. Na rozstaju, gdy przyszło wybierać, ja optowałem raczej za Bardem, ale Samson uparł się na Frankenstein. Twierdził, że ma przecucie. Zwykle wysmiewam takie przecucia, ale w tym wypadku, mając do czynienia z istotą nadprzyrodzoną, przybyszem z zaswiatów...

- Posłuchales - uciął Samson, szyderstwami, standardowo już, nie przejmując się wcale. - Jak się

okazuje, była to madra decyzja.

- Nie da sie ukryc. Ech, Reinmarze, jakzez ucieszyl mnie twój widok na rynku miasta Frankenstein, na tle straganu z kapciami, w cieniu wiezy ratuszowej. Czy ci juz mówilem, jak bardzo...

- Mówiles.

- Radosc z twego widoku - nie dal sobie przerwac demeryt - wpłynela tez, o czym chcialbym cie uwiadomic, na drobne korekty w moich planach. Po twoich ostatnich wyczynach, w tym zwlaszcza po hecy z Haynem von Czirne, popisie na ziebickim turnieju i wygadaniu sie przed Bukiem wzgledem kolektora, obiecalem sobie, ze gdy juz dotrzemy na Wegry, gdy bedziesz bezpieczny, natychmiast po przybyciu do Budy zaprowadze cie na most na Dunaju i tak kopne w dupe, ze zlecisz do rzeki. Uradowany i wzruszony, dzis odmieniam zamiary. Chwilowo przynajmniej. Hola, gospodarzu! Piwa! Zywo!

Przyszlo poczekac, karczmarz niezbyt sie spieszyl. Z poczatku zmylily go mina i dumny glos Szarleja, nie mógł jednak nie zauwazyc, ze juz wczesniej, gdy zamawiali zupe, goscie dokonali goraczkowego nieco bilansu, wysuplujac skojce i halerze z den sakiewek i zakamarków kieszeni. W gospodzie w podcieniach naprzeciw ratusza od klientów nie roilo sie bynajmniej, ale karczmarz zbyt sie cenil, by przesadna usluznoscia reagowac na okrzyki byle lapserdaków.

Reynevan lyknal piwa, zapatrzony na obdarte dzieci, babrzace sie w zóltej kaluzy miedzy pregierzem a studnia.

- Dzieci to przyszlosc narodu - Szarlej zlowil jego spojrzenie. - Nasza przyszlosc. Cóz, jako taka zapowiada sie nieciekawie. Po pierwsze, chudo. Po drugie - smrodliwie, niechlujnie i nieapetycznie do obrzydliwosci.

- W istocie - przyznal Samson. - Ale mozna wszak zaradzic. Miast malkontencic, trzeba zadbac. Umyc. Nakarmic. Wyedukowac. I juz przyszlosc zapewniona.

- A któz to ma sie, wedlug ciebie, tym zajac?

- Nie ja - wzruszyl ramionami olbrzym. - Mnie nic do tego. Ja w tym swiecie i tak nie mam przyszlosci.

- Prawda. Zapomnialem - Szarlej rzucil kawalek umaczanego w resztkie polewki chleba krecacemu sie w poblizu psu. Pies byl wychudzony tak, ze az zgiety w palak. A chleb nie pozarl, lecz pochlonal jak wieloryb Jonasza.

- Ciekawe - zastanowil sie Reynevan - czy ta psina widziala kiedys kosc?

- Pewnie wtedy - wzruszyl ramionami demeryt - gdy miala lape zlamana. Ale, jak slusnie prawi Samson, mnie nic do tego. Ja tez nie mam tu przyszlosci, a jesli nawet, to jawi mi sie ona bardziej zaszrana od tych tam pacholat i zalosniejsza od tej tu sobaki. Kraina Madziarów widzi mi sie w tej chwili odleglejsza nizli Ultima Thule. Nie zwiedzie mnie chwilowa sielanka w postaci cichego miasteczka Frankenstein, piwa, fasolowej polewki i chleba z sola. Za moment Reynevan spotka jakas panne i bedzie to, co zwykle. Znowu przyjdzie glowe unosic, uciekac, by na koniec ostac sie gdzies w gluszy. Albo w paskudnej kompanii.

- Alez, Szarleju - Samson tez rzucil psu chleb. - Od Opawy dzieli nas malo co wiecej niz dwadziescia mil. A z Opawy na Wegry wszystkiego jakies osiemdziesiat. To nie tak znowu wiele.

- Studiowałeś, widzę, w zawiatach geografii wschodnich kresów Europy?

- Studiowałem różności, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, by myśleć pozytywnie.

- Ja zawsze myślę pozytywnie - Szarlej lyknał piwa. - Z rzadka jeno wstrząsa coś moim optymizmem. I musi być to coś poważnego. Coś jak, dajmy na to, perspektywa dalekiej podróży przy kompletnym braku gotówki. Posiadanie na trzech dwóch koni, w tym jednego ochwaczonego. I fakt, że jeden z nas jest ranny. Jak tam twoje ramie, Samsonie?

Olbrzym nie odpowiedział, zajęty piwem, poruszył tylko opatrzoną ręką, demonstrując, że wszystko z nią w porządku.

- Ciesze się - Szarlej spojrzał w niebo. - Jeden problem mniej. Ale inne nie znikną.

- Znikną. Częściowo przynajmniej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, drogi nasz Reinmarze?

- Tym razem - Reynevan dumnie uniósł głowę - dopomoga nam nie twoje, lecz moje koneksje. Mam we Frankensteinie znajomości.

- Nie chodzi, pozwól sobie spytać - zainteresował się kamienną twarzą Szarlej - trafunkiem o jakąś mezatke? Wdowę? Podwike na wydaniu? Mniszka? Inna córka Ewy, przedstawicielka plci nadobnej?

- Kiepskie żarty. I próżne obawy. Moim tutejszym znajomkiem jest diakon od Podwyższenia Świętego Krzyża. Dominikanin.

- Ha! - Szarlej energicznie postawił kufel na ławie. - Jeżeli tak, to chyba jednak wolalbyś kolejną mezatke. Reinmarze drogi, czy ty nie odczuwasz przypadkiem uporczywych bólów głowy? Nie masz mdłości i zawrotów? Nie widzisz podwójnie?

- Wiem, wiem - machnął ręką Reynevan - co chcesz powiedzieć. *Domini canes*, psy, szkoda tylko, że wściekle. Zawsze na usługach Inkwizycji. Banal, mój panie, banal. Nadto, trzeba ci wiedzieć, diakon, o którym mowa, ma dług wdzięczności, poważny dług wdzięczności. Peterlin, mój brat, pomógł mu kiedyś, wyciągnął z ciężkich tarapatów finansowych.

- Ty zaś mniemasz, że to cokolwiek znaczy. Jak zwie się ów diakon?

- A co, znasz wszystkich?

- Znam wielu. Jakie nosi miano?

- Andrzej Kantor.

- Kłopoty finansowe - powiedział po chwili zadumy demeryt - zdają się być w tej rodzinie dziedziczne. Słyszałem o Pawle Kantorze, którego połowa Śląska ścięła za długi i przekrety. A w karmelu siedział ze mną Mateusz Kantor, wikary z Długoleki. Przegrał w kosci cyborium i kadzielnice. Boże się myśleć, co przegrał twój diakon.

- To dawna sprawa.

- Nie zrozumiales mnie. Boje sie myslec, co przegral ostatnio.

- Nie rozumiem.

- Oj, Reinmarze, Reinmarze. Widziales sie juz z owym Kantorem, jak mniemam?

- Widzialem, i owszem. Ale nadal nie...

- Ile on wie? Co mu powiedziales?

- Praktycznie nic.

- Pierwsza dobra wiadomosc. Darujemy sobie zatem zarówno te znajomosc, jak i dominikanska pomoc. Potrzebne nam srodki zgromadzimy innym sposobem.

- Jakim, ciekawe.

- A chocby i sprzedajac ten oto misternej roboty dzbanuszek.

- Srebrny. Skad go masz?

- Chodzilam po smatruzie, ogladalem kramy, a dzbanuszek nagle znalazl sie w mojej kieszeni. Ot, zagadka.

Reynevan westchnal. Samson zajrzal do kufla, tesknie patrzac na resztki piany. Szarlej natomiast zajal sie obserwacja rycerza, który w niedalekim podcieniu rugal wlasnie na czym swiat stoi zgietego w uklonie Zyda. Rycerz nosil karminowy szaperon i bogaty lentner, ozdobiony z przodu herbem przedstawiajacym paprzyce, czyli kamien mlynski.

- Slask jako taki - rzekl demeryt - pozostawiam za soba w zasadzie bez zalu. Mówie „w zasadzie”, albowiem jednego mi szkoda. Owych pieciuset grzywien, które wiózł poborca podatków. Gdyby nie okolicznosci, pieniadze moglyby byc nasze. Zlosci mnie, wyznam, mysl, ze utuczyl sie nimi, przypadkiem i niezasluzenie, jakis balwan w typie Buka von Krossiga. Kto wie, moze ów Reichenbach, który tam oto wlasnie wyzywa Izraelite od parchów i wieprzy? A moze któryś z tamtych obok budy rymarza?

- Wyjatkowo duzo cos tu dzis zbrojnych i rycerstwa.

- Sporo. A popatrzcie, nowi nadjezdza...

Demeryt urwal raptownie i glosno wciagnal powietrze. Z wiodacej od Bramy Lochowej uliczki Srebrnogórskiej wjezdza bowiem wlasnie na rynek raubritter Hayn von Czime.

Szarlej, Samson i Reynevan nie czekali. Zerwali sie z lawy, chcac zemknac chylkiem, nim zostana zauwazeni. Za późno. Dostrzegl ich sam Hayn, dostrzegl ich jadacy obok Hayna Fryczko Nostitz, dostrzegl ich Italczyk Vitellozzo Gaetani. Temu ostatniemu na widok Szarleja pobladla z wscieklosci wciaz opuchnieta i oszpecona swieza blizna geba. W nastepnej sekundzie rynek miasta Frankenstein rozbrzmial wrzaskiem i lomotem kopyt. Po chwili zas Hayn wyladowywal zlosc na karczmarskiej lawie, w drzazgi rabiac ja toporem.

- Gonic! - ryczal do swych zbrojnych. - Za nimi!

- Tam! - wrzeszczał Gaetani. - Tam uciekli!

Reynevan pedził ile sił, ledwo mogąc nadążyć za Samsonem. Szarlej biegł przodem, wybierał drogę, sprytnie skrecając w co ciasniejsze zaułki, a potem przedzierając się przez ogrody. Taktyka zdawała się sprawdzać - nagle scichł za nimi stukot kopyt i wrzaski pościgu. Wypadli na spienioną w rynsztokach mydlinami uliczkę Dolnolazienna, skreśli ku Bramie Ziebickiej.

Od Bramy Ziebickiej, gadając i leniwie kiwając się w siodłach, nadjeżdżali Sterczowie, a z nimi Knobelsdorf, Haxt i Rotkirch.

Reynevan stanął jak wryty.

- Bielau! - zaryczał Wolfher Stercza. - Mamy cie, psi synu!

Nim ryk przebrzmiał, Reynevan, Szarlej i Samson już sadzili, dysząc ciężko, przez zaułki, skakali przez ploty, darli się przez gestwe ogrodów, płatali w suszających się na sznurach przescieradłach. Słyszac z lewa okrzyki ludzi Hayna, a za sobą ryki Sterczów, biegli na północ, w kierunku, skąd zaczął właśnie dobiegac dzwon z dominikanskiego kościoła Podwyższenia Świętego Krzyża.

- Paniczu Reinmarze! Tutaj! Tedy!

W murze otwarły się małe drzwiczki, stanął w nich Andrzej Kantor, diakon od dominikanów. Mający wobec Bielawów długi wdzięczności.

- Tedy, tedy! Predko! Nie ma czasu!

Fakt, nie było. Wbiegli do ciasnej sieni, która, gdy Kantor zamknął drzwiczki, utonęła w mroku i zapachu butwiejących szmat. Reynevan z nieopisanym hukiem wywalil jakieś blaszane naczynia, Samson potknął się i wywrócił z łomotem. Szarlej też na coś wpadł, bo zaklął sprośnie.

- Tedy! - wołał Andrzej Kantor, skądś z przodu, skąd saczyło się niewyraźne światło. - Tedy! Tutaj! Tutaj!

Po wąskich schodkach Reynevan bardziej sturlał się, niż zszedł. Wpadł wreszcie na światło dzienne, na małe podwóreczko wśród murów obrosniętych dzikim winem. Wybiegający za nim Szarlej nadepnął na kota, kot dziko zamiauczał. Nim miauczenie przebrzmiało, z obu podsieni wypadło i rzuciło się na nich kilkunastu ludzi w czarnych kabatach i okrągłych pilsniowych czapkach.

Ktoś narzucił Reynevanowi worek na głowę, ktoś kopniakiem podciął mu nogi. Runął na ziemię. Przygnieciono go, wykrecono ręce. Obok czuł i słyszał kotłowanie, słyszał wściekłe sapanie, odgłosy rąków i krzyki bólu, świadczące o tym, że Szarlej i Samson nie dają się wziąć bez walki.

- Czy Święte Oficjum... - dobiegł go roztrzesiony głos Andrzeja Kantora. - Czy Święte Oficjum przewidziało... Za ujęcie tego heretyka... Jakas nagroda? Choćby niewielczutka? Biskupi *significavit* nie wspomina, ale ja... Ja mam kłopoty... Jestem w wielkiej finansowej potrzebie... Dlatego właśnie...

- *Significavit* to rozkaz, nie handlowy kontrakt - pouczył diakona zły i chrapliwy głos. - A możliwość okazania pomocy Świętej Inkwizycji jest dostateczną nagrodą dla każdego dobrego katolika. Czyżbyś nie był dobrym katolikiem, fratrze?

- Kantor... - wycharczał Reynevan z ustami pełnymi kurzu i klaków z worka. - Kantooor! Ty skurwysynu! Ty koscielny kundlu! Ty w rzyc chedo...

Nie dano mu dokonczyc. Dostal w glowe czymś twardym, w oczach mu rozblyślo. Dostal jeszcze raz, ból zapromieniował paralizujaco, palce rak zmartwiały nagle. Ten, kto go bił, uderzył ponownie. I ponownie. I ponownie. Ból zmusił Reynevana do krzyku, krew zatetniła mu w uszach, pozbawiając przytomności.

* * *

Ocknal sie w zupełnych niemal ciemnościach, z gardłem suchym jak wiór i językiem jak kolek. Głowa tetniła bólem, obejmującym skronie, oczy, zęby nawet. Wztał głeboki wdech i aż sie zakrztusił, tak wokół smierdziało Poruszył sie, zaszleściła ubita słoma, na której lezał.

Nieopodał ktos okropnie belkotał, ktos inny kaszłał i stekał. Tuz obok cos ciurkało, lala sie woda. Reynevan oblizal pokryte lepkiem nalotem wargi. Uniósł głowe i aż jeknal, tak zalomotał w niej ból. Podniósł sie ostrozniej, powoli. Jednego rzutu oka wystarczyło, by sie zorientowac, że jest w wielkiej piwnicy. W lochu. Na dnie głebokiej kamiennej studni. I że nie jest sam.

- Ocknales sie - stwierdził fakt Szarlej. Stał oddalony o kilka kroków i z głosnym pluskiem sikal do kubła.

Reynevan otworzył usta, ale nie zdołał wydobyć z nich dźwięku.

- To dobrze, że sie ocknales - Szarlej zapiał spodnie. - Bo własnie musze ci oznajmic, że wzgledem mostu na Dunaju wracamy do pierwotnej koncepcji.

- Gdzie... - wyskrzeczal wreszcie Reynevan, z trudem lykajac slinę. - Szarleju... Gdzie... jesczesmy?

- W przybytku swietej Dympny.

- Gdzie?

- W szpitalu dla oblakanych.

- Gdzie?!

- Przeciez mówie. W domu wariatów. W Narrenturmie.

Rozdział dwudziesty siódmy

w którym Reynevan i Szarlej przez czas dość długi mają spokój, opiekę lekarską, pociecha duchową, regularne odzywianie i towarzystwo nietuzinkowych ludzi, z którymi mogą do woli konwersowac na ciekawe tematy. Słowem, mają to, co zwykle ma sie w domu wariatów.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Blogosławione imię świętej Dympny.

Pensjonariusze Wieży Błaznów zareagowali szelestem słomy i nieskładnym, mało wyraznym pomrukiem. Bozogrobiec bawił się palka, postukiwał nią w otwartą lewą dłoń.

- Wy dwaj - powiedział do Reynevana i Szarleja - jesteście nowi w naszym bożym stadku. A my tu nowym nowe nadaję imiona. A ze dziś czcimy świętych męczenników Korneliusza i Cypriana, tedy jeden będzie Korneliusz, a drugi Cyprian.

Ani Korneliusz, ani Cyprian nie odpowiedzieli.

- Jam jest - kontynuował beznamiętnie mnich - mistrzem szpitalnym i opiekunem Wieży. Imię moje brat Trankwilus. *Nomen omen*. Przynajmniej dopóty, dopóki mnie ktos nie zdrzazni.

- Drzazni mnie zas, trzeba wam wiedzieć, gdy kto halasuje, ciska się, wyczynia tumulty i brewerie, zanieczyszcza siebie i okolice, używa słów nieładnych, bluźni Bogu i świętym, nie modli się i przeszkadza modlić innym. I w ogóle grzeszy. A na grzeszników mamy tu u nas różne sposoby. Kijaszek debowy. Ceberek z wodą zimną. Klatkę żelazną. I lancuszek u ściany. Jasne?

- Jasne - odpowiedzieli unisono Korneliusz i Cyprian.

- Tedy - brat Trankwilus ziewnął, przyjrzał się swej palce, dobrze wysłużonemu i wyslizganemu debowemu drewnu - zaczynacie kurację. A wymodlicie przychylność i instancje świętej Dympny, opuści was, daj to Bóg, wariacja i obłęd, wróćcie, wyleczeni, na zdrowe łono społeczeństwa. Dympna z łaskawości słynie w świętych gromadce, szanse więc macie duże. Ale nie ustawajcie w modlitwie. Jasne?

- Jasne.

- No to z Panem Bogiem.

Bozogrobiec wyszedł po trzeszczących schodach, wijących się wokół muru i kończących gdzieś wysoko drzwiami, masywnymi, sadząc po odgłosach otwierania i zamykania. Ledwo dudniące w kamiennej studni echo przebrzmiało, Szarlej wstał.

- No, bracia w udreće - rzekł wesóło - witajcie, kimkolwiek jesteście. Wychodzi, że trochę czasu przyjdzie nam spędzić razem. Choć po niewoli, ale zawsze. Może by tak więc jednak poznać się nawzajem?

Podobnie jak przed godziną, odpowiedział mu chrobot i szelest słomy, parskanie, cicha klatwa i kilka innych słów i odgłosów, w większości nieprzystojnych. Tym alisci razem Szarlej nie dał się zniechęcić. Zdecydowanie podszedł do jednego ze słomianych barlogów, jakich kilkanaście uformowanych było pod ścianami wieży i wokół dzielących dno zrujnowanych filarów i arkad. Ciemność w niewielkim tylko stopniu rozjaśniało światło saczące się z góry, z małych okienek u szczytu. Ale wzrok przyzwyczaił się już i co nieco widzieć się dało.

- Dobry dzień! Jestem Szarlej!

- A idzże precz - odburknał człek z barlogu. - Czepiaj się, pomyłencze, sobie podobnych. Ja jestem zdrów na umyśle! Normalny!

Reynevan otworzył usta, zamknął je przedko i otworzył znowu. Widział bowiem, czym chcący uchodzić za normalnego się zajmuje, a zajmował się energicznym manipulowaniem przy własnych genitaliach. Szarlej chrzakał, wzruszył ramionami, poszedł dalej, ku następnemu barlogowi. Człowiek, który na nim leżał, nie poruszał się, jeśli nie liczyć lekkich drgawek i dziwnych skurczów twarzy.

- Dobry dzień! Jestem Szarlej...

- Bbb... bbuub... ble-bleee... Blee..

- Tak myślałem. Idziemy dalej, Reinmarze. Dobry dzień! Jestem....

- Stój! Gdzie leżesz, szalencze? Na rysunki? Oczu nie masz?

Na twardym jak kamień klepisku, wśród odgarniętej słomy, widniały nabazgrane kreda figury geometryczne, wykresy i kolumny cyfr, nad którymi sleczał siwy starzec z czubkiem głowy lysym jak jajo. Wykresy, figury i cyfry pokrywały też całkowicie ściany nad jego barlogiem.

- Ach - cofnął się Szarlej. - Przepraszam. Rozumiem. Jakże mogłem zapomnieć: *noli turbare circulos meos* .

Starzec uniósł głowę, wyszczerzył poczerniałe zęby.

- Uczeni?

- Poniekąd.

- Tedy zajmijcie sobie miejsca u filara. U tego oznaczonego omega.

* * *

Zajeli i wymoscili sobie, nagarnawszy słomy, barlogi pod wskazanym filarem, oznaczonym wydrapaną grecką literą. Ledwie zdążyli uporać się z zadaniem, gdy objawił się brat Trankwilus, tym razem w towarzystwie kilku innych zakonników w habitach z podwójnym krzyżem. Stróż grobu jerozolimskiego przyniósł parującego kocia, ale pacjentom wieży pozwolono zbliżyć się do miski dopiero po chóralnym odmówieniu *Pater noster, Ave, Credo, Confiteor i Miserere* . Reynevan jeszcze nie podejrzewał, że był to początek rytuału, któremu przyjdzie mu się poddawać długo. Bardzo długo.

- Narrenturm - odezwał się, tepe patrząc w dno miski, w przyklepione resztki kaszy jaglanej. - We Frankensteinie?

- We Frankensteinie - potwierdził Szarlej, dlubiąc w zębach zdzbielą słomy. - Wieża jest przy hospicjum świętego Jerzego, prowadzonego przez bozogrobców z Nisy. Na zewnątrz murów miejskich, przy Bramie Klodzkiej.

- Wiem. Przechodziłem obok. Wczoraj. Chyba wczoraj... Jakim sposobem tu trafiliśmy? Dlaczego

uznano nas za umyslowo chorych?

- Najwidoczniej - demeryt parsknal smiechem - ktos poddal analizie nasze ostatnie postepki. Nie, drogi Cyprianie, zartowalem, az tyle szczescia nie mamy. To jest nie tylko Wieza Blaznow, to rowniez... przejsciowo... wiezienie Inkwizycji. Karcer miejscowych dominikanow jest bowiem w remoncie. Frankenstein ma dwa miejskie wiezienia, w ratuszu i pod Krzywa Wieza, ale oba zawsze przepelnione. Dlatego tu, do Narrenturmu, wsadza sie aresztowanych z nakazu Swietego Oficjum.

- Ten Trankwilus - nie rezygnowal Reynevan - traktuje nas jednak jak bedacych niespelna rozumu.

- Skrzywienie zawodowe.

- Co z Samsonem?

- Co, co - zachnal sie Szarlej. - Spojrzeli na jego gebe i puscili. Ironia, he? Puscili, majac za idiote. A nas zapudlowali u czubkow. Szczerze powiedziawszy, pretensji nie mam, winie tylko siebie. Im o ciebie szlo, Cyprianie, o nikogo wiecej, tylko o tobie wspominal *significavit*. Mnie wsadzili, bo stawialem opór, rozkwasilem pare nosow, ha, pare kopow, nie chwalac sie, tez trafilo w to, w co trafic mialo... Gdybym zachowal sie spokojnie, jak Samson...

- Miedzy nami mówiac - dokonczyl po chwili ciezkiego milczenia - cala moja w nim, w Samsonie, nadzieja. Ze cos wymysli i zorganizuje. I to szybko. Inaczej... Inaczej mozemy miec klopoty.

- Z Inkwizycja? A o co nas oskarza?

- Problem - glos Szarleja byl nader ponury - nie w tym, o co nas oskarza. Problem w tym, do czego sie przyznamy.

* * *

Reynevan nie potrzebował wyjaśnienia, wiedział, w czym rzecz. Rzeczy podsłuchane w cysterskiej grangii oznaczały wyrok śmierci, śmierci poprzedzonej torturami. O tym, że podsłuchali, nikt nie mógł się dowiedzieć. Nie wymagało wyjaśnienia znaczące spojrzenie, którym demeryt wskazał innych pensjonariuszy Wieży. Reynevan też wiedział, że Inkwizycja miała w zwyczaju umieszczać wśród uwięzionych szpicli i prowokatorów. Szarlej, co prawda, obiecał, że takowych zdemaskuje szybko, ale zalecił ostrożność i konspirację również wobec innych, choćby i z pozoru uczciwych. Nawet tych, zaznaczył, nie należy dopuszczać do konfidencji. Nie warto, zawyrokował, by cokolwiek wiedzieli i mieli o czym mówić.

- Albowiem - dodał - człowiek rozciągnięty na skrzypcu mówi. Mówi dużo, mówi wszystko, co wie, mówi o czym tylko się da. Bo dopóki mówi, nie przypiekają.

Reynevan pomarkotniał. Tak widocznie, że aż Szarlej uznał za celowe dodać mu otuchy przyjaznym walnięciem w plecy.

- Głowa do góry, Cyprianie - pocieszył. - Jeszcze się za nas nie wzięli.

Reynevan pomarkotniał jeszcze bardziej i Szarlej dał za wygraną. Nie wiedział, że Reynevan wcale nie martwi się, że na mekach powie o podsłuchanych w grangii konszachtach. Ze stokroć bardziej przeraża

go mysl o tym, ze zdradzi Katarzynie Biberstein.

* * *

Odpczawszy nieco, obaj lokatorzy kwatery „Pod Omega” porobili dalsze znajomosci. Szlo im rozmaicie. Jedni z pensjonariuszy Narrenturmu rozmawiac nie chcieli, jeszcze inni nie mogli, bedac w stanie, który doktorowie z praskiego uniwersytetu okreslali - za szkola Salerno - jak *odementi* badz *debilitas*. Inni byli rozmowniejsi. Nawet ci nie bardzo jednak kwapili sie z ujawnianiem personaliów, totez Reynevan w mysli ponadawal im stosowne przydomki.

Ich najblizszym sasiadem byl Tomasz Alfa - bytowal bowiem pod filarem oznaczonym taka wlasnie grecka litera, a do Wiezy Blaznów trafil w dniu swietego Tomasza z Akwinu, siódmego marca. Za co trafil i dlaczego tak dlugo siedzi, nie wyjawil, ale na Reynevanie bynajmniej nie zrobil wrazenia oblakanego. Powiadal sie wynalazca, Szarlej jednak na podstawie manieryzmów mowy uznal go za zbieglego mnicha. Wynajdywanie dziury w klasztornym murze, orzekl, nie moze pretendowac do miana prawdziwej wynalazczosci.

Niedaleko od Tomasza Alfya, pod litera tau i wydrapanym na scianie napisem: POENITEMINI mieszkal Kamedula. Ten stanu duchownego ukryc nie mógł, tonsura jeszcze nie porosla mu wlosem. Wiecej o nim wiadomo nie bylo, albowiem milczal jak prawdziwy brat z Camaldoli. I jak prawdziwy kamedula bez szemrania i slowa skargi znosil nader czeste w Narrenturmie posty.

Po przeciwniej stronie, pod napisem: LIBERA NOS DEUS NOSTER sasiadowali ze soba dwaj osobnicy, bedacy, jak na ironie, sasiadami również na wolnosci. Obaj zaprzeczali byciu wariatami, obaj uwazali sie za ofiary perfidnie uknutych intryg. Jeden, pisarz grodzki, przez bozogrobców na dzien swego przybycia ochrzczony Bonawentura, wina za uwiezienie obarczal zone, rada tymczasem nieskrepowanie uzywac sobie z gachem. Bonawentura zaraz na wstepie uraczyl Reynevana i Szarleja dlugim wywodem o kobietach, z samego przyrodzenia swego i natury swojej podlych, przewrotnych, lubieznych, nierzadnych, niegodziwych i zdradliwych. Wywód na czas dluzszy pograzyl Reynevana w czarnych wspomnieniach i jeszcze czarniejszej melancholii.

Drugi z sasiadów zostal przez Reynevana w mysli przezwany Instiorem, ciagle i glosno martwil sie bowiem o swoje *institorium*, czyli bogaty i profitowny kram w rynku. Wolnosci, twierdzil, pozbawily go, denuncjujac, wlasne dzieci, a to w celu zawladnicia kramem i profitami z niego. Podobnie jak Bonawentura, Instiorem przyznawal sie do naukowych zainteresowan - obaj amatorsko parali sie astrologia i alchemia. Obaj dziwnie cichli na dzwiek slowa „Inkwizycja”.

Niedaleko sasiadów, pod napisem DUPA, mial swój barlóg jeszcze jeden obywatel Frankensteinu, nie kryjacy tozsamosci Mikolaj Koppirinig, wolny mularz z lokalnej strzechy i astronom amator, do tego - niestety - typ malomówny, mrukliwy i nietowarzyski.

Opodal, pod sciana, z dala nieco od enklawy naukowców, siedzial poznany juz wczesniej Circulos Meos, dla skrótú Circulos. Siedzial, nagarnawszy slomy jak pelikan w gniezdzie, wrazenie potegowal lisy czerep i spore wole u szyi. Tego, ze nie umarl, dowodzil zywym smrodem, blyskaniem lysiny i nieustannym, denerwujacym skrobaniem kredy o mur lub klepisko. Wyjasnilo sie, ze nie byl on, jak Archimedes, mechanikiem, wykresy i figury sluzily innym celom. Za ich wlasnie sprawa Circulos wsadzony zostal do wariatkowa.

Obok barlogu Izajasza, czleka mlodego i apatycznego, przezwanego tak dla cytowanej co i rusz ksiegi

prorockiej, stała budząca grozę żelazna klatka, służąca jako karcer. Klatka była pusta, a kiblujący najdłużej Tomasz Alfa nie widział, by kogokolwiek kiedykolwiek do niej wsadzono. Nadzorujący Narrenturm brat Trankwilus, oświadczył Alfa, że mnich faktycznie spokojny i bardzo wyrozumiały. Oczywiście dopóty, dopóki go ktoś nie zdradzi.

Normalny, który nadal wszystkich ignorował, był tym, kto niebawem „zdradził” brata Trankwilusa. Podczas porannej modlitwy Normalny oddał się bowiem swemu ulubionemu zajęciu - igraszkom z własnym przyrodzeniem. Rzecz nie uszła sokolim oczom bożogrobca i Normalny dostał tego wycisk debowym kijem, którego, jak się okazało, Trankwilus nie naszał od parady.

Mijały dni, wyznaczone nudnym rytmem posiłków i modłów. Mijały noce. Te ostatnie były udreka, tak za przyczyną dokuczliwego zimna, jak i chóralnego, koszmarnego wręcz chrapania pensjonariuszy. Dni łatwiej było znieść. Można było chociaż pogadać.

* * *

- Przez złość i zawistę - Circulos poruszył włosem i zamrugł zaropiałymi oczyma. - Siedzę tu przez złość ludzka i zawistę kolegów nieudaczników. Znienawidzili mnie, albowiem osiągnąłem, czego im osiągnąć się nie udało.

- Mianowicie? - zainteresował się Szarlej.

- A co ja będę - Circulos wytarł o chalat ubrudzone kredą palce. - Co ja będę wam tłumaczył, profanom, i tak nie pojmiecie.

- Wypróbujcie nas.

- No, jeśli wola... - Circulos odchrząknął, podlubał w nosie, potarł piętą o piętę. - Udała mi się rzecz niemala. Określiłem precyzyjnie datę końca świata.

- Czyżby na rok tysiąc czterysta dwudziesty? - spytał po chwili grzecznego milczenia Szarlej. - Miesiąc luty, poniedziałek po świętej Scholastyce? Niespecjalnie oryginalnie, zauważę.

- Obrażacie mnie - wypiał resztki brzucha Circulos. - Nie jestem jakimś tam nawiedzonym milenarystą, jakimś niedouczonego mistykiem, nie powtarzam za fanatykami chiliastycznych bredni. Ja zbadałem rzecz *sine ira et studio*, na podstawie źródeł naukowych i matematycznych komputacji. Znać Objawienie świętego Jana?

- Pobieźcie, ale owszem.

- Baranek otworzył siedem pieczęci, tak? I ujrzał Jan siedmiu aniołów, tak?

- Bezwzględnie.

- A wybranych i opieczętowanych było sto czterdzieści cztery tysiące, tak? A starszych dwudziestu czterech, tak? A dwóm świadkom dano moc prorokowania przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, tak? Gdy się więc to wszystko doda, a sumę pomnoży przez osiem, liczbę liter w słowie „Apollyon”, skalkuluje się... Ach, co wam będę tłumaczył, i tak nie pojmiecie. Koniec świata nastąpi w lipcu. Dokładniej, szóstego lipca, *in octava Apostolorum Petri et Pauli*. W piątek. W południe.

- Roku?

- Obecnego, swietego. Tysiac czterysta dwudziestego piatego.

- Taak - potarl brode Szarlej. - Jest, widzicie, jednakowoz pewien szkopol...

- Jaki niby?

- Mamy wrzesien.

- To zaden dowód.

- I jest po poludniu.

Circulos wzruszył ramionami, po czym odwrócił głowe i demonstracyjnie zagrzebal sie w slome.

- Wiedzialem - prychnal - ze nie ma co gadac z nieukami. Zegnam.

* * *

Mikolaj Koppirinig, wolny mularz z Frankensteinu, gadatliwy nie byl, jego oschlosc i opryskliwosc nie zrazily jednak stesknionego za konwersacja Szarleja.

- Tak tedy - nie rezygnowal demeryt - jestescie astronomem. I wsadzono was do pudla. Cóz, potwierdza sie, ze zbyt wnikliwe przygladanie sie niebu nie poplaca i nie przystoi dobremu katolikowi. Ale ja, mosci panie, inaczej jeszcze zsumuje dwa i dwa. Koniunkcja astronomii i wiezienia moze oznaczac tylko jedno: podwazanie teorii ptolomejskiej. Mam racje?

- Racje w czym? - odburkнал Koppirinig. - W koniunkcjach? Macie, a jakze. W reszcie takoz. Toc miarkuje, zescie z tych, co zawzdy maja racje. Widywalem juz takich.

- Takich na pewno nie - usmiechnal sie demeryt. - Ale o to mniejsza. Wazniejsze, jakze to jest, wedle was, z tym Ptolomeuszem? Co jest w srodku wszechswiata? Ziemia? Czy Slonce?

Koppirinig milczal dlugo.

- A niech tam sobie bedzie, co chce - powiedzial wreszcie gorzko. - Skad mnie wiedziec? Jaki tam ze mnie astronom, co ja sie znam? Wszystko odwolam, do wszystkiego sie przyznam. Powiem, co kaza.

- Aha - rozpromienil sie Szarlej. - Trafilem wiec! Zderzyla sie astronomia z teologia? I postraszyli?

- Jak to? - zdziwil sie Reynevan. - Astronomia jest nauka scisla. Co wiec ma do niej teologia? Dwa a dwa jest zawsze cztery...

- I mnie sie tak zdawalo - przerwal ponuro Koppirinig. - Ale rzeczywistosc jest inna.

- Nie rozumiem.

- Reinmarze, Reinmarze - usmiechnal sie z politowaniem Szarlej. - Naiwnys jak dziecie. Sumowanie dwóch i dwóch nie przeczy Pismu, czego nie da sie powiedziec o obrotach cial niebieskich. Nie mozna dowodzic, ze Ziemia kreci sie wokół nieruchomego Slonca, gdy w Pismie napisane jest, ze Jozue kazal Sloncu stanac w miejscu. Sloncu. Nie Ziemi. Dlatego...

- Dlatego - przerwal jeszcze bardziej ponuro wolny mularz - trza sie rychtowac instynktem samozachowawczym. Wzglem niebios astrolabium i luneta moga sie mylic, Biblia jest nieomylna. Niebios...

- Ten, co mieszka nad kregiem ziemi - wpadl w slowo Izajasz, wyrwany z apatii dzwiekiem slowa „Biblia” - on rozciagnal niebios jak tkanine i rozpial je jak namiot mieszkalny.

- No prosze - pokiwal glowa Koppirnig. - Czubek, a wie.

- Wlasnie.

- Co wlasnie? - uniósł sie Koppirnig. - Co wlasnie? Tacyscie madrzy? Ja tam wszystko odwolam. Byle mnie ino wypuscili, wszystko potwierdze, co zehca. Ze Ziemia jest plaska, a jej geometrycznym srodkiem jest Jerozolima. Ze Slonce zatacza kregi wokół papieza, bedacego srodkiem wszechswiata. Wszystko przyznam. Zreszta moze oni maja racje? Psiakrew, ich instytucja istnieje bez mala półtora tysiac lat. Juz chocby z tego powodu nie moga sie mylic.

- A od kiedy to - zmruzył oczy Szarlej - daty lecza glupote?

- A do diabla z wami! - zdenerwowal sie wolny mularz. - Sami se idzcie na meki i stos! Ja wszystko odwoluje! Ja mówie: a jednak sie NIE porusza, *eppur NON si muove* !

- Cóż ja zreszta moge wiedziec - rzekl gorzko po chwili milczenia. - Cóż ze mnie za astronom? Jestem czlek prosty.

- Nie wiercie mu, panie Szarleju - odezwal sie Bonawentura, który wlasnie zbudzil sie z drzemki. - Teraz tak mówi, bo sie stosu zlakl. A jaki to z niego astronom, we Frankensteinie wszyscy wiedza, bo co noc na dachu z astrolabia siedzi i gwiazdy liczy. I nie on jeden w rodzinie, wszyscy u nich takie gwiazdowiedzy, u Koppirnigów. Nawet ten najmłodszy, maluski Mikołajek, co to sie ludziska smieja, ze pierwsze jego slowo bylo „mama”, drugie „papu”, a trzecie „heliocentryzm”.

* * *

Im wczesniej zapadal zmrok, im robilo sie zimniej, tym wieksza liczbe pensjonariuszy gromadzily konwersacje i dysputy. Gadano, gadano, gadano. Najpierw razem, potem juz kazdy sobie.

- Zmarnuja mi *institorium* . Wszystko roztrwonila, w diabla przepuszcza, na nic obróca. Zrujnuja dorobek. Dzisiejsza mlodziez!

- A wszystkie bialogłowy, co do jednej, kurwy. Z uczynku lub z wolej.

- Nastanie apokalipsa, nie zostanie nic. Nic zgola. Ale co ja bede wam tlomaczyl, profanom.

- A ja wam mówie, ze bedzie po nas wczesniej. Przyjedzie inkwizytor. Umecza, a potem spala. I dobrze

nam tak, grzesznikom, bosmy Boga obrazili.

- Przeto jak slome pozera jezyk ognisty, a siano znika w plomieniu, tak korzen ich bedzie zgnilizna, a kielek ich jak pyl porwany sie wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastepów....

- Slyszycie? Czubek, a wie.

- Wlasnie.

- Problem w tym - rzekl zamyslony Koppirnig - zesmy za duzo mysleli.

- O, to, to - potwierdzil Tomasz Alfa. - Przeto nie uniknac nam kary.

- ...zostana zgromadzeni, uwiezieni w lochu; beda zamknieni w wiezieniu, a po wielu latach beda ukarani.

- Slyszycie? Czubek, a wie.

Pod sciana, w oddaleniu, cierpiacy *nadementi idebilitas* belkotali i bredzili. Obok, na swym barlogu, Normalny walil konia, postekujac i jeczac.

* * *

W pazdzierniku nastaly jeszcze wieksze chlody. Wówczas, szesnastego - w datach pozwalal orientowac sie kalendarz, jaki Szarlej wyrysowal na murze kreda ukradziona Circulosowi - do Narrenturmu trafil znajomy.

* * *

Znajomego wciagneli do Wiezy nie bozogrobcy, ale zbrojni w kolczugach i przesywanych kaftanach. Stawial opór, dostal wiec kilka razy w kark, a ze schodów zrzuciono go. Stoczyl sie i rozplaszczyl na polepie. Pensjonariusze, wśród nich Reynevan i Szarlej, przygladali sie, jak lezy. Jak podchodzi do niego frater Trankwilus ze swa palka.

- Dzis wypada - powiedzial, zwyczajowo pozdrowiwszy wpierym imieniem swietej Dynipny, patronki i oredowniczkich chorych na umysle - dzis wypada swietego Gawla. Alisci bylo tu Gawlów a Gawlów, coby sie tedy nie powtarzac... Mamy dzis również pamiatke swietego Mummolina. Tedy bedziesz sie, bracie, zwac Mummolinem. Jasne?

Lezacy na polepie uniósł sie na lokciach, spojrzal na bozogrobca. Przez chwile wydawalo sie, ze w krótkich a dobranych slowach skomentuje. Trankwilus tez chyba tego oczekiwal, bo uniósł palke i cofnal sie o krok dla lepszego rozmachu. Ale lezacy zgrzytnal tylko zębami i zmell w nich wszystkie rzeczy niewypowiedziane.

- No - kiwnal glowa bozogrobiec. - To rozumiem. Z Bogiem, bracie.

Lezacy usiadl. Reynevan ledwie go poznal. Nie bylo szarego plaszczka, przepadla srebrna klamra,

przepadł szaperon, przepadła *liripipe*. Obcisły wams był wytyłany w kurzu i tynku, popruty na obu wutowanych barkach.

- Witaj.

Urban Horn uniósł głowę. Włosy miał zmierzwiłone, oko podbite, wargę rozciętą i opuchniętą.

- Witaj, Reinmarze - odrzekł. - Wiesz, wcale się nie dziwię, widząc cię w Narrenturmie.

- Jesteś cały? Jak się czujesz?

- Świetnie. Wrecz promiennie. Pewnie blask słoneczny bije mi z dupy. Zajrzyj i sprawdź. Bo mnie trudno.

Wstał, obmacał boki. Pomasażował krzyż.

- Zabili mi psa - powiedział zimno. - Zatlukli. Moją Belzebubę. Pamiętasz Belzebubę?

- Przykro mi - Reynevan dobrze pamiętał, żeby brytana o ciał od twarzy. Ale naprawdę było mu przykro.

- Tego im nie daruję - zgrzytnął zębami Horn. - Policze się z nimi. Gdy się stąd wyrwę.

- Z tym może być problem.

- Wiem.

* * *

Podczas prezentacji Horn i Szarlej długo sobie wzajemnie przypatrywali, mrużąc powieki i przygryzając wargi. Widac było, że trafili cwaniaka na cwaniaka i franta na franta. Widac to było tak wyraznie, że żaden z frantów o nic drugiego nie zapytał.

- Tak tedy - rozejrział się Horn - siedzimy, gdzie siedzimy. Frankenstein, szpital kanoników regularnych, stróżów grobu jerozolimskiego. Narrenturm. Wieża Błaznów.

- Nie tylko - zmrużył powieki Szarlej. - O czym szanowny pan niewątpliwie wie.

- Szanowny pan niewątpliwie wie - przyznał Horn. - Wsadziła go tu bowiem Inkwizycja i biskupi *significavit*. Cóż, co by o Świętym Oficjum nie myśleć, ich więzienia są zwykle porządne, przestronne i schludne. Tutaj też, jak wechem czuje, kibele zwykle się co jakiś czas opróżniają, a pensjonariusze niezłe się prezentują... Widac, bożogrobcy dbają. A jak karmia?

- Podle. Ale regularnie.

- To niezłe. Ostatnim głupiejowem, jakiego oglądałem, była florencka Pizzeria przy Santa Maria Nuova. Trzeba było zobaczyć tamtejszych pacjentów! Wyglodzeni, zawsznieni, zarosnięci, brudni... A tu? Was, jak widzę, choćby od razu na dwór... No, może nie na cesarski, może nie na Wawel... Ale już w takim Wilnie, gwarantuję, moglibyście wystąpić tak, jak stoicie, nie wyróżnilibyście się zbyt. Taaak... Mogłem, mogłem trafić gorzej... Gdybyż jeszcze nie było tu tych nienormalnych... Furiatów, mam

nadzieje, wśród nich nie ma? Ani, strzeż Boże, sodomitów?

- Nie ma - uspokoił Szarlej. - Ustrzegła nas święta Dymna. Tylko ci, o. Leza, belkoca, bawia się ptaszkami. Nic szczególnego.

- To świetnie. Cóż, pobędziemy trochę razem. Może i czas dłuższy.

- Może i krótszy, niż sadzicie - uśmiechnął się krzywawo demeryt. - My siedzimy tu już od świętego Korneliusza. I spodziewamy się inkwizytora co dnia. Kto wie, może to już dziś?

- Dzisiaj nie - zapewnił spokojnie Urban Horn. - Jutro też nie. Inkwizycja ma w tej chwili inne zajęcia.

* * *

Choć naciskany, do wyjaśnienia przystąpił Horn dopiero po obiedzie. Który, nawiasem mówiąc, zjadł ze smakiem. I nie pogardził resztką, której nie dojadł Reynevan, czując się ostatnio marnie i tracący apetyt.

- Jego przesławność biskup wrocławski Konrad - wyjaśnił Horn, palcem wybierając z dna miski ostatnie krupki - uderzył na husyckie Czechy. Współ z panem Puta z Czastolovic zbrojnie najechał Nachodsko i Trutnovsko.

- Krucjata?

- Nie. Lupieska reja.

- To przecież - uśmiechnął się Szarlej - dokładnie to samo.

- Oho - parsknął Horn. - Miałem pytać, za co szanowny pan siedzi, ale już nie zapytam.

- I dobrze. Co tedy z tą reją?

- Pretekstem, o ile w ogóle potrzebny był pretekst, było rzekome obrabowanie przez husytów poborcy podatkowego, dokonane podobno trzynastego września. Zagrabiono wówczas ponoc półtora tysiąca z góra grzywien...

- Ile?

- Powiedziałem: rzekomo, podobno, ponoc. Nikt w to nie wierzy. Ale jako pretekst biskupowi pasowało. Czas zaś wybrał akuratnie. Uderzył pod nieobecność husyckich wojsk polnych z Hradca Kralove. Tamtejszy hetman, Jan Czapek z San, pociągnął był bowiem na Podjesztedzie, aż pod luzycką granicę. Biskup, wynika z tego, niezłych ma szpiegów.

- Ano, pewnie ma - Szarlej nawet nie mrugnął. - Mówcie dalej. Panie Horn? Mówcież, niechajcie wariatów. Zdaszycie się jeszcze napatrzeć.

Urban Horn oderwał wzrok od Normalnego, z entuzjazmem oddającego się samogwałtowi. I od jednego z debili, w skupieniu lepiącego z własnych odchodów małą ziggurat.

- Taak... Na czym to ja... Aha. Biskup Konrad i pan Puta weszli do Czech szlakiem przez Lewin i

Homole. Spustoszyli i złupili okolice Nachodu, Trutnova i Vizmburka, popalili wsie. Grabili, mordowali, kto wpadł im w ręce, chłopów, baby, bez różnicy. Oszczędzano dzieci mieszczące się pod brzuch konia. Niektóre.

- A potem?

- Potem...

* * *

Stos dogasał, płomień nie szalał już i nie trzeszczał, pęgał jeszcze tylko po kupie drewna. Drewno nie spaliło się w całości, raz, że dzień był słotny, dwa, wzięto wilgotne, by heretyk nie zgorzał zbyt szybko, by poskwierczał i należycie poznał przedsmak kary, która czeka go w piekle. Przesadzono jednak, nie zadbano o zachowanie złotego środka, umiaru i kompromisu - nadmiar mokrego opalu sprawił, że delikwent nie spłonął, ale za to bardzo szybko udusił się dymem. Nawet nie zdążył specjalnie pokrzyknąć. Nie spalił się też doszczętnie - przykrepowany lancuchem do pala trup zachował czelkowską z grubszą postać. Krwiste, niedosmazono mięso w wielu miejscach trzymało się jeszcze szkieletu, skóra zwisała poskrecanymi warkoczami, a obnazona tu i ówdzie kość była bardziej czerwona niż czarna. Głowa upiekła się raczej równo, zwęglona skóra odpadła od czerepu. Bielejące zaś w rozdziawionych w przedśmiertnym wrzasku ustach zęby nadawały całości makabrycznego dość wyglądu.

Wygląd ten, paradoksalnie, rekompensował rozczarowanie z tytułu zbyt krótkotrwałej i mało meczenskiej karności. Wywierał, co tu dużo gadać, lepszy skutek psychologiczny. Na miejsce *auto da fe* spedzono tłum schwytych w pobliskiej wsi Czechów, tymi widok jakiegos bezkształtnego skwarka na palenisku pewnie by nie wstrząsnął. Domyslać się jednak w niedopieczonym i wyszczerzonym trupie swego niedawnego kaznodziei, Czesi żalowały się zupełnie. Mężczyźni dygotali, zakrywając oczy, kobiety wyły i zawodziły, dziko darły się dzieci.

Konrad z Olesnicy, biskup Wrocławia, wyprostował się w siodle, dumnie i energicznie, aż zgrzytnęła zbroja. Początkowo miał zamiar wygłosić przed jencami mowę, kazanie, mające uświadomić motlochowi całe zło herezji i ostrzec przed srogą karą, jaka spotka odstępców od wiary. Zrezygnował jednak, patrzył tylko, wydymając wargi. Po co było język sobie strzepić? Słowiańska holota i tak słabo rozumiała po niemiecku. A o karze za kacerstwo lepiej i dobitniej od słów mówił spalony zewłok przy palu. Posieczone, pokaleczone nie do rozpoznania trupy, zwalone na stos pośrodku rzyska. Ogień, szalejący po strzechach osady. Słupy dymu, bijące w niebo z innych podpalonych wsi nad Metuja. Dobiegające ze stodoły przeraźliwe krzyki mlódek, zawleczonych tam na uciechę przez kłodzkich knechtów pana Puty z Czastolovic.

W tłumie Czechów szalał i srożył się ojciec Miegerlin. W asyście zbrojnych, w towarzystwie kilku dominikanów ksiądz polował na husytów i ich sympatyków. W polowaniu pomagał spis nazwisk, który Miegerlin dostał od Birkarta Grelenorta. Ksiądz nie miał jednak Grelenorta za wyrocznie, a jego spisu za świętość. Twierdzić, że heretyka pozna po oczach, uszach i ogólnym wyrazie twarzy, ksiądzulo w czasie całej wyprawy nalapał już z pięć razy więcej ludzi, niż było na liście. Część mordowano na miejscu. Część szła w petę.

- Co z tymi? - spytał, podjeżdżając, marszałek biskupi, Wawrzyniec von Rohrau. - Wasza dostojność? Co przykazecie z nimi zrobić?

- To samo - Konrad z Olesnicy spojrzał na niego surowo - co i z poprzednimi.

Widząc ustawiających się kuszników i knechtów z puszczalnymi, tłum Czechów podniósł okropny wrzask. Kilkunastu mężczyzn wyrwało się z cizby i runęło do ucieczki, puscili się za nimi konie, doganiali, rabali i dzgali mieczami. Inni zbili się ciasno, klekali, padali na ziemię. Mężczyźni ciałami zasłaniali kobiety. Matki - dzieci.

Kusznicy krecili korbami.

Cóż, pomyślał Konrad, w tym tłumie są pewnie jacyś niewinni, może i dobrzy katolicy. Ale Bóg rozpozna swoje owieczki.

Jak rozpoznawał w Langwedocji. W Beziers, w Carcassonne, w Tuluzie. W Montsegur.

Przejdę do historii, pomyślał, jako obrońca prawdziwej wiary, pogromca herezji, słaski Szymon de Montfort. Potomność będzie wspominać moje imię z czcią. Jak Szymona własnie, jak Schwenckefelda, jak Bernarda Gui. To potomność. Względem zaś dnia dzisiejszego, to może wreszcie docenia mnie w Rzymie? Może wreszcie podniesion będzie Wrocław do rangi archidiecezji, a ja zostanę arcybiskupem Śląska i elektorem Rzeszy? Może skończy się ta farsa, że formalnie diecezja jest częścią polskiej prowincji kościelnej i formalnie podlega - na posmiewisko chyba - polskiemu metropolicie, arcybiskupowi Gniezna? Jasne, że prędzej diabeł mnie porwa, niżbym miał uznać Polaczka za zwierzchnika, ale jakież to upokorzenie, podlegać takiemu Jastrzebcowi. Który - Boże, patrzysz na to! - bezczelnie domaga się przyjęcia jego duszpasterskiej wizytacji! We Wrocławiu! Polak we Wrocławiu! Nigdy! *Nimmermehr* !

Huknęły pierwsze strzały, szczeknęły cieciewy kuszy, kolejni próbujący wymknąć się z kotła zginęli od mieczy. Wrzask mordowanych wzbil się w niebo. Tęgo, myślał biskup Konrad, opanowując sploszonego rumaka, tego nie mogą w Rzymie nie dostrzec, tego nie mogą nie docenić. Ze tu, na Śląsku, na pograniczu Europy i chrześcijańskiej cywilizacji, to ja, Konrad Piast z Olesnicy, dzierzę wysoko krzyż. Ze ja jestem prawdziwym *bellator Christi, defensor* i oredownik katolicyzmu. A na heretyków i apostatów - kara i bicz Boży, *flagellum Dei* .

Na wrzaski mordowanych nałożyły się nagle krzyki od strony ukrytego za wzgórzem goścince, po chwili z łomotem kopyt wypadł stamtąd poczet jeźdźców, galopem pedzących na wschód, ku Lewinowi. Za konnymi z turkotem toczyły się wozy, woznice wrzeszczeli, wstając na kozłach, bez litości smagali konie, usiłując zmusić je do szybszego biegu. Za wozami gnano ryczące krowy, za krowami biegli piesi, wrzeszcząc głośno. Biskup wśród rozgardiaszu nie rozumiał, co krzyczą. Ale inni zrozumieli. Rozstrzeliwujący Czechów knechci odwrócili się i jak jeden mąż rzucili do ucieczki, za konnymi, za wozami, za piechotą, wypełniającą już cały goścień.

- Dokąd! - zaryczał biskup. - Stac! Co z wami? Co się dzieje!

- Husyci! - wrzasnął, wrywając przy nich konia, Otto von Borschnitz. - Husyci, księżo! Idźcie na nas husyci! Husyckie wozy!

- Bzdura! Nie ma polnych wojsk w Hradcu! Husyci pociągnęli na Podjesztędzie!

- Nie wszyscy! Nie wszyscy! Idźcie! Idźcie na nas! Uciekajcie! Ratujcie życie!

- Stac! - ryknął, czerwieniejąc, Konrad. - Stójcie, tchórze! Stawcie do walki! Do walki, psie syny!

- Ratuj się! - zawył, galopując obok, Mikołaj Zedlitz, starosta otmuchowski. - Husyccy! Idźcie na nas!

Husyyyyy!

- Pan Puta i pan Kolditz juz uszli! Ratuj sie, kto moze!

- Stójcie... - biskup na próżno usilował przekrzyczec pandemonium. - Panowie rycerze! Jakże tak...

Kon zaszalal pod nim, stanal deba, Wawrzyniec von Rohrau chwycil go za wodze i opanowal.

- Uciekajmy! - krzyknal. - Wasza przewielebnosc! Ratujmy zycie!

Goscincem cwalowali dalsi konni, strzelcy i pancerni, wśród tych ostatnich biskup poznal Sandera Bolza, Hermana Eichelborna w plaszczu joannity, Hanusza Czenebisa, Jana Haugwitza, któregoś z Schaffów, latwych do zidentyfikowania po widocznych z daleka tarczach *pale d'argent et de gueules*. Za nimi, z wykrzywionymi z przerazenia twarzami, gnali na leb na szyje Markwart von Stolberg, Gunter Bischofsheim, Ramfold Oppeln, Niczko von Runge. Rycerze, którzy jeszcze wczoraj przescigali sie w przechwalkach, gotowi atakowac nie tylko Hradec Kralove, ale i samo Hradiszczce Góry Tabor. A teraz pierzchali w poplochu.

- Ratuj sie, kto zywy! - wrzasnal, pedzac obok, Tristram Rachenau. - Idzie Ambroz! Ambroooooz!

- Chryste, zmiluj sie! - belkotal, biegnac obok biskupiego konia, ksiadz Miegerlin. - Chryste, ocal!

Naladowany zdobycza wóz ze zlamanym kolem zatarasowal gosciniec. Zepchnieto go i obalono, w bloto posypaly sie kufarki, skrzynki, beczulki, pierzyny, kilimy, kozuchy, buty, polcie sloniny, inny dobytek, zagrabiony w palonych wsiach. Utknal kolejny wóz, za nim jeszcze jeden, woznice zeskakiwali i uciekali pieszo. Droga uslana juz byla lupem cisnietym przez knechtów. Po chwili posród wezelków i tobolek ze zdobycza biskup zobaczyl porzucone paweze, halabardy, berdysze, kusze, nawet bron palna. Odciazeni knechci uciekali tak chyzo, ze doganiali konnych i pancernych. Nie mogacy nadazyc wyli i wrzeszczeli w panice. Ryczaly krowy, beczaly owce.

- Predzej, predzej, wasza przewielebnosc... - ponaglal trzesacym sie glosem Wawrzyniec von Rohrau. - Ratujmy sie... Ratujmy... Byle do Homola... Do granicy...

Na srodku goscinca, czesciowo wdeptana w ziemie, obfajdana przez bydlo, obsypana obwarzankami i skorupami potluczonych garnków, lezala choragiew z wielkim czerwonym krzyzem. Znak krucjaty.

Konrad, biskup Wroclawia, zagryzl wargi. I dal koniowi ostroge. Na wschód. Ku Homolu i Lewinskiej Przeleczy. Ratuj sie, kto zywy. Byle predzej. Predzej. Bo idzie...

- Ambroz! Idzie Ambroooooz!

* * *

- Ambroz - kiwnal glowa Szarlej. - Byly hradecki proboszcz od Swietego Ducha. Slyszałem o nim. Byl u boku Zizki az do jego zgonu. To niebezpieczny radykal, charyzmatyczny trybun ludowy, prawdziwy przywódca tłumów. Umiarkowani kalikstyni boja sie go jak ognia, bo Ambroz umiarkowanie uwaza za zdrade idealów Husa i Kielicha. A na jedno jego skinienie podnosi sie tysiac taboryckich cepów.

- Fakt - potwierdzil Horn. - Ambroz szalal juz podczas poprzedniej biskupiej rejzy, w roku

dwudziestym pierwszym. Wtedy, jak pamiętacie, skończyło się zawieszeniem broni, jakie z biskupem Konradem zawarli Hynek Kruszyna i Czeniek z Vartenberka. Żadny krwi kapłan wskazał obu jako zdrajców i kunktatorów, a motloch rzucił się na nich z cepami, ledwo zdolali uciec. Ambroz od tamtego czasu wciąż mówi o odwecie... Reinmarze? Co ci jest?

- Nic.

- Wygladasz - ocenił Szarlej - na nieobecnego duchem. Nie jesteś ty aby chory? Mniejsza z tym. Wróćmy do biskupiej rejsy, drogi panie Mummolinie. Co ona ma wspólnego z nami?

- Biskup nalapał husytów - wyjaśnił Horn. - Podobno. To znaczy: podobno husytów, bo nalapał na pewno. Jakoby miał listę, według której łapał. Mówiłem, że dobrych ma szpiegów?

- Mówiliście - kiwnął głową Szarlej. - Inkwizycja zatem jest zajęta wyciąganiem z owych jenców zeznań. Chwilowo więc, sędzicie, nie będzie miała na nas czasu?

- Nie sędzicie. Wiem.

* * *

Do rozmowy, do której musiało dojść, doszło wieczorem.

- Horn.

- Słucham cie, chłopcze, w najwyższym skupieniu.

- Psa, jakkolwiek szkoda zwierzecia, nie posiadasz już.

- Trudno - oczy Urbana Horna zweziły się - tego nie dostrzec.

Reynevan zachrzakał głośno, by zwrócić uwagę Szarleja, który opodal grał z Tomaszem Alfa w szachy ulepione z gliny i chleba.

- Nie uswiadczysz też tutaj - kontynuował - ni żadnego wykrotu, ni humorów, ni fluidów. Słowem, niczego, co mogłoby cie uchronić przed koniecznością udzielenia mi odpowiedzi na pytania. Te same, które postawiłem ci w Balbinowie, w tajni mego zamordowanego brata. Pamiętasz, o co wtedy pytałem?

- Nie wiemam kłopotów z pamięcią.

- Wspaniale. Odpowiedzi na pytania, które jesteś mi dłużny, nie sprawia ci zatem kłopotów również. Słucham zatem. Gadaj, ale już.

Urban Horn podłożył ręce pod kark, przeciągnął się. Potem spojrzał Reynevanowi w oczy.

- Proszę, proszę - powiedział. - Jak ostro. Ale już. A jak nie już, to co? Co mnie spotka, jeśli na żadne pytania nie odpowiem? Wychodząc ze słusznego poniekąd założenia, że nic nie jestem ci dłużny? Co wtedy? Jeśli wolno spytać?

- Wtedy - Reynevan spojrzeniem upewnił się, czy Szarlej słucha - możesz zostać obity. I to zanim zdążyś wymówić *credo in Deum patrem omnipotentem* .

Horn milczał czas jakiś, nie zmieniając pozycji ani nie wyjmując splecionych dłoni spod karku.

- Wspomniałem już - odezwał się wreszcie - że nie byłem zaskoczony, widząc cię tutaj. W sposób oczywisty zlekceważyłeś przestrogi i rady kanonika Beessa, nie usłuchałeś też moich, a coś takiego musiało się źle dla ciebie skończyć, cud, że jeszcze żyjesz. Ale siedzisz, chłopcze. Jeśli dotąd nie zmiarkował, to zmiarkuj: siedzisz w Wieży Błaznów. I zadasz ode mnie odpowiedzi na pytania, domagasz się wyjaśnień. Pragniesz wiedzy. A co, jeśli wiedzieć można, zamierzasz z owa począć? Na co ty liczysz? Że wypuszcza cię stąd dla uczczenia rocznicy odnalezienia relikwii świętego Smaragdusa? Że oswojodzi cię czyjaś wymuszona pokuta dobroczynność? Otóż nie, Reinmarze z Bielawy. Czekają cię inkwizytor i śledztwo. A wiesz ty, co to jest *strappado* ? Jak myślisz, jak długo wytrzymasz, gdy podciągną cię za wykrecone do tyłu ręce? Obciążony wpierw u kostek czterdziestofuntowym ciężarem? A pod pachy podstawia pochodnie? Co? Jak długo, twoim zdaniem, potrwa, nim zaczniesz śpiewać? Powiem ci: nim zdążyś wymówić *Veni Sancte Spiritus* .

- Dlaczego zabito Peterlina? Kto go zabił?

- Upartys, chłopcze, niby baran. Nie pojąłeś, co mówiłem? Nic ci nie powiem, niczego, co mógłbyś wypłacać na mekach. Gra jest zbyt ważna, a stawka za wysoka.

- Jaka gra? - rozdarł się Reynevan. - Jaka stawka? Gdzieś mam wasze gry! Twoje tajemnice dawno już przestały nimi być, sprawa, której słuchasz, też już nie jest sekretem. Myślisz, że co, że nie umiem zsumować dwóch i dwóch? Wiedz zresztą, że gwizdzą na to. W zadku mam spiski i spory religijne. Słyszysz, Horn? Nie domagam się, byś wydawał współników, zdradzał dalsze skrytki, w których przechowywany jest Joannes Wilceph Anglicus, *doctor evangelicus super omnes evangelistas* . Ale muszę, do diabła, wiedzieć, dlaczego, jak i z czyjej ręki zginął mój brat. I ty mi to powiesz. Choćbym miał to z ciebie wytłuc!

- Oho! Patrzcie kogucika!

- Wstawaj. Zaraz dostaniesz po mordzie.

Horn wstał. Szybkim, zwinnym ruchem, przywodzącym na myśl rysia.

- Spokojnie - syknął. - Spokojnie, młodszy panie von Bielau. Bez nerwów. Cholera piękności szkodzi. Gotowe zbrzydnąć. I stracić swoje słynne już na cały Śląsk powódzenie u meczek.

Wychyliwszy korpus w tył, Reynevan mocno kopnął go pod kolano kopniakiem podpatrzonym u Szarleja. Zaskoczony Horn padł na klęczki. Ale od tego miejsca Szarlejowa taktyka zaczęła zawodzić. Mającego złamać mu nos ciosu Horn uniknął ruchem nieznacznym, acz szybkim, piasek Reynevana zawadziła tylko o ucho. Horn przedramieniem odbił szeroki i dość chaotyczny lewy sierpowy, rysio zwinnie zerwał się z klęczek, odskoczył.

- No, no - błysnął zębami. - Kto by się spodziewał? Ale skoro tak bardzo tego pragniesz, chłopcze... Jestem do usług.

- Horn - Szarlej, nie odwracając się, chlebowa królowa zabił chlebowego konia Tomasza Alfę. - Jesteśmy w więzieniu, znam zwyczaj, nie wtrąca się. Ale przysięgam, wszystko, co mu zrobisz, ja tobie zrobię w dwójnasób. Wliczając zwłaszcza zwichnięcia i fraktury.

Poszło szybko. Horn doskoczył jak prawdziwy rys, płynnie i zwinnie, tanecznie. Reynevan uchylił się przed pierwszym uderzeniem, oddał, trafiając nawet, ale tylko raz, reszta ciosów bezskutecznie i bezsilnie spłynęła po gardach. Horn uderzył tylko dwa razy, bardzo szybko. Oba razy celnie. Reynevan z impetem uderzył tyłkiem o klepisko.

- Jak dzieci - powiedział, przesuwając króla, Tomasz Alfa. - Zupełnie jak dzieci.

- Wieża bije pionka - powiedział Szarlej. - Szach i mat.

Urban Horn stanął nad Reynevanem, trąc policzek i ucho.

- Nie chce już nigdy wracać do tej sprawy - powiedział chłodno. - Nigdy. Ale żeby nie wyszło, zesmy na próżno dali sobie po facjatch, zaspokoje twa ciekawość choć trochę i zdradzę coś niecos. Coś, co tyczy się twego brata Piotra. Chciales wiedzieć, kto go zabił. Nie wiem otóż kto, ale wiem co. Jest więcej niż pewne, że Piotra zabił twój romans z Adela Sterczowa. Bedacy pretekstem, pretekstem znakomitym, niemal doskonale maskującym prawdziwe powody. Nie powiesz mi, że już sam na to nie wpadles. Jakoby umiesz sumować dwa i dwa.

Reynevan starł krew spod nosa. Nie odpowiedział. Oblizal puchnącą wargę.

- Reinmarze - dodał Horn. - Ty źle wyglądasz. Nie masz ty aby gorączki?

* * *

Przez czas jakiś Reynevan się dał. Na Horna - z wiadomych przyczyn, na Szarleja - bo nie interweniował i nie pobił Horna. Na Koppirniga, że chrapał, na Bonawenture, że śmierdział, na Circulosa, na brata Trankwilusa, na Narrenturm i na świat cały. Na Adele de Stercza, bo paskudnie się wobec niego zachowała. Na Katarzynę Biberstein - bo on paskudnie się wobec niej zachował.

Na domiar złego czuł się źle. Miał katar, trzesły nim dreszcze, źle spał, a budził się mokry od potu i zmarznięty.

Dreczyły go sny, w których wciąż i nieustannie czuł zapach Adeli, jej pudru, jej różu, jej pomadki, jej henny - na zmianę z zapachem Katarzyny, jej kobiecości, dziewczęcego potu, mięty i tataraku we włosach. Palce i dłonie pamiętały wracający w snach dotyk - i też porównywały. Nieustannie porównywały.

Budził się zły potem. A na jawie przypominał sobie i nie przestawał porównywać.

Zły nastrój potęgował Szarlej i Horn, którzy od incydentu zaprzyjaźnili się i pokumali, weszli w komitywę, przypadł, widac było, frant frantowi do gustu i poznał się cwik na cwiku. Siadując „Pod Omega”, frantowie wiedli długie rozmowy. A na pewien temat jakby się uwzieli, w kółko do niego wracali. Nawet jeśli zaczynali od czegoś zupełnie innego - jak chociażby od widoków na wydostanie się z ciupy.

- Kto wie - mówił cicho Szarlej, w zamysleniu obgryzając nadłamany paznokiec kciuka. - Kto wie, Horn. Może będziemy mieli szczęście... Mamy, widzisz, pewne nadzieje... Kogos za murami...

- Kogóż to? - Horn spojrzal na niego bystro. - Jesli mozna wiedziec?

- Wiedziec? A po cóż? Wiesz, co to jest strappado? Jak myslisz, jak dlugo wytrzymasz, gdy podciagna cie za...

- Dobra, dobra, daruj sobie. Ot, ciekawilo mnie, czy wasza nadzieja wypadkiem nie w ukochanej Reinmara, Adeli de Stercza. Majacej obecnie, jak wiesc niesie, duze wziecie i plywy wsród Piastów slaskich.

- Nie - zaprzeczyl Szarlej, zauwazalnie ubawiony wsciekla mina Reynevana. - W niej akurat nadziei nie pokladamy. Nasz drogi Reinmar ma, i owszem, powodzenie u plci nadobnej, ale nie wiazal sie z tym zadne korzysci, poza, oczywiscie, nader krótkotrwała przyjemnoscia z pochedózki.

- Tak, tak - zadumal sie pozornie Horn - samo powodzenie u kobiet nie wystarczy, trzeba miec jeszcze do nich szczescie. Dobra, ze uzyje eufemizmu, reke. Wtedy ma sie szanse miec nie tylko zgryzoty i stracone zachody milosci, ale i jakies profity. Chooby w takiej sytuacji jak nasza. Wszak nie kto inny, a milujaca dziewczeczka uwolnila z okowów Walgierza Wdalego. Zakochana Saracenska wybawila z niewoli Huona z Bordeaux. Litewski kniaz Witold uciekl z wiezienia na zamku w Trokach z pomoca kochajacej zony, ksieznej Anny... Zaraza, Reinmarze, ty naprawde zle wygladasz.

* * *

- ...*Ecce enim veritatem dilexisti incerta et occulta sapientiae tuae manifestasti mihi. Asperges me hyssopo, et mundabor...* Hej! Zebym ja tam zaraz którego nie musial pokropic!*Lavabis me ...* Hola! Nie ziewac tam! Tak, tak, Koppirning, to do ciebie bylo! A ty, Bonawentura, czego czochrasz sie o mur jak swinia? Przy modlitwie? Godnosc, godnosc wiecej! I któremu to, chcialbym wiedziec, tak nogi smierdza?*Lavabis me et super nivem dealabor. Auditui meo dabis gaudium ...* Swieta Dymno... A temu co znowu?

- Jest chory.

Reynevana bolaly plecy, na których lezal. Zdziwil sie, ze lezy, albowiem dopiero co kleczal przy modlitwie. Posadzka ziebila, zimno promieniowalo przez slome, mial wrazenie, ze lezy na lodzie. Dygotal z zimna, trzasl sie caly, szczekal zębami tak, ze od skurczów bolaly miesnie zuchw.

- Ludzie! Toz on rozpalony jak piec Molocha!

Chcial zaprotestowac, czyz nie widza, ze ziebnie, ze trzesie sie od chlodu? Chcial prosic, by go czymś okryli, ale nie zdolal precisnac przez dzwoniace zeby nawet jednego artykulowanego slowa.

- Lez. Nie ruszaj sie.

Obok ktos rzezil, zanosil sie kaszlem. Circulos, to chyba Circulos tak kaszle, pomyslal, z naglym przerazeniem zdajac sobie sprawe z faktu, ze kaszlącego, choc oddalonego o dwa kroki, widzi jako bezkszaltna, rozmywajaca sie plame. Zamrugal. Nie pomoglo. Poczul, jak ktos ociera mu czolo i twarz.

- Lez spokojnie - powiedziala plesn na murze glosem Szarleja. - Lez.

Byl okryty, ale tego, by go okrywano, nie pamietal. Juz go tak nie trzeslo, zeby nie szczekaly.

- Jesteś chory.

Chciał powiedzieć, że on wie lepiej, w końcu jest lekarzem, studiował medycynę w Pradze i potrafi odróżnić choroby od chwilowego przemarznięcia i osłabienia. Ku swemu zdziwieniu z jego otwartych ust, miał mądrej przemowy, wyrwał się tylko jakiś okropny skrzes. Kaszlnął silnie, gardło zabolalo i zapiekło. Wysiłił się i kaszlnął raz jeszcze. I stracił przytomność z tego wysiłku.

* * *

Majaczył. Marzył. O Adeli i o Katarzynie W nozdrzach miał zapach pudru, rózu, mięty, henny, tataraku. Palce i dłonie pamiętały dotyk, miękkość, twardość, gładkość. Gdy zamykał oczy, widział skromną, zawstydzoną *nuditatis virtualis* - małe okrągłe piersi ze stwardniałymi od zadzy sutkami. Cienka talia, wąskie biodra Płaski brzuch. Wstydliwie przykurczone uda...

Nie wiedział już, która z nich jest która.

* * *

Zmagał się z chorobą przez dwa tygodnie, do Wszystkich Świętych. Potem, gdy już wyzdrowiał, dowiedział się, że kryzys i przesilenie miały miejsce około Szymona i Judy, standardowo, siódmego dnia. Dowiedział się też, że ziołowe driakwie i napary, które go uratowały, dostarczył brat Trankwilus. A podawali mu je Szarlej i Horn. Czuwając przy nim na zmianę.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym nasi bohaterowie nadal są, by użyć słów proroka Izajasza, *sedentes in tenebris* - po ludzku zaś mówiąc, odsiadka w Narrenturmie trwa. Później zaś na Reynevanę wywierane są naciski. Już to za pomocą argumentów, już to - instrumentów. I diabli wiedzą, czym by się to skończyło, gdyby nie te porobione na studiach znajomości.

Dwa tygodnie, które choroba wymazała Reynevanowi z życiorysu, wiele w wieży nie zmieniły. Ot, zrobiło się jeszcze zimniej, co jednak po Zaduszkach na miano fenomenu nie zasługiwało bynajmniej. W jadłospisie jał przeważać śledz, przypominając o zbliżającym się adwencie. W zasadzie prawo kanoniczne nakazywało w adwencie postać dopiero cztery niedziele przed Bożym Narodzeniem, ale bardzo pobożni - a bożogrobcy do nich należeli - zaczęli postać wcześniej.

Z innych ewenementów, niedługo po świętej Urszuli Mikołaj Koppirniog dostał czyraków tak strasznych i

uporczywych, że musiano je ciąć w szpitalnym *medicinarium*. Astronom po operacji spędził dni kilka w hospicjum.

O tamtejszych wygodach i wikcie opowiadał tak obrazowo, że pozostali pensjonariusze wieży postanowili też się załapać. Lachmany i słome z barlogu Koppirniga rozdrapano i rozdzielono, by się zakazic. Faktycznie, niebawem Institora i Bonawentura obsypały wrzody i wypryski. Do czyraków Koppirniga nie umywały się jednak i bozogrobcy nie uznali ich za godne operowania i hospitalizacji.

Szarlejowi udało się zas przywabić resztkami jedzenia i oswoić wielkiego szczura, którego nazwał Marcinem, na cześć, jak się wyraził, obecnie urzędującego papieża. Niektórych pensjonariuszy Narrenturmu zart ten rozbawił, inni byli oburzeni. W równej mierze na Szarleja, co na Horna, który ochrzcenie szczura skomentował odzywka: *Habemus papam*. Wydarzenie dało jednak asumpt do nowego tematu wieczornych rozmów - pod tym względem również bowiem niewiele się w wieży zmieniło. Co wieczór siadano i dyskutowano. Najczęściej w okolicy barlogu Reynevana, wciąż zbyt słabego, by wstawac i karmionego specjalnie dostarczonym przez bozogrobców rosółem z kury. Urban Horn karmił więc Reynevana, Szarlej karmił szczura Marcina. Bonawentura drapał się we wrzody, Koppirni, Institor, Kamedula i Izajasz przysłuchiwali się. Tomasz Alfa perorował. A zainspirowanym przez szczura przedmiotem byli papież, papieństwo i słynne proroctwo świętego Malachiasza, arcybiskupa ardynacenskigo.

- Przyznacie - mówił Tomasz Alfa - że wielce trafna jest to przepowiednia, tak trafna, że o żadnym przypadku i mowy być nie może. Malachiasz musiał mieć objawienie, sam Bóg musiał do niego przemówić, zdradzając mu losy chrześcijaństwa, w tym imiona papieży, od współczesnego mu Celestyna II do owego Piotra Rzymianina, tego, którego pontyfikat skończy się pono zagładą i Rzymu, i papieństwa, i całej chrześcijańskiej wiary. I jak do tej pory przepowiednia Malachiaszowa spełnia się co do joty.

- Tylko wtedy, jeśli się ją naciągnie - skomentował zimno Szarlej, podsuwając Marcinowi okruchy chleba pod wasaty pyszczek. - Na tej samej zasadzie można wżuć ciasne buty. Tylko chodzić się w nich nie da.

- Nieprawda powiadacie, widomie z niewiedzy. Proroctwo Malachiaszowe bezbłędnie wszystkich papieży jak żywych pokazuje. Weźcie jeno nieodległe czasy schizmy - ten, kogo przepowiednia nazywa „Księciem kosmedynskim”, toż to zwączy się Benedyktem XIII zmarły niedawno wyklęty papież awinionski Pedro de, *nomen omen*, Luna, niegdys kardynał u Marii w Kosmedynie. Po nim idzie u Malachiasza *cubus de mixtione*, „Szescian z zespolenia” - a któż to, jeśli nie rzymski Bonifacy IX, Piotr Tomacelli, w herbie mający szachownice?

- A nazwany „Z lepszej gwiazdy” - wtracił, rozdrapując wrzód na łydce, Bonawentura - to wszak Innocenty VII, Cosimo de Migliorati, z kometa w tarczy herbowej. Prawda?

- Juzci, prawda! A następny papież, u Malachiasza „Sternik z czarnego mostu”, przecie to Grzegorz XII, Angelo Corrado, Wenecjanin. A „Bicz słoneczny”? Toż to nikt inny jak Kretencyk Piotr Philargi, Aleksander V, papież obediencji pizanskiej, w herbie słońce noszący. A nazwany w proroctwie Malachiaszowy „Jelen syreni”...

- Wtedy chromy wyskoczy jak jelen i język niemych wesóło krzyknie. Bo trysna źródło wód...

- Cichajże, Izajaszu! Ów jelen to wszakże...

- Wszakże kto? - prychnął Szarlej. - Wiem, wiem, że wepchniecie tu, jak nogę w ciasną cizmę, Baltazara de Cossa, Jana XXIII. Ale to nie papież, lecz antypapież, całkiem nie pasujący do listy, nadto

ani z jeleniem, ani z syrena nic wspólnego raczej nie mający. Innymi słowy, Malachiasz w tym miejscu napłótl. Jak i w wielu innych miejscach tej słynnej przepowiedni.

- Zła, zła wole pokazujecie, panie Szarleju! - zaperzył się Tomasz Alfa. - Dziury w całym szukacie! Nie tak do proroctwa podchodzić trzeba! Trzeba w nim to widzieć, co bezwzględnie prawdziwe, i to mieć za dowód prawdy całości! To zaś, co się wam w waszym mniemaniu nie zgadza, nie łza fałszem okrzykiwać, jeno uznać z pokorą, że się, śmiertelnikiem maluczkiem będąc, słowa Bożego nie pojęło, bo nie było ono do pojęcia. Ale czas prawdy dowiedzie!

- Choćby nie wiem ile czasu upłynęło, nic bzdury w prawdę nie obróci.

- Tu - wtracił się z uśmiechem Urban Horn - nie masz racji, Szarleju. Nie doceniasz, oj, nie doceniasz czasu.

- Jesteście profani - ogłosił ze swego barlogu przysłuchujący się Circulos. - Jesteście nieuki. Wszyscy. Zaiste, słucham i słysze: *stultus stulta loquitur* .

Tomasz Alfa wskazał go głową i znacząco popukał się w czoło. Horn parsknął, Szarlej machnął ręką.

Szczur przyglądał się zajądłom madrym czarnym ślepkom. Reynevan przyglądał się szczurowi. Koppirniż przyglądał się Reynevanowi.

- A co - spytał nagle Koppirniż właśnie - powiecie o przyszłości papieżstwa, panie Tomaszu? Co o tym mówi Malachiasz? Kto będzie następnym papieżem, po Ojcu Świętym Marcynie?

- Pewnie Jelen Syreni - zadrwił Szarlej.

- Wtedy chromy wyskoczy jak jelen...

- Cichajże, mówilem, czubku jeden! A wam, panie Mikołaju, tak odrzekne: będzie to Katalonczyk. Po obecnym Ojcu Świętym Marcynie, nazwanym „Kolumna złotej zasłony”, Malachiasz wspomina o Barcelonie.

- O „schizmie barcelońskiej” - skorygował Bonawentura, uspokajając płaczącego Izajasza. - A z tego wynikałoby, że chodzi o Idziego Munoza, następnego po de Lunie schizmatyka, zwącego się Klemensem VIII. Bynajmniej nie chodzi w tym miejscu przepowiedni o następcę Marcina V.

- Ach, rzeczywiście? - zdziwił się przesadnie Szarlej. - Bynajmniej? Cóż za ulga.

- Jeśli tylko rzymskich papieży brać pod uwagę - skonkludował Tomasz Alfa - to następnym jest u Malachiasza „Wilczyca niebiańska”.

- Wiedziałem - parsknął Horn - że w końcu do tego dojdzie. Zawsze *Curia Romana* wilczymi słynęła prawami i obyczajami, ale żeby, bądź nam Panie miłosiw, aż wilczyca na stolcu Piotrowym?

- I do tego samka - zadrwił Szarlej. - Znowu? Mało było jednej Joanny? A mówiło się, że będa tam pilniej sprawdzać, czy aby wszyscy kandydaci noszą jajca.

- Zaniechali sprawdzania - mrugnął do niego Horn. - Bo zbyt wielu odpadło.

- Niewczesne to zarty - zmarszczył brwi Tomasz Alfa - a do tego kacerstwem załatujące.

- Jako żywo - dodał ponuro Institor. - Błuznicie. Jak z tym waszym szcurem...

- Dosyc, dosyc - uciszył go gestem Koppirnię. - Wróćmyz do Malachiasza. Któż wiec będzie następnym papieżem?

- Sprawdziłem i wiem - Tomasz Alfa rozejrział się dumnie - iż jeden jeno z kardynałów wchodzi w rachubę. Gabriel Condulmer. Niedysiejszy biskup sienenski. A Siena, uważacie, ma w herbie wilczyce. Owego Condulmera, wspomnicie słowa moje i Malachiasza, wybierze konklawe po papie Marcinie, daj mu Boże jak najdluzszy pontyfikat.

- Nie widzi mi się to prawdopodobnym - pokręcił głową Horn. - Są pewniejsi kandydaci, tacy, o których głośniej, którzy błyskotliwsze robią kariery. Albert Branda Castiglione i Giordano Orsini, obaj członkowie Kolegium. Albo Jan Cervantes, kardynał u Świętego Piotra w Okowach. Albo choćby taki Bartolomeo Capra, arcybiskup Mediolanu...

- Kamerling papieski Jan Palomar - dorzucił Szarlej. - Idź Charlier, dziekan z Cambrai. Kardynał Juan de Torquemada. Jan Stojkovic z Raguzy, wreszcie. Po mojemu, marne szanse ma ów Condulmer, o którym, jeśli szczerzy mam być, w ogóle nie słyszałem.

- Proroctwo Malachiaszowe - uciął dyskusję Tomasz Alfa - jest nieomyślne.

- Czego - odparł Szarlej - nie da się powiedzieć o jego interpretatorach.

Szczur obwachiwał miske Szarleja. Reynevan uniósł się z trudem, oparł plecami o mur.

- Oj, panowie, panowie - rzekł z wysiłkiem, ocierając pot z czoła i powstrzymując kaszel. - Siedzicie w więzi, w ciemnym więzieniu. Nie wiada, co będzie jutro. Może powłoka nas na meki i śmierć? A wy się spieracie o papieża, który nastanie za lat szesc dopiero...

- Skąd wiecie - zachłysnął się Tomasz Alfa - że za szesc?

- Nie wiem. Tak mi się jakos rzekło.

* * *

W wigilie świętego Marcina, dziesiątego listopada, gdy Reynevan wydobrał zupełnie, uznani za wyleczonych i zwolnieni zostali Izajasz i Normalny. Byli wcześniej kilkakrotnie wyprowadzani na badania. Nie wiadomo było, kto je przeprowadzał, ktokolwiek to był, musiał uważać, że nieustanna masturbacja i porozumiewanie się wyłącznie za pomocą cytatów z księgi prorockiej niczego nie dowodzą i niczego ujemnego o zdrowiu psychicznym nie mówią, w końcu zacytować Księgę Izajasza zdarza się i papieżowi, a masturbacja też rzecz ludzka. Mikołaj Koppirnię miał w tej kwestii odmienne zdanie.

- Przygotowują teren - oświadczył ponuro - dla inkwizytora. Usuwają stad swirów i pomyślonych, by inkwizytor nie musiał tracić na nich czasu. Zostawiają samo geste. Znaczą, nas.

- Też - przytaknął Urban Horn - tak mi się widzi.

Rozmowie przysłuchiwał się Circulos. Wkrótce zaś przeprowadził się. Zebrał słome i przeczłapał, istny

stary lisy pelikan, pod przeciwniegiem sciane, gdzie w oddaleniu uwil sobie nowy barlóg. Sciana zas i podloga w tempie blyskawicznym pokryla sie hieroglifami i ideogramami. Przewazaly znaki zodiakalne, pentagramy i heksagramy, nie brakowalo spiral i tetraktysów, powtarzaly sie litery-matki: Alef, Mem i Szin. Bylo, a jakze, cos na ksztalt Drzewa Sefirotów. I inne, najrozmaitsze symbole i znaki.

- I co wy, panowie - wskazal ruchem glowy Tomasz Alfa - na te diabelstwa?

- Inkwizytor - zawyrokowal Bonawentura - wezmie go jako pierwszego. Wspomnicie me slowa.

- Watpie - rzekl Szarlej. - Mysle, ze przeciwnie, ze wnet go wypuszcza. Jesli faktycznie zwalniaja pólglówków, to on spelnia warunki wrecz wzorcowo.

- Mniemam - zaprzeczyl Koppirni - ze mylicie sie co do niego.

Reyneveran tez tak mniemal.

* * *

W jadlospisie postny sledz dominowal absolutnie, wkrótce nawet szczur Marcin jadal go z zauwazalna niechecia. A Reyneveran zdecydowal sie.

Circulos nie zwrócił na niego uwagi, nawet nie zauwazyl go, gdy podchodzil, zajety malowaniem na scianie Pieczeci Salomona. Reyneveran zachrzakal. Raz, potem drugi raz, glosniej. Circulos nie odwrócił glowy.

- Nie zaslaniaj mi swiatla!

Reyneveran ukucnal. Circulos nabazgral na otaczajacym pieczec okregu symetryczne napisy: AMASARAC, ASARADEL, AGLON, VACHEON i STIMULAMATON.

- Czego tu chcesz?

- Ja znam te sigle i zaklecia. Slyszalem o nich.

- Taaak? - Circulos dopiero teraz spojrzal na niego, milczal czas jakis. - A ja slyszalem o prowokatorach. Odejdz, wezu.

Odwrócił sie plecami i wznovil bazgranie. Reyneveran odkaszlnal, nabral tchu.

-*Clavis Salomonie* ...

Circulos zamarl. Chwile trwal w bezruchu. Potem wolno zwrócił glowe. I poruszył wolem.

-*Speculum salvationis* - odrzekl glosem, w którym wciaz jednak pobrzmiwaly podejrziwosc i niepewnosc. - Toledo?

-*Alma mater nostra* .

-*Veritas Domini* ?

-*Manet In saeculum* .

- Amen - Circulos dopiero teraz pokazał w uśmiechu poczerwiałe resztki zębów, rozejrzal się, czy nikt nie słucha. - Amen, młody konfratrze. Która akademia? Kraków?

- Praga.

- A ja - Circulos uśmiechnął się jeszcze szerzej - Bolonia. Potem Padwa. I Montpellier. W Pradze też bywałem... Znałem doktorów, mistrzów, bakalarzów... Nie omieszkało mi tego przypomnieć. Przy aresztowaniu. A inkwizytor będzie chciał znać szczegóły... A ty, młody konfratrze? O co cię będzie pytać spiesząc tu do nas obrońca katolickiej wiary? Kogo znałeś w Pradze? Niech zgadnę: Jana Przybrania? Jana Kardynała? Piotra Payne'a? Jakubka ze Strzybra?

- Ja - Reynevan pamiętał przestrogi Szarleja - nikogo nie znałem. Jestem niewinny. Trafiłem tu przypadkiem. Skutkiem nieporozumienia...

-*Certes, ceres* - machnął ręką Circulos. - Jakżeby inaczej. Bądź aby w swej świętej niewinności przekonywający, da Bóg, wyjdiesz cało. Szanse masz. W przeciwieństwie do mnie.

- Co też wy...

- Wiem, co mówię - uciął. - Jestem recydywa.*Haereticus relapsus* , rozumiesz? Tortur nie wytrzymam, sam się pograze... Stos gwarantowany. Dlatego...

Machnął ręką w stronę nakreślonych na ścianie symboli.

- Dlatego - powtórzył - kombinuje, jak widzisz.

* * *

Minęła doba, nim Circulos zdradził, co kombinuje. Doba, podczas której Szarlej dobitnie dał wyraz dezaprobach dla nowej Reynevanowej komisy.

- Całkiem nie rozumiem - podsumował, zmarszczony - dlaczego tracisz czas na gadanie z tym pomylnym.

- A dajże mu pokój - nieoczekiwanie wziął stronę Reynevana Horn. - Niech gada, z kim chce. Może potrzebna mu odmiana?

Szarlej machnął ręką.

- Hej! - krzyknął za odchodzącym Reynevanem. - Nie zapomnij! Czterdzieści i osiem!

- Co?

- Suma liter w słowie „Apollyon”! Pomnożona przez sumę liter w słowie „kretyn”!

* * *

- Kombinuje - Circulos zniżył głos, rozejrział się czujnie. - Kombinuje, jak stąd nawiac.

- Za pomocą - Reynevan rozejrział się również - magii, nieprawdaz?

- Inaczej się nie da - beznamietnie stwierdził fakt starzec. - Próbowałem już, na samym początku, przekupstwa. Dostałem kijem. Próbowałem straszyć. Dostałem znowu. Próbowałem udawać kompletnego przyglupa, ale nie dali się nabrac. Symulowałbym opętanego przez diabła, gdyby inkwizytorem nadal był stary Dobeneck, wrocławski przeor od Świętego Wojciecha, może by mi się udało. Ale ten nowy, młody, o, ten nie da się wykiwać. To co mi zostaje?

- Własnie. Co?

- Teleportacja. Przeniesienie w przestrzeni.

* * *

Nazajutrz Circulos, czujnie rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje, przybliżył Reynevanowi swój plan, poparłszy go, a jakże, długim wykładem z teorii czarnoksiestwa i goecji. Teleportacja, dowiedzial się Reynevan, jest całkiem możliwa, ba, łatwa nawet, pod warunkiem, a jakże, asystencji odpowiedniego demona. Jest, dowiedzial się Reynevan, takich demonów kilka, każda porządna księga zaklęć podaje tu swoje typy. I tak, podług *Grymuaru papieża Honoriusza* demonem teleportującym jest Sargatanas, któremu podlegają najnowsze demony pomocnicze: Zoray, Valefar i Farai. Wywoływanie wymienionych jest jednakowoż niezwykle trudne i bardzo niebezpieczne. Dlatego *Mniejszy Klucz Salomona* zaleca ewokować do innych demonów, znanych pod imionami Bathin i Seere. Wieloletnie studia Circulosa, dowiedzial się na koniec Reynevan, skłaniają go jednak do pokierowania się wskazówkami jeszcze innej magicznej księgi, *Grimorium Verum* mianowicie. A *Grimorium Verum* w sprawie teleportacji doradza zawezwać demona Mersilde.

- A jakże go zawezwać? - odważył się Reynevan. - Bez instrumentarium, bez *occultum*? *Occultum* winno spełniać szereg warunków, których tu, w tym brudnym lochu, stworzyć...

- Ortodoksja! - przerwał gniewnie Circulos. - Doktrynerstwo! Jakże szkodliwe w empirii, jakże zawężające horyzonty! Furda *occultum*, gdy się ma amulet. Prawda, panie formalisto? Oczywiście prawda. *Ergo*, oto i amulet. *Quod erat demonstrandum*. Popatrz no.

Amulet okazał się owalna płytką z malachitu, wielkości mniej więcej grosza, z wrytymi i napuszczonymi złotem gładkami i symbolami, z których najbardziej rzucającymi się w oczy były wąż, ryba i wpisane w trójkąt słońce.

- To talizman Mersilde - rzekł z dumą Circulos. - Przemyciłem go tu, ukrywszy. Obejrzyj. Śmiało.

Reynevan wyciągnął rękę, ale cofnął ją szybko. Zaschnięte, ale wciąż wyraźne ślady na talizmanie zdradzały miejsce, w jakim był ukrywany.

- Będzie próbował dziś w nocy - starzec nie przejął się reakcją. - Życz mi fortuny, młody adeptcie. Kto wie, może się jeszcze kiedyś...

- Miałbym - odchrzaknął Reynevan - jeszcze jedna... Ostatnia... sprawę... Proszę raczej. Chodzi mi o wyjaśnienie... Hmm.. Pewnej przygody... Zdarzenia...

- Mów.

Wyłożył rzecz szybko, ale dokładnie. Circulos nie przerywał. Wysłuchał w spokoju i skupieniu. Potem przeszedł do pytań.

- Jaki to był dzień? Dokładna data?

- Ostatni dzień sierpnia. Piątek. Godzina przed nieszporemami.

- Hmm... Słońce w znaku Panny, czyli Wenus... Rządzący geniusz dwojaki, chaldejski Samas, hebrajski Hamaliel. Księżyc, jak mi wychodzi z rachunku, w pełni... Niedobrze... Godzina Słońca... Hmm... Nie najlepiej, ale i nie najgorzej... Momencik.

Odgarnął słomę, przetarł dłonią klepisko, nabazgrał na nim jakieś wykresy i cyfry, dodawał, mnożył, dzielił, mamrocząc coś o ascendentach, descendentach, katach, epicyklach, deferentach i kwinkunksach. Wreszcie podniósł głowę i zabawnie poruszył wolem.

- Wspomniales, że użyto zakleć. Jakich?

Reynevan jął przytaczac, przypominając sobie z trudem. Długo to nie potrwało.

- Wiem - przerwał, niedbale machnąwszy ręką, Circulos. - *Arbatel*, choć poplatany po prostaku. Dziw, że to w ogóle podziałało... I że nikt nie zginął tragiczną śmiercią... Nieważne. Wizje były? Wielogłowy lew? Jeździec na koniu białym? Kruk? Wąż ognisty? Nie? Ciekawe. I powiadasz, że ów Samson, gdy się zbudził... Nie był sobą, tak?

- Tak twierdził. I były pewne... podstawy. Właśnie o to mi idzie, tego chciałbym się dowiedzieć. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Circulos milczał czas jakiś, trąc pieta o pieta. Potem wysmarkał się.

- Kosmos - rzekł wreszcie, w zamysleniu wycierając palce w podolek - to doskonale uporządkowana całość i doskonały hierarchiczny porządek. To równowaga pomiędzy *generatio acorruptio*, rodzeniem się a zamieraniem, tworzeniem a destrukcją. Kosmos jest, jak uczy Augustyn, *gradatio entium*, drabina bytów, tych widzialnych i tych niewidzialnych, tych materialnych i tych niematerialnych. Kosmos jest zarazem jak księga. A jak uczy Hugon od Świętego Wiktora - aby zrozumieć księgę, nie wystarczy oglądać piękne formy liter. Tym bardziej, że nasze oczy często są ślepe...

- Pytałem, czy to możliwe.

- Był to nie tylko *substantia*, był to zarazem *accidens*, coś, co zdarza się niezamierzenie... Czasem magicznie... Magiczne zaś w człowieku dąży do zespolenia z magicznym we wszechświecie... Są ciała i światy astralne... Niewidzialne dla nas. Pisze o tym święty Ambroży w swym *Hexaemeronie*, Solinus w *Liber Memorabilium*, Raban Maur w *De universo* ... A Mistrz Eckhart...

- Możliwe - przerwał obcesowo Reynevan - czy nie?

- Mozliwe, a jakże - pokiwał głową staruszek. - Trzeba ci wiedzieć, że w tej materii mam się za specjalistę. Praktycznie egzorcyzmami się nie zajmowałem, zglebiałem zagadnienie z innych powodów. Już dwa razy, mój chłopcze, wykiwałem Inkwizycję, udając opętanego. A żeby dobrze udawać, trzeba się znać. Studiowałem zatem *Dialogus de energia et operatione daemonum* Michała Psellośa, *Exorcisandis obsessis a daemonio* papieża Leona III, *Picatrix*, przetłumaczony z arabskiego...

- ...przez Alfonsa Madrego, króla Leonu i Kastylii. Wiem. A konkretniej, o danym przypadku, można?

- Można - wydal sine wargi Circulos. - Pewnie, że można. W danym przypadku trzeba było pamiętać, że każde, nawet najmniej z pozorów ważne zaklecie oznacza pakt z demonem.

- A więc demon?

- Lub *cacodaemon* - wzruszył chudymi ramionami Circulos. - Lub coś, co umownie ta nazwa określamy. Co dokładnie? Powiedzieć nie mogę. Mnogie indywidualia krocza w ciemności, niezliczone są *negotia perambulantia in tenebris* ...

- Klasztorny matol powedrował tedy w ciemność - upewnił się Reynevan. - A w jego doczesną powłokę wcieliło się *sienegotium perambulans*. Wymienili się. Tak?

- Równowaga - potwierdził kiwnięciem głowy Circulos. - Jin i jang. Albo... jeśli bliższa ci Kabała, Keter i Malkut. Jeśli istnieje szczyt, wysokość, to musi istnieć i otchłan.

- A da się to cofnąć? Odwrócić? Sprawić, by doszło do powtórnej wymiany? Żeby on powrócił... Wiecie...

- Wiem. To znaczy: nie wiem.

Siedzieli chwilę w milczeniu i ciszy, zakłócaną tylko przez chrapanie Koppirniga, czkawkę Bonawentury, belkot debili, szmer głosów dyskutujących „Pod Omega” i *Benedictus Dominus*, cicho klepane przez Kamedule.

- On - rzekł wreszcie Reynevan. - Samson, znaczy... Nazywa siebie Wedrowcem.

- Trafnie. Milczeli czas jakiś.

- Taki *cacodaemon* - odezwał się wreszcie Reynevan - niezawodnie dysponuje jakimiś mocami... nadludzkimi. Ma jakies... zdolności...

- Głowisz się - odgadł Circulos, dając dowód przenikliwości - czy możesz spodziewać się od niego wybawienia? Czy, sam będąc wolnym, nie zapomniał o uwiezionych towarzyszach? Chcesz wiedzieć, czy możesz liczyć na jego pomoc. Prawda?

- Prawda.

Circulos milczał chwilę.

- Ja bym nie liczył - oświadczył wreszcie z okrutną szczerością. - Dlaczego miałyby demony w tym względzie różnić się od ludzi?

* * *

Była to ich ostatnia rozmowa. Czy udało się Circulosowi uaktywnić przemyczony w dupie amulet i zaważać demona Mersilde, pozostawało i na wieki miało pozostać zagadką. Z teleportacji nic jednak nie wyszło ponad wszelką wątpliwość. Circulos nie przeniósł się w przestrzeń. Nadal był w wieży. Leżał na barlogu na wznak, wyprezony, z obiema rękami przycisniętymi do piersi, z palcami kurczowo wczepionymi w odzież.

- Najświętsza Panienko... - steknął Institor. - Zakryjcie mu twarz...

Szarlej strzepem szmaty zasłonił upiorną maskę, zdeformowaną w paroksyzmie zgrozy i bólu. Wykrzywione, pokryte zeschłą pianą usta. Wyszczерzone zęby i metne, szklisko wybaluszone oczy.

- Zawołajcie brata Trankwilusa.

- Chryste... - jęknął Koppirnik. - Patrzcie... Opodał barlogu nieboszczyka leżał do góry brzuchem szczur Marcin. Skrecony w mece, z żółtymi zębami na wierzchu.

* * *

- Diabeł - zawyrokował z miną znawcy Bonawentura - kark mu skrecił. I porwał duszę do piekła.

- Ano, niezawodnie - przytaknął Institor. - Malował na ścianach diabełstwa i doigrał się. Przecie każdy głupi widzi: heksagramy, pentagramy, zodiaki, kabaly, sefiry, inne czarcie i żydowskie symbole. Wywołał diabła stary guslarz. Na własną zgubę.

- Tfu, tfu, siła nieczysta... Trza by te wszystkie malunki zmasać. Woda świecona polać. Nabożenstwo odprawic, zanim i do nas się Zły przyczepi. Wołajcie mnichów... Z czego się śmiejecie, Szarleju, można wiedzieć?

- Zgadnijcie.

- I w samej rzeczy - ziewnął Urban Horn. - Śmiechu warte jest to, co wygadujecie. I wasze poruszenie. Czym tu się ekscytować? Stary Circulos umarł, odwalil kite, strzelił kopytami, rozstał się z tym światem, powędrował na asfodelowe laki. Niech mu tedy ziemia lekka będzie *ilux perpetua* niech mu świeci. I *finis* na tym, obwieszczam koniec żaloby. A diabeł? Do diabła z diablem.

- Oj, panie Mummolinie - pokręcił głową Tomasz Alfa. - Nie zartujcie z diabła. Bo widome są tu jego sprawki. Kto wie, może krąży on tu wciąż, skryty w mroku. Nad tym miejscem śmierci unoszą się piekielne wyziewy. Nie czujecie? Cóż to jest, po waszemu, jeśli nie siarka? He? Cóż tak wonieje?

- Wasze gacie.

- Jeśli nie diabeł - zaperzył się Bonawentura - to co go, po waszemu, zabiło?

- Serce - odezwał się Reynevan, prawda, że niezbyt pewnie. - Uczyłem się o takich przypadkach. Serce mu pekło. Nastąpiła *plethora*. Niesiony pneuma nadmiar żółci wywołał tumor, wystąpiło zatkanie, czyli infarkt. Nastąpił *spasmus* i rozerwała się *arteria pulmonalis*.

- Slyszycie - rzekl Szarlej. - Oto wypowiedziala sie nauka. *Sine ira et studio. Causa finita* , wszystko jasne.

- Czyzby? - odezwal sie nagle Koppirnig. - A szczur? Co zabilo szczura?

- Zezarty sledz.

Na górze trzasnely drzwi, zaskrzypialy schody, zadudnila na stopniach toczona beczulka.

- Pochwalony! Posilek, bracia! Nuze, do modlitwy! A potem z miseczkami po rybke!

* * *

Prosbe o wode swiecona, nabozenstwo i egzorcyzmy nad barlogiem nieboszczyka brat Trankwilus skwitowal wielce wieloznacznym wzruszeniem ramion i wielce jednoznacznym puknieciem sie w czolo. Fakt ten niezwykle ozywil poobiednie pogwarki. Wysuniete i wysnute zostaly smiale tezy i przypuszczenia. Wedlug tych najsmielszych brat Trankwilus sam byl heretykiem i czcicielem diabla, tylko taki bowiem odmawia wiernym swieconej wody i duchownej poslugi. Nie baczac, ze Szarlej i Horn zasmiewaja sie do lez, Tomasz Alfa, Bonawentura i Institor jeli drazyc temat glebiej. Do momentu, gdy - ku ogólnemu oslupieniu - do dyskusji wlaczyła sie osoba najmniej spodziewana. Kamedula, mianowicie.

- Woda swiecona - mlody duchowny po raz pierwszy dal współwiezniom uslyszec swój glos. - Woda swiecona na nic by sie wam zdala. Jesli prawdziwie zawital tu diabel. Nie skutkuje przeciw diablu woda swiecona. Dobrze to wiem. Bom widzial. Za to własnie tu siedze.

Gdy ucichl podniecony gwar i zapadlo ciezkie milczenie, Kamedula rzecz wyjasnil.

- Jestem, trzeba wam wiedziec, diakonem u Wniebowziecia Najswietszej Marii Panny w Niemodlinie, sekretarzem wielebnego Piotra Nikischa, dziekana kolegiaty. Rzecz, o której opowiem, zdarzyła sie tego roku, w miesiacu sierpniu, *feria secunda post festum Laurentii martyris* . Kolem poludnia wpadl byl do kosciola wielmozny pan Fabian Pfefferkorn, *mercator* , daleki dziekana krewny. Wzburzony wielce, zazadal, by wielebny Nikisch wypowiedzial go co rychlej. Jak tam bylo, gadac mi nijak, bo to o spowiedz idzie, a i o umarlým, jakby nie bylo, mówimy, *ade mortuis aut bene aut nihil* .[\[38.\]](#) Zdradze wiec jeno, ze naraz krzyzec na sie wzajem jeli u konfesjonalu. Ba, do uzycia wyrazów przyszło, mniejsza z tym, jakich. Rezultatem wielebny rozgrzeszenia panu Pfefferkornowi nie dal, a pan Pfefferkorn odszedl, wielebnego bardzo brzydkimi nazywajac slowy, a i przeciw wierze, i Kosciolowi rzymskiemu bluzniac. Gdy mnie w kruchcie mijal, krzyknal: „Niech was, klechy, diabli porwa!” Takem sobie wtedy i pomyslal, oj, panie Pfefferkorn, obys w zla godzine nie wymówil. I wtenczas sie diabel pokazal.

- W kosciele?

- W kruchcie, w wejsciui samym. Skadsis z góry splynal. Sfrunal raczej, bo pod postacia ptaka. Prawde mówie! Ale wnet sie przeobrazil w czlowieczna postac. Dzierzyl miecz lsniacy, rychtyk jak na obrazie. I tym mieczem pana Pfefferkorna prosto w twarz ugodzil. Prosto w twarz. Zbryzgala krew posadzke...

- Pan Pfefferkorn - diakon glosno przelknal slinę - rekami trzepotal, rzekl bys, kukielka. A mnie, widac, wonczas swiety Michal, patron mój, dal *auxilium* i odwage, bom do kropielnicy dopadlszy wody swieconej w dlonie obie nabral i na czarta chlusnal. I jak myslicie, co? Nic! Splynelo jak po gesi.

Piekielnik oczami pomrugal, wyplul, co mu do gęby wpadło. I spojrzal na mnie. A jam... Jam, wstyd przyznac, ze strachu wówczas omdlal. Jak mnie bracia docucili, bylo po wszystkim. Diabel zginął-przepadł, pan Pfefferkorn lezal martw. Bez duszy, która Zły niechybnie do piekła uniósł.

- A i o mnie nie zapomnial czart, pomste wywarł. W to, com widzial, wierzyc nikt nie chcial. Orzekli, zem szalony, ze mi sie rozum pomieszal. A gdy o tej wodzie swieconej opowiadalem, milczec mi nakazali, kara postraszyli, jaka czeka za kacerstwo i bluznierstwo. Tymczasem sie rzecz glosna uczynila, w samym Wroclawiu sie nia zajmowano, na biskupim dworcu. I to z Wroclawia wlasnie nakaz przyszedl, by mnie uciszyc, jako wariata pod klucz wziac. A ja wiedzialem, jak dominikanskie in pace wyglada. Mialem sie dac zywcem pogrzebac? Ucieklem z Niemodlina, jak stalem. Ale schwytali mnie podle Henrykowa. I tu wsadzili.

- Temu diablu - odezwal sie w zupelnej ciszy Urban Horn - dobrze zdolales sie przyjrzec? Mozesz opisac, jak wygladal?

- Wysoki byl - Kamedula ponownie przelknal slinę. - Szczuply... Wlosy czarne, dlugie, ramion siegajace. Nos jak dziób ptasi i oczy jak u ptaka... Przenikliwe bardzo. Usmiech zly. Diabelski.

- Ni rogów? - zawolal Bonawentura, wyraźnie rozczarowany. - Ni kopyt? Ni ogona nie mial?

- Nie mial.

- Leeeeeee! Co nam tu powiadacie!

* * *

Dyskusje o diablach, diabelstwach i diabelskich sprawkach ciagnely sie z różna intensywnoscia az do dwudziestego czwartego listopada. Dokladniej, az do pory posilku. Do wieści, jaka po modlitwie oglosil pensjonariuszom Narrenturmu brat Trankwilus, mistrz i nadzorca wiezy.

- Szczesliwy nam dzis dzien nastal, moisciewy! Zaszczycil nas oto dlugo oczekiwana wizyta przeor wroclawskich Braci Kaznodziejów, wizytator Swietego Oficjum, *defensor et comdor fidei catholicae*, jego przewielebnosc *inquisitor a Sede Apostolich* na diecezje nasza. Niektórzy z tu obecnych, nie sadzicie, ze nie wiem, krzynke symuluja, chorzy sa na niemoc inna od tej, która w naszej wiezy leczyc przywyklismy. Tych zdrowiem i kondycja zajmie sie teraz jego wielebnosc inkwizytor. I uleczy ich niezawodnie! Albowiem zaordynowal jego wielebnosc inkwizytor z ratusza kilku krzepakich medyków i sporo różnych narzedzi medycznych. Przygotujcie sie tedy duchowo, braciszkuwie, bo lada chwila zaczyna sie kuracje.

Sledz tego dnia smakowal jeszcze gorzej niz zwykle. Nadto tego wieczora w Narrenturmie nie rozmawiano. Panowala cisza.

* * *

Przez caly nastepny dzien - a wypadla akurat niedziela, ostatnia niedziela przed adwentem - atmosfera w Wiezy Blaznów byla bardzo napieta. Wsród denerwujacej i przygniebiajacej zarazem ciszy pensjonariusze lowili uszami kazdy dobiegajacy z góry, od strony drzwi, stuk czy zgrzyt, na kazdy zaczeli

wreszcie reagować objawami paniki i nerwowego załamania. Mikołaj Koppirnik zaszył się w kat. Institor zaczął płakać, skulony na barlogu w pozycji płodu. Bonawentura siedział nieruchomo, tępo przed siebie zapatrzony. Tomasz Alfa dygotał, zagrzebany w słomie. Kamedula modlił się cicho z twarzą zwróconą do muru.

- Widzicie? - wybuchnął wreszcie Urban Horn. - Widzicie, jak to działa? Co oni z nami robią? Spójrzcie tylko na nich!

- Dziwisz się? - zmrużył oczy Szarlej. - Połóż rękę na sercu, Horn, i powiedz, że się im dziwisz.

- Dostrzegam bezsens. To, co tu się dzieje, to wynik zaplanowanej, precyzyjnie przygotowanej akcji. Śledztwo jeszcze nie wszczęto, nic się jeszcze nie dzieje, a Inkwizycja już złamała morale tych ludzi, doprowadziła ich na skraj psychicznej degrengolady, zamieniła w zwierzęta, kulące się na trzask białej skóry.

- Powtarzam: dziwisz się?

- Dziwie. Bo trzeba walczyć. Nie poddawać się. I nie załamywać.

Szarlej wilczo wyszczerzył zęby.

- Pokażesz nam, mam nadzieję, jak się to robi. Gdy czas przyjdzie. Dasz przykład.

Urban Horn milczał długo.

- Nie jestem bohaterem - oświadczył wreszcie. - Nie wiem, co będzie, gdy mnie podciągną, gdy zaczną dokreczać śruby i wbijać kliny. Gdy wyjmą z ognia żelazo. Tego nie wiem i nie mogę przewidzieć. Ale jedno wiem: nie pomoże mi zrobienie z siebie szmaty, płacze, spazmy ani błagania o łaskę. Z braci inkwizytorami trzeba ostro.

- Oho!

- Tak właśnie. Zbyt przywykli do tego, że ludzie dygoczą przed nimi ze strachu i srają po nogach na sam ich widok. Wszelkocni panowie życia i śmierci, podoba im się władza, upaja się terrorem i sianem postrach. A kim naprawdę są? Zera, kundla z dominikanskiej psiarni, półalfabeci, zabobonne nieuki, zboczeńcy i tchórze. Tak, tak, nie krecz głowa, Szarleju, to normalna rzecz u satrapów, tyranów i katów, są to tchórze, to ich tchórzostwo, połączone z wszelką władzą, wyzwała w nich bestialstwo, a uległość i bezbronnosc ofiar jeszcze to potęguje. I tak jest w przypadku inkwizytorów. Pod ich budzącymi przerażeniem kapturami kryją się zwykli tchórze. I nie wolno płaszczyć się przed nimi i wyc o łaskę, bo owocuje to z ich strony jeszcze większym bestialstwem i okrucieństwem. Im trzeba hardo do oczu! Chociaż, powiadam, ratunku to nie przyniesie, ale można przynajmniej ich postraszyć, zachwiać ich pozorowaną pewnością siebie. Można im przypomnieć Konrada z Marburga!

- Kogo?

- Konrad z Marburga - wyjaśnił Szarlej. - Inkwizytor Nadrenii, Turynii i Hesji. Gdy swą obłudą, prowokacjami i okrucieństwami dokuczył heskiej szlachcie, zasadzili się na niego i zarabali. Z całym orszakiem. Żywa noga nie ocalała.

- I reczę wam - dodał Horn, wstając i odchodząc w stronę kibla - że każdy inkwizytor na stałe ma w pamięci to imię i zdarzenie. Zapamiętajcie więc moją radę!

- Co sadsisz - mruknal Reynevan - o jego radzie?

- Mam inna - odmruknal Szarlej. - Gdy sie za ciebie ostro wezma, mów. Zeznawaj. Syp. Wydawaj. Kolaboruj. A bohatera zrobisz z siebie później. Spisujac wspomnienia.

* * *

Jako pierwszego wzięto na śledztwo Mikolaja Koppirniga. Astronom, który do tej pory starał się nadrobić minę, na widok zmierzających ku niemu rosłych inkwizytorskich pacholków zupełnie stracił głowę. Najpierw rzucił się do bezsensownej ucieczki - bo przecież nie było dokąd uciekać. Złapany, biedak wrzeszczał, płakał, wierzgał i szamotał się, wil w łapach drabów jak wegorz. Oczywiście bezskutecznie, jedyne, co oporem zyskał, to cieżki, jakie zebrał. Rozkwaszono mu między innymi nos, przez który, gdy go wynoszono, buczał bardzo śmiesznie.

Ale nikt się nie śmiał.

Koppirnig już nie wrócił. Gdy nazajutrz drabi przyszli po Institora, ten gwałtownych scen nie robił, był spokojny. Płakał tylko i chłapał, zupełnie zrezygnowany. Gdy jednak chcieli go podnieść, zerwał się w portki. Uznawszy to za formę oporu, drabi przed wywleczeniem skopali go mocno.

Institor nie wrócił również.

Następny - tego samego dnia - był Bonawentura. Ze strachu zglupiał się zupełnie, pisarz grodzki jęł rugać drabów, wykrzykiwać i straszyć ich swymi koneksjami. Drabi, jasna rzecz, nie zlekli się znajomości, mieli gdzieś, że pisarz grywał w pikiecie z burmistrzem, proboszczem, mistrzem mennicy i starszym cechu piwowarów. Bonawentura wywleczono, spuściwszy mu pierwszej solidne łanie.

Nie wrócił.

Czwartym na inkwizytorskiej liście nie był, wbrew własnym czarnym wróżbom, Tomasz Alfa, który na te intencje całą noc płakał i modlił się na przemian, lecz Kamedula. Kamedula oporu nie stawiał żadnego, drabi nie musieli go nawet dotykać. Wymruczawszy w stronę współwięźniów ciche pożegnanie, niemodlinski diakon przeżegnał się i poszedł na schody z głową pokornie opuszczoną, ale krokiem spokojnym i pewnym, jakiego nie powstydziliby się pierwsi meczennicy, idący na areny Nerona czy Dioklecjana.

Kamedula nie wrócił.

- Następny - rzekł z ponurym przekonaniem Urban Horn - będzie ja.

Mylił się.

* * *

Pewność co do swego losu miał Reynevan już w chwili, gdy na górze huknęły drzwi, a załane skosnym promieniem światła schody zadudniły i zaskrzypiały pod stopami pacholków. Którym tym razem towarzyszył brat Trankwilus.

Wstał, uscisnął dłoń Szarleja. Demeryt odwzajemnił uścisk, bardzo mocno, w jego twarzy Reynevan po raz pierwszy dostrzegł coś na kształt bardzo, ale to bardzo poważnej troski. Mina Urbana Horna mówiła sama za siebie i to niemało.

- Trzymaj się, bracie - mruknął, do bólu sciskając mu rękę. - Pamiętaj o Konradzie z Marburga.

- Pamiętaj też - dodał Szarlej - o mojej radzie.

Reynevan pamiętał o obu, ale wcale nie było mu przez to lżej.

Być może jego mina, a być może jakiś niebaczny ruch sprawił, że drabi nagle doskoczyli do niego. Jeden chwycił go za kołnierz. I bardzo szybko pusił, garbiąc się, klnąc i sciskając lokiec.

- Bez gwałtów - upomniął z naciskiem brat Trankwilus, opuszczając palce. - Bez przemocy. To jest, było nie było i wbrew pozorom, szpital. Zrozumiano?

Pacholkowie zaburczeli, kiwając głowami. Bozogrobiec palka wskazał Reynevanowi drogę na schody.

* * *

Rzeskie i zimne powietrze omal nie zwałiło go z nóg, gdy wciągnął je do płuc, zachwiał się, zatoczył, oszolomiony, jakby haustem okowity na pusty żołądek. Byłby pewnie upadł, ale mający praktykę drabi ucapili go pod ramiona. Tym sposobem w leb wziął jego desperacki plan ucieczki. Lub śmierci w walce. Wleczony, mógł teraz tylko przestawiać nogi.

Widział hospicjum po raz pierwszy. Wieża, z której go wyprowadzono, zamykała *cul-de-sac* schodzących się murów. Po przeciwnej stronie, przy bramie, tuliły się do muru budynki, prawdopodobnie był tam szpital *imedicinarium*. A także, wnosząc z zapachu, kuchnia. Zadaszenie pod murem pełne było koni, przytupujących wśród kałuż mocz. Wszędzie krecili się zbrojni. Inkwizytor, domyślił się Reynevan, przybył w licznej eskorcie.

Zmedicinarium, ku któremu zmierzali, dobiegały wysokie rozpaczliwe krzyki. Reynevanowi zdawało się, że rozpoznaje głos Bonawentury. Trankwilus złowił jego wzrok, palcem przyłożonym do ust nakazał milczenie.

Wewnątrz budynku, w jasnej izbie, znalazł się jak we śnie. Sen przerwało uderzenie, ból w kolanach. Rzucono go na kolczki przed stołem, za którym zasiadali trzech zakonników w habitach, bozogrobiec i dwóch dominikanów. Zamrugnął oczami, potrząsnął głową. Siedzący w środku dominikanin, chudzielec z upstrzoną brunatnymi plamami łysiną nad wąskim wianuszką tonsury, przemówił. Głos miał nieprzyjemny. Słiski.

- Reinmarze z Bielawy. Odmów „Ojcze nasz” i *Ale*.

Odmówił. Głosem cichym i trzesącym się nieco. Dominikanin w tym czasie dłużył w nosie, a skupiał się pozornie wyłącznie na tym, co wydłużał.

- Reinmarze z Bielawy. Ramie świeckie ma przeciw tobie poważne delacje i oskarżenia, będziesz władzom świeckim wydany na śledztwo i sąd. Ale wpięty do rozstrzygnięcia i osadzenia jest *causa fidei*

. Jesteś oskarżony o uprawianie czarów i o herezję. O to, że wyznajesz i głosisz rzeczy przeciwne tym, które wyznaje i których naucza Kościół Święty. Czy przyznajesz się do winy?

- Nie przyzna... - Reynevan przelknął ślinę. - Nie przyznaje. Jestem niewinny. I jestem dobrym chrześcijaninem.

- Oczywiście - dominikanin lekceważąc skrzywił wargi. - Za takiego się masz, skoro nas uważasz za złych i fałszywych. Pytam cię: czy uznajesz lub kiedykolwiek uznawałeś za prawdziwą wiarę inną od tej, w którą wierzyć kaze i której naucza Kościół Rzymski? Wyznaj prawdę!

- Mówię prawdę. Wierzę w to, czego uczy Rzym.

- Bo pewnie twoja kacerska sekta ma w Rzymie swą delegaturę.

- Nie jestem kaczerem. Mogę przysiąc!

- Na co? Na mój krzyż i wiarę, z których drwisz? Znam ja wasze heretyckie sztuczki! Wyznaj: Kiedy przystałeś do husytów? Kto cię wciągnął do sekty? Kto zapoznał z pismami Husa i Wiklefa? Kiedy i gdzie przyjmowałeś komunie *sub utraque* ?

- Nigdy nie...

- Milcz! Boga obrażają twoje łągarstwa! Studiowałeś w Pradze? Masz znajomych wśród Czechów?

- Tak, ale...

- A więc przyznajesz się?

- Tak, ale nie do...

- Milcz! Zapiszcie: wyznał, że przyznaje się.

- Nie przyznaje się!

- Cofa zeznania - usta dominikanina skrzywił grymas okrutny i radosny zarazem. - Gubi się w kłamstwach i matactwach! Więcej mi nie trzeba. Stawiam wniosek o zastosowanie tortury, inaczej nie dojdziemy do prawdy.

- Ojciec Grzegorz - odchrząknął niepewnie bozogrobiec - zalecił, by się wstrzymać... Sam go chce przepytac...

- Strata czasu! - parsknął chudzielec. - Zreszta, zmiekczony będzie rozmowniejszy.

- Nie ma - baknął drugi dominikanin - w tej chwili chyba żadnego wolnego stanowiska... I obaj mistrzowie zajęci...

- Jest tu obok but, a krecić sruby to żadna filozofia, podola i pomocnik. A będzie trzeba, sam podolam. Hola, dalejże! Sami tu! Brac go!

Martwy niemal ze strachu Reynevan znalazł się w twardych jak lity brąz łapach pacholców. Wywleczono go, wepchnięto do izdebki obok. Nim polapał się w powadze i groźnej sytuacji, siedział już

na debowym krzesle, z szyja i rekami w zelaznych obejmach, a ogolony na lyso oprawca w skórzanym fartuchu montowal mu na lewej nodze jakies przerazajace ustrojstwo. Ustrojstwo przypominalo okuta skrzynke, bylo wielkie, ciezkie, smierdzialo zelazem i rdza. A takze stara krwia i miesna zgnilizna. Smrodem, jaki wydzielaja wysluzone rzeznickie pienki.

- Jestem niewiinnnyy! - zawyl. - Niewiiiiinnnyyyyyy!

- Dalejze - skinal na oprawce chudy dominikanin. - Czyncie, co nalezy.

Oprawca schylil sie, cos metalicznie szczeknelo, cos zazgrzytalo. Reynevan zaryczal z bólu, czujac, jak okute metalem deski sciskaja i zgniataja mu stope. Przypomnial sobie nagle Institora i przestal mu sie dziwic. Sam byl o wlos od zrobienia w spodnie.

- Kiedy przystales do husytów? Kto ci dal pisma Wiklefa? Gdzie i od kogo przyjmowales heretycka komunie?

Sruby zgrzytaly, oprawca stekal. Reynevan ryczal.

- Kto jest twoim wspólnikiem? Z kim z Czech sie kontaktujesz? Gdzie sie spotykacie? Gdzie ukrywacie kacerskie ksiegi, pisma i postylle? Gdzie skrywacie bron?

- Jestem niewiiiiinnnyyyyyy!!!

- Dokrecac.

- Bracie - odezwal sie bozogrobiec. - Miej wzglad. Toz to szlachcic...

- Nazbyt cos - chudy dominikanin zmierzyl go zlým wzrokiem - przejmujecie sie rola adwokata. Mieliscie, przypominam, cicho byc i nie mieszac sie. Dokrecac!

Reynevan omal nie udlawil sie wrzaskiem.

I zupełnie jak w bajce, ktos wrzask uslyszal i zareagowal.

- Przeciez prosilem - powiedzial ów ktos, stajac w drzwiach, okazujac sie postawnym dominikaninem lat okolo trzydziestu. - Przeciez prosilem, by tego nie robic. Grzeszysz nadgorliwoscia, bracie Arnulfie. I, co gorsze, brakiem posluszenstwa.

- Ja... Wielebny... Wybaczcie...

- Odejdziecie. Do kaplicy. Pomodlic sie, poczekac, w pokorze, a nuz splynie laska objawienia. Wy tam, uwolnic wieznia, zywo. I dalej, dalej, wychodzic. Wszyscy!

- Wielebny ojcz...

- Powiedzialem: wszyscy!

Inkwizytor usiadl za stolem, na miejscu zwolnionym przez brata Arnulfa, usunal nieco na bok przeszkadzajacy mu krucyfiks.

Bez slowa wskazal lawe. Reynevan wstal, steknal, jeknal, dokuszykal, usiadl. Dominikanin wsunal

dłonie w rekawy białego habitu, długo mu się przyglądał spod krzaczastych, groźnie zrosniętych brwi.

- W czepku się rodziłeś - powiedział wreszcie - Reinmarze z Bielawy.

Reynevan kiwnięciem głowy potwierdził, że wie. Nie można było bowiem polemizować.

- Miałeś szczęście - powtórzył inkwizytor - że akurat przechodziłem. Jeszcze ze dwa, trzy obroty tej sruby... Wiesz, co by było?

- Mogę sobie przedstawić...

- Nie. Nie możesz, zapewniam. Ech, Reynevan, Reynevan, gdzie to przyszło nam się spotkać... W izbie tortur! Choć Bogiem a prawda można było to przewidzieć już wtedy, na studiach. Libertyńskie poglądy, zamilowanie do hulanki i trunków, że o łatwych niewiastach nie wspomnę... Do licha, już tam, w Pradze, gdy cię widywałem „Pod Smokiem” na Celetnej, prorokowałem, że ci kat zaswieci. Ze zgubi cię to kurewnictwo.

Reynevan zmilczał, choć sam, Bogiem a prawda, myślał i prorokował identycznie, wtedy, tam, w Pradze, na Starym Mieście, „Pod Smokiem” na Celetnej, „U Barbory” na Platnerskiej, w ulubionych przez akademików zamkach w zaułkach za kościołami świętych Mikołaja i Walentego, gdzie Grzegorz Hejncze, student, a krótko potem magister na wydziale teologicznym Uniwersytetu Karola, bywał nader częstym i nader wesołym gościem. Reynevan nigdy w życiu by nie przypuścił, że skory do uciech Grzesz Hejncze wytrzyma w duchownej sukience. Ale snadź wytrzymał. Faktycznie na moje szczęście, myślał, masując stopę i łydkę. Które, gdyby nie interwencja, skrecany srubami but zdążyłby już pewnie rozgnieść na krwawą miazgę. Mimo przyniesionej cudownym ratunkiem odprezającej ulgi dziki strach nadal jeżył mu włos i garbił plecy. Świadom był, że to jeszcze nie koniec. Postawny, bystrooki dominikanin z gestymi brwiami i mocno zarysowaną szczęką nie był, wbrew pozorom, bynajmniej Grzesiem Hejncze, figlarnym kompanem z praskich szynków i bordeli. Był to - miny i ukłony wychodzących z izby mnichów i oprawców nie pozostawiały żadnych wątpliwości - przelozony, przeor. Szerzacy postrach wizytator Świętego Oficjum, *defensor et candor fidei catholicae*, jego przewielebność *inquisitor a Sede Apostolica* na całą diecezję wrocławską. Nie należało o tym zapominać. Straszliwy, cuchnący rdzą i krwią but leżał o dwa kroki, tam, gdzie rzucił go oprawca. Oprawca mógł być w każdej chwili wezwany, a but założony. Reynevan nie miał w tym względzie żadnych złudzeń.

- Nie ma jednak tego złego - przerwał krótkie milczenie Grzegorz Hejncze - co by na dobre nie wyszło. Nie planowałem stosowania wobec ciebie tortur, kamracie. Nie nosiłbys więc po powrocie do wieży śladów ni znaków. A tak, wrócisz utykający, boleśnie skrzywdzony przez straszną Inkwizycję. Nie budząc podejrzeń. A podejrzeń, mój drogi, budzić nie powinien.

Reynevan milczał. Z całej przemowy zrozumiał na dobrą sprawę tylko to, że wróci. Pozostałe słowa docierały do niego z opóźnieniem. I budziły uspioła na moment zgroze.

- Będzie się posił. A tyś głodny może? Zjesz śledzia?

- Nie... Za śledzia... dziękuję...

- Niczego innego nie proponuję. Mamy post, a na moim stanowisku muszę świecić przykładem.

Grzegorz Hejncze klasnął w dłonie, wydał polecenia. Post postem, przykład przykładem, ale ryby, które mu przyniesiono, były dużo tłustsze i ze dwa razy większe od tych, które wydawano pensjonariuszom

Narrenturmu. Inkwizytor wymruczał krótkie *Benedic Domine* i bez dalszej zwłoki jął ogryzać śledzia, zakaszając słono grubo krajonym razowym chlebem.

- Przejdźmy więc do rzeczy - zaczął, nie przerywając jedzenia. - Jesteś w opalach, kamracie. Poważnych opalach. Śledztwo w sprawie twojej czarnoksiężskiej jakoby olesnickiej pracowni umorzyłem wprawdzie, w końcu ciebie znam, rozwój medycyny popieram, a duch Boży tchnie, kiedy chce, nic, w tym i rozwój medycyny, nie dokonuje się bez Jego woli. Występek *adulterium* mierzi mnie wprawdzie, ale nie zajmuje się sciganie. Co do innych twoich rzekomych świeckich zbrodni, to pozwalam sobie w nie nie wierzyć. Znam cię wszak.

Reynevan odetchnął głęboko. Za wczesnie.

- Pozostaje jednak, Reinmarze, *causa fidei*. Sprawa religii i wiary katolickiej. Nie mam otóż pewności, czy nie podzielasz aby poglądów swego nieboszczyka brata. Względem, wyjaśnienie, kwestii *Unam Sanctam*, zwierzchności i nieomyślności papieża, sakramentów i transsubstancjacji. Komunii *sub utraque specie*. Tudzież względem Biblii dla społeczeństwa, spowiedzi usznej, istnienia czysca. I tak dalej.

Reynevan otworzył usta, ale inkwizytor uciszył go gestem.

- Nie wiem - podjął, wypluwszy śluzę - czy podobnie jak brat czytujesz Ockhama, Waldhausena, Wilełfa, Husa i Hieronima, czy podobnie jak brat rozprawiasz pisma wymienionych po Śląsku, Marchii i Wielkopolsce. Nie wiem, czy wzorem brata dajesz schronienie husyckim emisariuszom i szpiegom. Krótko: czy jesteś heretykiem. Zakładam, a sprawę trochę zbadałem, że nie. Że jesteś bez winy. Sądzę, że w całej aferze zwyczajnie zaplątał cię przypadek, o ile naturalnie jest to właściwe określenie dla dużych niebieskich oczu Adeli de Stercza. I twojej znanej mi słabości do takich dużych oczu.

- Grzegorz... - Reynevan z trudem przepchnął słowa przez scisniętą krtan. - To jest, wybaczenie... Ojciec wielbny... Zapewniam, że nie mam nic wspólnego z herezją. Także mój brat, recze, ofiara zbrodni...

- Z poręka za brata ostrożnie - przerwał Grzegorz Hejncze. - Zdziwiłbyś się, ile było na niego delacji, i nie bezpodstawnych. Byłby stanął przed trybunałem. I byłby wydal współników. Wierze, że ciebie nie byłoby między nimi.

Odrzucił kregosłup śledzia, oblizal palce.

- Kres nierozumnej działalności Piotra de Bielau - podjął, biorąc się za drugą rybę - położyła jednak nie sprawiedliwość, nie postępowanie karne, nie poenitentia, ale zbrodnia. Zbrodnia, winnych której radbym widzieć ukaranymi. Ty również, prawda? Widzę, że również. Wiedz tedy, że beda ukarani, i to niebawem. Wiedza ta powinna pomóc ci w podjęciu decyzji.

- Jakiej... - Reynevan przelknął ślinę. - Jakiej decyzji?

Hejncze milczał chwilę, krusząc kromkę chleba. Z zamyslenia wyrwał go krzyk, dobiegający gdzieś z głębi budynku, dziki, okropny wrzask człowieka, któremu zadają ból. Bardzo dotkliwy ból.

- Brat Arnulf - wskazał ruchem głowy inkwizytor - jak słysze, krótko się modlił, szybko skończył i wrócił do zajęć. Gorliwy to człek, gorliwy. Do przesady. Ale przypomina, że i ja mam obowiązki. Zmierzajmy przeto do konkluzji.

Reynevan skurczył się. I słusznie.

- Zostales, drogi Reynevanie, wplątany w niezła afere. Zrobiono z ciebie narzędzie. Współczuje. Ale skoro już jesteś narzędziem, byłoby grzechem z ciebie nie skorzystać, zwłaszcza w dobrej sprawie i ku Bożej chwale, *ad maiorem Dei gloriam*. Wyjdiesz zatem na wolność. Wyciągnę cię z wieży, uchronię i obronię przed tymi, którzy na ciebie dybia, a namnożyło się, namnożyło takowych. Śmierci twojej pragną, z tego, co wiem, Sterczowie, książe Jan Ziebicki, miłośnica Jana Adela Sterczowa, raubritter Buko von Krossig, a także - z przyczyn, które muszę dopiero wyjaśnić - szlachetny Jan von Biberstein... Ha, zaiste, są powody, by lekać się o życie. Ale, jak się rzekło, weźmę cię pod ochronę. Nie za darmo, oczywiście. Coś za coś. *Do, ut des*. [39.] A raczej: *ut facias*.

- Zaaranżuje - inkwizytor zaczął mówić szybciej, jak gdyby recytował wyuczony tekst. - Zaaranżuje wszystko tak, by w Czechach, dokąd się udasz, nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. W Czechach nawiądziesz kontakty z husytami, z ludźmi, których ci wskaże. Nie powinieneś mieć trudności z nawiązaniem kontaktów. Jesteś wszak bratem zasłużonego dla husytyzmu Piotra z Bielawy, prawego chrześcijanina, męczennika za sprawę, zamordowanego przez przeklętych papistów.

- Mam być... - wykrztusił Reynevan. - Mam być szpiegiem?

- *Ad maiorem* - wzruszył ramionami Hejncze - *Dei gloriam*. Każdy winien służyć, jak może.

- Ja się nie nadaję... Nie, nie. Grzegorz, tylko nie to. Nie zgadzam się. Nie.

- Wiesz - inkwizytor spojrzał mu w oczy - jaka jest alternatywa.

Torturowany z głębi budynku zawył, a zaraz potem zaryczał, zachłysnął się rykiem. Reynevan i bez tego domyślał się, jaka jest alternatywa.

- Nie uwierzysz - potwierdził domysł Hejncze - jakie rzeczy wychodzą na jaw na bolesnych konfesatach. Jakie tajemnice zostają zdradzone. Nawet tajemnice alkowy. Na śledztwie prowadzonym przez kogoś tak gorliwego jak brat Arnulf, dla przykładu, delikwent, gdy już wyzna i opowie wszystko o sobie, zaczyna wyznawać o innych... Czasami aż krepujące bywa przysłuchiwanie się takim zeznaniom... Dowiadywanie się kto, z kim, kiedy, jak... A nieraz idzie o duchownych. O zakonnice. O żony, uchodzące za wierne. O panny na wydaniu, uchodzące za cnotliwe. Na Boga, każdy, myślę, ma takie sekrety. Musi być strasznie upokarzające, gdy ból zmusi do wyznawania ich. Takiemu bratu Arnulfowi. W obecności oprawców. Co, Reinmarze? Nie masz ty takich sekretów?

- Nie traktuj mnie w taki sposób, Grzegorz - Reynevan zaciął zębami. - Wszystko zrozumiałem.

- Bardziej rad. Naprawdę.

Torturowany zaryczał.

- Kogóż to - złość pomogła Reynevanowi przelamać lek - tam katuja? Z twojego rozkazu? Kogo z tych, z którymi siedziałem w wieży?

- To ciekawe, że o to pytasz - uniósł oczy inkwizytor. - Bo wzorcowa to zaiste ilustracja moich wywodów. Był wśród więźniów pisarz grodzki z Frankensteinu. Wiesz, o kogo chodzi? Widzę, że wiesz. Oskarżony o herezję. Śledztwo rychło pokazało, że oskarżenie było fałszywe, z pobudek osobistych, delatorem był miłośnik jego żony. Kazałem pisarza zwolnić, a gaszka przyaresztować, ot tak, dla sprawdzenia, czy to aby wyłącznie o białogłowskie wdzięki idzie. Gaszek, wystaw sobie, na sam widok

narzedzi wyznał, że to nie pierwsza mieszcza, która pod pozorem miłosnych zachodów okrada. W zeznaniach trochę się platal, więc niektóre z narzedzi zastosowano. Ech, nasłuchałem się wówczas o innych meżatkach, ze Swidnicy, z Wrocławia, z Walbrzycha, o ich występnych chuciach i ciekawych sposobach ich zaspokajania. A podczas rewizji znaleziono u niego paszkwil, szkalujący Ojca Świętego, taki obrazek, na którym papieżowi wystają spod szat pontyfikalnych diabelskie pazury, widziałeś pewnie coś takiego.

- Widziałem.

- Gdzie?

- Nie pamiętam...

Reynevan zachłysnął się, zbladł. Hejncze parsknął.

- Widzisz, jak to łatwo? Już by ci, gwarantuję, *strappado* odświeżyło pamięć. Fornikator też nie pamiętał, od kogo dostał ów paszkwil i obrazek z papieżem, ale przypomniał sobie szybko. A brat Arnulf, jak słyszysz, właśnie sprawdza, czy jego pamięć nie tak czasem jakichś jeszcze innych ciekawych rzeczy.

- A ciebie... - strach, paradoksalnie, dodał Reynevanowi desperackiej brawury. - Ciebie to bawi. Nie takim cie znałem, inkwizytorze. W Pradze sam nasmiewałeś się z fanatyków! A dziś? Czym jest dla ciebie to stanowisko? Jeszcze profesja czy już pasja?

Grzegorz Hejncze zmarszczył krzaczaste brwi.

- Na moim stanowisku - powiedział zimno - nie powinno być różnicy. I nie ma.

- Akurat - Reynevan, choć dygotał i szczeł zębami, brnął dalej. - Powiedz mi jeszcze coś o chwale boskiej, o szczytnym celu i świętym zapale. Wasz święty zapal, a to dobre! Tortury za ładą podejrzeń, za byle donos, za byle podsłuchane czy wydobyte prowokacja słowo. Stos za wymuszone tortura przyznanie się do winy. Husyta, czający się za każdym węglem! A ja całkiem niedawno słyszałem ważnego duchownego, bez ogródek oznajmiającego, że idzie mu tylko o bogactwo i władzę, gdyby nie to, husyci mogliby przyjmować komunie za pomocą klistiery, nic by go to nie wzruszyło. A ty, gdyby go nie zabito, zawłóklbyś do lochu Peterlina, skatował, zmusił do zeznań i pewnie spalił. I za co? Za to, że księgi czytał?

- Dosyć, Reinmarze, dosyć - skrzywił się inkwizytor. - Powściągnij uniesienie i nie bądź trywialny. Za chwilę gotowys zacząć straszyć mnie łosem Konrada z Marburga.

- Pojedziesz do Czech - rzekł po chwili twardo. - Zrobisz to, co rozkaże. Będziesz służył. Ocalisz tym sposobem skórę. I częściowo chociaż odkupisz winy brata. Bo twój brat był winien. I bynajmniej nie czytania ksiąg.

- A fanatyzmu mi nie zarzucaj - ciągnął. - Mnie, wystaw sobie, nie przeszkadzają księgi, nawet fałszywe i heretyckie. Uważam, wystaw sobie, że żadnych nie powinno się palić, *zelibri sunt legendi, non comburendi*. Ze nawet błędne i balamutne poglądy można szanować, można też, przy odrobinie filozoficznego nastawienia, zauważyć, że na prawdę nikt monopolu nie ma, wiele też niegdys okrzykniętych fałszywymi dziś robi za prawdy i odwrotnie. Ale wiara i religia, której bronie, to nie tylko tezy i dogmaty. Wiara i religia, której bronie, to ład społeczny. Zabraknie ładu, nastanie chaos i anarchia. Chaosu i anarchii pragną tylko złoścyncy. Złoścynców zaś należy karać.

- Konkluzja: a niechby sobie Piotr de Bielau i jego komilitoni dysydenci czytali na zdrowie Wiklefa, Husa, Arnolda z Brescii i Joachima z Fiore. Bo Joachim z Fiore tak, ale nie Fra Dolcino, nie ciompi, nie zakieria. Wiklef tak, ale nie Wat Tyler. Tu konczy sie moja tolerancja, Reinmarze. Nie dopuszcze, by rozplenili sie tu *fratricelli* i pikarci. Zdlawie w zarodku Tylerów i Johnów Ballów, zmiadzze wykluwajacych sie Dolcinów, Golów di Rienzich, Piotrów z Bruys, Korandów, Zeliwskich, Loquisów i Zizków.

- A cel - dorzucil po chwili milczenia. - Cel uswieci srodki. A kto nie jest ze mna, jest przeciw mnie, *qui non est mecum, contra me est*. I jeszcze Jan, pietnascie, szesc: ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorosl i uschnie. I zbiera sie ja, i wrzuca do ognia, i plonie. Plonie! Zrozumiales? Widze, ze rozumiales.

Torturowany od dluzszego czasu nie krzyczal. Zapewne zeznawal. Mówil. Dygocacym glosem przyznawal sie do wszystkiego, czego tylko zadal brat Arnulf.

Hejncze wstal.

- Bedziesz mial troche czasu na przemylenie sprawy. Musze pilnie wracac do Wroclawia. Zdradze ci pewna rzecz: mniemalem, iz bede przesluchiwal tu glównie waryjatów, a tu prosze, skarb sie trafil. Jeden z twych współwiezniów, ksiezulo z niemodlinskiej kolegiaty, na własne oczy widzial, potrafil opisac i zdola rozpoznać demona. Tego, co niszczy w poludnie, jesli przypominasz sobie stosowny psalm. Bardzo mi wiec pilno do pewnej malej konfrontacyjki. Gdy zas wróce, a wróce niebawem, najdalej na swieta Lucje, przywioze do Narrenturmu nowego lokatora. Obiecalem mu to kiedys, a ja słowa dotrzymuje zawsze. Ty zas, Reinmarze, mysl intensywnie. Rozwaz za i przeciw. Chcialbym, gdy wróce, poznać twoja decyzje i uslyszec deklaracje. Chcialbym, zeby byla wlasciwa. By byla to deklaracja lojalnej współpracy i sluzby. Bo jesli nie, to na Boga, chociazes kamrat z uniwerku, bedziesz dla mnie jak uschnieta winna latorosl. Zostawie cie do dyspozycji brata Arnulfa, sam zajmowac sie juz toba nie bede. Zostawie cie z nim sam na sam.

- Oczywiscie - dodal po chwili - po tym, gdy mnie osobiscie wyznasz, co robiles na Górze Grochowej w noc zrównania jesiennego. I kim byla kobieta, z która cie tam widziano. Wyznasz mi tez, ma sie rozumiec, który to duchowny dowcipkowal o klistierze. Bywaj, Reynevan.

- Aha - odwrócił sie w progu. - Jeszcze jedno. Bernhard Roth vel Urban Horn. Uklon mu sie ode mnie. I powtórz, ze teraz...

* * *

- ...ze teraz - powtórzyl doslownie Reynevan - nie ma czasu, by zajac sie toba jak nalezy. Nie chialby byle jak, chybcikiem i na lapu-capu. Chialby wespół z bratem Arnulfem poswiecic ci tyle czasu i wysilku, na ile faktycznie zaslugujesz. I przystapi do tego zaraz po powrocie, najdalej na swieta Lucje. Radzi ci, bys dobrze uporządkowal posiadana wiedze, albowiem bedziesz musial sie ta wiedza podzielic ze Swietym Oficjum.

- Skurwysyn - Urban Horn splunal na slome. - Zmiekcza mnie. Pozwala mi dojrzec. Wie, co robi. Mówiles mu o Konradzie z Marburga?

- Sam mu to powiesz.

Niedobitki mieszkanców wiezy siedziały w ciszy, zaszyte w barlogi. Niektórzy chrapali, niektórzy poplakiwali, niektórzy modlili się cicho.

- Co - przerwał milczenie Reynevan - ze mna? Co ja mam robić?

- Akurat ty masz zmartwienie - przeciągnął się Szarlej. - Akurat ty. Horn ma w perspektywie bolesne śledztwo. Ja, kto wie, co gorsze, może będzie tu gnął po wieki wieków. A ty masz problem, ha, boki zrywac. Inkwizytor, twój kumpel ze studiów, daje ci wolność na talerzu, w prezencie...

- W prezencie?

- A jakże. Podpiszesz lojalke i wyjdiesz.

- Jako szpieg?

- Nie ma róży bez kolców.

- A ja nie chce. Brzydze się takim procederem. Sumienie mi nie pozwoli. Nie chce...

- Zaciśnij zęby - wzruszył ramionami Szarlej - i zmus się.

- Horn?

- Co Horn? - inkryminowany odwrócił się gwałtownie. - Chcesz porady? Chcesz usłyszeć słowa moralnego wsparcia? Słuchaj więc. Przyrodzona cecha natury ludzkiej jest opór. Odpór niegodziwości. Brak zgody na lotrostwo. Odmowa konsensusu na zło. Są to przyrodzone, immanentne cechy człowieka. Ergo, oporu nie stawiają tylko osobnicy totalnie z człowieczeństwa wyprani. Sprzedawczykami ze strachającej torturami zataja tylko szubrawe kreatury.

- A zatem?

- A zatem - Horn, okiem nawet nie mrugnawszy, splótł ręce na piersi. - A zatem podpisz lojalke, zgódź się na współpracę. Jedź do Czech, jak ci kaza. A tam... Tam stawisz opór.

- Nie rozumiem...

- Nie? - parsknął Szarlej. - Doprawdy? Nasz przyjaciel, Reinmarze, wykładem o moralnej i czystej naturze ludzkiej poprzedza bardzo niemoralną ofertę. Proponuje ci zostanie tak zwanym agentem podwójnym, pracującym na dwie strony, dla Inkwizycji i dla husytów. To wszak, że sam jest husyckim emisariuszem i szpiegiem, wie już każdy, wyjawszy co najwyżej tych stekających tam w słomie debili. Prawda, Urbanie Horn? Twoja rada dla naszego Reynevana wydaje się nieglupia, jest w niej jednak zagwozdzka. Husyci mianowicie, jak wszyscy, którym przyszło mieć do czynienia ze szpiegostwem, widzieli już agentów podwójnych. Wypraktykowali, że często są to agenci potrójni. Dlatego zjawiających się bynajmniej nie należy dopuszczać do konfidencji, ale wprost przeciwnie, wieszac, zmusiwszy wpięrow, a jakże, torturami do zeznań. Swoją radą smutny tedy gotujesz Reynevanowi los, Urbanie Horn. No, chyba, że... Chyba że dasz mu w Czechach dobry, zaufany kontakt. Jakies tajne hasło... Cos, w co husyci uwierza. Ale...

- Dokoncz.

- Ty mu czegoś podobnego nie dasz. Bo nie wiesz wszak, czy on już nie podpisał lojalności. I czy szpiegowania na dwie strony nie zdążył go już nauczyć jego uniwersytecki kamrat inkwizytor.

Horn nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko. Paskudnie, samymi kącikami ust, bez zmrużenia swych lodowo zimnych oczu.

* * *

- Ja muszę się stąd wydostać - przemówił cicho Reynevan, stojąc sam pośrodku więzienia. - Muszę stąd wyjść. Inaczej zgubie Nikolette Jasnowłosa, Katarzynie Biberstein. Muszę stąd uciec. Mam na to sposób.

* * *

Szarlej i Horn wysłuchali planu nawet spokojnie, odczekali, nie przerywając, aż Reynevan skończy. Dopiero wówczas Horn parsknął śmiechem, pokręcił głową i odszedł. Szarlej był poważny. Śmiertelnie, rzecz by można.

- Temu - rzekł śmiertelnie poważnie - że ci się ze strachu rozum pomieszał, mogę okazać zrozumienie. I mogę współczuć. Ale nie obrażaj, chłopcze, mojej inteligencji.

- Zostało - powtórzył cierpliwie Reynevan - na ścianie *occultum*, zostały glify i sigle *Circulosa*. Do tego, o, proszę, mam jego amulet, zdołałem zabrać niepostrzeżenie. *Circulos* zdradził mi zaklęcie aktywujące, podał tryb konjuracji, co nieco na ewokacjach znam się sam, uczyłem się tego... Szansa jest, przyznaje, znikoma, ale jest. Jest! Nie rozumiem twojej rezerwy, Szarleju. Watpisz w magię? A Huon von Sagar? A Samson? Przecież Samson...

- Samson jest oszustem - uciął demeryt. - Sympatycznym, nieglupim, miłym towarzyszem. Ale oszustem i szarlatanem. Jak większość tych, którzy powołują się na czary i czarodziejstwo. To zresztą nie ma znaczenia. Reinmarze, ja nie watpie w magię. Widziałem dość, by nie watpic. Toteż nie w magię watpie, ale w ciebie. Widziałem, jak lewitujesz i znajdujesz drogi, bo jeśli o latającą lawkę idzie, to na nią wsadził cie niezawodnie von Sagar, sam byś nie polatał. Ale do prawdziwego zaklinacza demonów, chłopczyno, to tobie daleko. Przecież sam musisz to wiedzieć. Sam musisz rozumieć, że na nic tu nabazgrane przez kretyna hieroglify, pentagramy i hokusy-pokusy. I ów pozał się Boże amulet, obeszany jarmarczny rupiec. Sam musisz być tego wszystkiego świadom. Dlatego nie obrażaj, powtarzam, ani mojej, ani własnej inteligencji.

- Ja nie mam wyjścia - zacisnął zęby Reynevan. - Muszę spróbować. To dla mnie jedyna szansa.

Szarlej wzruszył ramionami i uniósł oczy.

* * *

Occultum Circulosa przedstawiało się, Reynevan musiał to przyznać, gorzej niż żalostnie. Było brudne, a wszystkie magiczne księgi zadawały sanktuariów idealnie, sterylnie wręcz czystych. Krag Goetyjski na

scianie wykreslony byl niezbyt równo, a reguly *Sacra Goetia* podkreslaly wage precyzji rysunku. Prawidlowosci wpisanych w Krag zaklec Reynevan również nie do konca byl pewien.

Sam ceremonial ewokacji musial odbyc sie nie o północy, jak kazaly grymuary, ale o swicie, o północy ciemnosć uniemozliwiala w wiezy jakiegokolwiek akcje. Nie moglo tez byc mowy o wymaganych rytuałem czarnych swieczach - jak i o swieczach w jakimkolwiek innym kolorze. Ze zrozumialych powodów wariatom w Narrenturmie nie dawano swiec, kaganków, lamp ani zadnych innych sposobnosci do wzniecenia pozaru.

W zasadzie, pomyslal gorzko, zabierajac sie do dzieła, w zgodzie z litera grymuarów jestem tylko w jednym wzgledzie: chcacy ewokowac lub inwokowac mag musi spelnic warunek odpowiednio dlugotrwaliej wstrzymiezliwosci od stosunków plciowych. Ja zas juz półtora miesiaca jestem w tym wzgledzie absolutnym, choc i nie dobrowolnym abstynentem.

Szarlej i Horn przygladali mu sie z oddalenia, zachowujac milczenie. Cicho byl tez Tomasz Alfa, głównie dlatego, ze zagrozono mu mordobiciem, gdyby w jaki badz sposób cisze osmielil sie zakłócić.

Reynevan zakonczyl porzadkowanie occultum, zakreslil wokół siebie magiczne kolo. Odchrzaknal, rozpostarl rece.

- Ermites! - zaczel spiewnie, wpatrzony w glyfy Kregu Goetyjskiego. - Poncor! Pagór! Anitor!

Horn parsknal z cicha. Szarlej westchnal tylko.

- Aglon, Vaycheon, Stimulamaton! Ezphares, Olyaram, Irion!

- Mersilde! Ty, którego wzrok przenika otchlanie! *Te adoro, et te inuoco* !

Nic sie nie dzialo.

- Esytion, Eryon, Onera! Mozm, Soter, Helomi!

Reynevan oblizal spierzchniete wargi. W miejscu, w którym jeszcze nieboszczyk Circulos trzykrotnie powtórzyl napis: VENI MERSILDE, polozyl amulet z wezem, ryba i wpisany w trójkat sloncem.

- Ostrata! - rozpoczel zaklecie aktywujace. - Terpandu!

- Ermas! - powtarzal, klaniajac sie i modulujac glos stosownie do wskazan *Lemegetonu*, *Mniejszego Klucza Salomona* . - Pericatur! Beleuros!

Szarlej zaklal, zwracajac tym jego uwage. Sam ledwie wierzac wlasnym oczom Reynevan zobaczyl, jak naskrobane cegla napisy w kregu zaczynaja gorzec fosforyzujacym swiatlem.

- Na pieczec Basdathei! Mersilde! Ty, którego wzrok przenika otchlanie! Przybadz! Zabaoth! Escwerchie! Astrachios, Asach, Asarca!

Napisy kregu palily sie coraz jasniej, upiornym blaskiem oswietlily sciane. Mury wiezy zaczely wyczuwalnie wibrowac. Horn zaklal. Tomasz Alfa zaskowyczal. Jeden z debili zaplakal glosno, zaczel krzyzczec. Szarlej zerwal sie jak sprezyna, doskoczyl, krótkim ciosem piesci w skron zwalil go na barłóg, uciszyl.

- Bosmoletic, Jeysmy, Eth - Reynevan pochylił się, dotknął czołem środka pentagramu. Potem, wyprostowany, sięgnął po wyszlifowaną, wyostrzoną na kamieniu złamana główkę hufnała. Mocnym pociągnięciem przeciał skórę na opuszkach kciuka, dotknął krwawiącym palcem czoła. Nabral powietrza, świadom, że dochodzi do momentu największego ryzyka i niebezpieczeństwa. Gdy krew popłynęła dostatecznie obficie, namalował ją w środku kregu znak.

Tajemny, budzący grozę, zakazany znak Scirlin.

- *Veni Mersilde!* - krzyknął, czując, jak fundament Narrenturmu zaczyna trząść się i dygotać.

Tomasz Alfa zaskowyczał znowu, syczał natychmiast, gdy Szarlej pokazał mu pieśń. Wieża dygotała coraz wyraźniej.

- Taul! - ewokował Reynevan, gardłowo i chrapliwie, jak kazaly grymuary. - Varf! Pan!

Krag Goetyjski buchnął silniejszą jasnością, oświetlone przez niego miejsce na ścianie powoli przestawało być tylko plamą światła, zaczynało nabierać kształtów i konturów. Konturów człowieka. Nie do końca człowieka. Ludzie nie mieli ani takich wielkich głów, ani takich długich rak. Ani wielkich rogów, wyrastających z czoła sklepienia jak u wolu.

Wieża dygotała, debile wyli na różne głosy, wtórował im głośno Tomasz Alfa. Horn zerwał się.

- Dostę tego! - wrzasnął, przekrzykując hałas. - Reynevan! Zatrzymaj to! Zatrzymaj, psia krew, to diabełstwo! Zginie przez ciebie!

- Varf! Clemialh!

Dalsze słowa ewokacji uwieźły mu w gardle. Świecista postać na ścianie była już na tyle wyraźna, by móc spojrzeć na niego dwójkiem wielkich wezowych oczu. Widząc, że postać nie ogranicza się do patrzenia, lecz i wyciąga ręce, Reynevan wrzasnął ze strachu. Zgroza sparaliżowała go.

- Seru... geath! - wybelkotał, świadom, że płacze. - Ariwh...

Szarlej doskoczył, chwycił go od tyłu za gardło, druga dłoń zakneblował usta, odciągnął, bezwładnego ze strachu powłócił po ścianie w najdalszy kąt, między debili. Tomasz Alfa uciekł na schody, przeraźliwym wrzaskiem wzywając pomocy. Horn zaś - widac było, że w zupełnej desperacji - porwał z podłogi kibel i chlusnął jego zawartością na wszystko: na *naoccultum*, na krag, na pentagram i na wylaniającą się ze ściany aparycję.

Ryk, który się rozległ, sprawił, że wszyscy zakryli uszy dłońmi i skurczyli się na klepisku. Nagle powiało okropnym wichrem, zaszalała kurzawa poderwanej słomy i kurzu, pył wdarł się do oczu, oslepił. Ogień na ścianie przygasł, stłumiony klebami śmierdzącej pary, syczał, wreszcie zgasł zupełnie.

Nie był to jednak koniec. Bo nagle huknęło, huknęło straszliwie, ale nie od strony zasnutego cuchnącym dymem *naoccultum*, lecz z góry, ze szczytu schodów, od drzwi. Sypnął się gruz, istny grad ociosanych kamieni w białej chmurze tynku i zaprawy. Szarlej chwycił Reynevana i skoczył wraz z nim pod arkadę schodów. W samą porę. Na ich oczach spadająca z góry, obciążona zawiasem grubą dechą z drzwi ugodziła jednego ze spanikowanych debili prosto w czoło, rozłupując je jak jabłko.

W lawinie gruzu spadł z góry człowiek, z rękoma i nogami rozpostartymi w kształt krzyża.

Narrenturm wali się, przemknęło przez głowę Reynevana. Rozpada się w gruzy *turris fulgurata*, wieża trafiona piorunem. Biedny śmieszny błazen spada z rozlatującej się w złomy Wieży Błaznów, leci w dół, ku zagładzie. Ja jestem tym błaznem, spadam, lece w otchlan, na dno. Zagłada, chaos i destrukcja, winnym których jestem ja sam. Błazen i szaleniec, wywołałem demona, otwarłem wrota piekiel. Czuję smród piekielnej siarki...

- To proch... - odgadł jego myśl skurczony obok Szarlej. - Ktos prochem wysadził drzwi... Reinmarze... Ktos...

- Ktos nas uwalnia! - krzyknął, gramoląc się z gruzowiska, Horn. - To ratunek! To nasi! Hosanna!

- Hej, chłopcy! - krzyknął ktos z góry, od strony wysadzonych drzwi, skąd była już jasność dnia i mroźne, świeże powietrze. - Wychodźcie! Jesteście wolni!

- Hosanna! - powtórzył Horn. - Szarleju, Reinmarze! Wychodzimy, żywo! To nasi! Cześć! Jesteśmy wolni! Dalej, żywo, na schody!

Sam pobiegł pierwszy, nie czekając. Szarlej pobiegł za nim. Reynevan rzucił okiem na wygasłe, wciąż jeszcze parujące *occultum*, na skulonych w słomie debili. Pospieszył na schody, po drodze przestępując nad zwłokami Tomasza Alfya, któremu rozbijająca drzwi eksplozja przyniosła nie wolność, lecz śmierć.

- Hosanna! - na górze Urban Horn witał już oswobodzicieli. - Hosanna, bratry! Witaj, Halada! Na Boga, Raabe! Tybald Raabe! To ty?

- Horn? - zdziwił się Tybald Raabe. - Ty tutaj? Ty żyjesz?

- Chryste, pewnie! Jak to wiec? Wiec to nie z mojego powodu...

- Nie z twojego - wtracił nazwany Halada Czech z wielkim czerwonym kielichem na piersi. - Radem, Horn, cie widzieć całym, ano. A i knez Ambroz się uraduje... Ale napadliśmy na Frankenstein z drugiego powodu. Dla nich.

- Dla nich?

- Dla nich - potwierdził, przepychając się przez zbrojnych Czechów, olbrzym w pikowanej przeszywanicy, czyniąc go jeszcze większym. - Szarleju. Reinniarze. Witajcie.

- Samsonie... - Reynevan poczuł, jak wzruszenie sciska mu gardło. - Samsonie... Przyjacielu! Nie zapomniales o nas...

- A bo to - uśmiechnął się szeroko Samson Miodek - da się zapomnieć? O takich dwóch jak wy dwaj?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

w którym bohaterowie wyswobodzeni z Narrenturmu są wolni - ale, jak się okazuje, nie całkiem. Biorą udział w wydarzeniach historycznych, dokładniej: w puszczaniu z dymem kilku wsi i miasteczek. Potem

Samson ratuje to, co można, potem dzieją się różne rzeczy, aż wreszcie na koniec bohaterowie odchodzą. Droga ich, by użyć metafory poety, wiedzie *in parte ove non e che luca*.

Leżący na dachach śnieg zakłul w oczy oslepiająca biel. Reynevan zachwiał się, gdyby nie ramię Samsona, byłby jak nic spadł ze schodów. Od strony hospicjum dobiegał wrzask i huk wystrzałów. Jęczał boleśnie dzwon kościoła szpitalnego, były też na alarm dzwony wszystkich świątyn Frankensteinu.

- Predzej! - krzyknął Halada. - Ku bramie! I kryj się! Strzelają!

Strzelali. Belt z kuszy swisnął im nad głowami, rozłupał deske. Kulac się, zbiegli na podwórze. Reynevan potknął się, upadł na kolano w błoto zmieszane z krwią. W okolicach bramy i przy szpitalu leżeli zabici - kilku bożogrobców w habitach, kilku pacholków, kilku żołnierzy Inkwizycji, pozostawionych widac przez Grzegorza Hejncze.

- Predzej! - ponaglił Tybald Raabe. - Do koni!

- Tutaj! - wrył przy nich wierzchowca Czech w zbroi, z pochodnią w reku, osmolony i okopcony jak diabeł. - Żywo, żywo!

Zamachnął się, cisnął pochodnię na strzechę szopy. Pochodnia stoczyła się po mokrej słomie, zasyczała w błocie. Czech zaklął.

Zaleciało dymem i pożarem, ponad dachy stajni wystrzelił płomień, kilku Czechów wywodziło stamtąd tupiące konie. Znowu huknęły strzały, rozbrzmiał wrzask, łomot, walczone, jak można się było domyślić, przy szpitalnym kościele, z kościoła właśnie, z okienek wieży i z okien chóru strzelano z kuszy i hakownic, biorąc na cel wszystko, co się ruszało.

U wejścia do płonącego budynku medicinarium leżał oparty o mur bożogrobiec. Był to brat Trankwilus. Mokry habit tlił się na nim i parował. Mnich oburacz trzymał się za brzuch, spomiędzy palców obficie lała się krew. Oczy miał otwarte, patrzył wprost przed siebie, ale widzieć nie widział już chyba niczego.

- Dobic - wskazał na niego Halada.

- Nie! - cieniutki krzyk Reynevana powstrzymał husytów. - Nie! Zostawcie go!

- On kona... - dodał ciszej, widząc groźne i wściekłe spojrzenia. - Pozwólcie mu umrzeć w pokoju.

- Tym bardziej - zawołał osmolony jeździec - ze czasu nagli, nie ma co trwonić go na półtrupa! Dalej, dalej, na kon!

Reynevan, wciąż jak w półśnie czy w transie, wskoczył na siodło podanego mu konia. Jadący obok Szarlej tracił go kolaniem.

Przed sobą miał szerokie bary Samsona, z drugiego boku Urbana Horna.

- Uważaj - syknął do niego Horn właśnie - za kim się ujmujesz. To są sierotki z Hradca Kralove, z nimi nie ma żartów...

- To był brat Trankwilus...

- Wiem, kto to był.

Wypadli za brame, prosto w dym. Plonal i buchal płomieniami szpitalny młyn i szopy wokół niego. W mieście nadal były dzwony, na murach roilo się od ludzi.

Dolaczyli do nich następni konni, prowadzeni przez wasacza w *wcuir-boulli* i kolczym kapturze.

- Tam - wasacz wskazał na kościół - już drzwi do kruchty niemal wyrabane! A byłoby co złupić! Bracie Brazda! Jeszcze trzy pacierze i byłoby po wszystkim!

- Jeszcze dwa pacierze - nazwany Brazda osmolony wskazał na mury miejskie - a tamci dolicza się wreszcie, ilu nas naprawdę jest. Wtedy wyjdą i w równie krótkim czasie zrobią z nami koniec. W konie, bracie Velku!

Runeli w galop, rozbryzgując błoto i topniejący śnieg. Reynevan oprzytomniał już na tyle, by móc policzyć Czechów - i wyszło mu, że zaatakowali Frankenstein we dwudziestu. Nie wiedział, czy bardziej podziwiać brawurę i efronterię, czy dziwić się rozmiarom poczynionych przez taką garstkę zniszczeń - oprócz zabudowań hospicjum i szpitalnego młyna ogień trawił budy farbiarzy na brzegach Budzówki, płonęły też szopy przy moście i stodoły na przedbramiu, u samej niemal Bramy Klodzkiej.

- Do zobaczenia! - nazwany Velkiem wasacz w *wcuir-boulli* odwrócił się, pogroził pięścią zebranym na murach mieszczanom. - Do zobaczenia, papieżnicy! Jeszcze tu wrócimy!

Z murów odpowiedziała palba i wrzask. Wrzask bardzo bojowy i odważny - obywatele grodu też zdążyli już policzyć husytów.

* * *

Gnali na złamanie karku, zupełnie nie szczedząc wierzchowców. Choć wyglądało to na zupełną głupotę, było, jak się okazało, częścią planu. Pokonawszy w imponującym tempie dystans blisko półtorej mili, dojechali w pokryte śniegiem Góry Sowie, za Srebrną Górę, gdzie w lesnym jarze czekało na nich pięciu młodych husytów i zmiana koni. Dla byłych więźniów Narrenturmu znalazł się przyodziewek i ekwipunek. Znalazło się też trochę czasu - między innymi na rozmowę.

- Samsonie? Jak nas odnalazłeś?

- Nie było to proste - olbrzym dociągnął poprzęgi. - Po aresztowaniu znikneliście jak sen. Próbowałem się dowiadywać, ale nadaremno, nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Nie wiedzieć czemu. Szczęściem, jeśli ze mną gadać nie chcieli, robili to przy mnie, moją obecnością mało się krepując. Z jednych plotek wynikało, że zabrano was do Świdnicy, z innych, że do Wrocławia. Wówczas napatoczył się pan Tybald Raabe, znajomy z Kromoliny. Trochę potrwało, nim zdołaliśmy się dogadać, z początku brał mnie, ha, za uposledzonego umysłowo. Półgłówka, znaczy.

- Dalibyscie pokój, panie Samsonie - rzekł z lekkim wyrzutem goliard. - Już te kwestie dyskutowaliśmy, po co wracać. A ze wygadacie, z przeproszeniem, jak...

- Wszyscy wiemy - przerwał zimno skracający obok pusłiska Szarlej - jak Samson wygląda. Słuchamy, co było dalej.

- Pan Tybald Raabe - glupkowate usta Samsona skrzywił uśmiech - nie wyszedł poza stereotyp. Z jednej strony lekceważąc odmawiał rozmowy, z drugiej lekcewżył moją przytomność tak dalece, że rozmawiał przy mnie. Z różnymi ludźmi i o różnych sprawach. Szybko zorientowałem się, kim jest pan Tybald Raabe. I dałem mu do zrozumienia, że wiem. I ile wiem.

- Tak było, panie - goliard pokrasniał, zakłopotany. - Oj, obleciał mnie wtedy strach... Ale rzecz się przedko... wyjaśniła...

- Wyjaśniło się - przerwał spokojnie Samson - że pan Tybald ma znajomości. Wśród husytów z Hradca Kralove. Dla nich bowiem, jak się zapewne już domyślicie, pracuje jako wywiadowca i emisariusz.

- Cóż za zbieg okoliczności - Szarlej wyszczerzył zęby. - I jakież urodzaj na...

- Szarleju - uciął zza swego konia Urban Horn. - Nie draż temat. Dobrze?

- Ależ dobrze, dobrze. Mów dalej, Samsonie. Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

- A to rzecz ciekawa. Kilka dni temu, w oberży pod Broumovem, podszedł do mnie młodzieniec. Dziwny nieco. W sposób oczywisty wiedział, kim jestem. Niestety, z początku nie potrafił wydukać nic poza zdaniem, cytując, „ażebys z zaniknięcia wypuścił jenców, z więzienia tych, co mieszkają w ciemności”.

- Izajasz! - zdumiał się Reynevan.

- Owszem. Ustęp czterdziesty drugi, wers siódmy.

- Nie w tym rzecz. On się tak nazywał... Tak go nazywaliśmy... I on wskazał wam... Wieże Błaznów?

- Nie powiem, by mnie to bardzo zdziwiło.

- I wówczas - rzekł po chwili Szarlej, z naciskiem i znacząco - husyci z Hradca śmiałym zagoneń wdarli się w ziemię kłodzka, aż pod odległy o sześć mil od granicy Frankenstein, podpalili pół podgrodzia, zdobyli hospicjum bozogrobców i Narrenturm. A wszystko to, jeśli dobrze zrozumiałem, tylko dla nas dwu. Dla mnie i dla Reynevana. Naprawdę, panie Tybaldzie Raabe, nie wiem, jak dziękować.

- Powody - chrząknął goliard - wnet się wyjaśnią. Cierpliwości, panie.

- Cierpliwość nie należy do mych największych cnót.

- Przyjdzie wam więc nad owa cnota nieco popracować - powiedział zimno Czech zwany Brazda, dowódca oddziału, który podjechał i wstrzymał konia obok nich. - Powody, dla których wyciągnęliśmy was z jamy, wyjaśnią się, gdy czas przyjdzie. Nie wcześniej.

Brazda, jak większość Czechów w oddziale, nosił na piersi wycięty z czerwonego sukna kielich. Ale jako jedyny przypiał husyckie godło wprost na widoczny na wapieniu herb - czarne skrzyżowane ostrzewie w polu złotym.

- Jestem Brazda z Klinsztejna, z rodu Ronoviców - potwierdził domysły. - A teraz koniec rozmów,

dalej w droge. Czas nagli. A to wraze terytorium!

- Niebezpiecznie tu, fakt - zgodzil sie kpiaco Szarlej - nosic kielich na piersi.

- Przeciwnie - odparl Brazda z Klinsztejna. - Taki znak chroni i broni.

- Doprawdy?

- Bedzie okazja, sami zobaczycie.

Okazja zdarzyla sie nawet szybko.

Na swiezych rumakach oddzial rychlo pokonal Przelecz Srebrna, za nia, w okolicach wsi Ebersdorf, wpakowali sie wprost na zbrojny poczet, zlozony z ciezkozbrojnych i strzelczych. Poczet liczyl co najmniej trzydziestu ludzi, a jechal pod czerwona choragwia ozdobiona barania glową, herbem Haugwitzów.

I faktycznie, Brazda z Klinsztejna miał absolutną rację. Haugwitz i jego ludzie wytrwali w miejscu tylko do momentu, gdy rozpoznali, z kim mają sprawę. Potem rycerze i kusznicy zawrócili konie i uciekli cwalem, takim, że błoto gesto pryskało spod kopyt.

- I co powiecie - Brazda odwrócił się do Szarleja - na znak Kielicha? Niezle działa, nieprawdaz?

Nie można było polemizować.

Cwałowali, wciąż zmuszając konie do wielkiego wysiłku. Lykali w pedzie płatki śniegu, który zaczął padać.

Reynevan pewien był, że jada do Czech, że zaraz po zjeździe w dolinę Scinawki skreca i pojedzie w górę rzeki, ku granicy, droga wiodąca wprost do Broumova. Zdziwił się, gdy oddział galopem pomknął przez obniżenie w kierunku siniejących na południowym zachodzie Gór Stolowych. Nie on jeden się zdziwił.

- Dokąd jedziemy? - przekrzyczał ped i śnieg Urban Horn. - Hej! Halada! Panie Brazda!

- Radków! - odkrzyknął krótko Halada.

- Po co?

- Ambroz!

* * *

Radków, którego Reynevan nie znalazł, bo tu nie bywał, okazał się całkiem sympatycznym miasteczkiem, malowniczo rozpostartym u podnóża zjezonych lasami gór. Nad pierscieniem muru wznosiły się czerwone dachy, ponad nie strzelała w niebo smukła wieża kościoła. Widok byłby nastrajal, gdyby nie fakt, że nad miasteczkiem wznosiła się potężna chmura dymu.

Radków był obiektem najazdu.

* * *

Zgromadzona pod Radkowem armia liczyła dobry tysiąc wojowników, przede wszystkim piechoty, głównie, jak dalo sie widziec, uzbrojonej we wszelkiego typu bron drzewcowa - od prostych dzid po skomplikowanego systemu gizarmy.

Co najmniej polowa wojska wyposazona byla w kusze i bron palna. Byla i artyleria - na wprost miejskiej bramy ustawiono srednich rozmiarów bombarde, skryta za podnoszonym zatarasem, a w lukach pomiedzy pawezami staly tarasnice i hufnice.

Armia, choc wygladala groznie, stala jak zastygla, jak zakleta, w ciszy i bezruchu. Calosc nieodparcie nasuwala skojarzenia z malowidlem, *z tabletu* - jedynym ruchomym akcentem byly bowiem krazace po szarym niebie czarne punkty wron. I klebiaca sie nad miastem chmura dymu, tu i ówdzie przetykana juz czerwonymi jezorami plomieni.

Wjechali klusem pomiedzy wozy. Reynevan po raz pierwszy widzial z bliska slyne bojowe wozy husyckie, przygladal sie im z zainteresowaniem, podziwiajac sprytna konstrukcje zbitych z grubych desek opuszczanych nadburc, które, w razie potrzeby podniesione, zamienialy wehikul w prawdziwy bastion.

Rozpoznano ich.

- Pan Brazda - powital cierpko Czech w półpancerzu i futrzanej czapie, z obowiazkowym wsród wyzszych szarz czerwonym kielichem na piersi. - Urodzony pan rycerz Brazda raczyl wreszcie przybyc wraz z elita swej szlachetnej konnicy. Cóz, lepiej późno niz wcale.

- Nie sadzilem - wzruszyl ramionami Brazda z Klinsztejna - ze tak gracko wam tu pójdzie. Juz po wszystkim? Poddali sie?

- A jak myslisz? Pewnie, ze sie poddali, kto i czym mial sie tu bronie? Wystarczylo zapalic pare strzech, a z miejsca zaczeli paktowac. Teraz gasza pozary, a wielebny Ambroz wlasnie przyjmuje ich poselstwo. Dlatego musicie zaczekac.

- Mus to mus. Zsiadac, chlopy.

W poblize sztabu husyckiej armii udali sie juz pieszo, niewielka grupa, z Czechów byli w niej tylko Brazda, Halada i wasacz, Velek Chrasticky. Towarzyszyli takze, rzecz jasna, Urban Horn i Tybald Raabe.

Przybyli na sam koniec rokowan. Radkowskie poselstwo wlasnie odchodzilo, bladzi i bardzo wystraszeni mieszczenie wycofywali sie, ogladajac z lekiem i mnac w dloniach czapki. Z ich min nalezalo wnioskowac, ze wiele nie utargowali.

- Bedzie zwyklosc - ocenil z cicha Czech w futrzanej czapie. - Baby i dzieci wychodza wolno chochy zaraz. Chlopy, by wyjsc, musza sie okupic. I zaplacic okup za miasto, które inaczej idzie z dymem. Nadto...

- Musza byc wydani wszyscy papistowscy ksieza - dokonczyl Brazda, tez majacy widac praktyke. - I wszyscy zbiegowie z Czech. Ha, wychodzi na to, ze wcale nie musialem sie spieszyc. Wyjscie bab i zbieranie okupu zajmie czas jakis. Nie wyruszmy stad tak szybko.

- Chodźcie przed Ambroza.

Reynevan pamiętał rozmowy, jakie o byłym proboszczu z Hradca Kralove wiedli Szarlej i Horn. Pamiętał, że określali go mianem fanatyka, ekstremisty i radykała, wyróżniającego się fanatyzmem i bezwzględnością nawet wśród najbardziej radykalnych i najbardziej sfanatyzowanych taborytów. Spodziewał się więc ujrzeć małego, chudego jak kij i ognistookiego trybuna, machającego rekami i wykrzykującego ociekające śliną i demagogia manifesty. Ujrzał natomiast postawnego i oszczędnego w ruchach mężczyźna w czarnym stroju przypominającym habit, ale krótszym, odsłaniającym wysokie buty. Mężczyzna nosił brodę szeroką jak łopata, sięgającą niemal pasa, u którego zwisał miecz. Mimo tego miecza husycki kapłan prezentował się raczej dobronudnie. I jowialnie. Może sprawiły to wysokie wypukłe czoło, krzaczaste brwi i owa broda właśnie, dzięki którym Ambroz wyglądał trochę jak Bóg Ojciec na bizantynskiej ikonie.

- Pan Brazda - powitał ich dość serdecznie. - Cóż, lepiej późno niż wcale. Ekspedycja, widzę, zakończona powodzeniem? Bez strat? Chwali się, chwali. A brat Urban Horn? Z jakiej chmury nam tu spadł?

- Z czarnej - odrzekł kwasno Horn. - Dzięki za ratunek, bracie Ambrozu. Nie przyszedł ani o chwilkę za wcześnie.

- Radem, radem - kiwnął brodą Ambroz. - I inni radzi będa. Bosmy cie już oplakali, gdy się wieść rozniosła. Z biskupich pazurów wyrwać się trudno. Iscie, snadniej myszy z kocich. Słowem, dobrze się stało... Chociaż i prawda to, że nie po ciebie ślalom podjazd do Frankensteinu.

Skierował oczy na Reynevana, a Reynevan poczuł zimno między łopatkami. Kapłan milczał długo.

- Młody pan Reinmar z Bielawy - stwierdził wreszcie. - Rodzony brat Piotra z Bielawy, prawego chrześcijanina, który tyle dobrego uczynił dla sprawy Kielicha. I który za sprawę dał życie.

Reynevan skłonił się bez słowa. Ambroz odwrócił głowę, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Szarleja. Potrwało nieco, nim Szarlej pokornie spuścił oczy, a i tak dało się miarkować, że spuścił tylko przez dyplomację.

- Pan Szarlej - rzekł wreszcie hradecki proboszcz. - Który nie porzuca w potrzebie. Gdy Piotr z Bielawy zginął z ręki mściwych papieżników, pan Szarlej ratował jego brata, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na jakie sam się wystawia. Zaiste, rzadki w dzisiejszych czasach przykład honoru. I przyjaźni. Bo wszak dobrze mówi stare czeskie przysłowie: *v nouzi poznas pritele*.

- Zas młody pan Reinmar - kontynuował Ambroz - jak słyszymy, dowód isty daje miłości braterskiej, w ślady brata idąc, jak on prawdziwą wyznając wiare, dzielnie przeciwstawiając się rzymskim błędom i nieprawościom. Jak każdy wierzący i prawy człek, po stronie Kielicha się opowiada, a przekupny Rzym jak diabła odtraca. Będzie wam to policzone. Już to wam jest zresztą policzone, Reinmarze i panie Szarleju. Gdy mi brat Tybald doniósł, że was piekielnicy w lochu pogrzebali, ni chwili się nie wahałem.

- Dzięki wielkie...

- To wam się należy dzięki. Bo za waszą to wszak sprawa pieniądze, za które biskup wrocławski, lotr i herezyk, chciał śmierć naszą kupić, naszej, dobrej posłużyć sprawie. Wszak wydobydziecie je z ukrycia i oddacie nam, prawym chrześcijanom? He? Czyż nie tak?

- Pie... Pieniadze? Jakie pieniadze?

Szarlej westchnal cicho. Urban Horn zakaszal. Tybald Raabe zachrzakal. Twarz Ambroza stezala.

- Kpa ze mnie robicie?

Reynevan i Szarlej przeczaco pokrecili glowami, a z ich oczu wyzierala taka swieta niewinnosc, ze kaplan zमितygowal sie. Ale tylko troche.

- Mam tedy rozumiec - wycedzil - ze to nie wy? Nie wy ograbi... Nie wy przeprowadziliscie bojowa akcje na poborce podatkow? Dla naszej sprawy? Ha. Znaczy, nie wy. Tedy ktos bedzie musial sie tu wytлумaczyc. Usprawiedliwic! Panie Raabe!

- Toc nie mówilem... - baknal goliard - ze to wlasnie oni i na pewno oni obrobili kolektora. Mówilem, ze to mozliwe... Do prawdy podobne...

Ambroz wyprostowal sie. Oczy zaplonely mu dziko, twarz w miejscach niezaslonytych broda nabiegla krwia niczym indyche podgardle. Przez moment hradecki proboszcz wygladal nie jak Bóg Ojciec, lecz jak Zeus Gromowladny. Wszyscy skurczyli sie w oczekiwaniu na piorun. Ale kaplan uspokoil sie szybko.

- Mówiles - wycedzil wreszcie - calkiem co inszego. Oj, omamiles mnie, bracie Tybaldzie, wprowadziles w blad. Po to, bym poslal konnych na Frankenstein. Bos wiedzial, ze inaczej bym nie poslal!

- *V nouzi* - wtracil z cicha Szarlej - *poznas pritele* .

Ambroz zmierzyl go wzrokiem, nic nie powiedzial. Potem odwrócił sie do Reynevana i goliarda.

- Wszystkich was, przyjaciele - warknal - powinienem kazac za kolejka polozyc na meki, jako ze w calej tej aferze z kolektorem i jego pieniedzmi okrutnie mi cosik smierdzi. A wy mi wszyscy na kretaczy, z przeproszeniem, patrzycie. Zaiste, powinienem dac was katu, wszystkich, jak tu stoicie.

- Ale - kaplan wpil oczy w Reynevana - przez pamiec Piotra z Bielawy nie uczynie tego. Trudno, odzaluje biskupie pieniadze, nie byly mi widac przeznaczone. Ale z wami jestem kwita. Precz mi z oczu. Zabierajcie sie stad do wszystkich diablów.

- Czciogodny bracie - Szarlej odchrzaknal. - Pomijajac nieporozumienia... Liczylismy...

- Na co? - parsknal w brode Ambroz. - Ze pozwole wam przylaczyc sie do nas? Ze wezme pod skrzydla? Ze zabiore bezpiecznie na czeska strone, do Hradca? Nie, panie Szarleju. Wiezila was Inkwizycja. Kto siedzial, mógł zostac przekabacony. Krótko mówiac, mozece byc szpiclami.

- Obrazacie nas.

- Wole was niz mój rozsadek.

- Bracie - napiecie rozladowal, podchodzac, któryś z husyckich dowódców, sympatyczny grubasek o wygladzie kwestarza lub wytwórcy wedlin. - Bracie Ambrozu...

- Co jest, bracie Hlusziczka?

- Mieszczanie złożyli okup. Wychodzą, jak było umówione. Wpierw baby z dziećmi.

- Brat Velek Chrastický - skinal reka Ambroz - bierze konnych i patroluje okolice miasta, by nikt się nie wymknął. Reszta za mną, wszyscy. Wszyscy, powiedziałem. Panu z Klinsztejna poruczam chwilowy dozór nad naszymi... gośćmi. Dalej, chodźmy!

Z bramy Radkowa, w samej rzeczy, wychodziła kolumna ludzi, z lekiem i ociąganiem wkraczając w najezony ostrzami szpaler husytów. Ambroz i jego sztab zatrzymali się opodal, lustrowali wychodzących. Bardzo uważnie. Reynevan poczuł, jak podnosi mu się włosy na karku. W przeczuciu czegoś strasznego.

- Bracie Ambrozu - spytał Hlusiczka. - Czy wygłosicie do nich kazanie?

- Do kogo? - kapłan wzruszył ramionami. - Do tej niemieckiej holoty? Oni po naszymu nie rozumieją, a mnie się po ichniemu gadac nie chce, bo... Hola! Tam! Tam!

Jego oczy rozbliły orlo i drapieźnie, twarz zastygła nagle.

- Tam! - ryknął, wskazując. - Tam! Lapaj!

Wskazywał okutana oponcza kobiecie, niosąca dziecko. Dziecko wyrywało się i darło spazmatycznie. Zbrojni dopadli, roztracili tłum drzewcami gizarą, wyciągnęli kobietę, zdarli oponczę.

- To nie baba! To chłop w kieckę przebrany! Ksiadz! Papieznik! Papieznik!

- Dawac go tu!

Przywleczony i rzucony na kolana ksiadz dygotał ze strachu i z uporem spuszczał głowę. Do spojrzenia w twarz Ambrozowi zmuszono go więc siłą. Ale i wtedy zacisnął powieki, a usta poruszały mu się w cichej modlitwie.

- Proszę, proszę - Ambroz wziął się pod boki. - Jakie kochające parafianki. By ocalić swego księżulka, dały mu nie tylko babskie giezła, ale i niemowlaka. Cóż za poświęcenie. Ktos ty taki, klecho?

Ksiadz jeszcze mocniej zacisnął powieki.

- To Mikolaj Megerlein - odezwał się jeden z towarzyszących husyckiemu sztabowi wiesniaków. - Proboszcz tutejszej fary.

Husyci zaszemrali. Ambroz pokrasniał, głośno wciągnął powietrze.

- Ojciec Megerlein - przemówił przeciągle. - A to dopiero. Cóż za szczęśliwy traf. Marzyliśmy o takim spotkaniu. Od czasu ostatniej biskupiej rejsy na Trutnovsko. Wiele sobie po takim spotkaniu obiecywaliśmy.

- Bracia! - wyprostował się. - Spójrzcie! Oto pies lancuchowy kurwy babilońskiej! Zbrodnicze narzędzie w rekach wrocławskiego biskupa! Ten, który przesładował prawdziwą wiarę, wydawał dobrych chrześcijan na meki i kazał! A pod Vizburkiem własnymi rekami przelewał krew niewinna! Bóg oddał go w nasze ręce! Na nas zdał pokaranie zła i nieprawości!

- Słyszysz, przeklęty klecho? Morderco? Co to, zamykasz oczy na prawdę? Zamykasz uszy, jak waz apis z Biblii? Ha, wieprzu heretycki, ty pewnikiem nie znasz Pisma, nie czytales, ty masz za jedyna wyrocznie twego biskupa wszetecznika, twój sprzedajny Rzym i twego papieża antychrysta! I twoje bluzniercze pozłacane obrazy! To ja cie, swinio, zaraz naucze słowa Bozego! Apokalipsa Janowa, czternascie, dziewiec: jesli kto wielbi Bestie, i obraz jej, i bierze sobie jej znamie na czolo lub reke, ten bedzie pic wino zapalczywosci Boga! I bedzie katowany ogniem i siarka! Ogniem i siarka, papieżniku! Hej, sami tu! Brac go! I ogacic! Tak, jak czynilismy z mnichami w Beruniu i Prachaticach!

Proboszcza schwycilo kilku husytów. Zobaczył, co niosa inni i zaczął wrzeszczec. Dostal trzonkiem siekiery w twarz, ucichł, zawisł w trzymajacych go rekach.

Samson szarpnal sie, ale Szarlej i Horn chwycili go natychmiast. Widzac, ze dwóch moze byc malo, Halada pospieszyl im z pomoca.

- Milcz - syczał Szarlej. - Na Boga, milcz, Samsonie...

Samson odwrócił głowe i spojrzal mu w oczy.

Proboszcza Megerleina oblozono czterema snopkami slomy. Po namysle dolozono jeszcze dwa, tak ze glowa duchownego calkiem skryła sie w kłosach. Calosc dokladnie i mocno obwiazano lancuchem. I z kilku stron podpalono. Reynevan poczul, ze robi mu sie niedobrze. Odwrócił sie.

Slyszal dziki, nieludzki ryk, ale nie widzial, jak ognista kukla biegnie, zataczajac sie, po plytkim sniegu przez szpaler husytów, odpychajacych ja oszczepami i halabardami. Jak pada wreszcie, tarzajac sie i rzucajac wsród dymu i isker.

Palaca sie sloma nie wytwarza dostatecznej temperatury, by zabic czlowieka. Ale wytwarza dostateczna, by czlowieka zamienic w cos malo do czlowieka podobnego. W cos, co ciska sie w konwulsjach i nieludzko wyje, choc nie ma ust. Co trzeba wreszcie uciszyc litosciwymi ciosami maczug i toporów.

Z tlumu radkowian zawodzily kobiety, plakaly dzieci. Znowu powstal tam rozgardiasz, a po chwili przed oblicze Ambroza przywleczono i rzucono na kolana nastepnego ksiedza, chudziutkiego staruszka. Ten nie byl przebrany. A dygotal jak lisc. Ambroz schylil sie nad nim.

- Jeszcze jeden? Kto zacz?

- Ojciec Straube - pospieszyl z usluznym wyjasnieniem wiesniak donosiciel. - Proboszczowal tu wczesniej. Przed Megerleinem...

- Aha. Znaczy, klechusemeritus . No, dziadu? Zywota doczesnego, jak widze, dobiegasz. Nie czas pomyslec o wiecznym? O odrzuceniu i wyparciu sie papistowskich bledów i grzechów? Nie bedziesz wszak zbawiony, gdy bedziesz w nich trwal. Widziales, co zrobiono z twym konfratrem. Przyjmij Kielich, zaprzysiaz cztery artykuly. A bedziesz wolny. Dzisiaj i na wieki.

- Panie! - wybelkotal staruszek, padajac na kolana i skladajac rece. - Panie dobry! Litosci! Jakze tak? Zaprzec sie? Toz to moja wiara... Wszak... Piotr... Nim kur zapial... Ja tak nie moge... Boze, zmiluj sie... Nijak nie moge!

- Rozumiem - kiwnal glowa Ambroz. - Nie pochwalam, ale rozumiem. Cóz, Bóg patrzy na nas wszystkich. Badzmy milosierni. Bracie Hlusiczka!

- Tak jest!

- Bądźmy miłosierni. Bez cierpien.

- Rozkaz!

Hlusiczka podszedł do jednego z husytów, wziął od niego cep. A Reynevan po raz pierwszy w życiu zobaczył w akcji ten powszechnie już kojarzony z husytami instrument. Hlusiczka zawiązał cepem, zakreślił nim i z całej siły palnął ojca Straubego w głowę. Pod uderzeniem żelaznego bijaka czaszka pękła jak garnek, bryznęły krew i mózg.

Reynevan poczuł, jak miękła mu kolana. Widział pobladła twarz Samsona Miodka, widział, jak rece Szarleja i Urbana Horna znowu zaciskają się na barkach olbrzyma.

Brazda z Klinsztejna nie odrywał oczu od tłących się i dymiących zwłok proboszcza Megerleina.

- Miegerlin - powiedział nagle, trac podbródek. - Miegerlin. Nie Megerlein.

- Co?

- Klecha, który był z biskupem Konradem w rejzie na Trutnovsko, nazywał się Miegerlin. A ten tu był Megerlein.

- Znaczy?

- Znaczy, ten księżulo był niewinny.

- To nic - odezwał się nagle głucho Samson Miodek. - To nic takiego. Bóg niezawodnie to rozpozna. Jemu to zostawmy.

Ambroz odwrócił się gwałtownie, wpił w niego oczy, patrzył długo. Potem spojrział na Reynevana i Szarleja.

- Błogosławieni ubodzy duchem - powiedział. - Anioł niekiedy mówi przez usta matolek. Ale miejcież na niego baczenie. Ktos w koncu pomyśli, że głupol rozumie, co mówi. A będzie ten ktos mniej ode mnie wyrozumiały, to źle się to skończy. Tak dla niego, jak i dla jego chlebobawców.

- A w ogóle - dodał - to przyglup ma rację. Bóg osadzi, oddzieli plewy od ziarna, a winnych od niewinnych. Zreszta żaden papistowski ksiądz niewinny nie jest. Każdy słuzalec Babilonu godzien jest kary. A reka wiernego chrześcijanina...

Jego głos rósł, grzmiał coraz potężniej, wzbijał się nad głowy zbrojnych, wznosił się, zdaloby się, nad dym, wciąż, mimo ugaszonych pożarów, klebiący się nad miasteczkiem. Z którego, uiszczywszy okup, wychodził już długi sznur uciekinierów.

- Reka wiernego chrześcijanina nie może zdrzec, gdy karze grzesznika! Albowiem rola jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Jak więc zbiera się chwast i spala ogniem, tak będzie przy końcu świata. Syn Człowieczy posle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzuci ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Tlum husytów zaryczał i zawył, zalsniły wzniesione halabardy, zafalowały sudlice, widły i cepy.

- A dym ich katuszy - grzmiał Ambroz, wskazując na Radków. - Dym ich katuszy wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy czciciele Bestii i jej obrazu!

Odwrócił się. Już spokojniejszy.

- A wy - rzekł do Reynevana i Szarleja - teraz macie okazję przekonać mnie co do waszych prawdziwych intencji. Widzieliście, co robimy z papieżnickimi klechami. Zareczam wam, że to fraszka w porównaniu z tym, co spotyka biskupich szpiegów. Dla takich nie mamy zmiłowania, nawet jeśli są rodzonymi braćmi Piotra z Bielawy. Jakżeż więc? Nadal błagacie o pomoc, pragniecie do mnie dołączyć?

- Nie jesteśmy szpiegami - wybuchnął Reynevan. - Obelżywe są dla nas wasze podejrzania! I wcale nie błagamy o waszą pomoc! Przeciwnie, to my możemy pomóc wam! Choćby przez pamięć mego brata, o którym dużo się tu mówi, ale pustymi zaiste słowami! Chcecie, proszę, udowodnić wam, że bliżej mi do was niż do biskupa wrocławskiego. Co powiecie na informacje, że szykuje się zdrada?! Spisek?! Zamachy na życie?! Wasze, między innymi...

Oczy Ambroza zweziły się.

- Na moje? Między innymi? A między jakimi, jeśli wolno spytać?

- Wiem - Reynevan udawał, że nie widzi rozpaczliwych znaków i min Szarleja. - Wiem o spisku, mającym na celu zgładzenie przywódców Taboru. Śmierć poniesie mój brat: Bohusław ze Szwamberka, Jan Hwiezda z Vicemilic...

Sztab Ambroza zaszumił nagle. Kapłan nie spuszczał z Reynevana wzroku.

- Zaiste - rzekł wreszcie. - Ciekawa informacja. Iście, młody panie z Bielawy, wartys, by zabrać cię do Hradca.

* * *

Podczas gdy armia husycka zajmowała się szybką, aktywną i intensywną grabieżą miasta Radków, Brazda z Klinsztejna, Velek Chrastický i Oldrzych Halada wyjaśnili Reynevanowi i Szarlejowi, w czym rzecz.

- Jan Hwiezda z Vicemilic, hetman Taboru - opowiedział Brazda - rozstał się z tym światem ostatniego dnia października - wyjaśnił. - A jego następcą, urodzony pan Bohusław ze Szwamberka, oddał ducha Panu niecały tydzień temu.

- Nie mówcie tylko - zmarszczył brwi Szarlej - że obaj padli ofiarą skrytobójców.

- Obaj umarli z ran odniesionych w boju. Hwiezde raniono szypem w twarz pod Młoda Vozica, w wigilie Łukasza, zmarł krótko później. Pan Bohusław został raniony podczas walki o rakuski gród Retz.

- A więc to nie zamachy - zrobił drwiaca minę Szarlej - lecz śmierć dla husytów nieledwie naturalna!

- Nie całkiem. Toż mówię, że i jeden i drugi zmarli jakiś czas po zranieniu. Może by się wylizali? Gdyby im kto, powiedzmy, truciznę nie podał? Dziwny to, przyznacie, zbieg okoliczności: dwaj wielcy taborscy wodzowie, obaj spadkobiercy Zizki, umierają jeden po drugim, w odstępie ledwo miesiąca...

- Dla Taboru sroga szkoda - wtracił Velek Chrastický. - A dla wrogów naszych korzyść wielka, tak wielka, że już wcześniej były podejrzenia... A teraz, po rewelacjach młodego pana Bielawy, rzecz musi do końca wyjaśnić. Dokładnie wyswietlić.

- Jasne - kiwnął głową Szarlej, pozornie poważny. - Taki musi, że, jeśli zajdzie konieczność, weźmie się młodego pana Bielawę na tortury. Nic bowiem, jak wiadomo, nie wyswietla podejrzanych spraw lepiej niż czerwone żelazo.

- A co też wy - uśmiechnął się Brazda, ale jakos tak mało przekonywująco. - Nikt o czymś takim nawet nie myśli!

- Toż pan Reinmar - dodał równie mało przekonywująco Oldrzych Halada - jest bratem pana Piotra! A pan Piotr z Bielawy był nasz. I wy przecie też nasi...

- Jako tacy - wtracił drwiako Urban Horn - są wolni, prawda? Moga, jeśli zapragną, pójść sobie dokąd zechcą? Chocby zaraz? Co? Panie Brazda?

- No... - zająknął się hetman hradeckiej konnicy. - Tego... Nie. Nie moga. Mam inne rozkazy. Bo to, widzicie...

- Niebezpiecznie tu dokola - odchrząknął Halada. - Musimy was... Hmm... Pilnie strzec.

- Jasne. Musicie.

* * *

Sprawa była klarowna. Ambroz nie interesował się już nimi i nie zwracał uwagi, ale byli pod stałą obserwacją i kontrolą husyckich wojaków. Mieli pozorną swobodę, nikt im się nie narzucał, wręcz przeciwnie, traktowano ich jak kamratów - ba, nawet uzbrojono i niemal wcielono w skład lekkiej Brazdowej konnicy, liczącej teraz, po połączeniu z siłami głównymi, z górną setką jeźdźców. Ale byli pod strażą i negocjowanie tego faktu nie było możliwe. Szarlej początkowo zgrzytał zębami i klął z cicha, wreszcie machnął ręką.

Pozostawała sprawa napadu na kolektora i o tej ani Szarlej, ani Reynevan nie zamierzali zapominać. Ani jej umarzać.

Choć Tybald Raabe skrzętnie unikał rozmowy, został wreszcie przyparty do muru. Dokładniej, do wozu.

- A co miałem robić? - uniósł się, gdy wreszcie dali mu dojść do głosu. - Pan Samson naciskał! Musi być coś wykombinować! Myślicie, że gdyby nie plotka o pieniądzach, Ambroz dałby nam konnych? Akurat, ucho od śledzia! Wypadaloby więc podziękować, miast wrzeszczyć na mnie! Gdyby nie mój pomysł, siedzielibyście teraz w Narrenturmie i czekali na inkwizytora!

- Twoja plotka mogła kosztować nas życie. Gdyby Ambroz był bardziej chciwy.

- Gdyby, gdyby! O, wa! - goliard poprawił potargany przez Szarleja kaptur. - Co to ja, nie wiedziałem, w jakiej estymie miał on pana Piotra? Pewne było, że panicza Reinmara nie ruszy. To raz. A dwa...

- Co, dwa?

- Naprawdę myślałem... - Tybald Raabe odchrząknął kilka razy. - Co tu gadac... Pewien niemalzem był, że to właśnie wy obrobiliście kolektora na Sciborowej Porebie.

- A kto go obrobil?

- A to nie wy?

- Ty prosisz się, bratku, o kopa w zad. Dobra, powiedz, jak tobie się udało uciec z napadu?

- Jak? - pomroczniał goliard. - A biegiem! Nogami ostro przebierałem. I nie oglądałem się, choć z tyłu wolali: „Ratunku!”.

- Ucz się, Reinmarze.

- Uczy się co dnia - uciał Reynevan. - A inni, Tybaldzie? Co stało się tam z innymi? Z kolektorem? Z franciszkanami? Z rycerzem von Stietencron? Z jego... Z jego córka?

- Już wam mówiłem, paniczu. Nie oglądałem się. Nie pytajcie o więcej.

Reynevan nie pytał.

* * *

Zapadł zmrok, ale ku wielkiemu zdumieniu Reynevana armia nie rozbiła obozu. Nocnym marszem husyci dotarli do wsi Ratno, czerni nocy rozświetliły pożary. Załoga ratnowskiego zamku zlekceważyła ultimatum Ambroza, parlamentariuszy ostrzelała z kuszy, w świetle płonących chałup podjęto wiec szturm. Warownia broniła się twardo, ale padła jeszcze przed świtem. Obroncy zapłacili za upór - wybito ich do nogi.

Dalszy marsz podjęto o świcie, a Reynevan zorientował się już, że rajd Ambroza na ziemi kłodzka ma charakter wyprawy odwetowej, jest zemsta za jesienną rzeźnię na Nachod i Trutnov, za rzeźnię, jakich wojska wrocławskiego biskupa Konrada i Puty z Czastolovic dopuściły się pod Vizmburkiem i we wsiach nad rzeką Metuja. Po Radkowie i Ratnie za Vizmburk i Metuje zapłaciła Scinawka. Scinawka należała do Jana Haugwitza, Jan Haugwitz brał udział w biskupiej „krucjacie”. Scinawka poniosła za to karę - spalono ją do gruntu. Poszedł - na dwa dni przed świtem swej patronki - z dymem kościółek świętej Barbary. Proboszcz zdążył uciec, ocalając tym samym głowę przed cepem.

Mając za plecami płonący kościół, Ambroz odprawił mszę świętą - była bowiem, jak się okazało, niedziela. Msza była typowo husycka - pod gołym niebem, na zwyczajnym stole. Celebrujący Ambroz nie odpasal miecza.

Czesi modlili się głośno. Samson Miodek, nieruchomy jak antyczna statua, stał i patrzył na płonącą

pasieke, na zajmujace sie ogniem slomiane czapeczki uli.

Po mszy, majac za plecami dymiace zgliszcza, husyci ruszyli na wschód, przeszli obnizeniem miedzy osniezonymi garbami Golinca i Kopca, pod wieczór docierajac pod Wojbórz. Byly to dobra rodu von Zeschau. Zajadlosc, z jaka husyci rzucili sie na wies, swiadczyla, ze ktos z tego rodu tez musial byc z biskupem pod Vizmburkiem. Nie ocalala nawet jedna chalupa, jedna stodola, nawet jeden szalas i jedna klec.

- Jesteśmy aż cztery mile od granicy - zawyrokowal przesadnie glosno i demonstracyjnie Urban Horn. - I tylko mile od Klodzka. Te dymy widac z daleka, a wieści rozchodza sie szybko. Leziemy lwu w paszcze.

Lezli. Gdy po skonczonej grabiezy husycka armia wymaszerowala z Wojborza, od wschodu pojawil sie poczet rycerski w sile jakichs stu koni. Bylo w poczcie sporo joannitów, herby na choragwiach wskazywaly na obecność Haugwitzów, Muschenów i Zeschauów. Na sam widok husytów poczet uciekl w poplochu.

- Gdzie ten lew? - zadrwil Ambroz. - Bracie Horn? Gdzie ta paszcza? Naprzód, chrzescijanie! Naprzód, bozy bojownicy! Naprzód, maaaarsz!

* * *

Nie ulegalo kwestii, ze celem husytów bylo Bardo. Jesli nawet przez jakis czas Reynevan zywil watpliwosci - w koncu Bardo bylo sporym grodem i kaskiem nieco zbyt wielkim nawet dla takiego Ambroza - to szybko sie one rozwialy. Armia zatrzymala sie na noc w lesie blisko Nysy. I do północks stukaly siekiery. Produkowano ostrzewie - przypominajace herb Ronowców dragi z odstajacymi odrabkami galezi, proste, poredzne, tanie i bardzo skuteczne urzadzenie do forsowania murów obronnych.

- Bedziecie szturmowac? - spytal bez ogródek Szarlej.

Wraz z hetmanami Ambrozowej konnicy obsiedli parujacy kociol grochówki i pochlaniali zawartosc, dmuchajac na lyzki. Towarzyszil im Samson Miodek, bardzo ostatnio - od czasu Radkowa - milczacy. Olbrzym nie interesowal Ambroza i cieszył sie pelna swoboda, te wykorzystal jednak, o dziwo, do tego, by ochotniczo pomagac w kuchni polowej, obslugiwanej przez kobiety i dziewczeta z Hradca Kralove, pospelne, malomówne, nieprzystepne i bezplciowe.

- Bedziecie szturmowac Bardo - sam siebie upewnil Szarlej, gdy jego pytanie skwitowalo mlaskanie i dmuchanie w lyzki. - Czyzbyście i tam mieli jakies osobiste porachunki?

- Zgadles, bracie - otarl wasy Velek Chrasticky. - Cystersi z Barda bili w dzwony i odprawiali msze dla zbirów biskupa Konrada, idacych we wrzesniu na Nachodsko, by lupic, palic, mordowac kobiety i dzieci. Musimy pokazac, ze cos takiego nie uchodzi na sucho. Musimy dac przyklad grozy.

- Nadto - oblizal lyzke Oldrzych Halada - Slask stosuje wobec nas blokade handlowa. Musimy pokazac, ze embargo potrafimy lamac, ze to sie nie oplaca. Musimy tez wlac nieco otuchy w serca handlujacych z nami kupców, zastraszonych aktami terroru. Musimy dodac otuchy krewnym zamordowanych, pokazujac, ze na terror odpowiemy terrorem, a skrytobójcy nie beda bezkarni. Prawda, mlodszy panie z Bielawy?

- Skrytobójcy - powtórzył glucho Reynevan - nie mogą pozostać bezkarni. W tym względzie trzymam z wami, panie Oldrzychu.

- Chcąc trzymać z nami - poprawił bez nacisku Halada - winnicie mówić „bracie”, nie „panie”. A pokazać, z kim trzymacie, możecie jutro. Każdy miecz się przyda. Zacięty zapowiada się bój .

- I owszem - milczący dotąd Brazda z Klinsztejna wskazał głową w stronę miasta. - Oni wiedzą, po co myśmymy tu naprawdę przyszedli. I będa tego bronic.

- W Bardzie - odezwał się z drwina w głosie Urban Horn - są dwa cysterskie kościoły, oba bardzo bogate. Wzbogacone na pielgrzymach.

- Wszystko - prychnął Velek Chrastický - sprowadzasz do przyziemności, Horn.

- Taki już jestem.

* * *

Od strony obozu przestały postukiwać siekiery. Rozbrzmiał natomiast i wzniósł się ostry, wywołujący ciarki, miarowy zgrzyt oselek i brusków. Wojsko Ambroza ostrzyło brzeszczoty.

* * *

- Stan no do mnie frontem - rozkazał Szarlej, gdy zostali sami. - Pokaż no się. Ha. Jeszcze nie naszyłeś sobie kielicha na piers? Trzymam z wami, jestem z wami? Co to za gadki, Reinmarze? Czy ty się aby nie zacząłeś rolę przejmować?

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co. O wygadanie się przed Ambrozem względem grangii w Debowcu scysji nie wszczynam i wyrzutów ci nie robię, kto wie, może i na zdrowie nam wyjdzie, jeśli na trochę schronimy się pod husycką protekcję. Ale raczej pamiętać, u diaska, że Hradec Kralove to bynajmniej nie nasz cel, a jedynie przystanek w drodze na Węgry. A ich husycka sprawa to dla nas furda i funt klaków.

- Ich sprawa nie jest dla mnie funtem klaków - zaprotestował zimno Reynevan. - Peterlin wierzył w to, w co oni wierzą. Samo to mi wystarcza, bo znalazłem mojego brata, wiem, jakim był człowiekiem. Jeśli Peterlin poświęcił się ich sprawie, jeśli się jej oddał, to znaczy, że nie może być to sprawa zła. Milcz, milcz, wiem, co chcesz powiedzieć. Też widziałem, co zrobiono z radkowskimi księżmi. Ale to niczego nie zmienia. Peterlin, powtarzam, nie poparłby złej sprawy. Peterlin wiedział to, co ja wiem dziś: w każdej religii, wśród ludzi ją wyznających i o nią walczących na jednego Franciszka z Asyżu przypada legion braci Arnulfów.

- Kto zaczął brat Arnulf, domyślam się tylko - wzruszył ramionami demeryt. - Ale metafory rozumiem, tym bardziej, że mało odkrywczą. Jeśli czegoś nie rozumiem... Czyś ty, chłopcze, już przeszedł na husycką wiarę? I czy już, jak każdy neofita, bierzesz się za nawracanie? Jeśli tak, to powściągnij, proszę, ewangelizacyjny zapal. Bo kierujesz go pod absolutnie złym adresem.

- Niewatpliwie - wykrzywił się Reynevan. - Ciebie nie potrzeba już nawracać. Już jest wszak po fakcie.

Oczy Szarleja zweziły się lekko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Osiemnasty lipca, rok osiemnasty - rzekł Reynevan po chwili milczenia. - Wrocław, Nowe Miasto. Krwawy poniedziałek. Kanonik Beess zdradził cię hasłem, które podałem ci wtedy u karmelitów. A Buko Krossig rozpoznał cię i zdemaskował, wtedy, w nocy na Bodaku. Brales udział, i to czynnie, w buncie wrocławskim w lipcu Anno Domini 1418. A co cię wówczas poruszyło i wzburzyło, jeśli nie śmierć Husa i Hieronima? Za kim się ujęliście, jeśli nie za prześladowanymi begardami i wiklefiściami? Czego broniliście, jeśli nie swobodnego prawa do komunii pod obojgą postacią? Deklarując się jako iustitia popularis, przeciw czemu wystapiliście, jeśli nie przeciw bogactwu i rozpasaniu kleru? Do czego nawoływaliście na ulicach, jeśli nie do reformy in capite et in membris! Szarleju? Jak to było?

- Jak było, tak było - odrzekł po chwili milczenia demeryt. - Było zaś lat temu siedem. Pewnie cię to zdziwi, ale niektórzy ludzie potrafią uczyć się na błędach i wyciągać wnioski.

- Na początku naszej znajomości - powiedział Reynevan - tak dawno, że zda się, jakby wieki upłynęły, uraczyłeś mnie, pamiętam, sentencją następującą: Stwórca stworzył nas na obraz i podobieństwo, ale zadbał o cechy indywidualne. Ja, Szarleju, nie przekreślam przeszłości i nie zapominam o niej. Ja wróce na Śląsk i wyrównam rachunki. Wyrównam wszystkie rachunki i spłace wszystkie długi, z odpowiednim procentem. Z Hradca Kralove zaś na Śląsk bliżej niż z Budy...

- I spodobał ci się sposób - uciął Szarlej - w jaki swoje rachunki wyrównuje hradecki proboszcz Ambroz. Nie miałem racji, Samsonie, że to neofita?

- Nie do końca - Samson zbliżył się tak, że Reynevan go nie zauważył ani nie usłyszał. - Nie do końca, Szarleju. Tu o coś innego chodzi. O pannę Katarzynę Biberstein mianowicie. Nasz Reinmar chyba znowu się zakochał.

* * *

Nim zaszarzał mroźny świt, doszło do pożegnania.

- Bywaj, Reinmarze - uściśnął dłoń Reynevana Urban Horn. - Znikam. I tak zbyt wielu tu widziało moją twarz, w moim fachu to rzecz niebezpieczna. A mam zamiar dalej uprawiać mój fach.

- Biskup wrocławski już wie o tobie - ostrzegł Reynevan. - Wiedza też zapewne czarni jeźdźcy krzyżacy: „Adsumus”.

- Przyjdzie uitać się i przeczekać. Wśród ludzi zycyliwych. Jade więc najpierw do Głogówka. A potem do Polski.

- W Polsce nie jest bezpiecznie. Opowiedziałem ci, co podsłuchaliśmy w Debowcu. Biskup Zbigniew Olesnicki...

- Polska - przerwał Horn - to nie tylko Olesnicki. Przeciwnie, Polska to w bardzo małej części

Olesnicki, Laskarz czy Elgot. Polska, mój chłopcze, to... To inni. Europa, chłopcze, zmieni się wkrótce. I to za sprawą Polski właśnie. Bywaj, chłopcze.

- Pewnie się jeszcze spotkamy. Ty, jak cie znam, wrócisz na Śląsk. I ja tam wróce. Mam tam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Kto wie, może załatwimy je razem. Przy jednej sposobności. Ale by tak się stać mogło, przyjmij, proszę, życzliwą radę, Reinmarze z Bielawy: nie wywołuj już demonów. Nie imaj się tego więcej.

- Nie bede.

- Rada druga: jeśli poważnie myślisz o przyszłej współpracy przy załatwianiu naszych spraw, pocwicz miecz. Sztylet. Kusze.

- Pocwicz. Bywaj, Horn.

- Bywajcie, paniczu - zbliżył się Tybald Raabe. - I na mnie czas. Trzeba pracować dla sprawy.

- Uważaj na siebie.

- Ja myślę.

* * *

Choć Reynevan w istocie gotów był stanąć u boku husytów z bronią w reku, nie dane mu było. Ambroz kategorycznie zażądał, by wraz z Szarlejem byli podczas szturmów na Bardo przy nim, przy jego sztapie. Reynevan i Szarlej - pilnie obserwowani przez eskortę - byli wtedy przy sztapie, gdy husycka armia wśród padającego śniegu przeprawiła się przez Nyse i we wzorowym ordynku stanęła pod miastem. Od strony północnej były już w niebo dymy - w ramach akcji dywersyjnej konni Brazdy i Chrastickiego zdążyli już podpalić młyn i chałupy podgrodzia.

Bardo było gotowe do obrony, na murach roilo się od zbrojnych, powiewano sztandarami, krzyczano. Donosnie były dzwony obu kościołów, czeskiego i niemieckiego.

Przed murami zaś stało w czarnych kregach zgłiszcz i kupach popiołów dziewięć osmalonych pali. Wiatr donosił kwasny smród spalenizny.

- Husyty - wyjaśnił jeden z wiesniaków donosicieli, jakich już kilkunastu usłużnie towarzyszyło armii Ambroza. - Husyty, polapane Czechy, begardy i jeden Żyd. To na postrach. Jak się oni, panie wielmożny, wywiedzieli, że idziecie, to wszystkich wyciągli z lochu i upalili. Heretykom... Znaczący, wybaczcie... Wam... Na postrach i wzgarde.

Ambroz kiwnął głową. Nie powiedział słowa. Twarz miał kamienna.

Husyci szybko i sprawnie zajęli pozycje. Piechota ustawiła i podparła pawęze i tarasy. Przygotowała się też artyleria. Z murów wrzeszczano i rzucano obelgi, czasem huknął strzał, czasem sypnęły się belty.

Krakęły i tłukły się po niebie wystraszone wrony, smigały dezorientowane kawki.

Ambroz wszedł na wóz.

- Prawi chrześcijanie! - zakrzyczał. - Wierni Czesi!

Armia uciszyła się. Ambroz odczekał na zupełną ciszę.

- Ujrzałem - ryknął, wskazując na osmolone pale i zgliszcząca stosów - pod ołtarzem dusze zabitych dla Słowa Bożego i dla świadectwa, jakie mieli. I głosem donosnym tak zawołały: Dokądże, władco święty i prawdziwy, nie będziesz sadył i wymierzał za krew naszą kary tym, co mieszkają na ziemi?

- Ujrzałem anioła stojącego w słońcu! I zawołał on głosem donosnym do wszystkich ptaków lecących środkiem nieba: Pójdźcie, zgromadźcie się na wielką ucztę Boga, aby zjeść trupy królów, trupy wodzów i trupy mocarzy, trupy koni i tych, co ich dosiadają! I ujrzałem Bestie!

Z murów rozległa się wrzawa, poleciały kłatwy i wyzwiska. Ambroz uniósł rękę.

- Oto - krzyknął - ptaki boże nad nami wskazujące drogę! A oto, tam, przed wami: Bestia! Oto Babilon opity krwią męczenników! Oto osławione zabobonem gniazdo grzechu i zła, kryjówka sług antychrysta!

- Na nich! - zawył ktoś z tłumu wojaków. - Smieeeeerc!

- Bo oto nadchodzi - ryczał Ambroz - dzień palacy jak piec, a wszyscy pyszni i wszyscy wyrazający krzywdę będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący dzień tak, że nie pozostawi po nich ani korzenia, ani gałązki!

- Paaaaliic ich! Smieeeeerc! Bij! Morduj! Hyr na nich!

Ambroz uniósł obie ręce, tłum natychmiast scielił.

- Czeka nas dzieło Boże - zawołał. - Dzieło, do którego przystąpić trzeba z czystym sercem, po modlitwie! Na kolana, wierni chrześcijanie! Pomódlmy się!

Armia ze szczeniemi i chrzestem ukleknęła za ścianą z pawozy i tarasów.

-*Otce nas* - zaczął gromko Ambroz -*jenz jsi na nebesich, bud' posveceno tve jeno ...*

-*Prijd' tve kralovstvi !* - huknęło jednym wielkim głosem kłęczące wojsko. -*Stan se tva vule !Jako v nebi, tak i na zemi !*

Ambroz rękę nie składał ani głowy nie spuszczał. Patrzył na mury Barda, a w jego wzroku paliła się nienawiść. Żeby miał wilczo wyszczerzone, a na wargach pianę.

- I odpusc nam - krzyczał - nasze winy! Jako my odpuszczamy...

Ktoś z kłęczących w pierwszym rzędzie, miał odpuszczać, wypalił w stronę murów z piszczałki. Z murów odpowiedziano, krenelaze zasnuł dym, kule i belty zaswiszczały, gradem załomotały o pawozę.

- I nie wódz - ryk husytów wzbijał się nad huk wystrzałów - nas na pokuszenie!

-*Ale vysvobod' nas od zleho !*

- Amen! - zawył Ambroz. - Amen! A ninie naprzód, wierni Czechowie! *Vpred, bozi bojovnici* ! Smierc pacholkom antychrysta! Morduj papieżników!

- Hyr na nich!

Plunely ogniem i ołowiem hufnice i tarasnice, huknely hakownice i handkanony, zasyczały belty, mordercza ulewa pocisków wrecz zmiotła obrońców z muru. Druga salwa, tym razem pocisków zapalających, zwała się na dachy domostw niczym ogniste ptactwo. Zza podniesionego zatarasu gruchnęła pułk, zasnuwając całe przedbramie gestym śmierdzącym dymem. Brama nie osiedziła się przed pięćdziesięciopięcioletnią kamienną kulą, rozleciała się w drzazgi. W wylom runeli atakujący. Inni, niczym mrówki, leżli na mury po ostrzewiach. Wyrok śmierci na miasto Bardo zapadł w ciągu kilku minut. Tylko wykonanie odwlekło się nieco. Ale nie na długo.

- Hyr na nich! Mooorduuuj!

Dziki krzyk, wycie, wrzask, podnoszący włosy.

Bardo umierało. Umierało w biciu swych dzwonów. Dzwony Bardo, jeszcze przed kilkoma chwilami donoszące jak alarm, jeszcze przed chwilą butne jak wezwanie do broni, stały się rozpaczliwe, jak krzyk o pomoc. Az wreszcie zmieniły się w spazmatyczne, chaotyczne, rozedrgane jęki konającego. I jak konający cichły, krztusiły się konaniem, dogorywały. Wreszcie umilkły, zgluchły zupełnie. I w tym samym niemal momencie obie dzwonnice zasnuły się dymem, szerniały na tle płomieni. Płomieni, rwących się ku niebu - rzekłbys - ulatująca dusza miasta, które umarło.

Bo miasto Bardo umarło. Szalejąca pozoga była już tylko stosem funeralnym. A wrzask mordowanych - epitafium.

* * *

Po krótkim czasie wyszedł z miasta sznur uciekinierów - niewiast, dzieci i tych, którym husyci pozwolili wyjść. Uciekinierów pilnie lustrowali wiesniacy donosiciele. Co jakiś czas kogos rozpoznawano. Wyciągano. I masakrowano.

Na oczach Reynevana wiesniaczka w opanczy wskazała husytm młodego mężczyźne. Wywleczono go, a gdy zdarto kapuce, modnie podstrzyżona czupryna zdradziła rycerza. Wiesniaczka powiedziała coś do Ambroza i Hłuszczyki. Hłuszczyka wydał krótki rozkaz. Cepy wzniosły się i spadły. Rycerz runął na ziemię, leżącemu zadzgało widłami i sudlicami.

Wiesniaczka zdjęła kaptur, odsłaniając gruby jasny warkocz. I odeszła. Kulejąc. W sposób na tyle charakterystyczny, by Reynevan umiał zdiagnozować wrodzone zwichnięcie biodra. Na odchodnym przesłała mu znaczące spojrzenie. Poznała go.

* * *

Z Bardo wynoszono lupy, z piekła pożaru i klebów dymu wychodził pochód objuczonych różnymi dobytami Czechów. Zdobycz ładowano na wozy. Spędzono krowy i konie.

Na samym koncu pochodu wyszedł z gorejącego miasta Samson Miodek. Był czarny od sadzy, tu i ówdzie nadpalony, nie miał też brwi ani rzęs. Niósł na reku młodego kotka, zjezone czarno-białe stworzonko o wielkich, dzikich i przerażonych oczach. Kotek kurczowo czepiał się pazurkami rekawa Samsona i co jakiś czas bezgłośnie otwierał pyszczek.

Twarz Ambroza była jak z kamienia. Reynevan i Szarlej milczeli. Samson zbliżył się, zatrzymał.

- Wczoraj wieczór myślałem o ratowaniu świata - powiedział bardzo miękko i ciepło. - Dzisiaj rano o ratowaniu ludzkości. Ale cóż, trzeba mierzyć siły na zamiary. I ratować to, co można.

* * *

Złupiwszy Bardo, armia Ambroza zawróciła na zachód, ku Broumovu, zostawiając w świeżym i bielutkim śniegu szeroki czarny ślad.

Konnice podzielono. Część pod Brazdą z Klinsztejną pojechała przodem jako tak zwany *predvoj*, czyli szpic. Reszta, w sile trzydziestu koni, oddana pod komendę Oldrzycha Halady, stanowiła ariergarde. W tej znaleźli się Reynevan, Szarlej i Samson.

Szarlej pogwizdywał, Samson milczał. Jadący bok w bok z Haladą Reynevan wysłuchiwał nauk, nabywał dobrych obyczajów, a wyzywał złych. Do tych ostatnich, pouczył dość surowo Haladę, należy używanie nazwy „husyci”, tak bowiem mówią tylko wrogowie, papisci i w ogóle ludzie niezyczliwi. Należy mówić: „prawowierni”, „dobrzy Czesi” lub „boży bojownicy”. Armia polna z Hradca Králové, uczył dalej hetman bożych bojowników, jest zbrojnym ramieniem Sierotek, czyli prawowiernych osieroconych przez wielkiego i nieodżałowanego Jana Žizke. Póki Žizka żył, Sierotki, rzecz jasna, nie były jeszcze Sierotkami, zwaly się Nowym albo Mniejszym Táborem, a to mianowicie dla odróżnienia od Starego Taboru, czyli od taborytów. Nowy albo Mniejszy Tabor założył Žizka w oparciu o orebitów, czyli tych prawowiernych, którzy gromadzili się na górze Oreb nieopodal Trzebiechovic, w odróżnieniu od taborytów, którzy zbierali się na górze Tabor nad rzeką Lužnica i tam zbudowali swoje Hradziszczce. Nie powinno się, tłumaczył surowo prawowierny hetman Sierotek z Nowego Taboru, płacać orebitów z taborytami, a już naprawdę karygodnym wykroczeniem jest łączenie którejkolwiek z tych grup z kalikstynami z Pragi. Jeżeli jeszcze na Nowym Miście Praskim spotkać można prawdziwie prawowiernych, uczył orebita z góry nieopodal Trzebiechovic, to Stare Miasto jest gniazdem umiarkowanych ugodowców, zwanych się kalikstynami lub utrakwistami, a z tymi dobrzy Czesi kojarzeni być nie chcą i nie powinni. Ale i na Празan nie powinno się mówić „husyci”, tak mówią tylko wrogowie.

Reynevan sennie nieco kiwał się w siodle i co jakiś czas mówił, że rozumie, co było nieprawdą. Śnieg znowu zaczął padać, szybko zamieniając się w zamieć.

* * *

Za lasem, na rozdrożu, w bliskości spalonego Wojborza, stał kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i skrucy. Wczoraj, gdy palono Wojbórz, Reynevan nie zauważył krzyża. Był wieczór, zmrok, padał śnieg. Wielu rzeczy można było nie zauważyć.

Krzyż miał ramiona zakończone w kształt koniczynek. Obok niego stały dwa wozy, nie bojowe, lecz zwykłe, służące do transportu ładunków. Jeden mocno pochylony na bok, wsparty na piasku koła o

zupełnie skruszonej obreczy. Czterech ludzi na próżno staralo sie uniesc wóz, by dwóch innych moglo zdjac polamane kolo i zalozyc zapasowe.

- Pomózciez! - zawolal jeden. - Bratrzy!

- Rozgruzcie wóz! - wrzasnal Halada. - Lekcej bedzie!

- To nie ino kolo - odkrzyknal woznica. - Orczyce wylamaliz, zaprzac nie ma jak! Niech ta który skoczy w przód, zawróci jaki zaprzeg! Przeladujem dobro...

- Pal diabli dobro. Nie widzicie, jak sniegiem zamiata? Chcecie ostac?

- Zal dobytku!

- A dupy ci nie zal? Poscig moze za nami...

Glos zamarl Haladzie w gardle. Bo w zla, bardzo zla godzine wymówil te slowa.

Zachrapaly konie, z lasu wylonil sie szereg rycerzy w pelnych zbrojach. Bylo ich okolo trzydziestu, w wiekszosci joannitów.

Jechali stepa, równo, karnie, zaden z koni nie wysuwal nosa z szyku.

Z drugiej strony goscinca wyjechal spomiedzy drzew drugi oddzial, równie silny. Pod choragwia z barania glowa Haugwitzów. Zachodzac lawa, rycerze sprawnie odcieli Sierotkom droge ucieczki.

- Przebijmy sie! - wrzasnal jeden z mlodszych jezdzców. - Bracie Oldrzychu! Przebijmy sie!

- Jak? - charknal Halada. - Przez kopie? Ponadziwiają nas jak kurczaki. Z koni! I miedzy wozy! Tanio skóry nie sprzedamy!

Nie bylo czasu do stracenia, osaczajace ich rycerstwo ponaglalo juz konie do klusa, joannici zatrzaskiwali juz zaslony armetów, pochyrali kopie. Husyci pozeskakiwali z koni, skryli sie za wozami, poniektórzy nawet powlazili pod nie. Ci, dla których ukrycia nie starczylo, uklekli z napietymi kuszami. Na wozach, jak sie okazalo, oprócz zrabowanych naczyn liturgicznych trafem iscie szczesliwym wieziono bron, w wiekszosci drzewcowa. Czesi migiem rozdzielili miedzy siebie halabardy, partyzany i gizarmy. Reynevanowi ktos wetknal do reki spise z dlugim i cienkim jak szydlo grotem.

- Gotuj sie! - ryknal Halada. - Ida!

- Wpadlismy w bezdenne gówno - Szarlej napial i uzbroil kusze. - A tyle sobie obiecywalem po Wegrzech. Taki mialem, kurwa, apetyt na prawdziwy *bogracsgulyas* .

- Bóg i Swiety Jerzy!

Joannici i Haugwitzowi poderwali konie do szarzy. I z wrzaskiem runeli na wozy.

- Teraz! - wrzasnal Halada. - Teraz! Pal! W nich!

Szczeknely cieciwy, grad beltów zalomotal o tarcze i zbroje. Runelo kilka koni, spadlo kilku jezdzców. Reszta zwalila sie na obronców. Długie kopie dosiegly celów. Trzask lamanych drzewc i wrzask

ugodzonych wzbily sie pod niebiosy. Reynevana obryzgala krew, widzial, jak tuz obok niego jeden z woznicow podryguje konwulsyjnie, przebity na wylot, jak z drugiej strony jeden ze spieszonych konnych Halady mocuje sie z wbitym w piers grotem, dostrzegl, jak innego wielki rycerz z osekiem Opełnów na tarczy podnosi na kopii w góre i krwawiacego rzuca na snieg. Zobaczył, jak Szarlej strzela z kuszy, z bliska pakujac belt w gardlo jednego kopijnika, jak drugiemu Halada rozwala helm i glowe berdyszem, jak trzeci, zahaczony dwiema gizarmami, wpada miedzy wozy i ginie, zarabany i zakluty. Spieniony i wyszczerzony pysk konia zawisl mu tuz nad glowa, zobaczył blysk miecza, nie myslac pchnal spisa, trójgranny grot cos przebil i w cos sie wbil, Reynevan omal nie upadł pod naporem, zobaczył, jak joannita, którego ugodził, kolysze sie w siodle. Napał na drzewce, joannita wygial sie w tyl, cienkim glosem wzywajac swietych. Ale nie spadł, wsparty wysokim tylnym lekiem. Pomógł któryś z Sierotek, walac joannite halabarda, na to wsparcie leku nie wystarczylo, rycerza z siodla wrecz zmiotlo. W tej samej niemal chwili Czech dostal bulawa w glowe, cios wbil mu kapalin az po brode, spod kapalinu buchnela krew. Reynevan dziabnal tego, który uderzył, i ryczac przeklenstwa, zepchnal go z kulbaki. Obok spadł z konia drugi, zastrzelony przez Szarleja. Trzeci, ciety dwurecznym mieczem, uderzył czolem o grzywe i obryzgł ja posoka. Wokół wozów zrobilo sie luzniej. Pancerni wycofali sie, z trudem opanowujac oszalale konie.

- Sprawnie! - ryczał Oldrzych Halada. - Sprawnie, bratrzy! Dalismy im! Tak trzymac!

Stali wsród krwi i trupów. Reynevan z przerazeniem skonstatowal, ze przy zyciu zostalo ich góra pietnastu, z czego na nogach moglo sie utrzymac jakichs dziesieciu. Wiekszosc mogacych stac tez broczyła z ran. Pojal, ze zyli tylko dlatego, ze kopijnicy w szarzy przeszkadzali sobie wzajem, walczyac przy wozach mogła tylko czesc. Ta czesc zaplacila zreszta za przywilej i to zaplacila strasznie. Wozy otaczal pierścien zabitych ludzi i wizzacych, pokaleczonych koni.

- Gotuj sie - charknal Halada. - Wraz znów uderza...

- Szarleju?

- Zyje.

- Samsonie?

Olbrzym odchrzaknal, starł z brwi krew, saczaca sie z rany na czole. Uzbrojony byl w najezona kolcami bulawe i pawez, przez jakiegos domoroslego artyste ozdobiona barankiem, promienna hostia i inskrypcja: BUH PAN NAS.

- Gotuj sie! Ida!

- Tego - skonstatowal przez zeby Szarlej - nie mamy juz szans przezyc.

-*Lasciate ogni speranza* - zgodzil sie spokojnie Samson. - Szczescie, zaiste, ze nie bralem z soba tego kota.

Ktos podal Reynevanowi hakownice - chwila wythnienienia pozwolila Sierotkom na nabicie kilku. Oparł rure o wóz, zaczepiajac hak o burte, przymierzyl lont do zapalu.

- Swiety Jeeerzy!

-*Gott mit uns* !

Szła z lomotem kopyt następna szarża, ze wszystkich stron. Zagrzmiały piszczały i hakownice, poszła w dym salwa z kusz. A za chwile były długie kopie, bryzgi krwi i opętancy wrzask przebijanych. Reynevana ocalił Samson, zasłaniając go paweżą z hostią i barankiem. Za moment paweż uchroniła od śmierci Szarleja - olbrzym władał ogromnym tarczyskiem jedną ręką, jak puklerzykiem, a drugą uderzenia kopii odbijał, jakby to były dmuchawce.

Joannici i pancerni Haugwitza wdarli się między wozy, rabali, stając w strzemionach, mieczami i toporami, prali buzdycanami wśród wrzasku i szczeku. Husyci gineli. Umierali jeden po drugim, odgryzając się jak psy, pałac kopijnikom prosto w twarz z kusz i rucznic, dzgając i tnąc gizarmami i halabardami, tłukąc bulawami, kolac spisami. Ranni wpełzli pod wozy i rzneli koniom peciny, potegując zamęt, chaos i kotłowanie.

Halada wskoczył na wóz, ciosem berdysza zmiotł z kulbaki joannite, sam zgiał się, pchnięty sztychem. Reynevan chwycił go, sciągnął. Dwaj ciężkozbrojni zawisli nad nimi, wnosząc miecze. Życie ocalili im znowu Samson i BUH PAN NAS na paweży. Jeden z rycerzy, wnosząc z klamry na tarczy Zedlitz, runął wraz z koniem, któremu przetrznięto peciny. Drugiego, siedzącego na oladrowanym siwku, Szarlej rabnął w głowę upuszczonym przez Haladę berdyszem. Helm pękł, pancerny zgiał się, zachlapując krwią *folgowycrinet*. W tej samej chwili Szarleja najechano i obalono koniem. Reynevan z rozmachem dzgnął jeźdźcę spisa, wbity grot uwiązł w blasze. Reynevan puczył drzewce, okrecił się, skulił, pancerni byli wszędzie, wszędzie dokoła był chaos potwornych szpiczastych hundsgugli, migotanina krzyży i herbów na tarczach, huragan migających mieczy, Maelstrom konskich zębów, piersi i kopyt. Narrenturm, myśląc gorączkowo, to nadal jest Narrenturm, obłęd, szalenstwo i wariactwo.

Posliznął się we krwi, upadł. Na Szarleja. Szarlej miał w reku kuszę. Spojrzał na Reynevana, mrugnął. I wystrzelił. Pionowo w górę. Prosto w brzuch górującego nad nimi konia. Kon zakwiczął. A Reynevan dostał kopytem w bok głowy. To koniec, pomyślał.

- Boże dopomagaajaj! - usłyszał jak przez wate, sparalizowany przez ból i słabość. - Odsieecz! Odsieecz!

- Odsiecz, Reinmarze! - krzyczał, szarpiać go, Szarlej. - Odsiecz! Żyjemy!

Podniósł się na czworaki. Świat wciąż tańczył i pływał mu w oczach. Ale fakt, że żył, był nie do przecoczenia. Zamrugał.

Z pola dobiegał wrzask i szczek, joannici i pancerni Haugwitza scinali się z przybyłą odsieczą, zbrojnymi w pełnych zbrojach płytowych. Walka nie trwała długo - gościncem od zachodu waliła już cwałem, wrzeszcząc co sił w płucach, konnica Brazdy, za nią, wrzeszcząc jeszcze głośniejszą, pedziła husycka piechota ze wzniesionymi cepami. Na ten widok joannici i ludzie Haugwitza podali tył, pojedynczo i w grupkach pierzchali ku lasowi. Odsiecz siedziała im na karkach, tnąc i rabiąc bez litości, a echo szło po wzgórzach.

Reynevan usiadł. Obmacał głowę i boki. Był cały we krwi, ale, jak wyglądało, cudzej. Opodał, wciąż ze swą paweżą, siedział oparty o wóz Samsona. Miodek z zakrwawioną głową, gęste krople kapaly mu z ucha na ramię. Kilku husytów gramolilo się z ziemi. Jeden płakał. Jeden wymiotował. Jeden ściągany zębami rzemieniem usiłował tamować krew, sikająca z kikuta odrabanej ręki.

- Żyjemy - powtórzył Szarlej. - Żyjemy! Hej, Halada, sly...

Urwał. Halada nie słyszał. Już nie mógł słyszeć.

Do wozów podjechał Brazda z Klinsztejna, podjechali pancerni z odsieczki. Choc rozkrzyczani i rozpaleni bitka, milkli i cichli, gdy pod kopytami koni zaczynało mlaskac krwawe błoto. Brazda ocenił wzrokiem masakrę, spojrzal w zeszkłone oczy Halady, nic nie powiedział.

Dowódca pancernych z odsieczki przyglądał się Reynevanowi, mrużąc oczy. Widac było, że stara się sobie przypomnieć. Reynevan poznał go od razu i nie tylko po róży w herbie - był to raubritter z Kromolina, protektor Tybalda Raabego, Polak, Błażej Poraj Jakubowski.

Czech, który płakał, opuścił głowę na piersi i umarł. W ciszy.

- Dziw - rzekł wreszcie Jakubowski. - Patrzcie na tych trzech. Nawet nie bardzo poharatani. Cholerni z was szczęściarze! Albo jakiś demon czuwa nad wami.

Nie poznał ich. Nie było w tym zresztą nic dziwnego.

* * *

Choc ledwie trzymał się na nogach, Reynevan natychmiast zabrał się za opatrywanie rannych. W tym czasie husycka piechota dorzynała i obdzierała ze zbroi joannitów i kopijników Haugwitza. Zabitych wyluskiwano z blach, zaczęły się już klótnie, co lepsza broń i co kosztowniejsze pancerze wyszarpywano sobie, brano się do kulaków.

Jeden z leżących pod wozem rycerzy, z pozoru martwy jak inni, poruszył się nagle, zazgrzytał zbroją, zajechał z głębi helmu. Reynevan podszedł, ukląkł, podniósł hundsgugel. Długo patrzyli sobie w oczy.

- Dalej... - charknął rycerz. - Dobij mnie, heretyku. Zabijesz mi brata, zabij i mnie. I niech cię piekło pochłonie...

- Wolfher Stercza.

- Obys zdechl, Reynevanie Bielau.

Zbliżyło się dwóch husytów z zakrwawionymi nożami. Samson wstał i zagroził im drogę, a w jego oczach było coś takiego, że husyci wycofali się przedko.

- Dobij mnie - powtórzył Wolfher Stercza. - Czarci pomoiacie! Na co czekasz?

- Nie zabijesz Niklasa - rzekł Reynevan. - Dobrze o tym wiesz. Wciąż nie jestem pewien, jaka rolę odegraliscie w zamordowaniu Peterlina. Ale wiedz, Stercza, że ja tu wróć. I policz się z winnymi. Sam to wiedz i powtórz innym. Reinmar z Bielawy wróci na Śląsk. I zazada zdania rachunku. Za wszystko.

Zacięta twarz Wolfhera zmiekła, zelzała, Stercza grał zuchą, ale dopiero teraz pojął, że ma szansę przeżyć. Mimo tego nie powiedział słowa, odwrócił głowę.

Wracała z poscigu i rekonesansu konnica Brazdy. Popędzona przez dowódców piechota porzuciła obdzieranie poległych, formowała szyk marszowy. Zbliżył się Szarlej z trzema koniami.

- Wyruszamy - rzekł krótko. - Samsonie, dasz radę jechać?

- Dam.

* * *

Wyruszyli dopiero po godzinie. Zostawiając za plecami kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i spóźnionej skruchy. Teraz, oprócz krzyża, rozstaje znaczyl również kurhan, pod którym pochowano Oldrzycha Halade i dwudziestu czterech husytów, Sierotek z Hradca Kralove. Na kurhanie Samson zatknal pawez. Z promienna hostia i kielichem.

I napisem: BUH PAN NAS.

* * *

Armia Ambroza maszerowala na zachód, ku Broumovu, zostawiając za soba szeroki czarny pas zrytego kołami i niesionego butami blota. Reynevan odwrócił sie w siodle, obejrzał.

- Ja tu wróce - powiedział.

- Tego sie obawialem - westchnal Szarlej. - Tego sie obawialem, Reinmarze. Ze to własnie powiesz. Samsonie?

- Slucham?

- Mamrociesz pod nosem, w dodatku po wlosku, wiec, jak wnosze, to znowu Dante Alighieri.

- Dobrze wnosisz.

- I pewnie fragment pasujacy do naszej sytuacji? Do tego, dokad zmierzamy?

- W samej rzeczy.

- Hmm...*Fuor de la queta* ... Idziemy wiec, wedlug ciebie... Nie bede natretny, jesli poprosze o przeklad?

- Nie bedziesz.

Z cichego swiata w swiaty wiecznie drzace.

W nowa dziedzine, niesmiertelnie ciemna. [\[40.\]](#)

* * *

Na zachodnim zboczcu Golinca, w miejscu, skad jak na dloni widac bylo doline i maszerujaca armie,

usiadł na galezi swierka wielki pomurnik, otrzasając igliwie ze sniegu. Pomurnik obrócił głowę, jego nieruchome oko zdawało się wypatrywać kogos wśród idących.

Pomurnik chyba wreszcie zobaczył, co chciał zobaczyć, bo rozwarł dziób i zaskrzeczał, a w skrzeku tym było wyzwanie. I okrutna groźba.

* * *

Góry tonęły w metnawym *sfumato* pochmurnego zimowego dnia.

Śnieg znowu zaczął padać. Zasypywał ślady.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Przypisy

[1.] *Memento, salutis Auctor...* - tradycyjny hymn brewiarzowy:

Pomnij, o Stwórcu wszechświata.

Zes przyjął niegdys kształt ciała

Naszego, kiedy Cię na świat

Przeswieta Panna wydała.

[2.] *Ad te levavi oculos meos...* - mnisi śpiewają kolejno psalmy 122, 123 i 124. Numeracja psalmów w całej książce przyjęta wg numeracji *Wulgaty* w łacińskim przekładzie świętego Hieronima. „Biblia Tysiąclecia”, skąd pochodzą wszystkie cytaty biblijne w książce, została przełożona z języków oryginalnych, przez co wystąpiły różnice (o jeden) w numeracji psalmów. Psalm *Ad te levavi ...* („Do Ciebie wznoszę me oczy...”) nosi w „Biblii Tysiąclecia” numer 123, a nie 122.

[3.] „Cholerny polamany dziadyga...” - na użytek purystów językowych i innych nawiedzonych, lubiących powtarzać, iż „wówczas tak nie mówiono”, wyjaśniam: nazwy „cholera” w znaczeniu jednostki

chorobowej używał Hipokrates, w odniesieniu do paskudnych przypadłości żołądkowych. A że jak świat światem, ludzie kleli „chorobowo”, tedy już od czasów Hipokratesa mogło być słowo „cholera” używane jako przekleństwo. Brak dowodów, by tak było, wcale nie oznacza, że tak nie było.

[4.] „...nie dalej niż mile od grodu” - w całości książki określenie „mila” oznacza milę staropolską, używaną np. przez Długosza i Jankę z Czarnkowa, równa w przybliżeniu dzisiejszym siedmiu kilometrom z małym hakiem.

[5.] „Mój Alkasyne, scigany za miłość...” - *Aucassin et Nicolette* („Rzecz o Alkasyne i Nikolecie”), popularny w średniowieczu, powstały w XIII w. anonimowy francuski poemat śpiewano-deklamowany (tzw. *chante-fable*) traktujący o perypetiach dwojga zakochanych.

[6.] „...co mistrz Johann Nider w swym *Formicariusie* napisał” - *Formicarius* Nidera to oczywiście anachronizm, to osławione dominikanskie „dzieło” powstało dopiero w roku 1437.

[7.] „Konradswaldau należy do Haugwitzów. Na Jankowicach siedzą Bischofsheimowie...” - względem nazw miejscowości trzymam się źródeł historycznych, a według tych w danym przykładzie obecne Przylesie k. Brzegu zwano się w wieku XV Konradswaldau, obecny Skarbimierz - Hermsdorf, a obecna Kruszyna - Schonau. Natomiast nazwa Jankowice jest dla tegoż okresu historycznie prawidłowsza niż zmienione (później) Jenkwitz. W dalszym tekście niekiedy - mając na uwadze czytelnika, by nie pogubił się totalnie - używam jednak nazw współczesnych, nawet jeśli z małą szkodą dla prawdy historycznej. Wielce względnej zresztą.

[8.] *Res nullius cedit occupanti* - paremia prawnicza, znacząca: „Rzecz niczyja przypada temu, kto ją zawłaszczył”.

[9.] *Tacitisque senescimus annis* - „Starzejemy się wraz z cichym lat upływem” (Owidiusz).

[10.] *Bernardus valles, montes Benedictus amabat...* - Bernard doliny ukochał, Benedykt góry, Franciszek miasta, Dominik ludne metropolie. Popularne powiedzonko. Anonimowe jak większość popularnych powiedzonek.

[11.] *Offer nostras preces in conspectu Altissimi...* - modlitwa do św. Michała Archanioła, *Oratio ad Sanctum Michale*, część rytuału egzorcystycznego w obrzędzie rzymskim, autorstwa, jak się mniema, papieża Leona XIII. W przekładzie (moim) wygląda tak:

„Modły nasze zanosimy przed oblicze Najwyższego, by spłynęła na nas łaska Boża, by pojmany był smok, wąż starodawny, który zwie się diabeł i szatan, by spętany był i stracony w otchlan, aby nie zwoził więcej narodów. Tedy poddani pod Twoją obronę my, kapłani, władza nam dana podejmujemy się odpedzić podstępne zakusy diabelskiego szalbierstwa w imię Chrystusa Pana naszego...”

[12.] *Ego te exorciso...* - fragmenty rytuałów i zakleć egzorcystów, zaczerpnięte z bardzo różnych źródeł. Z pewną, przyznaje, dozą bezładu. Ale zaplanowanego.

[13.] *Io non so ben ridir com' i' v' in trai...* - Dante Alighieri, „Boska Komedia”, *Canto I*. W przekładzie Edwarda Porebowicza (PIW, Warszawa 1978) brzmi to tak:

Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy,

Bo mna ośwładła sennosc jakas duza

W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.

[14.] *Pange lingua gloriosi...* - hymn eucharystyczny autorstwa św. Tomasza z Akwinu, pierwsza zwrotka. Poniżej jej przekład (za „Modlitewnikiem” wydanym przez PAK w roku 1990).

Sław, języku, tajemnice

Ciała i najdroższej Krwi,

która jako łask krynice

wylał w czasie ziemskich dni

ten co matkę miał Dziewicę

Krół narodów godzien czci.

[15.] *So die bluomen uz dem grase dringent...* - Walther von der Vogelweide. W przekładzie Witolda Wirpży („Album poezji miłosnej”, Iskry, Warszawa 1970) fragment brzmi, jak następuje:

Jako gdy kwiaty z trawy wynikają,

Jakby się śmiały do słonka jasnego

O wczesnym ranku za dnia majowego,

Jako gdy ptaszki malenkie śpiewają

By najpiękniejsze, co umieją, pienia,
Jakież z tym można rozkosze porównać?

[16.] *Verbum caro...* - ten sam hymn co wyżej. Czwarta zwrotka. W przekładzie:

Słowem więc wcielone ciało
chleb zamienia w ciało swe,
wino Krwia jest Chrystusowa,
darmo wzrok to widzieć chce
tylko wiara, Boża mowa
pewność o tym w serca śle.

[17.] *Nu wol dan...* - znowu Walther. I znowu przekład Witolda Wirpszy.

Więc nuże, patrzmy, kiedy prawda stanie!
Chodźmy na gody, które mają nam sprawił,
Kiedy się z całą potęgą objawił.
Na niego spójrzmy i na piękne panie,
I która lepsza jest z obojga rzeczy,
I czy nie lepsza cząsteczkę mam, w darze.

[18.] *Rerum tanta novitas...* - to również Walther von der Vogelweide, choć po łacinie. Przekład, niestety, tylko mój.

Wszystkie rzeczy się odradzają w wiosennym świetle
A władza wiosny i radować nam się nakazuje.

[19.] *Genitori, Genitoque...* - znowu Tomasz z Akwinu, ten sam hymn *Pange lingua* ..., ostatnie zwrotki którego wyodrębnia się jednak jako tzw. *Tantum ergo*. Przekład zamieszczonego fragmentu:

Bogu Ojcu i Synowi

hold po wszystkie niesmy dni

Niech podaje wiek wiekowi

hymn triumfu, dzięki, czci.

[20.] *Garbarze kurwiarze...* - pozyczyłem ze „Słownika polskich wyzwisk, inwektyw i określen pejoratywnych” Ludwika Stommy (Oficyna Wydawnicza Graf-Punkt, Warszawa 2000). Jest to jakoby przyspiewka góralska z rejonu Suchej Beskidzkiej. Piękna, przyznan trzeba. I wzruszająca.

[21.] „Cesarscy popowie sa antychrystowie...” - cantilena, czyli „Pieśń o Wiklefie” Jędrzeja Galki została napisana oczywiście dużo później, zapewne około roku 1440. Galka, jak wyliczyłem, był mniej więcej rówieśnikiem Reynevana. Mniema się jednak (*vide* Paweł Kras, „Husyci w piętnastowiecznej Polsce”, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1998), że była to przeróbka jakiejś pieśni husyckiej. Może więc ułożonej przez mojego goliarda? Lub gdzieś przez niego zasłyszanej?

[22.] *Nolite possidere aurum neque argentum...* - „Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów” (Mateusz, 10;9).

[23.] „Konrad, od lat osmiu biskup Wrocławia, zadziwiał swa iscie rycerska postura...” - opisując postać Konrada, księcia piastowskiego z linii olesnickiej, biskupa Wrocławia w latach 1417-1447, trzymałem się ściśle kronikarza - jeśli idzie o cechy charakteru, zwłaszcza upodobania biskupa do trunków i płci przeciwnej, o których Długosz mówi bez ogródek. Pozwoliłem sobie jednak na nieco dezynwoltury w opisie samej osoby, jej cech fizycznych. Po pierwsze, opis postaci u Długosza („...czarniawy złoźnik... niskiego wzrostu... tłustego ciała... oczy miał ropiejace... w mowie jakal sie i belkotal...”) zupełnie nie współgrał mi fabularnie i nie pasował. Po drugie, Bóg wie, przy kim prawda - Długosz potrafił paskudnie i nie całkiem wiernie portretować osoby, których nie lubił lub które mu się czymś naraziły. A ze biskupa wrocławskiego kronikarz sympatia nie darzył, to pewne.

[24.] „Iskra rzecz jest mala...” - „kazanie” sławnego później Mikołaja z Kuzy (liczącego sobie w 1425 jednak zaledwie dwadzieścia cztery wiosny) skonstruowałem na podstawie znacznie późniejszych, kontreformacyjnych wynurzeń Piotra Skargi, jezuita, w jego „Żywotach świętych Starego i Nowego Zakonu” zawartych.

[25.] *Nel mezzo del cammin di nostra vita...* - Dante, *Boska Komedia*, *Canto I*. W przekładzie (tym samym, co wyżej) brzmi:

W zycia wędrowce, na polowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi,
W glebi ciemnego znalazłem sie lasu.

[26.] *Necronomicon* Abdula Alhazreda... - jasna rzecz, uklon w strone H. P. Lovecrafta.

[27.] *Liber Yog-Sothotis*... - zmyslilem. Biorac wzór z Lovecrafta, Mistrza z Providence.

[28.] *De vermibus*... - choc wykorzystana w kilku opowiadaniach Lovecrafta i stanowiaca „bibliograficzny kanon” mitu Cthulhu, *De vermibus* ... - oddajmy honor - zostala wymyslona przez Roberta Blocha.

[29.] *Exsiccatum est faenum*... - „Trawa usycha, wiednie kwiat” (Izajasz 40;7).

[30.] *Amantes amentes*- „Zakochani sa jak szaleni” (Plautus).

[31.] *Grau, teurer Freund, ist alle Theorie*- Faust, czesc I, scena z uczniem, slowa Mefistofelesa. Anachronizm oczywisty takze w warstwie lingwistycznej -*Hochdeutsch* Goethego w wieku XV jeszcze nie istnial. Ale kto wie, moze diabel zawsze mowil w *Hochdeutsch* ?

[32.] *Meum est propositum*... - Walter Map (wedlug innych zródel: Archipoeta). Przeklad fragmentu (Edwarda Porebowicza, w „Wielkiej literaturze powszechnej”, nakladem Trzaski, Everta i Miehalskiego, Warszawa 1933):

Przeznaczenie moje skonczyc zycie w szynku

Podsun kubek ku gębce, nalej wina, synku,

By rzekli aniolowie, stojacy w ordynku:

„Udziel Bóg pijanicy rajskego spoczynku”.

[33.] *Bibit hera, bibit herus*... - anonim, *Carmina Burana* , ze zbioru zwanego *Carmina potoria* .

Przekład mój.

Pije pani, pije pan,

Pije rycerz, pije ksiadz

pije ów, pije owa

pije pachol ze sluzaca

pije zwawy, pije gnusny

pije biały, pije czarny...

[34.] „Ej wiwat, wiwat, ten miły kolek...” – „Loznicopiew” Franciszka Ksawerego Woyny, szambelana u króla Stasia (druga połowa XVIII w.), „Trembecki i inni” (KAW, Białystok 1982).

[35.] „Fik z okna...” - wzbogaciłem zaklecie lotne o ten zabawny, „rychtyk śląski” dwuwiersz, zaczerpnięty z basni Stanisława Wasylewskiego pod takim właśnie tytułem. „Fik z okna”, w „Basniach polskich” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1968).

[36.] *Veni, veni, venias...* - anonim, *Carmina Burana* , ze zbioru zwanego *Carmina amatoria* .
Przekład mój.

Przybadz, przybadz, o, przybadz

Nie daj mi umrzec

hyrca, hyrca

Nazaza,

Trilliriuos...

Piekne sa twe lica

Oczy twe blyszczace

Wlosy twe w warkoczu

O, jakze piekna jestes istota

Od rózy czerwiensza

Od liliji bielsza

Od wszystkich piękniejsza

Chwała, chwała ci po wieczność.

[37.] „Mógł - i chciał - jej powiedzieć, że jest...” - Reynevan kolejno sięga w komplementach do „Piosenki nad Piosenkami”, „Eneidy”, piosenki trubadurów prowansalskich, piosenki ze zbioru *Carmina Burana*, Waltera von der Vogelweide i *Boskiej komedii* Dantego.

[38.] *De mortuis aut bene, aut nihil*- „O zmarłych (mówi się) albo dobrze, albo wcale” (Plutarch).

[39.] *Do, ut des*- „Dam, jeśli ty dasz”, tu sparafrazowane: *...ut facia*, czyli: „Dam, jeśli ty uczynisz”.

[40.] „Z cichego świata...” - Dante, *Boska Komedia*, pieśń czwarta, tłum. Edward Porebowicz. W oryginale:

Fuor de la queta, ne l'aura che trema.

E vegno in parte ove non e che luca.

Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)

w którym czytelnik ma okazję poznać Reinmara z Bielawy, zwanego Reynevanem, i to od razu z kilku jego najlepszych stron, wliczając w to biegłą znajomość *ars amandi*, arkanów jazdy konnej i Starego Testamentu, niekoniecznie w tej kolejności. Rozdział mówi także o Burgundii - traktowanej równie wąsko, jak szeroko.

[Rozdział drugi](#)

w którym czytelnik dowiaduje się o Reynevanie jeszcze więcej, a to z rozmów, jakie o nim wiodą różni ludzie, tak życzliwi, jak i wprost przeciwnie. W tym czasie sam Reynevan blaka się po podlesnickich lasach. Opisu tego blakania autor czytelnikowi skąpi, toteż czytelnik, *nolens volens*, musi sam je sobie

wyobrazic.

Rozdział trzeci

w którym mowa o rzeczach tak mało - pozornie - mających ze sobą wspólnego jak polowanie z sokolami, dynastia Piastów, kapusta z grochem i herezja czeska. A także o dysputach o tym, czy, komu i kiedy należy dotrzymać słowa.

Rozdział czwarty

w którym Reynevan i Zawisza Czarny z Garbowa rozprawiają o tym i o owym na gościncu brzeskim. Potem Reynevan leczy Zawisze z gazów, a Zawisza odwdzięcza się cennymi naukami z zakresu historii najnowszej.

Rozdział piąty

w którym Reynevan w pierwszej na własnej skórze poznaje, jak czuje się otropiony wilk w obrzuconej kniei. Potem spotyka Nikolette Jasnowłosa. A potem odpływa z prądem.

Rozdział szósty

w którym Reynevan najpierw zbiera ciecigi, a potem rusza w drogę do Strzelina w towarzystwie czworga ludzi i jednego psa. Nude podróży umiła dysputa o herezjach, pieniących się ponoc na podobieństwo kakolu.

Rozdział siódmy

w którym Reynevan i jego kompania zjeżdżają do Strzelina w wigilię Wniebowzięcia Marii i, jak się okazuje, rychtyk na palenie. Potem zaś ci, co powinni, słuchają nauk kanonika wrocławskiej katedry. Jedni z większą, inni z mniejszą ochotą.

Rozdział ósmy

w którym z początku jest pięknie. A później nie bardzo.

Rozdział dziewiąty

w którym zjawia się Szarlej.

Rozdział dziesiąty

w którym zarówno Reynevan, jak i czytelnik mają okazję lepiej poznać Szarleja - sposobność po temu daje wspólna wędrownica i różne towarzyszące tejże wydarzenia. Na koniec zaś pojawiają się trzy

wiedźmy - absolutnie klasyczne, absolutnie kanoniczne i absolutnie anachroniczne.

Rozdział jedenasty

w którym pokretnie przepowiednie zaczynają sprawdzać się w pokretny sposób, a Szarlej spotyka znajomą. I objawia nowe, dotąd nieobjawione talenty.

Rozdział dwunasty

w którym w wigilie świętego Idziego, wypadająca w piątek, Reynevan i Szarlej jedzą postny obiad w klasztorze benedyktynów. Po obiedzie zaś egzorcyzmują diabła. Z całkiem niespodziewanym efektem.

Rozdział trzynasty

w którym po opuszczeniu klasztoru benedyktynów Szarlej wyklada Reynevanowi swoją filozofię egzystencjalną, sprowadzającą się - w uproszczeniu - do tezy, że wystarczy spuszczone spodnie i chwila nieuwagi, by ktoś niezyczliwy dobrał ci się do dupy. Za chwilę życie potwierdza te wywody w całej rozciągłości i każdym detalu. Z opresji ratuje Szarleja ktoś, kogo czytelnik już zna a raczej zdaje mu się, że zna.

Rozdział czternasty

który opisuje wydarzenia, dziejące się tego samego wieczora co w rozdziale poprzednim, lecz w innym miejscu: dużym mieście, odległym o około osiem mil - lotem wrony - w kierunku północno-wschodnim. Rzut oka na mapę Śląska, do którego autor gorąco czytelnika zachęca, wyjaśni, o jakie miasto chodzi.

Rozdział piętnasty

w którym okazuje się, że choć pojęcia „opłacalna sztuka” i „artystyczny geszeft” wcale nie muszą oznaczać *contradictio in adiecto*, to jednak w dziedzinie kultury nawet epokowe wynalazki nie tak łatwo znajdują sponsorów.

Rozdział szesnasty

w którym Reynevan, szlachetny jak Perceval i równie głupi, rzuca się z odsieczą i staje w obronie. W efekcie cała kompania musi uciekać. Bardzo szybko.

Rozdział siedemnasty

w którym w raubritterskim siodle Kromolin Reynevan robi znajomości, je, pije, przyszywa uciete uszy i uczestniczy w tingu anielskiej milicji. Do czasu, gdy do Kromolina przybywają zupełnie niespodziewani goście.

Rozdział osiemnasty

w którym do tradycji i obyczajów rycerskich wkracza - z hukiem - nowoczesność, a Reynevan - jakby chciał uzasadnić tytuł książki - robi z siebie błazna. I jest zmuszony przyznać się do tego. Przed całą przyrodą.

Rozdział dziewiętnasty

w którym nasi bohaterowie trafiają w Ziebicach na bardzo europejski turniej rycerski. Dla Reynevana zaś kontakt z Europą okazuje się bardzo przykry. Ba, bolesny nawet.

Rozdział dwudziesty

w którym po raz kolejny znajduje potwierdzenie stara prawda, że na kogo jak na kogo, ale na kolegów ze studiów zawsze można liczyć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym znowu zjawiają się czerwony goliard i czarny wóz, a na wozie piecset z góra grzywien. A wszystko skutkiem tego, że Reynevan znowu leci za spódniczką.

Rozdział dwudziesty drugi

w którym okazuje się, że nasi bohaterowie bardzo pechowo wybrali miejsce na nocleg. Potwierdza się też - choć rzecz ujawni się dużo później - znana prawda, że w historycznych czasach najdrobniejsze nawet zdarzenie może okazać się brzemienne w historyczne skutki.

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym sprawy nabierają obrotu tak kryminalnego, że gdyby kanonik Otto Beess to przewidział, bez żadnych ceregieli ostrzyglby Reynevana w mnichy i zamknął w cysterskiej klauzurze. A Reynevan zaczyna zastanawiać się, czy alternatywa ta nie byłaby dla niego zdrowsza.

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym Reynevan, zamiast na Wagry, jedzie na zamek Bodak w Górach Złotostockich. Nie wie tego, ale wyjść stamtąd zdoła nie inaczej, jakin *omnem ventum* .

Rozdział dwudziesty piąty

w którym, jak u Beroula i Chretien de Troyes, jak u Wolframa von Eschenbach i Hartmanna von Aue, jak u Gotfryda ze Strasburga, Gwilelema de Cabestaing i Bertrana de Bom - mowa jest o miłości i śmierci. Miłość jest piękna. Śmierć nie.

Rozdział dwudziesty szósty

w którym w mieście Frankenstein spotyka się wielu starych - choć niekoniecznie dobrych - znajomych.

Rozdział dwudziesty siódmy

w którym Reynevan i Szarlej przez czas dość długi mają spokój, opiekę lekarską, pociechę duchową, regularne odżywianie i towarzystwo nietuzinkowych ludzi, z którymi mogą do woli konwersować na ciekawe tematy. Słowem, mają to, co zwykle ma się w domu wariatów.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym nasi bohaterowie nadal są, by użyć słów proroka Izajasza, *sedentes in tenebris* - po ludzku zaś mówiąc, odsiadka w Narrenturmie trwa. Później zaś na Reynevana wywierane są naciski. Już to za pomocą argumentów, już to - instrumentów. I diabli wiedzą, czym by się to skończyło, gdyby nie te porobione na studiach znajomości.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

w którym bohaterowie wyswobodzeni z Narrenturmu są wolni - ale, jak się okazuje, nie całkiem. Biorą udział w wydarzeniach historycznych, dokładniej: w puszczaniu z dymem kilku wsi i miasteczek. Potem Samson ratuje to, co można, potem dzieją się różne rzeczy, aż wreszcie na koniec bohaterowie odchodzą. Droga ich, by użyć metafory poety, wiedzie *in parte ove non e che luca* .

Przypisy